Waldemar Golanko

WYGRAĆ TO NIE WSZYSTKO



W OPARACH ABSURDU

Waldemar Golanko

Wygrać to nie wszystko

W oparach absurdu

Biała Podlaska 2013

Projekt okładki
Mieczysław Skalimowski
Grzegorz Jóźwik

Korekta
Grzegorz Jóźwik
Zbigniew Krzak

Skład komputerowy
Grzegorz Jóźwik

REGIONALIA



XIII B
Gol

137386
821.162.1-3

Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



ISBN 938164 / 978-83-938164-0-8
Drukarnia Arte w Białej Podlaskiej, tel. 502 218 563

Jeżeli potraficie

To piszcie należycie

To piszcie ku pokrzepieniu

A ja po swojemu.

Jak brzmią słowa niewypowiedziane
Nad ranem
Jak usta nieme, rozespane
Mruczą rano
Tak samo
Piano
Jak szept brzmią słowa
Cicho – cicho
Nic nie mów
Nie trzeba słów
Albo mów – bez słów.

Rozdział I

Z błogiego snu wyrwał mnie przeraźliwy hałas dochodzący z oddali. Kakofonia dźwięków budzącego się miasta, jakieś zgrzyty, stuki, puki oraz inny bliżej nieokreślony harmider – na identyfikację, którego nie miałem ani siły, ani ochoty – pozbawił mnie jedynej przyjemności, jaką cieszyłem się ostatnio w moim niewesołym życiu. Morfeusz był równie niepocieszony jak ja, a może i bardziej, bo po co było budzić demony? Właśnie się zaczyna moja czarna godzina – stwierdziłem ze smutkiem.

Zamykam oczy i mam czarne myśli
Ciekawe
Czy jak je otworzę będą jaśniejsze?

Łomoty, które usłyszałem, nie pochodziły z tego świata. Nie wiem skąd się brały i co było przyczyną tej „subtelnej porannej symfonii", lecz jednego byłem pewien, tak nie rozpoczyna się dnia, to nie wróży nic dobrego. Letni poranek powinien budzić pocałunkiem ukochanej, śpiewem ptaków, kumkaniem żab, zapachem kwiatów… A nie warkotem silnika jakiejś diabelskiej maszyny, skonstruowanej chyba specjalnie na potrzeby podwyższania ciśnienia wszystkim znajdującym się pod jej przemożnym wpływem. Dla osiągnięcia takiego efektu ludzie stosują o wiele bardziej sprawdzone metody, tudzież specyfiki, takie chociażby jak: kawa, herbata, alkohol, nawet zrzędliwa żona byłaby lepsza, od wytworu tego ludzkiego geniuszu. Chyba, że ostatnimi czasy coś się zmieniło, a ja zatrzymałem się na wcześniejszym etapie rozwoju i irytuję się całkiem niepotrzebnie – pomyślałem. Prawdą jest, że na śledzenie nowinek technicznych, przez ostatnich kilka miesięcy jakoś nie miałem czasu, ani głowy, ale to nie

znaczy, że tak całkowicie wypadłem z obiegu.

Odgłosy cywilizacji dochodzące z oddali, wwiercały się w galaretowatą substancję, którą kiedyś dumnie nazywałem mózgiem, próbując rozsadzić czerep. Obiema rękoma ścisnąłem skronie w nadziei, że takim domowym sposobem pozbędę się uporczywej dolegliwości. Niestety wysiłki moje spełzły na niczym. Lepiej byłoby jajka sobie ścisnąć – doszedłem do wniosku, a wtedy głowa na pewno przestałaby boleć.

Pewnie będę musiał ruszyć dupsko i wziąć jakiś proszek przeciwbólowy lub w inny bardziej wyszukany sposób radzić sobie, w przeciwnym bowiem razie, chroniczna niemalże niedyspozycja, nie ustanie. Właśnie zmuszałem prawą nogę do wykonania zamierzonego ruchu w kierunku „domowej apteczki" (zawsze pamiętam żeby wstawać prawą nogą), gdy do mych uszu ponownie dotarły dźwięki wytwarzane przez tych wysłanników piekieł krzątających się pod balkonem.

Co się dzieje? – Boże miłosierny! Skąd to się bierze? Czy to się nigdy nie skończy? Pytania, które zadawałem były czysto retoryczne, bowiem nie oczekiwałem na nie żadnej odpowiedzi, bo i cóż mi po takiej wiedzy. Tych kilka szarych komórek, które jakimś cudem uniknęły tragicznego losu swych pobratymców, wolę wykorzystać w bardziej racjonalny sposób aniżeli obciążanie ich tak mało istotnymi zagadnieniami – stwierdziłem. Jeżeli nie takimi to jakimi? Rozpoczął się intensywny proces myślowy. Na dobrą sprawę, do trybu życia, jaki prowadzę, wystarczy kilka zwojów nerwowych. Weźmy dla przykładu takie zwierzęta. Móżdżki mają wielkości orzeszka, a jak doskonale sobie radzą. Instynkt samozachowawczy wystarczy – stwierdziłem z przekonaniem.

Instynkt? To dobra myśl. Instynktownie otworzyłem zaspane oczy. To był błąd. Jaskrawe światło poranka niemal wypaliło mi źrenice. Na chwilę ponownie zapadły ciemności. Chryste! – krzyknąłem z bólu, zabierz ode mnie ten ogień. Ucisnąłem palcami gałki oczne i czekałem. Tortura spowodowana naświetleniem, z wolna ustępowała.

Zanosi się na piękny dzień – oświeciło mnie.

Jawa, o którą nikogo nie prosiłem, ani dopominałem się, a już na pewno nie tęskniłem, brutalnie wdzierała się w głąb strzępów mej rozchwianej świadomości, oznajmiając, że oto wstał nowy dzień i czas rozpocząć zmagania z życiem. O powrocie w objęcia Morfeusza nie było co śnić. Z rozrzewnieniem zatęskniłem za tą odrobiną niebiańskiego spokoju, którego w tak bezceremonialny sposób zostałem pozbawiony. To był cudowny sen – przypomniałem sobie. Zamknąłem szybko oczy żeby stworzyć chociażby namiastkę tego co przeżywałem. Znowu być szczęśliwym, znowu śmiać się i cieszyć, że ona jest ze mną. *„Pragnę tak niewiele, tylko ciebie i zieleń"*. Jakże niewiele pozostało mi z normalnego życia –wspomnienia i sny. To żałosne, ale w nich wszystko było

piękne i takie prawdziwe. Musiałem uciekać w wyimaginowany świat marzeń sennych, bo ten realny stał się piekłem. Ta noc już się skończyła – doszedłem do smutnego wniosku. Muszę czekać do następnej na odrobinę radości.

Czy to jedyny sposób abym poczuł się szczęśliwy? Każdego ranka zadawałem to samo pytanie.

Wszystko zależy od ciebie. Masz jeszcze alkohol, twojego jedynego, prawdziwego przyjaciela. On jest zawsze przy tobie, niemal na wyciągnięcie ręki, on cię nigdy nie opuści i nawet „zawiedzie" – padała odpowiedź.

Leżąc ciągle w łóżku – bowiem nigdzie mi się nie spieszyło – zacząłem rozmyślać. Czy na pewno muszę niepotrzebnie budzić się co rano? Muszę, ale po co? Bo tak jest skonstruowany ten świat i nasz zegar biologiczny! – usłyszałem odpowiedź. Ooo, nie zgodzę się! Są przecież nocne marki i ćmy barowe. Ich zegary biologiczne ustawione są zdecydowanie inaczej i kto wie, czy nie lepiej – spierałem się z głosem wewnętrznym. Ich tak, ale nie twój – natychmiast usłyszałem odpowiedź. Masz wstawać i koniec! – nakazywał głos. Dobrze, ale po co? – obstawałem przy swoim. Przecież świat i tak nie będzie za mną tęsknił, nie stanie się ani odrobinę lepszy. Zużyję trochę tlenu, wyprodukuję trochę CO_2, zeżrę kilka roślin, kawałek zwierzaka – ot i wszystko, żadnego wkładu w „rozwój ludzkości". Że też ta Ziemia chce mnie jeszcze nosić na swoim garbie – dziwiłem się.

Wizja tej, jakże „budującej", przyszłości oraz perspektywa całodziennej udręki obcowania z sobą z każdym dniem stawała się coraz bardziej nieznośna.

Mimo tego, że Pan Bóg stworzył nas na swój obraz i podobieństwo i po cichu liczył na to, że do czegoś mu się przydamy to chyba się przeliczył, albo nie do każdego jednakowo się przyłożył – stwierdziłem z goryczą. *„Czasem wydaje mi się, że tworząc człowieka Bóg przecenił swoje możliwości".*

Coś jednak musi być w tym parszywym życiu, skoro czepiło się mnie jak smark rękawa i, ni cholery, nie chce odpuścić. Mimo całej beznadziei jaką ze sobą niesie, mimo dna, którego sięgnąłem, ja wciąż jestem, wciąż żyję! Coś w tym musi być! Warto by o tym pomyśleć, warto się nad tym zastanowić – podsumowałem filozoficzne rozmyślania.

W tym momencie, nie wiedzieć czemu, przypomniałem sobie *Dzień świstaka*. Chyba sporo jest w tym filmie analogii do mojego życia – doszedłem do wniosku. Poranek szósta godzina, budzik zrywa bohatera na równe nogi i zaczyna się karuzela. Deja vu! To samo mieszkanie, to samo śniadanie, ci sami ludzie i te same wydarzenia. Pozornie, dzień podobny do dnia, a jednak, nie taki sam. Może coś w tym jest, jakaś myśl przewodnia, przeznaczenie. Zauważcie, główny bohater Phil Conors (Bill Murray), popadł w jakieś niepojęte kontinuum czasoprzestrzeni, z którego żadnym sposobem nie mógł się wyrwać. Wydarzenia każdego następnego dnia konsekwentnie powtarzały się, ale tylko do czasu,

kiedy zaczął dostrzegać swoją niewielką, acz jakże istotną rolę w codziennym, zwyczajnym biegu tychże zdarzeń. W chwili, gdy to zrozumiał, życie nabrało sensu.

O, jakież to pouczające! Więcej trzeba mi takich myśli o poranku, może i dla mnie nie wszystko jeszcze stracone – stwierdziłem z nadzieją.

No dobrze, jeżeli komuś chciało się zrobić mi przysługę i pomóc przywitać, choć przedwcześnie – podkreślam z całą mocą – kolejny dzień, to niech tak będzie. Pogodzony z wyrokami Opatrzności. Zbudzony, o przepraszam nie zbudzony, a wybudzony podjąłem heroiczną próbę pozbierania myśli. Mimo, że oczy mam ciągle zamknięte, to przecież wiem, że jest już widno. Godzinę mogłem w przybliżeniu określić bez posiłkowania się chronometrem. Co za dziwna natura – przeleciało mi przez myśl. Od wielu miesięcy nie muszę zrywać się do pracy, a zegar biologiczny wciąż tyka bez zarzutu. Nieważne jak długo włóczyłbym się po nocy, nieważne ile wlałbym w siebie gorzały, rano o stałej porze jakaś tajemna siła sprawia, że oczy niczym zaprogramowane, same się otwierają, a krew zaczyna pobudzać ciało i umysł do życia. Tylko, po co? – pytam po raz kolejny, po co? Wstanę i będę stał, siądę i będę siedział, położę się i ponownie będę leżał. Koło się zamyka. To na cholerę mi wstawać – pomyślałem zrezygnowany. Obowiązków żadnych nie mam, robić nic nie muszę, ba, nawet próbować nie będę, bo paliwo już dawno się wypaliło. Ale spania nie będzie.

Zerknąłem mimochodem na zegarek. Co u licha? Jeszcze godzinę miałem przebywać w odmiennym stanie świadomości. Co mam począć z tymi niepotrzebnie podarowanymi mi przez los sześćdziesięcioma minutami? Może przydadzą się na poszukiwanie straconego czasu? Pierwsze pytanie, jakie mi przyszło do głowy, to czy aby wszystko wczoraj skończyło się dobrze? Gmerałem w zakamarkach pamięci szukając obrazów minionej nocy. A, że były lekko zamglone dymem papierosowym połączonym z oparami alkoholu szło mi nad wyraz opornie. Żeby nie nadwyrężać mózgu, myślenie postanowiłem odłożyć na później.

Chyba nic nadzwyczajnego nie wydarzyło się, skoro obudziłem się w swoim łóżku – stwierdziłem ze smutkiem. Kiedyś było całkiem inaczej – z nutką nostalgii spojrzałem w przeszłość. Czasy się zmieniają, albo ja się starzeję.

Zgnębiony psychicznie, już chciałem zerwać się z leży i „podziękować" rannym ptaszkom za nieproszoną pobudkę, gdy nagle zdałem sobie sprawę z absurdu moich intencji. Przecież ci z dołu, gdyby mogli, woleliby leżeć sobie w pieleszach podobnie jak ja, ale życie jest niesprawiedliwe. *„Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś"*. Osunąłem się z powrotem w ciągle ciepłe jeszcze pielesze, poprawiłem poduszkę i tępym wzrokiem zacząłem wpatrywać się w sufit. Na białym ekranie rozpostartym przed moimi oczami życie rozpoczęło projekcję jakiegoś filmu przyrodniczego. W paru miejscach jednocześnie toczy się kilka

wątków. W jednej części sufitu mucha wdrapuje się na muchę w wiadomym celu. W rogu powały pająk spożywa na śniadanie ich wcześniej spłodzone dzieci. Jeszcze w innym miejscu, tuż za lampą, skryła się ćma w nadziei, że pozostanie tam bezpieczna i niezauważona przez nikogo do następnego zmroku. Życie toczy się cały czas, tylko ja nie biorę w nim udziału – stwierdziłem ze smutkiem. Właśnie real objął mnie swoim ramieniem, przytulił i szepnął na pocieszenie – wszystko będzie dobrze, to dopiero początek dnia, bądź dobrej myśli. Optymizm już dawno mnie opuścił, więc nie od razu zgodziłem się z tą mającą mnie pocieszyć obietnicą. Z samotnością jest mi nie do pary – pomyślałem.

Jak ciągle siedzisz w czterech ścianach
I krzyczysz, ale nikt nie słucha,
Tylko cisza głucha – to jesteś niemy.

Żeby nie popaść w melancholię zacząłem liczyć komary. Potem barany. Na koniec osły. Mógłbym jeszcze bardziej powiększyć to zoo, tylko, że to i tak byłaby droga donikąd. O tym, że liczyć umiem – nie musiałem się przekonywać, ale że najbardziej na siebie – przekonałem się wiele razy.

Proza życia mnie przytłacza – zacząłem użalać się nad sobą. Nikt mnie nie rozumie – brnąłem dalej – nikt nie rozumie moich pragnień, a przecież jedyne czego pragnę, to odnaleźć swoje szczęście. *„Ludzie stale szukają skróconych dróg do szczęścia. Nie ma skróconych dróg do szczęścia"*. Mimo świadomości tego faktu, nie ustawałem w dążeniach do realizacji raz obranego celu. Alkohol, lekarstwo na moją skołataną duszę, dawał mi chwilowe, złudne poczucie tego za czym tak goniłem. Ta namiastka poszukiwanego uczucia musiała mi wystarczać przez lata, ale jak długo można zadowalać się imitacją czegoś, co jest tak realne i niemal na wyciągnięcie ręki. Codziennie rano to samo pytanie i brak odpowiedzi. Już tyle razy zarzekałem się, że nigdy więcej nie pójdę tą drogą – i co? Każde przebudzenie bardzo podobne do siebie. Kac – nieodłączny towarzysz każdego poranka i tym razem mnie nie zawiódł.

Rozróżniamy dwie odmiany tej dolegliwości i nie wiadomo, która gorsza: fizyczna czy psychiczna (moralna). Kaca fizycznego bardziej da się znieść. Są bowiem na to różne specyfiki i sposoby. Gorzej z tym drugim. Na te cierpienia żadnych medykamentów ludzkość przez wieki nie wynalazła. Natłok chaotycznych myśli, złych myśli rozsadza głowę. Próbujesz od nich uciec zmieniając co chwilę miejsce na posłaniu, ale wiesz, że to i tak nigdy ci się nie uda. Żeby tak coś dobrego zrobić – byłby punkt zaczepienia, jakieś usprawiedliwienie dla swojego postępowania, a tu nic. Kolejny dzień zmarnowany, chociaż rano tak się zarzekałem. I kolejne usprawiedliwienie – gdyby nie przeciwności losu, gdyby nie źli ludzie, których ciągle spotykam na swej drodze – ileż to jeszcze

mógłbym dokonać! A tu ciągle kłody pod nogi, których nie sposób ominąć. Z tej to przyczyny, żeby pojąć i zrozumieć fenomen naszego bytu i całej tej beznadziei należy się napić. Na trzeźwo to i Sokrates nie byłby w stanie odpowiedzieć na wiele pytań jakie stawia przed nami egzystencjalizm, a po kielichu, czy zimnym piweczku, życie zaczyna nabierać kolorytu, sensu. Pesymizm Sartre'a ustępuje pola hedonizmowi Epikura. *„O ile przyjemniej jest żyć, uznając przyjemność i rozkosz za najwyższe dobro i cel życia człowieka"* – „carpe diem" (korzystaj z każdego dnia, ciesz się chwilą).

Umysł na chłodno zaczął analizować, kalkulować, podsuwać rozwiązania, tłumaczenia, szukać wyjścia. Jużci ta beznadzieja nie jest aż tak beznadziejna, a niesprawiedliwość aż tak niesprawiedliwa. Oto zaczyna pojawiać się światełko w tunelu. Przecież nie jest tak źle. Gdybym tylko chciał to ho, ho, wiele mógłbym jeszcze dokonać. Jak człowiek tak się nakręci, to od razu mu lżej na sercu. Staje się jakiś taki dowartościowany i w swoich oczach jakby lepszy, a przecież właśnie o to chodzi, bo inaczej to klops. Moralniak drwi w najlepsze, naśmiewa się i złośliwie szepce do ucha – *a nie mówiłem? Wczoraj było tak samo i przedwczoraj i wiele, wiele innych przedwczorajsiów. Jesteś na mnie skazany. Tak wybrałeś.*

A determinizm, to pies? Jakim mnie Boże stworzyłeś takim mnie masz – broniłem się ostatkiem sił szukając usprawiedliwienia dla swojego postępowania i nieudanego życia. Od dzisiaj koniec z tym szaleństwem – złożyłem solenne przyrzeczenie. Przecież tak dłużej nie może być, tak dłużej czasu trwonić nie będę, życie wszak mamy tylko jedno – zauważyłem filozoficznie – „diem perdidi" (zmarnowałem dzień) rzekł cesarz Tytus, kiedy zdał sobie sprawę, że w tym dniu nie spełnił żadnego dobrego uczynku).

Skoro opatrzność boska podarowała mi tę dodatkową godzinę, to coś w tym musi być, wykorzystam ją na chwilę refleksji – wziąłem sobie szczerze do serca słowa Tytusa. On zmarnował dzień, a mi szkoda nawet godziny – podszedłem ambitniej do tematu. Jakaż nietuzinkowa głębia przemyśleń. Czemu nękają mnie takie myśli? – zadałem sobie pytanie. Ktoś inny zastanawiałby się czy jest zimne piwo w lodówce, albo lufka na klina, ale ja nieeee, ja muszę fundować sobie codzienny poranny prysznic z pomyj.

Może by coś zmienić? – pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy. Zmieniać? Po co zaraz zmieniać! – skoro tak jest dobrze i wygodnie. No może te przebudzenia nie są zbyt komfortowe, ale później to już jakoś leci. Zmiany wiążą się z wysiłkiem, poczynając od fizycznego, a kończąc na umysłowym. Zmiany to niepewność, zmiany to droga bez jasnych drogowskazów, które niekoniecznie doprowadzą do obranego celu. No właśnie – celu. A jakiż to niby miałby być ten cel? – zastanawiam się. Dobrze byłoby, żeby jakiś wzniosły, szczytny, bo na małe, to szkoda czasu. Coś takiego czego jeszcze nikt przede

mną nie wymyślił i po mnie nie wymyśli – założyłem ambitnie. Coś takiego, co jeszcze raz spowodowałoby żebym poczuł chęć życia, poczuł wiatr we włosach, dostrzegł słońce za oknem i zobaczył uśmiech w krzywym zwierciadle czasu.

Przejrzę ogłoszenia drobne, może tam znajdę coś ciekawego, jakieś wyzwanie godne takiego herosa jak ja. Huśtawka nastrojów, szyderstwo i cynizm już biorą górę. Usprawiedliwienie? – chyba nie, ale chciałem dobrze, chciałbym coś zrobić jak nadarzy się odpowiednia okazja...

Podbudowany nieco jaśniejszą wizją przyszłości przystąpiłem do prozaicznych czynności dnia powszedniego. Starałem się dokończyć, to co wcześniej rozpocząłem, czyli konsekwentnie robić nic, z częstymi przerwami na wysączenie szklaneczki zimnego piwa. Ten dzień, jak i wiele poprzednich, nie okazał się przełomowym ani dla mnie, ani dla świata. Zbawianie ludzkości musiałem przełożyć na kiedy indziej. Może wieczór będzie bardziej owocny w bohaterskie czyny? Z tą nadzieją zacząłem snuć plany na racjonalne wykorzystanie ostatnich akordów kończącego się dnia.

Stosownie przyodziany, po uprzednim wykonaniu kilku telefonów, udałem się na, z góry upatrzone pozycje. A że miałem jeszcze trochę wolnego czasu postanowiłem, do umówionego punktu zbornego, wybrać drogę, jakby tu określić, drogę okrężną. Spacer, nie powiem, był całkiem udany jako że pogoda dopisywała. Przemierzając kolejne ulice rozmyślałem o tym i owym, ale nie po to żeby zaraz roztrząsać zawiłości nieudanego życia. Na to przyjdzie czas później, przy stoliku z kolegami, kiedy to z każdym następnym gramem wlanego w siebie alkoholu siły nasze rosną do kwadratu, intelekt do sześcianu, a bezkrytyczna postawa do własnych słabości do potęgi n – tej.

Snując się tymi sennymi ulicami, po części bujając w obłokach, po części stąpając twardo po ziemi, dotarłem do jakiejś niewielkiej budki przed którą stało kilkanaście osób. Widok dość niecodzienny jak na dzisiejsze czasy – zauważyłem. Od razu przyszła mi na myśl krótka anegdota – bardzo popularna w latach minionych.

Otóż kiedyś, kiedy to kolejki były rzeczą naturalną, można wręcz powiedzieć na porządku dziennym, ba, co tam dziennym, nocnym!, ktoś, kto był mniej zainteresowany uczestnictwem w tym postoju, niby to z ciekawości pytał stojących *Co tu dają?* Zawsze znalazł się ktoś życzliwy, kto udzielił odpowiedzi: *mięso, pralki, lodówki – wszystko jedno*. Nieważne co to było, najważniejsza była odpowiedź dowcipnisia. Nie stałbym, wolałbym kupić. Dowcip może i niewybredny, ale takie akurat skojarzenie przyszło mi do głowy.

Podchodzę bliżej wspomnianego ogonka i cóż widzę? Punkt LOTTO. Wielki, pulsujący neon kusił wielką wygraną. No nie – pomyślałem. Tylu naiwnych w jednym miejscu i każdy z nadziejami, że to właśnie on będzie tym wybrańcem losu. Z drugiej jednak strony – zadałem sobie pytanie – czemu nie?

Szczęście wszak czasami do kogoś się uśmiecha. Może tym razem uśmiechnie się do mnie. Kupię kupon – zapaliłem się do pomysłu. Kwota do wygrania była imponująca. Podszedłem bliżej i zagadnąłem ostatniego w kolejce.
– Najmocniej pana przepraszam – pytam z niedowierzaniem w głosie – Czy to prawda, że tyle pieniędzy jest do wygrania w dzisiejszym losowaniu?
– Tak, szanowny panie. Takiej kumulacji jeszcze nie było – odpowiedział podekscytowany gracz. – Stawaj pan, to szybko idzie, a spróbować warto – namawiał nieznajomy.

Może i ma rację, głupio byłoby nie skorzystać – przyznałem. Czasu trochę mam, chwilę mogę postać. „Kto nie gra, nie wygrywa". Kilka złotych poświęcę na zakłady, strata niewielka, chociaż szansa też – zdawałem sobie sprawę, ale co tam, może właśnie dzisiaj bogowie będą mi sprzyjać, albo szczęście się do mnie uśmiechnie. Zawierzyłem przeznaczeniu. Pieniądze, które mam i tak najprawdopodobniej utopię w kieszeni Bachusa. Co mi szkodzi spróbować, wypiję o jedną lufkę mniej, co będzie z korzyścią dla mnie i dla mojego zdrowia. Ustawiłem się karnie w kolejce i czekam. Ludzie, jak to ludzie, rozmawiają o tym i owym, ale przeważnie na temat wygranej. Co to by zrobili z taką forsą? Czego by nie dokonali! Na co przeznaczyliby taką kasę, itd.? Potrzeby ludzkie są nieograniczone, ale wszyscy mają podobne. Postałem jeszcze kilka minut, aż padło na mnie. Zawinszowałem sobie sześć zakładów na chybił trafił. Ślepy los niech zdecyduje, przecież sprawiedliwość jest ślepa, a jaka by to była sprawiedliwość gdyby wygrał ktoś inny, a nie ja? – naiwnie zawierzyłem Temidzie.

Zadowolony z siebie i dobrze ulokowanego kapitału udałem się w kierunku knajpy. Nie ukrywam, że po drodze też zacząłem fantazjować na temat hipotetycznej fortuny, jaka przypadłaby mi w wyniku ewentualnego uśmiechu losu. Jak bym ją spożytkował!? – Hmmm – zastanawiałem się chwilę. Dom, samochód, wyjazdy, rodzina… Ooo rodzina – przypomniałem sobie o najbliższych. Może gdybym zaświecił im złotem w oczy wróciliby do mnie? Ale co mi po takim powrocie – uzmysłowiłem sobie. Jeżeli mieliby wrócić tylko dlatego, że oto jakimś dziwnym zrządzeniem losu wygrałem masę pieniędzy, to ja to chromolę, ja tak nie chcę – założyłem a priori. Na takich i tym podobnych przemyśliwaniach upłynęła mi pozostała część marszruty.

Impreza jak impreza, podobna do wielu poprzednich, nic szczególnego. To samo towarzystwo, te same tematy wałkowane na różne sposoby, te same trunki. Po jasną cholerę ja tu przychodzę – pomyślałem znudzony. Wystarczy nagrać sobie takie standardowe spotkanie, odtworzyć w domu i sprawa załatwiona To jednak nie byłoby to. Jest jeszcze atmosfera, a jej żadne urządzenia, żadne środki techniczne w domu nie stworzą. I chociażby po to warto wybrać się do knajpy – znalazłem wytłumaczenie dla swoich słabości.

Wieczór, jak co dzień. Wyżłopaliśmy po kilka browarków, potem kilka głębszych, odbyliśmy kilka bitew, parę potyczek słownych. Nie omieszkaliśmy również wspomnieć o gigantycznej wygranej w LOTTO, ale kto by tam sobie głowę zawracał takimi pierdołami. Ja żeby nie wyjść na naiwniaka nie wychyliłem się z informacją, że oto jestem dumnym posiadaczem kuponu z sześcioma zakładami. Zanim się obejrzeliśmy wybiła północ. Właśnie mieliśmy poruszyć najważniejszy i najwdzięczniejszy temat dla każdego mężczyzny jakim są kobiety, gdy przed naszym stolikiem wyrosła, niczym spod ziemi, kobieta, barmanka, która grzecznie, aczkolwiek stanowczo, dziękując nam za wzbogacenie kasy firmy, zapraszała na dzień następny. Sprzeciwów nie przyjmowała. Lekko zdziwieni i nieco rozczarowani, że to już koniec spotkania opuściliśmy lokal.

Cóż było począć? Pora wracać do domu – zdecydowałem ze smutkiem. Wieczór taki piękny więc wybrałem piechotkę. Bliski memu sercu, znajomy tropiciel węży, nauczył mnie niezawodnego sposobu za pomocą, którego bezpiecznie mogłem dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Droga, co prawda, bywała zazwyczaj dłuższa, bo kręta, ale niezawodna i o wiele ciekawsza. Nie spuszczając gadziny z oczu, zachowując wszelkie środki ostrożności, stosując się do żelaznych zasad tropicieli, zbliżałem się do rodzinnego gniazda. Już „byłem w ogródku", gdy poczułem nieodpartą potrzebę zapalenia papierosa. Przypalam i przypalam, ale wiatr konsekwentnie uniemożliwia mi spełnienie mojej zachcianki. Wypiąłem się więc na wiatr i dopiąłem swego. Zadowolony z siebie, zaciągnąłem się utęsknionym dymkiem i pomaszerowałem raźno przed siebie. Jak to się stało, nie wiem do dziś, ale wąż, meandrując sobie tylko znanymi ścieżkami, wyprowadził mnie w pole. Po trudnym do sprecyzowania okresie czasu, zacząłem kumać, że coś jest nie tak. Nie rozumiejąc ani sytuacji, ani swojego położenia zacytowałem strofy wiersza Staffa – *„Widzisz już pole – tu miasto się kończy"*.

Gdzie popełniłem błąd i na czym polegał? – długo by opowiadać. Kiedy przejrzałem na oczy zdecydowałem. Idę w stronę świateł wielkiego miasta. Czas, spacer i wiatr wywiał mi z głowy resztki „poszumu fal". Przyjmując za drogowskaz palące się w oddali latarnie, z każdą minutą zbliżałem się do upragnionego punktu „B", do „cywilizacji". Odważnie kroczyłem w stronę jaśniejszej części nocy, z nadzieją, że znajdę tam jakąś pomoc. Nie liczyłem na wiele, ale nie byłem przecież na bezludnej wyspie. Wystarczyłoby, żeby ktoś życzliwy wskazał mi kierunek dalszej marszruty. Nabrawszy otuchy w serce, wielkimi krokami zbliżałem się do ludzkich siedzib. Światełko i muzyka płynąca z oddali wskazały mi drogę. *„Tam, gdzie jest muzyka, nie może być złych ludzi"* – przypomniałem sobie jakieś rosyjskie powiedzenie.

Jedno oświetlone podwórko, muzyka ryczy na cały głos, wokół ogniska

kilka osób podryguje w takt piosenki *„Majteczki w kropeczki"*.

Oho – pomyślałem, wielbiciele disco-polo. Czego można się po nich spodziewać? Zebrałem się w sobie i pukam. Wchodzę nieśmiało po prośbie. Przyjęli mnie i owszem – gościnnie. Zaprosili do stołu – poczęstowali „czym chata bogata". Cztery dziewczyny, czterech chłopaków – ot, zwyczajna rzecz w letni wieczór – pomyślałem. Z początku towarzystwo sprawiało sympatyczne wrażenie, ale wprost proporcjonalnie do ilości wypijanego alkoholu zachowanie niektórych mężczyzn zaczęło przybierać arogancki charakter. Lampka bezpieczeństwa natychmiast się zajarzyła. Pora spadać – pomyślałem. Wstałem od stołu i dziękując gospodarzom za gościnę skierowałem swe kroki ku wyjściu. Dziwne spojrzenia męskiej części towarzystwa z lekka mnie zaniepokoiły, ale nie dałem nic po sobie poznać.

– A dokąd to staruszku? Płacić trzeba. U nas nie ma nic za darmo – oznajmił jeden z bardziej krewkich uczestników nocnej biesiady.

– Wybaczcie państwo, ale ostatnie grosze zostawiłem w knajpie, sami rozumiecie – próbowałem uzmysłowić im swoje trudne położenie, – jestem spłukany. Może nadarzy się okazja, to wyrównamy rachunki – odrzekłem.

– Rachunki to my wyrównamy tu i teraz, natychmiast – rzucił jakiś zadziorny młodzian, doskakując do mnie i chwytając za bark. Na grzbiecie jego dłoni wytatuowana kobra czaiła się do zadania śmiertelnego ukąszenia.

Żeby nie wszczynać awantury, która wisiała w powietrzu energicznym ruchem zdjąłem zaczepną dłoń napastnika. Odwróciłem się doń i wówczas wzrok nasz skrzyżował się, dając sygnał do pojedynku. Bijatyka była na wyciągnięcie pięści, a w powietrzu zapachniało krwią.

– Jeszcze raz powtarzam – jeżeli nadarzy się okazja, na pewno nie omieszkam zrewanżować się za tak miłe przyjęcie, ale teraz jestem bez grosza – oznajmiłem chłodno po raz wtóry.

– To nie trzeba było pić, jak wiedziałeś, że nie masz czym zapłacić, przybłędo – gość najwyraźniej szukał zwady.

Na szczęście dla mnie, w ostatniej chwili, jedna z trzeźwiejszych dziewcząt podeszła do napastnika prosząc żeby sobie odpuścił. Ten niechętnie, ale dał się przekonać. Trudno było mu oprzeć się jej wdziękom. Odstąpił złorzecząc na odchodne.

Jakoś się udało, a było tak blisko – pomyślałem uszczęśliwiony opuszczając „gościnne" progi posesji. Przeszedłem kilkaset metrów, gdy usłyszałem za sobą ryk silnika zarzynanego samochodu. A jednak się nie udało – uświadomiłem sobie i zdałem się po raz kolejny tego dnia na łaskę opaczności.

Z piskiem opon zatrzymało się przy mnie auto i wysiadło – co ja mówię wysiadło – wytoczyło się z niego czterech osi(o)łków.

– A dokąd to dziadku popierdalasz o tak późnej porze? Z pewnością babcia czeka

na ciebie z kolacją, a ty w lesie. Oj, rozczarowujesz ty swoją ukochaną stary pierdzielu, a to nieładnie – szydzą sobie.
Gorzałka uczyniła ze mnie bohatera, bo i tak wiedziałem, że wpierdol jest obligatoryjny, więc odpowiedziałem.
– Wracam właśnie od waszych matek i mam nadzieję, że wasze rodzeństwo nie będzie takimi zasrańcami, jak wy.

Nie muszę chyba opisywać, co działo się później – przy „przyjdź królestwo twoje" zobaczyłem ciemność. Zawsze pamiętałem, żeby nie iść w stronę światła, bo to najczęściej wycieczka z biletem w jedną stronę. Jasność ujrzałem jak najbardziej, ale dużo później na sali pooperacyjnej. Co mi dolegało, długo by opowiadać, ale jakimś szczęśliwym zrządzeniem losu, bez mała cudem, po kilkumiesięcznym pobycie w szpitalu, lekarze naprawili mnie na tyle, że wreszcie mogłem powrócić w gościnne progi mojego mieszkania i na łono rodziny.

Rozdział II

Już od dawna nie układało się między nami, więc rzadkie wizyty żony w szpitalu nie robiły na mnie większego wrażenia, chociaż serce bolało. Podświadomie czułem, że coś jest nie tak, coś wisi w powietrzu, lecz to coś dotknęło mnie dopiero po powrocie do domu. Kobieta, nawet jak jej nie ma to może unieszczęśliwić mężczyznę.

Pustka, bezdenna pustka i głucha cisza. Sam, teraz sam – pomyślałem. Teraz, kiedy potrzebuję pomocy i wsparcia – krzyczała dusza udręczona. Stałem osłupiały w przedpokoju, nie mogąc pogodzić się z brutalną rzeczywistością. W jednej chwili cały mój dotychczasowy świat runął. Wszystkie baby to jednak ch...je – stwierdziłem ze smutkiem i złością.

Serce mi wyrwała ta mała
A choć była tak mała
To do serca dostała.

Cóż trzeba będzie się przyzwyczaić, pogodzić i zapomnieć. Ale jak można zapomnieć o kimś, z kim jeszcze niedawno oddychało się jednym powietrzem? Niewielka torebeczka, którą trzymałem w dłoni wymsknęła mi się z ręki, sam zaś bezwiednie osunąłem się na podłogę, albowiem niczego w przedpokoju nie było. Nieprzytomnym wzrokiem powiodłem po mieszkaniu. Pustka i samotność czterech ścian, która wprowadziła się wraz ze mną, a której nic nie było w stanie wypełnić, stała się nieodłączną towarzyszką mojej egzystencji. Jak radzić sobie ze swoją samotnością? Za wcześnie przyszła. Nie zgadzam się z tym! – głośno protestowałem. Zostałem sam – powoli docierała do mnie ta

brutalna, okrutna prawda. Przecież już od dawna byłem sam, a to co zastałem jest tylko urzeczywistnieniem tego faktu – uzmysłowiłem sobie. Powiadają, że „cierpienie uszlachetnia", ale ja, do cholery jasnej, wcale nie pragnę być aż tak bardzo szlachetny. Jak mam teraz żyć? – zastanawiałem się. Co dalej?

Jeszcze raz się ubiorę
Jeszcze raz się ogolę
Jeszcze raz założę maskę
I zasnę.

Różne myśli targały moim rozdartym na strzępy wnętrzem, byłem bliski zrobienia czegoś czego skutków nie dałoby się cofnąć. Płakałem i to był mój płacz. Nikt go nie zobaczy – przyrzekłem sobie. Niech te łzy leją się do mego pustego wnętrza, aż w końcu zatopią pęknięte, dziurawe serce i ukoją ból. Trochę czasu musiało upłynąć zanim zdołałem się pozbierać. A muszę przyznać, że nie było to łatwe zadanie. Pierwsze dni spędziłem w łóżku na rozmyślaniach nie jedząc, ani nie pijąc. Skoro tak musi być, to trudno, niech tak będzie – podjąłem męską decyzję. Pogodzony z losem, z wolna zacząłem wracać do życia.

Sam w tej norze mam siedzieć
I nic o bożym świecie nie wiedzieć
I nie cieszyć się słońcem
Choć są wyspy gorące
I ponoć są plamy na słońcu.

Stary telewizor, który łaskawie pozostawiła mi eksmałżonka, na szczęście działał. Długo nie oglądałem telewizji, albowiem na sali, mojego jak mi się wówczas wydawało „wiecznego spoczynku", nie było takiej możliwości. Po powrocie zaś do pustelni nie miałem na to najmniejszej ochoty. Co mnie obchodzą te wszystkie obce mi sprawy. One są tak daleko, dotyczą nieznanych mi ludzi, a ja tutaj cierpię. Czy kogoś obchodzi moje cierpienie?

Kiedy już otrząsnąłem się nieco z apatii, lecz ciągle wbrew pozorom nieposkładany, próbowałem zająć czymś myśli. Co ciekawego wydarzyło się ostatnimi czasy na tym łez padole? Kilka miesięcy wyrwane z życiorysu to katastrofa. Hibernatus tak by się nie zdziwił jak ja się zdziwiłem zmianami, które zaszły w kraju i na świecie w czasie gdy walczyłem o życie. Jak przez mgłę pamiętam fakt, że nasz kraj organizował Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej. Coś sobie przypominam. Pamiętam, że były jakieś przejściowe kłopoty ze zbudowaniem reprezentacji narodowej. Jakieś zawirowania z budową stadionów, jakieś trudności z budową autostrad, lotnisk i dworców. Ale teraz to wszystko

nieważne, to już przeszłość.

Ciekaw jestem, czym to się skończyło? Drżącym palcem wskazującym przyciskam klawisz pilota. Z niecierpliwością czekam, aż coś ukaże się na ekranie telewizora... No nie, kurwa, tylko nie „Moda na sukces". Zdegustowany przełączam na inny program. Są wiadomości. Różne bieżące sprawy, o których nie miałem zielonego pojęcia. A co z EURO? – pytam. Próżno czekałem odpowiedzi. Trzeba będzie poszukać w internecie. Już miałem użyć palca, do ponownej zmiany programu, gdy na ekranie pojawiła się przecudnej urody spikerka, zwracająca się z apelem do posiadacza kuponu LOTTO z rekordową wygraną. Coś tam, że termin upływa jutro i że wygrana przepadnie itp. Ot, niektórzy to mają szczęście – pomyślałem, ale żeby takiej kasy nie odebrać?

Wyłączyłem telewizor i zabrałem się za porządki – bo czas był ku temu najwyższy. Chęci miałem dobre. Ale sprzątanie to nie moja domena. Tym bardziej, że na szczocie ostatni raz siedziałem w wojsku i to najwyraźniej wspomnienia z tego okresu wpłynęły na mój stosunek do tych domowych, prozaicznych czynności. Porzuciłem sprzątanie i zabrałem się za pranie. Żadna mi to filozofia. Wrzucam łachy, a resztę robi za ciebie to ustrojstwo – wykoncypowałem. Banalnie proste. Wsad miałem przygotowany już od kilku miesięcy, więc z tą czynnością poradziłem sobie perfekcyjnie. Różnymi gałkami wystającymi z pralki pokręciłem trochę w prawo, trochę w lewo i poszło.

Zadowolony z siebie, walnąłem się na łóżko. Włączyłem telewizor i oglądam – poznaję świat na nowo. Po kilkunastu minutach oglądania, na ekranie telewizora ponownie pojawiła się ta ładna, od tego poszukiwanego szczęściarza i klepie tę swoją wyuczoną regułkę. *Szanowni państwo jutro mija termin odbioru rekordowej wygranej w LOTTO*, itd. Nie znajdą gościa – założyłem. Musiał ukryć się gdzieś w ciepłych krajach i czeka aż go amnestia obejmie – ha, ha. Pstryknąłem kilka razy tu i tam, aż trafiłem na program informacyjny. No wreszcie dowiem się czegoś o EURO. Z nadzieją w sercu poprawiłem się na posłaniu i z zaciekawieniem zacząłem spijać słowa z ust redaktora prowadzącego program. Mimo, że to była powtórka – dla mnie jednak pierwszyzna – słuchałem jak zauroczony. Gośćmi programu byli premier, minister sportu, gospodarki i infrastruktury oraz szef PZPN. Serce mi rosło jak słuchałem wypowiedzi wszystkich naraz i każdego z osobna. Że taki sukces, że mimo wcześniejszych, mało optymistycznych prognoz cała impreza udała się w stu procentach. Tym wszystkim malkontentom i niedowiarkom daliśmy prztyczka w nos. Stadiony stoją, drogi się rozjeżdżają, lotniska rozłażą, a drużyna, no takiej to nie mieliśmy, od króla Ćwieczka.

No to niby jak to się skończyło? – zniecierpliwiony pytam siebie, bo te wszystkie wypowiedzi są jakieś takie pokrętne, dwuznaczne, takie enigmatyczne. Naraz głos zabrał prezes. Chyba czytał w moich myślach i w trybie doraźnym

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Białej Podlaskiej

chciał zaspokoić moją ciekawość.

– *Było dobrze, ale to tylko preludium do czegoś większego. Kolejną imprezę to tak rozegramy, że ludzie po wsze czasy wspominać będą, że czegoś takiego to jak świat światem – nie widzieli.*

Zadrżałem z przerażenia i tylko ostatkiem sił zdołałem zawołać: „Boże chroń Polskę"!

Zlany potem ocknąłem się w przesiąkniętym na wskroś posłaniu. Telewizor ciągle grał, ale teraz program był o człekokształtnych. Tym to łatwiej jest na świecie, przynajmniej w piłkę grać nie muszą – zauważyłem z przekąsem.

Poleżałem jeszcze chwilę, gdy do moich uszu dotarł przeraźliwy łoskot dobiegający z łazienki. A, to moje pranie – uprzytomniłem sobie. Wchodzę do łazienki i cóż widzę? Pralka tańczy jakiś murzyński taniec, że aż podłoga drży. Wyłączyłem to piekielne urządzenie i dawaj wyciągać ubrania. Jakoś wyjątkowo dobrze odwirowane. Nic dziwnego skoro tak dobrze tańczy. Patrzcie ludzie, ruska, a jaka praktyczna – stwierdziłem. Mimo, że manele były prawie suche, rozwiesiłem je na suszarce, a następnie zabrałem się do przygotowania posiłku, bowiem czas był najwyższy. Gdy przypomnę sobie, czym karmili mnie przez ten cały czas pobytu w szpitalu, to dochodzę do wniosku, że najsmaczniejsze były kroplówki. Zaglądam do lodówki i cóż widzę? Czego ja naiwny mogłem się spodziewać? Pustki. Ha! Jak to dobrze, że ta pralka jest taka funkcjonalna – pochwaliłem stare urządzenie. Raz, dwa założyłem czyste ciuszki i taki świeżuteńki, pachnący pomknąłem do sklepu na zakupy.

W iście sprinterskim tempie przemknąłem między półkami wrzucając do koszyka jedynie najpotrzebniejsze produkty. Na moment zatrzymałem się przy stoisku monopolowym. Przez krótką chwilę wahałem się czy powinienem? Przecież należy mi się coś od życia, odrobina lekarstwa na mą udręczoną duszę – usprawiedliwiałem się. Z koszykiem wypełnionym odpowiednimi artykułami spożywczymi ustawiłem się w niewielkiej kolejce i czekam. Po kilku chwilach spędzonych w ogonku do kasy, zauważyłem, że ludzie najwyraźniej stronią ode mnie. Może w jakieś gówno wdepnąłem. Będę miał szczęście – zażartowałem w duchu. Strugam wariata, robię durne miny, ale smród z każdą chwilą nasila się coraz bardziej. Nie było, niestety, na kogo zwalić odpowiedzialności za zatrute powietrze, bowiem przede mną i za mną powstała duża przerwa. W autobusie jak ktoś puści bąka, to anonimowo. Wszyscy wąchają, ale zidentyfikować sprawcy nie ma szans. A tu, co? – przyłapany na gorącym uczynku. Ale co jest grane? – zaczynam zachodzić w głowę i to już całkiem na poważnie. Ukradkiem podnoszę jedną nogę, potem drugą i cóż widzę? Wbrew pozorom nie na podeszwie, lecz na nogawce dostrzegłem wielką plamę. Może z gówna?... Nie wiem. A jeszcze przed kilkoma minutami, tak ją komplementowałem – pomyślałem z rozgoryczeniem i nie miałem na myśli niczego innego, jak tylko tę niezawodną

pralkę. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Tylko ZOMO prało na sucho. Do końca, z kamienną twarzą zniosłem upokorzenie. Porwałem zakupy i jak wicher pomknąłem do mieszkania ciągnąc za sobą, jak na łańcuchu smród i wstyd.

Wściekły na siebie, na pralkę i na swój parszywy los zabrałem się do ponownego prania zapominając o głodzie, za to ciągle pamiętając o smrodzie i wstydzie. Na pierwszy ogień poszły te nieszczęsne spodnie. Już miałem wrzucić je w czeluści pralki, gdy coś zadzwoniło w kieszeni. Podstawowa zasada każdego szopa pracza – przypomniałem sobie poniewczasie, to sprawdzić zawartość kieszeni. Widocznie jakieś drobne z zakupów. Szybko zlokalizowałem moniaki. Z kieszeni wyciągnąłem kilka drobniaków, a wraz z nimi jakiś zwitek papieru. Nie był to bilet NBP, więc nie przedstawiał dla mnie żadnej wartości. Całą zdobycz położyłem na blacie pralki, po czym przystąpiłem do ponownego uzupełniana wsadu. Wychodząc z łazienki zabrałem bilon, zwitek zaś odruchowo wrzuciłem do kosza stojącego w rogu łazienki.

Wreszcie mogłem pomyśleć o potrzebach nadwątlonego chorobą organizmu, ale wcześniej odczułem nieodpartą potrzebę odwiedzenia toalety. Stojąc nad sedesem i spoglądając w dół powiedziałem z goryczą w głosie do wieloletniego partnera uciech cielesnych – przyzwyczajaj się, teraz tylko do tego będziesz mi potrzebny. Temu na dole, przypomniały się lepsze czasy, kiedy to zdarzało mu się kierować życiem właściciela, ale to już przeszłość – stwierdził ze smutkiem. Obaj, lekko wstrząśnięci, udaliśmy się do kuchni przygotować coś do jedzenia.

Po uczcie na którą ze wszech miar zasłużyłem, zakrapianej sporą ilością alkoholu w celu uśmierzenia bólu bezgranicznej samotności i wypełnienia wewnętrznej pustki, oddałem się ponownemu poznawaniu najbliższej historii naszej planety. Długa przerwa w degustacji wyrobów krajowego monopolu spirytusowego sprawiła, że nader szybko odczułem jego przemożny wpływ na mój wynędzniały organizm. Automatycznie biegałem palcami po klawiaturze pilota, nie zatrzymując się dłużej na żadnej ze stacji. Po raz kolejny usłyszałem mimochodem błagalny apel spikerki wygłaszany do nieświadomego swojego szczęścia posiadacza wygrywającego kuponu LOTTO.

– *Jutro o północy upływa termin odbioru rekordowej wygranej w losowaniu z dnia* itd.

Cóż złego mogło przytrafić się temu cholernemu farciarzowi, że nie zgarnia takiego szmalu? Pewnikiem nie żyje – dedukowałem. Zgubił kupon – inny wariant. A może po prostu nie ma zielonego pojęcia o wygranej, co w zaistniałej sytuacji wydawało się najbardziej prawdopodobne. Wysłał zakład spontanicznie, przypadkowo, dajmy na to po pijaku i całkowicie o tym zapomniał. Nie daj Boże, jak obudzi się z ręką w nocniku, bo w takiej sytuacji nie pozostaje nic innego jeno sznur, albo na tory – złowieszczyłem. Bodajby nieszczęśnik żadnym sposobem

o tym się nie dowiedział.

Czemu to ja nigdy nie grałem w LOTTO? –zadałem sobie pytanie. Nienawidzę hazardu – szybko odpowiedziałem pytającemu. Ponadto, jak mówi przysłowie „kto ma szczęście w kartach …". W tej drugiej części porzekadła, wiodło mi się znacznie lepiej. Kto ustanawia takie durne prawa? – zapytałem z wyrzutem. Cóż złego byłoby w tym, by mieć jedno i drugie? Byłoby tak pięknie – rozmarzyłem się na dobre. Tyle szmalu. Ciekawe jak to jest wygrać takie pieniądze? Jaka jest reakcja osoby, która dowiaduje się o wielkiej wygranej? – zastanawiałem się. Osoba o słabej konstrukcji psychicznej z wrażenia od razu mogłaby postradać wszystkie klepki, jeżeli oczywiście wcześniej serce nie stanie – pomyślałem z obawą o losy nieszczęśnika. Kiedy już człowiek oswoi się z tą myślą, nasuwa się kolejne pytanie – jak to spożytkować? I jeszcze kolejne, jak ukryć przed zawistnym wzrokiem ludzi, przed światem taki majątek? Przecież jak taka informacja wyjdzie na jaw, to już koniec. Wszyscy zlecą się jak sępy, poczynając od najdalszej rodziny, poprzez przyjaciół, tych prawdziwych i tych pseudo, kończąc na ciemnych typach różnego autoramentu. O ja cię nie przepraszam, to jakaś masakra!

Już znalazłem odpowiedź na pytanie – czemu gość się nie zgłasza? Wizja przyszłości go przytłacza, może nawet przeraża. Chce uniknąć tych wszystkich zawirowań związanych z posiadaniem tak wielkich pieniędzy. Mądry facet – pochwaliłem dalekowzroczność szczęściarza – nieszczęśnika. Szczerze przyznam, że nie wiem czemu z góry założyłem, że główna wygrana przypadła mężczyźnie. Nieważne! W gruncie rzeczy to i tak najbardziej na tym trafieniu skorzysta kobieta. *„Gdyby nie było kobiet, wszystkie pieniądze świata nie miałyby żadnego znaczenia"*. Po cóż mężczyźnie bogactwo, jeżeli nie może nim uszczęśliwiać swojej wybranki? *„Szczęście wszak, jest jedyną rzeczą, którą dzieląc mnożysz"* – przypomniałem sobie. Jakże pięknie byłoby tak przyjść do ukochanej i rzucić jej pod nogi cały świat – oczami wyobraźni już widziałem tę cudowną chwilę. Ale ja nie mam ukochanej – przypomniałem sobie, a ta którą miałem, nie zasługiwała na taki luksus.

Marząc o niebieskich migdałach, niepostrzeżenie zapadałem w sen. Ostatnimi słowami, jakie zapamiętałem, były … *„jutro mija ostatni dzień"*.

Rozdział III

Niespokojna była to noc. Sen mieszał się z jawą. Przechowywane w podświadomości wydarzenia, majaki senne oraz dodatkowe bodźce płynące z grającego w tle telewizora, wzmocnione sporą dawką alkoholu, stworzyły jakiś surrealistyczny byt, którego głównym bohaterem byłem ja. Miałem przedziwne wrażenie, jakobym z jednej strony był jego aktywnym uczestnikiem, z drugiej

zaś biernym obserwatorem. Byłem reżyserem i jednocześnie aktorem jakiegoś psychodelicznego spektaklu, którego akcja toczyła się wszędzie i nigdzie. Obrazy, obrazy, obrazy – niczym ze sobą nie powiązane wydarzenia i jakieś jaskrawe światło ciągle pulsujące w mojej głowie. Nie miało znaczenia czy otwierałem, czy zamykałem powieki, światło ciągle błyskało.

Olśnienie przyszło nagle. Zrywam się, biegnę po omacku do łazienki. Po drodze zaczepiam boleśnie stopą o komódkę stojącą w przedpokoju o mało jej nie przewracając. Palce bolą jak cholera – kto wie czy nie połamane? – nie ma czasu na zastanawianie się. Pal licho palce jak sprawa idzie o życie.

Kosz, kosz, gdzie jest ten pieprzony kosz? Stoi. Wysypuję zawartość na podłogę i grzebię nerwowo w śmieciach. Nie to, nie to. Jest, jest jakiś mały, zmiętolony zwitek papieru. Serce wali z podniecenia – czy to na pewno to? Rozkładam karteczkę – bingo. Teraz tylko numery – jakie były te cholerne numery? Skąd mam wiedzieć, przecież do diabła nie uczyłem się ich na pamięć Zapieprzam rozemocjonowany przed telewizor po drodze obijając się o meble, które ktoś umyślnie postawił na mojej drodze do szczęścia. Łapię za pilota i skaczę po kanałach – gdzie ona była, gdzie ona była – szukam coraz bardziej nerwowo. Gdzie jesteś suko jak ciebie potrzebuję? – zacząłem tracić cierpliwość. Tyle pieprzyłaś o tej wygranej, a teraz, jak się ważą losy mojej przyszłości nagle zniknęłaś! Internet, tak internet, tylko internet może skrócić moje męki – wymyśliłem, cały rozdygotany.

Drżącymi z emocji palcami odpalam komputer. Ileż to będzie trwało? Czas dłuży się jak cholera. Jedna ikonka, druga i kolejne. W końcu otwiera się strona, ale gdzie szukać, gdzie szukać? Nie mogę pozbierać myśli, a że z informatyką nigdy nie byłem za pan brat, wszystko mi się we łbie pieprzy. Wracam do pilota. Gdzie ona była? Przepadła moja śliczna, ukochana, jedyna! Gdzie jesteś, wyłaź, albo cię siłą wyciągnę z tego pieprzonego pudełka! – krzyczałem. Zaraz. Spokój. A może usłyszała moje groźby i potraktowała je nazbyt serio i na wszelki wypadek zaszyła się na dobre w czeluściach piekieł?

Jak długo przeżywałem katusze? – nie wiem, gdyż nawet nie zauważyłem kiedy zrobiło się widno. Wyczerpany niewyobrażalnym napięciem, zrezygnowany zapadłem w sen.

Poranek przywitał mnie wspaniałą pogodą. Ptaszki kumkały, żabki śpiewały tylko ukochana ociągała się z pocałunkiem. A mogłoby być tak pięknie – pomyślałem. Słońce stało już wysoko na niebie, ptaszeczki nie przerywały koncertu, ja zaś, może nie do końca wyspany, ale w miarę rześki i pełen wigoru zabrałem się do szykowania śniadania. Kawka, jajeczniczka, pilocik i można zaczynać dzionek. Wielkich planów na rozpoczynający się dzień nie miałem, więc spokojnie zabrałem się do konsumpcji. Na lekkim kacu, ale wbrew pozorom w całkiem niezłym humorze włączyłem telewizor w celu nadrobienia

zaległości z wiedzy o społeczeństwie. Nie nadawali nic ciekawego, takie tam ogólne informacje z kraju i ze świata.

Aż tak bardzo nie wypadłem z obiegu – zauważyłem. Może nie wiedziałem o tym, czy owym, ale z grubsza rzecz biorąc ciągle byłem w temacie. Wszystko było dobrze, sielanka trwała. Śniadanko własnej produkcji smakowało jak nigdy, do czasu, kiedy na ekranie pojawiła się ona, ta cholera od tego pieprzonego LOTTO. No, szlag mnie o mało na miejscu nie trafił. Długo będzie jeszcze prześladować mnie to babsko – warknąłem lekko wkurzony, nie wiedzieć czemu, biorąc całe to wydarzenie bardzo osobiście. Pieprzy i pieprzy o tym LOTTO. Człowiek spokojnie śniadania zjeść nie może.

Pani najwyraźniej nie zwracała uwagi na mój stan emocjonalny i ciągnęła bez zająknięcia tym swoim słodkim, aczkolwiek beznamiętnym, głosikiem – *dzisiaj o północy upływa termin odbioru rekordowej wygranej w LOTTO. W losowaniu z dnia ... wygrane numery to...*

W głowie rozjaśniło mi się momentalnie. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Przypomniałem sobie przeżycia minionej nocy. Sen, jawa, maligna i diabli wiedzą, co tam jeszcze. Zamurowało mnie. Zrywam się z krzesła i biegnę z kuchni do sypialni. Szukam kuponu – nie ma. Przecież powinien tu być, sam go tu kładłem niedawno! Pretensje, pytania. Co jest kurwa, gdzie mój kupon? Miotam się po pokoju jak w jakimś amoku. Demoluję sypialnię, a losu jak nie było, tak nie ma. Rozjuszony do granic wytrzymałości rzuciłem się zrezygnowany na fotel. Kilka głębszych wdechów, krótka analiza sytuacji i pytanie – co to było? Emocje z wolna opadały, a kupon diabli wzięli. Jeszcze raz przeanalizowałem zdarzenie. Z kosza w łazience wyjąłem kupon, później próbowałem dowiedzieć się, jakie były liczby. Zaraz, zaraz – przypomniałem sobie. Kiedy przedzierałem się przez ciemności panujące w drodze do łazienki, wpadłem na szafkę stojącą w przedpokoju i ją przewróciłem. Lub przestawiłem – mniejsza. Wypadam z sypialni i cóż widzę – szafka, jak stała tak stoi, a rzekomo złamane palce też nie noszą śladów bliższego kontaktu z wyposażeniem mieszkania. Czyli to był tylko sen – pomyślałem. Rozczarowany, rozgoryczony, pozbawiony wszelkich złudzeń i nadziei powlokłem się do kuchni. Pomyśleć by: „przedziwne czasem sny się ma". A wszystko to było takie realne. Usiadłem na zydelku, dzionek nie wydawał się już taki piękny i jakby się zachmurzyło. Jajecznica stawała ością w gardle, chociaż skąd ości w jajecznicy? Cóż, nie ma co rozpaczać. Karawana musi iść dalej, chociaż było tak blisko – podświadomość nie dawała za wygraną. Przez chwilę czułem się jak zwycięzca i nagle rozczarowanie – totalna porażka. Jakoś muszę znieść kolejny cios w plecy zadany przez zdradziecki los. W tym momencie zdarzenie te traktowałem bardzo osobiście.

Do tej pory funkcjonowałem bez tych milionów, to i dalej trzeba będzie sobie radzić. Jakaś niewidzialna ręka bezlitośnie ściągnęła mnie z obłoków

na ziemię, do szarej, smutnej, rzeczywistości. Może wezmę zimny prysznic – pomyślałem – to mi na pewno dobrze zrobi.

Ciągle zrezygnowany, powlokłem swe żałosne dupsko do łazienki. Woda była naprawdę zimna. Parskałem, prychałem, czasami aż dech w piersiach zapierało, ale postanowiłem wybić sobie z głowy te mrzonki o wielkiej wygranej, „o lepszym świecie". Nie wiem, jak długo trwały te kat-tusze, ale godnie zniosłem „zimny prysznic".

Poranne ablucje, golenie, strzyżenie i znowu byłem gotów stawić czoła kolejnym wyzwaniom pokrętnego losu. Humorek jakby nieco się poprawił. O, ja niemądry – zaśmiałem się w duchu. Liczyłem na łatwy kawałek chleba, a tu figa z makiem, trzeba będzie obejść się smakiem.

Jak opowiem znajomym co mi się przytrafiło, to dopiero będzie ubaw. Jeszcze raz zerknąłem w lusterko, popukałem się wymownie w czoło i zadowolony z tego co ujrzałem zakręciłem pirueta na pięcie. Kosz stojący pod zlewem, niestety nie zdążył wykonać uniku. Wióry posypały się z pojemnika oraz jego zawartości. Do jasnej cholery, jeszcze tego brakowało? – poirytowany wymamrotałem do siebie. Nie będzie taki garbage psuł mi humoru – doszedłem do wniosku. Na moje szczęście kosz był na permanentnej diecie, jak jego pani, tylko czy ktoś go pytał o zgodę. Patyczki, waciki, pusty dezodorant i jakiś zgnieciony zwitek papieru. Nauczony od małego porządku, wszystkie te wytwory ludzkiego umysłu, wrzuciłem z powrotem w gardziel poszkodowanego, ale nad niewielkim świstkiem papieru zatrzymałem się.

Kartka papieru? Co tu robi kartka papieru? Zofia niepiśmienna przecież jest – przypomniałem sobie. Może jakaś niewygodna korespondencja – odezwała się we mnie dusza Sherloka. Rozwijam zwitek i co widzę? – kupon LOTTO. No nie! Kurwa!!! Drugi raz tego przerabiać nie będę! Szczypię się w policzki, po udach (tylko w jajka kopnąć się nie mogłem, bo już nie ta sprawność fizyczna) i nic – real.

Kupon jeszcze o niczym nie świadczy. Ale...? Ta sama procedura co poprzednio: pilot, internet, wyzwiska (bo przecież pani nie omieszkała zrobić sobie przerwy), palpitacje serca, pot z czoła i niepewność. Staram się przypomnieć sobie liczby, które spikerka przytaczała tyle razy, setki razy. Ale skąd? – pustka w głowie, czarna dziura. Zbyt wiele emocji. Szukam w zakamarkach pamięci, gdzieś tam głęboko w podświadomości, na twardym dysku. Może tam coś się zapisało? Żadnych efektów. Ostatkiem sił zmuszam nadwyrężone szare komórki do pracy. Z wolna, z otchłani zapomnienia wyłaniają się liczby. Niepewnym wzrokiem patrzę na zmiętolony zwitek: 4 – mam, 14 – mam. Dziura w pamięci. 34 – mam, Trójka pewna bo numery łatwe do zapamiętania, ale reszta? Nadzieje rozpalone do czerwoności, a czas biegnie. Która to godzina? – sprawdzam tak na wszelki wypadek. Zerkam na zegarek: 13^{13}. Włączony w kuchni przekaźnik

informacji właśnie zaczął szwankować. Przecież to kurwa nie Boże Narodzenie, a śnieży...! Biegnę do pokoju. Włączam drugi telewizor nie zwracając uwagi na łańcuch zdarzeń ciągnący się za mną, a tam moja ulubiona spikerka, swoim anielskim głosem, po raz kolejny ogłasza *Proszę państwa... podaję wygrane liczby* – pierwszą – mam, – drugą – mam, trzecią – mam. Razem z 34 mam czwórkę – szybko przeanalizowałem. *Kolejna liczba to 33* – o Boziuniu! Razem z 34 to już piątka – zauważyłem w przypływie geniuszu. Liczbę 34 przyjąłem bez większych emocji, pomijając fakt, że na chwilę zapadły ciemności. I teraz, ta ostatnia liczba – spikerka zakończyła wyliczankę. Już ją znam, lecz trzymam ukrytą pod palcem i nie mam odwagi sprawdzić. Jeżeli trafiłem, to czekają na mnie miliony i nieopisane szczęście. Jeżeli nie, to za piątkę też kilka groszy wpadnie – pocieszam się. Tak czy owak będę wygranym.

Ale czy na pewno...? Czy jestem gotowy na porażkę? – zastanawiam się. Czy będę w stanie poradzić sobie ze świadomością ewentualnej klęski? – rozważam. Wieczne wspomnienie przegranej mogłoby pogrążyć mnie dożywotnio. Zostało tylko 15 liczb, a wśród nich ta jedna, jedyna, wymarzona – ta, której imię znam już niemal od wieków, to – czterdzieści i cztery. Liczba już sama w sobie bardzo symboliczna. Nie wiadomo co, lub kogo, autor miał na myśli, pisząc – *„Z matki obcej, krew jego dawne bohatery. A imię jego czterdzieści i cztery"*. Szukam w głowie jakichś konotacji z liczbą 44. Mam, do diabła, mam, 88 podzielić przez 2 daje 44. Nie, to chyba nie do końca o to chodziło – zreflektowałem się. Ciągle biję się z myślami, bowiem emocje są zbyt duże, żebym mógł przeprowadzić chłodną kalkulację. Ostatni wysiłek strzępów szarych komórek i wreszcie wymyśliłem. Który to dzisiaj mamy? Dziś są moje 44 -te urodziny. Całkiem o nich zapomniałem w ferworze zdarzeń ostatnich dni. A swoją drogą to dziwne, że nikt do tej pory nie zadzwonił? Czyżby wszyscy zapomnieli o starym kumplu? A rodzina, co z moimi najbliższymi. Pewnie zadzwonią później, albo szykują mi jakąś niespodziankę – cha, cha. Zobaczymy co ci wszyscy powiedzą kiedy dowiedzą się o mojej wygranej. Czy wtedy pamięć im wróci? – bo ja na pewno nie zapomnę...

Mając niemal 100 procent pewność wygranej, usuwam palec skrywający najgłębszą tajemnicę wszechświata. To, co pod nim ujrzałem spowodowało utratę kontaktu z rzeczywistością na kolejnych kilka godzin.

Natrętny dźwięk telefonu przywrócił mi świadomość i postawił na równe nogi. Zderzenie z realnym światem było bardzo bolesne. Rozbita i zakrwawiona głowa jednoznacznie świadczyła o jakimś dramatycznym zajściu, które miało miejsce w niedalekiej przeszłości. Podnoszę ręce do obolałej głowy i cóż widzę w kurczowo zaciśniętej dłoni? – kupon LOTTO. Już mi świta, już wszystko stało się jasne. Telefon zadzwonił ponownie. Rozentuzjazmowany odbieram połączenie i nie mogąc powstrzymać emocji dzielę się swoją radością

z pierwszym lepszym rozmówcą.
– Wygrałem, wygrałem! To ja jestem tym szczęśliwcem, o którym tyle gadają w telewizji – krzyczę do słuchawki.
– *Masz dwie nowe wiadomości*– zimny głos po drugiej stronie nawet nie zadrżał na wieść o tym sensacyjnym wydarzeniu. Po chwili, gdy udało mi się ochłonąć na tyle, żeby zacząć myśleć logicznie, zrozumiałem, że oto byłem bliski popełnienia największego błędu w życiu, niosącego za sobą brzemienne w skutkach konsekwencje. Gdybym się wygadał, to spełniłby się ten najczarniejszy scenariusz jaki wcześniej pisałem: znajomi, rodzina bliższa i dalsza, bandyci, itd. Dobrze Panie, że Ty zawsze czuwasz.

Która to godzina? – zaniepokoiłem się. Jak i skąd odebrać wygraną? – zacząłem myśleć racjonalnie. Znalazłem numer do kolektury LOTTO, w której poinstruowano mnie o trybie postępowania związanym z odbiorem większej wygranej. Specjalnie użyłem słowa „większej", bowiem przezornie nie miałem najmniejszego zamiaru z nikim (jak na razie) dzielić się tą wiadomością. Długo by opowiadać o zawiłościach procedur związanych z odbiorem wygranej. Zostałem milionerem i to jedynie liczyło się w całym, otaczającym mnie wszechświecie. Moja szczęśliwa gwiazda znowu zajaśniała na firmamencie.
W dniu moich urodzin, nieco zapomnianych przez ludzi, ale nie przez Najwyższego, narodziłem się po raz wtóry. Taki prezent, taki prezent – powtarzałem podnosząc w górę wzrok. Tylko Ty o mnie zawsze pamiętasz – dziękowałem za hojne dary. Ale co mam z nimi teraz zrobić? Jak wykorzystać? *Masz wolną wolę* – oznajmił wewnętrzny głos. *Tylko niczego tym razem nie spieprz* – uprzedzał przezornie. Obiecuję, obiecuję – padłem na kolana pełen pokory i wdzięczności.

Rozdział IV

Co czuje wygrany gdy dowiaduje się…? Odpowiedź już znam. Radość pomieszana z przerażeniem. Na bajeczną i szczęśliwą z pozoru przyszłość cieniem kładzie się strach przed konsekwencjami, jakie niesie za sobą ten szczęśliwy traf. Bezustannie dręczące umysł pytania. Co dalej? Jak żyć? – nie dawały spokoju, drążyły mózg, powracały jak natrętna mucha, wpędzając powoli w obsesję.

Odwieczny, egzystencjalny dylemat ludzkości – „mieć czy być? – ciągle pozostawał bez odpowiedzi. Jak wykorzystać ten niespodziewany uśmiech losu? Jak postąpić, żeby wszystkiego nie spieprzyć? Mówią, że „pieniądze szczęścia nie dają". Trele morele, więc czemu – pytam – wszyscy tak za nimi gonią, zapominając o imponderabiliach? Ileż to przerażających czynów, ileż okrucieństw dopuścili się ludzie na przestrzeni wieków, ileż krwi przelano, właśnie dla mamony?

W czarny obraz swych dni
Wkraczam skrycie
Za oknami wielki świat
Ale czy jest w nim jeszcze dla mnie życie?

A co będzie, jak źli ludzie dowiedzą się o moich milionach i jak przyjdą *„i nocą kolbami w drzwi załomocą"?* – wybiegałem myślami w przyszłość. Będą nękać, nachodzić, szantażować, wyłudzać, aż w końcu zabiją. Już widziałem siebie w trumnie leżącego w atłasach i złotogłowiu, a epitafium głosiło:

Tu spoczywa bogacz który
Był tchórzliwy już z natury
Choć pieniędzy miał bez liku
Wylądował na śmietniku.

To nie epitafium, to czyste szyderstwo. O losie okrutny, jak mogłeś tak ze mnie zadrwić! Czy już klamka zapadła i nie ma odwrotu? Jeszcze nie zacząłem żyć na konto tych dóbr doczesnych, a już znam zakończenie. Wyobraźnia napisała scenariusz przyszłości, który nie jawił się nazbyt różowo. To jakiś koszmar. Po co mi to było? – stwierdziłem z przerażeniem.

Takie i podobne myśli, kołacząc się po głowie, spędzały mi sen z powiek każdego dnia, a precyzyjniej będzie stwierdzić – każdej nocy.

Od chwili, kiedy dowiedziałem się, że jestem wybrańcem losu, rzadko wychodziłem z domu, a jeżeli już, to tylko na chwilę, przemykając chyłkiem między przechodniami, nie ważąc się podnieść wzroku powyżej ich kolan. A nuż wyczytają coś z moich oczu, a nuż czymś się zdradzę – myślałem. Przecież oni wszyscy tylko czekają na moje potknięcie, na moje pieniądze. Tak postrzegając rzeczywistość zdecydowałem się ograniczyć wyjścia do minimum. Przesiadując całymi dniami w mieszkaniu, samotny, opuszczony przez wszystkich, ale za to obrzydliwie bogaty, brnąłem w odmęty obłędu. Pan Bóg dał mi pieniądze, ale nie dał rozumu. Zadrwił sobie. Znowu byłem niezadowolony.

Na pewno łatwiej jest przyzwyczajać się do bogactwa stopniowo, aniżeli zderzyć się niespodzianie z tak „brutalną" rzeczywistością. Fortuna zakręciła kołem, uśmiechnęła się i jak grom z jasnego nieba walnęła na chybił trafił we mnie, istotę całkowicie nieprzygotowaną na takie zrządzenie losu.

Do diabła z tym, co mi po takim bogactwie? – Skarżyłem się Opatrzności. Skoro z obawy przed ludźmi, przed niepewną przyszłością, muszę pozostawać biedakiem, to po co mi taka fortuna. Dla własnego dobra nie mogę się ujawnić – kombinuję, nie mogę też nikogo wtajemniczyć, a tym bardziej zdradzić faktu, że to ja jestem tym, o którym trąbi cały kraj.

W miasteczku, z którego pochodzę, huczało od plotek, bo przecież w tajemnicy długo takiego faktu nie można było utrzymać, za co w myślach przeklinałem pismaków. Ale może powinienem być wdzięczny przedstawicielom czwartej władzy, że z imienia i nazwiska nie wyczytali mnie w głównym wydaniu wiadomości?! – stwierdziłem z przekąsem.

Przesiadując całymi dniami w domu, bijąc się z myślami, nakręcając spiralę obłędu, z każdym dniem byłem coraz bliższy rozstroju nerwowego. Resztkami zdrowego rozsądku, jaki mi jeszcze pozostał, postanowiłem zrobić coś w celu powstrzymania postępującego szaleństwa. Szybko musiałem podjąć odpowiednie kroki, aby rozwiać czarne chmury, które zawisły nade mną i do reszty przesłoniły mi świat.

Przeczekać, tak przeczekać, cierpliwie czekać, aż ludzie zapomną i znowu zaczną żyć swoim życiem, swoimi sprawami. Tylko jak długo czekać? Ile to jeszcze może potrwać? Żeby się tego dowiedzieć należało wysondować nastroje panujące w mieście, a co się z tym wiąże, musiałem opuścić swoją separatkę i wyjść do ludzi.

Zastanawiałem się kilka dni zanim podjąłem męską decyzję i udałem się na rozpoznanie terenu. Dawno niewidziany w towarzystwie wzbudziłem swego rodzaju sensację. Rutynowe pytania o wypadek, o zdrowie i takie tam, były na tyle bezpieczne, że mogłem spokojnie rozmawiać bez obawy, że się wygadam, że zdradzę swoją mroczną tajemnicę.

Alkoholu nie piłem, tłumacząc się kiepskim stanem zdrowia, co spotkało się z dużym zrozumieniem ze strony znajomych. Moja wymizerowana postać była najlepszym tego dowodem, ale ja, szczerze mówiąc, po prostu bałem się, że po pijaku mógłbym palnąć coś niepotrzebnie, nawet po herbacie z prądem. Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że skoro na trzeźwo język świerzbił mnie jak cholera – to co dopiero działoby się gdybym sobie chlapnął?

Rozmowy, jak to przy piwku, toczyły się na wiele różnych tematów: poczynając od sportu, poprzez politykę, kończąc na wydarzeniach towarzyskich. Już zaczynałem żywić cichą nadzieję, że o wygranej w LOTTO przestało się mówić i ludzie ponownie zaczęli żyć własnym życiem, ale niestety myliłem się. Ten temat wracał jak bumerang we wszystkich rozmowach. W trakcie każdego towarzyskiego spotkania, przy każdej nadarzającej się okazji, o czym za chwilę miałem przekonać się. W krótkiej przerwie, pomiędzy niezrozumiałymi dla mnie wątkami o żydomasonerii i negatywnych skutkach globalizacji, jeden ze znajomych, niespodzianie nawiązał do wspomnianego wydarzenia.

– A ty, Stefan, to na pewno nie wiesz, że w naszym mieście padła główna wygrana…? – Spokój prysł.

– Coś tam słyszałem – bąknąłem, bo głos uwiązł mi w gardle.

– A ty wyobraź sobie, że ten gość…

Wyobraźnia ludzka nie zna granic. Ludzie mieli różne teorie dotyczące szczęśliwego zwycięzcy: a to, że jakiś przyjezdny (przecież były wakacje), a to, że jakiś obcokrajowiec – najprawdopodobniej Żyd lub Murzyn, osoba pracująca za granicą, itp.

Jeden osobnik, będący pod dobrą już datą, pogalopował jeszcze dalej.

– Słyszałem z pewnego źródła – zrobił tajemniczą minę, że w poszukiwaniach kuponu pomagał znany jasnowidz. Obecni spojrzeli po sobie i parsknęli śmiechem.

– To jeszcze nie wszystko – kontynuował swoje rewelacje niespeszony niczym siewca plotek. – Śmiejecie się, a może wiecie czemu tak długo nie odbierał wygranej? Nie wiecie, a ja wiem.

– Jasnowidz ściemniał – podał powód ktoś z obecnych.

Padła kolejna salwa śmiechu.

– Czy pamiętacie, jak latem pracowali u nas Czukcze.

Tego było już za wiele, nawet dla najbardziej odpornych na ludzką głupotę.

– Chcesz powiedzieć, że to Czukcze zwinęli naszą kasę? – Zapytał ktoś inny podejmując grę.

– W samej rzeczy, i powiem więcej…

– Daruj proszę, chyba już wystarczająco dużo powiedziałeś – wykrztusił inny szyderca, dołączając do zaśmiewających się do rozpuku kolegów.

Kiedy już zakończył się chóralny śmiech, któryś z uczestników spotkania stwierdził nie bez kozery.

– Przecież jakaś musiała być przyczyna tego opóźnienia, tylko jaka? – To był klucz do rozwikłania zagadki.

Rozmowa zaczęła przybierać niebezpieczny kierunek, więc należało, jak najszybciej zmienić temat. Jeżeli ktoś skojarzy fakty, to już po mnie. A nie trzeba było geniusza, żeby połączyć je w całość. Na szczęście dla mnie, w oparach absurdu, dymu i alkoholu, kolegom nawet do głowy nie przyszło, żeby mnie umieścić w kręgu podejrzanych o wygraną. Już zręcznie próbowałem wkroczyć na wdzięczniejszy dla mnie temat, chociaż równie niebezpieczny, kiedy to ktoś zażartował sobie, a może w trosce o mój los powiedział.

– Ty kolego to w złym czasie korzystałeś z usług NFZ-etu, w przeciwnym bowiem razie też miałbyś szansę zostać tym szczęśliwcem, a tak z powodu wypadku zostałeś w nieludzki sposób pozbawiony tej możliwości.

– Co się stało to, się nie odstanie, – wymamrotałem pod nosem, zwalając winę na cholernego pecha.

Takim oto sposobem stałem się jedynym człowiekiem w mieście, którego nikt nie podejrzewał o tę nieszczęsną wygraną. A było tak blisko – pomyślałem wycierając ukradkiem pot z czoła.

Jeszcze kilka dni włóczyłem się po knajpkach, wpisując się na stałe w krajobraz lokalnych knajp, knajpeczek, szynków i barów mlecznych, stając się regularnym uczestnikiem pijackich libacji. Nie muszę dodawać, że ciągle wystrzegałem się alkoholu (albowiem wbrew pozorom, tenże mogą pić jedynie mądrzy ludzie, zwierzęta i głupcy powinni raczyć się wodą z kranu), przysłuchując się jedynie coraz bardziej fantastycznym opowieściom dotyczących pana X oraz losów pieniędzy, które wygrał.

Wyobraźcie sobie, że w owym czasie zbiorowej paranoi oraz wszędobylskiej podejrzliwości, zakup pary butów, a nawet dwóch drożdżówek mógł być poczytany za przejaw nadmiernej rozrzutności, czyli bogactwa.

Dni mijały, ja zaś z czasem tak okrzepłem i poczułem się na tyle bezpiecznie w swojej nowej roli, że pozwalałem sobie czasem na wychylenie kilku głębszych, czy też paru szklaneczek piwa, zawsze jednak pamiętając o twardych zasadach konspiracji. Muszę przyznać, że w duchu często podśmiewałem się z faktu, iż dzięki „szczęśliwemu" zbiegowi okoliczności, tak łatwo udało mi się wywieść wszystkich w pole i pozostawać bezpiecznie poza kręgiem podejrzanych.

Obracając się tu i tam nasłuchałem się wiele o podejmowanych działaniach, specjalnie powołanej „Społecznej Grupy Dochodzeniowo-Śledczej" (w skrócie SGDŚ), w celu zidentyfikowania tajemniczego obywatela. Co bardziej aktywni, lokalni działacze społeczni wystosowali okolicznościową odezwę do anonimowego zwycięzcy, zawierającą długą listę postulatów, potrzeb i oczekiwań środowiska. Pewnie, że coś należałoby zrobić dla miasta, ale tylu życzeń to i Św. Mikołaj nie byłby w stanie spełnić.

Czas płynął, a mieszkańcy miasteczka nie przestawali żyć emocjami, związanymi z wygraną. Należałoby zaryzykować twierdzenie, że nie tylko nie przestawali nią żyć, ale coraz bardziej się nakręcali. Początkowa życzliwość do szczęśliwca, z wolna zaczęła przeradzać się w niepohamowaną wprost nienawiść. Ogromne potrzeby, wszystkich razem oraz każdego z osobna, z każdym dniem rosły. Frustracja połączona z zawiścią wielu mieszkańcom spędzała sen z powiek.

Boże! Jak bardzo chciałem wykrzyczeć całemu światu – to ja jestem tym wybrańcem! To ja mam te pieniądze! – ale nie mogłem. Nie mogłem uchylić rąbka tajemnicy, nawet najbliższym, ciągle musiałem pozostawać anonimowym. Przecież zlinczowaliby mnie tylko za to, że tak wszystkich zwodziłem. Rozsądek stał ciągle na straży mojej bezpiecznej przyszłości i hamował emocje. Polacy wybaczyć mogą wiele krzywd, ale jednego nie darują nigdy – tego, że ci się poszczęściło, a im nie. Zawiść, zawiść, zawiść – to charakterystyczna cecha Polaków, to przywara, która towarzyszy temu narodowi od wieków. Nieprzypadkowo, przy polskim kotle „w polskim piekiełku" diabli nie potrzebują dozorcy. Polacy zrobią to lepiej i bez zapłaty.

Dni mijały, ja zaś całkowicie zrezygnowany i rozstrojony nerwowo, przestawałem cieszyć się wygraną. Dokuczliwe myśli kłębiące się bez przerwy pod czaszką, zawładnęły umysłem. Co tu wymyślić? Jak zacząć korzystać z pieniędzy, których mam pod dostatkiem, żeby nie paść się ich ofiarą? A jednak pieniądze szczęścia nie dają – odczułem to na własnej skórze. Po cholerę mi ta fortuna, jeżeli nie mam się z kim nią dzielić i cieszyć! Przecież radość z posiadania w pełni możemy odczuć jedynie wtedy, gdy dzielimy się nią z najbliższymi. Ale jak mam to uczynić? – zachodziłem w głowę. Zajść i powiedzieć – proszę, oto ode mnie miliony, pokochajcie mnie na nowo, bo jestem teraz bogaty. W tej sytuacji przydałoby się jakieś inne, makiaweliczne wręcz rozwiązanie, tylko jakie? Co robić?

Nie wiem kto mnie wysłuchał, ale pewnego dnia przyszedł mi do głowy pomysł. Jak ma być diaboliczne, to niech będzie – postanowiłem, uśmiechając się złowieszczo.

Mimo, że wyrwała mi połowę serca,
Te ciągle bolało jak całe.
Jeżeli pozbędę się drugiej połowy, będzie łatwiej.
Ciekawe, jak to jest być bez serca?

Właśnie podjąłem decyzję, dokonałem wyboru pod wpływem (dobrych lub złych) emocji.

„Respice finem" (*Rób swoje i czekaj końca*) – nieśmiało szepnął jakiś wewnętrzny głos. Zapowiada się ciekawa podróż, tylko co czeka u jej kresu!?

Rozdział V

Zofia, od kiedy wyprowadziła się ze wspólnego mieszkania, zamieszkała z dwojgiem dorastających dzieci, w wynajętym domu, na peryferiach miasta. Decyzja, jaką podjęła nie była łatwa, lecz z jej punktu widzenia jedyna rozsądna i konieczna. Wiele razy próbowała ratować małżeństwo, utrzymać rodzinę, łatać dziury, leczyć rany – wszystko na nic. Jej mąż Stefan, całe życie chodzący własnymi drogami, zaszedł tak daleko, że trudno mu było znaleźć drogę powrotną. Tak oddalił się od żony i rodziny, że w domu bywał coraz rzadszym gościem, co jak można się domyślić, nie wpływało pozytywnie na zacieśnianie partnerskich stosunków. Małżonkowie z każdym dniem oddalali się od siebie coraz bardziej, aż pewnego dnia Zofia powiedziała pas. Zdecydowała, że tak dłużej żyć nie będzie. Postanowiła wyprowadzić się z dziećmi do upatrzonej wcześniej starej willi na przedmieściach.

Dom, który nabyła, może nie spełniał wielu standardów współczesnego

budownictwa, ale miał jedną niezaprzeczalną zaletę – był jej własny! O tym zawsze marzyła i wreszcie miała, to, czego chciała. Była wolna i na swoim. Ten fakt podkreślała na każdym kroku, dając wszystkim do zrozumienia, że decyzja, którą podjęła, była niewątpliwie trudna, lecz ze wszech miar słuszna. W sytuacji w jakiej się znalazła wybrała mniejsze zło. Wolała zamieszkać w „ciasnym, ale własnym", aniżeli w obszernym, lecz mając u boku tego znienawidzonego, zohydzonego, nieodpowiedzialnego Stefana – uprzednio zwanego mężem oraz ojcem, teraz już tylko – ojcem.

Zofia, będąc od urodzenia zaradną istotą, raz, dwa uporała się z instalacją w nowym gniazdku, wykorzystując ku temu wszelkie możliwe sposoby oraz walory, jakimi obdarzyła ją natura. Dobrze korzystała z darów losu, bowiem efekt końcowy był imponujący. Do starego „strasznego dworu" powróciło życie.

Lecz dziwne było to mieszkanie, chociaż całkiem modern,
to z każdego kąta jakby – powiewało chłodem.
Może źle opalane, może, że narożne, może, że nieopodal stały dziewczyny przydrożne,
coś z nim było nie tak,
bo nawet gdy słońce
zaglądało do okien to zacz jednym końcem.
Była w tym zagadka lecz starzy sąsiedzi
doskonale wiedzieli co na rzeczy leży.
Miał ten dom tajemnicę, zapomnianą z czasem
lecz jego nazwa złowieszcza została
– był to „dom pod lasem".
Wszyscy tak go zwali
choć po lesie szumnym, pozostały jedynie – samotne kolumny.
Jedna z takich stała – dumna, rozłożysta
Na posesji Zofii – rzecz to oczywista.
O historii związanej z drzewem oraz domem
będzie później, bo go otacza tajemniczy omen.

Szybko zadomowiła się na wymarzonej posiadłości, czując, że w końcu jej życie zaczyna się normalizować. W pracy realizowała się, jak nigdzie indziej. Dzieci dorastały i sielanka trwałaby latami, gdyby nie fatalny splot zdarzeń, w wyniku którego została pozbawiona stałego źródła utrzymania. Firma, w której pracowała, w ciągu kilku miesięcy popadła w tarapaty finansowe, po czym zbankrutowała. Po miasteczku rozeszła się wieść, że to z powodu jakiegoś spisku, najprawdopodobniej żydo – masonów, chociaż krążyły też i inne wersje. Ponoć komuś bardzo zależało na przejęciu tego zakładu. Jakieś stare porachunki

mafijne – szeptano w mieście.

O takich praktykach słyszało się nieraz, ale żeby w takiej dziurze? – Nie chciano dać wiary. Jakież było zdziwienie tych wszystkich niedowiarków, gdy pewnego dnia, w mieście pojawił się biznesmen, który wykupił długi firmy, a następnie ją przejął.

Żeby uzdrowić kondycję zakładu, nowy zarządca, w imieniu właściciela, postanowił wprowadzić plan naprawczy. Rozpoczął od wypowiedzenia wszystkim zatrudnionym dotychczasowych warunków pracy (to taki eufemizm, kolokwialnie rzecz ujmując, wylał wszystkich pracowników na pysk). Zwolniona załoga podjęła strajk okupacyjny. Na przewodniczącego komitetu strajkowego wybrano nie kogo innego, jak właśnie Zofię Mocną. Mocna była mocna nie tylko z nazwiska. Miała mocny charakter i doskonale nadawała się do tej roli. Walcząc o przyszłość współpracowników, walczyła również o swoje „być albo nie być". Nie miała nic do stracenia. Bezkompromisowa, konkretna, zdecydowana, gotowa była stać na straży interesów załogi do końca. Stawka w grze była wysoka, a przyszłość niepewna. Ujmując się za pracownikami, naraziła się nowemu właścicielowi, co w konsekwencji doprowadziło ją do zguby.

Zakulisowe porozumienie, zawarte między dwoma zwaśnionymi stronami, satysfakcjonowało wszystkich, poza Zofią. Ta stała się kozłem ofiarnym, złożonym na ołtarzu obłudy. Nowe warunki zatrudnienia były o dziwo dużo lepsze niż poprzednie, co wprowadziło w zdumienie nawet najbardziej zatwardziałych przeciwników nowego porządku. Za to wrogiem publicznym numer jeden stała się, nie wiedzieć czemu, Mocna.

Przecież to nie ma sensu? – zastanawiała się. Wszyscy są zadowoleni, tylko ja jedna poszkodowana – łamała sobie głowę. O co chodzi? Odnoszę wrażenie, że ktoś próbuje mnie zniszczyć – ale kto i za co? Jedyną osobą, która mogłaby mieć do mnie żal – myślała – był Stefan, ale, po pierwsze nie posunąłby się do takiej podłości, a po drugie, nie ma takich możliwości. Z mafią też nigdy nie miałam na pieńku – przekonywała siebie i innych. Coś jednak musiało być na rzeczy.

Przyszłość Zofii pozbawionej stałego źródła utrzymania nie rysowała się zbyt różowo. Spore wydatki poniesione na remont domu znacznie nadwyrężyły jej zasoby finansowe. Oszczędności, jakie posiadała, wystarczyć mogły, przy bardzo ekonomicznym gospodarowaniu na kilka miesięcy, góra pół roku. Mimo silnego charakteru wizja niepewnej przyszłości bardzo ją przygnębiała. Codziennie tłumaczyła sobie, że jakoś to będzie, że wszystko się ułoży, że znajdzie nową pracę i jeszcze wszystkim pokaże. Lecz czas płynął, zapasy się kurczyły, a perspektyw nie było żadnych. Zwątpienie, jakie wkradło się w serce, tak niezależnej do tej pory kobiety, z wolna doprowadzało ją na skraj wyczerpania nerwowego – niemalże depresji. Osobie tak aktywnej, tak

zaradnej, bezsilność doskwierała w dwójnasób. Wszelkie próby wyjścia z impasu kończyły się fiaskiem. Czas płynął nieubłaganie pomniejszając z każdym dniem gromadzony z takim trudem przez lata kapitał. A nadziei na poprawę sytuacji materialnej – żadnej. O pożyczkę wstydziła się prosić znajomych, bo chociaż bez cienia wątpliwości pomogliby jej, to i tak tylko doraźnie, a przecież ciągle pozostawała otwarta kwestia zwrotu zaciągniętego długu. Zdawała sobie z tego doskonale sprawę, więc robiła co mogła, żeby nie stracić twarzy wśród znajomych. Pozostało jej jedyne rozwiązanie, jakim było udanie się po zasiłek. Zwlekała z dnia na dzień z podjęciem tej ostatecznej, desperackiej decyzji, ale cóż było robić? Do końca liczyła na jakiś cud, ale żaden się nie zdarzał. Widmo bankructwa zajrzało jej w oczy bardzo realnie.

Na żebry przyjdzie mi pójść, albo po zapomogę – tak wiele razy mówiła do siebie, bijąc się z myślami, które zawładnęły całkowicie jej umysłem, rysując niewesołą wizję przyszłości. Zapomoga dla bezrobotnych, jak najbardziej jej się należała, ale jaki wstyd! Niestety, musiała się przełamać, honor schować głęboko do kieszeni i pójść do urzędu prosić o pomoc. Co za upokorzenie!

A jak mi nie przyznają? – myślała. Całe to zamieszanie wokół strajku mogło mi zaszkodzić. Jeżeli są jakieś przepisy, które to regulują na niekorzyść strajkującego, to ci urzędnicy na pewno je wynajdą i wykorzystają przeciwko mnie. Iść źle, nie iść – jeszcze gorzej. Z czegoś przecież musimy żyć, a z czasem na pewno coś się zmieni na lepsze. Musi się zmienić – mówiła do siebie próbując dodać sobie odrobinę otuchy. Na razie nie widzę lepszego rozwiązania. Idę – postanowiła.

Ubrana skromnie w szarą garsonkę, w ciemnych okularach dla kamuflażu, zajechała autem pod urząd. Nie zaparkowała na parkingu dla petentów, tylko trochę dalej, dużo dalej, z dala od wścibskich oczu mieszkańców miasta. Długo siedziała w samochodzie przyglądając się przechodniom zanim zdecydowała się wysiąść. – Raz kozie śmierć – postanowiła.

Ze spuszczoną głową, powoli, skromnie przyodziana w zgrzebny dwuczęściowy kostium szła niczym na ścięcie. – Mnie to nikt białej chustki na głowę nie zarzuci – pomyślała z wyrzutem. – Przynajmniej wstydu bym uniknęła, a tak muszę paradować w tym pochodzie bogatych inaczej.

Nawet nie zdawała sobie sprawy nieszczęsna białogłowa, jak bardzo się myliła w tej materii.

Na drżących nogach, płonąca ze wstydu, z bijącym sercem, ostatkiem sił pokonywała dystans między samochodem, a urzędem. Co kołatało się w jej głowie, o czym myślała, jak chciała stawić czoła tej niezręcznej, upokarzającej ją wręcz, sytuacji, pozostanie na zawsze jej najskrytszą, najwstydliwszą tajemnicą. Już była na schodach, już sięgała dłonią klamki, gdy usłyszała za plecami czyjś głos. Głos ten wyraźnie wymawiał jej imię, a po chwili, imię i nazwisko.

– Pani Zofia? Pani Zofia Mocna? – pytanie dobiegało zza pleców i bez cienia wątpliwości dotyczyło jej osoby.

Zofia odwróciła się, bardziej machinalnie, aniżeli zainteresowana spotkaniem ze znajomym w takim miejscu, po czym z niewypowiedzianą niechęcią potwierdziła swoją tożsamość.

– Tak, czym mogę służyć? – Z ulgą stwierdziła, że o jej dane osobowe nie pytał nikt kogo znała.

Czyżby Bóg wysłuchał moich próśb i zesłał mi błędnego rycerza na ratunek – przeleciało jej przez głowę.

Przed Mocną stał młody człowiek, ale bez konia, bez zbroi, nieco cherlawy, za to w schludnym, szarym garniturze i sporą teczką w ręce.

– Najmocniej panią przepraszam, że zatrzymuję w takim miejscu, ale niestety nie zastałem pani w domu. Próbowałem dodzwonić się na numer stacjonarny, ale nikt nie odbierał i… – chaotyczny potok słów płynący z ust nieznajomego zirytował nieco Mocną. Zofia próbowała przerwać monolog, ale przybysz wciąż trajkotał, jak nakręcony.

– Bo widzi pani, cała ta sprawa wynikła w ostatniej chwili i nie zdążyłem wcześniej pani powiadomić i …

– Dobrze już, dobrze – w końcu udało się jej wejść w słowo nieznajomemu, próbując powstrzymać wodospad – Stary numer od dłuższego już czasu jest nieaktualny – poinformowała rzeczowo.

– Teraz to wiem, córka mi powiedziała.

Zofia jeszcze raz spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę, staksowała uważnie od stóp do głów, po czym pomyślała – Na przestępcę to on mi nie wygląda.

– No dobrze, ale do rzeczy. Czego pan chce? – Zapomniała się ze zdenerwowania.

– Przepraszam, ale sam pan rozumie okoliczności – rzuciła wzrokiem wkoło.

– Czym mogę panu służyć? – zapytała znacznie grzeczniej – Ale proszę się streszczać, bo nie mam zamiaru tkwić na tych schodach bez końca.

Zawstydzona, na chwilę, opuściła głowę oraz przymknęła nieco powieki, jakby nie chciała patrzeć na swój upadek.

– Już mówię o co chodzi, proszę pani.

Obcy rzucił krótkie spojrzenia na boki i rzekł przyciszonym głosem.

– Istotnie, schody nie są najlepszym miejscem do załatwiania takich spraw… wszelkich spraw – poprawił się. Może z nich zejdziemy i znajdziemy bardziej ustronne miejsce – zaproponował.

– To doskonały pomysł – przyznała rację rozmówcy i omal sfrunęła z tego wątpliwego piedestału, byle tylko nie afiszować się na nim ani chwili dłużej, niż to było konieczne.

Mężczyzna ponowił próbę wyjaśnienia powodu nagabywania kobiety

w tak niefortunnym miejscu.
– Jeszcze raz przepraszam – zaczął. – Córka poinformowała mnie, że właśnie wyjechała pani z domu, więc pozwoliłem sobie przyjechać za nią aż tutaj, no bo na drodze przecież nie mogłem pani zatrzymać – nieprawdaż?
– Trudno się z panem nie zgodzić – „głupek jakiś" pomyślała. – Co pan ode mnie chce i kim pan właściwie jest? – zapytała bezceremonialnie.
– Moje nazwisko Jan Kowalski, adwokat.
– Adwokat, do mnie? – zdziwiła się. – A w jakiej sprawie, do cholery? – wycedziła przez zęby poirytowana.

Postawa nagabywanej kobiety zmieniła się w jednej chwili. Jeżeli adwokat, to może być tylko z sądu, albo od tego mojego byłego – przeleciało jej przez myśl, a to nie wróży nic dobrego.
– Myślę pani Zofio – jeżeli wolno mi tak do pani zwracać się, że sprawa jest ważna. Powiem więcej, bardzo ważna i nie cierpiąca zwłoki.
– Za długi mojego męża odpowiadać nie mam zamiaru – syknęła, po czym rozglądając się czujnie na boki, czy nikt nie podsłuchuje, dodała przytłumionym głosem – Idź pan stąd do diabła ciężkiego, sama jestem w tarapatach finansowych, co prawda przejściowych – zaznaczyła – ale jednak. Jak pan myśli, po co ja tutaj przyszłam? – jej wyraz twarzy był aż nazbyt wymowny.
– Nie, nie chodzi o żadne długi – uspokajał rozemocjonowaną rozmówczynię – wręcz przeciwnie. Przychodzę do pani z pewną propozycją, myślę że bardzo interesującą.
– Jeżeli to jest takie ważne i pilne, to może spotkamy się później w kawiarni, gdziekolwiek – próbowała pozbyć się intruza, byle tylko jak najszybciej zejść z pola widzenia przechodniów.
– Czy może pan wpaść do mnie. Rozumiem, że adres pan zna. Powiedzmy o siedemnastej? Teraz naprawdę spieszę się i chciałabym już zakończyć tę rozmowę.
– Najmocniej przepraszam, ale sądzę, że o siedemnastej może być za późno.
– A to niby, na co, za późno? – zapytała z pretensją w głosie.
– Bo widzi pani, sprawa dotyczy formalności, które chce pani załatwiać w tym urzędzie. Sądzę, że są one absolutnie zbędne.

Przez krótką chwilę Zofia poczuła się bardzo nieswojo.
– Nie pański interes i gówno to pana obchodzi, co ja mam tutaj do załatwienia – wybuchnęła poirytowana.

Zofia, jeżeli posiłkowała się wulgaryzmami, to tylko w skrajnych sytuacjach. W tych okolicznościach musiała być bardzo wzburzona lub pod wpływem silnych emocji.
– Jeszcze raz przepraszam, że poruszyłem tak drażliwy temat, ale sądzę, że będę mógł pani pomóc – rzekł z nadzieją w głosie nieznajomy, wyraźnie dając do

zrozumienia, że sprawa, z którą przychodzi leży w jej dobrze pojętym interesie.
– Niby jak chciałby mi pan pomóc? Na Świętego Mikołaja mi waść nie wyglądasz – zlustrowała od stóp do głów prężącego się przed nią mecenasa, – A właśnie kogoś takiego teraz potrzebuję. Jeżeli nie jest pan wspomnianym Mikołajem, to żegnam – próbowała odesłać mężczyznę do stu diabłów.
– Na Mikołaja to ja może i nie wyglądam – nabrał animuszu prawnik. – Mefistofeles też nie wyglądał, a jak przysłużył się Twardowskiemu – nie wiedzieć czemu przytoczył takie porównanie. – Może i ja mógłbym znaleźć panaceum na wiele pani trosk…
– O jakich to troskach pan mówi?
– O tych samych, które codziennie spędzają sen z pani powiek. O tych samych, o których myśli pani od rana do wieczora.
– Dużo pan o mnie wie. To zaczyna mnie niepokoić i zastanawiać. Za chwilę zadzwonię na policję, jeżeli pan się ode mnie nie odczepi – zagroziła.
– Sądzę, że interwencja policji będzie zbędna – spokojnym głosem oznajmił adwokat. – Mój zleceniodawca uprzedził mnie przed nazbyt impulsywną reakcją z pani strony.
– Co to znaczy do cholery!? – zapytała podniesionym głosem, mrużąc przy tym błyszczące z wściekłości oczy. – I jaki znowu zleceniodawca?
– Na jedno i drugie pytanie, nie potrafię udzielić pani satysfakcjonującej odpowiedzi – tłumaczył mecenas. – Bo widzi pani…
– Jeżeli tak, to idź pan stąd – raz jeszcze podjęła próbę spławienia natręta – bo ja czasu na takie pierdoły, nie mam.
– Zapewniam panią, że to nie są żadne, jak to była łaskawa pani nazwać, pierdoły. Jeżeli chce pani osiągnąć swój cel, a wiem, że chodzi o pieniądze, i zarazem oszczędzić sobie wstydu załatwiania tych wszystkich formalności związanych z…– wskazał dłonią na budynek – to proszę mnie posłuchać – głos jego zabrzmiał bardzo stanowczo. – Wizyta pani w tym urzędzie jest absolutnie zbyteczna, zapewniam panią. Jeżeli chce pani oszczędzić sobie i rodzinie upokorzenia, wynikającego z całej tej krępującej sytuacji, radziłbym skorzystać z mojej propozycji. Niewiele pani straci, a zyskać może bardzo wiele – przekonywał prawnik.

Tym razem słowa adwokata brzmiały twardo i stanowczo. Zmieszana Zofia, zaskoczona postawą rozmówcy oraz niespodziewanym zwrotem akcji, nie wiedziała co czynić. Człowiek stojący przed nią, jednoznacznie dawał do zrozumienia, że ma propozycję, która może poprawić jej przejściową, trudną sytuację finansową – jak to zwykła była podkreślać.

Zrezygnowana, z drugiej zaś strony zaintrygowana całym zajściem, postanowiła zaniechać wizyty w urzędzie i przystać na alternatywną propozycję nieznanego prawnika – uparciucha. Do urzędu zawsze zdążę – pomyślała. – Jak

nie dzisiaj, to jutro. Niewielkie opóźnienie, niewielka strata. Chyba do jutra wystarczy tych marnych pieniędzy, po które zdecydowałam się wyciągnąć rękę. Że też coś takiego mi akurat przytrafiło się – pomyślała ze smutkiem. Spojrzała jeszcze raz uważnie na prawnika. Sprawiał wrażenie uczciwego człowieka. Tylko, jaką on może mieć dla mnie propozycję? – zastanawiała się, a ciekawość z wolna zaczęła brać górę nad niepewnością.

– No dobrze, przekonał mnie pan, ale jeżeli to jakiś kant lub ściema, to drogo mi pan za to zapłaci – dodała jedynie po to, żeby zachować twarz. – Gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać panie… – zawiesiła na chwilę głos – wiem, przedstawiał się pan, ale byłam zbyt podenerwowana – dodała na swoje usprawiedliwienie.

– Moje nazwisko Jan Kowalski.

– Jan Kowalski, a to dobre! Już niczego bardziej oryginalnego nie mógł pan wymyślić? – zapytała z przekąsem.

– Rozumiem doskonale aluzję, ale imię i nazwisko to efekt lekko skrzywionego poczucia humoru mojego ojca. W dorosłym życiu wiele razy zadawałem mu pytanie: *czemu tak sobie ze mnie zadrwił?*, lecz ten z niewzruszoną konsekwencją powtarzał, robiąc przy tym tajemniczą minę *Widzisz synu, w tym kraju JK jest tak wielu, że w takim tłumie o wiele łatwiej będzie ci się ukryć, jeżeli nie daj Boże, zajdzie taka potrzeba*. Co miał na myśli? Po dziś dzień nie wiem… Ale dosyć o tym. Czy moglibyśmy, powiedzmy, za godzinę spotkać się u pani?

– U mnie, czemu u mnie? – zapytała, obawiając się nieco spotkania sam na sam z nieznajomym o pospolitym nazwisku. Może to jednak jakiś oszust? Bo ojciec jego był najwyraźniej kuty na cztery nogi, i nad wyraz przezorny – stwierdziła.

– Proszę się niczego nie obawiać – Kowalski czytał w jej myślach.

– Nic pani z mojej strony nie grozi, zapewniam panią – rzekł uśmiechając się serdecznie.

Zofia, rad niewola, musiała w końcu skapitulować i przystać na propozycję.

– Dobrze. Niech będzie u mnie o szesnastej, wróć o siedemnastej – poprawiła się bowiem przypomniała sobie o bałaganie pozostawionym w domu.

Ostatnimi czasy nie miała ani głowy, ani chęci do porządków, więc mieszkanie wyglądało jak jedno wielkie pobojowisko. – Tego jeszcze brakowało, żeby ten tutaj widział moją słabość. Niedoczekanie!

– Do zobaczenia pani Zofio.

– W takim razie jesteśmy umówieni.

Rozdział VI

Posesja Mocnych, położona na obrzeżach miasta, z dala od ludzi, nie prezentowała się nazbyt imponująco. Wysoki drewniany płot ogradzający posiadłość był jawnym odzwierciedleniem kondycji finansowej właścicieli. Stare, zmurszałe deski bardziej odstraszały nieproszonych gości wyglądem, aniżeli broniły dostępu do niej. W wielu miejscach brakowało sztachet, a te, które jeszcze stały na posterunku, robiły jedynie za atrapy. Każdy przechodzień mógł bez najmniejszego problemu zajrzeć lub wejść do środka, nie napotykając żadnych przeszkód. Wewnątrz, posiadłość prezentowała się jeszcze gorzej. Stare, zdziczałe drzewa oraz krzewy świadczące o dawnej świetności ogrodu, teraz spowite kirem pnączy, sprawiały posępne wrażenie. Po dawnych alejach i rabatach nie pozostało nawet wspomnienie. Wszystko wokół tonęło w plątaninie pokrzyw i ostów. Zofia, co prawda nosiła się z zamiarem przywrócenia posesji dawnego wyglądu, ale siłą rzeczy, z powodu przejściowych trudności finansowych, nie miała na to ani środków, ani głowy.

Dom, wybudowany w bliżej nieokreślonym stylu, jakieś eklektyczne połączenie secesji z neobarokiem, też nie prezentował się okazale. Lata świetności miał podobnie jak ogród już dawno za sobą. Niedawne prace remontowe, ograniczone jedynie do wnętrza, nie poprawiły ogólnego wizerunku posesji. Szary, obskurny, przedwojenny budynek, noszący ślady licznych, doraźnych napraw, stojący w środku zapuszczonego ogrodu, konweniował z całością otoczenia. Ponury nastrój tego miejsca udzielał się każdemu, kto przekroczył jego progi.

Wyłożona niegdyś kostką granitową ścieżka, prowadząca od furtki do drzwi wejściowych, prawie w całości porośnięta perzem, tworzyła swoisty naturalny kobierzec, po którym można było chodzić boso. O lepszych czasach posiadłości mogły świadczyć jedynie pozostałości rzadkich, oryginalnych nasadzeń, które dla wprawnego oka znawcy nie stanowiły żadnej tajemnicy, ale i one dopominały się o swoje.

Wystarczyłoby kilka dni pracy, żeby zmienić tę ponurą scenerię – pomyślał Kowalski, taksując wzrokiem zapuszczoną dzierżawę.

Dywan utkany z źdźbeł perzu, traw i czego tam jeszcze, miękko uginał się pod jego stopami, gdy pokonywał dystans pozostały do drzwi.

Zofia, zauważywszy przez okno zbliżającego się ku niej gościa, wyszła mu naprzeciw. Sprawiała wrażenie lekko zakłopotanej.

– Widzi pan jak to wygląda – skarżyła się od progu na aktualny stan posiadłości. – Chaszcze, gruz, chwasty, aż wstyd kogokolwiek zaprosić. Nosiłam się z zamiarem uporządkowania tego wszystkiego, ale sam pan rozumie – poczęła mimo woli, tłumaczyć się, składając całą winę za obecny stan rzeczy, na wszelkie

przeciwności losu.

Prawdą było, że od dłuższego już czasu rzadko miewała gości. Ci nieliczni przyjaciele, którzy jej jeszcze pozostali, odwiedzali ją czasami, pocieszali, proponowali pomoc finansową, lecz wizyty te stawały się coraz bardziej krępujące dla obu stron.

– Nie jest tak źle – zaczął kurtuazyjnie przybysz – Wystarczy trochę pracy i po kilku dniach posesja będzie nie do poznania – pocieszał nie bez racji.

– Wiem o tym – ze smutkiem przyznała właścicielka – ale na to trzeba pieniędzy, których jak pan się domyśla, nie posiadam.

– Może coś na to zaradzimy, kochana pani Zofio – nieco protekcjonalnie, odezwał się Jan.

– Tak! A jakimż to sposobem? – próbowała dociec, zaintrygowana Zofia.

– Na wyjaśnienie tego zagadnienia potrzebuję trochę czasu. Więcej niż trochę – poprawił się, spoglądając tajemniczym wzrokiem na gospodynię.

Co on, u diabła, planuje? Nic nie rozumiem, – zachodziła w głowę, wprowadzając gościa do środka.

Mieszkanie było obszerne, gustownie urządzone i nieskazitelnie czyste. Gdyby nie przenikliwy chłód, panujący wewnątrz, można by rzec, że całkiem, całkiem.

– Trochę tu chłodno – zauważył przybysz.

– A tak, widzi pan, sama zachodzę w głowę, w czym się sprawa ma cała. Na opał wydałam już krocie, a temperatura w mieszkaniu ani drgnie, stoi w miejscu jak zaklęta.

– Może trzeba ocieplić mury i wymienić okna, to powinno pomóc – próbował doradzić Kowalski.

– Takie prace na pewno by nie zaszkodziły, ale to chyba nie w tym rzecz – odparła właścicielka. – Na dworze jest ponad dwadzieścia stopni, a wewnątrz sam pan widzi, nienaturalny chłód.

– Faktycznie, dość dziwna sprawa – potwierdził mecenas.

– Hmm – zastanowił się przez chwilę – Pamiętam z dzieciństwa historię pewnego domu, to chyba było gdzieś w tej okolicy. Jakaś rodzinna tragedia wydarzyła się w nim, czy coś takiego, ale dokładnie sobie nie przypominam. Ludzie mówili, że jest taki dom za miastem, w którym straszy. Nie przesądzałbym, że to akurat ten, ale kto wie? Mogę się rozpytać tu i ówdzie, jeżeli jest pani zainteresowana.

– E tam, to tylko takie ludzkie gadanie – machnęła ręką Zofia.

– Myślę że tak, ale sama pani rozumie, jak to z ludźmi jest, we wszystkim doszukają się sensacji.

Kowalski spojrzał na Mocną i w jednej chwili pojął, że poruszył drażliwy temat. Nawet kameleon nie byłby w stanie zmieniać tak szybko ubarwienia, jak robiła to Zofia. Z cielistego, przeszła na kredowo biały, po czym

z wolna nabierała purpury. Ciśnienie rosło.
– Co pan mi tutaj sugeruje – powietrze z wolna uchodziło spomiędzy zaciśniętych zębów gospodyni. Na szczęście dla adwokata, wentyl bezpieczeństwa zadziałał.
– Słyszałam to i owo o tej posesji, ale chyba nie myśli pan, że po moim domu hasają jakieś średniowieczne zjawy i schładzają mi mieszkanie. Kilka miesięcy temu remont zrobiłam i jakoś żadnego ducha nie spotkałam, a przecież gdzieś się gnieździć muszą – czyż nie tak?

Takiej Zofii, poza Kowalskim, nikt wcześniej nie widział.
– Najmocniej panią przepraszam, to takie wspomnienia z dzieciństwa. Już żałuję, że poruszyłem ten temat.

Zofia nie słuchała adwokata. Przez chwilę żyła własnym życiem. – Niech no tylko jakiś wejdzie mi w drogę – w tym momencie podniosła głos i rozejrzała się, ze złowieszczym wyrazem twarzy, po salonie
– Drogo mi zapłaci za opał – zadrwiła z diabolicznym uśmiechem na twarzy.

Kowalski struchlał przez chwilę, po czym stracił ducha.
– No dobrze, pogadaliśmy sobie o duchach i o karaluchach, a teraz przejdźmy do konkretów – zaproponowała Zofia. Jej diaboliczny wyraz twarzy znikł równie szybko jak się pojawił. – Z czym pan do mnie przychodzi?

Zofia przeszła do rzeczy, jakby nic się nie stało.
– Co to za ważna sprawa, nie cierpiąca zwłoki, której nie można przełożyć na jakiś inny, dogodniejszy czas sprowadza pana do mnie?
– Otóż to, pani Zofio. Czy mogę .... – pan Jan ciągle drżał.
– Tak. Już pan pytał – przerwała obcesowo – Zwracaj się pan, jak chcesz, byle tylko powód pańskiej wizyty znalazł uzasadnienie, w przeciwnym bowiem razie będę wielce niepocieszona.

Adwokat miał już próbkę tego niepocieszenia, więc jeszcze bardziej zmieszany, starał się wyjaśnić przyczynę swojej wizyty. Właśnie usiłował otworzyć usta, gdy lodowaty wzrok Zofii wlepiony w nieboraka, zmroził go na kość. Czemu ona tak mi się przygląda – zastanawiał się. Janowi zrobiło się jeszcze chłodniej. Choć bierz i futro zakładaj w środku lata – pomyślał spoglądając niepewnie na Mocną. Gorgona jakaś czy co? Gdybym wiedział wcześniej z kim będę miał do czynienia, zażądałbym dopłaty za szkodliwe warunki pracy.

Mimo chwilowego dyskomfortu i nieustająco chłodnej atmosfery, Kowalski zebrał się w sobie, żeby wyjawić powody swej wizyty. Od początku wiedział, że nie będzie łatwo, bowiem zadanie, jakiego się podjął stanowiło wyzwanie, nawet dla tak szczwanego lisa za jakiego się miał. – Jeżeli nie wyłuszczę sprawy w sposób oględny, mogę wiele stracić, albo co gorsza zamieni mnie w kamień. Łatwo powiedzieć w oględny, ale jak, skoro sam nie do końca rozumiem swoją rolę, w tym osobliwym przedstawieniu – pomyślał. – Jestem tylko nędznym urzędniczyną wypełniającym najlepiej jak potrafi powierzone mu

obowiązki, ot i wszystko, a nie jakimś tam znawcą natury ludzkiej – umniejszał swoje zdolności perswazji.

– Pani Zofio – zaczął ponownie. – Zapewniam panią, że wszystko co powiem jest szczerą prawdą, dlatego z góry proszę o wyrozumiałość, zanim… – pomyślał chwilę – zanim wyciągnie pani nieadekwatne do sytuacji wnioski – uprzedzał.

– Zaczniesz pan do cholery, czy nie – żachnęła się Zofia.

Jak ona teraz tak reaguje, to co będzie później – pomyślał.

– Otóż – rozpoczął. – Do mojej kancelarii zgłosił się tajemniczy człowiek, pełnomocnik swojego zleceniodawcy, z następującą propozycją.

Nabrał powietrza do płuc, czyniąc wkoło próżnię, po czym wyrzucił jednym tchem.

– Pani oraz pani dzieci dostaniecie sporą sumę pieniędzy…

– Jak to dostaniecie i jak sporą? – przerwała poirytowana, ale zaciekawiona.

– Po milionie, każdy członek rodziny.

Zofię na chwilę zamurowało ze zdziwienia. Wolno łykała żabę, którą poczęstował ją przybysz, po czym zareagowała w sposób najbardziej odpowiedni do sytuacji.

– Panie wynoś się pan z mojego domu – krzyknęła, zrywając się na równe nogi z fotela, wściekła jak diabli. – Po pańskich wstępnych zapewnieniach sądziłam, że przychodzi pan z… Sama nie wiem na co liczyłam, co sobie wyobrażałam – powiedziała zrezygnowana.

Adwokatowi zrobiło się Zofii naprawdę żal. Pospieszył zatem z wyjaśnieniem.

– Ja uprzedzałem, że propozycja moja jest zgoła niecodzienna, wręcz kuriozalna – spokojnie przypomniał opanowany już Jan.(w duchu zaś pomyślał, wbrew wpojonym mu manierom – chyba jej się woda w tyłku zagotuje, jak usłyszy resztę).

Odczekał chwilę, aż Zofia lekko ochłonie, po czym powrócił do wcześniejszego wątku.

– Powtarzam raz jeszcze, po milionie, – wstrzymał głos na chwilę, dla zwiększenia efektu i spokojnie dokończył zdanie – po milionie dolarów.

Efekciarski styl wypowiedzi podziałał na Zofię piorunująco. W jednej chwili zbladła jak ściana, wstrzymała oddech i nad wyraz szeroko otworzyła usta – szczęka jej opadła.

Już ten milion zawrócił jej wystarczająco w głowie, ale, że dolarów, to było ponad jej siły. Cała rozdygotana potrafiła jedynie wykrztusić ledwo słyszalnym głosem kilka nieartykułowanych dźwięków. – Ja przepraszam, muszę wyjść na chwilę do łazienki – tak miało to brzmieć.

Po drodze zmieniła zdanie i chwiejnym krokiem udała się do kuchni, a konkretniej do lodówki. Chciała napić się wody z lodem dla ostudzenia atmosfery

spotkania, lecz zobaczywszy stojącą w niej napoczętą butelkę wódki, drżącymi z podniecenia rękami nalała zimnego trunku do szklaneczki, a następnie wypiła zawartość jednym haustem. Chwilę odczekała, aż alkohol zacznie czynić swą powinność, po czym powtórzyła zabieg. Tak wzmocniona psychicznie, osunęła się na krzesło stojące przy niewielkim stoliku kuchennym i zaczęła analizować sytuację.

– To są jakieś żarty. Na pewno żarty. Ktoś robi sobie z nas jaja, ot i wszystko. Nie mogę przecież brać na poważnie takiej propozycji. Nikt przy zdrowych zmysłach nie rozdaje tak ogromnych pieniędzy, w ogóle nikt nie rozdaje pieniędzy za friko. (To stwierdzenie „za friko" było trochę na wyrost, o czym miała się przekonać później, dużo później). Może to jakiś wariat, albo ekscentryk? – Próbowała zrozumieć pobudki kierujące „tym" – zastanawiała się jak go nazwać. – Darczyńcą – wymyśliła. – No dobra – pomyślała, pokrzepiona nieco dawką wypitego alkoholu. – Idę do tego, jak mu tam, Kowalskiego, i jeżeli nie powie mi zaraz, o co naprawdę chodzi, to wyrzucę go na zbity pysk w trymiga i jeszcze psami poszczuję. Co ja gadam – ugryzła się w język, przecież my psów nie mamy – zauważyła skołowana.

Zofia wróciła do adwokata w zdecydowanie lepszej kondycji, zarówno fizycznej jak i psychicznej.

– Najmocniej pana przepraszam, że kazałam na siebie czekać, ale sam pan rozumie – taka niecodzienna propozycja, takie emocje.

– Rozumiem, doskonale rozumiem – zapewniał mecenas. – Na czym to my stanęliśmy? – Niby pytał, niby zastanawiał się, jak wrócić do tematu rozmowy. – Już wiem – ciągnął dalej myśl. Jak powiedziałem wcześniej, mój zleceniodawca proponuje pani rodzinie pewien układ. Kto jest tym zleceniodawcą i jakie pobudki nim kierują nie wiem, ale zapewniam, że wszystko, co powiedziałem to najszczersza prawda – zarzekał się. – Przyznam pani, że po usłyszeniu tych rewelacji, moja pierwsza reakcja zbliżona była do paninej. Też zadawałem sobie podobne pytania: kto?, po co? dlaczego? Podobnie, jak pani, nie uzyskałem zadawalającej odpowiedzi, żadnej odpowiedzi. Nakazano mi robić, co do mnie należy, bo jeżeli nie, to fora ze dwora, klient wybierze inną kancelarię. Sama pani rozumie, że siłą rzeczy musiałem przystać na zaproponowane mi warunki, bo to moja praca, a i pieniądze spore – szczerze przyznał.

– Więc chce pan powiedzieć, że to całe gadanie o tych milionach to, to na serio? – upewniała się Zofia.

– Bardzo na serio – odpowiedział przybierając poważny wyraz twarzy prawnik.

– Zastanawiam się, czemu ktoś nieznajomy miałby robić mi… – zawiesiła głos na chwilę, pomyślała – nam takie prezenty? – nieco spokojniejszym już tonem zapytała ciągle niedowierzająca temu , co usłyszała.

– Tego nie wiem i nie moja to sprawa. Moją rolą jest załatwić wszystko pod

względem formalnym. Darowizna pieniężna, to tylko część korzyści, jakie może osiągnąć pani po podpisaniu stosownej umowy.
– Co do diabła!? Może jeszcze samolot dostanę? – sarkastycznie zapytała oszołomiona.
– Samolot to może nie, ale..., na wiele, na bardzo wiele może pani jeszcze liczyć. Widzi pani, ta posesja i ten dom od dawna jest już pani własnością i może pani tym dowolnie rozporządzać – mówiąc te słowa wyjął z nesesera niebieską teczkę z tajemniczą zawartością, po czym wręczył ją Mocnej.
– Co to, co to jest? – zapytała zaskoczona.
– Proszę przeczytać.

Zofia drżącą ręką wzięła od mecenasa dokumenty i zaczęła niecierpliwie przeglądać. Chwilę wodziła rozbieganymi oczami po kartkach papieru, po czym powiedziała, zaskoczona.
– Akt własności. Ale jak to, jakim cudem? Jakim sposobem?
– Tego też nie wiem. Moim obowiązkiem było przekazać pani te dokumenty, co niniejszym czynię i to wszystko. Życzeniem ofiarodawcy jest, aby przeprowadziła pani gruntowny remont budynku oraz posesji wedle własnego uznania – dodał po krótkiej pauzie. – Koszty oczywiście pokrywa pan ... nazwijmy go X.

Obdarowanej świat zawirował przed oczami, po czym zrobiło się ciemno – zemdlała z nadmiaru wrażeń. Kiedy się ocknęła w salonie nie było nikogo. Co to było? – pomyślała. Jaki realistyczny sen – z wolna zaczęła wracać do siebie, gdy usłyszała dochodzące skądś odgłosy. Co u licha, czyżby złodziej zakradł się do mieszkania? – rozważała ewentualności. Ostrożnie wstała z fotela i niczym polująca kotka, bezgłośnie poczęła skradać się w kierunku skąd dochodziły dźwięki. Jakież było jej zdziwienie, gdy w kuchni (bo z tego miejsca pochodziły) ujrzała pochylonego nad zlewem, żywego, zbudowanego z krwi i kości Jana Kowalskiego.
– A to pan? – wybąkała. Ponownie zakręciło się jej w głowie, ale tym razem pozostała między przytomnymi.
– Pani Zofio, pani Zofio... – adwokat podbiegł do bladej jak ściana, przytrzymującej się futryny, kobiety. – Proszę wrócić na fotel, pomogę pani – ofiarował się. – Może łyk zimnej wody? Może otworzę okno? – pytał zatroskany.
– Jeszcze chwilę, zaraz dojdę do siebie, zaraz mi przejdzie – powiedziała Zofia po przełknięciu kilku łyków. – A to zabawne! Wie pan, przez chwilę myślałam, że wszystko, co do tej pory przeżyłam było snem, ale widzę, że skoro pan tutaj ciągle jest, to, to... jest rzeczywistość – sprytnie wydedukowała.
– Nie dziwię się pani reakcji. Każdy zareagowałby podobnie słysząc takie rewelacje, a już na pewno tak wrażliwa istota jak pani – przekonywał Kowalski.
– Kto dziś dostaje takie prezenty. Kiedyś, to mężczyźni mieli gest, nie to co teraz – stwierdził z nostalgią w głosie.

– Zapytałabym raczej, kto dziś rozdaje takie prezenty? Czyli to wszystko co pan powiedział o tej darowiźnie, o tych wielkich pieniądzach jest prawdą? – próbowała raz jeszcze się upewnić.
– Najprawdziwszą prawdą. Szczerze gratuluję. To ogromny majątek.

Zofia nie wiedziała, co czynić i co powiedzieć w tym momencie. Ciągle nie dowierzała temu wszystkiemu w czym brała udział, ponieważ nie chciała wyjść na idiotkę. No bo jak to! Tyle pieniędzy dostać za nic? – w głowie jej się nie mieściło i miała rację.
– Czy mogę kontynuować? – zapytał Jan.
– To jeszcze nie koniec atrakcji? Wal pan śmiało. Pałac Kultury biorę w ciemno – uśmiechnęła się, zachowując pełen rezygnacji dystans. – Ale, ale... – zastanowiła się nad czymś przez chwilę. – z tego, co sobie przypominam, wspominał pan o jakiejś umowie – spojrzała pytającym wzrokiem na Kowalskiego.
– Tak, wspominałem – potwierdził mecenas. – Widzi pani, jest coś dziwnego w całej tej sprawie. Proszę o nic nie pytać, bowiem sam też tego nie pojmuję, ale...
– Aha, a jednak jest jakiś haczyk! Wiedziałam!
– Ofiarodawca ma jedno życzenie. Źle powiedziałem „życzenie", jeden warunek.
– Jakiż to? – wtrąciła zainteresowana. – Może mam za niego wyjść? Co to „Randka w ciemno"?
– Proszę dać mi skończyć – próbował powstrzymać uszczypliwości. – Jak by to powiedzieć? – zastanawiał się.
– Normalnie, wal pan prosto z mostu, ja już teraz zniosę wszystko. Za takie pieniądze mogę nawet za niego wyjść – ofiarowała się ochoczo.
– Takich żądań nie stawia ofiarodawca, są one zgoła innej natury.
– Zgoła, jakież to, gadaj pan wreszcie! – ponaglała lekko poirytowana. Zofia odzyskiwała wigor.
– Darczyńca żąda, powtarzam żąda, pod groźbą zerwania umowy, zachowania tych pieniędzy przez najbliższych pięć lat tylko dla siebie – wypowiedział jednym tchem
– Co ma pan na myśli, mówiąc „dla siebie"? Co ja, niby miałabym chodzić po ulicy i rozdawać je żebrakom?
– To by jeszcze przeszło, ale jest inny warunek – zastanawiał się jak to powiedzieć, aż wreszcie się przemógł. – Pod żadnym, ale to pod żadnym – podkreślam – pozorem, pani, ani pani dzieci nie mogą wydać „złamanego grosza na tego hulakę i darmozjada" (cytat z umowy).
– Jakiego hulakę i darmozjada, nic nie rozumiem? Proszę jaśniej – dopominała się Zofia.
– Nie domyśla się pani o kogo chodzi, o kim mowa?
– Noo, nie – odpowiedziała zaskoczona Mocna.
– Chodzi o pani byłego męża, mowa jest o Stefanie – powiedział mecenas.

– Coś podobnego – wybuchnęła. – A cóż ten – zastanawiała się, jakiego użyć słowa na określenie byłego męża – utracjusz, ma z tym wszystkim wspólnego? Cóż to za absurdalny warunek? Komu tak się naraził? Kto go tak szczerze nienawidzi?
– Dużo tych pytań, ale niestety odpowiedzi na żadne z nich nie znam – odrzekł Jan.
– Patrzcie państwo. Stefanek – zamyśliła się przez krótką chwilę i lekko uśmiechnęła, jakby do siebie. – Na pewno zbałamucił komuś żonę, albo coś w tym rodzaju. Mogę iść o zakład.
– Pani zna najlepiej swojego męża, o przepraszam eksmęża.
– Dobrze pan mówi, męża. My nie mamy jeszcze rozwodu, na razie jesteśmy w separacji, ale to tylko kwestia czasu. Przedrostek eks, czy były w niedługim czasie będzie właściwy.
– To mówi pan, jak tam jest w tej umowie – hulaka i darmozjad? Ktoś go dobrze musiał znać – zauważyła zgryźliwie Zofia.
– Wróćmy do tematu – poprosił prawnik. – Zgodzić się na ten warunek i podpisać umowę – to jedno, ale trzeba jeszcze jej dotrzymać! Nikt nie wie, co w ciągu tego czasu może się wydarzyć?
– A niby co miałoby się wydarzyć? – Mocna nawet nie próbowała zgłębiać tajników przyszłości. – Na takich warunkach umowę mogę podpisać choćby dzisiaj.
– Pani tak, ale dzieci?
– One też nie będą się wahać. Zapewniam pana.
– Ale ojciec to zawsze ojciec, a warunki umowy są drakońskie i bardzo precyzyjnie określone – przestrzegał Jan.
– Panie, co one przez niego miały to książkę by można napisać. Nie sądzę, żeby targały nimi jakieś skrupuły – zaręczała za potomków.
– Jeżeli pani tak uważa, to dobrze, jesteśmy na dobrej drodze do zawarcia umowy. Podkreślam raz jeszcze, umowę musicie podpisać wszyscy troje i wszyscy troje restrykcyjnie jej przestrzegać. Chcę przez to powiedzieć, iż doszło do moich uszu, że mąż pani, powiem kolokwialnie, bardzo kiepsko przędzie. Ma długi, pije i ogólnie rzecz biorąc nie wiedzie mu się najlepiej. Jeżeli dojdą go słuchy, a na pewną dojdą, o tak znacznej poprawie państwa sytuacji finansowej to będzie próbował skontaktować się z wami w wiadomym celu. Na razie was nie nachodzi bo wie, że sami macie, hmm… – zastanawiał się jakiego użyć sformułowania.
–…przejściowe kłopoty finansowe – wybawiła prawnika z niezręcznej sytuacji, Zofia.
– Tak, właśnie to chciałem powiedzieć. Bo widzi pani – próbował uzmysłowić jej problem. – Jak mąż dowie się, że te przejściowe trudności już minęły, to może zgłosić się po pomoc. I co wtedy? Dzieci mogą się złamać, zrobić coś „głupiego"

nawet w tajemnicy przed panią. A w takiej sytuacji *„cała ugoda na nic"*.
– Już ja nad nimi popracuję, będą tańczyć jak im zagram – zatarła złośliwie ręce.
– Jeżeli tak, to wszystko w porządku. Na kiedy moglibyśmy umówić się w celu podpisania umowy?
– Dzieci będą wieczorem. Muszę z nimi wcześniej porozmawiać, naświetlić całą sprawę, przygotować. Rozumie pan?
– Rozumiem, rozumiem doskonale – przytaknął Jan.

Zofia zastanawiała się chwilę.
– Może na jutro…? Nie, na pojutrze – zdecydowała.
– Dobrze, w takim razie pojutrze. O której godzinie?
– O osiemnastej, dobrze będzie?
– Mnie każda godzina odpowiada szanowna pani – zapewniał adwokat.

Kowalski skłonił się, ucałował rękę przyszłej milionerki i zniknął jak zjawa w zakamarkach tajemniczego ogrodu, a za nim z sieni powiało chłodem.

Rozdział VII

Po wyjściu Kowalskiego Zofia usiadła wyczerpana psychicznie w fotelu, po czym raz jeszcze podjęła próbę przeanalizowania całego zdarzenia. Trudno jej było pozbierać myśli. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, w ogóle nic nie wiedziała. O co chodzi? Skąd takie pieniądze? Kim jest ów tajemniczy darczyńca? –takie i wiele innych pytań kłębiło się w jej głowie, ale próżno było szukać odpowiedzi. Na koniec pozostawiła sobie ostatnie, fundamentalne pytanie. Dylemat z dziedziny racjonalizmu. – Za co można nienawidzić Stefana!? O! Jego to można za… – w tym momencie przeprowadziła skomplikowany proces myślowy – za sam wygląd, za te jego wiecznie roześmiane oczy, za ten jego uśmiech i za tę gładką mordkę i za... – znalazłoby się jeszcze kilka innych wad, ale już nie próbowała sobie ich przypomnieć. Co to mogłoby być? – dedukowała. Za co chłop chłopa może nie cierpieć do tego stopnia, żeby posunął się do tak perfidnej intrygi? – wysilała umysł ze wszystkich sił aż jej kropelki potu wystąpiły na czole. Wiem, chyba już wiem – odkryła Amerykę – Na pewno zbałamucił mu żonę, albo narzeczoną! – analityczny umysł Zofii triumfował. Oj, drogo przyjdzie ci zapłacić za twe miłosne podboje – obiecywała Stefanowi w myślach – Ale co do diabła ja i nasze dzieci mamy z tym wspólnego? Pytanie to, chociaż niezmiernie ważne dla przyszłości całej rodziny, na razie nie zaprzątało umysłu mocno wyczerpanej psychicznie Mocnej. Przecież to wszystko nie ma sensu. Cokolwiek bym wymyśliła, jakiegokolwiek racjonalnego wyjaśnienia szukała, to życie napisze o wiele bardziej skomplikowany scenariusz. Ja niestety, nie posiadam tak wybujałej wyobraźni – zdała sobie sprawę ze swej ułomności. Niech będzie, co ma być – poddała się zrezygnowana.

Niedługo przyjdą dzieci, trzeba przygotować jakiś obiad – przypomniała sobie o obowiązkach gospodyni. Wstała i poczłapała ciężkim krokiem do kuchni dźwigając na plecach przyszłe miliony. Mimochodem spojrzała na termometr. Temperatura w mieszkaniu nie drgnęła nawet o pół stopnia, chociaż atmosfera niedawnych rozmów była nad wyraz gorąca.

Jako pierwsza do domu wróciła Agata. Od razu spostrzegła, że z matką jest coś nie tak. Zatroskana stanem psychicznym rodzicielki z miejsca zapytała.

– Czy coś się stało, mamo? Byłaś w urzędzie – przypomniała sobie – i odmówili ci zasiłku? – pojęła w mig.

– Oj, tak, córciu, oj, tak – westchnęła. – Stało się. A zasiłek? – spojrzała nieobecnym wzrokiem gdzieś w pustkę. – Po zasiłek nie doszłam.

– A to czemu. Mówiłaś…

– Wiem, co mówiłam. A teraz powiedziałam „nie doszłam", a nie nie poszłam. Widzisz zasadniczą różnicę?

– Czemu jesteś taka rozdrażniona? – dociekała dziewczyna. – Zapomniałam ci powiedzieć, że zaraz po twoim wyjeździe zjawił się jakiś obcy mężczyzna i dopytywał o ciebie. Bardzo mu zależało na spotkaniu z tobą.

– Właśnie z powodu tego mężczyzny nie dotarłam do tego urzędu.

– Wyrażaj się jaśniej, bo nic nie rozumiem. Czyżby mafia go nasłała, albo ten nowy właściciel zakładu? A może to był komornik? Będą nas licytować? – zgadywała pisząc najczarniejszy z możliwych scenariusz przyszłości. – Wiem, jak bardzo zależało ci na tym domu i w ogóle… Ale skoro tak wyszło jak wyszło, to nie ma co tragizować, to jeszcze nie koniec świata. Jeżeli nie stać nas na utrzymanie posesji, to przecież zawsze możemy wrócić do mieszkania ojca – rezolutnie zauważyła, próbując pocieszyć matkę.

– Nie, to nie to co myślisz. A do ojca nie musimy wracać. Wiedz i to, że gdybyśmy nawet musieli wynieść się stąd, to wszędzie, tylko nie do niego – zarzekała się Zofia.

– Jeżeli te wszystkie warianty odpadają, to czy dowiem się wreszcie, co wydarzyło się dzisiaj, że wyglądasz jak zjawa albo jakbyś ducha zobaczyła?

– O duchach to ty mi nawet nie wspominaj. Już taki jeden opowiadał mi o naszym domu, że niby straszy w nim i duchy usługują do kolacji.

– Kto tu był? Były właściciel posesji przyszedł po pieniądze – odpowiedziała sobie. – Nie chce poczekać na czynsz, krwiopijca jeden – odżegnała od czci i wiary Bogu ducha winnego człowieka.

– To też nie to – uspokajała córkę.

– No to dowiem się wreszcie o co chodzi?

– Był dzisiaj taki jeden co to twierdził, że nasz dom jest nawiedzony.

– Egzorcysta? Jakiś naciągacz? Ja to bym takich psami szczuła – zaperzyła się dziewczyna.

– Nie, żaden tam egzorcysta. Taki jeden gość, żywcem wyjęty z bajek Andersena, albo braci Grimm.
– To jednak, miałam rację – ucieszyła się dziewczyna. – Była ingerencja sił nadprzyrodzonych.
– Kto wie, może i była.
– Duchami to ty się mamo nie przejmuj – racjonalnie podeszła do tematu córka.
– Kilka miesięcy tutaj mieszkamy i żaden nawet piwa nie nawarzył, a już na pewno nie wypił.
– Łatwo ci powiedzieć „nie przejmuj się". A ten chłód to niby skąd? – zdziwiła się, czemu zadała to pytanie. – Na zewnątrz dwadzieścia kilka stopni, a u nas chłodno jak w psiarni. Czym wytłumaczysz to zjawisko, młoda damo? – młoda dama nie miała żadnego mądrego wytłumaczenia.
– Wspominałaś, że z powodu tego mężczyzny który był u nas rano, nie dotarłaś do urzędu. Co on ma z tym wspólnego?

Zofia właśnie chciała opowiedzieć co jej się przytrafiło, gdy w drzwiach pojawił się Jacek.
– Cześć wszystkim – zawołał od progu. – Co na obiad, dajcie coś zjeść, bo umieram z głodu.

Spojrzał na kobiety i z miejsca zauważył, że coś wisi w powietrzu, coś jest na rzeczy.
– A co wy jakieś takie niewyraźne, o czym gadacie? Już wiem, niech zgadnę. Ciągły brak pieniędzy – wymyślił geniusz intelektu. – Może pójdziemy na włam, albo napadniemy na bank – zaproponował. – Wy to nawet bez charakteryzacji mogłybyście...– próbował rozładować atmosferę. Dziewczyny spojrzały niechętnym wzrokiem na żartownisia. Jego dobry humor prysł w jednej chwili.
– Kłopoty finansowe? – zmartwił się. Co prawda nie miał on dużego wpływu na stan konta rodziny, ale zawsze przy takiej okazji obiecywał domownikom, że będzie ograniczał jedzenie.
– Wyobraź sobie, że rozmawiamy o duchach, a nie o żarciu – Aga subtelnie wprowadziła brata w temat.
– O duchach? – powtórzył. – Jak to o duchach, o jakich duchach? Coś was pogięło? Egzorcystę zawezwijcie i po problemie. Przyjdzie taki, pokropi, postraszy i duch czmychnie ani chybi. Chociaż wiecie co? Wystarczy, że wy będziecie w domu i żaden upiór nie odważy się przekroczyć jego progów.
– Cha, cha, ale śmieszne. Ty sobie bracie jaj nie rób, bo tu o ważną rzecz chodzi – rozkręcała się siostra. – Zimno w mieszkaniu jest? ... Ano jest – odpowiedziała za Jacka pytająca. – A wiesz durniu, czemu jest zimno? Nie wiesz? Już ci mówię. Widzisz, jak nikogo nie ma w domu, to te monstra urządzają sobie harce po pokojach i robią wiatr, który wywiewa całe ciepło. Takie zjawisko nazywają przeciągiem.

– A widzicie – podłapał temat Jacek. – Jak nikogo nie ma w domu – triumfował.
– Czyli wystarczy jak któraś z was będzie stała na straży ogniska domowego i duchy będą załatwione.
– Mamo, wytłumacz temu baranowi o co chodzi.
– Szczerze przyznam, że sama do końca nie wiem o co chodzi, poza tym, że jest nienaturalnie zimno. Ale co jest tego przyczyną? Kto wie, może faktycznie duchy.

Syn spojrzał na matkę nieco zakłopotany.
– Roooozumiem, chyba rozumiem. Nic nie rozumiem – doszedł do wniosku najmłodszy członek rodziny. – Dobrze, niech i tak będzie, ale mam nadzieję, że ci nieproszeni goście obiadu mi nie pożarli.
– Siadajcie do stołu – zakomenderowała. – Zaraz podam.

Podczas posiłku, rozmawiali o tym i owym, ale Zofia nie była sobą. Coś ją gnębiło, coś leżało na sercu. Dopiero po obiedzie zebrała się w sobie i zdecydowała opowiedzieć o wszystkim, co jej się przytrafiło tego dnia.
– Rano był u nas pewien mężczyzna, – spojrzała na córkę szukając potwierdzenia swych słów. – Otóż ten mężczyzna...

Mimo powagi całej sytuacji, łatwo sobie wyobrazić jaka była reakcja rodzeństwa na opowiadaną przez matkę niewiarygodną historię. Docinkom, przytyczkom i żartom podczas opowieści nie było końca. Gdy już wyłuszczyła całą sprawę, zaskoczeni słuchacze spojrzeli po sobie, popukali się w głowy i jak na zawołanie parsknęli śmiechem.
– Wiesz co, matka? – powiedział syn. – To już o tych duchach było bardziej prawdopodobne.
– Ja też długo nie mogłam uwierzyć temu Kowalskiemu, ale zapewniam was, że to wszystko, co wam powiedziałam, jest szczerą prawdą. Ten mężczyzna naprawdę był tu dzisiaj. Po co miałabym zmyślać tak absurdalną historię? – broniła się.
– Żeby nie iść do tego przeklętego urzędu – przedstawiła całkiem racjonalny powód Agata.
– Czy ja dzieckiem jestem? Wierzcie mi, odwiódł mnie od tego zamiaru argumentami, które wam przedstawiłam. A po drugie, gdyby nawet był to czyjś niewybredny żart to stracimy dwa dni. Nic wielkiego z tego powodu się nie stanie.

Co prawda to prawda – zgodzili się oboje.
– No, no, ale żeby tak ojca potraktował – zauważyła córka. – Pewnie przeleciał mu żonę? Cha, cha.
– Jak ty się wyrażasz o ojcu? – Zofia udawała, że staje w obronie Stefana.
– Kobieciarzem to on zawsze był, ale żeby tak niefortunnie umoczył? – Agata ciągnęła wątek.

– Wy sobie jaj nie róbcie, bo to nie są żarty, a mnie wcale nie jest do śmiechu. Pojutrze przekonacie się kto miał rację i dopiero wtedy będzie wam łyso – z przekonaniem w głosie zapowiedziała Zofia.
– Wybacz matuś – odezwał się młodszy – ale nie wymagaj od nas abyśmy uwierzyli w takie, za przeproszeniem, pierdoły.
– Pytam was po raz ostatni. Czy zgadzacie się na wspomniany warunek dotyczący waszego ojca? – zapytała podniesionym głosem.

Jacek z Agatą ponownie spojrzeli po sobie. Widząc, że matka bardzo poważnie podchodzi do tematu, rad niewola wyrazili zgodę, ale tylko po to, żeby ją uspokoić.
– Ty, mamo, na poważnie z tymi pieniędzmi – niedowierzała córka. – Wybacz, że nie podchodzimy do tematu zbyt serio, ale gdybyś siebie posłuchała, zareagowałabyś podobnie. Przecież to jakiś absurd. Kto rozdaje takie pieniądze i za co?
– A wy myślicie, że ja wiem? A jak ja zareagowałam na te bzdury? Chciałam go nawet psami poszczuć, tylko, że my jeszcze psów nie mamy. Najdziwniejsze jest to, że on był bardzo przekonywujący w tym co robił. Sądzę, że mówił serio. Przekonamy się za dwa dni. Jedyny warunek jaki stawiał to taki, żeby przez pięć lat nie dać ani grosza Stefanowi, to znaczy waszemu ojcu.
– To chyba da się zrobić. Myślę, że przeżyje bez naszych pieniędzy. Do tej pory musiał radzić sobie sam, więc nie widzę przeciwwskazań – zdeklarowała się nieświadoma swoich słów córka.
– W takim razie ja też nie widzę – odpowiedział syn.

Założone na oczy klapki, sklejone z pieniędzy przesłoniły im szersze spektrum postrzegania problemu.
– Odnoszę wrażenie, że ciągle mi nie dowierzacie – zauważyła matka.

Dzieci nic nie odpowiedziały, bo i trudno było ciągle spierać się o to samo.
– W takim razie mam do was jedną prośbę. Pojutrze o godzinie osiemnastej macie być w domu na spotkaniu z mecenasem. Zrozumiano!?
– Dobrze – zgodzili się, żeby uspokoić matkę i zamknąć temat.
– Na potwierdzenie moich słów coś wam jeszcze pokażę – przypomniała sobie akt notarialny, który zostawił adwokat. – Gdzie on jest? – szukała wszędzie. – Przecież tutaj go położyłam. Czyżby Kowalski go zabrał? Ale po co? Zaraz zadzwonię do tego adwokaciny i powiem mu kilka słów do słuchu…
– Nie ma potrzeby mamo – uspokajał syn. – Poczekajmy do pojutrza.
– Niech tak będzie – przystała na propozycję skołowana i zrezygnowana Zofia.

Rozdział VIII

Czas oczekiwania na spotkanie z adwokatem dłużył się Mocnej niemiłosiernie. Nieszczęsna kobieta na próżno szukała wsparcia duchowego u swoich dzieci, te bowiem w przeciwieństwie do matki, bardzo lekceważąco podchodziły do tematu niecodziennej darowizny. Jedyne na co mogła liczyć, to na obligatoryjny pakiet drwin, kpin i żartów pod swoim adresem.

– Ciebie mamo tylko po coś posłać i zaraz same kłopoty. Miałaś załatwić jedynie marny zasiłek, ale to ci nie wystarczyło, ty musiałaś narait nam jakiegoś bogacza, który rozdaje miliony. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak stresująco może na nas wpłynąć taka nagła zmiana społecznego statusu? Jakim piętnem może to się odbić na naszym przyszłym życiu? – ostrzegał syn.

– Ty się ciesz, że mama szczęśliwie nie pojechała po paliwo, bo by nam jakiegoś szejka do domu sprowadziła i dopiero mielibyśmy kłopot – dołożyła córka.

– A gdyby tak wysłać mamę po węgiel to...

Zofia nie wytrzymała.

– Jęzory wam powyrywać to mało, za te wasze durne gadanie! A gdybym spotkała szejka, to wiecie o co bym go poprosiła? – zapytała niby złośliwie. – O odrobinę, co ja mówię odrobinę, o baryłkę oleju, żeby napełnić te wasze puste głowy – odgryzła się.

Takie i im podobne rozmowy wypełniały rodzinie czas oczekiwania na obiecanego zbawcę.

Zofia, żyjąca każdą minutą oczekiwania, będąca pod ciągłą presją, nie była w najlepszej formie, co wyraźnie odbiło się na jej samopoczuciu.

Przecież sobie tego wszystkiego nie wymyśliłam. Ja tego człowieka naprawdę spotkałam i rozmawiałam z nim – przekonywała siebie. Z drugiej jednak strony – przypomniała sobie – wiele razy zakładałam, że jedynym ratunkiem na zażegnanie tych cholernych kłopotów byłby jakiś cud. Bo czym, jak nie cudem, należałoby nazwać ofertę tego jegomościa? Czyżby z moją głową było coś nie tak – zaczynała powątpiewać w swoje zmysły. Eee tam – pocieszała się. Ze mną jest wszystko w porządku, a Kowalski na pewno zjawi się w umówionym terminie.

– A gdyby zjawił się ten mecenas i naprawdę zaoferował nam te pieniądze, to na co wydalibyście je? Jakie są wasze marzenia? – zapytała matka przy okazji wspólnej, skromnej kolacji przy sucharku.

Jeszcze kilka dni wcześniej, zastanawiali się jak powiązać koniec z końcem, jak przeżyć kolejny dzień, a teraz, chociażby sama świadomość, sama myśl o milionach wprowadzała wszystkich w lepszy nastrój. Już przytyli. Zofia chciałaby wreszcie wyremontować dom, uporządkować posesję i zwiedzać świat. Młodzi, jak to młodzi: samochody, imprezy i ciuchy. Czegóż można chcieć

więcej? Wizja beztroskiego życia była na wyciągnięcie ręki, pod warunkiem, że umówionego dnia, o umówionej godzinie pojawi się obiecywany, tajemniczy prawnik. Niczym dżin „Z baśni tysiąca i jednej nocy" spełniający marzenia.

Wreszcie nadeszła oczekiwana środa – dzień spotkania z adwokatem. Jacek z Agatą, którzy nigdy nie widzieli Kowalskiego z pewnością nie przeżyliby tak wielkiego zawodu jak Zofia, gdyby ten z jakiegoś powodu nie stawił się na umówione spotkanie.

A może matce w głowie coś się pomieszało od tych wszystkich trosk i zgryzot? – zastanawiało się rodzeństwo. Fizycznie wygląda całkiem normalnie, ale co dzieje się w jej umyśle? – tego nie wiedzieli i stąd brały się ich zmartwienia.

Zofia, mimo, że próbowała zachować spokój i grać przed dziećmi obojętną i wyluzowaną, wewnętrznie była jednym kłębkiem nerwów. Ciągle zastanawiała się – przyjdzie... czy nie przyjdzie? Taka pomoc, taki zastrzyk gotówki – myślała. Przecież to by rozwiązało wszystkie nasze problemy. Ale czemu, ktoś miałby darować nam tak duże pieniądze – wkradało się w jej serce zwątpienie. Wewnętrzna walka dobra ze złem trwała do ostatniej chwili. Napięcie rosło z każdą upływającą minutą. Zjawi się, czy nie?

Przed osiemnastą, cała rodzina zebrała się w salonie w oczekiwaniu na tajemniczego gościa, który obiecywał mannę z nieba. Jacek z Agatą, najwyraźniej dla dodania sobie animuszu, cały czas żartowali, a obiektem tych żartów była oczywiście nieszczęsna matka.

– Tyle szmalu to chyba tirem przywiezie – zauważył chłopak.

– Jak taki bogaty? To może helikopter wynajmie. Tylko gdzie wyląduje? Szkoda byłoby takiej forsy gdyby się gdzieś na drutach zawiesił. Prawda mamo? – z poważną miną wyrażała troskę o losy pieniędzy córka.

Zofia gryzła palce i nic nie odpowiadała.

– Takie pieniądze. Pomyślcie tylko ile naszych problemów by one rozwiązały – powiedziała z melancholią w głosie.

– A ile mogłyby przysporzyć – zauważył Jacek.

– Od przybytku głowa nie boli. Jakież to można mieć problemy, gdy się ma tyle pieniędzy? – zapytała Zofia.

– Kto to wie? Jeżeli ten Kowalski naprawdę przyjdzie, to ja widzę w tym jakiś szwindel, – stwierdził Jacek przyjmując zachowawczą postawę.

Pozostało ledwie kilkanaście sekund do osiemnastej, a żaden tir nie zajeżdżał przed posesję Mocnych. Huku silników nadlatującego helikoptera też nie było słuchać. Powoli wszyscy zaczęli powątpiewać. Rozczarowanie malujące się na twarzy Zofii było tak wymowne, że dzieciom zrobiło się jej naprawdę żal. Kiedy już na dobre żegnali się z obiecaną fortuną, punktualnie o umówionej godzinie, do drzwi państwa Mocnych zadzwonił dzwonek. Wszyscy oczekujący w napięciu „godziny zero" aż podskoczyli z nerwów. To jednak zjawił się –

przebiegło im przez myśl. Oniemiali z wrażenia czekali na rozwój wypadków. Po kilku sekundach odezwał się drugi dzwonek i kolejny.

Pierwsza głos odzyskała Zofia.

– No i co, zatkało was? Jaja sobie robię, przyśniło mi się? – ciągnęła z oznakami triumfu w głosie. – Co teraz powiecie?

– Rusz się ofermo! – rozkazała przytłumionym głosem matka patrząc na syna.

Dotychczasowy trefniś wyglądał jakby nagle zobaczył wspominanego wcześniej ducha..

– No otwórz, nie pozwól panu Kowalskiemu czekać przed drzwiami, bo mu jeszcze jacyś złodzieje zabiorą nasze pieniądze – Zofia była górą.

Jacek, z przyklejoną do twarzy głupawą miną, niepewnym krokiem podszedł do drzwi.

– No otwórz, nie bój się pana – ponaglała, odczuwając niewypowiedzianą satysfakcję.

Chłopak zebrał się w sobie, chwycił za klamkę, szarpnął nerwowo spodziewając się Bóg wie kogo zobaczyć. A zobaczył niepozornego człowieka, w szarym garniturze, uśmiechającego się do niego serdecznie

– Dzień dobry panie Jacku! – zwrócił się do chłopaka po imieniu. – Dobrze mówię, pan…

– Tak, tak – potwierdził chłopak sprawiający wrażenie lekko rozczarowanego.

Rozczarowanie wynikało stąd, że przybysz trzymał w ręce jedynie niewielką teczkę i to całkiem płaską. Obiecywanego szmalu w niej na pewno nie było. Może to nie on? – pomyślał.

– Czy pan Kowalski – zapytał?

Przybysz potwierdził.

– Pan Jan Kowalski? – próbował się upewnić odźwierny.

– Tak. Jan Kowalski. Przyszedłem…

– Wiem z czym pan przyszedł. Proszę wejść – wybełkotał rozczarowany chłopak.

Niepewne miny młodzieży były aż nazbyt wymowne. Za to Zofia triumfowała. Nie potrafiła ukryć satysfakcji, jakiej dostarczył jej adwokat swoim przybyciem.

– Zapraszam, zapraszam do środka, panie Janie – w jednej chwili, ledwo znany jej dotychczas człowiek, stał się najbliższą osobą na świecie. Gdyby mogła uściskałaby gościa, a może i wycałowała – taka była szczęśliwa.

– Nie miał pan jeszcze okazji poznać moich latorośli. Proszę im wybaczyć te durne miny. Oni do ostatniej chwili nie wierzyli, że pana sobie nie wymyśliłam, że pan naprawdę istnieje i przyjdzie na spotkanie.

– Przyznam szczerze, że nawet się im nie dziwię, bo kto przy zdrowych zmysłach uwierzyłby w tę całą historię? – wypowiadając te słowa spojrzał w kierunku Mocnej, której mina przejawiała oznaki sporego zmieszania. – To znaczy,

chciałem powiedzieć... – próbował się tłumaczyć z popełnionej gafy.
– Otóż to panie mecenasie. Kto przy zdrowych zmysłach uwierzyłby w to wszystko? Muszę przyznać, że chwilami i ja wątpiłam w moje zdrowe zmysły. I to za pańską przyczyną – pogroziła adwokatowi palcem. – Chciałam przedstawić panu moje dzieci: Jacek i Agata.
– Oryginalnie, bardzo oryginalnie, niemal jak moje imię i nazwisko – gość pozwolił sobie na drobny sarkazm. – Córkę miałem przyjemność poznać dwa dni temu, ale to było takie przelotne, nieoficjalne spotkanie – podkreślił. – A teraz to co innego.
– Kochani, przywitajcie się z panem Janem Kowalskim – odgryzła się Zofia.

Zawsze musi mieć ostatnie słowo – pomyślał Kowalski.

– Skoro już się poznaliśmy – przejął inicjatywę adwokat – możemy przystąpić do formalności związanych z moim do państwa przybyciem.

Durnowaty uśmiech nie przestawał gościć na twarzach rodzeństwa.
– To, to, to... to, to wszystko o tych milionach, to pr...? – Agata nie skończyła myśli.

Na szczęście brat, chociaż równie oszołomiony, zdołał podtrzymać siostrę, której pomógł usiąść, a bardziej osunąć się bezwładnie na krzesło.
– Proszę się niczym nie przejmować – uspokajał Jacek przybysza. – Takie odjazdy są w naszej rodzinie na porządku dziennym. Bardzo wrażliwe z nich istoty – tłumaczył z nutką sarkazmu w głosie.
– Zauważyłem. To już druga z pań mdleje w mojej obecności. Czyżbym ja miał taki wpływ na kobiety – wysilił się na żart prawnik.

Cucenie Agaty nie trwało długo. Po kilku minutach niedawna jeszcze bohaterka zaczęła dochodzić do siebie.
– Weź się w garść i nie przedłużaj – poprosiła Zofia. – Posłuchajmy, z jaką propozycją przybywa do nas pan mecenas.
– Mamo, czy ja ciągle śnię? – zapytała półprzytomna jeszcze dziewczyna.
– Nie córciu, to dzieje się naprawdę. Chociaż mi też trudno w to uwierzyć – odpowiedziała matka.

Gdy już wszyscy członkowie rodziny powrócili do zdrowych zmysłów, Kowalski zwrócił się do zebranych, a w szczególności do młodszego pokolenia.
– Rozumiem, że mama wyjaśniła wam powód naszego dzisiejszego spotkania? – zapytał wodząc wzrokiem po obecnych.
– Niby tak, ale jak by to powiedzieć, żeby pana i mamy nie urazić... – odważyła się zabrać głos Agata.
– Rozumiem. Wszystko rozumiem. Do samego końca nie dawaliście wiary takiej ewentualności.
– A pan by w to wszystko uwierzył? Przecież to jakiś kosmos. Pieniądze za nic? Przecież to absurd! – przedstawiła swoje stanowisko dziewczyna.

– Najmocniej przepraszam, ale są pewne warunki. Czy wspomniała pani o nich? – zwrócił się do Zofii.
– Ależ tak, oczywiście – zapewniała Mocna.
– W takim razie dam każdemu z państwa po egzemplarzu umowy i poczekam na zapoznanie się z nią. Bardzo proszę uważnie sczytać warunki, bo to właśnie one stanowią clou całego kontraktu – jeszcze raz podkreślił.

Kilkanaście minut zajęło Mocnym sczytanie umowy ze zrozumieniem. Kiedy wszyscy dali znać, że skończyli Kowalski przejął inicjatywę.
– Wnioskuję, że zapoznaliście się państwo z treścią dokumentu i wszystko jest zrozumiałe – zapytał gwoli ścisłości.

Mocni jednogłośnie potwierdzili.
– W takim razie chciałbym oficjalnie zapytać, czy zgadzacie się państwo przystać na zawarte w niej warunki?

Mecenas zadając pytanie bacznie wodził wzrokiem po zgromadzonych, próbując wyczytać odpowiedź z ich wyrazów twarzy.
– Czy – w tym momencie zwrócił się bezpośrednio do Jacka – jesteś gotowy zastosować się do wszystkich warunków zawartych w umowie?
– Ja, ja... – zaciął się zaskoczony, że to on jako pierwszy musi decydować. Spojrzał na matkę, spojrzał na siostrę, jeszcze raz na matkę. Twarze kobiet były bez wyrazu, nie zdradzały żadnych emocji. Wiedział, że decyzję musi podjąć sam.
– Mogę później zdecydować? – próbował wymigać się od odpowiedzialności i odpowiedzi.
– Niestety, nie – bezpardonowo odparł adwokat. – Decyzja każdego członka rodziny musi być niezależna i podjęta zgodnie z jego własnym sumieniem.
– Poza tym, że ojcu nie mogę dać ani grosza – upewniał się po raz kolejny – to tymi pieniędzmi mogę dysponować w dowolny sposób, bez żadnych ograniczeń?
– Jak najbardziej – potwierdził prawnik powagą urzędnika państwowego.
– W takim razie zgadzam się. Podpisuję!
– A pani, pani Agato, czy jest gotowa zawrzeć i respektować warunki umowy?

Jeszcze do niedawna Agata nie traktowała całej tej sprawy nazbyt poważnie, teraz zaś przyszła na nią kolej i trzeba było decydować. Odpowiedzi były tylko dwie, tak lub nie. Umowa nie przewidywała kompromisów.
– Jest pan bezlitosny, bez serca, jak pan tak może? – krzyczała córka. – Chce pan żebyśmy wyrzekli się własnego życia, przeszłości, rodziny i własnego ojca?
– To nie ja, proszę pani, taki jest warunek darczyńcy, ja jestem tylko narzędziem, bezwolnym wykonawcą jego woli. Może pani zrezygnować i będzie po sprawie. Wyjdę stąd i więcej nie powrócimy do tematu, zapomnimy o wszystkim, a życie państwa będzie toczyło się dawnym trybem.
– O nie, drogi panie, nic już nie będzie tak jak dawniej – syknęła dziewczyna. –

Zjawił się pan tutaj nie wiadomo skąd, nie wiadomo od kogo mamiąc nas takimi pieniędzmi, że zwykły śmiertelnik mógłby dostać od tego zawrotu głowy i nie ukrywam, że my też. Zaburzył pan nasz spokój. Może dotychczas nie żyliśmy jak krezusi, ale jakoś wiązaliśmy koniec z końcem nie przymierając głodem. Przejściowe, powtarzam przejściowe kłopoty finansowe naszej rodziny, nie upoważniają pana do włażenia z buciorami w nasze życie – wyjawiła swoje stanowisko rozemocjonowana dziewczyna.
– Zdaję sobie z tego sprawę – próbował usprawiedliwiać się pełnomocnik. – Ale niech i mnie postara się pani zrozumieć – tłumaczył adwokat. – Ja jestem tylko wykonawcą woli zleceniodawcy. Taka jest moja praca. To nie ja ustalałem zasady, to nie ja byłem tak bezduszny – dodał na swoją obronę.
– Jak pan sobie wyobraża dalsze nasze życie? – zapytała wręcz napastliwie. – Jaki mamy wybór? I czy w ogóle mamy jakiś wybór? – zapytała retorycznie.
– Podpiszemy? Źle. Nie podpiszemy? Jeszcze gorzej. Do końca życia nie poznamy odpowiedzi.
– Do niczego zmuszać pani nie będę, bo nie mam takiego prawa. Decyzja jaką pani podejmie będzie dla mnie wykładnią. Wiem, że nie jest łatwa, ale musi być ostateczna – zdecydowanym głosem oznajmił Jan próbując zakończyć dyskusję.
– Czy darczyńca nie pozostawił żadnej furtki? – usiłowała znaleźć jeszcze jakieś rozwiązanie.
– Niestety nie. Ten warunek umowy jest wyraźnie sprecyzowany i nie podlega negocjacji, nie ma od niego odstępstwa – podkreślił z wyraźnym naciskiem na nie.
– Będę smażyć się w piekle, ale propozycja jest zbyt kusząca. Wybacz tato. Zgadzam się.
– Teraz pani, pani Zofio.
– O, ja nie mam żadnych moralnych rozterek. Z radością podpiszę ten „cyrograf".
– Pragnę zauważyć, pani Zofio, skoro dotykamy tak delikatnej materii i posługujemy się takimi porównaniami, że zarówno nasz Twardowski jak i Faust, aż tak dobrze na tych cyrografach nie wyszli.

Jan próbował dać wszystkim jeszcze jedną szansę na gruntowne przemyślenie swoich decyzji. Spojrzał po obecnych, ale oni już nie słuchali, już myśleli o przyszłych milionach. Na twarzy adwokata pojawił się diaboliczny uśmiech. Co on miał oznaczać? Bóg jedyny wiedział i wysłaniec..., który sprawiał wrażenie wyraźnie zadowolonego z faktu, że dopiął swego.
– Na nasze szczęście, nie sprzedajemy duszy diabłu – zauważyła Zofia.

Ostatnie słowa uwięzły jej w gardle! Trudno powiedzieć, co miała na myśli mówiąc, że nie sprzedajemy „duszy", czy że „diabłu"? Jeden fakt był bezsporny – wybrali mamonę pozostawiając Stefana samemu sobie.
– Skoro wszyscy wyrażacie zgodę na podpisanie wspomnianej umowy –

stwierdził adwokat – proponuję przystąpić do ostatniego aktu.

Zainteresowani spojrzeli porozumiewawczo po sobie i ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy przypieczętowali układ.

– Jest jeszcze jedno, może mało istotne, ale jednak zastrzeżenie – zauważył adwokat.

– Jakież to? – zapytali chóralnie.

– Czyżbyśmy coś przeoczyli? – dopytywała zaskoczona Zofia w swoim i dzieci imieniu.

– To taka formalność, mało istotna rzecz – bagatelizował zapis Kowalski.

– Czy może wyrażać się pan jaśniej – próbowała dowiedzieć się czegoś więcej Zofia.

– Proszę spojrzeć na punkt 2 paragrafu 6.

Mocna wzięła do ręki plik dokumentów i zaczęła wertować kolejne strony umowy.

– No mam.

– No i co mówi ten punkt?

– „W ciągu pięciu lat od dnia podpisania umowy, żaden z członków rodziny nie ma prawa podjąć żadnej pracy zarobkowej." Aaa, to – Zofia dała wziąć się na lep. – Po co nam pracować skoro będziemy rozporządzać takim majątkiem. Zapewniam pana, że nikt z tu obecnych nie zhańbi się przez ten czas pracą.

W tym momencie słowa jej, nie do końca konsultowane z rozumem przesądziły o losach rodziny.

– Prawda, dzieci? – zwróciła się do młodszego pokolenia. – Nie będziemy mieli żadnego kłopotu z wypełnieniem warunków tego zapisu? – niestosowne, szydercze uśmiechy młodych Mocnych potwierdzały słowa matki.

Klamka zapadła. Umowa została zawarta. Dokumentów było sporo, bo i umowa dotyczyła ważkich problemów i opiewała na duże kwoty. Kowalski biorąc do ręki każdą kolejną kartkę, czytał wyraźnie jej treść, po czym pytał – Czy treść dokumentu została przez wszystkich zainteresowanych zrozumiana? – Tak, rozumiemy, tak zgadzamy się – potwierdzali swoją wolę. Mocni, będący już myślami w innym, lepszym świecie, w świecie zbudowanym z kości słoniowej, złota i brylantów, w świecie w którym słownik nie zawiera słowa smutek, nędza, problemy, oraz ich synonimów. Nie do końca zainteresowani byli formalnymi aspektami umowy, która stanowiła o ich przyszłości. Po zakończeniu całej skomplikowanej procedury, pełnomocnik poprosił beneficjentów o złożenie własnoręcznych podpisów.

– Czy mamy podpisać krwią? – zażartowała Zofia.

– Wystarczy atramentem – chłodno odparł adwokat.

Zofia zrozumiała swój nietakt, ale nie dała tego po sobie poznać. – Kto tu do cholery jasnej został milionerem, ja, czy ten adwokacina? – pomyślała.

– Jeszcze ma czelność osądzać mnie, nas. Niech czyni, co do niego należy, to za co mu płacą. Jest w końcu profesjonalistą czy amatorem? Ciekawe, jak sam zachowałby się w analogicznej sytuacji?...

Właśnie, sumienie wzięło pierwszego kęsa, bo w salonie zrobiło się jakby chłodniej.

Rozdział IX

Podpisanie przez Mocnych, tej dość osobliwej umowy, otwierało przed nimi nowe horyzonty, bramy raju przysłaniając jedynie maleńką furtkę prowadzącą na rubieże nieznanego. Dnia następnego, na osobistych kontach każdego z członków rodziny pojawiła się okrągła sumka. Takie pieniądze, tak duże pieniądze, pieniądze które mogli dotknąć, wąchać, czuć i obracać, zawróciły im w głowach bez reszty. Wszystkie dotychczasowe troski dnia codziennego odeszły w zapomnienie. Liczyło się tylko tu, teraz i niczym niezmącona przyszłość. Postrzegając świat przez pryzmat bogactwa, nie tracili czasu na zastanawianie się w czym tkwi haczyk tego nietypowego paktu, bo to, że w czymś tkwi, musiało być nawet dla nich, zaślepionych blaskiem złota, rzeczą oczywistą.

Na swoje nieszczęście, nowobogaccy zapomnieli na chwilę o jednej istotnej rzeczy – *„Nie wszystko złoto co się świeci"*.

Jak mądrze wykorzystać spadły z nieba deszcz pieniędzy? – zastanawiali się wspólnie. Przysłowie mówi „Od przybytku głowa nie boli". Okazało się, że nie jest to tak do końca prawdą. Czasami może boleć i to bardzo. Wiele wieczorów spędzili na poszukiwaniu mądrych rozwiązań i nic. Im dłużej zastanawiali się nad problemem, tym bardziej zaczynali uzmysławiać sobie powagę sytuacji.

– Tyle szmalu. Może by w coś zainwestować – podsunął pomysł Jacek.

– Czy ty znasz się na tym? A może ja lub mama zrobiła skrócony kurs maklera giełdowego? – naskoczyła na brata bez powodu siostra.

– Wiem – wtrąciła się do rozmowy matka. – Część pieniędzy włożymy na konto oszczędnościowe, a pozostałe środki wykorzystamy na bieżące potrzeby.

Pomysł rodzicielki może nie był zły, ale młodemu pokoleniu Mocnych nie przypadł do gustu.

– Mamo! My chcemy poczuć to bogactwo, chcemy wreszcie żyć pełnią życia – powiedziała w imieniu rodzeństwa Agata.

– Doskonale was rozumiem, ale pamiętajcie, to są ogromne pieniądze. Zrobicie z nimi, co będziecie uważali za stosowne. Tylko błagam, zawsze dwa razy zastanówcie się zanim coś raz postanowicie – przestrzegała matka.

– Nie bój nic, mama – zapewniali rozentuzjazmowani wizją łatwego życia, świeżo upieczeni milionerzy. – Pracować nie możemy i nie musimy, to co będziemy robić – wydawać pieniądze! To musi być ogromna frajda – stwierdzili

nie bez racji.

Wielce rozemocjonowanym, młodym Mocnym, gdy wypowiadali te słowa, oczy świeciły się jakimś dziwnym blaskiem. Matka widząc, że w tym sporze stoi na z góry przegranej pozycji poddała się.

– To będzie sprawdzian waszej dorosłości. Zobaczymy co z tego wyniknie? – powiedziała nieco zafrasowana o przyszłość potomków.

Rozdział X

Zofia właśnie krzątała się w ogródku. Postanowiła bowiem, własnym sumptem, uporządkować nieco ogród, gdy usłyszała za sobą męski głos.

– Dzień dobry! My do pani Zofii Mocnej. Przysyła nas pan Jan Kowalski – wyjaśnił przedstawiciel ekipy.

– Jak to przysyła? I po co przysyła?

– Wszystko wyjaśnię właścicielce posiadłości – poinformował mężczyzna spoglądając z wyższością na kobietę grzebiącą w ziemi.

– Słucham, czym mogę służyć?

Lodowa pani owionęła wzrokiem stojących przed nią mężczyzn, a w powietrzu powiało chłodem.

– Najmocniej przepraszam – zreflektował się arogant, lecz było już za późno. Zofia spojrzała niemal z pogardą na przybysza, co nie uszło jego uwadze.

– To pani – zmieszał się. – Jeszcze raz najmocniej przepraszam – próbował ratować sytuację.

– Tak, to ja. A kogo pan się spodziewał ujrzeć? Perską królową? Jak według pana powinna wyglądać kobieta żeby zasłużyła na odrobinę szacunku? – naskoczyła poirytowana na człowieka.

– Proszę mi wybaczyć, ale, rozumie pani. Nie pomyślałem …

– No dobrze, już dobrze – okazała wielkoduszność biedakowi. – Niech mi pan łaskawie wyjaśni o co chodzi? – Właścicielka posiadłości wyprostowała się dla zrobienia większego wrażenie na przybyszach, zdjęła gumowe rękawice i uśmiechnęła się dobrodusznie.

Mężczyźni przedstawili się i pokrótce wyjawili cel swojej wizyty.

– Ogromnie się cieszę – rzekła gospodyni wysłuchawszy z czym przychodzą. Hmm, to i o tym pomyślał – uśmiechnęła się w duchu. – Zapraszam do środka.

Rozmowa trwała długo, dotyczyła bowiem kompleksowych prac związanych z modernizacją posesji. Zofia nie do końca wiedziała na co może sobie pozwolić, za to przybysze doskonale byli zorientowani w temacie. Dziwnym zrządzeniem losu mieli już przygotowane wstępne projekty, które tylko czekały na akceptację właścicielki.

Zofia, im dłużej studiowała przedstawiony jej materiał, tym bardziej

dochodziła do przekonania, że ktoś, kto je przygotowywał musiał znać jej gust i upodobania, wręcz czytał w jej myślach.
– No i co? Czy zaakceptuje pani wstępny projekt? – zapytał kierownik ekipy
– Oczywiście – bez wahania zgodziła się Zofia.
– Jeżeli chciałaby pani wprowadzać jakieś zmiany, to do momentu zakończenia etapu projektowania uwagi pani będą dla nas cennym źródłem informacji – zapewniał zbity pies merdając ogonkiem w celu przypodobania się pani.
– Ależ to jest doskonałe – krzyknęła zachwycona po przestudiowaniu projektu.
– Ale! Jeżeli mogłabym nanieść kilka drobnych zmian, to chętnie to uczynię – powiedziała znacznie spokojniejszym głosem. – Czy może mi pan zostawić jeden egzemplarz? – natychmiast zapaliła się do możliwości kreowania nowego wizerunku posiadłości.
– Ten jest przygotowany z myślą o pani – nie przestawał machać ogonkiem reprezentant ekipy.
– To doskonale. Dajcie mi panowie kilka dni, no powiedzmy pięć, na naniesienie kilku drobnych poprawek, po czym spotkamy się i porozmawiamy na temat szczegółów – mówiła z wypiekami na twarzy.
– To pani dom i to pani decyduje o jego ostatecznym wyglądzie – ustępował pola projektant.

Czego, jak czego, ale pomysłów Zofii nigdy nie brakowało. Rzuciła się w wir pracy całkowicie zapominając o niedawnych jeszcze udrękach związanych z permanentnym brakiem płynności finansowej. Drobne zmiany w projekcie, o których wspomniała na wstępie, zmieniły się w prawdziwą rewolucję. Raz puszczona w ruch, lawina Zosinych pomysłów nie mogła się już zatrzymać. Najchętniej przerobiłaby wszystko i oczywiście na swoja modłę. Jak pomyślała, tak zrobiła. Całymi dniami spierała się z projektantami o najdrobniejsze nawet detale. Kompleksowe prace miały być prowadzone na trzech frontach: dom, ogród oraz aranżacja i wystrój wnętrz.

Bryłę domu należało zmienić, budynek rozbudować zgodnie z autorskim projektem pani Zofii. Ogród i nasadzenia – to była fraszka, kaszka z mlekiem. Okazało się bowiem, że właścicielka ma i do tego smykałkę. Dopełnieniem zdolności plastycznych oraz dobrego smaku był projekt aranżacji wnętrz – w tym celowała. Ukryte dotychczas talenty eksplodowały tysiącami pomysłów. Domorosła projektantka zadbała o najdrobniejsze szczegóły, chciała bowiem żeby wszystko w jej nowym domu wyglądało tak, jak sobie to wymarzyła przed laty. Marzenia się spełniają – pomyślała widząc już oczami wyobraźni efekt końcowy. Projektantowi nie pozostawało nic innego, jak zaakceptować „drobne" poprawki właścicielki posesji.

Po tygodniu sporów, „burza mózgów" zakończyła się względnym porozumieniem. Zaakceptowany przez wszystkich projekt przebudowy, nabrał

realnych kształtów, nadawał się do realizacji. Pod czujnym okiem właścicielki roboty ruszyły całą parą. Przy całym rozmachu przedsięwzięcia prace posuwały się systematycznie do przodu. Jedna ekipa zajęła się wiekowym płotem, druga ogrodem, trzecia burzeniem, inna stawianiem itd. Na szczęście dla Zofii, wszyscy wykonawcy doskonale wiedzieli, co do nich należy. Cieszyła właścicielkę taka organizacja pracy.

Tymczasem na sąsiedniej parceli pojawili się jacyś obcy ludzie. Z początku chodzili tylko, patrzyli, coś tam mierzyli, wytyczali i kręcili głowami. Poza tym, z pozoru, nic się nie działo. Zofia wiele razy dopytywała swoich pracowników, czy aby nie wiedzą, jako koledzy po fachu, co to dzieje się za płotem. Niestety, nikt nie posiadał żadnych informacji. Po kilku dniach działań przygotowawczych, na posesję zaczęły zjeżdżać różne sprzęty, machiny oblężnicze, a wraz z nimi oddziały potrafiące robić z nich użytek.

– A cóż tam się dzieje, u diabła? – pytała głośno. – Bunkier, albo nie daj Boże jakiś schron będą budować – naśmiewała się nie wiedzieć czemu z inwestycji sąsiada.

Przemożna ciekawość kobieca dała o sobie znać. Trzeba by wysłać kogoś rozgarniętego, żeby zorientował się w temacie. Wiedzieć nie zaszkodzi – pomyślała. Na zwiad poszedł jeden inżynierek, który sprawiał wrażenie całkiem rezolutnego, młodego człowieka. Posłaniec nie wracał dobrą godzinę. Powoli Zofia zaczynała tracić cierpliwość, gdy ni stąd, ni zowąd stanął przed nią pan Robert.

– No i co, czego się pan dowiedział? – dopytywała.

– Otóż, widzi pani, na tę chwilę niewiele…

– A to czemu? – przerwała Zofia. – Co, to jakaś tajemnica?

– Jakby pani zgadła, szanowna pani.

– Jak nic pod moim nosem wybudują bunkier – martwiła się.

– Będzie pani miała blisko w razie czego – zażartował któryś.

– W razie czego? – spojrzała przenikliwym wzrokiem na mężczyznę.

– Tak tylko powiedziało mi się, żartowałem – wycofał się trefniś.

– Czy mogę kontynuować? – spytał Robert, przerywając niemiłą wymianę zdań.

– Właścicielem posesji jest jakiś tajemniczy, ekscentryczny milioner mieszkający na stałe za granicą. Otóż postanowił on powrócić po latach do kraju ojczystego i osiedlić się tu na stałe. Zależy mu bardzo na czasie, stąd to szalone tempo prac. Na szczęście dla nas, wśród pracowników tamtej ekipy mam kilku kolegów po fachu, którzy obiecali mi zorientować się w sprawie i dowiedzieć czegoś więcej o inwestorze.

– A co on ma zamiar tam budować? – dopytywała Mocna.

– Widziałem projekt. Duża inwestycja – ostatnie słowa wypowiedział całkiem niepotrzebnie. Zofia poczerwieniała z wściekłości.

– Większa od mojej? – z ust toczyła pianę.

Zaskoczony reakcją właścicielki szpieg, nie wiedział co z sobą począć, co powiedzieć, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji.

– Dom wielkością zbliżony do paninego, obok gospodarczy i garaże, no i zagospodarowanie terenu – nic nadzwyczajnego. Jeżeli jest naprawdę tak bogaty, jak mówią, to mógł się bardziej postarać. Jak na mój gust, zbyt pretensjonalne – młody człowiek próbował załagodzić sytuację.

– Zobaczymy u kogo będzie ładniej – powiedziała przez zaciśnięte zęby Zofia rzucając tym samym wyzwanie nieświadomemu niczego przybyszowi zza oceanu

Dwie, można rzec, rywalizujące ze sobą ekipy szybko zaznajomiły się ze sobą, czego wynikiem był stały przepływ informacji dotyczący obu domów, no i oczywiście zleceniodawców. O ile o Zofii wiedziano prawie wszystko, poza pochodzeniem majątku na tak duże przedsięwzięcie, o tyle o sąsiedzie nie wiedziano prawie nic. Ludzie, jak to ludzie, czego nie wiedzieli to sobie dopowiedzieli lub zmyślili. Takim to sposobem w atmosferze plotek i niedomówień wyrastały dwie budowle, symbole wielkich fortun zdobytych w nie do końca jasnych okolicznościach.

Czy to nie dziwne, że tak niespodzianie Mocni i zaraz obok jakiś tajemniczy gość, przybysz znikąd budują sobie pałace? – komentowali zawistni. Coś w tym musi być – spekulowali obywatele miasteczka. Może to nie jest przypadek...? Należałoby się temu uważniej przyjrzeć – takie i inne słowa słyszano z ust ciekawskich mieszkańców.

Tymczasem inwestorzy, nie zwracając uwagi na ludzkie gadanie kontynuowali to co raz zaczęli. Architekci krajobrazu zajęli się rewitalizacją ogrodu próbując przywrócić mu dawną świetność, brukarze odtwarzali alejki, budowlańcy zaś, po uprzedniej demolce starego budynku, z pasją zabrali się do jego gruntownej przebudowy.

U sąsiada też nie próżnowano. Okazały dom szybko zaczął wyłaniać się z ziemi. O aranżacji terenu właściciel też pomyślał. Po zakresie robót widać było, że przykłada do tego tematu dużą wagę, gdyż ekipa ogrodników z wielkim rozmachem zabrała się do niwelacji, a później zagospodarowania placu.

Czas płynął, z każdym dniem na drzewach ubywało liści, prace z wolna dobiegały końca. Obecny wygląd, posesji ani trochę, nie przypominał tych sprzed kilku miesięcy. Sąsiad Zofii planował zakończenie całości robót przed zimą, o czym ta doskonale wiedziała.

– My też musimy skończyć przed zimą – uprzedzała wykonawców. Koszty nie grają roli – ten fakt z lubością podkreślała na każdym kroku, mimo, że to nie ona była faktycznym płatnikiem.

– Zdążymy kierowniczko, na pewno zdążymy – zapewniali wykonawcy. –

Jeszcze przed grudniem będzie pani miała skończone to swoje wymarzone gniazdko.

O ile Zofia każdego dnia nadzorowała prace na swoim podwórku, o tyle tajemniczego sąsiada nikt w trakcie trwania budowy nie uświadczył. Chodziły słuchy, że był raz, czy dwa wieczorową porą żeby ocenić stan zaawansowania robót i tyle go widziano. Co tam widziano, nawet nie wysiadł z samochodu, tylko przez uchyloną szybę rzucił okiem na posesję.

Wraz z opadnięciem ostatniego liścia z potężnej lipy rosnącej na posesji Mocnych wszystkie prace zostały zakończone. Stado wron przesiadujące godzinami w jej konarach i nadzorujące przebieg prac, uroczystym krakaniem oznajmiło całemu światu o tym doniosłym wydarzeniu. Sąsiad niedysponujący własnym ptasim chórem, musiał zadowolić się krakaniem jednego, starego gawrona, który przysiadłszy na kalenicy domu niczym gospodarz, powiadomił sąsiadów o zwieńczeniu dzieła.

Kto był zwycięzcą w tych nieformalnych zmaganiach trudno było ocenić, bowiem obie posesje, choć skrajnie różniące się od siebie architektonicznie, wyglądały imponująco. Zofia, z uwagi na zabytkowy charakter budynku, postawiła na styl pałacowy. Posesja sąsiada zaś, który najwyraźniej gustował w historii, wybudowana została w stylu dworskim z domieszką elementów rustykalnych i stanowiła niejako dopełnienie całości kompozycji. Stary ogród Zofii, misternie wypielęgnowany, nie zatracił swego dawnego charakteru, i był ciągle tajemniczy. Ogród sąsiada, któremu najwyraźniej zabrakło funduszy lub gustu, wyglądał nad wyraz skromnie. Jakieś alejki, jakieś grządki. Banał – zdaniem wścibskiej sąsiadki. Dwie parcele, na wyraźne życzenie sąsiada odgradzał wysoki parkan porośnięty żywopłotem. Co prawda, Zofia miała prawo ingerować w zasadność stawiania tego „muru granicznego", ale na szczęście dla obu stron obyło się bez animozji. Pełnomocnik inwestora zapewnił Mocną, że płot postawiony będzie na koszt inicjatora pomysłu i, że z czasem tak zarośnie, że zapewni jej absolutną prywatność. Zofia wyraziła zgodę. Dopełnieniem całości inwestycji był spory basen, który przybysz zza oceanu postanowił wybudować niemalże na granicy obu posiadłości. Tego Zofii było już za wiele. To ja sobie skocznię narciarską postawię – odgrażała się zawistna kobieta.

Rozdział XI

Stefan od powrotu ze szpitala i od chwili kiedy opuściła go rodzina stał się innym człowiekiem. Może to długa choroba, a potem rehabilitacja i skomplikowana sytuacja rodzinna sprawiły, że zamknął się w sobie i żył, jak pustelnik.

Człowiek czerpie energię z miłości, ale miłość może ją też odebrać.

Jak się wszystko oddało
Serce i duszę całą
A w zamian nic się nie dostało
To później by się tylko chciało
Żeby nie bolało.

Ta druga ewentualność zawładnęła umysłem Stefana i odebrała mu chęć życia. Przygasły, zamyślony, ciągle nieobecny duchem, brudny, niedomyty, z wolna stawał się cieniem dawnego siebie. Sporadyczne, przypadkowe spotkania ze znajomymi, gdzieś, przelotem, na ulicy czy w sklepie potwierdzały jego złą kondycję. Co się z nim dzieje? – Dopytywali. Musiało spotkać go coś naprawdę strasznego – martwili się, bo takim go jeszcze nigdy nie widzieli. Podejmowane przez nielicznych przyjaciół próby nawiązania kontaktu okazywały się bezowocne. Stefan odmawiał jakichkolwiek i z kimkolwiek kontaktów.

Kilka miesięcy trwał ten okres depresji, aż pewnego zimowego dnia wszystko się odmieniło. Stefan, „na przekór pogodzie" odzyskał wigor i chęć do życia – zaczął bywać. Pojawiał się wszędzie i wszędzie było go pełno, znowu był duszą towarzystwa. Rozchodził się na całego. Pił na umór, szalał na całego i ogólnie stał się nieznośny. Rachunki płacił, i owszem, ale po tej niespodziewanej metamorfozie stał się bardzo cynicznym i zgryźliwym człowiekiem. Mówił wszystko i wszystkim bez żadnych zahamowań, nie myśląc o innych.
– Ja jestem urodzonym weredykiem i żadnej hipokryzji wokół siebie tolerował nie będę – powtarzał.

Co to za poczwara, ten weredyk? – dopytywali niektórzy. – Czy to aby nie zakaźne? Jeszcze kilka takich osób i życie w tym mieście stanie się nie do zniesienia – twierdzili nie bez racji zatrwożeni obywatele.

Weredyk, to ktoś taki, komu się zdaje, że ma monopol na mówienie prawdy bez względu na konsekwencje, że może bezkarnie pleść trzy po trzy, kiedy chce i gdzie chce – przedstawił ktoś prostymi słowy definicję.
– O Matko Boska! Po co było wymyślać takie słowo! Teraz to już na pewno będziemy zgubieni – doszła do wniosku przerażona, znajoma blondynka.

To zwykły prostak i cham, a nie jakiś tam weredyk – komentowali zachowanie Stefana znajomi powoli odwracając się od niego.

Niestety, ten nic sobie nie robił z opinii krążącej o nim. Znajomym obojga płci przypominał i wypominał jakieś dawno przebrzmiałe historie. Nawet te dość wstydliwe, o których wszyscy dawno zapomnieli, a już na pewno nie chcieliby, żeby kiedykolwiek wracano do nich pamięcią.

Jakże zatęsknili za dawnym Stefankiem. Tym cichym, zamyślonym, niedomytym. Niestety, ten utracjusz, jak się już rozpędził, to ciężko go było zahamować. Pił za dwóch, ze wszystkimi i wszędzie. Często widywany był w

towarzystwie meneli, dla których był bożyszczem, gdyż sponsorował ich ile tylko chcieli i jak tylko chcieli. Taki miał po prostu feeling.

Tym niebożętom też od życia coś się należy – rozczulał się nad losem wszystkich łajz, łachudrów, nierobów i nieudaczników życiowych, którzy krążyli wokół niego jak sępy.

Jego empatia do „podopiecznych" rosła wprost proporcjonalnie do poziomu alkoholu zawartego w jego krwi. Ten uniwersalny środek zmiękczający otwierał na oścież przed pijacką bracią wszystkie przedsionki oraz komory jego wielkiego serca.

– Z czego on to wszystko finansuje, skąd bierze pieniądze? – pytali jedni.

– Jak długo jeszcze pociągnie? – zastanawiali się drudzy.

– Ponoć nabrał kredytów w bankach i teraz idzie na zatracenie – spekulowali trzeci.

– To już chyba ostatnie jego dni, ostatnie podrygi – wróżyli zmartwieni wszyscy.

Na szczęście, a może i nie, nikt nie zadał sobie trudu, nikt nie zapytał – czemu on to robi? A sponsor Stefanek miał swoje powody...

Taki stan rzeczy trwał jeszcze jakiś czas, co prawda z regularnymi, comiesięcznymi przerwami, lecz powoli coś zaczęło się psuć. Szalał równie zapamiętale, lecz z rachunkami było coraz gorzej.

Tak, jak wcześniej pierwszy wyrywał się do regulowania należności, to w pewnym momencie zaczął robić bokami. Wiele razy widywano, jak zastawiał to i owo u barmana czy barmanki, prosił o prolongatę spłaty, aż nareszcie doszło do tego, że wychodził bez płacenia. Nie było rzeczą ważną, że przez kilka miesięcy szaleństwa szastał pieniędzmi na prawo i lewo, że postawił hektolitry alkoholu kolegom, znajomym i pozostałej braci. W sytuacji, gdy najwyraźniej zaczęło brakować mu kasy o sponsorów było coraz trudniej.

Widząc zachowanie kompanów stał się jeszcze bardziej rozrzutny. Zamawiał trunki, zamawiał przekąski i czekał na rachunki. Jeść i pić było komu, za to płacić niekoniecznie. Brał zobowiązania na siebie, prosił o odłożenie płatności i czekał. Po jakimś czasie nie było knajpy w mieście, w której nie zalegałby z zapłatą. Powoli stawał się niepożądanym gościem we wszystkich lokalach. Tarapaty finansowe ostudziły nieco zapędy Stefana, ale szczęśliwym trafem na horyzoncie pojawiła się szansa na podreperowanie mocno nadszarpniętego domowego budżetu.

Od dłuższego już czasu w mieście wrzało od plotek na temat Mocnych i majątku, w posiadanie którego weszli w wielce podejrzanych okolicznościach. Zmyślonych opowieści o majątku nasłuchał się i Stefan, który zapragnął stać się również jego beneficjantem.

Od kogo i skąd pochodziły pieniądze nic go to nie obchodziło, byle tylko jakaś niewielka część padła jego łupem. Po żonie, co prawda, nie spodziewał się

wiele, ale dzieci? Przecież to moja krew – pomyślał.

Zarzucił picie na kilka dni, ochędożył się nieco i poszedł po prośbie. Było już dobrze po obiedzie, jak stanął przed domostwem rodziny. Specjalnie wybrał porę poobiednią, żeby sobie nie pomyśleli, że przyszedł z ryjem na pączki. Wyjątkowy ruch jaki panował na posesji zdeprymował go nieco lecz niezrażony tym faktem zebrał się w sobie i zakołatał do drzwi. Była to jedynie formalność, bowiem w całym zgiełku, jaki panował wokół, nikt i tak nie usłyszałby wołania na puszczy.

Nieśmiało wszedł do środka. Cały dom przedstawiał jedno wielkie pobojowisko. Jakby po spaleniu. Tylko swądu spalenizny czuć nie było, jedynie chłód. Nie wygląda to dobrze. Jeżeli spotkało ich jakieś nieszczęście, to nici z mojego planu – pomyślał. Z trudem przedzierał się między stosami gruzu, aż dobrnął do kuchni. Wiedział, że gdzie jak gdzie, ale w kuchni na pewno toczy się jakieś życie, że kogoś w niej zastanie i nie mylił się.

Rodzina właśnie kończyła spóźniony obiad. Na widok Stefana wszystkich zamurowało. Chwilę siedzieli w bezruchu, po czym spojrzeli po sobie i nieco zmieszani naprędce wymienili między sobą kilka uwag.

Stefan sprawiał wrażenie nieco stremowanego.

– Smacznego życzę – rzekł nieśmiałym głosem podchodząc bliżej żeby się przywitać.

– Dziękujemy – odpowiedzieli bez entuzjazmu domownicy.

– Co cię do nas sprowadza? – wyskoczyła zza stołu Zofia błyskając zębami.

– Od tak dawna was nie widziałem, postanowiłem więc odwiedzić rodzinę, a przede wszystkim dzieci, za którymi stęskniłem się niezmiernie – odparł. – A wy dziateczki nie tęskniłyście za tatusiem? – czekał z nadzieją na potwierdzającą odpowiedź.

Pytanie pozostało bez echa.

– Zapomniałyście o swoim ojcu, a ja na was tak czekałem.

– Tak, czekałeś, a w której knajpie, jeśli można wiedzieć? – warknęła Zofia.

– Zakopmy na chwilę topór wojenny. Nie przyszedłem do was się kłócić. Wyluzuj żoneczko – apelował, pokojowo nastawiony przybysz.

Oczy Zofii zmieniły się w szparki, usta zacisnęły mimowolnie, aż pozostała po nich tylko cienka, sina kreska świadcząca o wielkiej irytacji ich właścicielki.

– Po coś tu przylazł łajzo? Pytam! Mów szybko i wynoś się stąd!

– Czemu tak mnie traktujesz po tylu miesiącach rozłąki? – dopytywał skruszony Stefan.

– Wiesz ty co? Wracaj skąd przyszedłeś i nie zaburzaj nam spokoju – warknął czarny kłębek złośliwości.

– A w jakiż to sposób zaburzam wam ten upragniony spokój, przecież tutaj

wkoło... – uczynił ręką gest wskazując na pobojowisko.
– Paliło się u was? – zatroskał się.
– Nie, na szczęście nie, to tylko remont. Nie widać?

Zofia była ciągle wrogo nastawiona do niespodziewanego, niemile widzianego gościa.

Jeżeli to remont, a nie pogorzelisko, czyli pieniądze mają. Dobra nasza – pomyślał.
– Pytam po raz kolejny – po coś przyszedł?
– „Nie przyszła góra do Mahometa, musiał Mahomet przyjść do góry". Po kilku miesiącach rozłąki stęskniłem się za dziećmi. Dzieci, powiedzcie mamie, że cieszycie się z wizyty tatusia. Agatko? Jacku?

Żadna odpowiedź nie padła.
– Pozwolicie, że usiądę z wami, jak za dawnych dobrych czasów. Pogawędzimy nieco – zaproponował, nie robiąc sobie nic z wyrzutów żony.
– O czym to niby mielibyśmy gawędzić? – syknęła czarna mamba obnażając przy tym kły ociekające jadem.
– A czy to mało tematów nagromadziło się przez tyle miesięcy niewidzenia się? – odparł Stefan odsuwając się na bezpieczną odległość od kąśliwej żmii.
– Jakich tematów? My na pewno żadnych wspólnych tematów już nie mamy – stwierdziła esencja nienawiści.
– Mamy nie mamy, może jednak mamy. Przecież życie toczy się dalej. Widzę, że dobrze wam się powodzi. Nowy dom, nowy samochód. Ho, ho! Tylko pozazdrościć. Skąd taka odmiana? Jeżeli to nie tajemnica?
– Nie twoja sprawa – warknęła Zofia.
– Moja nie moja, ale zawsze to ciekawość człowieka zżera, jak widzi takie cuda.
– Bodajby zżarła ciebie do końca – łajzo!
– Po co te nerwy? – spokojnie zapytał Stefan, co jeszcze bardziej rozzłościło eksmałżonkę.
– Czy to już wszystko, z czym przyszedłeś? Jeżeli tak, to nie zatrzymuję.
– Poczekaj chwilę, przecież jeszcze z dziećmi nie zamieniłem ani słowa, bo tylko kraczesz i kraczesz. No co tam, kochane dziatki, u was słychać? Wszystko w porządku?
– Tak, wszystko dobrze – burknęły pod nosem nie podnosząc wzroku na ojca.
– A ja, jak na razie nie zmieniłem miejsca zamieszkania. Zapomniałyście o mnie – ze smutkiem wytknął dzieciom brak zainteresowania jego osobą.
– My nie zapomnieliśmy o tobie, ale dobrze wiemy, co wyczyniałeś przez ostatnie miesiące. To po co mieliśmy przychodzić? – powiedziała na swoje usprawiedliwienie obrażona Agata.
– I to jest wasze wytłumaczenie? A gdybym tak zachorował lub potrzebował innej pomocy to co, nie łaska zainteresować się dolą samotnego ojca?

– Z tego co nam wiadomo, to nieźle radziłeś sobie bez nas. Więc nie próbuj teraz wpędzać nas w jakieś pieprzone poczucie winy.
– Czegóż to, jeśli łaska, dowiedzieliście się o mnie?
– A tego, że ostatnimi czasy nie było imprezy na której byś nie był i co więcej nie kompromitował się. Wstyd przed ludźmi słuchać coś ty wyczyniał. – jednym tchem wyrzuciła z siebie Agata.
– Nie ukrywam, że bywało się tu i tam – chełpliwie odrzekł ojciec – ale żeby było o czym opowiadać, to nie wydaje mi się, a wstydzić się też nie mam za co.
– Ty może i nie, ale my! Ileż to razy musieliśmy wysłuchiwać opowieści o twoich wyczynach – otworzył usta milczący do tej pory Jacek.
– Że niby cóż, do cholery jasnej, takiego zrobiłem, żebym ja i wy za mnie musieli się wstydzić? – zapytał dotknięty ojciec. – Czy kogoś okradłem? Rachunków nie płacę? Sypiam na stole? Nie wierzcie we wszystko, co wam ludzie mówią. I to wam jeszcze powiem, wy macie siebie, a ja jestem sam i czuję się bardzo samotny. To prawda, że wałęsałem się po knajpach, że nie wylewałem za kołnierz, ale tam miałem przynajmniej do kogo usta otworzyć. Zastanówcie się, proszę, co samotny mężczyzna w średnim wieku miałby robić całymi dniami?
– Wziąłbyś się do jakiejś uczciwej roboty – burknęła Zofia, – a te głupoty szybko wywietrzałyby ci z głowy.
– Jeszcze nie tak dawno ty próbowałaś znaleźć jakąś, jakkolwiek pracę i co, z jakim skutkiem? – przypomniał Zofii gorsze czasy. Ta nic nie odpowiedziała, zawstydzona.
– Moja ucieczka w alkohol jest jedynie próbą wypełnienia pustki, jaka towarzyszy mi każdego dnia.

Jak dobrze wsłucham się
W echo czterech ścian
I trochę się „wzmocnię"
To przynajmniej przez chwilę wydaje mi się
Że nie jestem sam.

– Ale ty ojciec zrozum, my wstydzimy się za ciebie – powiedział Jacek.
– Wstydzicie? I ty córciu też? – spojrzał smutnym wzrokiem na dziewczynę.
– Wstydzić się to ja mógłbym, gdybym dajmy na to, nie płacił rachunków, narobił długów, żebrał po znajomych, ale na razie nic takiego nie miało miejsca. Faktem jest, że brakuje mi pieniędzy, ale jeszcze jakoś wiążę koniec z końcem. Takim oto sposobem, od słowa do słowa doszliśmy do sedna mojej tu u was wizyty. Oczywiście poza niepomierną chęcią ujrzenia moich kochanych dzieci – zreflektował się w porę patrząc z bezgraniczną miłością w oczach na pociechy.
Rodzina spojrzała po sobie pytającym wzrokiem.

– A to o to chodzi, chodzi o pieniądze? – wyskoczyła Zośka. – Nic od nas nie dostaniesz, nawet nie licz na naszą pomoc – oświadczyła bez ogródek. – Przepuściłeś w knajpach mnóstwo pieniędzy, a teraz przychodzisz po prośbie – piekliła się.
– Słyszałem od ludzi, a teraz widzę na własne oczy, że finansowo bardzo się wam poprawiło. Na mieście powiadają, że jakiś spadek otrzymaliście, czy coś takiego.
– Spadek nie spadek, nie twoja sprawa, a od nas niczego i tak nie dostaniesz – zarzekała się z góry Zofia.
– Ja proszę tylko o niewielką pożyczkę. Mam na oku pewien interes i myślę, że niedługo wyjdę na prostą, ale teraz mam nóż na gardle, ścigają mnie – tłumaczył Stefan.
– Tak, ty i interes, a to dobre! Ty byś na pustyni wody sprzedać nie potrafił, nieudaczniku – szydziła Zofia.
– To się jeszcze okaże, ale teraz potrzebuję trochę grosza, niewielkiego wsparcia.
– To idź po zapomogę do urzędu, tam szybciej dostaniesz, bo tu nie masz na co liczyć – skwitowała rozmowę Zofia.
– Może wy, dziadki kochane, pomożecie ojcu – przeniósł wzrok na dzieci.
– My? My nic nie mamy, wszystkim dysponuje matka, a jaka ona jest, to sam wiesz – podjęła próbę wytłumaczenia się Agata.
– A ty, synu, też mi odmówisz pomocy? – zwrócił się do Jacka.
– Ja, a cóż ja mogę, nawet nie pracuję, bo mnie niedawno zwolnili.
– Z tego co jest mi wiadomym, to nie zwolnili, tylko sam odszedłeś na własną prośbę.
– Nie mam zamiaru tłumaczyć się przed tobą – burknął pod nosem lekko zmieszany syn. – Tak czy owak, jestem teraz bezrobotnym i pieniędzy żadnych nie mam.
– Rozumiem, że to wasza ostateczna decyzja? – spytał zmartwiony wstając od stołu.
– Tak. Ostateczna i nieodwołalna – zdecydowanym tonem odparła Zofia.
– Dzięki za kawę, czy herbatę, dzięki za nic. Może jeszcze kiedyś wpadnę, to sobie pogawędzimy – rzucił przez ramię na odchodne.

Rodzina odprowadziła go wzrokiem do drzwi. Po wyjściu Stefana wszyscy troje odetchnęli z ulgą, ale spojrzeli po sobie z lekkim zawstydzeniem. A w domu powiało chłodem. To tylko przeciąg pomyślała Zofia.

Rozdział XII

Stefan wyszedł od rodziny trochę markotny, trochę niepocieszony, ale z odrobiną nadziei na przyszłość Nie udało się tym razem, może następnym pójdzie lepiej. Z dziećmi prędzej czy później jakoś sobie poradzę, przekonam je, ale do

Zofii trzeba będzie się zabrać podstępem – kombinował. To ona rozdaje karty, to ona o wszystkim decyduje, ale przecież nie ubezwłasnowolniła dorosłych dzieci, nie odebrała im prawa decydowania o własnym życiu, nie odebrała im godności.

Będę musiał pograć na ich uczuciach – szykował nową strategię. Muszę znaleźć jakieś rozwiązanie, jakiś sposób, żeby ją zmiękczyć. Do niej trzeba znaleźć inną drogę. Tylko jaką? Cóż zapewne nie będzie to łatwe zadanie, ale wszystko można osiągnąć, jak się bardzo tego chce.

– A teraz na piwko, dla otarcia łez. Zostało mi jeszcze parę groszy – poklepał się wesoło po kieszeni.

Mocny nie sprawiał wrażenia zbytnio przejętego niepowodzeniem swojej misji, a nawet przeciwnie, jakiś ledwo widoczny, tajemniczy uśmiech malował się na jego twarzy i gościł na niej do pierwszego kufla. Długo kombinował, gdzie się udać, bo w większości knajp był spalony. Każdy głupi potrafi napić się płacąc rachunek, sztuką jest dobrze się zabawić i nie zapłacić ani grosza. Takiej dewizie zaczął hołdować ostatnimi czasy. Jaki miał w tym interes, wiedział tylko on sam.

Wracając od rodziny natknął się na jakąś nową, spokojną, nieznaną mu dotychczas knajpę na obrzeżach miasta, gdzie nikt go nie znał i nie wisiał z zapłatą. Wszedł, zaszył się w ciemnym kącie niewielkiej sali z dala od pozostałych klientów i oddał się rozmyślaniom. Wyobrażał sobie, jak członkowie rodziny komentują jego wizytę. Zofia musiała dostać furii. Uszami wyobraźni słyszał, jak pomstuje na jego temat, jak wyzywa od najróżniejszych nie przebierając w słowach:

– Jak śmiał, co za bezczelność, co za tupet i szczyt chamstwa? Pieniędzy mu się zachciało! A niech weźmie się do roboty, darmozjad jeden, a nie tylko po knajpach się włóczy i dupy do domu sprowadza!

– O, co to, to nie – zaoponowała Agata – o dupach to ja nic nie słyszałam, a ty młody?

– Ja też nie – odparł bez chwili wahania.

– Słyszeliście czy nie – nieważne! Jaka chciałaby z kimś takim się zadawać? Najlepsze lata ma już dawno za sobą. Ale on nigdy żadnej nie przepuścił, nawet jak byliśmy małżeństwem, więc teraz, gdy jest sam, na pewno młóci wszystko, co na drzewo nie zdąży uciec.

– Co ty matka, zazdrosna jesteś? – zapytała Agata.

– Ja, zazdrosna o tę łajzę, o tego moczymordę i ochlaptusa? – rozkręcała się

– Nie wyglądał znowu tak źle – wtrącił Jacek. – A że pije dużo, to i za babami raczej niewiele gania – wydedukował.

– Wy go jeszcze nie znacie, ale go poznacie. Mówię wam.

– Chyba ci lekko odwaliło! – skwitował zachowanie matki syn. – Ale, mimo wszystko, pieniędzy, chociaż trochę mogliśmy mu pożyczyć, dać. Przecież mamy

ich naprawdę dużo, a on jest w trudnej sytuacji materialnej – z nieukrywaną troską w głosie powiedział chłopak. – Już zapomniałaś, jak my byliśmy w potrzebie?! I co miałaś tak wielu przyjaciół, tak wiele osób, które zechciałyby ci pomóc, na które mogłaś liczyć? Przecież to jest nasz ojciec, którego kiedyś kochałaś. Czy to możliwe żeby całe uczucie wygasło do cna? – dopytywał Jacek.
– Czemu tak się stało, jak myślicie? Przez lata zapracował sobie na to. A, że jest bez grosza przy duszy, nic dziwnego. Na pewno przechlał wszystko i wydał na dziwki – stwierdziła arbitralnie Zofia.
– Przecież on od miesięcy jest bez pracy – wtrąciła Agata.
– Jakby się postarał, to pracę by znalazł – wyskoczyła z radą matka.
– Tak, a ty nie starałaś się? I co, znalazłaś? – przypomniała słowa ojca. – Szybko zapomniałaś, jak próbowałaś wszystkiego i nic, wszyscy zamykali ci drzwi przed nosem, odwracali od ciebie.
– Ja przynajmniej próbowałam, a on tylko chciał. I chlał, pasożyt jeden – trzymała się swojej linii obrony. – Pamiętam jak jeszcze byliśmy razem… – zaczęła.
– Oj, daj już spokój, tym wypominkom. Może nie był najlepszym mężem, może nie był przykładnym ojcem, ale nie był taki ostatni – ujęła się za rodzicielem córka. – Pamiętam jak nosił mnie na barana i jak…
– I jak wypieprzył się z tobą, bo był pijany – przypomniała nieszczęsne wydarzenie. – Dosyć o tym! – przerwała niewygodny temat dyskusji.

Tak sobie wyobrażał i tak wyglądała rozmowa matki z dziećmi. Z głębokiej zadumy wyrwał Stefana harmider, jaki powstał przy barze. Kilka nad wyraz głośno zachowujących się osób zburzyło spokój panujący dotychczas w tej zapomnianej przez Boga i ludzi knajpie.

Tymczasem w domu Mocnych rozmowa miała dalszy ciąg. Niestety, Stefan nic nie wiedział o innym, bardzo ważnym aspekcie związanym z bogactwem rodziny.
– Wiecie przecież, co podpisaliśmy? Nie możemy dać mu ani grosza, bo my stracimy wszystko – przypomniała Zofia.
– A kto się dowie, jak po cichu podrzucimy mu kilka złotych? – zapałał miłością synowską Jacek. – Jeżeli wszystko zostanie między nami, to przecież jak kamień w wodę – zapewniał.
– Ostrzegam was – przerwała rozważania rodzicielka. – Kowalski ma wszędzie oczy i uszy i jak się dowie będzie po nas! Podpisaliśmy umowę i musimy się z niej wywiązać. W przeciwnym bowiem razie możemy obudzić się z ręką w nocniku. Chcecie tego? Teraz wam źle? Mamy dużo pieniędzy, remontujemy na cudzy koszt posesję, o nic nie musimy się troszczyć, stać nas na wszystko i chciałabym żeby tak pozostało. Musimy tylko spełnić ten jeden warunek. Nikt nie twierdził, że będzie łatwo, ale nie możemy uczynić niczego co mogłoby zaszkodzić całej naszej rodzinie. Kowalski przewidział to i ostrzegał przed taką

ewentualnością. Radzę wam dobrze zastanowić się, zanim coś zdecydujecie. Bo odwrotu nie będzie! Jeszcze raz pytam, czy tak jest wam źle?
– No, nie – odpowiedziały jednocześnie dzieci.
– Ale sama rozumiesz. My siedzimy na kupie forsy, a on ledwo wiąże koniec z końcem – martwiła się Agata, która była jednocześnie wyrazicielką opinii brata.
– Jakoś będzie musiał sobie poradzić bez naszej pomocy i niech was ręka boska broni dawać ojcu kiedykolwiek, jakiekolwiek pieniądze – taką przestrogą zakończyła się rozmowa Zofii z dziećmi.

Tymczasem, niepocieszony Stefan wyrwany z zadumy musiał stawić czoło kolejnemu wyzwaniu.
– Cześć koleżko.

No nie kurwa, tylko nie to! – takiego zwrotu na powitanie najczęściej używał Sławek. Jeszcze mi tego brakowało? – jego towarzystwo było ostatnią rzeczą za jaką tęsknił w tym momencie.
– A cześć – odpowiedział niechętnie, ledwo podnosząc wzrok.

Ot, i już jestem z powrotem na ziemi. Chciałem pobyć przez chwilę sam, przemyśleć pewne sprawy, ale widocznie nie było mi dane – zauważył ze smutkiem.
– Co tak sam siedzisz? – zapytał przybysz.

Stefan podniósł wyżej wzrok, ale nie zapraszał do stolika.
– Potrzebowałem chwili spokoju, chwili do zastanowienia się nad przyszłością i tak całkiem przypadkiem trafiłem do tego lokalu – tłumaczył niepocieszony.
– Ty mi nie pierdol, już wszędzie jesteś spalony. W każdej knajpie masz długi. Czyż nie? – nie owijał w bawełnę kolega.
– Po części to i racja – przyznał z zażenowaniem. – Trochę krucho u mnie z kasą ostatnimi czasy, wiesz, jak to jest.

Sławek nieproszony dosiadł się do stolika i spojrzał uważnie koledze w oczy.
– Kto jak kto? Ale ja wiem coś na ten temat. Mnie też nie raz bieda w oczy zaglądała, ale na pocieszenie powiem ci, że to wszystko to tylko przejściowy stan. „Raz na wozie, raz w nawozie" – sparafrazował stare porzekadło. – Widzisz, mnie się udało. Teraz mam sporo kasy, a byłem w głębokim dołku. Sam wiesz... Mam pomysł! Przysiądź się do nas. Jesteśmy tu w kilka osób. Ja stawiam – zaproponował.

Stefan wahał się, bo nie w tym celu przyszedł do lokalu, ale skoro już tak się stało...
– A właściwie, to czemu nie – powiedział. – I tak nie mam nic lepszego do roboty.
– Niczym się nie przejmuj, my za wszystko płacimy – zapewniał kumpel.

Przy stoliku oprócz Sławka było jeszcze pięć osób: dwie przecudnej urody dziewczyny zaciągające w obcym języku, dwóch obcokrajowców i znany

mu, niejaki Karaś. Nowo poznani, mimo że ledwo co nawiedzili restaurację, byli już pod dobrą datą. Wszystkim dopisywał humor, więc gorzałka lała się szerokim strumieniem. Po pierwszej przyszła druga, trzecia, i znów.

Do pełnej świadomości Stefan doszedł rano w jakimś obskurnym pokoju. Rozejrzał się wkoło z zaciekawieniem, po czym stwierdził zdegustowany, że można było wynająć coś lepszego. Musiało upłynąć dobrych kilka minut zanim pozbierał myśli. Gdzie ja jestem? – Zastanawiał się. W pokoju był sam, ale łóżko, na którym spoczywał nie świadczyło o dużej ilości gwiazdek wybranego przez kolegów hotelu.

– No, wreszcie się obudziłeś – usłyszał głos dobiegający skądś.

– Ależ mnie łeb napierdala – zauważył Stefan. – Masz jakiś browar na podorędziu – zapytał nie podnosząc oczu na rozmówcę.

– Nie tylko browar, ale i śniadanko do łóżka – odpowiedział głos

– Nie jestem w stanie nic przełknąć, ale piwko by mi pomogło stanąć na nogi.

– Ja ci kurwa dam piwko, kutasie. Jaja sobie robisz? Żartów ci się zachciało? Zaraz inaczej będziesz śpiewał – odgrażał się głos.

Ołowiane powieki Stefana uniosły się z trudem. Od ostatniego nieprzytomnego spojrzenia, pomieszczenie nie zmieniło się ani na jotę. Potworny kac utrudniał zebranie myśli i ocenę sytuacji. Gdzie ja jestem? – zadał sobie po raz kolejny pytanie. – Co się dzieje i gdzie są wszyscy? – zachodził w głowę. Z wolna powracał do rzeczywistości, ale to nie dawało odpowiedzi na kłębiące się w głowie pytania. Zaraz, jak to było? – próbował znaleźć w zakamarkach pamięci jakiś punkt odniesienia. Mała knajpka, Sławek, jacyś obcokrajowcy – próbował poukładać fakty. Zabawa była nasączona alkoholem i nagle czarna dziura. Co się stało? – zastanawiał się – przecież ja tylko markowałem picie, a tu taki odjazd!

W pół przymknięte powieki, natręctwo myśli i ten nieprzyjazny głos. Tego było już za wiele. Otworzył szeroko oczy i w tej samej chwili usta. Spojrzał w miejsce skąd dochodził głos, a głos ubrany był w policyjny mundur. W jednej chwili pojął, że jest „na dołku". Dobry humor prysł jak bańka mydlana. O co, kurwa, chodzi? Co ja tu robię? – próbował rozgryźć poranną szaradę.

– O co chodzi, panie władzo? – zwerbalizował swoje pytania, czekając zniecierpliwiony, na jakąś sensowną odpowiedź. – Czemu tutaj wylądowałem? – skierował pytanie do ponurego policjanta. – Przepraszam jeżeli uraziłem, przepraszam, że pozwoliłem sobie na te niewybredne żarty, ale nie bardzo zdawałem sobie sprawę z położenia, w jakim się znalazłem.

– Ooo, powoli zaczynamy miękнąć – głucho i złośliwie zabrzmiał głos.

– Panie, przestań pan pieprzyć i powiedz o co chodzi. Czemu ja tutaj jestem, a nie w jakimś hotelu z atrakcyjną panienką? – dociekał zatrzymany.

– Nie strugaj pan wariata, że pan nic nie pamiętasz. Na początku każdy tak się tłumaczy, ale z czasem wszyscy miękną i przyznają się, jeżeli mają trochę oleju

w głowie – tłumaczył mundurowy.
– Przyznają? Przyznają do czego? Co torturować mnie będziecie? Te czasy to już chyba dawno minęły, nieprawdaż? – niepewny odpowiedzi Stefan coraz bardziej tracił rezon.
– Piętnaście minut na umycie się i do prokuratora. On już tam na was, to znaczy na ciebie, to znaczy na pana, czeka.
– Prokurator?! Jaki prokurator?
– Pyta pan o nazwisko?
– Co mnie do jasnej cholery obchodzi jego nazwisko! – krzyknął zdenerwowany aresztant.
– A jeżeli pyta – bezosobowo odezwał się policjant – „za co?", to tam na górze wszystko wyjaśnią.

Poranne ablucje nie trwały długo, bo i warunki ku temu były prawdziwie spartańskie. Nikt, przy zdrowych zmysłach, nie chciałby spędzić w tej obskurnej łazience ani minuty dłużej aniżeli byłoby to bezwzględnie konieczne. Podczas trwania tej niecodziennej, porannej toalety Stefan intensywnie myślał próbując przypomnieć sobie chociażby strzępy wydarzeń poprzedniego wieczora. Czarna dziura, jaką miał w głowie, totalna pustka, nie wróżyła niczego dobrego. Całkiem zrezygnowany powłóczył swe nikczemne ciało w towarzystwie anioła stróża przed oblicze przedstawiciela prawa.

Czyżby w wymiarze sprawiedliwości czas się zatrzymał na latach osiemdziesiątych? – pomyślał oceniając na szybko „zimny" wystrój wnętrza. Pieprzyć wnętrze, większe wrażenie zrobił na nieszczęśniku sam prokurator.
– My to się chyba znamy? – zagaił Stefan siadając przed oskarżycielem.
– Znamy, nie znamy, to teraz nie ma większego znaczenia. I proszę nie liczyć na jakąkolwiek taryfę ulgową – wycedził śledczy.

Skonfundowany i zaskoczony całą sytuacją nieszczęsny „przestępca", skurczył się do rozmiarów gnoma.
– Ale, czy z uwagi na starą znajomość mógłbym dowiedzieć się o co do cholery chodzi? – „nieśmiało" zapytał Stefan.
– Proszę mi tu nie wyjeżdżać ze znajomością – poprawiając się w fotelu, wyraźnie czujący przewagę i czerpiący z tego nieukrywaną satysfakcję rzekł przedstawiciel prawa

Przecież to Pipol – taką bowiem ksywkę nosił w latach młodości obecny prokurator. Kto by pomyślał, że z takiego gnoja coś wyrośnie. O kurwa, jestem ugotowany, chociaż nie wiem za co – pomyślał Stefan.
– Pytam po raz wtóry i oczekuję konkretnej odpowiedzi! O co w tym wszystkim chodzi, czemu zostałem zatrzymany i za co?
– Zbyt dużo pytań Stefanku – protekcjonalnie zwrócił się do byłego kolegi instygator. – To ja teraz będę zadawał pytania, a ty będziesz odpowiadał.

– Pytaj do diabła ciężkiego – wycedził przez zaciśnięte zęby zatrzymany.
– Czy wczoraj przebywałeś w lokalu „Cichy zakątek"?
– Po co pytasz, skoro wiesz – odpowiedział buńczucznie Stefan.
– Odpowiadaj na pytania i proszę o więcej szacunku dla przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości – wybuchnął Pipol jednocześnie zrywając się ze swojego urzędowego fotela, do którego, skądinąd, był bardzo przywiązany.
– A czy takie samo zachowanie nie powinno obowiązywać w obie strony? – zapytał dawny kolega. – Siedź spokojnie! – nakazał zatrzymany przejmując na chwilę inicjatywę. – I powiedz wreszcie o co chodzi?

Prokurator zorientowawszy się, że jego niekontrolowany wybuch emocji działa przeciwko niemu, spoczął jak niepyszny na swoim stołku, którego z takim trudem i poświęceniem dochrapał się po latach.
– Czyli, potwierdza pan – zmienił ton prokurator – że uczestniczył we wczorajszej strzelaninie w restauracji „Cichy zakątek"?
– Jeszcze raz! W czym uczestniczyłem? W strzelaninie? A z czego to do diabła ciężkiego miałbym strzelać? Chyba palcami, jeżeli już.
– Towarzystwo, w którym przebyw... pan przebywał – zreflektował się przesłuchujący – to byli groźni bandyci, ścigani listami gończymi za ciężkie przestępstwa kryminalne.
– A to ich ścigajcie i ukażcie przykładnie, jak najsurowiej, ale ode mnie się odp...
– przerwał w połowie słowa.
– Wszyscy niestety zbiegli. Pozostałeś tylko ty... Pan i rachunek do uregulowania.

Jeszcze kurwa to, – pomyślał Stefan – to będzie spory rachunek.
– Właściciel domaga się zapłaty od uczestnika biesiady, a tylko pana udało się zatrzymać.
– Dużo tego się nazbierało? – zapytał zrezygnowany.
– 2 325,31 zł – z nieukrywaną satysfakcją prokurator wyrecytował sumę do zapłacenia.
– Będę musiał wziąć pożyczkę żeby pokryć te zobowiązania – zauważył świeżo upieczony dłużnik.
– Jak to pan załatwi, to druga sprawa, mnie interesuje strzelanina i towarzystwo.
– A w tej materii niewiele mogę pomóc.
– Kim byli ci znajomi, nazwiska, kontakty?
– Pogięło cię człowieku? – zapytał grzecznie Stefan. – Pierwszy raz w moim parszywym życiu widziałem tych ludzi na oczy, to znaczy tych obcokrajowców. Jakoś tak wyszło, zwykły zbieg okoliczności, że wylądowałem z nimi przy jednym stoliku. Ale żebym wiedział o nich coś więcej, to zabij – nic nie wiem, nic nie pamiętam, a głowę mam mocną i piłem niewiele. Przecież to chyba można sprawdzić?

W jednej chwili jakaś genialna myśl przyszła Stefanowi do głowy. Coś

w tym musi być, że nic nie kojarzę – zastanawiał się.
– Proszę o przeprowadzenie badań na zawartość alkoholu i obecność w moim organizmie środków psychoaktywnych. Dopóki nie poznam wyników testów, na żadne pytania nie będę odpowiadał. Przecież, jeżeli upiłem się do nieprzytomności, to jeszcze teraz we krwi powinienem mieć sporo alkoholu, a ja czuję się wyśmienicie – skłamał.
– Jeżeli nawet zostaną wykryte ślady wspomnianych środków to i tak nie będzie to o niczym świadczyć, niczego nie dowodzi – zauważył przesłuchujący. – Chyba o tym, że był pan nie tylko pijany lecz dodatkowo naćpany. Łyknął pan coś, a teraz wszystkiego się wypiera.
– Łyknąć to ja mogę flaszkę, dwie flaszki, ale nic poza tym. Nigdy w życiu niczego nie brałem, jestem czysty – zapewniał przesłuchiwany. – Jeżeli w moim organizmie będą znajdowały się ślady jakiegoś cholerstwa, to może świadczyć tylko o jednym – ktoś świadomie dodał mi jakiegoś świństwa do drinka.

Tylko w jakim celu? – próbował coś zrozumieć.
– Zrobimy, jak pan sobie życzy, uważa. Czy składa pan formalny wniosek o przeprowadzenie badań na obecność środków psychoaktywnych w organizmie?
– Jak najbardziej – zdecydowanie potwierdził swoje żądania zatrzymany.

Stefanowi zeszło się jeszcze dobę na izbie zatrzymań, po czym został zwolniony z aresztu. Po wyjściu z paki podjął natychmiastowe próby skontaktowania się ze znajomymi, ale telefony po drugiej stronie milczały.

W co ja się wpierdoliłem? W co oni mnie wpierdolili? – dręczyły go pytania. – Co jest grane do jasnej cholery? Nie znajdując odpowiedzi na zadawane sobie pytania, skierował kroki ku domowi. Pogrążony w myślach nawet nie zauważył, jak znalazł się przed knajpką, w której często bywał i w której mógł spotkać kolegów. Wstąpię skoro tak mnie droga poprowadziła –pomyślał. Tutaj nie mam długów.

Na sali głównej gdzie siedziało kilka osób, nie zauważył nikogo z kim chciałby porozmawiać. Już miał opuścić lokal, gdy z pomieszczenia obok dobiegły go czyjeś głosy. Chyba znajome – pomyślał i natychmiast udał się do sali, z której dochodziły.

W niewielkiej alkowie pogrążonej w półmroku siedziało czterech dżentelmenów, w tym dwóch, za którymi wielce stęsknił się, i o spotkanie z którymi zabiegał od jakiegoś czasu.
– Co wy tu, kurwa, chuje robicie? – wyskoczył z mordą, rozjuszony Stefan. – To ja siedzę przez was w pierdlu, a wy, skurwysyny, bawicie się w najlepsze. Może jeszcze anegdoty sobie opowiadacie? – obrzucił kumpli pytającym, a zarazem wściekłym spojrzeniem.

Doskoczył z furią do stolika, przy którym siedzieli. Porwał jednego z nich za fraki w celu dania upustu nagromadzonym przez ostatnie dni emocjom,

lecz wstrzymał się z realizacją swojego zamiaru w połowie drogi. Pewnie zatłukłby gościa, gdyby przez moment nie spojrzał w twarz niedawnego jeszcze kolegi. Uniesiona ręka „wymiaru sprawiedliwości" zastygła w bezruchu. Ktoś mnie uprzedził – zauważył. – *„Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem"*. Ale czy na pewno w tym przypadku? – poddał sentencję pod rozwagę.

Twarz Sławka wyglądała jakby bez ochraniaczy zaatakował nią autobus.

– Co ci się, kurwa, stało? – zapytał, jednocześnie zwalniając uścisk. Wzburzenie jakby trochę osłabło.

– Długo by gadać – odrzekła jeszcze niedawna ofiara Stefanowej furii.

– Tam w knajpie, to widzisz jakoś chujowo wyszło. Ci kumple z zagranicy, z którymi próbowaliśmy robić interesy, okazali się większymi kozakami niż nam się wydawało. Nie mieliśmy zielonego pojęcia, że są zamieszani w jakieś brudne interesy. Z knajpy, co prawda, uciekliśmy razem z nimi, pozostawiając ciebie samego na pastwę losu, bo co mieliśmy robić, ale później chcieliśmy jakoś wyplątać się z całej tej matni. Niestety, w dziupli, w której się ukrywali, było jeszcze kilku drabów, którzy skutecznie nam wyperswadowali próby zgłoszenia się na policję. Dobrze, że nas, kurwa, nie pozabijali, ledwo z życiem uszliśmy – na pocieszenie dodał Sławek.

– No, nie jestem pewien, czy nie trafiliście z deszczu pod rynnę – Stefan ciągle pałał chęcią zemsty. – A ci dwaj, to niby kto? Kolejna niespodzianka? – wściekłym wzrokiem obrzucił pozostających poza kręgiem zainteresowań pozostałych kompanów, siedzących z nimi przy stole.

– A ci panowie to… No, jak by to powiedzieć? To nasi doradcy.

– Jeżeli dajecie rady? To ja wam radzę wypierdalać! – filozoficznie i bezpłatnie doradził Stefan.

Mimo, że kompania składała się z czterech rosłych mężczyzn, nikt nie oponował. Dwaj oniemiali z wrażenia świadkowie akcji, nie przerywając głuchej ciszy, która na chwilę zapadła, bezgłośnie wypełzli zza stolika i żegnając się, w sobie tylko znanym języku (mimiczno – migowym), odeszli w niepamięć. Jedynymi świadkami ich bytności były pozostawione filiżanki niedopitej kawy i ciągle tlące się niedopałki papierosów.

Rozdział XIII

Stefan przysiadł do stolika i rzeczowo zapytał.

– Co ja, do cholery jasnej, miałem z tym wspólnego? Przecież nasze spotkanie było spontaniczne i całkiem przypadkowe – czyż nie? To czemu do diabła ciężkiego, ja, Bogu ducha winny człowiek, wylądowałem w objęciach tego oślizłego prokuratora. Wiecie kogo? Pipola.

– No, to też miałeś przejebane, ale przynajmniej ciebie nie bili – zauważył korzyści płynące z pobytu w areszcie Karaś.
– Naprawdę mam się z czego cieszyć! Może jeszcze powinienem wam podziękować za darmowy pobyt w kurorcie i spa? – zapytał nie bez złośliwości niedawny wczasowicz. – Czy wy popaprańcy potraficie jakoś sensownie wytłumaczyć mi to wszystko co się wydarzyło? – Stefan spojrzał przenikliwym wzrokiem na kolegów. – Radzę wam, znaleźć jakiś przekonywujący powód, bo inaczej…
– A, to akurat da się wytłumaczyć w całkiem racjonalny sposób – odważył się zabrać głos Sławek. – Czy pamiętasz tę sytuację sprzed lat, kiedy to…

Człowiek z lasu

Letni był to czas. Po ciężkich i pracowitych latach spędzonych w Petersburgu powrócili z tarczą do kraju nasi dwaj koledzy, nowo upieczeni doktorzy nauk…Wielkim zaniedbaniem byłoby nie uczcić huczną imprezą ich trzyletnich zmagań z nauką i wiedzą. Młodzi luminarze na organizację imprezy wybrali ustronne miejsce kilka kilometrów za miastem. Na łonie natury, wśród ptaków, skrzatów i innych krasnoludów, grupa znajomych zasiadła za stołem biesiadnym w celu uczczenia okupionego latami wyrzeczeń naukowego sukcesu dwójki przyjaciół. Przyznać należy, że doktorzy stanęli na wysokości zadania i do celebry przygotowali się nadzwyczaj starannie uprzednio korzystając z dobrodziejstw naszych wschodnich sąsiadów. Zaproszeni goście z lubością rzucili się w objęcia Bachusa, uszczuplając tym samym na jakiś czas grono wybitnych intelektualistów uczelni. O stratach w dorobku naukowym jakie poniósł świat w wyniku ich niefrasobliwego podejścia do obowiązków nie ma co wspominać. Czas upływał w miłej, przyjacielskiej atmosferze w większości na rozpamiętywaniu takich, czy innych zdarzeń związanych z pobytem doktorantów w mieście Piotra Wielkiego.

Po jakimś, bliżej nieokreślonym, czasie gorzałka zaczęła czynić spustoszenie w głowach, a fizjologia narzucać swoje prawa. Stefan, który długo opierał się jej sile sprawczej, nareszcie musiał ulec. „Na mnie nie ma mocnych" – natura upomniała się o swoje. Cóż było robić. Wywołany do tablicy Stefan zebrał się w sobie, dyskretnie opuścił stół biesiadny i przez nikogo niezauważony udał się w poszukiwaniu „toalety". Najbliższą znalazł „za siedmioma górami, za siedmioma drzewami", tam gdzie diabeł mówi dobranoc. Po odcedzeniu kartofelków, postanowił dać sobie chwilkę wytchnienia na łonie przyrody, na mięciutkim mchu pod drzewami. Odpoczynek przedłużył się o dobrych kilka godzin, bowiem gdy po bliżej niesprecyzowanym okresie uniósł powieki zobaczył wokół siebie wszechobecne ciemności. Lekko poirytowany na siebie,

począł zastanawiać się „którędy droga do Ostendy?". Na szczęście, między drzewami ujrzał płomyk nadziei. Im bardziej zbliżał się do ogniska, tym bardziej zaczął rozróżniać poszczególne głosy biesiadników.

Dobra moja! – pomyślał. – impreza trwa na całego. Zaraz pojadą po mnie, że tak bez uprzedzenia, że taki słabiak i w ogóle, ale niech tam.

Wynurzył się z ciemności i dyskretnie, nie rzucając cienia przykucnął w szczycie stołu. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Posiedzę chwilę, a później jakby nigdy nic dołączę do towarzystwa – wymyślił strategię Rozejrzał się uważnie po stole w poszukiwaniu czegoś czym mógłby się uraczyć, bowiem czas jaki spędził w objęciach Morfeusza spowodował, że zgłodniał jak wilk.

Nowa zastawa, świeże dania, no, no chłopaki naprawdę się postarali – zauważył Stefan wodząc łapczywie wzrokiem po stole. Po drugiej stronie krzątała się jakaś białogłowa, której z powodu panujących ciemności nie był w stanie rozpoznać, ale wyglądała jakoś znajomo.

Nieopodal, przy ognisku siedziało kilka osób, lecz w blasku wesoło tańczących płomieni żadną miarą nie mógł nadać im konkretnych imion. Wykruszyło się trochę towarzystwo – zauważył z satysfakcją, po trosze usprawiedliwiając swoją niedawną rejteradę Siedzący wokół ogniska uczestnicy imprezy zaproszeni wesołym głosem kuchareczki na posiłek, zerwali się co żywo ze swoich miejsc i jak jeden mąż popędzili do stołu przy którym siedział Stefan. Ci to mają głowy – pozazdrościł wytrzymałości ostatnim Mohikanom. Siedząc ciągle w ciemnościach cierpliwie czekał aż towarzystwo rozlokuje się wygodnie na swoich miejscach, żeby wreszcie zaznaczyć swoją obecność

W ogólnym zamieszaniu jakie na krótko zapanowało wokół stołu, jedna rzecz przykuła szczególną uwagą Stefana. – A to dziwne. Gdybym nie wiedział, że to Polacy, to dałbym głowę że Ruscy. Bo jakoś tak dziwnie zaciągają – zauważył. – Tych dwóch nowo upieczonych doktorów mógłbym jeszcze zrozumieć, ale reszta? Może to jakiś zakład, albo promotor z zagranicy przyjechał – przeleciało mu przez myśl.

Tymczasem, towarzystwo zasiadło za stołem i zaczęło częstować się „czym chata bogata" głośno wychwalając zdolności kulinarne kucharki oraz smak serwowanych potraw. Wygłodniały Stefan skwapliwie skorzystał z okazji, wysunął z ciemności dłoń uzbrojoną w widelec i począł korzystać z menu. Nakładał na talerz to i owo, wszystkiego po trochę. Łapczywie łykał zakąski, które sobie nałożył, ale z wolna zaczął odnosić wrażenie, że wszystkie oczy patrzą na niego i nie były to przyjazne oczy. Jak gwarno było przy stole, tak raptem całe towarzystwo ucichło. Coś było nie tak. Chwilę pomyślał, co mogło być przyczyną takiego obrotu sprawy i nie dokończył posiłku. Zgrzyt zębów współbiesiadników i ich nienawistne spojrzenia były aż nazbyt wymowne.

Wyprostował się z nad talerza, odłożył sztućce, wychylił szklankę piwa stojącą przed nim, po czym wytarł usta i trzeźwym wzrokiem spojrzał po siedzących przy stole uczestnikach imprezy. Nikogo z nich nie rozpoznał.

Znowu się w coś wpierdoliłem – pomyślał. Co dalej? – zebrał się w sobie i jak gdyby nigdy nic, zapytał.

– A chłopaki to gdzie?

– Jakie chłopaki? – odpowiedział ktoś pytaniem na pytanie, posługując się łamaną polszczyzną.

– Jak to jakie? No, Kazik, Stasiek i inni.

– No my nikowo nie widieli.

Stefan zaczął zdawać sobie sprawę, że miejsce może i jest to samo, ale impreza inna. Cóż było robić, na tłumaczenie było o wiele za późno.

– Nu na mienia pora – oznajmił łamanym rosyjskim. – Oczeń wkustnyj użin. Spasiba balszoje – wstał i tak szybko, jak i tajemniczo pojawił się przy stole, tak równie szybko zniknął w mrocznych ostępach lasu.

Zanim zaskoczeni uczestnicy imprezy połapali się w czym rzecz, ten powrócił do swoich pieleszy. Dokąd iść – zastanawiał się nieszczęśnik. – W którą stronę się udać jak w koło ciemno, a tam skąd bije jasność to wilcy jeno i zatracenie.

Odszedł na bezpieczną odległość, usiadł za najgrubszą sosną i zapłakał nad swym nieszczęsnym losem. Zostawili mnie – pomyślał. – Jak psa porzucili na zatracenie, zapomnieli! Jak długo beczał nie wie, ale na jego szczęście, po jakimś czasie, cały skąpany we łzach, usłyszał poruszenie w obozie „wroga". W końcu załapali, czego byli świadkami, co działo się na ich oczach. Dobrze, że tak późno – pomyślał. Teraz to mogą mnie w dupę pocałować – pocieszony takim obrotem sprawy postanowił przedrzemać do świtu na mchu przykryty liśćmi paproci. Już witał się ponownie z Morfeuszem gdy usłyszał w oddali wołanie.

– Steefaan, Steefaan! Jak to imię pięknie brzmiało, kiedy przebijając się przez nieprzeniknioną czerń lasu docierało do jego uszu. Odetchnął z ulgą. Nadeszła odsiecz.

Po wyjaśnieniu całego zajścia wszyscy uśmieli się po pachy z tej zabawnej historii. Nie obyło się oczywiście bez symbolicznego sztakańczyka za drużbu.

* * *

Na przyszłość uważajcie z kim siadacie do stołu, a jeszcze bardziej, z kim kończycie, bo może wam się czknąć, nawet po latach. Co właśnie, kończąc drugie piwo, usiłował uzmysłowić Stefanowi Sławek.

– Dobrze, tylko jak to się ma do tej nieszczęsnej imprezy? – dociekał pokrzywdzony Stefan.

– Otóż, wyobraź sobie – zaczął wyjaśniać co zaszło w knajpie „Cichy Zakątek". – Jednym z uczestników tego leśnego spotkania był Jura, który pił z nami tego feralnego dnia. Ot, zbieg okoliczności. Poznał ciebie i chciał ci wykręcić jakiś numer. Dosypał ci czegoś do piwa, żebyś na chwilę odpłynął, zasnął. "Może znowu pomyli imprezy" zażartował. Nie tak to miało się skończyć, jak się skończyło. Psy spierdoliły jednak całą zabawę Przepraszam.
– A, to, kurwa ,o to chodzi – skwitował Stefan. – Rachunek na ponad dwa „koła" trzeba uregulować! – burknął. – Wierzę wam fiuty – z uśmiechem udzielił dyspensy niedoszłym ofiarom własnej wściekłości.
– To co po piweczku? – zaproponował Karaś.
– A może po lufeczce? – zmienił pomysł Sławek. – Na zgodę.
– Niech będzie.
– Ale na policję radzę wam zgłosić się jak najszybciej, bo ta nie będzie tak wyrozumiała, jak ja. To jakaś poważna sprawa, spora afera wyszła z tymi Ruskimi, więc nie zwlekajcie.
– Ale to może później, jutro – zdecydował ścigany.

Atmosfera przy stole z każdym kieliszkiem stawała się coraz bardziej swobodna. Kilka głębszych pozwoliło całkowicie puścić w niepamięć powody jeszcze niedawnych animozji.
– A pamiętacie? – odezwał się milczący dotychczas Karaś. – Ale czy pamiętacie? – zaciął się.
– Niby co Karasiu?
–Eskapadę do Gdańska.

Wszyscy trzej spojrzeli po sobie i parsknęli śmiechem.
– To była wyprawa – z nutką nostalgii w oczach powrócili pamięcią do minionych, młodzieńczych, beztroskich lat.
– Jak to było? – zastanawiał się Stefan.

Sławek z Karasiem spojrzeli wymownym wzrokiem na Stefana, a w ich oczach tliła się lekko zauważalna iskierka rozbawienia.

– Co się śmiejecie, fiuty? – grzecznie zapytała ofiara drwiny. – Już za te wasze szelmowskie miny skończyć powinniście na szafocie. Za mniejsze przewiny skracano ludzi o głowę. A tak na marginesie, to mam już po dziurki w nosie tych waszych szczeniackich dowcipów. Za czasów młodości i owszem, wszystko było do strawienia, ale teraz? Wystawiliście mnie po raz kolejny jak sztubaka, a czas płynie i świat się zmienia. Przecież nie możemy ciągle żyć przeszłością. Wspominać, i owszem, można, a nawet trzeba, bo to kawałek naszej wspólnej historii, ale „karawana musi iść dalej". Lat nie ubywa. Czas zmądrzeć –zakończył wywód o przemijaniu Stefan.

Do kogo ta mowa? – z rezygnacją spojrzał na rozbawione twarze kolegów. Oni byli już w innym świecie, już błądzili po rubieżach dalekiej

przeszłości. Właśnie wsiadali do wagonu z napisem Gdańsk. Znowu byli tymi samymi, wesołymi przyjaciółmi z dawnych lat.

Gdańsk

Klakson, jeszcze jeden przeraźliwy dźwięk i kolejny.

– Co do cholery! Zobacz co tam się dzieje! – rozkazała Zofia.

Kto to może być? – Stefan ociągał się ze sprawdzeniem czyje odciski linii papilarnych widnieją na klaksonie. Pełen obaw wyjrzał przez okno. Zachęcające gesty, płynące ze strony użytkowników samochodu stojącego na parkingu były aż nazbyt wymowne. Stefan odruchowo skrył się w mroku kuchni, lecz było już za późno. Szakale wypatrzyli zwierzynę.

Klakson. I kolejny.

– Muszę zejść na chwilę i sprawdzić co się dzieje bo mi żyć nie dadzą, ale zaraz wracam – zapewnił.

Przeprosił biesiadników oraz żonę i nieświadom niczego udał się do kolegów czekających w samochodzie. Pokonując schody po kilka stopni naraz, w oka mgnieniu znalazł się przy aucie. Powaga i smutek malujący się na twarzach przyjaciół przeraziły nieświadomego niczego Stefana.

– Coś się stało? – zapytał zafrapowany.

– Wsiadaj i nic nie mów.

– Ależ panowie ja mam urodziny żony!

– Co tam urodziny, jak nasz przyjaciel…

– Ale kto? Co? –dopytywał.

– Trzeba krwi – wykrztusił Sławek.

– Ale ja już piłem – z goryczą stwierdził przejęty sytuacją Stefan.

– A to nie szkodzi, bo takiej potrzebujemy.

Stefan nie zdążył nawet zareagować, jak czyjeś ręce pochwyciły go za barki i wciągnęły do samochodu. Zapiszczały opony, a Zofia, stojąca w oknie i przyglądająca się całemu zdarzeniu zobaczyła jedynie tylne światła odjeżdżającego samochodu. Została sama z gośćmi. A to drań! Jeszcze mi za to zapłaci – obiecywała.

– Co do cholery robicie durnie, przecież tam jest impreza, Zośka mnie zabije.

– Nie bój nic – uspokajał Karaś. – Łyknij lufkę i rozluźnij się.

– Przestań mi tu pieprzyć o lufkach i w ogóle. Przecież nie mogę zrobić jej takiego świństwa, obiecałem – żachnął się.

– Podjedziemy na chwilę do jednego znajomego, a później wrócisz sobie do tej twojej żoneczki – zapewniał Sławek.

Szans na zatrzymanie pojazdu nie było żadnych. Na powrót na imprezę widoków też nie było. Zrezygnowany Stefan odruchowo przyjął szklaneczkę

z czyichś drobnych rączek, które niespodzianie wyłoniły się z mrocznej zony samochodu.
– A to co? – wzrok zwolna przyzwyczajał się do ciemności.

Na tylnym siedzeniu vana siedziały trzy dzierlatki. W panującym półmroku wydały mu się przecudnej urody.
– Pozwól, że przedstawię – honory domu podjął się czynić Karaś: – Asia, Kasia i Marysia.
– Cześć Stefan – niemal jednocześnie zaszczebiotały dziewczyny.
– Cześć: Asia, Kasia i Marysia. Miło was poznać – z lekko wymuszonym uśmiechem na twarzy przywitał się. – Tylko mi nie mówcie, że i was podstępem zwabili do samochodu i porwali.
– Nie, my tu z własnej woli – oświadczyła Asia, a może Marysia. Głos płynący z ciemności mógł należeć do każdej z nich, ale brzmiał na tyle przymilnie i wiarygodnie, że Stefan naiwnie zawierzył tym „mrocznym" zapewnieniom.

Alkohol lał się strumieniami, a kara-vana z nieszczęsnym, ubezwłasnowolnionym Stefanem coraz bardziej oddalała się od miejsca zamieszkania.

Późniejsze wydarzenia tej spontanicznej imprezy „porwany za młodu" pamiętał jak przez mgłę. Wóz toczył się bezszelestnie w głąb kraju, roześmiane panienki stawały się coraz bardziej frywolne, chłopcy coraz bardziej natarczywi, a zdrowia coraz mniej stało.

Przebudzenie w zatęchłej „świątyni miłości" okazało się koszmarem. Rzut oka w prawo, rzut oka w lewo, pustka w głowie i pytanie. – Gdzie ja jestem? Tupot wściekłych mew nie pozwolił usłyszeć odpowiedzi. Jakiś obskurny pokój hotelowy, trzy łóżka, a na każdym z nich czyjeś „zwłoki". Stefan w towarzystwie dwóch porywaczy, w oparach alkoholu przywitał letni poranek z dala od ukochanej jubilatki. Rozejrzał się wkoło, szybko ocenił sytuację i nie był zadowolony z tego, co ujrzał. Ba, był nawet wielce rozczarowany standardem hotelu.

Skacowany jak cholera, próbował pozbierać myśli. Daremnie wytężał pamięć, żeby przypomnieć sobie cokolwiek z minionej nocy. Spustoszenie, jakiego dokonał alkohol na jego twardym dysku, definitywnie wymazało z pamięci przeżyte chwile rozkoszy, A było co wspominać.

Nagle olśniło go – Urodziny żony. Już na samo wspomnienie przebiegły go ciarki. – Później jakiś wyjazd. Znowu dałem dupy – pomyślał zrezygnowany. – Zośka mnie zabije i będzie miała rację. Każdy sąd ją uniewinni. Jak ja się z tego wytłumaczę. Tego się nie da wytłumaczyć. Ona mi nie uwierzy, że to nie moja wina. Już po mnie. Po co czekać, po co konać powoli? Lepiej będzie, i bardziej honorowo, samemu ze sobą skończyć – wymyślił na poczekaniu sposób wybrnięcia z sytuacji, w którą został wmanewrowany.

Tymczasem, puszczoną w ruch gonitwę myśli, przerwały odgłosy dochodzące z sąsiedniego łóżka. To powracał do życia Karaś. Z równie potężnym kacem i równie zaskoczony miejscem powrotu do świadomości jak Stefan. Nieprzytomnym jeszcze wzrokiem, powłóczył leniwie po pokoju, po czym zamknął oczy, a na jego twarzy pojawił się jakiś dziwny grymas. Z lekka przypominający wysiłek umysłowy. Zbieranie myśli trwało jeszcze chwilę, po czym ponownie otworzył oczy próbując zrozumieć swoje położenie. Traf chciał, że w tym samym momencie Stefan przekręcając się na łóżku, przycisnął tułowiem włącznik lampki nocnej stojącej nieopodal. I stała się jasność. Oślepiony Karaś jęknął z bólu i zacisnął powieki. Stefan w pośpiechu zgasił lampkę. Karaś przeprowadzał jakiś skomplikowany proces myślowy. Chwilę ładował akumulatory, po czym strzelając oczami w lampę próbował włączyć ją siłą woli. Ale lampa tym razem nie rozświetliła mroku panującego w pokoju. Stefan z rozbawieniem przyglądał się całemu zajściu, próbując pojąć komizm sytuacji. Już wiem o co chodzi – pojął w lot.

Karaś ponownie zamknął oczy i natężał umysł. Przebiegły Stefan uważnie obserwował kumpla i czekał. Po krótkiej chwili medytacji i kumulowaniu w sobie wewnętrznej energii strzelił oczami ponownie. Tym razem lampa zapaliła się niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Całą operację, związaną z włączaniem i wyłączaniem Karaś powtórzył kila razy i doszedł do przekonania, że w jakiś przedziwny sposób wszedł w posiadanie nadludzkiej mocy. Nowo odkryte w sobie telekinetyczne zdolności wielce go zaintrygowały. Co my kurwa wczoraj piliśmy? – próbował sobie przypomnieć nieborak. Ciekawe, czy to na stałe, czy tylko chwilowa umiejętność? – rozważał.

Stefan, bacznie obserwujący zachowanie świeżo upieczonego bioenergoterapeuty, o mało nie udusił się ze śmiechu. Łóżko jego stało trochę w cieniu, więc obdarzony cudowną mocą Karaś, ani myślał zwracać na niego uwagę.

Tymczasem z wolna do przytomności zaczął powracać Sławek, który letni poranek przywitał jakimś mamrotaniem pod nosem. Współlokatorzy odnieśli wrażenie, że rozmawia z partnerką, która to w iście niewytłumaczalny, nieludzki wręcz sposób postanowiła odmówić mu dalszych usług. Brutalnie przerwany erotyczny sen, a może wspomnienie minionej nocy, już na dzień dobry wprowadziły kochasia w podły nastrój.

– Co, co się kurwa gapicie? – przywitał się grzecznie z kolegami.

Stefan próbował dawać mu jakieś znaki, ale wszystko na nic, bo ten ciągle jeszcze przebywający w innym świecie ani myślał zwracać na niego uwagę.

– W realu jest lepiej, bo tak szybko nie znikają – rzekł zrezygnowany Stefan.

– Co ty tam wiesz? – burknął Sławek zdając sobie doskonale sprawę z tego, że koledzy rozszyfrowali go. Nie było to rzeczą nazbyt trudną, bowiem w okolicach połowy długości jego ciała kołdra wyraźnie lewitowała. I nie działo się to za sprawą nadprzyrodzonych zdolności Karasia.

Wspomniany zaś Karaś, zachowywał się za to bardzo tajemniczo. Wlepiał ślepia w niedawno przebudzonego Sławka próbując zapanować nad jego umysłem lub przekazać mu coś telepatycznie. Kto go tam wie?

Poddawany działaniu telekinezy, może telepatii Sławek w pierwszej chwili myślał, że Karaś najwyraźniej, bezczelnie gapi się na jego nieco wstydliwe wybrzuszenie spowodowane niedawnym zbliżeniem. Mylił się. Spojrzał na Karasia, potem na Stefana, po czym ponownie na tego pierwszego, w końcu nie wytrzymał napięcia i zapytał z wrodzoną sobie kurtuazją.

– Srać ci się chce Karaś, czy jak? Co się tak, kurwa, na mnie gapisz?

Tenże, puścił mimo uszu słowa, ciągle będącego w złym humorze kolegi.

– Czy ty nic nie czułeś jak tak na ciebie patrzyłem? Żadnych prądów?

– Ty Karaś to, kurwa, pić nie możesz, bo ci się we łbie pierdoli. Ty sobie lepiej przypomnij coś ty wczoraj robił.

– Ale nic, a nic nie czułeś? – uparcie drążył temat hipnotyzer–telepata nie zwracając uwagi na złośliwe docinki Sławka.

– Ale że niby co miałbym czuć? – od niechcenia zapytał Sławek.

– Jak to co? Moc, energię! – krzyknął rozemocjonowany. Wydaje mi się, że od rana coś się ze mną dziwnego dzieje.

– Kac cię jebie i tyle – brutalnie przerwał osobiste wynurzenia Sławek.

– Nie, nie. To nie to. Zaraz coś ci pokażę. Patrz uważnie.

Karaś zrobił poważną, nabożną wręcz minę, zamknął oczy i przez dłuższą chwilę medytował. Ten czas skwapliwie wykorzystał Stefan żeby wprowadzić Sławka w temat.

– Nad czym tak się zastanawiasz koleżko? – zapytał Stefan tylko po to żeby lepiej zobrazować Sławkowi zagadnienie.

– Ty to już widziałeś, ale Sławek jeszcze nie, więc mu pokażę do czego jestem zdolny. Ale nie przeszkadzajcie mi teraz, musze się skupić – poprosił Karaś.

Chłopcy cierpliwie czekali, aż ten skumuluje w sobie nadludzką moc i zademonstruje jej działanie na lampie. Czujność przede wszystkim musiał zachować Stefan, od którego zależało powodzenie całego pokazu. Telekinetyk prężył się, zbierał w sobie i nagle rzucił błyskawicę w bogu ducha winną lampę. Ta rozbłysła tysiącem świateł.

– I co? Widzisz? To jest siła! – chełpił się Karaś.

– O kurwa, a jak ty to zrobiłeś? – zapytał zaskoczony niecodziennym wydarzeniem Sławek patrząc z udawanym zaciekawieniem na triumfującego kolegę.

– A widzisz? Jeszcze przed chwilą naśmiewałeś się ze mnie, a teraz co? Zdziwiony!
– Pewnie, że zdziwiony. Na pewno masz tam jakiś ukryty przełącznik i strugasz wariata – powątpiewał w nadprzyrodzone moce kolegi.
– A właśnie chodzi o to, że nie mam – podniósł ręce do góry i odsłonił kołdrę. – Ja mam moc – spojrzał z taką siłą na Sławka, że ten z przerażenia zasłonił dłońmi oczy.
– Nie patrz tak na mnie! – krzyknął obawiając się nieprzewidywalnych skutków Karasiowego daru. – Ja się ciebie boję. Co ty jakiś jebany Bazyliszek jesteś, czy co? Odwróć głowę, proszę, bo jeszcze mi coś złego zrobisz tymi prądami – nie bez racji obawiał się o swoje zdrowie Sławek. – A możesz też wyłączyć to światło? Bo bardzo w oczy razi.
– Pewnie, że tak. Chwila – szykował się do kolejnego pokazu.

|Zebrał energię w sobie i ciach – stała się ciemność.

– Teraz to ja już wszystko mogę. Ty wiesz jaka to kasiora?
– Jaka, kurwa, kasiora? Co ty lampy będziesz za kasę zapalał? Do tego służą przełączniki, komputery, itp. – idioto! Wiesz co? A może ty idź do cyrku, tam takie sztuczki robią na ludziach wrażenie – poddał inną ewentualność pod rozwagę.
– Czy ty nic nie rozumiesz? Taka energia!
– Atom to też energia, ale trzeba nad nią umieć zapanować. I co więcej, mądrze z niej korzystać. Pomyśl o tym – przestrzegał nader rozsądnie Sławek.
– Może zostanę bioenergoterapeutą? – zastanawiał się. Już widział oczami wyobraźni te tłumy przed swoim gabinetem.
– Ty Karaś, a skąd ty wiesz, że to na ludzi działa?
– Zaraz się przekonamy – powiedział, zrywając się z łóżka pełen animuszu.

Skupiony podszedł do Sławka. W oczach miał tyle energii, że mógłby ciskać nimi gromy. Ależ gościa wzięło – pomyślał pacjent. Rozbawiony Stefan z kamienną twarzą przyglądał się niecodziennemu eksperymentowi.
– A jaką ja mam kurwa pewność, że ty mi jakiejś krzywdy nie zrobisz? Przecież ty nie masz żadnej kontroli nad tymi mocami. Może to jest jakaś czarna magia?
– No niby tak – ostudził swoje zapędy Karaś. – Wiem, że nie mam – po chwili zastanowienia powiedział adept niekonwencjonalnej sztuki lekarskiej. – Przeprowadzimy doświadczenie. Ułóż się wygodnie, zrelaksuj i spróbuj poczuć energię jaką będę do ciebie przesyłał. A może coś ci dokucza? Odczuwasz gdzieś, jakieś bóle? – zapytał zatroskany szarlatan.
– Na razie wszystko ze mną w porządku. Nic mi nie dolega.
– A to szkoda – zmartwił się uzdrowiciel.
– Karaś, a może ty byś na kim innym wypróbował te swoje piekielne moce, bo ja się ciebie boję. Ty masz takie straszne oczy.

– Nie bój nic! To nagromadzone przez lata pokłady energii teraz ze mnie emanują – zakomunikował. – Ja zawsze podświadomie czułem, że mam takie predyspozycje. Od kilku już osób słyszałem, że w mojej obecności odczuwają jakąś dziwną energię.
– Ty wiesz? Ja też miewałem czasami takie wrażenie, że otacza cię jakieś pole. A w ciemności to wydawało się nawet, jakby biło od ciebie światło, jakby otaczała cię jakaś aura – jechał po całości przymusowy ochotnik eksperymentu.
– Poważnie mówisz? – podekscytował się Karaś.
– Serio. Możesz mi wierzyć. Nie robię sobie jaj – zapewniał. – A ty Stefan nie odczuwałeś czegoś niezwykłego w obecności naszego medium? – zwrócił się do obserwującego całą akcję trzeciego uczestnika pseudomedycznego eksperymentu.

Karaś wlepił swoje energetyczne oczy w Stefana i z niecierpliwością czekał odpowiedzi.
– Wiesz przyjacielu. Do tej pory nie chciałem nic mówić, żeby ludzie nie wzięli ciebie za jakiegoś mutanta lub inne dziwadło. Ale skoro sam odkryłeś w sobie moc, to tak. Jest w tobie coś takiego. Trudno to opisać, ale jest.
– A jednak! – Karaś lewitował ze szczęścia.
– No! Zabieraj się do roboty – Sławek brutalnie ściągnął na ziemię przyszłego uzdrowiciela.

Tryskający wewnętrzną energią Karaś, skupiony do granic możliwości zbliżył się do pacjenta i niemal z nabożnością położył dłonie na plecach Sławka. Ten drgnął, a ciało jego przebiegły dreszcze, które spowodowały gęsią skórkę. Karaś nawet przez chwilę nie pomyślał, że to reakcja organizmu na jego zimne ręce. W ogromnym skupieniu, wręcz z namaszczeniem przesuwał dłonie wzdłuż tułowia pacjenta. Przymknięte powieki oraz napięcie malujące się na twarzy uzdrowiciela świadczyły o jego ogromnym zaangażowaniu, co nie pozostało bez wpływu na „królika doświadczalnego". Sławek czułby się zdecydowanie bardziej komfortowo, gdyby obmacywały go kobiece ręce, ale dla „dobra" ludzkości godnie znosił „pieszczoty" starego erotomana. Na szczęście dla niego, zdeklarowanego heteroseksualisty.

Po zakończonej sesji, wyczerpany Karaś zapytał.
– No i jak? Czułeś prądy?
– A żebyś wiedział, że czułem – odparł z powagą w głosie. – Może popróbuj jeszcze na Stefanie – zaproponował.
– O nie, ja na razie dziękuję – wzdrygnął się na samą myśl. – Może kiedy indziej, jak nabierzesz większej wprawy – ofiarował się Stefan pozostawiając uzdrowiciela w przeświadczeniu, że energia jaką dysponuje jest w stanie spowodować nieodwracalne zmiany w ludzkim organizmie.
Karaś nawet nie słuchał odpowiedzi. Wciąż znajdował się w transie. Gdy

wyprostował się i podniósł wzrok biła od niego jakaś łuna, a na twarzy malował się anielski spokój. Chwilę tak stał zamyślony i nagle strzelił oczami w lampę. Rozkojarzony przez moment Stefan spóźnił się z reakcją i lampa jak była ciemna taką pozostała. Niezrażony niepowodzeniem telepata spróbował raz jeszcze. Ale wciąż nic się nie działo.

– Może jesteś za daleko? – próbował ratować sytuację Sławek.

Nerwowe ruchy Stefana w poszukiwaniu przełącznika w końcu zwróciły uwagę uzdrowiciela.

– Co ty tam masz? – zapytał podchodząc do szamoczącego się kumpla. – Jaja sobie ze mnie zrobiliście chuje? – dopiero teraz ujrzeli energię emanującą z oczu kolegi. Może on, kurwa, naprawdę ma tę energię – przestraszyli się nie na żarty.

Karaś dłuższą chwilę rzucał gromami i „chujami", przeklinał na czym świat stoi, po czym osunął się wyczerpany na łóżko. Energia jaką dysponował opuściła jego cielesność. Jakby wyczerpały mu się baterie. Smutek połączony z rozczarowaniem malujące się na twarzy niedoszłego bioenergoterapeuty były tak wymowne, że kolegom zrobiło się żal biedaka. I pomyśleć – mogliśmy mieć nowego Harrisa.

Po przeżyciach związanych z namaszczeniem Karasia i krótkiej toalecie Stefan wyszedł z hotelu na rekonesans. Ruch na ulicy był spory, co już go zastanowiło. O tej porze, w niedzielę, tyle ludzi? Odpust jakiś czy co? – krok za krokiem brnął w nieznane. Próbował znaleźć jakieś znane mu punkty orientacyjne miasta. Wszystko na nic. To, co spotykał na swojej drodze było wciąż obce. Jak zmieniło się to nasze miasto? Albo...? –zauważył zdziwiony po kwadransie błądzenie. Coś mi tu nie gra – jakaś lampka bezpieczeństwa, i to bez pomocy Karasia, zapaliła się w jego głowie. Gdzie ja do cholery jestem? – próbował dojść do ładu. Pytanie to, jak na razie zadawał tylko sobie, bowiem niezręcznie było zaczepiać przechodniów. Jednak z coraz większą ostrożnością stawiał kolejne kroki. Zaraz, zaraz. Jak nazywał się ten hotel w którym wylądowaliśmy? – na szczęście przypomniał sobie. Przemierzając kolejne ulice, był święcie przekonany, że jest gdzieś, w jakimś bliżej nieznanym sobie miejscu swojego miasta, ale z wolna zaczynał tracić tę pewność. Idąc tak, bez żadnego planu, dotarł do dworca kolejowego. Ogromny napis nad wejściem informował – Gdańsk Główny. Stefanowi w jednej chwili w oczach pociemniało, ale za to rozjaśniło w głowie.

O wy skurwysyny! To tak żeście mnie urządzili – pomstował na żartownisiów. Co ja powiem Zofii?! – zastanawiał się. Taki szmat drogi poza domem! Przecież ona w życiu mi nie uwierzy, że nie planowałem tego wypadu! – posłał jeszcze kilka „ciepłych" słów pod adresem kolegów i poczuł się znacznie lepiej. W Gdańsku jeszcze nie byłem, więc co mi szkodzi skorzystać z okazji, jeżeli już taka się nadarzyła – próbował znaleźć pozytywy całego zdarzenia. Omiótł wzrokiem okolicę, zakręcił się wokół osi podłużnej ciała raz i drugi, po

czym stanął jak wryty. Oto wyrósł przed nim jak spod ziemi – narciarz. Gość jakby z innej planety. Przyodziany w markowy kombinezon narciarski, gogle na oczach, czapkę, no i oczywiście na ramieniu misternie związane narty z kijkami. Jeszcze szajbus buty zjazdowe powinien wzuć dla fasonu – pomyślał Stefan.

To, na co nie był w stanie zdobyć się on sam, a mianowicie zapytać o drogę, nie sprawiało najmniejszego problemu tajemniczemu góralowi.

– Na Krupówki to którędy? – pytał przechodniów niecodzienny wczasowicz.

Nagabywani obywatele Gdańska, ze zdziwieniem, przerażeniem lubo lekceważeniem omijali rzadko widywanego w tym miejscu miłośnika sportów zimowych. Nikt nie odpowiadał na niedorzeczne pytanie. Na szczęście dla niego znalazł się jeden odważny człowiek, który podjął wyzwanie.

– Przepraszam pana najmocniej – zwrócił się narciarz najuprzejmiej jak tylko potrafił do Stefana. – Na Krupówki to którędy?

– Prosto, na światłach w prawo, na kolejnych jeszcze raz w prawo i na trzecich w prawo. Można tak samo w przeciwnym kierunku, czyli trzy razy w lewo.

– A dokąd mnie to doprowadzi? – zapytał podróżny.

– Donikąd, ale się nie zgubisz gamoniu.

Od mężczyzny zionęło nieprzetrawionym jeszcze alkoholem. O, jakże bliska memu sercu natura. Coś mi mówi, że się polubimy – pomyślał Stefan.

– Cóż za konfidencjonalny ton – rzekł przybysz. – Przecież można, jak inni, po prostu nie odpowiadać.

– Tak, z tym, że ci inni takie zjawisko omijają szerokim łukiem, a ja jestem, mimo wszystko. Chociaż wygląd pański jest… jak by tu powiedzieć? Dość osobliwy w tym mieście. A tak swoją drogą, to skąd się tu wziąłeś człowieku w takim stroju? – zapytał zaciekawiony Stefan.

– Długo by gadać – rzekł zrezygnowany narciarz.

– Stefan jestem – wyciągnął dłoń w kierunku narciarza.

– Karol – zapoznali się.

– Ja mam czas. I, szczerze mówiąc, jestem w podobnej sytuacji co ty, z tym że nie wyglądam tak idiotycznie. – Może usiądziemy sobie w jakiejś knajpce i pogadamy, bo przyznać muszę, żeś mnie zaintrygował – zaproponował Stefan.

Nie długo trzeba było błądzić po ulicach miasta, żeby trafić do cichej, przytulnej przystani. w której serwowano…

– Oscypek z moskalami i grule ze spyrką – zadysponował, ciągle nie tracący dobrego humoru, miłośnik sportów zimowych gardząc nadmorskimi specjałami.

– Może jeszcze kwaśnicę? Polecam – obojętnym tonem i ze zdegustowaną miną rzekła kelnerka.

– A jest taka potrawa w karcie, bo nie chciałbym robić kłopotu?

– To żaden kłopot. A pan co sobie życzy? – przez zaciśnięte żeby zwróciła się do Stefana.

– Ja, ja… – zaczął jąkać się Stefan – ja to poproszę herbatę z wkładką – palnął.

Tego było już za wiele dla lekko znudzonej kelnereczki. W jednej chwili spąsowiała. Tylko kobiety potrafią tak na bezdechu wyrzucić z siebie potok słów, których zrozumienia nie podjąłby się żaden analityk.

– Po co te nerwy? – rzekł ze stoickim spokojem narciarz przeczekawszy wprzódy, aż minie niekontrolowany napad złości pani kelnerki.

– No bo, no bo… – teraz zacięła się dziewczyna, – bo panowie to sobie jaja ze mnie robicie – wykrztusiła ostatkiem sił.

– Otóż, widzi pani. Tak się złożyło, że obaj, chcąc nie chcąc, wylądowaliśmy w tym pięknym mieście, chociaż cel naszej podróży był całkiem inny – Stefan próbował zagasić zarzewie konfliktu.

– Tak. A to ciekawe? – stwarzała pozory zainteresowania zniecierpliwiona kobieta.

– A może usiądzie pani z nami na chwilę i posłucha co się nam przytrafiło. Ruch i tak niewielki. Będzie nam bardzo miło – z rozbrajającym uśmiechem na twarzy zaproponował narciarz.

Kelnerka zawahała się przez moment, ale że przymilny uśmiech niecodziennych przybyszów nie znikał, w jednej chwili założyła na twarz inną maskę. Szczery, promienny uśmiech rozjaśnił jej ponure dotychczas lico. Dopiero teraz mężczyźni zauważyli, że stoi przed nimi przecudnej urody dziewczyna, która to świadomie przybierając postawę opryskliwej i niedostępnej, próbowała stworzyć wokół siebie własny azyl przed takimi gośćmi.

Sandra (bo tak przedstawiła się kelnerka) z lekkim ociąganiem, ale zdecydowała się przyjąć zaproszenie i spędzić chwilę ze świeżo poznanymi gośćmi. Pierwszy historię swą streścił Stefan, po czym kolej padła na Karola.

– Otóż – zaczął – studiuję w niewielkiej miejscowości… – gdy padła jej nazwa na twarzy Stefana odmalował się wyraz ogromnego zdumienia – …i wybrałem się na krótki obóz szkoleniowy do Zakopanego. Sami rozumiecie, jak to bywa w długiej podróży. Człowiek spotyka różnych ludzi, z którymi, czy to przez grzeczność, czy to dla zabicia czasu, wdaje się w różne dyskusje. Nie inaczej było ze mną. Z natury jestem bardzo towarzyski, więc szybko nawiązałem znajomość z osobami z przedziału. Rzeczą oczywistą jest, że każdy kto wybiera się w taką podróż zaopatrzony jest w niezbędny zestaw doświadczonego podróżnika. Po blisko godzinie jazdy – znudzony Stefan odruchowo spojrzał na zegarek – i jałowej dyskusji o dupie Maryny, ktoś ośmielił się zaproponować po maluchu. Ciągle jeszcze skrępowani pasażerowie spojrzeli wymownie po sobie dając ciche przyzwolenie niegłupiej idei. Zaraz każdy wyjął coś z podręcznego bagażu i po chwili prowizoryczny stół biesiadny był zastawiony, a do stacji docelowej było jeszcze daleko. Możecie sobie wyobrazić, co się później działo, czas jakby nagle przyspieszył…

– No właśnie. Streszczaj się – ponaglał Stefan.
– Ale wszystko jest ważne! – nie odpuszczał narciarz. – Nie wiedząc kiedy dotarliśmy do stacji przesiadkowej. W dużym pośpiechu żegnając się, zbieraliśmy bagaże i opuszczaliśmy pociąg. Na szczęście dla mnie, jeden z pasażerów – kompanów, dobrze orientował się w rozkładzie jazdy, więc doradził mi bardzo mądrze, wyjść naprzeciw jadącego pociągu i złapać go kilka stacji wcześniej, bo na tej będzie już ogromny tłok i trudno będzie o miejsca siedzące. Rada była niegłupia, tak też uczyniłem. W doskonałych humorach wsiedliśmy razem do pociągu i kontynuując wcześniej rozpoczętą biesiadę pomknęliśmy naprzeciw przeznaczeniu. Znajomemu udało się je spotkać. Ja miałem trochę mniej szczęścia i takim oto sposobem znalazłem się na drugim krańcu Polski.
– No to długa droga przed tobą Karolu – zauważyła Sandra. – Będziesz jeszcze trochę musiał poczekać na te swoje grule ze spyrką i szusowanie po ośnieżonych stokach – dodała współczującym tonem.

Sandra przyjęła zamówienie z menu, w którym królowały potrawy z ryb i udała się do swoich prozaicznych obowiązków. Stefan zaś, korzystając z okazji, wyjawił Karolowi swoje miejsce startu w tę niezwykłą podróż.
– No nie! – otworzył szeroko oczy ze zdziwienia –To potrzebowaliśmy pokonać aż tyle kilometrów by się poznać skoro mieszkamy tak blisko siebie?

„Kto by pomyślał", „cóż za zbieg okoliczności", „jaki ten świat mały" – takimi i innymi sloganami wyrażali swoje zdumienie, z tego, tak niecodziennego spotkania.

Po posiłku mężczyźni udali się do hotelu, w którym nocował Stefan Zaniepokojeni przedłużającą się nieobecnością kumpla Sławek i Karaś odetchnęli z ulgą widząc go w dobrym zdrowiu. Po krótkim streszczeniu historii Karola, zapadła decyzja o wspólnym powrocie.

Z Gdańska wyjechali dobrze po zmroku. Wynajęty kierowca nie był zbyt biegły w znajomości topografii miasta, więc już sam wyjazd sprawiał mu nie lada kłopot. Kręcił się nieporadnie po mieście usiłując znaleźć konkretny namiar na drogę wyjazdową. Drogowskazy, co prawda, były nawet dość dobrze rozmieszczone, ale trzeba było jeszcze umieć je odpowiednio interpretować i na czas reagować. Ta umiejętność nie była najmocniejszą stroną kierowcy. Przejechał kilka zjazdów, kilka pomylił i mknął w najlepsze w przeciwnym kierunku. Nieszczęsny szofer nie mógł zbytnio liczyć na pomoc pasażerów, gdyż ci w celu uprzyjemnienia sobie podróży co i raz wznosili toast za szczęśliwy powrót.

Pogoda tymczasem zaczęła pogarszać się z minuty na minutę. Nieprzenikniona zasłona z mgły unosząca się nad jezdnią uniemożliwiała bezpieczną jazdę. Coraz mniej samochodów napotykali na swej drodze. Coś było nie tak, ale nie mieli pojęcia co. Wtem, niczym spod ziemi wyrósł obok ich vana

samochód, który jakby nigdy nic, mknął przed siebie nie zważając na trudne warunki drogowe.
– Jedź za nim! – nakazał Sławek. – Będzie ci łatwiej.
– W porządku – odparł szofer wciskając pedał gazu.

Jak przewidział pomysłodawca, jazda stała się o wiele szybsza i łatwiejsza. Niczym na holu, ciągnęli się za samochodem dobre pół godziny, uparcie wpatrzeni w tylne światła przewodnika. Pojazd jadący z przodu, raz zwalniał, raz przyspieszał lecz ciągle posuwał się do przodu.
– Ale, czy ktoś wie, gdzie my jesteśmy i dokąd zmierzamy? – zapytał Stefan.
– Dobrze jedziemy. Spójrz na rejestrację przewodnika – zauważył trzeźwo Karaś. Rejestracja była z centralnej Polski, można więc było założyć, że jadą w dobrym kierunku.

Ujechali jeszcze kilka kilometrów, gdy samochód prowadzący nagle zwolnił, wykonał ostry zakręt w prawo, wjechał na drogę szutrową, następnie w lewo i zatrzymał się. Cóż było czynić? Zbłąkani podróżnicy poszli za przykładem „przewodnika" – zgasili silnik i zaciekawieni wysiedli z pojazdu. Mgła jakby trochę przerzedziła się. Mężczyźni wysiadający z samochodu kolejno przecierali oczy ze zdumienia. Okazało się bowiem, że oto zaparkowali na czyjejś posesji. Równie zdumiony, a może nawet zatrwożony zaistniałą sytuacją był właściciel samochodu, bezwiednie pilotującego zbłąkanych.
– Mogę w czymś pomóc? – zapytał niepewnie, zbliżając się do grupy rozbawionych, lekko podchmielonych przybyszów.
– Szczerze mówiąc – odezwał się Karol – to już nam pan pomógł. Nawet o tym nie wiedząc.
– Tak? A to w jaki sposób, jeśli można wiedzieć? – dopytywał mężczyzna.
– Widzi pan, długo by opowiadać – próbował tłumaczyć Karol.
– Nie mam na to czasu – odparł szorstko właściciel posesji. – Panowie będą uprzejmi opuścić moje podwórko – zwrócił się do nieproszonych gości.
– Poczekaj tato! – usłyszeli kobiecy głos dobiegający zza pleców mężczyzny. – Może pozwolisz panom wytłumaczyć, czemu od dobrej godziny jadą za nami i w tak niecodzienny sposób składają nam wizytę.

Karol, stojący najbliżej właściciela posiadłości już otwierał usta żeby wyjaśnić „jak się sprawa ma cała", gdy nagle coś go poraziło, a następnie zamurowało. Stał jak wryty z rozdziawioną japą nie mogąc wykrztusić z siebie żadnego artykułowanego dźwięku. Zaskoczenie było piorunujące. Potępieńcza cisza, jaka zapadła w tej ponurej scenerii, zdawać by się mogło, trwała bez końca.

Tymczasem stojąca nieopodal, ale trochę z tyłu, przysłonięta ciałem mężczyzny postać, postąpiła kilka kroków do przodu. Z zamglonej ciemności wyłoniła się tajemnicza, młoda kobieta. Zaskoczony jej widokiem Karol zdolny był tylko wybełkotać.

– To tyyy?

Pozostali, zwłaszcza Stefan, spojrzeli po sobie, a wyraz zdziwienia malujący się na ich twarzach był aż nadto wymowny. Wszyscy podświadomie zdawali sobie sprawę z faktu, że są świadkami jakiegoś wyjątkowego wydarzenia. Ale czego? – nie wiedzieli. Tajemnicza postać nabierała coraz wyraźniejszych, realnych kształtów. Zbliżyła się niespiesznie do oniemiałego ze zdziwienia Karola i zalotnym głosem odezwała się.

– No, Karolku przedstaw mnie swoim kolegom – zaproponowała zalotnie.

– Co niektórych miałam już przyjemność poznać – zauważyła, spoglądając porozumiewawczo na Stefana. Tenże, wciąż zaskoczony całą sytuacją, nie rozumiejąc niczego, bo wzrok i rozum mu trochę szwankował, uśmiechnął się głupawo udając, że coś pojmuje.

Kiedy dziewczyna wziąwszy Karola za rękę uśmiechnęła się do niego durna mina Stefana była jedynie niewinnym grymasem. Tak wielkich oczu to nawet babcia Czerwonego Kapturka nie miała. Machinalnie przetarł z wrażenia swój aparat wzroku, po czym delikatnie opuszkami palców ustawił gałki w naturalnej pozycji.

– A to ci heca! – wyrzekł, kiedy zdołał opanować zaskoczenie.

– Ja pierwszy ją poznałem – obwieścił triumfalnym głosem wszem i wobec Karol.

Mimo mroku, mgły i innych różnych przeszkód wszyscy obecni potrafili docenić niepospolitą urodę Sandry. Co prawda, wyglądała nieco inaczej niż w restauracji, bowiem walory, którymi obdarzyła ją natura, na czas pracy świadomie skrywała pod strojem „Kopciuszka". Teraz zaś wyeksponowane cieszyły oczy brzydszej połowy społeczeństwa.

– Tatusiu, a może zaprosilibyśmy panów na kawę? – zaproponowała ślicznotka.

– No, nie wiem córeczko. Przecież my ich w ogóle nie znamy – głośno wyraził swoją dezaprobatę właściciel posesji. – Cholera wie, jak oni odpłacą nam za naszą gościnę? – spojrzał wymownie na przybyszów. – Znasz powiedzenie „Każdy dobry uczynek spotka zasłużona kara"? – przestrzegał ojciec.

– Proszę się nie obawiać, my tylko zgubiliśmy się. Lub zagubiliśmy? – rzekł Karol ujmując dziewczynę odważnie za rękę. – A może odnaleźliśmy – dodał. I tak spojrzał na dziewczynę, że wkoło pojaśniało. O dziwo, Sandra nie miała nic przeciw takiemu zachowaniu promiennego adoratora.

– Myślę tatusiu, że panowie potrafią docenić polską gościnność i nic nam z ich strony nie grozi. Nieprawdaż? – tu zwróciła się z zapytaniem do Karola przechylając przy tym figlarnie głowę na bok i mocniej ściskając trzymaną dłoń.

– Taaak. Prawda chłopaki? – w tym momencie fala ciepła zalała serce zauroczonego młodzieńca.

Spotkanie przeciągnęło się do późnej nocy. Podczas wesołej biesiady

wiele rzeczy wyjaśniło się. Tadek (gospodarz) jest właścicielem sieci restauracji, natomiast Małgorzata, bo takie było prawdziwe imię Sandry, dorabia sobie u ojca, a na co dzień studiuje ekonomię. Goście opowiedzieli kilka anegdot związanych z wyjazdem i nie tylko, co całkowicie rozluźniło i tak już swobodną atmosferę, na którą ogromny wpływ miał „wzięty" bar restauratora.

Wesoła atmosfera spotkanie nie udzieliła się tylko Karolowi. Większość wieczoru przesiedział jakiś zasępiony, zadumany, zakochany. Coś go dręczyło, jakiś poważny problem zaprzątnął mu głowę. Pozostali doskonale wiedzieli co? lub kto? było tego przyczyną. Małgorzata, siedząca obok Karola, też była jakaś nieswoja.

Po kilku godzinach udręki oboje postanowili, mimo że pogoda ku temu nie sprzyjała, wyjść na spacer. Po powrocie byli w zgoła innych nastrojach. Co tam się działo, co zaszło między nimi, niech pozostanie ich słodką tajemnicą.

Powiadają miłość od pierwszego wejrzenia
Ja patrzyłem na nią sto razy
I za każdym razem zakochiwałem się na nowo
Po stokroć.

Może kiedyś opowiedzą dzieciom o okolicznościach poznania się, o swoim spotkaniu i zauroczeniu. Po latach będzie to tylko anegdotą, którą powtarzać będą w trakcie rodzinnych spotkaniach.

Rano towarzystwo pożegnało się z gospodarzami i już bez żadnych niespodzianek, wieczorową porą powróciło do miejsca zamieszkania. Nie był to jednak koniec przygód Stefana.

* * *

Wyprowadzka

Lęk przed powrotem z wojaży z każdym kolejnym kilometrem przybliżającym Stefana do stęsknionej, ukochanej żony paraliżował go coraz bardziej. Jego karkołomna wyprawa w nieznane, chociaż tak po prawdzie, nie do końca przez niego zawiniona i zaplanowana, nie mogła pozostać bez wpływu na wzajemne relacje między małżonkami.

Wesołe towarzystwo rozstało się około dwudziestej trzeciej. Pogoda znacznie pogorszyła się, jakby próbowała dopasować się nastrojem do stanu ducha skruszonego wędrowcy. Było szaro, buro i ponuro. Dobry humor Stefana prysł gdzieś bezpowrotnie, i mimo krążących ciągle w organizmie procentów przyszedł czas na refleksje.

Co powiedzieć żonie? Jak jej wytłumaczyć całe to zajście? – zastanawiał się

– Przecież i tak mi nie uwierzy, że zostałem porwany przez tych szajbusów. Choćbym zaklinał się na wszystkie świętości, ona i tak będzie wiedziała swoje. Rozmyślając i rozpatrując różne warianty tłumaczenia zaistniałej sytuacji dotarł pod klatkę schodową bloku, w którym mieszkał. Już z daleka zauważył stojące przed nią jakieś przedmioty, sprzęty gospodarstwa domowego wokół, których kręcili się jacyś obcy ludzie. Ktoś się wyprowadza? – pomyślał. Ale o tej porze? – Trochę późno – zauważył. Podszedł bliżej i cóż widzi? Przed drzwiami wejściowymi stoją: telewizor, pralka, lodówka oraz kilka drobniejszych sprzętów AGD. Coś go tknęło. Jakieś złe przeczucie wkradło się w jego duszę. Przeciera oczy ze zdumienia i nareszcie zaczyna świtać mu w głowie. Ja te rzeczy poznaję. Przecież to wszystko jest moje, to wyposażenie mojego mieszkania! – dotarło do niego. Czyżby Zośka aż tak wkurzyła się na mnie za ten wypad, że wyrzuciła mnie z domu? – przeraził się. Powód, co prawda miała do zdenerwowania, ale żeby zaraz na bruk? To chyba zbyt wiele, zbyt sroga kara. Robiłem już gorsze rzeczy i aż tak impulsywnie nie reagowała? Przecież musi dać mi szansę wytłumaczenia się! To naprawdę nie była moja wina, tylko tych wariatów, to oni mnie uprowadzili – szukał usprawiedliwienia dla swojej nieobecności w domu – Musi mi uwierzyć! A może paliło się? – po chwili przyszło mu do głowy. Spojrzał w górę – Żadnych śladów pożaru. Rozejrzał się wokół. Nawet iskry– stwierdził ze smutkiem. Jeszcze raz rzucił okiem, na sprzęt wystawiony przed klatkę – To wszystko rupiecie, ale…

To co zobaczył zatrzęsło wrażliwym z natury Stefanem. Na niewielkiej ławeczce stał magnetofon szpulowy ZK 140.

– No tego to już za wiele!– wycedził z goryczą przez zaciśnięte zęby.

Żadnego szacunku dla przeszłości! Ileż to wieczorów spędziliśmy przy dźwiękach płynących z tego szacownego urządzenia – wrócił pamięcią do młodzieńczych lat, a nutka nostalgii zagrała na rozbudzonych uczuciach wędrowca. Łza w oku zakręciła się biedaczysku gdy przypomniał sobie dawno minione, szczęśliwe czasy. Tamte lata już nie wrócą – żałował. To czemu do cholery jasnej, tak bezceremonialnie pozbywamy się naszych pamiątek?! – wrócił na ziemię do czasów obecnych. W jednej chwili z uduchowionego, delikatnego, skruszonego człowieka przeistoczył się w bestię.

– A co wy tu, kurwa, po nocy grzebiecie w cudzych rzeczach? – naskoczył na dwoje ludzi krzątających się wokół wystawki. – Tak żerować na ludzkim nieszczęściu! O niedoczekanie wasze! –obiecywał.

Ci, czy to ze strachu, czy zaskoczenia zdumieni spojrzeli po sobie nieświadomi przewiny jaką popełnili. Nic nie odpowiedzieli. Stefan porwał magnetofon i złorzecząc na czym świat stoi pognał do mieszkania, zastrzegając jednocześnie, że zaraz tu wróci

– I żeby niż nie zginęło! Bo wam kości porachuję – przestrzegał.

Na górze to dopiero zrobię piekło – rozkręcał się. Wspinając się po schodach usłyszał dochodzące z dołu czyjeś głosy. To pewnie ci kloszardzi złorzeczą – wnioskował rozsierdzony. „Bandyta", „złodziej" i „policja" – te słowa powtarzały się najczęściej.

– Ja wam dam policję! – odgrażał się żebrakom. –Jak wrócę na dół…

Obiecywał, bowiem w najbliższej perspektywie planował powrót na parter w celu dopełnienia dzieła, już nie tylko odzyskania swoich „skarbów. W głębi duszy cieszył się nawet na tę okoliczność. To dopiero będzie jatka – rozochocił się. Oczami wyobraźni już widział tę rzeź.

Ostatkiem sił wdrapał się na docelowe piętro, a że sprzęt miał nie tylko wymiar sentymentalny, ale i swój ciężar gatunkowy, musiał użyć do zapukania kończyny, i to nie tej, której zazwyczaj używa się do tego celu. Drzwi stanęły przed nim otworem. Zbyt wiele hałasu, jak na tak późną porę – zauważył. Ale cel został osiągnięty.

Rumor panujący na klatce schodowej obudził Zofię, która wyszła zaspana do przedpokoju. Rozeźlony miłośnik swoich artefaktów, czy to próbując zatuszować swoje przewiny, czy też zły na żonę za zrobienie wystawki bez konsultacji z nim, naskoczył na nią bezpardonowo.

– Co ty, kurwa, rozdajesz moje drogocenne pamiątki?! – naskoczył na niczego nieświadomą żonę. – Jakim prawem?! Na pewno już od dawna to planowałaś! – wykrzyczał rozgoryczony. Wziął głębszy wdech – Tylko czekałaś kiedy mnie nie będzie w domu? Cooo, mylę się? – triumfował właśnie oświecony odkrywca.

– Człowiek wyjdzie na chwilę z domu! I raptem po trzech dniach widzi takie rzeczy?! O kochana, tak się nie robi!

Zofia, wciąż półprzytomna, stała w przedpokoju nie pojmując co się dzieje.

– Co się stało z drzwiami? – zapytała.

– Pieprzyć drzwi. Jeszcze się pytasz o co chodzi? A to dobre! – wściekły, cedził każde słowo.

– Nie ciebie pytam durniu, tylko sąsiadów stojących za tobą! – małżonka nagle nabrała wigoru.

Stefan odwrócił się i, ku swojemu zdziwieniu, faktycznie ujrzał za sobą dwoje ludzi.

– Co państwo robicie w naszym mieszkaniu? Porządni ludzie już dawno o tej porze powinni spać – stwierdził kategorycznie.

– Na pewno nie zakłócalibyśmy nikomu ciszy nocnej – odezwał się sąsiad całkiem spokojnym głosem – gdyby nie pańska interwencja tam na dole – machał palcem, jakby dół mógł znajdować się w dowolnym miejscu przestrzeni.

– Nie rozumiem – stwierdził Stefan. – A co państwu do tego? – warknął.

– Widzę, że pan nic nie pojmuje. I wcale się temu nie dziwię… – mężczyzna

spojrzał na Stefana z politowaniem. – Tymi ludzi krzątającymi się wokół tego dobytku byliśmy my, to znaczy ja i moja małżonka.
– Tak? No i co z tego? – Stefan nadal nie spuszczał z tonu.
– A może właśnie to, że to moją połowicę wyzwał pan od łajz, brudasów, złodziei... Więcej przykładów przytaczać nie będę, żeby nie narażać zebranych tu pań, na kolejny potok niewyszukanych epitetów. Tym razem rzuconych pod moim adresem. Ponadto obiecywał mi pan tęgie lanie... – Stefan zrobił zdziwioną minę i stał osłupiały, próbując, cokolwiek pojąć z zaistniałej sytuacji. – Wracając do tych rupieci stojących na zewnątrz – Stefan już chciał lunąć sąsiadowi za słowne zbezczeszczenie rodzinnych pamiątek – to mogliśmy sprawę załatwić całkiem inaczej. Jeżeli panu tak na nich zależy?
– Pewnie, że zależy. I pewnie, że mogliśmy – potwierdził Stefan. – Ale teraz to już za późno. Miałem pana za porządnego człowieka – zaczął nieco łagodniej. – Jak pan mógł, tak podstępnie i skrycie, bez mojej wiedzy wynosić takie skarby z domu.
– Jakie skarby? Zwykły szmelc zagracający mieszkanie! Ba, nawet miejsca w piwnicy na to szkoda!

Tego było już za wiele dla opanowanego z natury Stefana. Doskoczył do sąsiada jak pantera i w jednej chwili trzymał nieboraka w śmiertelnym uścisku.
– Nie będziesz chamie pluł mi na „przeszłości ołtarze"! A wiesz ty kmiocie ile czasu musiałem spędzić pod różnymi sklepami, żeby to wszystko zdobyć? – napastnik pałał nienawiścią.

Zaskoczony sąsiad, ostatkiem sił zdołał wydukać, że jemu osobiście, też zajęło to wiele czasu. Po przejściu pierwszej fali furii, Stefan rozluźnił uścisk pozwalając ofierze na zaczerpnięcie nieco tchu.
– Skoro i pan pamięta tamte trudne czasy, to czemu tak bez cienia refleksji bezcześci te historyczne wręcz eksponaty?
– Ja aż z takim sentymentem do tego nie podchodzę. Ale w ostateczności, jeżeli panu tak bardzo na nich zależy, mogę je oddać – zaoferował sąsiad.
– Jak to oddać? Pan mnie? Powiedz pan szczerze ile żeś za to wszystko zapłacił?
– Na stare czy na nowe? – dociekał sąsiad.
– Bez różnicy. Ile?!
– Za pralkę 1800, za telewizor 2300, a za drogocenny magnetofon nie bardzo pamiętam.
– Panie, o czym pan mówisz? – próbował coś zrozumieć Stefan.
– Nooo, o cenach z tamtych lat.
– A na co mnie ceny z tamtej epoki? Pytam o dzisiaj.
– Ale, co dzisiaj? Po co mi dawać cokolwiek, za te rupiecie...

Stefan błysnął zębiskami.
– O przepraszam, za te eksponaty – poprawił się natychmiast sąsiad. – Ja chcę się

tego jak najszybciej pozbyć, bo żona mi żyć nie daje – w tym momencie spojrzał na żonę i szukał u niej potwierdzenia swych słów.
– Szczerze przyznaję, że ja już nic z tego nie rozumiem – stwierdził ogłupiały nieco Stefan. – To po jasną cholerę żeś pan je kupował? – dopytywał.
– No jak to po co? Bo były mi potrzebne – odparł.
– Potrzebne, potrzebne i co? Raptem się panu odwidziało?
– No, nie tak raptem. Szmat czasu minął.
– Jaki szmat?

Przecież nie było mnie dwa, góra trzy dni – uzmysłowił sobie. Musiała od dawna to planować i tylko czekała na dogodną okazję – wymyślił. Perfidna baba – spojrzał z wyrzutem na stojącą nieopodal i przysłuchującą się całej rozmowie żonę.
– My to sobie jeszcze porozmawiamy – zwrócił się z marsową miną do małżonki.
– A państwu dziękuję za czujność. Dobrej nocy życzę – żegnał się z sąsiadami.
– Alka, powiedz coś –Marek (tak miał na imię sąsiad) zwrócił się do milczącej dotychczas żony.

Szanowna sąsiadka, chyba coś odkryła. Wymowny błysk w jej oczach zapowiadał jakiś przełom.
– Zakładam sąsiedzie, że sądzi pan, iż ten oto magnetofon jest pańską własnością. Mam rację?
– No mowa! Co to za pytanie?
– I te wszystkie graty stojące przed klatką, też należą do pana?
– W samej rzeczy – pewnym głosem potwierdził swoje pretensje do sprzętu.
– Czy ma pan na to jakiś dowód?
– Jaki dowód szanowna sąsiadko? Może paragony miałem zachować przez tyle lat? –z nieskrywaną irytacją w głosie odparł Stefan. Myślałem, że jest bystrzejsza? – rozczarował się.
– Dajmy na to sąsiedzie, że ten ZK 140 jest pański.
– Oczywiście, że jest mój, bo czyj niby miałby być? – żachnął się.
– Właśnie dochodzimy do sedna sprawy. Może zapytamy pańską małżonkę. Sądzę, że jest bardziej zorientowana w sprawach domowych.
– Proszę bardzo – zgodził się mąż.
– Pani Zofio. Czy posiadacie państwo takowe urządzenie? – wskazała starego szpulaka.
– Jak najbardziej – potwierdziła bez chwili wahania Zofia.
– I gdzie ono się znajduje?
– Jak to gdzie? W pawlaczu, tam gdzie jego miejsce.

Zbity z pantałyku Stefan porwał najbliższy stołek i nerwowo zaczął przeszukiwać schowek. Z dużo mniejszym entuzjazmem zszedł na „ziemię". Sąsiedzi wyszli. Ale Zofia została. I już nigdy mu tego nie

zapomniała. A zdarzenie to, przez długi jeszcze czas, było najczęściej powtarzaną anegdotą w towarzystwie.

* * *

Koledzy siedzący przy stoliku uśmieli się z przygody Stefana, bowiem, o dziwo, wcześniej jej nie słyszeli. Tymczasem Stefan, przerywając wesoły nastrój spotkania w jednej chwili spoważniał i sprowadził kolegów na ziemię.

– Najlepiej będzie, jak jeszcze dzisiaj zgłosicie się na policję, bo za kilka dni roześlą za wami listy gończe.

– Tak zrobimy – zdecydowali.

– I zapłaćcie ten pieprzony, zaległy rachunek. Wiem, że to spora kwota, ale ja was nie wyręczę. Kiedy już, pozałatwiacie swoje sprawy, będę miał do was interes. Obiecuję, że dobrze na tym wyjdziecie.

Rozdział XIV

Późny jesienny wieczór. Przed majętność Zofii, oświetloną tysiącem lamp, zaczęło zajeżdżać coraz więcej samochodów. Mimo, że nie był to czas karnawału, goście wystrojeni byli jak na bal. Panie w wieczorowych sukniach wyglądały, może nieco komicznie, lecz nadzwyczaj wytwornie. Mężczyźni zaś, żeby nie przynieść wstydu swoim połowicom, zmuszeni byli przyodziać równie oficjalne stroje.

Jakaś większa bibka szykuje się – pomyślał sobie mężczyzna ukrywający się w zaroślach i uważnie obserwujący posesję. Tylu gości? Taki przepych? Ho, ho! Powodzi się Mocnym – stwierdził bez nieskrywanej zawiści. Jeszcze niedawno ledwo wiązali koniec z końcem, a tu patrzcie państwo! Jaka feta? W ciągu kilku miesięcy tak się dorobić! Ciekawe, na czym? Może znaleźli skarb ukryty ponoć, przed laty w tym starym domu? No bo skąd do cholery wzięliby na to wszystko pieniądze? – zastanawiał się stojący po kolana w jadzie, jaki zdążył utoczyć, wścibski jegomość. Z takiej ruiny zrobić takie cacko? W tak krótkim czasie? To niepodobieństwo. Przecież to musiało kosztować majątek – liczył w głowie pieniądze Mocnych. Poczekamy – zobaczymy, co z tego wyjdzie? I co na to Urząd Skarbowy?! Trzeba będzie uprzejmie donieść, skreślić słów kilka – założył na przyszłość. Tak zaślepiony blaskiem lamp oraz zazdrością graniczącą z zawiścią, nie zauważył drugiego ciekawskiego, stojącego nieopodal lecz po drugiej stronie płotu. Ten zaś, z zainteresowaniem i nieskrywanym rozbawieniem przyglądał się wszystkiemu, co działo się na sąsiedniej posesji. Wieczór był wyjątkowo ciemny, a rozpalone do czerwoności podwórze dawało mu wyjątkową sposobność do obserwowania przybywających gości, samemu pozostając niezauważonym.

Kogóż to my tutaj mamy? – zastanawiał się obserwator. No, no. Sama śmietanka towarzyska miasta. Należy przyznać, że Mocna jak już coś robi, to robi to dobrze. I z rozmachem. Tych znam, tych znam... No, a tych zapraszać? To chyba lekka przesada – stwierdził z przekąsem zniesmaczony podglądacz. Ale co tam? Nie ja ich zapraszałem. To nie moja sprawa – ulżyło mu.

Zjeżdżający się goście sprawiali wrażenie zaskoczonych i zarazem oczarowanych nowym wyglądem posesji. „W czasach największej świetności tak nie wyglądała. Wiele słyszeliśmy o planach gospodyni związanych z remontem, ale rzeczywistość przekroczyła wszelkie oczekiwania" – komplementowali oczarowani efektem końcowym prac Ten przepych, ten smak, ten blask, aż dech zapierało.

Należy podkreślić, że zaproszeni goście też nie byli ubogimi krewnymi i mało co mogło im zaimponować. Więc takie słowa padające z ich ust wielce łechtały próżność gospodyni, a zarazem sprawiały jej niewymowną radość. Zofia wręcz nie posiadała się ze szczęścia, promieniała.

Pani domu, stojąca na rozległym, frontowym tarasie, z sobie tylko wrodzoną gracją, witała osobiście kolejno przybywających gości. Jej widok niejednemu mężczyźnie zapierał dech w piersiach oraz wzbudzał uzasadnioną zazdrość u ich żon. Ta suknia, te klejnoty, ta fryzura i ta figura, której pozazdrościłaby jej sama Wenus. Tej nocy na firmamencie świeciła tylko jedna gwiazda.

Ukryty na sąsiedniej posesji obserwator-podglądacz, ale koneser płci pięknej, aż przysiadł z zachwytu widząc gospodynię w tak doskonałej formie. Otworzył szeroko oczy i patrzył z niedowierzaniem na to niecodzienne zjawisko przyrodnicze i napawał się jego pięknem. Jaka ona jest śliczna – pomyślał stojąc w cieniu wydarzeń. Mógłby tak patrzeć na nią bez końca. Blask jego wybałuszonych z wrażenia oczu niechybnie zdradziłby jego położenie, gdyby nie zreflektował się w porę. Cofnął się odruchowo w głąb ogrodu, przymknął lekko powieki dla kamuflażu i patrzył. Poza gospodynią nie dostrzegał już niczego. Bo jak? Skoro ona była całym światem.

Ceremonia powitania dobiegała końca. To chyba już wszystko na dzisiaj. Było na co popatrzeć – stwierdzili jednocześnie obaj tajemniczy mężczyźni odprowadzając wzrokiem ostatnich gości znikających w skrzydłach otwartego domu.

Żeby tak choć na chwilę móc tam się znaleźć i poczuć atmosferę tego wielkiego świata, to byłoby coś – zamarzył ten zawistny. Na dzisiaj koniec przyjemności, teatrzyk się skończył, trzeba się przebierać i brać do roboty – pomyślał drugi gap. Odprowadził wzrokiem „zawistnego" do granicy padającego światła, po czym odwracając się na pięcie zniknął w późnojesiennym mroku.

Przyjęcie powoli nabierało tempa. Pani domu brylująca wśród gości

była wszędzie, wszystkiego doglądała, dla każdego znalazła uśmiech i chwilę czasu. Nieco wyniosła poza gospodyni lekko irytowała niektórych przybyłych, ale ogólnie wszystko było do przyjęcia. To był jej wieczór, wieczór na który od dawna czekała i z którym wiązała duże nadzieje. Zofia za wszelką cenę chciała zrekompensować sobie chude lata, a przede wszystkim, pokazać całemu światu, że kłopoty ma już za sobą.

Trochę krępujące, a może nawet wścibskie pytania ciekawskich, dotyczące okoliczności tak szczęśliwego obrotu spraw, czy uśmiechu losu zbywała, niedomówieniami lub stwierdzeniem –To nie pora na takie rozmowy. Co wszyscy doskonale rozumieli.

Na atmosferze imprezy cieniem mógł jedynie kłaść się fakt, pozostający świeżo w pamięci gości, niedawnej jeszcze zapaści finansowej gospodyni. Wielu z zaproszonych próbowało wówczas wyciągnąć do Mocnej pomocną dłoń. I wielu to uczyniło. Na sali znajdowali się jednak i tacy, którzy w chwili próby nie zdali egzaminu. Ci mogli czuć pewien dyskomfort.

Wykwintne jedzenie, doskonałe trunki i orkiestra przygrywająca do tańca. Mocna zadbała o wszystko.

Te trzy warunki musiały być spełnione, żeby bal u Mocnej zapadł mieszkańcom miasta w pamięci na długie lata. Czy to się organizatorce udało? Oceni historia.

Czas upływał gościom na wesołych pogaduszkach, pląsach i degustacji. Kilka przyjaciółek trawionych niezdrową ciekawością, za wszelką cenę próbowało wyciągnąć od gospodyni jej najgłębiej skrywaną tajemnicę, czyli pochodzenie majątku.

– Skąd to wszystko?

– Poznałaś kogoś?

– Spadek?

Jedna, z bardziej rozgarniętych uczestniczek rozmowy, doznała nagłego olśnienia.

– Wiem, już wszystko wiem! – wykrzyknęła – To ty jesteś tym tajemniczym zwycięzcą LOTTO! To ty wygrałaś te miliony!

– Oszalałaś Aśka? Bynajmniej! – z uśmiechem na ustach zaprzeczyła Zofia. – Owszem, przytrafiło mi się coś niezwykłego. Coś… – nachwalę zawiesiła głos – coś o czym nie mogę na razie mówić. Ale żadnych milionów na loterii nie wygrałam. Uwierzcie mi dziewczyny!

– To może ktoś z twoich bliskich? – drążyły temat przyjaciółki.

– Bliskich? Jakich bliskich? Że niby kto? Jacek? Agata? – naigrywała się Zofia.

Kobiety nadwyrężały swe, lekko zaćmione alkoholem, umysły lecz nikt nie przychodził im do głowy. Nagle Baśka, błysnęła intelektem.

– Twój mąż! – wypaliła – Stefan!

– Gdzie? – przeraziła się Zofia.
– Nie, nie obawiaj się! Nie ma go tutaj. Ale może to on wygrał te pieniądze?

Kobiety spojrzały porozumiewawczo po sobie i wszystkie, jak na komendę, parsknęły śmiechem.
– No teraz to już przesadziłaś kochana! Przecież to skończona łajza i nieudacznik – Marysia bezmyślnie wydała swoją opinię o „byłym" Zofii. – Czy ty widziałaś go ostatnimi czasy? Bo ja tak! To obraz nędzy i rozpaczy! Wierzcie mi, milioner tak nie wygląda. Chyba, że oszczędza i doskonale kamufluje się – naigrywała się z eksmęża przyjaciółki. – Przepraszam, że tak mówię Zosiu. Ale sama rozumiesz...?

Zofia kiwnęła tylko głową z politowaniem.
– I ja nasłuchałam się o nim „tego i owego" – dołożyła na „pocieszenie" inna uczestniczka rozmowy.
– Ja też co nieco słyszałam – wtrąciła swoje pięć groszy następna.
– Cóż takiego pani słyszała? – zapytała poirytowana Agata stając w obronie ojca.
– Nie gniewaj się drogie dziecko. Ale to nie były zbyt pochlebne opinie... Aaa z drugiej strony, to nie czas ani miejsce żeby je przytaczać.
– Przepraszam panią – powiedziała posmutniała dziewczyna. – Ja też słyszałam co nieco – dodała. – Tylko pogodzić się z tym...jest bardzo trudno .
– Przykre to, ale prawdziwe – wtrąciła Zofia żeby przerwać tę nieprzyjemną i nieco krępującą wszystkich dyskusję. – Ten pan żyje w swoim własnym świecie, świecie który sobie tworzył przez lata. I na pewno już z niego nie powróci. A co do LOTTO, to w czasie kiedy padła wygrana, Stefan akurat przebywał w szpitalu. Taki z niego pechowiec! Same więc widzicie, że jest on ostatnią osobą, którą można by podejrzewać o jakąkolwiek wygraną. Ten pan wolałby wydać ostatni grosz na butelkę piwa, na zabawę z kolegami, aniżeli obstawić jakieś tam zakłady.
– To fakt – potwierdziła córka.
– Ale przynajmniej nie hazardzista – znalazła pozytyw w postępowaniu Stefana Dorota. – Ale dosyć już o tym – przerwała niemiły wątek.
– Powiedz nam kochana, czyja to posesja, ta po sąsiedzku? Muszę przyznać, że niczego sobie. Tylko nieco pretensjonalna. I ten basen! Musiał wybudować tak blisko ciebie? Mało ma miejsca wkoło?
– Wybudował gdzie chciał, jego wola – odparła obcesowo Zofia.
– Co się denerwujesz? Będziesz miała blisko – wtrąciła Adela.
– Blisko do czego? – żachnęła się gospodyni.
– Ty już wiesz do czego – mrugnęła porozumiewawczo.
– Eee tam. To jakiś dziwak. Nikt go tu jeszcze nie widział. Nie wiadomo kto to taki. W trakcie robót nie pojawił się ani razu na placu budowy. Chyba nie bardzo mu zależało na tym domu. Może to jakaś kolejna fanaberia obrzydliwie bogatego

milionera.
– Czemu tak mówisz? – oponowała Adela. – Może taki bogacz nie musi sam doglądać takiego niewielkiego przedsięwzięcia jakim jest budowa domu. Mógł przecież wynająć do tego ludzi, nie uważasz? Musisz się jednak ze mną zgodzić, że posesja wygląda imponująco? – Zofia spojrzała nienawistnym wzrokiem na koleżankę.
– Oczywiście, to nie to co twoja! – zorientowała się w popełnionym faux pas. – Aleee jest całkiem przyzwoita. A skoro zdecydował się na budowę domu i basenu – dodała – to ma chyba zamiar kiedyś do niego wprowadzić się – zauważyła nie bez racji.
– No, może i tak – przyznała Zofia.
– Zobaczysz, na pewno wkrótce go poznasz – zapewniała koleżanka.
– Co on mnie obchodzi – warknęła lekko poirytowana.
– Co z tobą Zośka. Czemu się tak wściekasz? – dopytywała Adela.
– Co mam się wściekać? Nie znam człowieka i nic mnie on nie obchodzi.
– A może zaprosiłabyś go kiedyś do siebie w celu nawiązania dobrosąsiedzkich stosunków?
– To jest niegłupi pomysł – podłapała temat Baśka. – Taka partia. Warto by się koło niego zakręcić. Co o tym myślisz, Zośka?
– Ok.! Przyznam się wam w tajemnicy, bo widzę, że mi nie odpuścicie. Zostawiłam zaproszenie w skrzynce na listy, ale jak widzicie nie ma gościa. Dom nieoświetlony, więc jeszcze się nie wprowadził.
– Będzie inna okazja – Adela pocieszała Zofię, jakby to miało jakiekolwiek znaczenie.

Długo by jeszcze wymieniać tematy, jakie poruszały coraz weselsze panie. Lecz przyznać należy, że atmosfera stawała się coraz bardziej frywolna.

Tymczasem, mężczyźni zgromadzeni po drugiej stronie barykady, uwolnieni spod kurateli swoich połowic, oddali się degustacji trunków przewidzianych na tę okoliczność przez gospodynię. Było w czym wybierać, więc towarzystwo, żeby nie zranić uczuć organizatorki, delektowało się wybornymi alkoholami z wielkim zapamiętaniem. Bar został wzięty. Każdy wie, że z alkoholem nie ma żartów i łatwo jest przekroczyć tę „cienką czerwoną linię". Nie inaczej też było z niektórymi amatorami serwowanych, coraz to nowych napojów wyskokowych. Rozmowa toczyła się, jak to przy alkoholu, wokół spraw ogólnych. Trochę polityki, trochę biznesu, trochę sportu i plotki. Mówią, że kobiety plotkują, lecz mężczyznom też niczego nie brakuje. Lekko już przebrzmiała kwestia wygranej w LOTTO też była szczegółowo omawiana. W pewnym momencie, któryś z dżentelmenów przypomniał sobie, o ich wspólnym znajomym...
– A co tam u Stefana? – zapytał bez zbytniego zainteresowania Grzegorz.

Zebrani przerwali na chwilę zapamiętałą dyskusję, spojrzeli po sobie nieco zmieszani, ale nie odważyli się podjąć niewygodnego tematu. Wyraz zażenowania na twarzach uczestników imprezy, wymowne milczenie oraz ironiczne uśmiechy nie wymagały komentarza. Krepującą ciszę przerwał Antek.
– A co ma być?! Od kiedy Zofia go zostawiła, snuje się po knajpach i tęgo pije. Kilka miesięcy temu byłem z nim na jakiejś imprezie. Nie pamiętam jaka to była okazja, ale było to dla mnie przykre doświadczenie.
– Czemuż to? – zainteresował się inny rozmówca. – Czyżby nie płacił rachunków? Pił na krzywy ryj? Spał na stole? Awanturował? Przecież to do niego nie podobne. Stefan pod tym względem zawsze był w porządku – stanął w obronie kolegi Tadeusz.
– No nieee. Nie to miałem na myśli – zreflektował się Antoni. Ale... – zastanawiał się chwilę – on bardzo się zmienił. Zachowuje się dość dziwnie, powiedziałbym pretensjonalnie. Odniosłem wrażenie, że z pełną premedytacją robi wszystko, żeby uchodzić za kogoś innego niż jest naprawdę.
– A ty wiesz, że ja miałem podobne odczucie – potwierdził Tadeusz. – Załóżmy, że tak jest. To jaki miałby w tym cel? Co chciałby przez to osiągnąć? Wszystkich wokół zrazić do siebie? Tylko po co?
– Jak to, po co? – wtrącił się do rozmowy rozemocjonowany nieco Marek. – A wy co byście zrobili, gdyby wam nagle zawalił się świat? On gra. Udaje, że wszystko jest w porządku, ale tak nie jest!
– Może ma teraz nieco trudniejszy okres, ale kto z nas takiego nie miewał. Spróbujcie postawić się w jego sytuacji. Brak pracy, pobyt w szpitalu, kłopoty rodzinne i kto wie co jeszcze. Trochę tego dużo jak na jednego człowieka. Nie uważacie panowie? – Roman próbował zrozumieć postępowanie kolegi.
– Niby tak – zgodził się Stasiek. – Ale to jednak go nie tłumaczy...
– Moralista się, kurwa, znalazł! Postaw się na jego miejscu! Żyj codziennie z takim garbem! A wtedy zobaczysz do czego będziesz zdolny?! – wtrącił w obronie kolegi Grzesiek, przysłuchujący się z boku dyskusji.
– A ty skąd...? – z nieco zacietrzewionym wyrazem twarzy próbował obstawać przy swoim Stach.

Awantura wisiała w powietrzu, jak to przy alkoholu, mimo, że uczestnikami rozmowy byli sami „dżentelmeni". Gorzałka, w brew temu wszystkiego co o niej mówią, ma jedną zaletę. Uzewnętrznia prawdziwą naturę ludzką. Z człowieka potrafi zrobić świnię, ale w drugą stronę to już nie.
– Ja, po prostu – przerwał koledze Grzesiek – nie chciałbym go oceniać. I wam też radzę powstrzymać się z wydawaniem arbitralnych decyzji.

Na chwilę zapadła cisza.
– No nie! O wilku mowa – jako pierwszy Stefana zauważał Tadek.

Wszyscy obecni zamarli na chwilę ze zdumienia, a pod zaskoczoną

Zofią ugięły się kolana. Zdolna była tylko wyrzec – O Matko Boska! Całe towarzystwo zamilkło w jednej chwili. Słowa zamarzły wszystkim na ustach, jakby pod wpływem silnego mrozu i czekały na odwilż. Powietrze stało się gęste.

Stefan wyglądał całkiem znośnie. Co prawda nie był ubrany odświętnie i nawet ogolony był nie dokładnie, humor miał za to szampański. Nietrudno było się domyślić, że przyszedł, choć bez zaproszenia, kontynuować dobrze rozpoczęty wieczór. Z szerokim uśmiechem na twarzy, niefrasobliwie wkroczył z buciorami w wyższe sfery.

– Żono najmilsza – próbował ucałować dłoń. Ta jednak odsunęła się niemal z obrzydzeniem.

– Witam panie – zbliżył się z kordialnie otwartymi ramionami do kobiet stojących nieopodal. – Basiu, Marysiu, Dorotko i wy wszystkie ślicznotki, których imion nie pamiętam. Bądźcie pozdrowione.

Zmieszanie malowało się na twarzach, jeszcze przed chwilą uśmiechniętych, rozbawionych kobiet.

– A cóż to, nie poznajecie mnie? To ja, wasz kochany Stefan. Jeszcze nie tak dawno inaczej mnie witałyście, a teraz co? Już mnie nie kochacie?

Spłonione niewiasty nie miały odwagi spojrzeć Stefanowi w oczy, bowiem większość z nich miało to i owo na sumieniu.

– Pragnę zapewnić wszystkie, że zachowam was w mojej wdzięcznej pamięci do końca dni moich. Obcowanie z wami było dla mnie niezapomnianym przeżyciem. – Spąsowiały, jak jedna, oburzone zachowaniem nieproszonego gościa. Wypowiadając te słowa zrobił szelmowskie oko do zawstydzonych przyjaciółek żony, ukłonił się w pas i próbował nawiązać rozmowę ze stojąca najbliżej Marysią. Ale ta nie miała życzenia podejmować rozmowy odwracając się ostentacyjnie do niego plecami.

Zofia w jednej chwili doskoczyła do byłego męża, chwyciła pod ramię i odprowadziła na stronę.

– Po coś tu przyszedł? Czemu mi to robisz? – wysyczała przez zaciśnięte zęby.

– Pomyślałem sobie, że miło będzie spotkać się z przyjaciółmi. Tak dawno niektórych nie widziałem. Najnormalniej w świecie stęskniłem się za miłym towarzystwem.

– A czy ty, kurwa, znalazłeś w skrzynce na listy zaproszenie?!

– Niby nie, ale doszedłem do wniosku, że to zwykłe przeoczenie. Tylu przyjaciół musiałaś zaprosić, że moja skromna osoba mogła się gdzieś zawieruszyć w trakcie pisania listy zaproszonych.

Zofia kipiała złością, ale sytuacja nie pozwalała jej na uzewnętrznienie swych uczuć w stosunku do rozmówcy, więc tylko wycedziła, prawie nie poruszając ustami.

– Wynoś się stąd natychmiast, bo wezwę ochronę.

– Może jeszcze psami mnie poszczujesz – zadrwił z pałającej nienawiścią gospodyni. – Zaraz wyjdę – obiecał – ale pozwól jeszcze zamienić kilka słów z moimi przyjaciółmi.

Zaskoczona Zofia nie zdążyła zareagować. Stefan skłonił się żonie, skłonił się damom układnie, odwrócił na pięcie i dał susa w kierunku mężczyzn.
– Witam panowie. Widzę, że doskonale się bawicie. Pozwolicie, że przyłączę się do was na chwilę? – skrępowane miny znajomych były aż nazbyt wymowne. – Cóż to, czyliż mnie nie znacie? To ja Stefcio. O jakże szybko zapominacie swoich przyjaciół! – stwierdził ze smutkiem. – Ale czemuż mnie się dziwić? Jeszcze niedawno, zapomniana, pozostawiona sama sobie gospodyni dzisiejszego przyjęcia, w pojedynkę musiała borykać się ze swoimi problemami, a dzisiaj proszę ilu ma przyjaciół wkoło. Kto by pomyślał? – czynił niestosowne wyrzuty, o które nikt go nie podejrzewał.
– A to nieprawda – oponował Tadeusz. – Wielu z nas, wiele razy próbowało wyciągnąć do Zofii pomocną dłoń. Tylko, żele ona za każdym razem ją odtrącała. Czyż nie było tak panowie? – zwrócił się do kolegów o potwierdzenia swych słów.
– A jakże – przytaknęli chórem, i ci, którzy próbowali, i ci którym niezręcznie byłoby zaprzeczyć.

Stefan udawał, że wierzy zapewnieniom kolegów.
– Teraz ja jestem w potrzebie. Może i mnie wspomożecie dobrzy ludzie. Tylko błagam nie tak jak tę biedną Zofiję – prosił. – Sławek, Tadek, Mirek i wy wszyscy. Odpowiedzcie szczerze – wspomożecie? Jeszcze niedawno jedliśmy, piliśmy i weseliliśmy się razem, a teraz patrzycie na mnie, jak na jakiegoś ostatniego menela, jak na gówno. Czyżbym, aż tak bardzo się zmienił? Wiem, trochę zmizerniałem w szpitalu. Trochę sytuacja rodzinna mnie pognębiła, trochę przykre doświadczenia losowe, ale to ciągle jestem ja – Stefan. Może znajdzie się między wami i dla mnie miejsce przy stole?
– Sadzę – odezwał się Tadeusz,– że miejsce dla ciebie zawsze miedzy nami się znajdzie, ale czemu usiłujesz za swoje niepowodzenia życiowe zwalić odpowiedzialność na nas i na wszystkich wokół ciebie. Czy nie uważasz, że za sytuację w jakiej się znalazłeś jesteś odpowiedzialny ty i tylko ty? Od dłuższego już czasu ludzie obserwują cię i wszyscy doszli do podobnego wniosku, że robisz wszystko, aby się pogrążyć. Jeżeli nie zmienisz swojego postępowania, to wierz mi, osiągniesz swój cel szybciej niż ci się wydaje – ostrzegał, chyba po przyjacielsku, Tadeusz.

Stefan dawno nie słyszał takich słów od nikogo ze znajomych. Bardzo mu się one spodobały, ale nie po to przyszedł na imprezę żeby słuchać kazań.
– Wiem, że użalam się nad sobą, ale na razie tak musi być i nic tego nie zmieni.– zakomunikował. – Któż bowiem wie, co niesie los – kontynuował filozoficznie.

Wypowiadając te słowa zrobił tak tajemniczą minę, jakby chciał tym stwierdzeniem przekazać słuchaczom coś więcej, niż one znaczyły.

– Proponuję wypić za miłe spotkanie – rzekł do kolegów i ruszył w kierunku baru.

Nieszczęśliwie dla niego, czy to z powodu wypitego wcześniej już alkoholu, czy też nierównej podłogi, stanął tak niefortunnie, że przewrócił się na oczach całego towarzystwa, dotkliwie uderzając głową w parkiet. Wszyscy spojrzeli po sobie wymownym wzrokiem, potem z politowaniem na Stefana.

Ten z pozycji siedzącej próbował coś powiedzieć.

– Starożytni górale powiadają – podniósł nieprzytomny wzrok oraz palec wskazujący na zdegustowanych biesiadników – *„Fortuna kołem się toczy"*.

Zbierając się w sobie, po wyartykułowaniu ludowej mądrości, czynił nieudolne próby wyprostowania się, chciał bowiem dodać jeszcze kilka słów od siebie. Lecz nie dane mu było skończyć. W chwili gdy dorównał człekokształtnym i spojrzał na uczestników imprezy z ich poziomu, jakaś nadludzka siła porwała go w swe kosmate ramiona i uniosła w przestworza. Co się ze mną dzieje? – zląkł się. Ja latam, albo lewituję – próbował sprecyzować zjawisko, któremu chwilowo podlegał. To chyba skutki ataku głową w parkiet spowodowały krótkotrwałe halucynacje – pomyślał.

Tymczasem rzeczywistość, była bardziej brutalna. Jakichś dwóch tajemniczych drabów przybyłych z pomocą medyczną, świadczyło swe usługi w sposób nader niecodzienny. Krótki lot jakim cieszył się przez chwilę, zakończył się twardym lądowaniem. Okrutne prawo grawitacji sprowadziło go w bolesny sposób na ziemię. Z miejsca, w którym jego „podwozie" zetknęło się z podłożem, jego głos brzmiał jakoś blado i docierał tylko do tajemniczych mieszkańców tajemniczego ogrodu. Podniósł się z kolan, stanął twardo na ziemi i rozejrzał wkoło. Rozbawiony akcją spojrzał w rozświetlone okna salonu i nie wiedzieć czemu, zadowolony z siebie, opuścił posesję.

Zmieszani, a może tylko lekko zawstydzeni goście zauważyli, że zrobiło się późno. Impreza dobiegła końca. A w salonie, tradycyjnie powiało chłodem.

Rozdział XV

Długo oczekiwany, tajemniczy sąsiad Mocnych wreszcie wprowadził się do swojej nowo wybudowanej rezydencji. Na razie, co prawda, z rzadka i tylko z daleka widywali go mieszkańcy przyległej posiadłości, lecz gwar i tętniące w niej wieczorne życie towarzyskie, świadczyło o tym, że gospodarz jest i zadzierzga dobrosąsiedzkie stosunki z mieszkańcami okolicznych posesji.

Dni mijały, a Zofii nikt nie zapraszał na imprezę zapoznawczą. Nikt nie próbował niczego z nią zadzierzgnąć, chociaż hołdowanie takim zwyczajom

leżało w dobrym tonie każdego szanującego się mieszkańca osiedla.
– Ale widać nie tego nuworysza – pomstowała.

Często tak bez powodu, zdarzało się jej komentować wieczorne libacje sąsiada, na których, niby to przypadkiem, widywała bliższych i dalszych znajomych. Ale siebie tam nie widziała.

Z każdym dniem coraz większa frustracja ogarniała ogłupiałą sąsiadkę. W żaden sposób nie mogła zrozumieć postępowania właściciela posiadłości. Co za maniery? Co za zachowanie? To chyba amerykańskie wzorce? Ale w Polsce tak nie uchodzi, to niedopuszczalne – odżegnywała przybysza zza wielkiej wody od czci i od wiary. Wszystkich zaprasza, a ja to co? – zastanawiała się. Może to rewanż za moją imprezę? – wymyśliła na koniec. Ale ja go przecież zapraszałam – tłumaczyła sobie. Nieszczęsna kobieta tonęła w domysłach, lecz niczego wymyślić nie była w stanie.

Żeby coś zrozumieć z tej towarzyskiej szarady, spotkała się raz czy dwa razy z kilkoma osobami, które widziała wcześniej u sąsiada. Niby tak, bez powodu. Żeby porozmawiać o tym i owym, ale dziwnym trafem, rozmowa zawsze schodziła na jeden temat. Na temat tego kogoś zza miedzy.

Jaki on jest? Jak wygląda? Czy bardzo bogaty? Czy żonaty? – takie i inne pytania zadawała Zofia próbując jak najwięcej dowiedzieć się o sąsiedzie.

Informacje, jakie uzyskiwała od znajomych, w żaden sposób nie zaspokajały jej chorobliwej wręcz ciekawości. Nikt bowiem wcześniej nie znał Rajmunda Krakowskiego, (takim nazwiskiem posługiwał się właściciel posesji), a co za tym idzie, portret, chociaż malowany przez wielu malarzy, był zaledwie bladym odbiciem w krzywym zwierciadle subiektywnych spostrzeżeń nieudolnych artystów. Jedynym, wspólnym elementem łączącym rysowaną postać był jego bliżej określony wiek – 45 lat i pochodzenie! – Z Ameryki przyjechał – powtarzali wszyscy jak mantrę, robiąc przy tym dziwnie tajemniczą minę. Jakby zdradzali najgłębiej skrywaną tajemnicę Pentagonu. A jaki jest? Trudno powiedzieć. Poznasz go to sama ocenisz – zapewniali. On bardzo interesuje się tobą – powiedziała Marysia, wcale nie na pocieszenie koleżanki. Nawet mnie pytał „Kim jest ta pani?", którą często ma przyjemność widywać spacerującą po ogrodzie czy siedzącą na tarasie.
– Gdyby tak było, to już dawno by mnie zaprosił lub sam odwiedził jako sąsiad – odrzekła zrezygnowana. Sama nie wiedziała, czemu tak bardzo zależało jej na poznaniu nowego mieszkańca.

Zofia z wolna zaczynała tracić wiarę w dobre obyczaje, dobre wychowanie i maniery sąsiada, aż pewnego popołudnia, przed posesją Mocnej, pojawił się nieznajomy mężczyzna z wiadomością od, nie kogo innego, jak Rajmunda Krakowskiego.

Elegancko ubrany posłaniec stojący przed bramą, kłaniając się na

powitanie zbliżającej się ku niemu pani domu, trzymał w ręce kopertę.
– Przesyłka do pani Zofii Mocnej – poinformował, przyjmując przy tym wielce oficjalna postawę.
– List? Do mnie? Od kogo?
– Pismo wszystko wyjaśni – zapewnił doręczyciel.
– Ale, co wyjaśni? – dopytywała Zofia.

Mocna sprawiała wrażenie dość zaskoczonej staromodną formą zaprosin. Odbierając z rąk mężczyzny kopertę, starała się jednak zachować pozory powagi. W liście stało:, *Pan Rajmund Krakowski ma zaszczyt zaprosić panią Zofię Mocną na uroczystą kolację organizowaną w najbliższą sobotę w jego posiadłości.*

Usatysfakcjonowana zaproszeniem Mocna, wymieniła jeszcze kilka grzecznościowych zdań z doręczycielem listu, po czym powróciła do siebie.

Przecież dzisiaj, to już środa – zauważyła. Też mi! – oprzytomniała. W środę, zapraszać na sobotę! I to jeszcze nie osobiście, tylko przez jakiegoś listonosza. Szczyt arogancji – grymasiła. Nie, nie pójdę. Za żadne skarby nie pójdę – zarzekała się. Co on sobie w ogóle myśli, że ot tak, na zawołanie „hrabiego" polecę? Nie, nie ma mowy. Z drugiej jednak strony, żeby tak odmówić bez powodu, też byłoby grubiaństwem – biła się z myślami.

Czemu tak bardzo zależało jej na spotkaniu z sąsiadem? Czemu chciała wywrzeć na nim jak najlepsze wrażenie? Tego sama nie pojmowała. Jakaś wewnętrzna siła pchała ją bezwiednie w ramiona nieznajomego. Jakaś niepokojąca ciekawość mimowolnie sterowała jej zachowaniem.

Czas, jaki pozostał do przyjęcia, Zofia postanowiła wykorzystać bardzo owocnie. Kobiety, żeby wywrzeć wrażenie na mężczyźnie, gotowe są do wielu poświęceń i wielu wydatków. Przyznać należy, że to poświęcenie i wydatki nie poszły na marne. W dniu imprezy Zofia wyglądała olśniewająco.

O wyznaczonej godzinie pod dom Mocnej zajechała stylowa karoca zaprzęgnięta w cztery konie. Wyjątkowym snobizmem byłoby podstawić limuzynę pod dom sąsiadki. Karoca zaś trącała lekką nutką dekadencji z domieszką sarmatyzmu.

Oszołomiona nadzwyczajnymi honorami, lekko zażenowana, pozwoliła wieźć się w nieznane. Niewielki dystans dzielący posesje, jakimś magicznym sposobem zaczął wydłużać się w nieskończoność. Przejażdżka, która miała trwać jedynie kilka minut, nienaturalnie przeciągała się. Początkowo Zofia miała wrażenie, że to jedynie jej dłuży się czas, lecz platynowy zegarek okalający przedramię nie był tak zestresowany i z sobie tylko przypisanym wyrachowaniem, czynił swą powinność bez przyspieszonego rytmu serca. Minuty mijały, a powóz leniwie toczył się w dal. Z wolna niepokój począł wkradać się w duszę Zofii i robiło się zimno. Coś było nie tak. Dokąd wiezie mnie ten wehikuł czasu? –

zadawała sobie pytanie.
– Panie dorożkarzu, czy jak tam pana zwać? Dokąd my jedziemy?
– Proszę się nie niepokoić. Za chwilę będziemy na miejscu – odpowiedział głos z kozła.

Upłynęło jeszcze kilka długich minut zanim powóz zatrzymał się w jakimś tajemniczym miejscu, w środku lasu.

W głuchym lesie polana
Na polanie dwór stary
Dumne dęby trzymają przy nim straż
Tu zatrzymały się zegary
A wraz z nimi zatrzymał się czas.

– Jesteśmy na miejscu oznajmił woźnica otwierając drzwi powozu. Dotychczasowe zdziwienie Zofii było niczym, w porównaniu z tym, jakiego doznała stawiając stopy na „ziemi nieznanej". Co to jest, gdzie my jesteśmy? – zastanawiała się oszołomiona. A z tym wehikułem to ja tylko tak żartowałam. Rozejrzała się wokół. Ja chyba naprawdę przeniosłam się w czasie – pomyślała zatrwożona.

Na niewielkim podwórzu okolonym starymi dębami stał drewniany dworek, a może domek myśliwski, żywcem przeniesiony z dziewiętnastego wieku. Mgliste, nienaturalne światło płynące z latarenek nadawało temu miejscu jakiś mistyczny niemalże charakter. W niewielkich okienkach domku świetlne chochliki urządziły sobie zawody w migotaniu. Każde okienko żyło własnym życiem, było maleńką sceną, na której odbywał się osobliwy spektakl światła i cieni. A to ci dopiero! Gdyby to widział Stefan? On jest taki zakochany w historii. – sama nie wiedziała czemu w takim momencie przypomniał się jej były mąż.
– Zapraszam do środka – rzekł woźnica, usuwając się w cień.

W tym samym momencie, do ciągle oszołomionej Zofii, zbliżył się kamerdyner oświetlający drogę pochodnią. No może nie pochodnią, a lampionem.
– Proszę za mną – grzecznie, wręcz uniżenie, zapraszał gościa do środka.

Trochę to dziwne – stwierdziła, podążając za przewodnikiem. Elektryczności tu nie mają? Taki bogacz, a wkoło panują egipskie ciemności – zauważyła z przekąsem. Może to ma swój urok, ale ja przyzwyczajona jestem do nowoczesności – grymasiła w myślach. Skołowana, nie do końca pojmowała swoje położenie, jednakże powoli zaczynało do niej docierać, że wokół dzieje się coś dziwnego. Nie tego się spodziewała z czym się spotkała. A przede wszystkim całkiem inaczej wyobrażała sobie ten wieczór. Miało być przyjęcie, mieli być goście, a tu co? Jakieś odludzie, wokół żywego ducha i prądu brak. Nie na to liczyła wkładając na siebie przed niespełna godziną nowo zakupioną,

wieczorową suknię. Chciała zrobić wrażenie nie tylko na sąsiedzie, ale i na pozostałych gościach, a tu co? – zanosi się na romantyczną kolację we dwoje. Ale ja przecież wcale nie znam tego człowieka. Może jeszcze dojadą – miała cichą, ale bardzo nikłą nadzieję.

Niewielką odległość, dzielącą stajnię od dworku, Zofia pokonywała rozmyślając o tym, co ją jeszcze czeka dzisiejszego wieczoru? Żałowała, że dystans był tak krótki. Może gdyby miała więcej czasu udałoby się jej bardziej poskładać myśli.

Przewodnik po ciemnościach doprowadził gościa do szeroko otwartych drzwi dworku i dyskretnie zniknął w mroku nocy. Za to w progu pojawił się lokaj ubrany, jak przystało na dziewiętnasty wiek, w gustowną liberię.

Co tu się do cholery dzieje? – zadała sobie w myślach pytanie taksując jednocześnie wzrokiem kolejnego przebierańca – To ci dopiero heca, zaiste dziwny gust ma ten facet.

– Serdecznie witam w imieniu gospodarza i zapraszam do salonu. Pan czeka – odezwał się oficjalnym tonem.

Ciężkie, drewniane drzwi wejściowe prowadziły do sporej sieni, w której to właśnie stał ów przebieraniec, a dopiero z tej wchodziło się do głównej sali. Zofia postąpiła kilka kroków i weszła do obszernego pomieszczenia, którego wystrój niejednego konesera broni myśliwskiej przyprawiłby o zawrót głowy. Zofia rozejrzała się zaciekawiona po salonie, lecz trudno było zgadnąć, czy podziwia wystrój wnętrza, czy też poszukuje właściciela tej osobliwej posesji. Co to ma być? – zastanawiała się stojąc pośrodku salonu – Może to i jest oryginalne, ale to nie są moje klimaty. Zofia pozostawiona sama sobie, niepewnym krokiem zbliżyła się do gorejącego po przeciwnej stronie stylowego kominka. Piękny – pomyślała. Tak konweniuje z całością. To stąd biorą się te chochliki w oknach – uśmiechnęła się do siebie. Na moment przystanęła i wpatrywała się w tańczący na palenisku, wesoły ogień. Z zadumy wyrwał ją czyjś głos.

– Najmocniej przepraszam, że kazałem na siebie czekać – tłumaczył się od progu mężczyzna, który właśnie co, śpiesznym krokiem wszedł do bawialni. – Ot drobny wypadek – wyciągnął przed siebie zabandażowaną lewą dłoń.

Zofia, wyrwana z zadumy odwróciła się do gospodarza. Mimo półmroku panującego w pomieszczeniu, Krakowski z sylwetki oraz ruchów ciała, kogoś jej bardzo przypominał.

– Całuję rączki szanownej pani – szarmancko ujął dłoń Mocnej i przycisnął mocno, może nawet nazbyt mocno, do ust.

– Mocna, Zofia Mocna, jak panu zapewne wiadomo – wybełkotała zmieszana.

– Krakowski, Rajmund Krakowski – przedstawił się gospodarz spoglądając z lubością na gościa spod lekko uniesionych powiek.

– Zapewne dziwi panią ta nietypowa, sceneria. Proszę dać mi szansę, a wszystko

wyjaśnię.
– Mam nadzieję, że wyjaśnienia pańskie zaspokoją moją kobiecą ciekawość. Z drugiej zaś strony, przyznać muszę, że jadąc tak w nieznane, na spotkanie z panem, w pewnym momencie poczułam się lekko zatrwożona.
– Najmocniej przepraszam. A czym?
– No wie pan. Posesja pańska leży po sąsiedzku, o dwie minuty drogi od mojej, a ten wehikuł czasu, który pan przysłał po mnie, jechał znacznie dłużej. Już myślałam, że zostałam porwana. Czy zostałam porwana? Czy jestem pańską zakładniczką? – zapytała zalotnie.
– O nie szanowna pani. Proszę się nie obawiać. Jest pani moim najmilszym gościem – przekonywał gospodarz. – Może pani czuć się bezpiecznie i bardzo swobodnie. Zapewniam, że wszystkie moje starania czynione były tylko w jednym celu.
– Tak. A w jakim? – zapytała kokieteryjnie Zofia podejmując niebezpieczną grę słów.
– Uczynić ten wieczór wyjątkowym.
– Czymże to zasłużyłam sobie na takie względy? – zapytała. – Przecież my się wcale nie znamy.
– Ale się poznamy, zapewniam panią. Dobry sąsiad to skarb, a ja jestem poszukiwaczem skarbów – odpowiedział wymijająco.
– To miłe. Kokiet z pana – obrzuciła zalotnym spojrzeniem mężczyznę.
I na pewno kobieciarz – ale o tym już tylko pomyślała.
– Gdzież to pozostali goście? Czyżby się spóźniali? A może zgubili drogę w tych egipskich ciemnościach? – zapytała nieco uszczypliwie.
– Jak zapewne była pani łaskawa zauważyć, prowadzę bardzo towarzyski tryb życia. I tych, których chciałem poznać, poznałem już wcześniej. Dzisiejszy wieczór jest przeznaczony tylko dla nas.
– To bardzo miłe z pańskiej strony, ale nie do końca wiem, czym zasłużyłam sobie na tak wyjątkowe traktowanie? – zapytała z nutką kokieterii w głosie uśmiechając się przy tym zalotnie do Rajmunda. – Przecież pan mnie w ogóle nie zna.
Jakaś siła tajemna nakazywała jej zachowywać się wbrew sobie. Doskonale czuła się w tym słownym flircie i towarzystwie.
– O myli się pani. Od kiedy panią pierwszy raz ujrzałem, odnoszę wrażenie, że znamy się od zawsze.
– A wie pan, że i ja miałam podobne odczucia gdy ujrzałam pana w tym świetle... – przerwała na chwilę. – Ta sylwetka, te ruchy, te gesty. Bardzo mi pan kogoś przypomina. Czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy? – zapytała.
– Gdyby tak było, na pewno bym tego nie zapomniał – zapewniał gospodarz, odsuwając się nieco od kominka.

–Muszę przyznać się pani do czegoś – zaczął rozwiewać wątpliwości Zofii. – Otóż, – kontynuował – proszę mnie źle nie zrozumieć, ale przez ten krótki czas mojego pobytu w nowym miejscu zamieszkania, pozwoliłem sobie na niewielką inwigilację pani. Tych kilka spotkań towarzyskich, które organizowałem u siebie, bez pani niestety udziału, było maleńkim preludium do czegoś większego.
– A tak bez metafor, jakby pan był łaskawy.
– Chciałem lepiej panią poznać.
– Jak to? Chciał mnie pan poznać nie spotykając się ze mną? Oryginalny sposób. Czy to w Ameryce tak robią? – zapytała uszczypliwie. – Wystarczyło złożyć mi kurtuazyjną wizytę lub zaprosić do siebie. Wszystkiego by się pan o mnie dowiedział. No może nie wszystkiego, ale przynajmniej co nieco – najwyraźniej bawiła ją ta gra słów.
– Może i tak, ale nie miałem śmiałości.
– Tak, a czemuż to! Nie rozumiem – udawała zaskoczoną.
– A to trudno jest wytłumaczyć. Kilka raz miałem przyjemność widzieć panią na tarasie, czy też w ogrodzie i proszę mnie źle nie zrozumieć, ale serce mi jakoś szybciej zabiło, a wówczas tracę pewność siebie.

Zofia spojrzała zdziwiona na gospodarza, lecz nic nie powiedziała, za to potwierdziły się jej przypuszczenia. – Milutki, ale kokiet i kobieciarz. Takich to wyczuwa się na odległość. Takie typy mają w sobie coś takiego nieuchwytnego, coś takiego co sprawia, że kobiety czują się przy nich niepewnie, ale wyjątkowo. Taki typ to potrafi uwieść zakonnicę i jeszcze jej wmówić, że grzechu nie było. Muszę mieć się na baczności. Po nim wszystkiego należy się spodziewać – w ciągu kilku sekund stworzyła, może nie do końca odpowiadający rzeczywistości, portret psychologiczny pana domu.

Rajmund widząc, że kobieta nazbyt intensywnie myśli, domyślał się, że na jego temat, przerwał jej rozważania obawiając się o własny wizerunek.
– Ale my tu gadu, gadu, a kolacja czeka. Zapraszam do stołu – podszedł do gościa, ujął delikatnie pod rękę i poprowadził do jadalni. Wielki drewniany stół nakryty był dla dwóch osób. Czyli nikogo już więcej nie będzie – wydedukowała Zofia.

Nastrojowa, wręcz intymna atmosfera kolacji, podgrzewana sporą ilością alkoholu sprawiła, że dwoje obcych sobie dotychczas ludzi, poczuło do siebie jakąś niewytłumaczalną bliskość. Zofia, mimo że ciągle miała się na baczności, czuła się bardzo swobodnie w towarzystwie nowego sąsiada. Przez cały wieczór nie mogła oprzeć się wrażeniu, że skądś go zna. Im dłużej z nim przebywała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że ma rację.

Rajmund, podświadomie czuł na sobie dyskretny, badawczy wzrok kobiety, co wprawiało go w spore zakłopotanie. Spokój i pewność siebie prysł i w swoim domu poczuł się nieswojo. Coś muszę z tym zrobić – pomyślał.

Czas upływał obojgu w miłej atmosferze, ale obie strony prowadziły

własną grę. Zofia próbowała odkryć karty, a Rajmund przeciwnie.

Nareszcie gospodarz, nie widząc innego wyjścia, ośmielony nadmierną dawką alkoholu, pozwolił sobie na wynurzenia, które diametralnie zmieniły przebieg wieczornego spotkania.

– No, bo widzi pani, pani Zofio – zaczął. – Młody już nie jestem i poszukuję kogoś, z kim mógłbym poznać się bliżej, zaprzyjaźnić, porozmawiać. Kiedy ujrzałem panią po raz pierwszy, zrozumiałem, że z taką kobietą, jak pani, mógłbym…

Rajmundowi nie dane było skończyć. Te osobiste, brzmiące niczym oświadczyny słowa przerwała Zofia. Poderwała się z miejsca, spąsowiała a na koniec eksplodowała.

– O czym pan mówi? Jak mam to rozumieć? Za kogo pan mnie ma, szanowny panie? Szybko pan działa, ale dla mnie to zbyt szybko. Może za jednym zamachem będą jeszcze zrękowiny – obcesowo odcięła się i, w jednej chwili, z miłej kotki przeobraziła się w drapieżną lwicę.

Szeroko rozwarte w uśmiechu kąciki ust raptownie zbliżyły się ku sobie, nozdrza rozdęły, bezwiednie współgrając z piersiami, które poczęły nerwowo falować w górę i w dół, dając Rajmundowi przedsmak uniesienia. I te oczy – takie dotychczas ufne, otwarte, zmieniły się w wąziutkie szparki, nad którymi zawisły dwa czarne krucze skrzydła. Zwiastuny nieszczęścia.

Rajmund widząc metamorfozę jaka zaszła w Zofii pod wpływem jego słów, wpadł w popłoch, przeraził się. Stał w milczeniu i czekał na wyrok.

– Późno już. Chyba powinnam wracać – zauważyła oschle.

– Ale… Przecież, ledwo co zaczęliśmy się poznawać – oponował Rajmund.

– Mnie na dzisiaj wystarczy pańskiego towarzystwa.

– Ale, czy coś się stało? Czy czymś panią uraziłem? – dopytywał gospodarz.

– Szanowny panie – wybuchnęła ponownie. – Jeżeli panu wydaje się, – ciągnęła na bezdechu – że może pan sobie pozwalać na takie impertynencje w stosunku do ledwo co poznanej kobiety, to się pan grubo myli. Może jest pan zamożnym człowiekiem?! Czy też jakimś cholernym ekscentrykiem?! Nie dbam o to! Nie pozwolę sobie na takie protekcjonalne traktowanie.

– Widzę, że popełniłem jakiś nietakt – próbował tłumaczyć się Rajmund.

– Ależ jaki tam nietakt? – przerwała. – To najzwyklejsze grubiaństwo!

Krakowski widząc, że niczego nie wskóra, spuścił uszy po sobie, spokorniał i delikatnym brzmieniem dzwonka zawezwał szofera. „Romantyczne" spotkanie dwojga sąsiadów, w nazbyt dramatycznych okolicznościach dobiegło końca.

Pożegnanie, jak można było się tego spodziewać, nie było nazbyt wylewne. Krakowski na odchodne ośmielił się tylko zapytać.

– Czy pozwoli pani zaprosić się raz jeszcze? – grymas zniesmaczenia na twarzy Zofii i grobowe milczenie było wymowną odpowiedzią.

– Samochód już czeka – oznajmił gospodarz.
– A cóż to, koniki ochwaciły się? – z nieukrywanym sarkazmem w głosie zapytała Zofia.
– Koniki jak koniki, zawsze są gotowe, ale stangret zastrajkował.

Po tych słowach do Zofii dotarło, że stangretem był sam Krakowski. Limuzyna z Zofią bezszelestnie zatonęła w mroku lasu. Myśli towarzyszące jej w drodze powrotnej były bardzo ambiwalentne. Wściekłoś pomieszana z ciekawością. Ma coś w sobie – zauważyła. W nim jest coś takiego, co może zniewolić każdą kobietę No, ale te przedwczesne oświadczyny?! Szczyt nietaktu i arogancji! – zaraz sobie odpowiedziała uznając, że urażona miłość własna adoratora nie pozwalała mu na obiektywną ocenę własnego zachowania. A miało być tak pięknie – pomyślała z żalem.

W tym pojedynku nie było zwycięzcy.

Rozdział XVI

Stefan, który miał o sobie nazbyt wygórowane mniemanie, któremu wydawało się, że potrafi znaleźć metodę na wszystko, że potrafi wybrnąć z każdej sytuacji, ciągle poszukiwał sposobu, jak dobrać się do pieniędzy Mocnych. Myślał, kombinował, szukał, rozpatrywał, aż nareszcie znalazł drogę do skarbca.

Genialnie! – doszedł do wniosku wielce zadowolony z siebie. Na litość – postanowił przewrotnie. W sytuacji zagrożenia życia przecież mi nie odmówią, będą musieli się złamać. Może to zbyt perfidne? Ale co tam? „Pecunia non olet" – przypomniał sobie słowa Wespazjana.

Na co to ja mógłbym się rozchorować? – dumał. Spośród wielu dolegliwości gnębiących ludzkość, w ostateczności poświecił nerki, ale nie oszczędził też wątroby i kilku innych pomniejszych organów. Kosztowne leczenie, dializy, przeszczep jednego i drugiego. Sporo się tego nazbierało jak na jednego śmiertelnika. Żebym tylko nie przesadził, bo nie leczenie będzie mi potrzebne, a pogrzeb – zauważył, że trochę zagalopował się. – Ciekawe, jak się z tego wymigają? – zastanawiał się. Następnego dnia postanowił wprowadzić swój perfidny plan w życie. Ze znalezieniem lekarza prowadzącego nie miał problemu. Dawny przyjaciel był urologiem, postanowił więc wtajemniczyć doktora w szczegóły swego szatańskiego planu. Tenże początkowo opierał się pomysłowi. Kierowany wewnętrznymi, moralnymi rozterkami, nie chciał zgodzić się na wzięcie udziału w całej tej mistyfikacji, lecz argumenty, jakich użył Stefan, były na tyle mocne, że w końcu medyk uległ pokusie.

Choroba Mocnego, trzymana przez dłuższy czas w ścisłej tajemnicy, spadła na rodzinę i znajomych jak grom z jasnego nieba. Hiobowa wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Rozdzwoniły się telefony. Potem odwiedziny. Jak to

zwykle bywa w takich sytuacjach. Wzrost zainteresowania spowodowany nagłą chorobą nie trwał jednak długo. Po kilku dniach, wszystko ucichło i wróciło do normy. Stefan zaś, został sam ze swoim nieszczęściem. Teraz potrzebował już tylko czasu, żeby choroba mogła się rozwijać. Mimo obowiązującej tajemnicy lekarskiej, jakimś niewytłumaczalnym sposobem, do rodziny i znajomych, ciągle docierały coraz to nowe wieści o gwałtownie pogarszającym się stanie zdrowia nieszczęśnika. Leczenie tak poważnej choroby, a ściślej chorób, nastręczało wielu problemów. To była, wręcz, istna epidemia wymagająca dużych nakładów finansowych, których to rzecz jasna blagier nie posiadał, a które w wyrachowany sposób próbował wyłudzić od rodziny.

Tymczasem Zofia wraz z dziećmi dowiedziawszy się o kłopotach zdrowotnych Stefana, zdjęta chwilową litością, postanowiła przedsięwziąć stosowne kroki w celu ratowania nadwątlonego zdrowia męża. Było, nie było. Przecież to bardzo bliska osoba i nieustająco ojciec dzieciom – pomyślała. Tyle lat byliśmy razem. Coś mu się chyba od nas należy – litowała się. Zwołała spotkanie rodzinne, na którym wszyscy troje mieli zdecydować o sposobie pomocy w leczeniu.

– Wiecie doskonale, – zaczęła matka – że związani kontraktem, nie możemy wyłożyć żadnych własnych środków finansowych na ratowanie waszego ojca.

– A gdybyśmy tak spróbowali przelać pieniądze na konto kogoś podstawionego, a później ten ktoś wpłaciłby na konto jeszcze kogoś innego, aż nareszcie, któryś z kolei, przelałaby pieniądze na konto ojca? – zaproponował Jacek. – Stworzyć taki łańcuszek. Tak przecież postępują ci, którzy chcą uniknąć płacenia podatków. No! Oszukują urząd skarbowy – sprecyzował.

– Myślałam już o tym, ale zrozumcie. Nasze konta są stale monitorowane przez tego naszego darczyńcę i każda wykonana przez nas operacja bankowa może wzbudzić jego podejrzenia i wzmóc czujność. Tym bardziej, że na pewno już wie, w jak trudnej sytuacji znalazł się wasz ojciec. Nie sądzicie chyba, że taka informacja nie dotarła jeszcze do Kowalskiego? A ten przecież tylko czeka na okazję, żeby nas pogrążyć – niesprawiedliwie oskarżyła powiernika. – Widzicie teraz, na czym polegała cała perfidia, cała przewrotność tej umowy?! Ten tajemniczy jegomość, opacznie zwany dobroczyńcą, doskonale wiedział, że wcześniej czy później, z takiego lub innego powodu zaczniemy się łamać.

– Tak, ale zauważ mamo, że to nie ojciec ponosi konsekwencje tego wszystkiego, ale my. To my mamy problem z tym co zrobić? Jak postąpić? A nie ojciec – zauważyła rozsądnie Agata.

– My mamy swój problem, a Stefan ma swój. Najwyraźniej temu naszemu sponsorowi właśnie o to chodziło w całej tej grze. To wszystko było doskonale przemyślane i ukartowane.

– Przecież to jest jakieś chore – lamentowała córka.

– Ten psychol wiedział co robi. Tylko my nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę, do jakiej gry nas wciąga – z wolna zaczęła przejrzewać na oczy Zofia.
– No więc co w takiej sytuacji możemy zrobić? – dopytywał syn.
– Może by skontaktować się z Kowalskim i próbować renegocjować warunki umowy? Przecież to taka wyjątkowa sytuacja. Może uda mu się przekonać, tego pana X do małego odstępstwa od tych twardych zasad – wymyśliła naiwna dziewczyna.
– Nie sądzę, ale nie zaszkodzi spróbować – zgodziła się matka, sięgając po telefon.

Chaotyczne ruchy wykonywane w trakcie wybierania numeru świadczyły o dużym zdenerwowaniu. Odczekała chwilę, aż po drugiej stronie usłyszała głos pełnomocnika.
– Słucham panią, pani Zofio, czym mogę służyć – zabrzmiał w słuchawce zrównoważony, oficjalny głos Kowalskiego. – Szczerze przyznam, że spodziewałem się tego telefonu.
– Taaak? – zmieszana Zofia nie bardzo wiedziała co powiedzieć. – Bo widzi pan? – zaczęła nieskładnie. – Jest taka sprawa. Mój były mąż ciężko zachorował i razem z dziećmi zastanawiamy się, czy w tak wyjątkowej sytuacji nie znalazłby się jakiś sposób, żeby nieco zmienić, złagodzić warunki umowy, abyśmy mogli mu pomóc?
– Domyślam się, że chodzi pani o pomoc finansową? – zapytał chłodnym głosem.
– No tak, bo jakaż inna wchodziłaby w tej sytuacji w rachubę. – zapytała..
– Ludzie pomagają chorym na różne sposoby – stwierdził protekcjonalnie. – Jeżeli zaś chodzi o pomoc finansową, to kategorycznie odradzam. Artykuł 7, paragraf 1 wzmiankowanej umowy wyraźnie precyzuje sposób wydatkowania powierzonych pani i pani dzieciom środków – wyrecytował jakby był wcześniej przygotowany do tej rozmowy.
– Tak, ja to rozumiem – próbowała tłumaczyć coraz bardziej skofundowana Zofia. – Ale pomyśleliśmy, że w tak szczególnej, wyjątkowej sytuacji może dałoby się znaleźć jakieś wyjście satysfakcjonujące obie strony.
– Niestety, muszę panią rozczarować. Ale zapisy umowy nie przewidują takiej ewentualności. Nawet w tak skrajnych przypadkach. Żadnych ustępstw, żadnych odstępstw od ściśle sprecyzowanych w niej postanowień. W tej szczególnej sytuacji... – na chwilę zawiesił głos, szukał odpowiednich słów. – W pani dobrze pojętym interesie, zobowiązany jestem uprzedzić, że jakakolwiek próba ich ominięcia, będzie skutkowała natychmiastowym zerwaniem kontraktu, a co się z tym wiąże konsekwencjami przewidzianymi w paragrafie 13.
– To ja zadzwonię kiedy indziej – powiedziała.

Zofię zmroziło na samą myśl o paragrafie 13–tym, a jeszcze bardziej o stracie tego wszystkiego, na co tak ciężko, w pocie czoła „zapracowała".

Otrzymawszy gorzką lekcję życia, zniechęcona do dalszych negocjacji odłożyła słuchawkę.
– No i co? – dopytywały zaciekawione dzieci, ale widząc zrezygnowaną minę matki nie czekały odpowiedzi.
– Formalnie nie możemy zrobić nic. Mamy związane ręce. Dlatego też proszę was, abyście na własną rękę nie podejmowali żadnych kroków, które mogłyby nas drogo kosztować, a nawet pogrążyć. Zrozumiano! – zdesperowana Zofia powiodła przenikliwym wzrokiem po dzieciach.
– Ale jak to tak? – próbował oponować Jacek. – Przecież ojciec potrzebuje naszej pomocy. W piekle będziemy się smażyć „całe życie". Ludzie palcami będą nas wytykać, że własnemu ojcu nie pomogliśmy – roztropnie zauważył.
– Piekło, synku, to my już mamy. Tu na ziemi, jak sam zdążyłeś zauważyć. za „życia".
– Więc co robić? – wtrąciła się do rozmowy milcząca do tej pory Agata. – My mając takie pieniądze nie możemy pomóc ojcu? Przecież to jakaś paranoja, ubezwłasnowolnienie.
– Dobrze wiedziałaś na co się decydujesz podpisując tę cholerną umowę– żachnęła się Zofia.
– No, niby tak – spokorniała córka. – Ale kto by przypuszczał, że wszystko tak się zmieni, skomplikuje? Kto by pomyślał, że staniemy przed takim dylematem i będziemy musieli dokonywać tak trudnych wyborów? Przecież, gdyby kilka miesięcy temu, ktoś zadał mi pytanie – jak byś postąpiła w analogicznej sytuacji?, to bez wahania wybrałabym jedyne możliwe rozwiązanie. Ale teraz!? – dziewczyna spojrzała zbolałym wzrokiem na matkę.
– Ja też nie mogłam tego przewidzieć – próbowała tłumaczyć się. – Chociaż od początku coś mi śmierdziało, bo to wszystko wyglądało zbyt pięknie! – poszła, dużo poniewczasie, po rozum do głowy Zofia. – A co wy sobie myśleliście, że pieniądze, i to taką fortunę, ktoś rozdaje ot tak? Zaślepieni wizją zdobycia łatwych pieniędzy nie zastanawialiśmy się nad konsekwencjami i teraz mamy, to na co zasłużyliśmy. Znaleźliśmy się w potrzasku, w sytuacji bez wyjścia. Pan X uknuł ten szatański plan, bo liczył na to, że wcześniej czy później coś się wydarzy. Na pewno miał doskonałe rozeznanie o finansach, a może i stanie zdrowia Stefana, i tylko czekał okazji kiedy mu się noga powinie. Jak sami widzicie, długo nie musiał czekać. Coś musiało się wydarzyć, bo na tym oparta była jego intryga – dotarła gorzka prawda do kobiety.
– Czy chcesz przez to powiedzieć, że on od początku dążył do sytuacji, w której ojcu powinie się noga, a nam przyjdzie wybierać – dopytywała córka.
– Sądzę, że tak.
– Ależ to bezduszne.
– Nie. To życie. Wiele jeszcze musicie się o nim nauczyć

– A ty? Czego ty się nauczyłaś? Żyjesz znacznie dłużej od nas, jesteś taka mądra, a dałaś się złapać na lep tak samo jak my.
– Wiem. To ta nasza trudna sytuacja finansowa spowodowała, że na chwilę straciłam czujność. Wybaczcie, że was w to wciągnęłam. Mnie jest łatwiej, bowiem ze Stefanem nic, poza wspomnieniami, mnie już nie łączy. Ale wy? Waszym ojcem będzie zawsze. To wy będziecie musieli żyć i wybierać.
– To straszne. Co my mamy teraz robić? Przecież nie możemy bezczynnie przyglądać się jak nasz ojciec umiera? – lamentowała Agata. – Musi być jakieś inne wyjście.
– Po to się właśnie zebraliśmy, żeby znaleźć jakieś rozwiązanie – powiedziała na pocieszenie matka.
– Zaraz, zaraz – wtrąciła Agata. – Zastanówmy się, co robią inni w podobnych sytuacjach,? Przecież to takie proste.

Oczy dwojga pozostałych uczestników narady zadawały nieme pytania i niecierpliwie czekały odpowiedzi.
– Zakładają fundację!!! – z triumfem w głosie wykrzyknęła córka.
– Fundację? Ale… Jak fundację? – dopytywała zaskoczona matka.
– Tego Kowalski nie może nam zabronić – z oczu dziewczyny strzelały iskry.
– Chyba nie. Pod warunkiem, że my żadnej kasy na to nie wyłożymy – przestrzegała przezornie Zofia.
– Coś wymyślimy. A na razie dzwoń do Kowalskiego – zwrócił się do matki Jacek.
– Panie Boże… – bez entuzjazmu wykręcała numer telefonu do adwokata.
– Kowalski Jan przy telefonie – zabrzmiało głucho w słuchawce nazwisko abonenta.
– Mocna z tej strony. Panie Janie chcielibyśmy, możliwie jak najszybciej, spotkać się z panem i omówić pewną ważną sprawę, pewien projekt.
– Jeżeli stara się pani przekonać mnie do korzystniejszej interpretacji warunków umowy, to z góry uprzedzam, że nic z tego nie będzie – zabezpieczał się. – Tutaj chodzi także o moją głowę i o moją przyszłość. Rozumie pani?
– Tak, tak. Wszystko rozumiem i zapewniam, że nie zrobimy niczego, co mogłoby spowodować zerwanie tych warunków – zaręczała Zofia.
– Ufam, że jest pani ze mną szczera. Będę za pół godziny – oznajmił prawnik.

Punktualność pana Jana była zadziwiająca. Wszyscy czworo bez większych ceremonii przeszli do rzeczy. Zofia jeszcze raz pokrótce naświetliła problem, po czym przeszła do konkretów.
– Otóż. Widzi pan. We troje zastanawialiśmy się jak dopomóc Stefanowi nie łamiąc warunków umowy i zdaje się, że wymyśliliśmy sposób.
– Tak. A to gratuluję. Jakiż to sposób, bo nie posiadam się z ciekawości? – zapytał Jan powłócząc wzrokiem po zebranych.

– Założymy fundację!
– Fundacja? Hmmm? – zamyślił się pełnomocnik. – Do fundacji nic nie mam, pod warunkiem oczywiście, że darowizny nie będą pochodziły od państwa. Jeszcze raz przestrzegam przed jakimikolwiek próbami ominięcia zakazu wspierania pana Stefana ze środków własnych.
– To już ustaliliśmy i proszę więcej do tego nie wracać. Doskonale zdajemy sobie sprawę z naszego położenia – oschle oświadczyła Zofia.
– Panie Janie. Pan jako prawnik lepiej od nas zna się na tych wszystkich procedurach związanych z założeniem fundacji. Pomyśleliśmy więc o panu i ośmielamy się poprosić o pomoc w załatwieniu tych wszystkich papierkowych spraw. Rozumie pan, co mam na myśli?
– No cóż? Chyba nie wypada mi odmówić – po chwili namysłu określił się adwokat. – Mam nadzieję, że przynajmniej w ten sposób będę w stanie „odkupić swoje winy" wobec państwa i pani byłego małżonka. Jako strażnik kontraktu mam obowiązek dopilnować przestrzegania, tych wszystkich drakońskich i nie do końca dla mnie zrozumiałych, warunków umowy – tłumaczył się adwokat. – To bardzo niewdzięczna rola. Ale jako człowiek mogę to dla państwa uczynić. Kowalski sprawiał wrażenie zmieszanego.
– Tak rozumiem – próbowała postawić się na miejscu adwokata Zofia. – Panie Janie, zapewniam pana, że tym szlachetnym uczynkiem zyska pan naszą wdzięczność. A takie zasługi, w niebie też nie będą bez znaczenia. Pan Bóg nawet faryzeuszom wybaczał – mecenas spojrzał na Zofię pytającym wzrokiem, lecz ta nieświadoma swej gafy, była już myślami gdzie indziej.
– W takim razie zabieram się do roboty – rzekł adwokat pomny na łaskę boską i „zasługi w niebie". – Myślę, że w ciągu kilku dni uda mi się załatwić wszelkie formalności. Należałoby jeszcze pomyśleć o jakiejś akcji promocyjnej. No wie pani? Plakaty, broszury, ogłoszenia, itp.
– Dobrze. My się tym zajmiemy – zadeklarowała pani domu wstając od stołu.

Na takich ustaleniach zakończyła się narada dotycząca przyszłych losów Stefana, I w domu zrobiło się jakby trochę cieplej.

Rozdział XVII

Choroba Mocnego postępowała błyskawicznie. Niedoczynność nerek, początki marskości wątroby oraz szereg innych pomniejszych dolegliwości, uczyniły z niego wrak człowieka. Po mieście rozeszła się złowieszcza wiadomość o jego nienajlepszej kondycji, zarówno fizycznej, jak i psychicznej. Z powodu licznych dolegliwości, Stefan zakazał bliskim oraz dalszym znajomym wszelkich wizyt w szpitalu. Ogłosił wszem i wobec, że postanowił zmierzyć się z chorobą na swój własny sposób i prosi o uszanowanie jego decyzji. Darowizny wpływające

na konto chorego, były zadziwiająco duże, ale pozwalały jedynie na opłacenie separatki oraz godną opiekę medyczną. Na więcej niestety nie mógł liczyć, a w perspektywie był jeszcze przeszczep i długotrwałe, kosztowne leczenie.

Skąd wziąć na to pieniądze? – Zastanawiał się ciężko doświadczony przez los Stefan. Skąd weźmie na to pieniądze? – Zastanawiali się współczujący znajomi. Przecież taka kuracja będzie kosztowała majątek – mówili nie bez racji. Mity krążące wokół osoby Stefana stawały się coraz bardziej fantastyczne. Mimo rygorystycznego zakazu zbliżania się do pacjenta, do lokalnej społeczności w jakiś magiczny sposób docierały, coraz to nowe, informacje dotyczące stale pogarszającego się stanu zdrowia nieboraka. Nie było imprezy, nie było spotkania, na którym nie wspominano by, niejako na zapas, „Św. Pamięci" Stefana M.
– Fajny chłop z niego był. Taki hedonista. Tak jak on, nikt nie potrafił cieszyć się życiem. Kto by pomyślał, że tak skończy.

Dni mijały, a Stefanek (tak nazywali go znajomi) ani myślał witać się ze św. Piotrem. Dobrze się trzyma. Mógłby jeszcze pożyć, ale potrzebna jest operacja, a konkretniej, przeszczep – wiadomość lotem błyskawicy rozeszła się po mieście. Strumień pieniędzy raptownie przybrał na sile, ale to wszystko było mało. To wszystko to tylko kropla w morzu. Leczenie to jedno, ale jemu potrzebny jest przeszczep. On potrzebuje dawcy organów – martwili się znajomi. Nerki mu szwankują, wątroba wysiadła. Trzustka też ponoć nawala. Nazbierało się tego. Jeżeli wyliże się to będzie cud.

Przeszczep? – zastanawiali się znajomi. Kto oddałby swoje organy? Mocny ma dwa mocne filary w rodzinie. Może którymś się podeprze – spekulowano w mieście. Kto ich tam wie? – sceptycznie podchodzili do tematu niektórzy. Sami wiecie, że jego najbliżsi opływają w luksusach a on, pozostawiony na łasce losu, może liczyć jedynie na hojność ofiarodawców. Co prawda, to prawda – przyznawali ze smutkiem koledzy! Głosy środowiska lokalnego, docierające do Mocnych brzmiały coraz wyraźniej i stawiały ich w coraz gorszym świetle. Coraz trudniej im było poruszać się „między wierszami". Coraz trudniej było udawać, że nic się nie dzieje, że wszystko jest pod kontrolą. Niespodziewane bogactwo, z którego korzystali, z wolna zaczynało im doskwierać i ciążyć. Mieszkańcy miasta zaczęli brać ich na języki. Skąd taka fortuna? Kto za tym stoi i co się za tym kryje? To musi być jakiś szemrany interes – spekulowali – jakiś szwindel? Atmosfera wokół Mocnych bardzo zgęstniała. Z takim trudem budowana w mieście pozycja społeczna zaczynała się chwiać. Bliżsi oraz dalsi znajomi zaczęli odwracać się od nuworyszy. Ogólny ostracyzm, z jakim spotykali się wśród przyjaciół, był aż nazbyt wymowny. Życie z takim piętnem stawało się utrapieniem. Trzeba było coś postanowić. Dłużej nie mogli uciekać od problemów.

Kolejna narada rodzinna z udziałem Kowalskiego była nieunikniona.

Na umówione spotkanie adwokat stawił się jak zwykle punktualnie i, co dziwne, „strażnik testamentu" epatował doskonałym humorem. Mocnym zaś wcale nie było to w smak, bowiem im nie było do śmiechu.

– Cóż takiego się stało? – dopytywał Jan. – Czemu w tak nagłym terminie chciała pani spotkać się ze mną? Czyżby jakieś niedoróbki w pracach budowlanych? Może rośliny zakwitły zbyt późno? Bo chyba na brak pieniędzy pani nie narzeka? – rozważał uszczypliwie.– Już wiem, nowa inwestycja! – oświeciło go, klasnął dłońmi i zaczął nimi pocierać na myśl o przyszłej prowizji. – Zgaduję, basen?! Doskonały pomysł. Kryty czy otwarty? Proszę się dobrze zastanowić. Ja proponowałbym kryty, bo to widzi pani, kryty służyć będzie cały rok, a otwarty, to tylko w sezonie, a ten na naszej szerokości geograficznej trwa zbyt krótko.

– Czy mógłby pan na chwilę zamilknąć! – stanowczym głosem Zofia przerwała Kowalskiemu snucie planów.

– Jak pani sobie życzy, ale ja obstawać będę przy krytym.

– Nie po to pana zaprosiłam, panie mecenasie. Nie tego typu problemami będziemy się dzisiaj zajmować – oznajmiła.

Adwokat w jednej chwili zebrał się w sobie.

– Cały zamieniam się w słuch – spoważniał pełnomocnik, poprawiając odruchowo krawat. – Już jestem do pani dyspozycji. Bo za to mi płacą – dodał całkiem niepotrzebnie.

– A kto panu płaci? – co prawda pytanie retoryczne, aczkolwiek nie pozbawione sensu, lekko poirytowało reprezentanta tajemniczego pana X.

– A to pytanie, szanowna pani, na razie musi pozostać bez odpowiedzi. Na pewno kiedyś będę mógł zdradzić więcej szczegółów, ale jeszcze nie teraz.

– To jednak wie pan więcej niż mówi – złapała adwokata na nieścisłości w deklaracjach.

– Może kiedyś zostanę zwolniony z obowiązku milczenia – zażartował Jan, – ale na ten czas obowiązuje mnie "tajemnica zawodowa" – wymownym gestem położył palec na ustach.

Subtelna połajanka prawnika, zawstydziła nieco Zofię, lecz ciekawość jej w dalszym ciągu nie została zaspokojona. Kowalski rozmawiając z klientką myślami był całkiem gdzie indziej. Co też może być przyczyną jej trosk? – zadawał sobie pytanie. Jeżeli nie finanse to, co? W głowie się babie poprzewracało z tego dobrobytu, ot, co – mało profesjonalnie podsumował adwokat. A może? Czyżby...? Nie to niemożliwe – zastanawiał się. Wreszcie obudziło się w niej sumienie. Przypomniała sobie o chorym mężu, ojcu swoich dzieci? – Jan chyba nazbyt idealizował pobudki kierujące Mocną, o czym wkrótce miał się przekonać.

– Panie mecenasie. Jak panu wiadomo, mój były mąż od dłuższego już czasu przebywa w szpitalu. Jego leczenie pochłania krocie, w związku, z czym ośmielam się...

– Czyżby pieniądze z fundacji nie wystarczały – przerwał bezpardonowo. – Z tego, co mi wiadomo, hojność ofiarodawców przekroczyła wszelkie oczekiwania.
– Tak, ale widzi pan. Te datki wystarczają jedynie na zabezpieczenie bieżących potrzeb, a jest jeszcze w perspektywie przeszczep i długotrwałe leczenie. W związku z tym proszę pana o...
– Chyba nie będziemy ponownie wracać do tematu zmiany zapisu w umowie. Sądziłem, że tę kwestię już uzgodniliśmy – słowa mecenasa brzmiały bardzo stanowczo.
– Tak – zgodziła się z pokorą – ale sam pan rozumie nasze paskudne położenie. Przecież do cholery, to pan jesteś „strażnikiem testamentu" – wyrzuciła Kowalskiemu.
– Taka jest moja niewdzięczna rola – stwierdził skruszony. – Oboje jesteśmy zakładnikami mamony.
– Co mi po tych pieniądzach skoro wszyscy wzięli nas na języki. Palcami wytykają. Niestworzone rzeczy opowiadają, o nas i o pochodzeniu pieniędzy jakimi dysponujemy. Przecież jest panu znana historia tego domu i związana z nim jakaś straszna tajemnica. To pan opowiadał, że dla pieniędzy żona zabiła męża, po czym rozum postradała, nie mogąc znieść brzemienia swego postępku. Po dziś dzień nikt nie wie, co stało się z fortuną, dla której dopuściła się tego haniebnego czynu. Teraz ludzie uważają, że to my znaleźliśmy ukryty skarb i historia miałaby powtórzyć się. Pan nawet nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, jakie niesamowite rzeczy opowiadają o nas!
– To i owo słyszałem. I muszę przyznać, że bujną wyobraźnią cieszą się mieszkańcy miasta.
– W takim razie sam pan rozumie, że tak dłużej być nie może.
– Ale, że niby, co nie może? – zapytał poirytowany adwokat.
– Bo mówią, że ten skarb to został przeklęty i nikomu szczęścia nie przyniesie, tylko zgubę.
– Ale przecież pani żadnego skarbu nie znalazła – próbował sprowadzić na ziemię zagubioną Zofię.
– Sama już nie wiem. Powoli zaczynam tracić orientację, co jest prawdą, a co fikcją. Skarbu, jako takiego nie znalazłam, ale deszcz pieniędzy spadł na nas od kiedy zamieszkaliśmy w tym przeklętym miejscu.
– Niech pani nie bierze sobie do serca tego gadania. U nas ludzie zawsze byli zawistni. Pogadają i z czasem zapomną, a pani powróci do normalnego życia, jako posiadaczka sporego majątku.
– „Pieniądze szczęścia nie dają". Zawsze kpiłam sobie z tego i uważałam, że taką mądrość wymyślili bogaci na potrzeby biednych. Teraz jednak widzę, że coś w tym jest.
– Czyżby z powodu nadmiaru pieniędzy przybyło pani problemów? – zapytał

adwokat.
– Otóż to. Proszę sobie wyobrazić, że w tej, z pozoru komfortowej sytuacji, życie jakoś bardziej mi się skomplikowało. Całej mojej rodzinie – dodała ze smutkiem.
– Muszę przyznać, że nie do końca rozumiem – próbował skłonić Mocną do zwierzeń.
– Długo by opowiadać panie Janie – mina oraz wymowny gest rezygnacji wystarczył za cały komentarz, za wszystkie niewypowiedziane słowa.
– Rozumiem i nie nalegam. Jednakże po coś mnie pani zaprosiła. Jak i w czym mogę pomóc?
– Prosiłabym, jeżeli jest to możliwe, o spotkanie z naszym sponsorem.
Zaskoczony mecenas spąsowiał.
– Jakie spotkanie, szanowna pani?! Przecież w umowie wszystko jest wyraźnie określone? Darczyńca pozostanie anonimowy, a państwo podporządkujecie się regułom.
– A cóż to u diabła?! – warknęła Zofia z nienawiścią w oczach.
– Tak szanowna pani – wszedł jej w słowo pełnomocnik. – Ta umowa to coś w rodzaju cyrografu. Pakt z diabłem. Przypominam, że uprzedzałem o konsekwencjach związanych z jej podpisaniem. Nikt nie mówił, że będzie łatwo.
– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ale powoli cała ta sytuacja zaczyna mnie przerastać i przytłaczać. Nasze spokojne życie, nagle zostało wywrócone do góry nogami i wymyka się spod kontroli. Czy mógłby pan zaaranżować spotkanie z panem X? Bardzo proszę – obstawała przy swoim.
– Zrobię co w mojej mocy. Dołożę wszelkich starań, ale uprzedzam, że szanse są nikłe i proszę niczego sobie nie obiecywać. Ten pan na wstępie zastrzegł bezwzględną anonimowość i nie sądzę żeby zmienił zdanie, tym bardziej, że nie ma go obecnie w kraju.
– Niechże pan postara się z łaski swojej, panie mecenasie. Bardzo mi, nam na tym zależy – mówiąc „nam" wskazała na pozostałych uczestników spotkania, przysłuchujących się w milczeniu rozmowie.
– Na co państwo liczycie? Co chcecie osiągnąć spotykając się z darczyńcą? Co ma być przedmiotem rozmowy? Takie i inne rzeczy muszę wiedzieć, jeżeli mam go przekonać. Przecież on będzie o to pytał.
– Chcielibyśmy prosić o niewielkie odstąpienie od tych drakońskich warunków.
– Jeżeli chodzi o możliwość przekazania jakiejkolwiek kwoty na rzecz pani męża, a waszego ojca – spojrzał na młodzież, – to z góry uprzedzam, że sytuacja komplikuje się jeszcze bardziej. Nie wiem, co zaszło między panem Stefanem, a moim zleceniodawcą, Musiało to być coś bardzo poważnego. Sami państwo rozumiecie, że w takich okolicznościach pan Adam… – ugryzł się w język, ale było już za późno…
– O! To ten tajemniczy dobroczyńca, zbawca ludzkości ma nawet jakieś imię.

Jeżeli ma imię, to może ma i serce? Przekonajmy się.
– Wygadałem się. Mój błąd – przyznał adwokat. – Jeżeli chodzi o serce, to na to bym nie liczył. Sami państwo rozumiecie, że takich pieniędzy, jakie otrzymaliście do dyspozycji nikt nie daje bez jakiegoś ukrytego celu. A wydaje mi się, że tym właśnie celem, było ogólnie rzecz ujmując, upokorzenie i pogrążenie pana Stefana. Odebranie mu wszystkiego co miał najcenniejszego. Skoro nadarzyła się okazja, na którą czekał przez lata, to teraz nie popuści. Chyba, że się mylę. Chciałbym się mylić – dodał na pocieszenie, biorąc stronę Mocnych.

Co takiego musiało wydarzyć się w przeszłości, żeby człowiek tak znienawidził? – ni to pytał, ni to zastanawiał się Kowalski. Jego, jak i pozostałych wielce frapowała ta sprawa. To musiało być coś bardzo poważnego – stwierdził z przekonaniem.
– Na pewno poszło o kobietę – spekulowała Zofia. – W przeszłości Stefan był nie lada kobieciarzem. Ludzie mówili mi co to za ziółko. Odradzali małżeństwo z nim, ale cóż, młoda byłam, no i Agata w drodze.
– Wiesz co mamo, tylko mi nie mów, że to z mojego powodu wyszłaś za ojca? – wtrąciła się do rozmowy córka.
– Może nie przede wszystkim, ale był to mocny argument.
– Trzeba było lepiej pilnować ojca, a nie teraz zwalać na mnie odpowiedzialność za twoje nieudane życie – zarzuciła matce. Awantura wisiała w powietrzu.
– No już dobrze, szanowne panie! – przerwał niemiłą wymianę zdań pełnomocnik. To nie czas i nie miejsce na kłótnie.

Słowa Kowalskiego, podziałały uspokajająco na kobiety.
– Pieniądze to jedno, a co z dawcą organu? – zmienił temat Jan.
– Na pewno kogoś znajdziemy – odrzekła bez chwili zastanowienia seniorka.
– Niewiele, co prawda znam się na medycynie – cynicznie zauważył Jan, – ale najlepszym dawcą jest ktoś z najbliższej rodziny.

Mocni spojrzeli po sobie, a miny ich mówiły same za siebie – Ale kto miałby dać się pokrajać?
– Czyżby nie rozpatrywali państwo takiej ewentualności – znęcał się nad Mocnymi zdegustowany Kowalski.

Głuche milczenie, jakie zapadło po słowach Jana, ciągnęło się w nieskończoność. Pierwszy przemógł się Jacek.
– Wiele razy rozmawialiśmy między sobą na ten temat, ale żadnej decyzji jeszcze nie podjęliśmy.
– To jednak braliście pod uwagę taką ewentualność? – ożywił się adwokat.
– Tak, ale czysto hipotetycznie – tłumaczył najmłodszy z rodziny.
– Ja państwu nie pomogę w podjęciu decyzji, ale przynajmniej teraz wiem, jak rozmawiać z panem Adamem. Cóż, chyba dzisiaj, na tym zakończymy spotkanie. Odezwę się najszybciej, jak to będzie możliwe i poinformuję, co osiągnąłem –

zastrzegał się.

Czas niemiłosiernie dłużył się Mocnym w oczekiwaniu na wiadomość od Kowalskiego, a tymczasem, coraz bardziej niepokojące wieści docierały do rodziny o stanie zdrowia Stefana. Kilka razy próbowali odwiedzić chorego, lecz kategoryczny zakaz skutecznie im to uniemożliwiał. Cóż było robić. Jedynym wyjściem było cierpliwie czekać na decyzję pana X. Blisko tydzień trwały katusze Mocnych, zanim Kowalski przyjechał z wiadomością.

– Myślę, że mam nienajgorsze wieści – zaczął od uspokojenia zainteresowanych.

– Sponsor ma, co prawda swoje warunki, ale ostatecznie zgodził się na spotkanie. z państwem.

– Jak to z państwem? – żachnęli się młodzi

– A my tam, po co? – burknęła Agata. – Myśleliśmy, że to mama będzie nas reprezentować?

– To jest pierwszy warunek. Przecież wy jesteście równoprawnymi beneficjantami darowizny – z delikatną nutą sarkazmu w głosie zauważył Kowalski. – Drugi, może trochę ekscentryczny – pozwolił sobie na mały komentarz – rozmowa będzie prowadzona przez parawan. Pan Adam nie chce zdradzać swojego wizerunku.

– Też wymyślił sobie. Może jeszcze będziemy mówić do rury – obcesowo skwitowała dość osobliwe zastrzeżenie Agata.

– I trzeci – kontynuował nie bacząc na zachowanie dziewczyny. – Musicie państwo jasno sprecyzować swoje oczekiwania. Jeżeli nie będziecie państwo odpowiednio przygotowani do rozmowy lub propozycja wasza rozczaruje go, spotkanie zostanie przerwane.

Słowa Kowalskiego ubodły wszystkich do żywego. Teraz dopiero pojęli jakimi marionetkami stali się w rękach pana X.

– Dodam, że żaden warunek nie podlega negocjacji.

Dobroczyńca? Też mi – pomyślała Agata. – Bardziej pasowałoby do niego określenie: dręczyciel, psychopata, mściciel.

– Kiedy to spotkanie? Bo czas nagli – lodowatym głosem zapytała Mocna.

– Pojutrze. W domu obok – rzeczowo odparł Jan.

Zaskoczeni wszystkim Mocni, najpierw spojrzeli po sobie, potem zaś ten sam pytający wzrok skierowali na Kowalskiego.

– Nie, to nie tak, jak państwo myślicie – od razu próbował odpowiedzieć na nieme pytanie skołowanej rodziny, – otóż, wasz sąsiad, którego nie miałem przyjemności do tej pory poznać, oraz, jak go określacie pan X są starymi znajomymi. Chyba jeszcze z czasów, kiedy przebywali w Stanach? Korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, X poprosił pana Krakowskiego o drobną przysługę. Ot i całe wytłumaczenie.

Załóżmy, że tak jest – beznamiętnie skwitowała pokrętne tłumaczenie

Zofia. – Dobrze jest wiedzieć że ci dwaj się znają. Może przy jakiejś nadarzającej się okazji wyciągnę od tego Rajmunda coś więcej na temat tego tajemniczego przybysza zza oceanu

Rozdział XVIII

W wyznaczonym dniu, o wyznaczonej godzinie, rodzina Mocnych stawiła się w rezydencji sąsiada na umówione spotkanie. Niewielki dystans, dzielący posesje Mocni zdecydowali się pokonać pieszo wykorzystując czas na dopięcie ostatnich szczegółów związanych z tym, jakże ważnym dla wszystkich, spotkaniem.

Nikt z Mocnych nie miał dotychczas okazji gościć u Krakowskiego. Rozglądali się z zaciekawieniem wkoło, podziwiając nowo wybudowaną posiadłość sąsiada, przypominającą w dużej mierze skansen.

Okazały dworek, pomieszczenia gospodarcze oraz stajnia ustawione w kształcie litery „C" tworzyły namiastkę dawnej zagrody szlacheckiej. Główny budynek zwrócony był do rezydencji sąsiadów tyłem, więc jedyne co mogli widzieć ze swojego tarasu, to wysoki żywopłot i „plecy" sąsiada. Zofia, która miała już wcześniejszą próbkę gustu Krakowskiego, nie zdziwiła się zbytnio tym co ujrzała. Za to, towarzyszące jej dzieci sprawiały wrażenie bardzo zaskoczonych, a nawet rozbawionych.

– Czy nie uważasz mamo – zapytała córka, – że nasz sąsiad jest wielkim miłośnikiem historii? A może to jakiś producent filmowy wybudował to wszystko na potrzeby kinematografii? Zdaje się, że będzie tutaj coś kręcił.

Agata nawet nie miała pojęcia jak bliska była prawdy, tylko różnie postrzeganej przez zainteresowane strony.

– Kto go tam wie? Może? Domek myśliwski, do którego mnie zaprosił też był żywcem przeniesiony z innej epoki. Musimy na niego uważać. Z nim coś jest nie tak – przestrzegała Zofia.

Krakowski, widząc zbliżających się gości, wyszedł im naprzeciw.

– Witam państwa serdecznie w moich progach – skłonił się gościom, po czym poprowadził w kierunku drzwi. Na dłuższe powitanie nie było czasu, bowiem właśnie zbliżała się umówiona godzina spotkania. – Zapraszam do środka Pan Adam czeka.

Mocni pełni obaw przekraczali progi budynku, ciekawi co będzie dalej. Gustownie i bogato urządzone wnętrza dworku sprawiały na gościach spore wrażenie. Lecz ich zimny charakter odbierał ducha, jaki zazwyczaj towarzyszył takim obiektom.

Ładnie tu – pomyślała Zofia podziwiając wnętrza. – Ale to jest raczej hotel, a nie dom mieszkalny. Tutaj wieje chłodem z każdego kąta, z każdego zakamarka. Tutaj nie ma kobiety! – doszła do wniosku.

Gospodarz wprowadził gości do niewielkiej sali, w której miały toczyć się rozmowy.

– Proszę czuć się swobodnie – rzekł wskazując ręką na obficie zastawiony stół. – Ja na chwilę państwa opuszczę…

Interesanci czekali blisko 15 minut zanim zza parawanu stojącego w rogu pokoju usłyszeli czyjś głos. Domyślili się, że w końcu raczył pojawić się tajemniczy pan X.

– Serdecznie witam państwa w progach domu mojego przyjaciela. Z góry przepraszam za formę, jaką zaproponowałem na dzisiejsze spotkanie, ale tak musi być. Pragnę zapewnić, że kroki takie poczyniłem nie ze względu na brak szacunku do państwa, a jedynie z potrzeby zachowania anonimowości. Mój pełnomocnik przedstawił mi państwa prośbę i muszę przyznać, że długo zastanawiałem się zanim zdecydowałem, czy na nią przystać. Co jeszcze, mogę uczynić dla państwa? – zaciekawił się „głos" i nie czekając na odpowiedzi kontynuował – Warunki naszej umowy są precyzyjne i wyraźnie stanowią o naszych wzajemnych zobowiązaniach. Ja wywiązałem się z mojej części i tego samego oczekuję od państwa.

– Jesteśmy wdzięczni za pańską hojność – zaczęła Zofia. – Lecz widzi pan, panie…? Właściwie, to jak mamy do pana zwracać się?

– Adam, po prostu Adam.

– Otóż, panie Adamie… Adamie! – zreflektowała się Zofia. – Sporo czasu minęło od chwili podpisania, tego naszego kontraktu i wiele się w tym czasie zmieniło – dodała nieśmiało.

– A cóż takiego? Inflacja poszła w górę – to fakt, ale na to nie mam wpływu – uszczypliwie zauważył Adam.

– Inflacja to akurat nasz najmniejszy dylemat. Mamy inny, o wiele poważniejszy problem – Zofia zbierała się w sobie żeby wyjawić powód swych trosk.

– Cały zamieniam się w słuch i obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zdjąć z pani głowy wszelkie zmartwienia…

– Ach! Dziękuję bardzo – wyszczebiotała uradowana kobieta, nie pozwalając Adamowi dokończyć myśli. – Wiedziałam, że będzie pan wielkoduszny i zrozumie nasze trudne położenie.

Radość Mocnej była nieco przedwczesna.

– Nie pozwoliła mi pani dokończyć, szanowna pani. – Adam chłodno przerwał słowotok Zofii. – Zrobię wszystko, co będę mógł, pod warunkiem, że nie pogwałci to idei umowy.

– To przyświecała panu jakaś idea? – zapytała nieco wylękniona kobieta. Zimny dreszcz przebiegł po jej ciele. Miała złe przeczucia.

– Nasza umowa – rozpoczął – była z mojej strony pewnego rodzaju układem, na który mogliście państwo przystać lub nie. Wierzyłem, że uda mi się skusić was

pieniędzmi i wciągnąć w grę... W grę, w której to ja rozdaję karty i trzymam w ręku wszystkie atuty. Przecież nie jesteście, aż tak naiwni i nie sądziliście, że ktoś obcy podaruje wam bezinteresownie tak duże pieniądze, nie oczekując niczego w zamian, nie licząc na własne korzyści.
– A jakie to niby miałyby być te korzyści? Jaki to interes planował pan z nami ubić?! – odważnie zapytała Agata.
– Interes, jak interes... Ale korzyść – tak! I ogromną satysfakcję – odpowiedział głos zza parawanu.
– Muszę przyznać, że nie rozumiem. Nic nie rozumiemy – poprawiła się.
– Widzę, że będę musiał odkryć przed wami karty. W umowie naszej jest wiele punktów, które regulują zasady dysponowania przyznanymi wam środkami, ale tak naprawdę wszystkie one są mało istotne, praktycznie zbędne, poza jednym. Żadna, najmniejsza nawet kwota nie może być wydana na tego, jak mu tam...? – na chwilę zawiesił głos, wyraźnie lekceważąc osobę znienawidzonego wroga.
– Stefan! – wtrąciła Zofia.
– A tak, Stefan – imię to z trudnością przeszło mu przez gardło. – Wnioskuję, że państwo już domyślacie się, iż jedynym moim celem, może niezbyt szczytnym, było pogrążenie tego osobnika. Teraz nadarza się okazja i mam zamiar z niej skorzystać.

Szanse Stefana na rychłą pomoc ze strony rodziny topniały w oczach.
– Państwo jesteście jedynie bezwolnymi narzędziami w moich rękach. Mam zamiar wyrównać rachunki i uprzedzam, że zdania nie zmienię. Muszę odpłacić temu wiarołomcy „pięknym za nadobne". Zbyt dużo mnie kosztowała znajomość z nim, abym teraz, kiedy jestem tak bliski osiągnięcia celu z tego zrezygnował.
– A więc to tak? Z powodu jakichś dawnych niesnasek, jakiejś chorej próby wyrównania rachunków, my mamy cierpieć i ponosić konsekwencje? – dziwiła się zaskoczona Zofia. – Przecież to jest nienormalne! Pan powinieneś się leczyć. Na jednym oddziale ze Stefanem! Sądzę, że taka terapia przyniosłaby wam obu spore korzyści.
– Może i tak, kto wie? – przyznał ze smutkiem. – Tylko widzicie państwo, ja mam zamiar słowa dotrzymać.

Co miała oznaczyć dla zainteresowanych ta dwuznaczna deklaracja, tego nie wiedział nikt, poza samym wypowiadającym te słowa.
– Skoro już wyjaśniliśmy sobie te kwestie, wróćmy do tematu.
– Nie będzie kolejnych tematów! – oświadczyła wkurzona negocjatorka wstając z krzesła. – Pan sobie z nas zadrwił, upokorzył i wykorzystał! To niegodziwość! Jest pan małym, podłym, bezdusznym człowieczkiem, który nie cofnie się przed niczym w celu zaspokojenia swojej paranoicznej żądzy zemsty i chorych ambicji. Dzieci, pożegnajcie się z panem Adamem, podziękujcie panu Krakowskiemu za gościnę. Wracamy do domu!

– Po co pani tak unosi się, pani Mocna? Myślę, że mamy jeszcze coś do omówienia. Jak na razie, to tylko ja odkryłem karty. Ciągle jednak nie wiem, z czym państwo do mnie przychodzicie? – spokojnym głosem, jakby nic się nie stało pytał X.

Na krótko zapadła głucha cisza. Po szybkim przeanalizowaniu własnego położenia, po chwili wahania Zofia przerwała krępujące wszystkich milczenie.

– Nooo dobrze – z oczami bazyliszka wbitymi w parawan, jakimś ochrypłym, nienaturalnym głosem, wyraziła zgodę na pozostanie. – Sądzę jednak, że po tych wszystkich rewelacjach, którymi nas pan uraczył, pobyt nasz w tym domu powinniśmy skrócić do minimum.

– Jak pani sobie życzy – odpowiedział Adam. – Sądzę jednak, że jest jeszcze kilka spraw, o których powinniśmy porozmawiać.

– Tak? A o czym to niby mielibyśmy jeszcze rozmawiać? – z przekąsem w głosie zapytała Zofia.

– Szanowna pani. I wy młodzi ludzie – zaczął poważnym tonem darczyńca. – Skoro intencje moje są wam już znane, chciałbym wiedzieć, jakie są wasze zapatrywania na dalszą naszą współpracę? Podkreślam jednak, możliwości są następujące: – zapominacie o Stefanie i wszystko pozostaje po staremu; – dając pieniądze ratujecie mu życie, lecz tracicie wszystko. Ale ciekaw jestem, jaka jest wasza propozycja, którą mieliście mi przedstawić. Może zadowoli mnie na tyle, że zdecyduję się na ustępstwa? Ale to zależy już tylko od państwa.

Mocni spojrzeli po sobie i w jednej chwili zrozumieli, że nawet gdyby mieli własną propozycję, znaleźli się w pułapce, z której nie ma wyjścia awaryjnego.

– Jakiś problem? – bezdusznie ciągnął swą myśl, jeszcze niedawny dobroczyńca i zbawca. – Wystarczy, że zrezygnujecie z pomocy Stefanowi, a nadal pozostaniecie majętnymi ludźmi, bez żadnych zobowiązań, trosk, długów i wszystkich tych niemiłych rzeczy trapiących mniej hojnie obdarowanych przez los – kusił wizją dostatniego życia. – Wystarczy jedynie zapomnieć, o człowieku, który poza tym, że dał wam życie, nie zrobił nic więcej – słowa te, ociekające jadem, skierował do młodego pokolenia. – On zawsze dbał tylko o siebie. Pani chyba najlepiej o tym wie? – tym razem sączył jad w duszę Zofii. – Na ileż to romansów, przez te wszystkie lata przymykała pani oczy, ileż nocy pani nie przespała z powodu tego egoisty? Czemu więc, pytam...? Czemu chce pani pomagać temu osobnikowi? Machnijcie na niego ręką, zapomnijcie o nim, a wszystko będzie dobrze, wszelkie wasze zmartwienia znikną. Czy nie czas odpłacić mu tym samym, za lata obojętności? Powiem więcej, jeżeli będzie taka potrzeba zwiększę dotację – kusił nieszczęśników, byle tylko przeciągnąć ich na swoją stronę.

– Wszystko to brzmi pięknie, tylko, że sumienie i ludzie... – próbowała zabrać głos Zofia.

– Co tam ludzie – przerwał, wyczuwając sprzyjający klimat „władca dusz". – Ludzie trochę pogadają i z czasem zapomną, a fortuna pozostanie.
– Ale sumienie! Sumienia pieniędzmi pan nie uciszysz, szanowny panie.
– No, sumienia niby nie, ale gdyby tak próbować zracjonalizować nasze życie, to chciałbym się od was dowiedzieć, co to niby jest to sumienie? Do czego jest nam potrzebne? Tylko przeszkadza w wesołym, beztroskim życiu. Nie lepiej o nim zapomnieć?
– Pańskie spojrzenie na tę kwestię bardzo różni się od tego, ogólnie przyjętego w społeczeństwie. Sumienie proszę pana to coś, co sprawia, że ludzie postępują godnie, moralnie, może to coś, co odróżnia nas od zwierząt, może wreszcie to coś, co czyni wszystkich lepszymi – szukała definicji. – To taki drogowskaz i strażnik naszego postępowania – wymyśliła na koniec.
– Sumienie, skrupuły, i takie tam inne dyrdymały. Dam wam dobrą radę: pluńcie na to. Bez tych uczuć, jak je nazywają, wyższego rzędu ludziom żyje się znacznie lepiej, łatwiej i przyjemniej. Spójrzcie chociażby na mnie...
– Niestety, tego akurat uczynić nie możemy. I dobrze – uszczypliwie wtrącił milczący do tej pory Jacek.
– Jestem bogaty, bardzo bogaty, a wiecie czemu? Otóż powiem wam – bo przestałem bawić się w sentymenty. Kiedyś byłem taki jak wy, hołdowałem podobnym ideałom. I co z tego miałem? Co mi z tego przyszło? Z każdej strony upokorzenia, z każdej strony dostawałem od życia po dupie. A to komuś zbytnio zaufałem, a to narzeczona zostawiła dla innego, a to wspólnik oszukał w interesach, aż na koniec zdiagnozowano u mnie nieuleczalną chorobę. Myślicie, że ktoś mi pomógł w tym trudnym dla mnie czasie? Otóż wierzcie mi nie! Chociaż przyjaciół i bliskich miałem wielu. Wszyscy się ode mnie odwrócili. Nikogo, nie obchodził mój los.
– W takim razie, łatwiej będzie panu postawić się w roli naszego ojca i łatwiej będzie panu zrozumieć nas – zauważyła Agata. – My nie możemy odwrócić się od niego.

Adam puścił mimo uszu uwagę dziewczyny i ciągnął dalej swoje żale do niesprawiedliwego losu.

– Na szczęście, konował który mnie leczył postawił niewłaściwą diagnozę. Sądzicie, że się tym przejął? Ani trochę. Jak wam się zdaje, czy miałem powód do radości? Czy powinienem do cholery cieszyć się z tego, że żyję? A te miesiące skazania na powolne konanie, to nic? Było, minęło i już! Powinienem ot tak, po prostu puścić wszystko w niepamięć o wszystkim zapomnieć i powrócić do normalnego życia? Czas umierania to dla każdego okres rozliczania się z życiem, to czas oczekiwania, ale młody człowiek przeżywa to o wiele głębiej i dłużej. Ta galopada myśli, ta ciągła niepewność jutra, ten strach przed nieznanym. Czy wy zdajecie sobie sprawę jak to jest tak balansować na granicy życia i śmierci?

Ileż to razy doprowadzony do skrajnego wyczerpania nerwowego zapadałem ze zmęczenia w sen, a może letarg, który też nie przynosił ukojenia. Letarg, z którego budziłem się z kolejnym bagażem czarnych myśli, których nic nie było w stanie rozwiać – kontynuował swoje osobiste wynurzenia nieszczęśnik. Pamiętam ten dzień, kiedy przyszedł lekarz i oznajmił mi „radosną nowinę" *Będzie pan żył.* „Podarowane" mi życie postanowiłem więc wykorzystać na realizację własnych planów, nie oglądając się na nic i na nikogo. Zapomniałem, co to dobro, zapomniałem, co to moralność, zapomniałem wreszcie, co to sumienie. Ta cała etyka, którą wpajają nam od najmłodszych lat do głowy zdaje się tylko psu na budę. To puste frazesy, nie znajdujące zastosowania w życiu.

– Ciężko pana życie doświadczyło, panie Adamie – powiedziała nieco znudzona przedłużającym się wywodem, – ale to nie oznacza wcale, że kierując się takimi normami moralnymi osiągnął pan szczęście. Niech pan powie, jest pan szczęśliwy? – zapytała Agata.

– Jestem bogaty – chełpliwym głosem odrzekł mężczyzna zza parawanu.

– Pytałam o co innego – obstawała przy swoim. Czy chce pan uczynić z nas podobnych sobie, samotnych, zgryźliwych, bezdusznych ludzi? Niewolników pieniędzy? Czy na tym panu zależy?!

Adam niezadowolony z kierunku w jakim podążała rozmowa, oschle przerwał.

– Stanowczo za bardzo rozgadałem się o sobie, bo tu nie o moją przyszłość idzie, ale o waszą – czarne chmury wiszące nad głowami Mocnych ściemniały jeszcze bardziej. – Może i jestem bezduszny, bez serca, czy jak tam byście chcieli mnie postrzegać, lecz ja zaproponowałem państwu jasny układ, ja nie mataczyłem. To państwo, z własnej nieprzymuszonej woli zdecydowaliście się na przyjęcie określonych, może nie do końca zrozumiałych przez was warunków, ale jednak. To nie był *gentlemans agreemant*! To była umowa biznesowa, chłodna kalkulacja. Jeżeli zbyt pochopnie podjęliście decyzję, zaślepieni wizją bogactwa, to już nie moja wina. Ja grałem od początku fair. Teraz oczekuję, od was jasnej, zdecydowanej odpowiedzi. Moje pytanie, może wydawać się bezduszne lecz banalnie proste – Czy pozostajecie państwo przy dotychczasowych warunkach, czy też zrywamy naszą umowę i zapominamy o wszystkim?

Słowa Adama zabrzmiały złowieszczo w uszach nieszczęśników, odbijając się ponurym echem po komnacie.

Jesteśmy w kropce, ucapił nas i na jotę nie popuści. Co robić, jak wyrwać się z tej matni, jaką podjąć decyzję? – każdy oddzielnie i wszyscy razem bili się z myślami. – Do wygodnego życia łatwo jest się przyzwyczaić, o wiele trudniej jest przywyknąć do biedy.

W czasie, kiedy Mocni prowadzili wewnętrzną walkę dobra ze złem, jegomość zza parawanu zaproponował krótką przerwę w obradach.

– Zdaję sobie sprawę, że w tak ważkiej dla rodziny sprawie, potrzebujecie państwo więcej czasu do zastanowienia się…
– Tak, jak najbardziej tak – pospiesznie wtrąciła głowa rodziny. – Czy możemy prosić o kilka dni do namysłu?
– Pani Zofio miła, z całym szacunkiem, ale pani raczy żartować. Ja prosiłem o konkrety decydując się na spotkanie z wami. Jutro wyjeżdżam na dłużej za granicę i dzisiaj muszę znać ostateczną odpowiedź.
– Ależ szanowny panie – oponowała Zofia – przecież ot tak z minuty na minutę nie jesteśmy w stanie podjąć decyzji, tak istotnej dla naszej przyszłości.
– Nie rozumiem, nad czym tu deliberować – przymilnym głosem kusił Adam. – Wystarczy zapomnieć o podmiocie sporu, a cała sprawa pójdzie w niepamięć.
– Gdyby to było takie proste – westchnęła Zofia. – Czy da nam pan chociaż jeszcze godzinę na przedyskutowanie problemu i podjęcie ostatecznej decyzji?
– Godzinę mówi pani? Na godzinę mogę się zgodzić. Kawa, herbata i inne takie rzeczy za chwilę zostaną podane. Życzę mądrych decyzji. W takim razie, do zobaczenia…, o przepraszam, do usłyszenia za godzinę.

Wydawać by się mogło, że Adam z góry przewidział bieg zdarzeń, ledwo bowiem zamknęły się za nim drzwi, a już po chwili, do salonu, wjechał stół nakryty najprzeróżniejszymi wiktuałami. Wyczerpani i lekko głodni, Mocni, postanowili skorzystać z kulinarnej oferty właściciela domu i posilić się nieco, przed czekającym ich ostatecznym starciem. Krakowski, korzystając z przerwy w obradach, podszedł do Zofii próbując nawiązać rozmowę. Zmieszanie malujące się na jego twarzy, połączone z zażenowaniem obłaskawiły nieco „waderę".
– Czy będzie nietaktem jeżeli zapytam o wrażenia? Czy zadowolona jest pani ze spotkania z moim dawnym przyjacielem?

O! – podłapała temat Mocna. – Jeżeli dawnym, to może wie za co ten… ten niegodziwiec wykorzystuje nas jako narzędzie zemsty? – pomyślała.
– Panie Rajmundzie – próbowała kuć żelazo póki gorące. – Jako staremu przyjacielowi na pewno obiło się o uszy to i owo na temat pana Adama. Może zna pan powód animozji między nimi? To znaczy, mam na myśli – zaplątała się – pana Adama i mojego byłego męża.
– Szczerze powiem, że nie do końca. Coś słyszałem, ale to raczej plotka, która mogłyby wyrządzić więcej złego niż dobrego. Proszę mi wierzyć pani Zofio, iż jestem pani więcej niż życzliwy, lecz w tej materii niewiele mogę pomóc. Wiem, że jest ktoś, kto był w przeszłości ich wspólnym przyjacielem i mieszka gdzieś w tej okolicy, ale nazwiska nie znam. Może uda mi się ustalić jego dane i adres, lecz to musi potrwać.
– Zrobi pan to dla mnie? Będę bardzo wdzięczna – uśmiechnęła się promiennie.

Gdy Zofia się uśmiechała wszystko w koło jaśniało! Za ten uśmiech zauroczony Rajmund wykopałby znajomego spod ziemi. Gotów był, pójść za

nim do Hadesu, byle tylko uszczęśliwić sąsiadkę.
– Proszę mi wybaczyć panie Rajmundzie, ale muszę porozmawiać z dziećmi. To bardzo ważne – oznajmiła zauroczonemu jej wdziękami rozmówcy.
– Ależ naturalnie, nie zabieram czasu. Rajmund ujął dłoń Zofii i ucałował, niemalże z nabożną czcią.

Młodzi właśnie kończyli posiłek, gdy podeszła do nich matka.
– Chyba musimy porozmawiać, bo czas nagli. Myślałam, że wyciągnę coś więcej od tego Rajmunda ale on, albo nie chce nic powiedzieć, albo naprawdę niewiele wie o przeszłości znajomego – powiedziała nieco rozczarowanym tonem do dzieci.

Mocni usiedli przy niewielkim stoliku, wcześniej przygotowanym przez jakąś niewidzialną rękę i spojrzeli po sobie badawczym wzrokiem. Czuli się bardzo nieswojo. Pytanie, zadane dużo wcześniej, ciągle czekało odpowiedzi.
– Mamy jeszcze trochę czasu żeby coś postanowić. Wierzę, że świadomymi jesteście wagi podjętej przez nas decyzji. Pragnę żebyśmy byli ze sobą szczerzy.

Wstęp przewodniczącej narady wpłynął bardzo deprymująco na pozostałych uczestników.
– Na pewno już wcześniej zastawialiście się nad tym jak postąpić względem ojca. Ja niczego nie mogę wam narzucić ani sugerować…
– Ale czy naprawdę nie ma innego rozwiązania? – zapytał Jacek.
– Gdyby było, to nie znaleźlibyśmy się w tej, cholernej, pułapce bez wyjścia. Warunki umowy są jednoznaczne i w żaden sposób nie da się ich obejść. Słyszeliście to samo co ja i doskonale zdajecie sobie sprawę, co kierowało tym bezdusznym człowiekiem.
– Bezdusznym, zaraz bezdusznym – oponował Jacek. – Kasę obiecywał i wypłacił bez słowa. A warunki? Może i twarde, ale przecież dobrowolnie zgodziliśmy się na nie. Nie przypominam sobie, żeby ktoś nas przypalał gorącym żelazem lub kołem łamał i zmuszał do jej podpisania. On nam tylko zaproponował pewien układ, a my łyknęliśmy temat. Nabrał nas to fakt, ale czy my słuchaliśmy głosu rozsądku, czy tylko brzęku złota?
– Ty młody przestań się mądrzyć, bo to nie w tym rzecz, ale co prawda to prawda – przyznała Agata. – Z drugiej jednak strony, to on nas wciągnął w tę paranoiczną grę, wykorzystał i posłużył w celu osiągnięcia jakichś niecnych, sobie tylko znanych celów. Może by go pozwać? – rzuciła pomysł.
– Że niby o co, kurwa?! – nie wytrzymała podrażniona matka. – O to, że dał nam po milionie dolarów za nic.
– No nie tak bardzo za nic, czegoś jednak od nas oczekuje – zauważyła dziewczyna.
– Tak, to prawda, lecz jedyne czego od nas oczekuje, powiem więcej „żąda", to dotrzymania słowa, wywiązania się z umowy. czytaj pogrążenie waszego

ojca. Nie wiem, czy jest na to jakiś paragraf? W tej szczególnej sytuacji chodzi o kwestie moralne, a nie prawne. Pojmujecie różnicę?
– Kto mógłby przypuszczać, że to się wszystko tak potoczy? To mi wygląda, jakby ktoś to wszystko z góry ukartował – stwierdziła Agata.
– Mnie od razu coś w tym całym układzie śmierdziało. Tylko nie wiedziałem co? – wtrącił Jacek. – Na pewno nie pieniądze, bo pieniądze nie śmierdzą.
– Teraz już wiesz. Zdechła ryba, która psuje się od głowy. Czy jesteś od tej wiedzy chociaż odrobinę mądrzejszy? – zapytała Agata. – Przyjmując tę darowiznę jednoznacznie określiliśmy się i świadomie wyrzekli ojca, a ty mamo, męża.
– Kiedy pojawił się ten Belzebub, Stefan nie był już moim mężem – usprawiedliwiała się Zofia. – Ja mam wolną wolę i wolną rękę. Ponadto, od dłuższego już czasu nic mnie z nim nie łączy, Ale was? – spojrzała na dzieci jakby już były półsierotami. – Waszym ojcem, czy tego chcecie czy nie, zawsze będzie.
– Wiesz co mamo, teraz to ostro pojechałaś, bo tak, właśnie tak mówić, to ci się nie godzi – zaoponował Jacek.
– A niby czemu? – zdziwiła się matka.
– Bo w tej sytuacji, to tylko nas stawiasz na rozdrożu, to tylko my musimy wybierać. Z twoich słów wynika, że ty dokonałaś już wyboru.
– A żebyście wiedzieli, już dawno. I to jeszcze wam powiem, że na waszym miejscu…
– Idąc takim tokiem myślenia donikąd nie dojdziemy – przerwała Agata, nieciekawa rady matki.
– Słuchajcie dzieci, czas biegnie, a my ciągle jesteśmy w lesie. Jedyny pewnik to taki, że mamy dwie możliwości do wyboru – sprecyzowała sytuację Zofia.
– O nie – wtrącił Jacek. – Belzebub mówił, że trzy.
– Trzy, trzy, a ta trzecia to niby jaka? Masz jakiś pomysł mądralo? – zapytała poirytowana Agata.
– No niby nie, ale gdybyśmy mieli więcej czasu, może dałoby się coś wspólnie wymyślić.
– No masz, a ten swoje. Czy nie rozumiesz jełopie, że w tej sytuacji to jedyna rzecz, jakiej nie mamy, to właśnie czas? Za chwilę wejdzie ten tajemniczy Don Pedro i zapyta, co zdecydowaliśmy.
– Proponuję głosowanie – oznajmiła Zofia. – Chyba rozumiecie zasady, czy wytłumaczyć? Decyzja musi być jednomyślna. Ja do niczego przymuszać was nie mam prawa, ale proszę, abyście dobrze się zastanowili zanim coś postanowicie. Od tego jak zdecydujecie, zdecydujemy – poprawiła się, zależeć będzie wasza, nasza przyszłość.
– No dobrze już, dobrze! Mamy tego pełną świadomość – niemal jednocześnie żachnęli się młodzi.

– Wyniki głosowania, rozstrzygną ostatecznie i nieodwracalnie o naszym być albo nie być, o naszym jutrze, pojutrze, itd. – próbowała uzmysłowić dzieciom powagę sytuacji, do niczego ich jednak nie zmuszając. – Czy wszyscy zgadzają się na to cholerne głosowanie? – szukała potwierdzenia i zrozumienia u dzieci, matka.

– A mamy jakieś wyjście? – zrezygnowani odpowiedzieli pytaniem.

Trzy kartki do głosowania (serwetki) szybko skołował Jacek.

– Dla jasności! *1* – za ojcem, *2*– przeciw – poinstruował.

Każdy z uczestników tego „doniosłego wydarzenia", odszedł na stronę, żeby w skupieniu, i w zgodzie z własnym sumieniem, zadecydować o swym przyszłym losie. Na podjęcie decyzji mieli tylko, czy aż trzy długie minuty. Każdy z trojga bił się z myślami, szukał usprawiedliwienia dla osobistego wyboru. Czas płynął nieubłaganie. Trzy minuty to 180 sekund. „Rachmistrz" doliczył do 180 –ciu, czas minął, klamka zapadła. Trzy głosy wylądowały w salaterce stojącej na stole, jakby specjalnie przygotowanej na tę okoliczność.

– Pamiętajcie, jakikolwiek byłby wynik głosowania, ciągle pozostaniemy rodziną – zapewniała Zofia.

Drżącą ręką sięgnęła po pierwszą pozaginaną serwetkę: *2*. Teraz druga… chwila oczekiwania: *1*.

Pozostała ostatnia, ta decydująca. Tylko o czym? Jak już wszystko jasne – Zofia zrezygnowanym ruchem, wyciągnęła rękę po „wyrok" gdy do pokoju, robiąc nazbyt wiele hałasu wszedł Krakowski.

– Najmocniej przepraszam, ale mam niemiłą wiadomość dla państwa – oznajmił.

– Pan Adam dostał pilny telefon od kontrahenta z Anglii i musiał niezwłocznie wyjechać do Londynu.

Mocni stali jak osłupiali nie wierząc własnym uszom. Kamień który nosili na sercu spadł z hukiem na podłogę i roztrzaskał się w drobny mak.

– Jaka szkoda – wyraziła swój żal Zofia, po czym wyjęła ostatnią chustkę. Nie zaglądając do środka dołożyła do wcześniej odkrytych kart, wymownym gestem obtarła pot z czoła, po czym ruchem wytrawnego koszykarza posłała cały ciężar odpowiedzialności za los rodziny do kosza.

A to ci dopiero. Kto by pomyślał, że w takiej chwili, coś takiego może się wydarzyć? Jednak Bóg czuwa nad nami – zawierzyła Opatrzności.

Co sprawiło, że tak fortunny zbieg okoliczności miał miejsce pozostanie niezbadaną tajemnicą pokrętnego losu, bo kto i po co próbowałby ją zgłębić?

Po wyjściu gości, pan Rajmund, z sobie tylko znanych powodów, wyręczył służbę!

Do przerwy 1 : 1. Zdecyduje druga połowa – założył nieformalny arbiter rodzinnych zapasów.

Mocni opuścili posesję sąsiada z nieco mieszanymi uczuciami.

Każdy chciał zachować twarz, a jednak coś nie grało. Z jednej strony ulga spowodowana zwolnieniem z podjęcia decyzji, z drugiej zaś nierozstrzygnięta, dwuznaczna sytuacja, kładąca się cieniem na spójności rodziny. Jakieś odium zawisło nad Mocnymi i stało się codziennym towarzyszem ich życia. Żaden z uczestników tej żałosnej maskarady nie miał odwagi, ani ochoty uzewnętrzniać przed innymi swych ukrytych myśli.

Do wielu pytań, na które nie potrafili znaleźć odpowiedzi, doszło jeszcze jedno: *Kto głosował przeciw ojcu?*

Życie Mocnych stało się piekłem.

Rozdział XIX

Tymczasem Stefan, nieświadomy swojej zależności od decyzji rodziny, z wolna zaczął powracać do zdrowia. Wyniki jego badań oraz samopoczucie poprawiło się na tyle, że konsylium lekarskie zdecydowało o zakończeniu hospitalizacji. Oczywiście cały czas pozostając pod stałą kont rolą lekarską.

Optymistycznie nastawiony do świata, ze zdwojoną energią powrócił do dawnych przyzwyczajeń. Rzucił się w wir życia towarzyskiego, niczym utracjusz stawiający na jednej szali cały swój dotychczasowy dorobek. Garściami pił ze źródła życia, czasami się nim zachłystując. Wszędzie było go pełno, robił wszystko żeby nadrobić stracony czas. Szastał pieniędzmi na prawo i lewo, nie licząc się z kosztami. Radość przyjaciół Stefana z jego powrotu do zdrowia nie trwała długo. Spontaniczna reakcja na cudowne „ozdrowienie" przez kilka pierwszych dni nie dziwiła znajomych, lecz z czasem zachowanie „Łazarza" stało się uciążliwe dla wszystkich. Temu zaś ciągle było mało. Hulał po knajpach niczym wiatr po pustych ulicach, czyniący spustoszenie za każdym kontuarem. Natura lekkoducha wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem.

Przyjaciele, zbulwersowani jego skrajnie nieodpowiedzialną postawą, próbowali wpłynąć na niego, lecz wszystko na nic. Pieniądze, pochodzące z darowizn, będące poniekąd ich pieniędzmi, Stefan trwonił lekką ręką. Świadomość tego faktu, w konsekwencji przesądziła o dalszych relacjach z życzliwą mu dotychczas grupą przyjaciół.

Głuchy na przestrogi, otwarty na świat brnął coraz dalej i dalej, pogrążał się, zatracał z każdym dniem.

Kto ze mną wsiądzie do tej dorożki?
Kto ze mną wychyli – haust miodu – gorzki?
Kto ze mną w jedną tylko pójdzie stronę?
Tam gdzie goreją łuny – czerwone
Tam gdzie nic już nie ma
Tam gdzie kończy się ziemia.

Ja was tam ze sobą nie wezmę
Choć byście mnie o to prosili
Ale mam prośbę ja,
Zostańcie ze mną
Wy com wam bliski, i wy – coście mi mili.

Ja już stamtąd nie wrócę
Bo dokąd i po co
Kilka słów na pożegnanie rzucę
I rozpłynę się w nicość – nocą.

Wspomnicie czasem – „ot był sobie"
Inny powie, „A ty pamiętasz?"
Czasem ktoś pacierz zmówi
W listopadzie, jak przyjdą święta.

Uciekał przed światem, przed życiem, przed smutkiem i samotnością.

Gorzka pigułka, jaką zaaplikował wszystkim wkoło, z wolna, stawała się nie do przełknięcia. Co on robi? Co chce osiągnąć? Czemu z pełną świadomością puścił w ruch tę lawinę? – pytali nieliczni, jeszcze mu życzliwi .

Różnie spekulowano na jego temat. Doszukiwano się różnych przyczyn jego irracjonalnego zachowania, ale jak było naprawdę trudno zgadnąć. A to, że śmiertelnie chory i chce jak najpełniej wykorzystać te ostatnie chwile życia, które mu jeszcze pozostały, a to, że użala się nad sobą, że rodzina go opuściła, odwróciła się od niego i jest obrażony na cały świat, wreszcie, że stracił sens życia. Jaka by nie była przyczyna tych jego szaleństw, dobrze to nie wyglądało.

Stefan zaś, straciwszy kompanów do zabawy wśród znajomych, ostentacyjnie skierował swe kroki na margines życia.

Centrum miasta było ostoją tutejszego lumpenproletariatu. W „parku rozrywki" można było spotkać wiele ciekawych postaci: medyka pozbawionego prawa wykonywania zawodu za popełniony błąd w sztuce lekarskiej, prawnika czy urzędnika zwolnionego za łapówki, trafiali się inteligenci i artyści, którzy na licznych zakrętach życia wypadli z torów, było też wielu kierowców i

rowerzystów, którzy za jazdę na dwóch gazach zostali pozbawieni źródeł utrzymania. No i byli nareszcie tacy, którzy nigdy nie pohańbili się jakąkolwiek pracą. Ten nurt socjologiczny reprezentowany był najliczniej. Złodzieje, oszuści, okoliczne prostytutki i wielu, wielu innych tejże samej konduity.

Wielce spodobała się Stefanowi, jeszcze niedawno żegnającemu się z tym światem, postawa reprezentowana przez „niebieskie ptaki" z lekko wyliniałymi piórami, których bliską obecność manifestował swoisty zapach pielęgnowany tygodniami, miesiącami...?

W celu zgłębienia filozofii egzystencjalnej swych mistrzów, Stefan stał się jednym z najpilniejszych uczniów i praktykantów, jako wyznawca, tej jakże bliskiej mu duchowo, wiedzy powszechnej.

Parafrazując słowa wieszcza!

– „Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami,
Nigdy mi, kto szlachetny nie był obojętny".
Stefan pił, Stefan był, Stefan żył.

Złote czasy nastały dla wszystkich niechcianych, zapomnianych, wyklętych. Rzesze darmozjadów powiększały się z każdym dniem. Bezradne służby porządkowe mogły jedynie przyłączyć się do ogólnospołecznej balangi. Dla wszystkich potrzebujących zawsze znalazła się flaszeczka i coś na ząb Jedyny fenomen tego zjawiska, to taki, że nikt spośród uczestników libacji, ani przez chwilę nie zastanowił się, nie zadał sobie pytania – skąd to wszystko się bierze? Skąd bierze się ta „manna"?

Dni mijały, a festyn trwał. Wieczorne spotkania w centrum stały się modne. Wśród, rosnącej z każdym dniem, rzeszy zwolenników darmowej wyżerki, oczywiście nie mogło zabraknąć Stefana. Tenże, mimo iż mógłby brylować na salonach, wolał pospolitować się z biedotą. Widywany tu i ówdzie, pośród tłumu gawiedzi czuł się jak ryba w wodzie. Nie lada sensację, a nawet zgorszenie, wywoła plotka krążąca po mieście dotycząca jego osoby. Mimo, że Stefan zrobił wszystko, żeby zatuszować całą sprawę, niestety, jakimś dziwnym trafem wieść o jego udziale w strzelaninie i pobycie w więzieniu stała się newsem numer jeden w miasteczku. Wyolbrzymione do granic możliwości, niefortunne wydarzenie sprzed lat, którego nieszczęśnik był jedynie przypadkowym uczestnikiem zaczęło żyć własnym życiem. Ludzie wymyślali niestworzone rzeczy na temat drobnego, skądinąd, incydentu. Dla jednych Stefan stał się pariasem, dla innych zaś bohaterem.

Sam zainteresowany bawił się setnie, stając się ulubieńcem rodzimych plebejuszy. Co bardziej złośliwi twierdzili, że wreszcie znalazł swoje miejsce w szeregu. Trzy tygodnie trwała darmowa, miejska uczta, aż w pewną letnią, upalną

sobotę nie podano do stołu. Bez nijakiego uprzedzenia wszystko się skończyło. Niezadowoleni biesiadnicy pomstowali na organizatora, odżegnując go od czci i wiary. Gromy spadały przede wszystkim na głowę prezydenta miasta, bowiem lud sądził, iż w całej tej akcji charytatywnej, kto jak kto, ale włodarz miasta musiał maczać palce. Niezadowolona gawiedź szemrała po zaułkach. Zanosiło się wręcz na zamieszki uliczne. Poinformowany w porę o wszystkim prezydent, zdecydował się na jednorazowe pokrycie kosztów imprezy. Jego nie do końca przemyślana decyzja, podyktowana emocjami i potrzebą chwili groziła totalną ruiną miejskiej kasy.

Wizja niepewnego jutra spowodowała, że zebrane tłumy korzystały z poczęstunku na zapas. Torbami wynosili wszystko, co zostało przygotowane na imprezę. Przemykający chyłkiem Stefan, zaopatrzony dobrze w jadło i napitki, natknął się nieszczęśliwie na fundatora imprezy obserwującego dyskretnie całe zdarzenie odległości. Wzrokiem pełnym pogardy, niedawny jeszcze kolega, spojrzał na zmieszanego darmozjada. Ten bez słowa obrócił się na pięcie i zniknął w mroku nocy, pozostawiając po sobie kwaśny zapach wirującego wokół niego powietrza.

Czara przepełniła się. Powszechny ostracyzm, z jakim zaczął spotykać się od tej pory na każdym kroku, stał się aż nazbyt wymowny. Stefan został raz na zawsze wykreślony z grona „szanowanych" mieszkańców miasta.

Czas rozpasania minął bezpowrotnie. Po kilku chudych dniach, po letnim festynie pozostało jedynie wspomnienie, a nawet tęsknota. Wszyscy, oczywiście poza Stefanem, wrócili „do siebie". Ten zawsze miał dobry humor i środki na zaspokojenie podstawowych potrzeb najniższej warstwy społeczeństwa. Żałować powinien, że w tym czasie nie było żadnych wyborów, bowiem dzięki mirowi, jakim cieszył się wśród biedoty z powodzeniem mógłby ubiegać się o mandat radnego, a nawet prezydenta. Á propos mandatów, to za wszelakie przewiny związane z pobytem w „centrum rozrywki", bez zbytniego wysiłku, dostał kilka Jakie znajdował upodobanie w obcowaniu z różnego autoramentu ochlaptusami, mentlikami i innymi reprezentantami marginesu społecznego nie wiedział nikt, poza nim samym i pewnym adwokatem z Krakowa.

Stoczył się, degrengolada, dno – mówili, a Stefan czuł się jak ryba w wodzie wśród nowych „przyjaciół". Zasmakował w życiu, którego do tej pory nie znał od środka, upajał się nim, jego atmosferą i prostotą. Z każdym dniem, nieświadom niczego pogrążał się w odmętach upodlenia coraz bardziej. Naiwnie wierzył, że pośród tych trędowatych, wyklętych znalazł prawdziwie życzliwych sobie ludzi. Jakiż ciężki przeżył zawód, po tym, jak ogłosił wszem i wobec o swojej zapaści finansowej. Na wpół złamany, na wpół pijany oznajmił kamratom, że jest goły i liczy na pomoc z ich strony.

„Frajer" trochę rozczarował się. Już nie mógł liczyć na mandat, chyba

że ten od służb porządkowych.
– Życie to nie je bajka, życie to pole bitwy – filozofowali szlifierze bruków.

Załamany, spłukany i rozgoryczony wracał do domu. Kurczowo naciągnął czapkę, żeby nie słyszeć wewnętrznych głosów wołających o pomstę do nieba.

Jakież było jego zdziwienie, gdy w mieszkaniu zastał swoje latorośle.
– O dzieci moje kochane! – wymamrotał niewyraźnie. – Co was do mnie sprowadza? Czyżby troska o moje nadwątlone zdrowie? – bełkotał chwiejąc się.
– Dobrze mówię?
– Coś ty ze sobą zrobił? Jak ty wyglądasz? – zaczął na powitanie Jacek. – To my! – wskazał na siostrę, – znajomi z miasta – zatoczył ręką łuk i wiele innych osób, próbujemy ratować twoją żałosną dupę, a ty szalejesz bez opamiętania, włóczysz się po knajpach, pijesz z tymi brudasami z centrum, bo normalni ludzie to już cię znać nie chcą. Po co ci to? Taki sposób znalazłeś sobie na powrót do zdrowia? I jeszcze ta strzelanina i więzienie, o którym wszyscy wkoło trąbią.
– A to. To, o tym też wiecie? – udawał zdziwionego. Spuścił głowę na piersi i zrezygnowany nawet nie próbował się bronić.

Wyraz twarzy dzieci na widok ojca był aż nazbyt wymowny, bowiem ten wyglądał żałośnie. Zapuszczony, brudny i cuchnący jak niedomyty skunks, niczym nie różnił się od swoich niedawnych jeszcze towarzyszy uciech. Ale alkoholu, o dziwo, nie było czuć od niego. Młodzi doskoczyli do ojca jak wilki do sarny. W oka mgnieniu otoczyli ofiarę, złowieszczo kłapiąc uzbrojonymi w ostre zębiska pyskami, następnie zaczęli kąsać z razu lekko, i z każdą chwilą coraz zajadlej. Osaczony zwierz, opadły z sił nie miał ochoty bronić się, zrezygnowany czekał na ostateczny cios. Na litość nie mógł liczyć. Ociekające krwią zębiska zatapiały się coraz głębiej rozrywając duszę nieszczęśnika na strzępy. Rany zadawane prosto w serce krwawiły coraz bardziej, a wilczki piły, chłeptały posokę rozkoszując się swym zwycięstwem. Napiwszy się do syta, zmęczeni, zdyszani potrzebowali chwili wytchnienia. Ojciec cierpliwie czekał na ten moment, a skoro się nadarzył postanowił przystąpić do ataku. Już nie sprawiał wrażenia zrezygnowanego, uległego, słabego. Już język mu się nie plątał. Kiedy podniósł się z kolan i dumnie wyprostował, twarz jego z pozoru spokojna, poważna lecz z lekka trącająca smutkiem, wystarczyła za cały komentarz.

– Zarzucacie mi, że piję, przynoszę wam wstyd, że zapomniałem o was, może nawet wyrzekłem? Każdy w swoim życiu ma taki okres, kiedy przecieka mu ono między palcami. Ja chyba taki przechodzę. Nie wiecie co to znaczy żyć w ciągłym upodleniu. Każdego dnia odczuwać wstyd i złość do losu, że był taki okrutny. Nie będę się usprawiedliwiał, bo to w dużej mierze moja wina, że tak skończyłem. Lecz czy wy, moje dzieci nie zapomnieliście o czymś? Nie zapomnieliście o mnie? Nie wiem jakim sposobem doszliście do

tego co macie. Na pewno nie pracą. A tylko uczciwą pracą zdobyty majątek daje pełną satysfakcję. Na wasze nieszczęście jeszcze tego nie pojmujecie – trzeźwo moralizował Stefan. – Wy, opływając w dostatki zapomnieliście o mnie, o powinnościach wobec ojca. Co jest z wami? Czy wy już ludźmi nie potraficie być? – Przecież to nie jest takie trudne ! – cedził przez zęby. Wystarczy pozostać człowiekiem, żeby nie zejść na psy – zauważył kąśliwie. Waszą matkę mogę poniekąd zrozumieć, ale was? – Próbowałem znaleźć wytłumaczenie i wiecie co? ... Nie znalazłem – odpowiedział sam sobie, a smutek nieodłączny kolega Stefana, musnął go w ramię . Na jego twarzy na chwilę zagościł jakiś grymas, jakby zmartwienie. Ale błysk w oczach nie pasował do tej miny.

– Nieważne skąd macie ten majątek? Ale czy wydaliście chociaż złotówkę na mnie, kiedy potrzebowałem pomocy? Czy nie wstyd wam słuchać, jak ludzie komentują wasze zachowanie, waszą bezduszność i obojętność? Ostatnimi czasy potrzebowałem dużo wsparcia, i nie chodzi mi o pieniądze, bo te akurat... są mi najmniej potrzebne – dokończył z wyrzutem.

– Pieniądze są ci najmniej potrzebne?! A to dobre sobie. Przecież to dzięki pieniądzom doszedłeś, jako tako, do siebie. Kto rozkręcił fundację, kto zbierał środki na twoje leczenie? – przypomniał Jacek. – Myślisz, że konto, z którego tak chętnie czerpałeś napełniało się za przyczyną czarodziejskiej różdżki. Szkoda tylko, że darczyńcy, widząc w jak zacny i przemyślany sposób wydajesz ich darowizny, poszli po rozum do głowy. Konto fundacji jest puste i drugi raz już się nie napełni.

– Ok! Dziękuję wam bardzo, że chociaż tyle dla mnie zrobiliście. Ale z tego co mi wiadomo, od was ani złotówka na nie wpłynęła na konto. Możecie mi wyjaśnić o co chodzi? – dociekał swojego.

Dzieciaki zamurowało. Skąd on to wie? – zastanawiali się. Rozgoryczony Stefan widząc zmieszanie na twarzach potomków nie zamierzał oszczędzać im kolejnych przykrości.

– Puste wcale być nie musi. Przecież macie tyle pieniędzy, że jakieś grosze wysupłacie dla potrzebującego ojca? Nieprawdaż? – zadając to niewygodne pytanie uważnie powiódł wzrokiem po potomkach, próbując wyczytać odpowiedź z ich zmieszanych twarzy.

To co było na nich wypisane, nie napawało go zbytnim optymizmem.

– Pozostaje jeszcze kwestia przeszczepu. Co mi po pieniądzach, które będą jedynie przedłużać moją powolną agonię, skoro nie ma dawcy? Ale... Co tam „nie ma„?! Dawcy są, tylko zdecydowania brakuje! – spojrzał badawczym wzrokiem na dzieci. Te zaś gdyby mogły, z miejsca zapadłyby się pod ziemię.

W krótkiej ciszy można było usłyszeć pociąg telepiący się na swoich kwadratowych kołach w drugim końcu miasta.

– Co się z wami stało, dzieci moje drogie? Mamona tak was zaślepiła, że

przestaliście odróżniać dobro od zła? Nigdy nie rozmawialiśmy na temat sposobu w jaki dorobiliście się majątku. Odnoszę jednak wrażenie, że w tym tkwi sedno sprawy, jakaś tajemnica. Czyż nie?

– Mama otrzymała spadek od dalekiej krewnej – skłamała Agata.

– A to powinszować. Nie rozumiem tylko jednego, czemu wy, jako rodzina, pożałowaliście mi tych kilku, marnych groszy na ratowanie mojego zdrowia i życia.

– Matka zakazała – skłamała po raz wtóry córka.

– Matka zakazała? A miała takie prawo? – drążył temat ojciec. – Darowizna...? Spadek – poprawił się – był na matkę, czy na was wszystkich?

– No, na nas. Ale wiesz jaka jest matka – próbował tłumaczyć Jacek.

– Przykro mi tego słuchać. A jeszcze trudniej zrozumieć. Ale cóż? Niech i tak będzie – z bólem zaakceptował decyzję potomków. – Czyli mam rozumieć, że nie mogę na was liczyć w przyszłości?

– Tato, to nie tak! To wszystko nie jest takie proste! To nie jest tak, jak wygląda.

– A niby jak to wygląda? – żachnął się rodzic. – Powiem wam, jak to wygląda. Otóż wy opływacie w dostatkach, ja zaś, schorowany, opuszczony przez Boga i ludzi, bez środków do życia, jestem skazany na wegetację i samotność. Tak to wygląda! – wyrzucił im w twarz.

Młodzi zamilkli, a krepująca cisza trwała i trwała.

– Cóż, chyba wszystko sobie powiedzieliśmy. Idźcie już, bo nie mogę na was patrzeć – bezceremonialnie, z goryczą w głosie pożegnał się z dziećmi.

Rodzeństwo wyszło jak niepyszne. Wstyd im było spojrzeć sobie w oczy, a co dopiero komentować odwiedziny u ojca.

– Aleśmy się kurwa popisali, nie ma co? – zaczął Jacek. – Miałem wrażenie, że on wszystko o nas wie i tylko nas sonduje. Jakby poddawał nas jakiejś próbie? Czy zauważyłaś jak beznamiętnie zareagował, kiedy zwaliłaś całą winę na matkę? Nawet mu powieka nie drgnęła, żaden mięsień twarzy nie poruszył się.

– A co, miałam mu powiedzieć, że wybraliśmy pieniądze, a nie jego życie? Matce, może by wybaczył, ale nam nie.

– Taka forsa, takie wygodne życie! Nie szkoda ci tego? – dopytywał brat.

– Pewnie że szkoda, ale, zobacz, w jakiej znaleźliśmy się sytuacji. Mieliśmy pretensje do ojca o wszystko... Trudno jest mu nie przyznać racji – zreflektowała się. – Pozostawiliśmy go na pastwę losu, bez środków do życia, a przecież nie był takim ostatnim draniem. My mogliśmy na niego liczyć. Matka, może trochę mniej... – przypomniała Agata.

– Jak pamiętam, relacje między nimi nigdy nie były przykładem wzorowego małżeństwa. To oni nigdy nie mogli się ze sobą dogadać. Ale my? My zawsze mieliśmy oboje rodziców – stwierdził Jacek.

– W co my daliśmy się wplątać bracie? – ni to pytała, ni to zastanawiała się

siostra. – Jak my z tego wybrniemy?

Powoli przychodził czas na refleksje.

– W tym całym pieprzonym plebiscycie, to na co ty postawiłaś? – zmienił temat Jacek.

– Jaaa – zawahała się przez chwilę siostra – jaaa, na ojca, a ty?

– Ja też na ojca – bez chwili zastanowienia odpowiedział brat.

– Czyli to matka była przeciw – doszli do wniosku po wnikliwej analizie faktów. Jakoś lżej zrobiło się młodym na duszy. Odium, wiszące od jakiegoś czasu nad ich głowami, wreszcie zostało zdjęte, tylko cisza, jaka zapadła między nimi, po odkryciu tej ponurej prawdy, była aż nazbyt wymowna. Żadne z rodzeństwa nie odważyło się kontynuować tematu, bo żadne nie miało odwagi spojrzeć drugiemu w oczy.

Tymczasem Zofia ciekawa przebiegu rozmowy dzieci z ojcem, wykonała telefon. Oszczędny w słowach Jacek zapewnił rodzicielkę, że wszystko jest w porządku i za chwilę będą w domu. Po niespełna kilku minutach, na posesję zajechał sportowy wóz Jacka. Mocna usłyszawszy warkot znanego jej silnika, wybiegła z domu na spotkanie z dziećmi.

– No i co, no i jak? Powiedzcie coś – ponaglała.

W jednej chwili chciała wiedzieć wszystko, znać odpowiedzi na niezadane jeszcze pytania, jakby się czegoś obawiała. Jacek z Agatą, w przeciwieństwie do matki, nie byli zbyt rozmowni.

– Wejdźmy do środka, usiądźmy, napijmy się kawy – zaproponowała Agata, – a potem wszystko, po kolei ci opowiemy.

– A, tak, tak, napijemy się kawy i wszystko po kolei mi opowiecie – powtórzyła jak echo rozemocjonowana Zofia.

Młodzi reprezentanci rodziny szli jak na skazanie. Co było powodem ich przygnębienia, można było tylko domyślać się. Rodzeństwo na zmianę relacjonowało spotkanie z ojcem, często pomijając ważkie dla całości spotkania szczegóły i często przeinaczając fakty. Niepisane porozumienie, które Jacek i Agata w milczeniu zawarli, kontentowało zainteresowane strony..

Rozdział XX

Nagły i niespodziewany wyjazd pana Adama wlał w serca Mocnych odrobinę nadziei. Miesiąc do namysłu. W życiu nie spodziewali się, że dostaną od losu taką szansę. Miesiąc to szmat czasu – spoglądali z optymizmem w przyszłość. Przez miesiąc wiele może się zdarzyć – dodawali sobie nawzajem otuchy.

Tak, tak zauważyli zgodnie. Przez miesiąc wiele może się zdarzyć – na co liczyli trudno zgadnąć. Los płata różne figle – czego, nieświadomi, sami byli

najlepszym przykładem.

Dni mijały, Mocni się mijali, a w domu było coraz chłodniej.

Blisko tydzień upłynął od feralnego dnia, jak do drzwi Mocnych zakołatał Krakowski.

– Przepraszam, że tak bez uprzedzenia zjawiam się u państwa, lecz do tej pory nie wymieniliśmy się numerami telefonów, a nietaktem byłoby wydzwaniać po znajomych, sama pani rozumie pani Zofio? – ona to bowiem otworzyła drzwi niespodziewanemu gościowi.

– A tak, tak nietaktem. Pewnie, że nietaktem – plotła trzy po trzy zażenowana. – Przepraszam, że jestem tak ubrana – odruchowo poprawiła podomkę, – ale sam pan rozumie, jak to w domu, o tej porze.

Pan Rajmund wszedłszy do przedpokoju, sprawiał wrażenie nieco skrępowanego swoją wizytą.

– Czy coś się stało? Proszę niech pan wejdzie dalej. Może się pan czegoś napije? Sama jestem – trajkotała, też lekko zaskoczona niespodziewaną wizytą sąsiada.

Krakowski nieprzypadkowo wybrał tę porę na odwiedziny. Doskonale wiedział, że w tym czasie oprócz Zofii nie ma nikogo z domowników. W rezydencji Mocnych miał przyjemność gościć po raz pierwszy, więc z zaciekawieniem oglądał dom sąsiadki, nie mogąc nadziwić się elegancji panującej tak zewnątrz, jak i wewnątrz.

– Piękna właścicielka, piękna posesja, piękny ogród, piękny dom, i ten wystrój… Brakuje mi słów, żeby wyrazić swój zachwyt – komplementował dokonania gospodyni. Mówiąc te słowa omiótł wzrokiem gustownie urządzony salon, po czym kokieteryjnie, może nawet zawadiacko zatrzymał wzrok na spłonionej, jak pensjonarka, właścicielce.

– Aaaa dziękuję. Właśnie niedawno zakończyliśmy remont i przebudowę domu oraz ogrodu – nadmieniła ciągle lekko skrępowana, otulając się jeszcze ciaśniej podomką.

– Czy wolno mi spytać kto był projektantem owego cuda? Musiała pani sporo zapłacić, ale było za co – powiedział z niekłamanym zachwytem w głosie.

Zofia wymieniła nazwisko…

– Ale w większości to moje projekty – przyznała skromnie.

– Wiedziałem. Od razu wiedziałem, że to wszystko musiało wyjść spod pani ręki. Co ja mówię, ręki. W tym skończonym dziele widać pani serce. Obnażyła się pani, pani Zofio – spojrzał nieco lubieżnym wzrokiem na sąsiadkę. – Teraz już wszystko rozumiem.

– Co pan rozumie, panie Rajmundzie? – szczebiotała ciągle skrępowana, ale zachwycona komplementami kobieta.

– Rozumiem czemu mój dom wygląda tak…– szukał określenia, – jak przechowalnia utensyliów, a pani jest unikatowy, niepowtarzalny, jedyny w

swoim rodzaju – mówiąc te słowa zbliżył się do Zofii, ujął jej dłoń i przycisnął do ust. – Jak dzieło sztuki – dopowiedział zaglądając głęboko w oczy spłonionej kobiecie.

Najwyraźniej ją podrywał.

– Panie Rajmundzie...Kokiet z pana, szanowny panie, ale dziękuję za miłe słowa. Co pana do mnie sprowadza? – przerwała flirt, który zawiązywał się między nimi. – Bo raczej nie przyszedł pan podziwiać wystroju mojego domu.? – sprowadziła gościa na ziemię, sama też na nią powracając.

W jednej chwili czar prysł, ale wrażenie pozostało. Trzeba było wracać do interesów.

– Adam przysłał list, w którym prosi o kontakt z panią i dostarczenie tejże przesyłki. W tym momencie wyjął z kieszeni marynarki kopertę, którą wręczył adresatce.

Czegóż on może chcieć? – zastanawiała się przez chwilę, przeczuwając jakieś kłopoty.

– Pozwoli pan – spojrzała na doręczyciela, – że otworzę.

– Ależ jak najbardziej szanowna pani, proszę się nie krępować.

Pan Adam X na wstępie przepraszał za swój nagły wyjazd, w dalszej zaś części przedstawił nową propozycję dla rodziny. Idąc na rękę nieszczęsnym Mocnym, postanowił odstąpić od zasady jednomyślności w kolejnym głosowaniu. Propozycja jego z pozoru wielkoduszna brzmiała mniej więcej tak.

Każdy, kto zdecyduje się głosować przeciw ojcu, zatrzyma swoją część pieniędzy. Ten zaś kto zagłosuje za, będzie musiał się z nimi pożegnać.

Najboleśniejsze było post scriptum.

Informuję, iż osoba która zdecydowałaby się pomóc Stefanowi, automatycznie traci prawo do korzystania, nie tylko ze środków własnych, ale i środków pozostałych członków rodziny. Kowalski przyjedzie po decyzję w piątek, 30-go o godz. 18.00.

– Co za arogancja, co za tupet – mruczała pod nosem. – To już nawet nie chce nas widzieć, tylko przez kuriera. Jak on nas traktuje!

Mina Zofii była aż nazbyt wymowna. Krakowski, który niby to oglądał obrazy wiszące w salonie, ukradkiem obserwował Zofię. W momencie kiedy ta przestała czytać i opuściła ręce w dół w geście zwątpienia, odwrócił się.

– Piękne obrazy – zaczął, lecz natychmiast przerwał widząc, zdruzgotaną Zofię.

– Czy coś się stało, szanowna pani? Złe wieści?

– Nie, nie. Chociaż sama nie wiem?

– Czy mogę w czymś pomóc? – dopytywał.

– Bynajmniej, nie w tej materii. Z tymi demonami musimy poradzić sobie sami, mam na myśli rodzinę.

– Bo wie pani, gdyby potrzebowała pani jakiejś pomocy, to ja w każdej chwili...

– Z tej matni pan mnie nie wyplącze – stwierdziła zrezygnowana.
– Żałuję, że byłem posłańcem przynoszącym złe wiadomości.
– Proszę nie robić sobie wyrzutów Pan tylko przyniósł ten cholerny list, nie pan go przecież pisał. Prawda?
– Nooo…

Tak brzmiała odpowiedź zbitego z pantałyku Rajmunda.

– Cóż, chyba już pójdę – zdecydował.
– Proszę mi wybaczyć panie Rajmundzie, że nie zatrzymuję, ale sadzę, że tak będzie najlepiej – powiedziała kobieta sprawiająca wrażenie przybitej.
– Może innym razem, w innych, dogodniejszych okolicznościach uda nam się spotkać. Czy będę zbyt śmiały, jeżeli poproszę o pani numer telefonu. Nie chciałbym drugi raz zjawiać się bez zapowiedzi i przyrzekam, że już nigdy więcej nie będę wyręczał Bellerofonta.
– Trzymam pana za słowo, panie Rajmundzie – uśmiechnęła się smutno.

Po wyjściu Krakowskiego, Zofia osunęła się na stojący nieopodal fotel i zadumała się. Co ten diabeł wcielony sobie myśli? On najwyraźniej próbuje zniszczyć naszą rodzinę. Takie żądania?! Przecież to niedopuszczalne. On nawet nie ukrywa tego, że chce nas poróżnić, on jawnie do tego dąży. Na razie zatrzymam tę wiadomość dla siebie – zdecydowała. Jak przyjdzie czas, to wtedy porozmawiam z dziećmi – postanowiła.

Wkrótce po wyjściu Krakowskiego, do domu powrócili młodzi. Od razu zorientowali się, że coś jest z matką nie tak.
– Czy coś się stało? – zapytała Agata.
– Odwiedził nas pan Rajmund i przyniósł list od tego tam Adama.
– Tak? I co on znowu chce od nas? – dopytywała córka.
– Nie mam dla was dobrych wieści, ale o tym porozmawiamy kiedy indziej.
– Czemu nie teraz? – próbował dowiedzieć się Jacek.
– Bo nie! Jak przyjdzie odpowiedni czas, zbierzemy się i coś ustalimy – zawyrokowała rozdrażniona matka. – Wierzcie mi, to nas nie minie. Na razie cieszcie się życiem. „Tak szybko przemija" – filozoficznie zauważyła Zofia.

Całe dwa dni minęły zanim Krakowski odważył się zatelefonować do sąsiadki z propozycją spotkania. Z początku nieskora do pojednania Zofia, ostatecznie, pod wpływem usilnych perswazji, dała się namówić na wspólną kolację.
– Obiecuję, że tym razem, trzy razy zastanowię się, zanim coś powiem – obiecywał Rajmund.
– Wnioskuję z naszej rozmowy, że kolacja będzie u pana?
– Ależ jak najbardziej. Muszę przecież w jakiś sposób zrekompensować pani, ten poprzedni, nie do końca udany wieczór.
– Nie ma o czym mówić – zapewniała. – Nie wracajmy więcej do tego.

– Miło mi to słyszeć. Pani słowa, to balsam na moje serce.

Zofia uśmiechnęła się w duchu i pomyślała. Czy można go nie lubić?

– A zatem o której?

– Co o której? – powtórzył zatopiony przez chwilę w myślach Rajmund.

– Kolacja panie Rajmundzie, kolacja. Co się z panem dzieje? Sprawia pan wrażenie nieobecnego

Zofia utrafiła w sedno. Rajmund błądził myślami gdzieś daleko, bardzo daleko.

– Najmocniej panią przepraszam. Kolację zaplanowałem wstępnie na godz. 20.00. Czy ta pora pani odpowiada? – zapytał.

Jak to zaplanowałem? To co? Z góry założył, że mu nie odmówię! Co on sobie myśli – nakręcała się całkiem niepotrzebnie. A może jest taki przewidujący – poszła wreszcie po rozum do głowy. Spojrzała na zegarek. Było dość wcześnie.

– Zgoda. Zdążę przypudrować nosek – powiedziała figlarnym tonem.

– Pani Zofio… Może pani nie zdaje sobie z tego sprawy, ale właśnie uczyniła mnie pani najszczęśliwszym człowiekiem na świecie – oświadczył ukontentowany zalotnik.

– Chyba pan trochę przesadza, szanowny sąsiedzie – przekomarzała się.

– Bynajmniej. Gdyby pani mogła w tym momencie zbadać mi puls, sama by się przekonała o prawdziwości moich słów.

– Wierzę panu na słowo – nie przestawała flirtować.

– W takim razie jesteśmy umówieni. Czy nie będzie miała mi pani za złe, jak przyjdę po panią kilka, no może 15 minut wcześniej i zaproponuję wspólny spacer? Pogoda taka piękna i przyznaję, że chciałbym z panią o czymś porozmawiać – uprzedził o swoich zamiarach.

– Pan ma jakieś plany względem mojej osoby? – ale nie było to pytanie, raczej stwierdzenie. – Podejrzewam, że tak –dodała nieco kokieteryjnie.

– Znowu mnie pani rozszyfrowała. Przed panią nie da się nic ukryć – chwalił kobiecą błyskotliwość. – Co by pani powiedziała na wspólny wypad dooo... Paryża? – wahał się przez moment by zaproponować Zofii tak niecodzienną eskapadę, żeby broń Boże tym razem czegoś opacznie nie zrozumiała.

– Jak to do Paryża? – zdziwiła się.

– Przyznam szczerze, że mam tam kilka spraw do załatwienia, a towarzystwo pani byłoby dla mnie najmilszą rekompensatą trudów związanych z wyjazdem.

– Czy ja dobrze rozumiem?! – powiedziała z pretensją w głosie. – Chce pan zrobić ze mnie panienkę do towarzystwa. Pan się zapomina, szanowny panie, to niedopuszczalne. Nie do usłyszenia! – warknęła do mikrofonu, po czym w sposób nie wymagający tak wiele siły, odłożyła słuchawkę.

Dobra nasza – pomyślał Rajmund odkładając swoją w zdecydowanie delikatniejszy sposób, wręcz z pietyzmem. Uśmiechnął się do siebie, zatarł

chytrze ręce, co jednoznacznie świadczyło o tym, że dopiął swego. Wcześniej zakupiony bukiet kwiatów wraz z liścikiem czekał przygotowany do drogi.

Szanowna Pani Zofio!
Po raz kolejny popełniłem niewybaczalny błąd proponując wspólny wyjazd do Paryża. Może powinienem zaproponować Rzym lub Wenecję, albo pozwolić Pani wybrać kierunek naszej wspólnej wycieczki, ale niestety jest już za późno.
Jedyny interes, jaki mam w Paryżu, to chęć bliższego poznania Pani. Natomiast opatrznie rozumiane przez Panią moje intencje, kolejny raz stały się zarzewiem nieporozumienia.
Zapewniam, że wspólny weekendowy wypad nie niesie za sobą żadnych zobowiązań.
Na swoje usprawiedliwienie mogę dodać jedynie, że dawny przyjaciel Adama, o odnalezienie którego prosiła mnie Pani jakiś czas temu, przebywa właśnie w tym mieście i nadarza się doskonała okazja do spotkania.
Jeżeli jest Pani zainteresowana, proszę o telefon.

Rajmund Krakowski

Zofia przeczytała liścik raz i drugi, po czym kolejny raz i spojrzała na kwiaty – były przepiękne. Kojący widok misternie ułożonego bukietu sprawił, że emocje z wolna opadały, a górę zaczęły brać względy praktyczne. Mocna zaczęła na chłodno kalkulować, rozpatrywać, myśleć. Czego ten Rajmund może chcieć ode mnie? Przecież nie pieniędzy, bo je ma. Chce mnie uwieść? Nie, nie. Schlebiam sobie. Całkiem z niego do rzeczy facet, może mieć sto młodszych. Ale nie lepszych – pomyślała, albowiem mniemanie o sobie Zofia miała zawsze wysokie. Wyszumiał się i może naprawdę szuka kogoś na stałe? A może jest w zmowie z tym Adamem?– wzdrygnęła się. Za każdym razem kiedy wspominała tego człowieka robiło jej się niedobrze. – Przecież oni są takimi bliskimi przyjaciółmi. Czy znajomymi? Mniejsza. Tak! Tak może być – wykoncypowała. – Niby taki dobry, uczynny sąsiad, a swoje robi. Gdyby chciał, powiedziałby mi coś więcej na temat tego Adama, a on milczy jak zaklęty. Musi być w zmowie z tym… Za dużo tych zbiegów okoliczności. Pełna inwigilacja. O przejrzałam wasze gierki panowie. Teraz ja będę z wami pogrywać – obiecała wyimaginowanym wrogom. Analityczny umysł Zofii nie zawiódł. Rozgryzła orzech.
Tylko co robić, co robić? – zastanawiała się. Jechać, nie jechać? – wahała się. Kilka dni z Krakowskim w Paryżu – miła perspektywa. Przecież mnie zaraz nie zgwałci, ani nie zamorduje – uspokajała się. A poznamy się bliżej, może czegoś więcej dowiem się o Adamie. Może ten dawny jego przyjaciel uchyli rąbka tajemnicy i nareszcie zrozumiem, o co w tym wszystkim chodzi – silne

argumenty za przeważyły szalę. Jadę – zdecydowała.

Telefon, numer telefonu do Rajmunda – szukała rozemocjonowana. A, jest w liściku – przypomniała sobie. Nerwowo zaczęła wykręcać numer. Przy ostatniej cyfrze zatrzymała się na chwilę, zawahała, odłożyła słuchawkę. Kilka głębszych wdechów przywróciło jej równowagę emocjonalną. Spojrzała w lustro, poprawiła włosy, jakby miała rozmawiać przez wideo telefon i ponownie zaczęła wykręcać numer sąsiada.

– Rajmund Krakowski przy telefonie, z kim mam przyjemność.

– Zofia Mocna – lekko drżącym głosem przedstawiła się.

– Pani Zofio najmilsza – może nazbyt konfidencjonalnie zaczął Rajmund. – Jak to miło, że pani dzwoni. Myślałem, że przez to moje faux pas nigdy więcej pani się do mnie nie odezwie. Nie ukrywam, że byłaby to dla mnie bolesna nauczka i niepowetowana strata. Czy podjęła już pani decyzję w sprawie naszego wyjazdu? Jeżeli tak, to błagam, niech to będzie zgoda, niech pani zlituje się nade mną i nie łamie mi serca.

– Panie Rajmundzie, proszę porzucić tę melodramatyczną formę. Dawno temu stałam się dorosłą osobą, więc takie chwyty nie robią już na mnie wrażenia.

– Zapewniam, że to żadna forma, aktor ze mnie żaden. Ja po prostu chciałbym spędzić z panią trochę czasu, a jeżeli dodatkowo mógłbym pomóc rozwiązać problemy, z którymi boryka się pani, to cała przyjemność pozostanie po mojej stronie.

Co on taki uczynny? – zadała sobie pytanie. Chyba dobrze wywnioskowałam, że jest w zmowie z tym – na samą myśl zacisnęła zęby – dobroczyńcą z bożej łaski. Muszę być bardzo czujna – powiedziała sobie. Może uda mi się ugrać coś dla siebie na tym wyjeździe – chwila zastanowienia przedłużała się.

– Halo, pani Zofio, jest pani tam? – usłyszała w słuchawce.

– A tak, tak, najmocniej przepraszam, zamyśliłam się. Muszę przyznać, że trochę się waham.

– Zapewniam, że nie ma pani najmniejszych powodów do obaw, a kilka dni w Paryżu dobrze nam obojgu zrobi.

– Tak pan uważa – ponownie trąciła kokieteryjną nutę. – No to zgoda. Przekonał mnie pan.

Już ja cię sprawdzę ty pokrętny obłudniku – odgrażała się. Myślisz, że jak kobieta, to już taka naiwna. Nie twoje… wasze doczekanie. Zobaczymy kto więcej skorzysta na tym wyjeździe – tak sobie rozmyślała mistrzyni intrygi po odłożeniu słuchawki.

Wszelkie formalności związane z wyjazdem załatwił Krakowski. Samolot do Paryża wylatywał w piątek rano. Już w czwartek Mocna, bardzo przeżywała wspólną podróż. Potomkowie poinformowani o najbliższych planach

matki żartowali sobie w najlepsze.
– Tylko ty się tam Zofia tanio nie sprzedaj, a przede wszystkim dobrze się zabezpiecz. Nie potrzebujemy na stare lata bobasa w domu. I bez tego mamy dosyć problemów – dworowali sobie.
– No, ale jak myślicie? Zarezerwował na pewno dwa pokoje? – pytała szukając jakiegokolwiek wytłumaczenia.
– Po co dwa, po co przepłacać. Ty matka duża jesteś dziewczynka i potrafisz sobie poradzić w różnych sytuacjach – kpił syn.
– Jak Boga kocham, gdyby nie ten wspólny znajomy ojca i Adama, to za żadne skarby nie dałabym się namówić na wyjazd – usprawiedliwiała się przed dziećmi.
– Co ty tak przeżywasz mamo? Przecież to normalny facet, może nieco ekscentryczny, ale mogę cię zapewnić, że nie zrobi niczego, na co ty nie wyraziłabyś zgody – Agata spojrzała figlarnie na matkę, która mimowolnie spuściła oczy hołdując przesadnej pruderii.
– No dosyć żartów – pozbierała się Zofia. – Weźcie się do jakiejś roboty, zajmijcie się czymś.

Rodzeństwo jednocześnie parsknęło śmiechem, a zaraz po nich matka.
– Baw się dobrze, bon voyage – rzucili na odchodne.

Zofia została sama w całkiem niezłym humorze. Czas płynął nieubłaganie, a wraz z jego upływem dobre samopoczucie powoli odchodziło w zapomnienie. Znowu opadły ją wątpliwości. Zatopiona w myślach usłyszała jakiś hałas, głosy dochodzące z zewnątrz.

Czyżby Krakowski po coś przyjechał? – pomyślała. Jakież było jej rozczarowanie, kiedy w drzwiach ujrzała Stefana w towarzystwie zażenowanych dzieci. Tenże, jakby na zamówienie reżysera „Nędzników" wyglądał, jak ostatnia łajza, jak siedem nieszczęść. Najwyraźniej nie przebierał się, ani nie kąpał od ostatniego spotkania z potomstwem, które miało miejsce w jego mieszkaniu. Brudny, nieogolony, nieświeży, no i oczywiście pod urokliwym wpływem nie odstępującej go ani na krok, znajomej czarodziejki, stanął w drzwiach rodzinnego domu Mocnych.
– Dzieci moje kochane i ty małżonko! Ratujcie mnie – zaczął nazbyt melodramatycznie. – Nie mam pracy, nie mam pieniędzy, nie mam co jeść, nie mam co pić, nie mam żadnych perspektyw. Chyba przyjdzie mi ze sobą skończyć, jeżeli wcześniej choroba mnie nie dopadnie.
– Ale na gorzałę to forsę potrafiłeś skołować – warknęła żona i spojrzała na Stefana takim wzrokiem, że w całym ich wspólnym życiu, chłodniejszego i bardziej obojętnego spojrzenia nigdy nie widział.
– A nieprawda, jestem trzeźwy – wypierał się sepleniąc.
– I na czynsz nie mam, chcą mnie z mieszkania eksmitować. Poratujcie, jeśli możecie – tu złożył ręce w błagalnym geście.

– Jak to? – zdziwiła się Zofia. – To gdzie są pieniądze z fundacji?! Wszystko przepiłeś?

— A cóż to były za pieniądze, jakieś grosze i prawie wszystko poszło na leczenie – tłumaczył. – Ludzie nie są już dzisiaj tacy hojni jak dawniej.

– Tak, a to ciekawe – wtrącił Jacek. – Gdyby nie ci ludzie, to z czego opłaciłbyś ten swój pobyt w szpitalu?

– Szczerze przyznam, że liczyłem na więcej. Liczyłem na was, jesteście przecież moją rodziną.

— Toś się przeliczył – odszczeknął Jacek. – Spójrz na siebie, jak ty wyglądasz?! Śmierdzisz na kilometr, ciągle pijesz i jeszcze masz czelność robić nam wyrzuty. Idź do tych koleżków z placu, może oni opłacą twoje leczenie i w ogóle, bo ci dotychczasowi bardzo się na tobie zawiedli. Ze zdziwieniem i niedowierzaniem patrzyli jak trwoniłeś ich pieniądze. Czy uważasz, że znajdzie się ponownie jakiś naiwny, który wpłaci coś na fundację, na ratowanie twego nędznego życia? Wątpię?

– Ci z placu sami ledwo wiążą koniec z końcem, więc chyba nie mogę liczyć na ich wielkoduszność – odpowiedział naiwnie Stefan, nie znajdując w złośliwości syna niczego złego. – Chcecie powiedzieć, że będziecie spokojnie przyglądać się jak idę na dno, jak konam? Za co mnie aż tak nienawidzicie? Co ja wam takiego zrobiłem? – chciał poznać prawdę.

– Jeszcze masz czelność pytać? Pośmiewisko z siebie robisz! Z siebie i z nas! – wygarnęła córka. – Wszyscy wkoło plotkują o tobie i o nas. A co my jesteśmy winni, że wybrałeś taki sposób na życie? Jak mamy ci pomóc?

– Już mówiłem. Potrzebuję pieniędzy na podstawowe środki do życia, że o leczeniu nie wspomnę.

– Miałeś tyle pieniędzy z fundacji. Gdzie one są? Co z nimi zrobiłeś? Nie odpowiadaj, niech zgadnę! Oddałeś na głodne dzieci z Bangladeszu?

– Nie żartuj sobie ze mnie. Pieniądze po prostu się skończyły, ot tak – strzelił wymownie palcami.

– Jeżeli się skończyły, to znalazłeś się w bardzo trudnym położeniu mój drogi.

– W samej rzeczy. Otóż to. Dobrze, że chociaż ty mnie rozumiesz – próbował znaleźć wspólny język z byłą żoną.

– Jeszcze raz powtarzam. Od nas żadnych pieniędzy nie wyłudzisz. Skończyło się. Musisz radzić sobie sam.

– To wasze ostatnie słowo? – spojrzał błagalnym wzrokiem na obecnych.

– Ostatnie i nieodwracalne – rzekła w imieniu wszystkich zebranych Mocna.

– Zdajecie sobie sprawę z tego, że takim postępowaniem wydajecie na mnie wyrok – stwierdził żałosnym tonem.

– Jeszcze, cholera jasna, próbujesz wzbudzić w nas poczucie winy. No to już szczyt bezczelności. Wynoś się do diabła, bo nie ręczę za siebie, czy cię nie

zabiję! – krzyczała rozhisteryzowana Zofia.
– Nawet nie wiesz, jaką oddałabyś mi przysługę. W tej chwili byłby to dla mnie akt łaski – rzekł przybity.

Zdruzgotany Stefan, pozbawiony wszelkich złudzeń opuścił siedlisko Mocnych i nie oglądając się za siebie, z krwawiącym sercem poczłapał w nieznane.

Matka, córka i syn pozostali sami, a z dworu powiało chłodem.
– Ja tego dłużej nie wytrzymam. Kiedy i jak to się skończy? – zadała pytanie Zofia, osuwając się wyczerpana nerwowo na fotel.
– Wkrótce, bardzo wkrótce, pod koniec miesiąca – miała nadzieję Agata.
– Pod koniec miesiąca? – zastanawiała się nad czymś. – O, nie mylisz się młoda damo –kontynuowała po chwili. – Do końca miesiąca mamy się określić co dalej. Lecz jakkolwiek byśmy nie zdecydowali zawsze będziemy pokutować. Z tej sytuacji nie ma dla nas dobrego wyjścia. Jak się nie obrócimy, tak dupa zawsze będzie z tyłu. Pamiętajcie o tym.

Rozdział XXI

Lot do Paryża, którego tak obawiała się Zofia upłynął obojgu podróżnym w bardzo miłej atmosferze. Kilka lampek szampana zdecydowanie ociepliło chłodne z początku stosunki panujące między sąsiadami. Zofia opowiedziała o swoim życiu, Rajmund o swoim i takim to sposobem nad dachami Paryża wiedzieli o sobie na tyle dużo, że mogli bez ogródek nazywać się znajomymi. Przed lotniskowym terminalem czekała zamówiona limuzyna, która zawiozła ich do hotelu położonego w centrum. Zofia zafascynowana miastem, o którym tak wiele słyszała, siedząc w luksusowym aucie, z zainteresowaniem obserwowała życie toczące się na zewnątrz. Rajmund zaś miał inny, o wiele wdzięczniejszy obiekt do obserwacji, a mianowicie Zofię. Drogę z lotniska do hotelu pokonali niemal w milczeniu. Rajmund przyglądając się z zaciekawieniem towarzyszce podróży nie miał serca przerywać jej prywatnego seansu zatytułowanego „Poznaję Paryż". Każda droga, nawet ta najdłuższa kiedyś musi się skończyć. Samochód, wiozący przybyszów z Polski, zajechał na wielki plac przed hotelem. Kiedy rozemocjonowana Zofia wysiadła z auta, oczom jej ukazał się monumentalny, zabytkowy budynek, który przytłaczał przybyszów swym przepychem.
– Jaki piękny i jaki ogromny – zauważyła. – Czy mogę zapytać o nazwę?– Zwróciła się do Rajmunda.
– Ritz Paris – padła krótka odpowiedź.
– Co pan powie? Ależ... Wiele o nim słyszałam. Tutaj zatrzymywały się takie sławy, jak... –zaczęła się wyliczanka.
– Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona z pobytu.

– Słyszałam też, że jest bardzo dr.... – nie skończyła, gdyż Rajmund delikatnie położył palce na jej ustach.
– Droga pani, mam jedną, niewielką prośbę – zwrócił się do towarzyszki podróży.

Oho zaczyna się – przemknęło jej przez głowę.
– Jakąż to? – zapytała ostrożnie.
– Chciałbym, aby na czas pobytu we Francji, wszelkie kłopoty pozostawiła pani poza jej granicami. Umówmy się, że po przekroczeniu bramki na lotnisku, uległa pani krótkotrwałej amnezji. Niech te dni będą beztroskie i radosne.
– Łatwo panu powiedzieć...
– Proszę, bardzo proszę – przerwał.
– Postaram się, chociaż nie będzie to łatwe – obiecywała kobieta.
– Zapewniam, że zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby nie miała pani czasu na uleganie ponurym nastrojom. Umowa stoi? – Rajmund spojrzał Zofii głęboko w oczy.

Ta nie miała siły dłużej się opierać, chociaż w pamięci jej ciągle pozostało, w jakim celu przyjechała do tego pięknego miasta.
Już sama fasada hotelu zrobiła na nieobytej z wielkim światem, Zofii ogromne wrażenie, a z każdym krokiem było coraz gorzej. A może lepiej? Trudno powiedzieć. Rozległy hol, światła, złoto ociekające ze wszystkiego na co spojrzała i ten przepych widoczny na każdym kroku. Taki realny, stojący przed nią otworem, będący do jej dyspozycji. To wszystko dla mnie – pomyślała. Rajmund ukradkiem spoglądał na kobietę zadowolony z efektu jaki wywarł na niej świat, do którego nieśmiało wkraczała. Wszelkie formalności związane z zameldowaniem załatwiał Rajmund, Zofia bowiem, zafascynowana otoczeniem nie miała do tego głowy. Z szeroko otwartymi „oczami" stała oniemiała podziwiając przedsionek raju, niedowierzając, że stoi u jego wrót.
– Proszę za mną – najczystszą polszczyzną zwrócił się boy hotelowy do gości.

Ciągle nieobecna jeszcze duchem Zofia, bezwiednie podążała za głosem podtrzymywana delikatnie pod ramię przez Rajmunda. Drogę przez rozległy hol pokonała na bezdechu, jazdę windą odbyła bez świadomości, na podziwianie apartamentu zupełnie zabrakło jej tchu i tak oszołomiona, zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością. Na szczęście Rajmund zdążył pochwycić ją w ramiona i delikatnie ułożyć na stojącej nieopodal kanapie. Dawno już nie trzymał w ten sposób kobiety. Jej spokojny oddech zmieszany z delikatnym zapachem perfum odurzył go. W przypływie euforii chciał ją skrycie ucałować, lecz ostatkiem sił powstrzymał się i tylko tak patrzył na nią z zachwytem, nie mogąc oderwać wzroku.

Trwaj chwilo, na ciebie czekałem lata – pomyślał. I chwila trwała. Zofia odzyskała świadomość, leżąc na kanapie i mając przed sobą zatroskaną twarz Krakowskiego.

– Czy już pani lepiej? To te trudy podróży i tyle emocji tak wpłynęły na panią.
– Tak, chyba tak – odpowiedziała słabym jeszcze głosem, obserwując nad wyraz trzeźwo, zmieszanego nieco ratownika medycznego.
– Proszę napić się odrobinkę wody – zaproponował mężczyzna. – To na pewno pomoże.

Po kilku łykach, nader szybko zaczęła odzyskiwać wigor. Kiedy już bardziej przytomnie spojrzała na Rajmunda jego zatroskana twarz, pochylona nad nią, wydała się Zofii bardzo znajoma i jakaś dziwnie bliska. Ja te oczy skądś znam – przebiegło jej przez myśl. Rajmund szczerze zafrasowany o samopoczucie towarzyszki podróży, spostrzegłszy, że ta odzyskuje świadomość wyprostował się energicznie.
– Widzę, że wraca pani do siebie – stwierdził lekko zmieszany, niczym złodziej przyłapany na gorącym uczynku.
– Teraz już mi całkiem dobrze, ale pan wygląda jakoś tak mizernie – zauważyła.
– To chyba podobna reakcja na trudy podróży – Krakowski szukał wytłumaczenia dla siebie. – To jest nasz apartament – zmienił temat.
– Nie rozumiem, jak to nasz? Proszę się nie lękać, pani Zofio. Apartament jest wspólny, ale do dyspozycji mamy wiele pokoi.

Przytomniejąca coraz bardziej Zofia rozejrzała się bystro wokół. Komnata, w której się znajdowali była, i owszem, obszerna lecz tego, czego przed chwilą szukała w twarzy współlokatora nie znalazła.
– Co to ma znaczyć, miły panie? – szorstkie pytanie było aż nazbyt wymowne.
– Już mówiłem, w tym apartamencie jest wiele pomieszczeń, w tym sypialni – rozwiał jej niczym nieuzasadnioną troskę o cnotę niewieścią. – Jeżeli życzy pani sobie wynajmę inny apartament, inny hotel, ba w innym mieście – zagalopował się nieborak.
– Proszę dać mi chwilę czasu – podniosła się z leży współlokatorka próbując ukryć swą drobnomieszczańską naturę. – Łazienka? Gdzie jest łazienka? – dopytywała.
– Tam – wskazał wzrokiem kierunek.
– Za chwilę będę gotowa.

Krakowski zorientowany nieco w upodobaniach kobiet do toalet, nie czekając na efekt, dyskretnie skorzystał z drugiej łazienki. Odświeżony, odprężony i oczywiście przebrany, długo jeszcze musiał czekać na swą partnerkę.

Co tam robiła? Jakich czarów użyła? – pozostanie jej tajemnicą. Przyznać należy, że po wielu, wielu minutach wyszła nowa i jakże odmieniona. Już nie zagubiona mieszczka, już nie zakompleksiona prowincjuszka. Z czarodziejskiej łaźni wyszła dama, która mogła brylować na salonach. Nowy image Zofii sparaliżował Rajmunda. Pewny siebie dotychczas Krakowski, stanął jak osłupiały i patrzył z zachwytem.

– Kim pani jest i co pani robi w moim apartamencie? – zapytał. – Chyba pomyliła pani pokoje?

Zaskoczona Zofia nie od razu wiedziała, jak odczytać słowa mężczyzny.
– Panie Rajmundzie, proszę mi wybaczyć, że może zbyt długo trwała ta moja toaleta...
– Toaleta? – przerwał. To nie toaleta to metamorfoza. Piękna pani jest zawsze, ale to co widzę, to zjawisko!

Zaiste warto było czekać – pomyślał, oblizując językiem spierzchnięte nieco wargi. Ten odruchowy niemal gest nie pozostał niezauważony przez kobietę. Zadowolona z siebie i efektu jaki wywarła na znajomym, krokiem wytrawnej modelki zbliżyła się do ciągle oszołomionego Rajmunda. Czarna sukienka opinająca kobiece kształty, sięgająca lekko do kolan doskonale spełniała swoją rolę. Dekolt – co prawda niewielki, uwydatniał jej kobiece walory. Delikatne szpilki wydłużające zgrabne nogi, czyniły ją niemal posągową. Te biodra, te piersi, ta talia. Rajmund oczami wyobraźni widział wszystko to, co skrywała suknia. Stała tak przed nim w pełnym negliżu, a on napawał się jej pięknem. Jej wymyślnie ułożone włosy oraz subtelny makijaż wydobyły z twarzy całe szlachetne piękno jej fizjonomii.

Gdyby Zofia wiedziała, jaką widzi ją Rajmund, mogłaby poczuć się nieco skrępowana, a nawet zawstydzona. Kilkanaście sekund z upodobaniem podziwiał jej boską urodę, po czym wrócił na ziemię.
– Czyżby Francuzi wymyślili takie salony piękności? Patrzcie państwo. Niby zwykła łazienka, a czyni cuda. Czemu tego nie opatentują? – zadał głośno pytanie.
– Pan też w międzyczasie musiał z jakiegoś salonu skorzystać.
– No i jak, udało się? Ciekawe, czy mają dwie wersje, dla kobiet i mężczyzn? – zapytał, stroiąc się w piórka.
– Chyba mają – stwierdziła Zofia arbitralnie patrząc z ukontentowaniem na Rajmunda, bowiem widok jegomościa prezentującego przed nią swoje wdzięki, też nie był jej przykry.

Nie wiadomo dokąd doprowadziłaby obojga ta gra słów, gdyby nie pukanie do drzwi.
– Room service – usłyszeli.

Zofia spojrzała pytającym wzrokiem na Krakowskiego. Rajmund podszedł do drzwi dziękując Bogu za wybawienie. Muszę mieć się na baczności i jak najmniej alkoholu, bo może to się źle skończyć.(to źle, każdy niech rozumie jak chce) Chyba przeceniłem swoje siły – stwierdził pełen obaw o czekającą ich wspólną przyszłość. Do apartamentu wjechał wózek pełen dań, popychany przez uśmiechniętego pracownika obsługi hotelowej. Twarz garsona wydała się Zofii jakaś znajoma. Kiedy kelner przywitał się z gośćmi po polsku Zofia zaniemówiła z wrażenia.

– Dostawa według zamówienia – zapewnił, udając, że nie zauważył zdziwienia, aż nazbyt wyraźnie malującego się na twarzy kobiety.
– Ja, ja pana skądś znam – bąknęła lekko zaskoczona.
– To niemożliwe. Musi mnie pani z kimś mylić – odparł grzecznie.

Zbita z pantałyku Zofia stała przez chwilę bez słowa.
– Dziękuję za dostawę, obsługa nie będzie potrzebna – Rajmund włożył rękę do kieszeni w wiadomym celu, lecz nie zdążył z napiwkiem.
– Jeżeli będziecie państwo czegoś potrzebować, proszę tylko zadzwonić, a zjawię się natychmiast – oferował swe usługi dostawca posiłku.

Kelner dyskretnie, ale trochę nazbyt spiesznie opuścił apartament nie czekając na napiwek. Ten fakt nie umknął uwadze Zofii.
– Mówię panu, ja go znam – utwierdzała się w przekonaniu.
– Proszę nie zaprzątać sobie nim głowy. Przecież to tylko pracownik obsługi – próbował zakończyć ten wątek rozmowy. – Cieszmy się dniem i tymi daniami, które mamy przed sobą. Zanosi się na doskonałą ucztę.

Rajmund podszedł do stolika, nalał szampana, po czym podając lampkę Zofii, zajrzał jej głęboko w oczy. Co chciał osiągnąć takim zachowaniem sam nie wiedział, ale grał.
– Napijmy się – zaproponował.

Kobieta umoczyła usta w szampanie, posmakowała i już chciała komplementować jego wyborny smak, gdy spojrzała na zastawiony stół. Struchlała z przerażenia i oniemiała z wrażenia. Menu zaproponowane przez Rajmunda dalekie było od jej upodobań kulinarnych. Na stole, na pierwszy rzut oka nie znalazła nic, co nadawałoby się, według niej, do spożycia. No może poza pieczywem i alkoholem. Wołający o litość wyraz twarzy Zofii rozbawił Rajmunda, lecz ten zachował zimną krew.
– Pozwoli pani, że będę jej przewodnikiem po słynącej na cały świat, wyśmienitej kuchni francuskiej.

Zofia za żadne skarby nie chciała wyjść na prowincjuszkę, więc tylko ukradkiem przełknęła ślinę i zdobywając się ostatkiem sił na uśmiech, zasiadła do stołu. Niech się dzieje wola nieba – pomyślała. – Skoro inni to jedzą. Potrawy kusiły. Wyglądały przepysznie, a jedyną ich wadą było to, że dla przyszłej degustatorki były całkiem egzotyczne
– Czyż nie wygląda to wszystko wybornie? – zapytał lub stwierdził Rajmund wskazując na dania znajdujące się na stole.

Zofii nie pozostało nic innego jak przytaknąć, ale jej mina zdradzała całkiem inne odczucia.
– Zapewniam panią, że smakują jeszcze lepiej niż wyglądają.
– A zatem popróbujmy tych frykasów – z fałszywym zapałem i przyklejonym uśmiechem zachęcała do degustacji.

Na początek poszły przystawki, o ingrediencje których nie odważyła się zapytać. Tyle nasłuchała się o tych ślimakach, żabach i innym robactwie, z którego słynęła wspomniana już kuchnia, że na samą myśl robiło jej się niedobrze. Może lepiej zrobię jak nie będę wiedziała co jem, łatwiej przełknę – wymyśliła na poczekaniu strategię obrony. Przystawki, wbrew oczekiwaniom Zofii, z każdym kęsem smakowały coraz bardziej, coraz odważniej więc sięgała po drobne niespodzianki znajdujące się na stole, popijając je wybornym winem, którego dotychczas, również nie była smakoszem. Rajmund, przyglądając się z rozbawieniem Zofii, ograniczał rozmowę do informowania, co jest co, jak się nazywa, pomijając składniki. Cierpliwie czekał na tajemnicze działanie reklamowanej w świecie kuchni. Na efekty nie musiał długo czekać. Zofia z każdą chwilą stawała się coraz weselsza i bardziej rozmowna.

– Może przejdziemy do dania głównego – zaproponował Rajmund.

– Jak pan uważa, pan tu dowodzi – zgodziła się z przewodnikiem kulinarnym.

Na środku stołu stał spory półmisek przykryty srebrną pokrywą. Gospodarz uniósł ją delikatnie i w tym momencie na zaskoczoną Zofię spojrzały wybałuszone oczy.

– A czyje to oczy wpatrują się we mnie takim nienawistnym wzrokiem – zapytała zdziwiona.

– Homar. Doskonała rzecz – zachwalał Rajmund.

Cóż przyjdzie zmierzyć się i z tą bestią, zajrzeć w te przepastne oczy – zbierała w sobie siły. Skoro inni to jedzą, mam nadzieję, że i mnie przejdzie przez gardło. Żeby tylko nie zwymiotować, to byłby dopiero wstyd – pomyślała nieco skołowana krążącym w jej żyłach szampanem. A zresztą, teraz jest mi już wszystko jedno – to były te skutki uboczne, których oczekiwał Rajmund. Nałożył Zofii porcję „przerośniętego raka", następnie sobie, po czym zabrał się do degustacji. Z dużymi oporami przyszło Zofii naśladować czynności wprawnego oprawcy owoców morza, ale w ostateczności jakoś sobie poradziła. Pierwszy kęs wkładała do ust ze wstrętem, lecz wysublimowane podniebienie od razu wyczuło wyrafinowany i subtelny smak skorupiaka.

– Czy smakuje pani? – zapytał zaciekawiony Rajmund.

– Czy smakuje? To jest wyborne. W życiu nie jadłam… – zawiesiła głos na chwilkę – tak doskonale przyrządzonego homara.

– Cieszę się, że utrafiłem w gust szanownej pani, albowiem muszę się teraz do czegoś przyznać. Otóż aranżując ten posiłek miałem lekkie obawy á propos menu. Nie śmiałem pytać, czy gustuje pani w tych… – pomyślał chwilę – typowo francuskich daniach – użył eufemizmu, żeby nie być zbyt dosłownym.

– Wybornie pan wybrał. Sama bym tego lepiej nie zrobiła – wino dodawało jej pewności siebie.

– Zgaduję, że do serów ma pani równie wysublimowane podejście?

– Za serami wręcz przepadam – kłamała jak najęta.
– Pozwoliłem sobie zaproponować kilka rodzajów – to mówiąc uchylił rąbka tajemnicy następnej niespodzianki.
– Doskonale pan uczynił, pochyliła się nad półmiskiem wypełnionym zestawem pleśniaków. Do jej nozdrzy dotarł zapach, na który nie do końca była przygotowana. Wyprostowała się natychmiast, a oczy jej zaszły lekką mgłą.
– Z serami rozprawimy się trochę później – zdecydowała, oblizując lubieżnie wargi i przecierając dłonią delikatnie zaszklone oczy.

Na tę wyprawę w nieznane musiała lepiej się przygotować.
– Wedle życzenia – przystał na propozycję Rajmund. – Wczesną mamy jeszcze porę, ledwie szesnasta –zauważył spoglądając dyskretnie na zegarek.
– Tak i co z tego? Czy coś pan jeszcze planuje, proponuje? – zapytała bez ogródek.
– Mam pewien pomysł, ale na krótką chwilę będę zmuszony panią opuścić. To nie potrwa długo, góra godzinę. Mam jedną ważną sprawę do załatwienia w centrum. Bardzo mi na tym zależy, bo na wieczór przygotowałem coś wyjątkowego, niespodziankę.
– O, intryguje mnie pan. Może kilka słów podpowiedzi – zbliżyła do Rajmunda lekko maślane oczy.
– To już nie byłaby niespodzianka – zauważył mężczyzna, – na niespodzianki warto poczekać.
– W takim razie proszę się mną nie przejmować. Jakoś zorganizuję sobie czas.
– Czy na pewno nie będzie miała mi pani za złe, że ją opuszczę na tych kilka chwil? – dopytywał. – Jeszcze nie wyszedłem, a już za panią tęsknię – ucałował jej dłoń na pożegnanie.
– Proszę iść szybko i wracać jeszcze szybciej, czy jakoś tak – powiedziała bardzo rozluźniona krążącym w jej żyłach winem.

Zofia sprawiała wrażenie nieco upojonej atmosferą spotkania.
– W takim razie do zobaczenia za godzinę.

Po wyjściu Krakowskiego Mocna odczekała chwilkę, po czym podążyła w jego ślady. Po co to zrobiła? Po co go śledziła? Co chciała osiągnąć? Tego nie wiedział nikt, nawet sama zainteresowana. Rozejrzała się uważnie po korytarzu, a nie dostrzegając nikogo, szybkim krokiem udała się do windy. Nie musiała długo czekać, gdyż jakimś dziwnym zrządzeniem losu ta zjawiła się jak na zawołanie. W holu wypełnionym ludźmi nie od razu zlokalizowała Rajmunda. Gdyby spóźniła się o kilka sekund, z pewnością zgubiłaby trop, bowiem śledzony obiekt właśnie wychodził z hotelu.

Jak zamówi taksówkę to wszystko na nic. Wybiegłam z pokoju tak szybko, że zapomniałam zabrać ze sobą chociażby torebkę – uprzytomniła sobie. O powrocie do apartamentu nie było mowy. Krakowski ani myślał wołać taksówkę. Spacerowym krokiem, dziwnie zadowolony z siebie, zmierzał do wyznaczonego

sobie celu meandrując maleńkimi uliczkami miasta. Zofia kompletnie nie konsultując swoich zachowań z rozumem, wpatrzona w plecy Rajmunda coraz bardziej oddalała się od swojej bezpiecznej przystani. Po kilkunastu minutach obserwowany mężczyzna wszedł do niewielkiej restauracji. Przez sporą witrynę ujrzała, jak przysiada się do nieznajomego typka, odwróconego niestety do niej plecami. Knajpka była zbyt mała, żeby mogła wejść do środka niezauważona. Jedyne co jej pozostało, to zająć dogodną pozycję po drugiej stronie ulicy i czekać. Czas dłużył się jej niemiłosiernie, a Krakowski nie wychodził. Przecież musi zaraz wyjść, jest za kwadrans siedemnasta, a on nigdy się nie spóźnia – dedukowała. Ale co ja mu powiem, kiedy wróci i nie zastanie mnie w pokoju? Coś tam wymyślę, powiem, że spacerowałam, a co to nie wolno mi? – tłumaczyła się przed sobą. – Mogłam przecież zabłądzić, to duże miasto.

Wybiła siedemnasta, a Rajmund nie wychodził. No już ja mu powiem do słuchu jak wróci do hotelu! – Zofia dyskretnie podeszła pod okno restauracji, ale stolik, przy którym siedzieli mężczyźni był pusty. Co było robić, wśliznęła się dyskretnie do środka, zlustrowała salę, lecz poszukiwanego obiektu nie uświadczyła. Postała chwilę osłupiała ze zdziwienia, po czym podjęła decyzję o powrocie. Wracać, ale jak? Którędy? Z wolna zaczęło do niej docierać, w jak nieciekawym znalazła się położeniu. Cały czas szłam krok w krok za Rajmundem z wlepionymi w jego plecy oczami i nie zwracałam najmniejszej nawet uwagi na drogę. Nieźle się wpakowałam – pojęła swoje położenie. Co robić? – szukała rozwiązania. Zaczepiać ludzi, pytać, ale jak pytać? – z językami obcymi była na bakier. Tyle razy obiecywała sobie, że się weźmie za angielski, lecz słomiany zapał szybko wygasł, a teraz, chociaż podstawy przydałyby się. Nie czas na wyrzuty – lekko zła na siebie zakończyła rozmyślania. Na próżno próbowała przypomnieć sobie przebytą drogę. Każde wyjście jest dobre, tylko dokąd mnie zaprowadzi – zastanawiała się. W końcu wybrała, szła przed siebie, bez wiary w powodzenie. Odejdę kilka przecznic od tej kafejki, a później zadzwonię. Do Ritza chyba każda knajpa ma telefon. Tak, tak trzeba zrobić – zdecydowała, byle odejść stąd na bezpieczną odległość. Kilkanaście minut kluczyła uliczkami miasta, aż wreszcie doszła do wniosku, że znajduje się na tyle daleko, że Krakowski niczego nie skojarzy, kiedy przyjedzie po nią taksówką. Przy skrzyżowaniu dwóch niewielkich uliczek zauważyła małe bistro sprawiające całkiem sympatyczne wrażenie.

Wejdę – zdecydowała. Muszę spróbować – dodawała sobie otuchy. Weszła do środka, w pomieszczeniu było kilka osób. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Podeszła do baru, za którym krzątała się młoda barmanka. W zakamarkach pamięci znalazła obco brzmiące słowa, z których postanowiła skorzystać.

– Aj, telepfon, Hotel Ritz – to jedyna korzyść, jaką odniosła z oglądania durnych anglojęzycznych seriali, tych kilka słów, które zapadły jej w pamięć, chociaż i

bez tego zwroty te należą do kanonu uniwersalnego słownictwa. Dziewczyna nie bardzo rozumiała o co chodzi klientce, co dało się zauważyć po jej pytającym wzroku. Zofia jeszcze raz nieśmiało powtórzyła prośbę używając tym razem rąk do tłumaczenia.

– Aj telepfon, Hotel Ritz, no monej – bezradnie podniosła ręce do góry próbując gestami zobrazować swoją kłopotliwą sytuację.

Barmanka krzyknęła coś do osoby znajdującej się najwyraźniej gdzieś w pobliżu, bowiem, po chwili, w drzwiach prowadzących z baru na zaplecze pojawił się mężczyzna. Dziewczyna przez krótką chwilę coś tłumaczyła. Jedyne słowa, jakie zrozumiała Zofia to telefon i Ritz. Francuz podszedł do Zofii, lubieżnym wzrokiem zlustrował ją od stóp do głów, po czym przybliżył się na tyle, że poczuła jego oddech na swojej szyi. Wyciągnął rękę w jej kierunku próbując dotknąć jej piersi. Takiego upokorzenia było już za wiele.

– Spierdalaj dziadu – wycedziła przez zęby, po czym energicznym ruchem odepchnęła ręce amatora jej wdzięków.

Pokonując drogę powrotną od kontuaru do drzwi wyjściowych przeklinała w sobie tylko, tak się jej zdawało, znanym języku. Wyszła przed kawiarnię, stanęła wściekła jak osa urażona afrontem, jakiego doznała ze strony mężczyzny i ciężko dyszała. Myślałam, że Francuzi są dżentelmenami, myliłam się – zweryfikowała swoje poglądy. Ponownie usiłowała pozbierać myśli, gdy usłyszała za plecami ojczystą mowę.

– Nie przejmuj się tym starym capem.

– Jak mam się nie przejmować, potraktował mnie jak tanią dziwkę – odpowiedziała automatycznie.

– Co fakt to fakt – potwierdził kobiecy głos posługujący się „ludzką" mową.

W jednej chwili Zofia oprzytomniała. Natychmiast odwróciła się w stronę głosu. Za nią, a może przed nią, stała młoda, uśmiechnięta dziewczyna, której obce były zgryzoty zaginionej Zofii.

– A pani to kto? – zapytała zaskoczona.

– Małgorzata. Mieszkam tutaj od lat.

– Z nieba mi spadłaś dziewczyno – wykrzyknęła uradowana. – Wyobraź sobie, że w tym mieście nikt nie posługuje się normalnym językiem... To znaczy nie mówi po polsku.

– Oj mówi, mówi. Nawet pani nie zdaje sobie sprawy jak wielu. W kawiarni usłyszałam co nieco, ale nie do końca zrozumiałam o co chodzi. Jaki ma pani problem? W czym pani pomóc? – zapytała.

Zofia trochę przeinaczając fakty pokrótce opowiedziała, co jej się przydarzyło.

– Trochę cię poniosło kobieto – zauważyła żartobliwie Gośka.

– Pomożesz mi jakoś wrócić do hotelu? Odwdzięczę się.

– Nie ma potrzeby – odpowiedziała lekko urażona. – My Polacy musimy sobie pomagać na obczyźnie, czyż nie?
– Jak najbardziej. Lecz słyszałam z wielu ust, że nie jest to zbyt powszechna praktyka wśród potomków Piasta.
– Szkoda gadać, wiem coś o tym, ale nie ma co narzekać. Tutaj niedaleko jest postój taksówek, za kilka minut będziesz w hotelu.
– Ale widzisz, nie mam przy sobie pieniędzy – zastrzegła Zofia.
– Ja zapłacę, a ty mi później zwrócisz. Możemy się tak umówić?
– Ależ oczywiście.
– A, tak w ogóle, to nawet dobrze się składa, bo mam tam do załatwienia pewną ważną sprawę, którą odkładam w nieskończoność.
– Doskonale! – ucieszyła się Zofia.

Podróż taksówką ulicami Paryża trwała nieco dłużej niż piesza wycieczka zbłąkanej owieczki. Małgorzata, znająca dobrze miasto, opowiadała to i owo o historii, zabytkach i atrakcjach z jakich należałoby skorzystać goszcząc w nim. Krótka, z założenia, przejażdżka trwała niemal godzinę. Przez ten czas Zofia posiadła taką wiedzę, że następnego dnia mogłaby zatrudnić się jako przewodnik po Paryżu. Zasłuchana w opowieść Małgorzaty dotyczącą historii miasta Mocna, nawet nie zauważyła kiedy dotarli na miejsce.
– To już tutaj, wysiadamy – przywróciła ją do rzeczywistości przewodniczka.
– Ureguluj należność, proszę i daj odpowiedni napiwek. Obiecuję, że za chwilę wszystko zwrócę. Zapraszam do mnie, do hotelu.

Hol, winda, korytarz, apartament. Zofia próbuje otworzyć drzwi, ale te są zamknięte. Zdenerwowana zaczyna desperacko szarpać za klamkę – i nic. Co u licha? – nerwowo kołacze piąstkami do wrót raju, a tu nie wpuszczają.
– Uspokój się – próbuje łagodzić histerię Zofii Małgorzata.
– Recepcja, tak recepcja, tam na pewno będą coś wiedzieć.

Z błyskiem szaleństwa w oczach pomknęła w przeciwnym kierunku. Korytarz, winda, hol, recepcja. Rozemocjonowana Zofia niemal podbiega do kontuaru i nagle stanęła jak wryta. Bariera językowa ciągle stanowi problem. Ten język, ten cholerny język! – na szczęście, po kilku minutach, do Zofii dołączyła tłumaczka.
– Małgorzato, zapytaj proszę, czy nie zostawiono jakiejś wiadomości dla numeru 415?
– Owszem jest wiadomość dla pani Zofii Mocnej – odpowiedziała recepcjonistka.

Zofia o mało nie padła z wrażenia.
– To pani mówi po polsku.
– Jak wiele innych osób w tym hotelu. To taka polska mafia, ale niech pani tego głośno nikomu nie mówi – zażartowała dziewczyna zza lady.
– A to dobre! A ja sądziłam, że posługując się naszym językiem z nikim w tym

mieście nie dogadam się.
– Zdziwiłaby się pani jak wielu naszych rodaków mieszka w Paryżu.
– No dobrze kochaniutka. Podaj mi tę wiadomość – obcesowo przerwała towarzyskie pogaduszki Zofia. Zniecierpliwiona, drżącymi ze zdenerwowania palcami otworzyła kopertę.

Czekałem. Martwię się o panią. Wyszedłem na poszukiwania. Nr komórki .....

Klucz, hol itp., aż do drzwi apartamentu. Małgorzata ledwo za nią nadążała. Mocna, zapominając na chwilę o dobrych obyczajach, pomknęła do sypialni, gdzie znajdował się telefon. Nerwowo wybrała numer – jeden sygnał, drugi, po trzecim wyszła z siebie. *Wrong number...* – usłyszała w słuchawce obojętny kobiecy głos.
– No ja chyba się zabiję – składała obietnicę, cała rozemocjonowana.
– Co się dzieje? – zapytała lekko przerażona Małgorzata.
– No nie mogę się dodzwonić.
– Nic dziwnego, przecież jesteś we Francji, a dzwonisz jak w Polsce.
– Że niby co? Że tutaj to telefon trzyma się do góry nogami, albo numery wybiera od tyłu – zapytała wyraźnie poirytowana.
– Takich rzeczy nawet Francuzi nie praktykują na co dzień, ale należałoby dopisać prefiks. Nieprawdaż?
– Jaki prefiks? Ja już mam tego wszystkiego dosyć! Ja chcę wracać do kraju – zakomunikowała w akcie desperacji.
– Przestań się denerwować i zacznij myśleć.

Zofia osunęła się na łóżko, przykryła twarz dłońmi i na chwilę zamarła w bezruchu. To te emocje, za dużo wrażeń, jak na jeden dzień – tłumaczyła się tak przed sobą, jak i znajomą. Chwilę refleksji przerwał dzwonek telefonu, dobiegający z komórki Zofii. Wiedziała kto dzwoni. Rozmowa była krótka. Ale co mówił Rajmund pozostanie jej tajemnicą. Na zakończenie zapewniła jedynie, że jest i czeka. W końcu mogła odsapnąć, kamień spadł jej z serca – tylko wstyd pozostał.
– Najmocniej cię przepraszam, Małgorzato. Tyle mi pomogłaś, a ja odgrywam przed tobą takie sceny.
– Nie przejmuj się mną. Masz dosyć własnych kłopotów – uspokajała dziewczyna.
– Miałam, ale dzięki tobie jakoś z nich wybrnęłam. Jestem ci niezmiernie wdzięczna i zobowiązana. Za chwilę przyjdzie mój... – chwilę zastanawiała się – mój towarzysz podróży. Wiesz co? Mam pomysł. Może wybralibyśmy się wieczorem poczuć atmosferę Paryża? Ja zapraszam.
– Wybacz, ale dzisiaj nie mogę. Jeżeli już to może jutro – zaproponowała Małgorzata.
– Jutro? No tak jutro. Pewnie, że jutro – zgodziła się. Będziemy mogli lepiej się

przygotować.

Panie zaabsorbowane układaniem planów na dzień następny, nie zauważyły, jak i kiedy do pokoju wszedł Rajmund.

– O widzę, że zguba nie tylko się nie zgubiła, ale jeszcze kogoś znalazła – zagaił wesoło, ale nieco sarkastycznie mężczyzna.

– O, Rajmundzie jesteś. Zofia nie zauważyła pod wpływem emocji, a może innych powodów, jak przeszła z Krakowskim na ty. Nawet sobie nie wyobrażasz, co mi się dzisiaj przytrafiło. Otóż ..... – stek kłamstw przygotowany na własne potrzeby brzmiał aż nazbyt dramatycznie. Z zajścia w kawiarni uczyniła niemal próbę gwałtu.

– Ty wyobrażasz sobie.... żeby w cywilizowanym kraju takie rzeczy się działy? Gdyby nie ta młoda dama, to nie wiem, co by się ze mną stało. Chyba przyszłoby mi nocować na ławce w parku – żaliła się na swój nieszczęsny los.

– O, takich sytuacji radziłabym wystrzegać się ze wszystkich sił. Te miejsca zarezerwowane są dla kogo innego – przestrzegała Małgorzata.

– Wybaczcie proszę – zreflektowała się niedawna zagubiona. Jeszcze was sobie nie przedstawiłam.

Dokonała prezentacji.

– Miło mi panią poznać. Rajmund podszedł do dziewczyny i serdecznie uścisnął jej dłoń.

Uważny obserwator zauważyłby, że może nazbyt serdecznie.

– Wdzięczny jestem za wybawienie, (zastanowił się przez chwilę jakiej formy użyć) Zofii z tych niewiarygodnych opresji. Jestem pani dłużnikiem.

– To błahostka, nie było aż tak źle jak ...

– Ty wyobraź sobie – przerwała poszkodowana, że gdyby nie interwencja Małgorzaty to mogłam być nawet zgwałcona – nieprawdaż – szukała potwierdzenia swych słów u wybawicielki.

Zaskoczona Małgorzata przez chwilę nie wiedziała co powiedzieć i co myśleć o całej tej sytuacji. Czuła, że jest wmanewrowywana w jakąś grę, której reguł nie znała.

– Nie było aż tak strasznie, a moja rola ograniczyła się jedynie do...

– Jesteś zbyt skromna, Małgosiu.

Zofia podeszła do dziewczyny, ujęła jej rękę i spojrzała porozumiewawczo. Co to miało znaczyć? Jak miała rozumieć to nieco dziwne zachowanie? Małgorzata nie nadążała. Ta jeszcze niedawno zagubiona, bezradna kobieta w jednej chwili przepoczwarzyła się w intrygantkę.

– Miłe panie, tak sobie pomyślałem, że dobrze byłoby spotkać się wieczorem i przypieczętować tę szczęśliwą znajomość.

– Już to proponowałam Małgorzacie, ale niestety nie ma dzisiaj czasu. Wspominała, że bardzo się spieszy. Zwrócę jej za taksówkę, za fatygę i dłużej nie

będziemy jej zatrzymywać – najwyraźniej chciała pozbyć się dziewczyny w tym momencie. Stała się niewygodna.

W co ona gra? Czemu tak się zachowuje? – zastanawiała się Małgorzata. A jeszcze tak niedawno sprawiała wrażenie takiej miłej osoby – pomyślała ze smutkiem.

– A tak, tak umówiona jestem na wieczór z moim przyjacielem – wymyśliła na poczekaniu kłamstwo potwierdzające tym samym słowa Zofii.

Małgorzata spojrzała odruchowo na zegarek.

– O to już tak późno się zrobiło. Zasiedziałam się trochę, jestem prawie spóźniona.

Zofia niczym błyskawica pomknęła po pieniądze, nie dając najmniejszej szansy Rajmundowi dojść do głosu. Ten jedynie na odchodne zdążył wspomnieć o ewentualnym spotkaniu następnego dnia.

– Zastanowimy się nad tym, a teraz pozwolisz, że odprowadzę Małgorzatę? – zapytała pro forma.

Skinienie głowy Rajmunda, wystarczyło. Zofia uczyniła więcej niż do niej należało, bowiem z sobie tylko znanego powodu, wyprowadziła Małgorzatę aż na korytarz.

– Przepraszam za moje zachowanie, za moje słowa, ale widzisz, to wszystko nie jest tak jak wygląda. Wiem, że nic nie rozumiesz. Jak nadarzy się okazja, to ci wszystko wytłumaczę, ale nie teraz. Nie oceniaj mnie zbyt pochopnie – tłumaczyła się na szybkiego Zofia.

– Proszę, już nic nie mów. Odnoszę jednak wrażenie, że ten stary cap miał trochę racji – upokorzyła znajomą.

– Ile ci jestem winna – zapytała lodowatym głosem.

– Za fatygę nic – spojrzała smutnym wzrokiem na sympatyczną z pozoru krajankę, – a za taksówkę 50 euro.

– Poczekaj, a co z jutrzejszym dniem?

Małgorzatę zamurowało.

– Jutro nie ruszę się na krok z domu, żebym broń boże nie musiała nikogo wyciągać z opresji.

Upodlona Zofia nie odpowiedziała nic na słowa Małgorzaty. Stan jej wzburzenia odczuły jedynie nieszczęsne drzwi, które mimo licznych zabezpieczeń zajęczały z bólu, gdy Zofia pociągnęła je za sobą.

– Zabawna sytuacja z tym moim zaginięciem – z uśmiechem na ustach zagaiła wchodząc do pokoju. Na potrzeby dramatu, który odgrywała przed Krakowskim, przybrała kolejną pozę. – W plątaninie tych wszystkich podobnych do siebie uliczek straciłam orientację.

– Martwiłem się o panią, ciebie – spojrzał pytającym wzrokiem na nieco zmieszaną Zofię.

– Szampan? – spojrzała przymilnym wzrokiem na Rajmunda. – To chyba dobra

okazja do wypicia bruderszaftu, nie uważa pan? – zapytała, pierwsza wyciągając rękę.
– Sądzę, że lepsza się nie nadarzy.
Formalności stało się zadość.
– Mieliśmy popróbować wyrobów, z jakich słynie Francja – przypomniał Rajmund.
– A tak – zgodziła się Zofia nie mając zielonego pojęcia do czego nawiązuje.
– Jaka szkoda, że Małgorzata musiała tak nagle nas opuścić – ubolewał. Ona tak … spieszyła się, że nie zdążyłem zaproponować jej wspólnej degustacji serów, a zapewniam, że są przepyszne.
– Wielka szkoda – udawała zmartwioną Zofia.
– Rozumiem, że jesteśmy umówieni na jutro? – bez cienia sarkazmu w głosie zapytał Rajmund. – Musimy się przecież jakoś jej odwdzięczyć za obronę twej czci niewieściej. Czyż nie?
Katusze zadawane przez Rajmunda zagubionej Zofii były aż nazbyt bolesne, ale nie miał litości.
– Wyobraź sobie, że plany Małgorzaty trochę się zmieniły i nie będzie niestety mogła towarzyszyć nam w jutrzejszej wycieczce – brnęła w kłamstwie.
– A to szkoda, wielka szkoda – zmartwił się Rajmund. – W takim razie zwiedzać będziemy tylko we dwoje. Może to i lepiej?
– Może – potwierdziła nieśmiało.
– Wiesz co, Zofio? Mam pomysł.
– Otwarta jestem na wszelkie propozycje – słucham.
Zofia gotowa była zrobić wszystko, byle tylko zatrzeć nienajlepsze wrażenie jakie spowodowała swoim zniknięciem.
– Co byś powiedziała na nocną eskapadę po Paryżu. Ponoć nocne życie Paryża od dawna wpisane jest na listę atrakcji turystycznych miasta. A co tam miasta, na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego – poszedł po całości. – Odwiedzimy kilka lokali, pooddychamy atmosferą nocnego życia, zabawimy się.
Rajmund już oczami wyobraźni widział te knajpy, te bary, te parkiety i ich dwoje zanurzonych w oparach dymu, alkoholu i seksu. Puścił wodze fantazji, poczuł w nozdrzach ten wyuzdany klimat nocnego lokalu, a pod palcami ciepło kobiecego ciała. Bezwiednie wyciągnął ramiona w geście zapraszającym partnerkę do tańca, ta zaś zaskoczona nader osobliwym zachowaniem, powściągliwego zazwyczaj towarzysza, zastygła w bezruchu nie rozumiejąc co się dzieje. Ocknęła się kiedy lubieżne macki Rajmunda sięgnęły jej niewinnego ciała.
– Rajmundzie, co z tobą? Rajmundzie – pytała na wpół zaskoczona, na wpół zaintrygowana Była *Między ustami a brzegiem pucharu*.
Odurzony perspektywą wspólnego wieczoru wizjoner potrzebował

znacznie silniejszych bodźców aniżeli skrzekliwe, zadawane nienaturalnym głosem pytania niewinnej istoty, jaką naonczas zdawała mu się być Zofia. Ta wymarzona, jedyna, kochana. Zastygł na moment zatrzymany w klatce czasu zastanawiając się kto zrobił mu to zdjęcie?

Przyłapany na gorącym, zmieszany jak sztubak, chciał coś powiedzieć, ale pojął, że każde słowo byłoby zbędne.

– Wybacz, ale na dzisiaj mam dosyć wrażeń – sprowadziła rozmarzonego, niedoszłego kochanka z obłoków na ziemię Zofia Mocna. – Zostańmy w hotelu. Proszę.

– Jak sobie życzysz – przystał na propozycję partnerki wielce niepocieszony z obrotu sprawy Rajmund. – Ale na kolację do restauracji hotelowej dasz się namówić? – próbował utargować cokolwiek.

– Do hotelowej z przyjemnością – zgodziła się, bez obaw o niewieścią cnotę, słaba kobieta. – O której?

– Myślę, że 22.00 będzie w sam raz.

Do umówionej godziny pozostało jeszcze sporo czasu więc Zofia udała się do swojej sypialni na zasłużony odpoczynek, Rajmund zaś, korzystając z okazji, opuścił apartament w celu załatwienia kilku ważnych spraw nie cierpiących zwłoki. Był przecież biznesmenem.

* * *

W ustronnej, przytulnej hotelowej kawiarence przy niewielkim stoliku siedziały dwie osoby. Z ich usposobienia oraz zachowania można było wnioskować, że są w doskonałych humorach. Młoda dziewczyna i pan w średnim wieku, ale całkiem jeszcze do rzeczy, prowadzili ożywioną dyskusję Co jakiś czas któreś z nich wybuchało śmiechem. może nawet nazbyt głośnym, co zwracało uwagę siedzących obok gości. Po kilku minutach do wesołej pary dołączył kolejny mężczyzna.

– Witam państwa – rzekł, dostosowany usposobieniem do obecnych Rajmund. – Miło was znów widzieć.

Siedzący przy stoliku zerwali się ze swoich miejsc i rzucili przybyszowi na szyję. Sposób powitania tej trójki świadczył o zażyłości ich wzajemnych stosunków. Rajmund dosiadł się do stolika i z zaciekawieniem włączył się do ożywionej rozmowy.

– Czy opowiadała ci już Gosia o Zofii – zapytał mężczyzna.

– No nie, bo nie było okazji – odrzekł przybysz.

– Czy wszystko idzie po naszej myśli? – dopytywała wesołym głosem dziewczyna. –Tak! Sądzę, że tak! Posłuchaj.

Małgorzata dość długo, bo z najdrobniejszymi detalami zrelacjonowała

historię spotkania z Zofią. Jej fabularyzowana nieco opowieść, często przerywana salwami śmiechu, dla postronnego obserwatora mogła wyglądać niesmacznie. Z zachowania trojga znajomych należało wnioskować, że doskonale bawią się kosztem nieobecnej.

– Kto by pomyślał, że taka z niej lawirantka – wyraziła swoje spostrzeżenie młoda osóbka. – W jednym momencie zagubione dziecko we mgle, a za chwilę intrygantka. No, no. Nigdy bym się po niej tego nie spodziewała. Ty musisz na nią uważać – przestrzegała znawczyni niewieściej natury, domorosła pani psycholog.

W co ona gra? – zastanawiali się wszyscy.

– Może coś podejrzewa? – poddał pod rozwagę taką ewentualność, mężczyzna.

– To, że się czegoś domyśla to pewne, tylko czego? Sądzę, że wkrótce się dowiemy – zapewniał Rajmund. Słuchajcie uważnie. O 22.00 jestem umówiony z Zofią na kolacji, więc zrobimy tak... – Rajmund szczegółowo wyłuszczył wspólnikom plan działań.

* * *

Zaraz po 21.00 wrócił do apartamentu. Szczęśliwie Zofia krzątała się jeszcze w łazience, więc ten korzystając ze sposobności, wśliznął się niepostrzeżenie do drugiej celem przygotowania się do kolacji. Musiała już wziąć tusz– pomyślał, bowiem spod prysznica nie dochodziły odgłosy cieknącej wody – Muszę się spieszyć. Około 21.30 kobieta była w pełni gotowa na spotkanie z nocnym życiem Hotelu Ritz, ale o zgrozo, nie mężczyzna. Z wolna zaczynała się niecierpliwić, a Rajmund nie opuszczał łazienki. Kto by pomyślał żeby chłop tyle czasu poświęcał na toaletę? – wyrzucała metroseksualnemu współlokatorowi nadmierne guzdranie się. Z ust niejednego faceta nie raz słyszano podobne zarzuty, ale żeby z kobiecych? Dokąd zmierza ten świat? Amatorka nocnych wrażeń oraz koneserka kuchni francuskiej musiała jeszcze trochę poczekać i przy okazji podąsać się zanim wyszykowany partner ukazał się jej w pełnej krasie.

– Wybacz Zofio – zaczął od drzwi, – że kazałem na siebie tak długo czekać, ale jakoś tak wyszło. Interesy. Sama rozumiesz? –krętaczył – A wiesz, kiedy ty poszłaś się odświeżyć, zadzwonił do mnie ten dawny znajomy Adama i twojego byłego.

– I co, i co? – dopytywała zniecierpliwiona.

– Zaproponował spotkanie. Za godzinę umówieni jesteśmy w restauracji na dole.

– To wspaniale – oznajmiła podekscytowana wizją poznania dawnego kolegi tajemniczego Adama Wiele obiecywała sobie po tym spotkaniu.

– Tylko widzisz, ja go nie znam. Ale ty ponoć tak?

– No wiesz? Wszystko to coraz bardziej staje się pogmatwane i zawiłe. Strasznie dużo jest w tym wszystkim dziwnych przypadków, zbiegów okoliczności.

– Nie powinnaś dziwić się Zofio. W końcu sprawa dotyczy twojego męża i

jego przeszłości. Aaa, a przecież ty stanowisz jej nieodłączną część – tłumaczył Rajmund.
– No niby tak – zgodziła się z argumentacją.
– Czy ty wiesz kto to taki? Jak się nazywa? – dopytywała.
– Nazywa się Jan Nowicki. To wszystko co o nim wiem.
– Jan Nowicki? – zastanawiała się przez chwilę. – Nie, nic mi to nazwisko nie mówi – odrzekła.
— Może coś pokręciłem – powiedział na swoje usprawiedliwienie mężczyzna spoglądając z lubością na kobietę.

Rajmund ani chciał, ani mógł oderwać wzrok od Zofii.
– Jakaś ty piękna – wybąkał z zachwytu. – Czy bardzo bolało jak spadłaś z nieba? – posilił się tym niezbyt wyszukanym komplementem. W tej chwili na nic innego nie było go stać, a chciał zmienić temat rozmowy.
– Dziękuję, ale chyba trochę przesadzasz – udawała speszoną. – Ty też wyglądasz jakoś inaczej niż zwykle – zauważyła, patrząc zalotnie na mężczyznę.

Rajmund nie bardzo wiedział jak odczytać słowa Zofii, bowiem w tym momencie był chyba bardziej speszony niż ona.
– Już prawie dziesiąta, czas zejść na kolację – przypomniał wymijająco.

Le diner był wyśmienity i przyznać należy, że Zofia zagustowała w tej wykwintnej, aczkolwiek specyficznej kuchni. Godzina, jaką mieli dla siebie, minęła nie wiadomo kiedy. Rajmund miał właśnie wznieść toast, gdy niespodzianie przed ich stolikiem pojawił się jakiś mężczyzna. W pierwszej chwili sądzili, że to kelner, lecz ten odezwał się do nich w rodzimym języku.
– Najmocniej państwa przepraszam – przerwał rozmowę rozweselonej parze. – Czy my nie byliśmy umówieni na dzisiejszy wieczór?
– Jeżeli nazywa się pan Jan Nowicki to tak – odrzekł Rajmund wstając z krzesła.
– We własnej osobie. A pani, pani Zofio powinna mnie pamiętać z dawnych lat. Tylko, że pod innym nazwiskiem.

Spojrzała uważnie na przybysza.
– A tak, już sobie przypominam, pan nazywał się... Niech mi pan nie podpowiada – przez chwilę szukała w pamięci nazwiska mężczyzny. – Już wiem... – znów zawiesiła głos. Tajemniczy przybysz w porę przerwał Zofii.
– Proszę mi wybaczyć, ale wolałbym pozostać przy Nowickim. Pod tym nazwiskiem wszyscy mnie tutaj znają i nie chciałbym tego zmieniać. Rozumie pani? – przy stoliku powiało grozą.

Zofia nic nie rozumiała, bo i czemu miałaby, ale na wszelki wypadek przytaknęła.
– Jak pan sobie życzy – jeszcze raz przyjrzała się uważnie mężczyźnie. – A to pan! – w jednej chwili rozpoznała kelnera, który dostarczył obiad do apartamentu.
– Pan przecież jest...

– Tak to ja, ale, na Boga, ciszej. O tym też nie chciałbym rozmawiać.
– Bardzo pan tajemniczy – panie Janie.
– To długa historia, ale powoli do tego dojdziemy. Widzi pani, gdyby nie naciski pewnych osób nigdy nie doszłoby do tego spotkania. Czyż nie tak? – zwrócił się z pytaniem do Rajmunda.

Zofia miała wrażenie, że gra w jakimś filmie szpiegowskim.

– Proszę mi wybaczyć – zreflektował się Rajmund – my jeszcze nie znamy się – tu nastąpiła kurtuazyjna wymiana personaliów. – Bardzo proszę spocząć z nami – zaprosił stojącego ciągle przy stoliku gościa. – Nawet nie wyobraża pan sobie, jak trudno było pana odnaleźć – zagaił niezwłocznie Rajmund.
– Widać nie tak trudno, skoro panu… ci – się udało.
– Poruszyłem niebo i ziemię, a to z tej przyczyny, że ta oto pani pragnęłaby dowiedzieć się kilku rzeczy i wyjaśnić kilka spraw związanych z przeszłością jej męża i jego tajemniczego znajomego.
– Słucham zatem. Jak i w czym mogę pomóc?
– Panie Janie… – zaczęła.
– Wystarczy Janie.
– Janie – poprawiła się, – chciałabym dowiedzieć się czegoś o niejakim Adamie, starym znajomym mojego byłego męża Stefana Mocnego. Czy wiesz o kim mówię?
– Tak wiem – potwierdził przybysz, sprawiający wrażenie niechętnego do zwierzeń.
– Chciałabym dowiedzieć się, co takiego zaszło w przeszłości, że z serdecznych przyjaciół, stali się dozgonnymi wrogami?
– Nie wszystko mogę ujawnić, ale co nieco ci powiem. Sama rozumiesz? – Nowicki ciągle zwracał się do Zofii w jakiś tajemniczy i dwuznaczny sposób.
– Tak, tak – przytaknęła zrezygnowana, ciągle niczego nie rozumiejąca Zofia.
– Otóż widzisz, kiedyś razem, Adam Stefan i ja pracowaliśmy w jednej instytucji. Jeździliśmy dużo po świecie przez co spędzaliśmy ze sobą wiele czasu. Jak by ci to wytłumaczyć…? – zastanawiał się. – Praca to jedno, a życie to druga strona medalu. Pewnego razu pojawiła się między nami kobieta, bardzo atrakcyjna kobieta i…
– Czyli chcesz powiedzieć, że poszło o kobietę? To takie banalne.
– No w gruncie rzeczy o kobietę. Ale czy to banalne? Każda miłość jest wyjątkowa, nie ma banalnej miłości. Banalne mogą być związki zawierane dla kariery, dla pieniędzy, sławy…, ale miłość? Ta jest zawsze wyjątkowa i niepowtarzalna.

To co przytrafiło się tym trojgu, na swój sposób było piękne, ale jakże tragiczne w skutkach. Mało to razy w przeszłości zdarzało się, że w jednej dziewczynie zakochiwali się przyjaciele? I jak to się zwykle kończyło? Ich przypadek nie był jakiś szczególny – po prostu trochę pogmatwana miłość

zaczęła kierować ich życiem. Tak czy owak, konsekwencje ich związku były brzemienne, dosłownie brzemienne, w skutkach. Jednak wkrótce za złamanie fundamentalnych zasad kodeksu pracy panowie zostali zwolnieni dyscyplinarnie ze swych stanowisk i pozbawieni wszelkich apanaży. Z uwagi na specyficzny charakter pracy drogi ich na zawsze rozeszły się.

– No właśnie, nie tak do końca na zawsze – zaprzeczyła. – Niedawno ponownie skrzyżowały się, A ja z moimi dziećmi odczułam to najdotkliwiej. Zostaliśmy wmanewrowani w jakąś grę i zostaliśmy jej ofiarami. Czy ty wiesz co wymyślił ten twój Adam?

– Słucham! Możesz mi o tym opowiedzieć?

– O tym, co nam przytrafiło się nie wie nikt i wolałabym, żeby tak pozostało – zastrzegła się.

– Mogę jedynie powiedzieć, że Adam próbując mścić się na Stefanie, w bardzo perfidny sposób, wykorzystuje do tego mnie i moje dzieci.

– Przyznam szczerze, że tego nie spodziewałbym się po nim – zadumał się przez chwilę Nowicki. – Jeżeli zaś chodzi o sprawy rodzinne, to mogę ci jeszcze powiedzieć, że z tego trójkąta przyszła na świat Sabinka.

– Jaka znowu Sabinka, na litość boską – załamała ręce Zofia.

– Córka jednego lub drugiego, ot co.

– Ale Stefan nigdy nie wspominał o jakiejś córce – zapewniała Mocna.

– Nie wspominał, bo nigdy nic o niej nie wiedział. Tak samo jak Adam. Małgorzata nigdy nie chciała żeby się o niej dowiedzieli i przez kilka lat sama wychowywała dziecko. Ja, jako najbliższy przyjaciel, pomagałem jej jak mogłem. Niestety po śmierci Małgorzaty… – zaszkliły mu się oczy i na chwilę zamilkł. – Zginęła… –przełknął ślinę – w wypadku samochodowym. To było trzy lata po narodzinach Sabinki. Któryś z nich musiał się nią zająć. Stefan był już żonaty, więc padło Adama. Ten, nie od razu przyznał się do rodzicielstwa, lecz z czasem przekonał się do niej i pokochał jak swoją.

– Przecież mógł zrobić badania i wszystko by się wyjaśniło.

– Tak byłoby najprościej. Wiem jak to zabrzmi, ale Adam nie chciał nigdy przeprowadzić badań na ojcostwo. Może bał się? Doszedł do wniosku, że skoro Stefan odebrał mu narzeczoną, to nie pozwoli odebrać sobie córki. Rozumiesz, co mam na myśli?

– A więc to tak? – powoli wszystko zaczynało układać się w całość. – Adam chce odebrać, zniszczyć Stefanowi rodzinę. Tak samo jak ten zrobił to jemu przed laty.

– Na to wygląda. I obawiam się, że niewiele mogę pomóc. Z Adamem widujemy się rzadko, a na dodatek ostatnio stał się jakiś tajemniczy i zamknięty w sobie. Może to przez tę sytuację? Nie wiem. Jest jeszcze jedna kwestia, ale to może być bolesne przeżycie dla ciebie –podkreślił.

– A cóż jeszcze gorszego może mnie dzisiaj spotkać? – zapytała z nutką

rezygnacji w głosie. – O czym zapomniałeś mi powiedzieć? Może o synu?! – dodała złośliwie.
– To ty nalegałaś na spotkanie! To ty chciałaś poznać prawdę! odparł bezpardonowo. – Skoro nadarzyła się okazja, może chciałabyś wysłuchać tej historii do końca?
– Co jeszcze złego mnie czeka, że tak mnie przed tym przestrzegasz? – sama nie wiedziała czy chce poznać tę prawdę tajemną.
– Złego? – pomyślał chwilę. – Tak bym tego nie ujął, może bardziej zaskakującego.
– Czy gotowa jesteś na tę ostatnią próbę?

Skinęła głową na tak, bo nie miała zielonego pojęcia czego jeszcze może się spodziewać.
– Spójrz w lewo. Czy poznajesz tę młodą osóbkę?

Osóbka pomachała wesoło do nich ze stolika obok.
– Przecież to, to jest Małgorzata. Ona mi dzisiaj…
– Tak wiem – oznajmił Jan. – Sam ją o to prosiłem.
– Ale po co? W jakim celu? – zapytała nieco poirytowana.
– A kto by ci pomógł gdyby nie ona? Kiedy zobaczyłem jak…
– No dobrze już, dobrze – tym razem przerwała Zofia, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie chce, żeby detale jej nieprzemyślanej eskapady poznał Rajmund.
– To co, zaprosimy Sabinkę do nas? –zapytał Jan, próbując rozładować atmosferę.
– Coś jestem jej winna. Małgorzacie czy Sabince? Wszystko jedno – odparła Zofia, siląc się na uśmiech.
– Małgorzata ma na drugie, po mamie – wyjaśnił Jan.
– To może ja zaproszę tę młodą damę do stolika – zaoferował się ochoczo Rajmund. – Przecież, było nie było, jestem jej dłużnikiem To ona mi ciebie ocaliła przed… – spojrzał z czułością na Zofię, pomyślał chwilę – przed utratą twej czci niewieściej.

Zofia udawała zawstydzoną, a może nie udawała, bowiem na jej policzkach pojawiły się niewielkie wypieki.
– Nie było, aż tak strasznie. Może trochę wyolbrzymiłam całą tę sytuację – próbowała się tłumaczyć.

Rajmund podszedł do stolika, przy którym siedziała Sabinka. Ucałował szarmancko dłoń, dłuższą chwilę rozmawiał z nią, po czym podprowadził dziewczynę do oczekującego ich towarzystwa.

Z dwojga kobiet Zofia wydawała się jakby bardziej speszona.
– Bardzo cię przepraszam Zofio – zaczęła Sabinka, – za to całe zamieszanie, za tę całą mistyfikację. Ale wujek mnie poprosił, żebym dyskretnie zaopiekowała się tobą.
– Już wszystko wiem. A może nie wiem? – wybełkotała skołowana. –Więc jesteś

córką Adama?
– Tak mnie mama zapewniała.

Miało to zabrzmieć jak żart, ale nie zabrzmiało. Wszyscy przełknęli gorzką pigułkę, nie dając nic po sobie poznać.
– To ty znasz ojca? – zapytała rozentuzjazmowana Gosia. – Nigdy mi o tobie nie wspominał – dodała.
– Znamy się od niedawna – poniekąd. A gdzie on teraz przebywa? – rozpoczęła przesłuchanie Mocna.
– A lata gdzieś za interesami. Kto go tam wie. Za kilka dni mamy być w Polsce. Może się spotkamy? – zaproponowała dziewczyna. – Ojciec niedawno otworzył nową firmę, w jakiejś niedużej miejscowości na wschodzie kraju i chciałby zorientować się, jak sprawy stoją.
– Byłoby miło – odpowiedziała nieszczerze.

Na chwilę Zofię zmroziło, co pozwoliło jej zachować zimną krew. Chętnie, poznałabym osobiście człowieka, który w tak bezceremonialny sposób wkroczył z buciorami w moje spokojne życie – pomyślała.
– Jeżeli będziecie w kraju, to zapraszam do mnie. Mamy sobie wiele do powiedzenia z twoim ojcem – oznajmiła.

Małgorzata nie do końca rozumiała, co Zofia miała na myśli. Wspólna kolacja przeciągała się i z każdą chwilą atmosfera spotkania stawała się coraz bardziej frywolna. Zofia nieprzywykła do wina, szampana i innych napojów wyskokowych szybko wprowadziła się w nastrój lekkiego upojenia. Na chwilę udało się jej zapomnieć o wszystkich troskach, kłopotach, intrygach i zgryzotach. Było już dobrze po drugiej w nocy, jak wesołe towarzystwo zdecydowało się rozejść do pokoi.

W miłej, wręcz przyjacielskiej, atmosferze zakończyli wieczór umawiając się na zwiedzanie miasta na dzień następny . W drodze powrotnej do apartamentu, dwoje bliskich sobie ludzi, czy to z powodu wypitego alkoholu, czy też fizycznych praw przyciągania ciał, nader często ocierali się o siebie. A tarcie podnosi temperaturę. Rajmund, rozpalony do czerwoności ujął partnerkę pod ramię i odważnie poprowadził ku przeznaczeniu. Mrówki, które przebiegły po jego ciele pod wpływem dotyku ciepłej, jedwabistej skóry Zofii założyły mrowisko w najmniej stosownym ku temu miejscu. Jakie owady zawładnęły ciałem Zofii? – wie tylko entomolog. Kobiety twierdzą, że to motyle. Jakimś, nadludzkim wręcz, wysiłkiem Rajmundowi udało się jedną ręką uporać z zamkiem i wprowadzić damę do środka. Zofia ciągle była u jego boku. Mężczyzna poczuł jej bliskość, ciepły oddech na piersi i zapach perfum. Owady mnożyły się w tempie do en-tej potęgi, opanowując ciało mężczyzny, kobieta zaś szukała odpowiedzi na pytanie – skąd wzięły się te „motyle" w moim brzuchu? To pewnie to jedzenie. Owszem smaczne, ale dla normalnych ludzi

ciężkostrawne – wymyśliła. Już chciała wydostać się z objęć Rajmunda, gdy ten delikatnie przyciągnął ją do siebie. Ledwo wyczuwalny gest był aż nazbyt wymowny. Odwróciła się twarzą ku niemu z lekko przymkniętymi powiekami i z delikatnie rozchylonymi wargami. Oczekiwała nieuchronnego. Tymczasem, stało się coś absolutnie nieoczekiwanego. Rajmund niespodzianie wypuścił ofiarę z rąk. Zofia w pierwszej chwili nie do końca wiedziała co się stało, ale szybko ochłonęła. Mężczyzna stał przed nią blisko, tak blisko, że prawie dotykał nosem jej noska, ale nie był w stanie uczynić następnego kroku. Wycofał się.
– Chyba pora do łóżek – zakomunikował ni stąd ni zowąd, obojętnym tonem.
– Co? A tak! I ja tak myślę – przytaknęła jeszcze nie do końca świadoma tego co zaszło.

Rozeszli się bez słowa do swoich sypialni, a w powietrzu zapachniało miętą. Rajmundowi serce waliło o żebra niczym młot pneumatyczny, w głowie czuł zamęt, w nozdrzach ciągle zapach kobiety, a do mrówek należało wezwać dezynsektora, bo rozeszły się po całym ciele i były nie do opanowania.

Ale nie mogę tego zrobić – myślał. Jeszcze nie teraz. Wszystko spieprzę! Przecież od razu mnie rozszyfruje – tłumaczył sobie Nie, nie pójdę do niej – zarzekał się. I ty zapomnij o figlach! – spojrzał w dół. Jeszcze przyjdzie na to czas – przekonywał przewodnika wieczoru. Cóż za paradoksalna sytuacja – uświadomił sobie. – Mogłem leżeć w objęciach ukochanej, a wybrałem objęcia samotności.

Tymczasem, Zofia ciągle nieświadoma tego, co zaszło, równie samotna, leżała rozpalona w łóżku i czekała na kochanka. Gotowa była na wszystko. Kto wie, czy to pod wpływem alkoholu, okoliczności czy też odwiecznej potrzeby miłości wyobrażała sobie jak to będzie.

Jakież było jej zdziwienie, gdy rano obudziła się sama. Czar prysł. Pozostało niespełnienie i rozczarowanie. Ciężko było pozbierać się z łóżka.
Ze znajomymi umówieni byli dopiero na czternastą, lecz wspomnienie minionej nocy w jakiś dziwny sposób zaciążyło na ich wspólnych relacjach. Pierwsza wynurzyła się ona i ukradkiem przemknęła do łazienki. Po chwili, nasłuchując odgłosów dochodzących spod prysznica, wychynął on. Jak długo trwałyby te podchody i poranne toalety, nie byłoby wiadomo gdyby nie dzwonek do drzwi.
– Room service.

Na szczęście Rajmund nie zdążył puścić na siebie oczyszczającego strumienia ciepłej wody. Podszedł do drzwi i dyskretnie je uchylił. Nasłuchując czy Zofia jest ciągle w łazience, szybko załatwił sprawę z kelnerem.

Sporo jeszcze czasu minęło zanim zdecydowali się wspólnie przywitać poranek.
– Śniadanie? A to ci niespodzianka – paplała nieco skrępowana Zofia.
– Kelner musiał dostarczyć gdy byliśmy w łazienkach – wymyślił naprędce

Rajmund.
– Chyba tak – Zofia szukała racjonalnego wytłumaczenia.

Zasiedli do stołu nie patrząc sobie w oczy. Rozmowa nie kleiła się. Można było odnieść wrażenie, że coś stanęło między nimi, jakaś niewidzialna bariera na chwilę ich rozdzieliła. Pierwszy odważył się odezwać niedoszły kochanek.
– Do spotkania ze znajomymi mamy jeszcze sporo czasu, może wybralibyśmy się na spacer lub zakupy? – zaproponował dla rozładowania atmosfery.
– Tak, to doskonały pomysł! – zgodziła się z nadmiernym entuzjazmem w głosie Zofia byle tylko dłużej nie siedzieć na rozżarzonych węglach.

Oboje pragnęli jak najszybciej zakończyć ten krępujący spektakl dwóch aktorów, bo śniadanie smakowało jakoś inaczej. Może zakupy, może spacer, może wreszcie świeże powietrze ożywi ich wzajemne relacje? – mieli nadzieję. Niestety, z pozoru wspólna eskapada też miała jakby indywidualny charakter. Niby razem, a jednak oddzielnie błąkali się po ulicach, po sklepach próbując jakoś wypełnić czas pozostały do spotkania z Janem i Sabinką. Czas dłużył się im niemiłosiernie. Każdemu z osobna myśli kłębiły się w głowie i jak sztubacy nie wiedzieli, jak wybrnąć z całej tej niezręcznej sytuacji. Nareszcie Zofia nie wytrzymała.
– Może usiedlibyśmy w którymś z ogródków, napili kawy i porozmawiali o tym, co wydarzyło się wczorajszego wieczoru? Albo nie wydarzyło? – z nutką żalu stwierdziła.
– Sądzę, że tak będzie najlepiej – przyznał rację czując jak serce zaczyna mu łomotać w niekontrolowany sposób .

Oboje, ciągle lekko zmieszani, przez kilka pierwszych minut „rozmawiali" ze sobą mową ciała, oczu i mimiką twarzy. Oswajali się ze sobą. Zanim zaczęli używać słów każde z nich chciało jak najwięcej wyczytać z niewerbalnych zachowań partnera.
– Wracając do wczorajszego wieczoru… – znowu pierwsza zaczęła Zofia.

W tym samym momencie zagaił Rajmund.
– Chciałbym… – oboje przerwali, spojrzeli po sobie i jednocześnie parsknęli śmiechem.
– Byliśmy trochę pijani – zauważyła Zofia.
– Może troszeczkę. No i jesteśmy w Paryżu, a tutaj nawet królowie tracili głowy.
– A tak, tak. Poznałam już nieco historię tego miasta i muszę przyznać, że była bardzo burzliwa.

Rozmowa dalej toczyła się jakby równolegle, lecz z wolna nabierała tempa.
– To wszystko moja wina, to ja byłem nazbyt natarczywy. Ale sama rozumiesz…?

I właśnie rzecz miała się w tym, że Zofii najtrudniej było pojąć, co

miałaby niby rozumieć. Kto wie, czy nie czułabym się dzisiaj znacznie lepiej, gdyby nie dobre maniery tego tu – popatrzyła z politowaniem na dżentelmena. Ach te chłopy. Czemu oni nigdy niczego w porę nie kumają? – pomyślała ze smutkiem.

– Bo rozumiesz Zofio – ujął ją za rękę i po raz pierwszy tego dnia spojrzał jej prosto w oczy. – Już od dawna tak ciebie obserwuję i z każdym dniem podobasz mi się coraz bardziej. Wybacz proszę, że jestem taki bezpośredni i wykorzystuję sytuację, i to że jesteśmy tylko we dwoje i… – na szczęście dla Rajmunda Zofia przerwała ten bełkot.

– Głuptasie! Ja jestem dorosłą kobietą i potrafię o siebie zadbać. Wierz mi, że nie zrobisz niczego na co ja nie dam przyzwolenia – z iskierkami w oczach i uśmiechem na ustach zapraszała do kontynuacji…

Rajmund w lot pojął intencje towarzyszki niefortunnego, minionego wieczoru i w jednej chwili postanowił wyznać jej całą prawdę. Pozbierał chaotyczne myśli i zaczął.

– Ja, wczoraj…– bał się powiedzieć, co on wczoraj. Zofia, żeby ośmielić adoratora, powiedziała żartobliwie

– Obiecuję, że niczego nie będę nadinterpretowała. Mów – zachęcała.

Atmosfera nabierała znamion intymności.

– Ja wczoraj miałem na ciebie wielką ochotę, ale jak byśmy obudzili się rano w jednym łóżku, to byłoby nam bardzo głupio.

– Ach, tak. A teraz nie jest? Z dwojga złego nie wiem, co jest gorsze – dodała z nieukrywaną kokieterią. W duchu zaś pomyślała sobie – żeby stracić taką okazję?

Rajmund był rozanielony, postanowił zrzucić przybraną maskę, pozbyć się tej cholernej pozy i powiedzieć, wykrzyczeć wszystko. Na szczęście dla niego (a może nie?) do stolika podeszła kelnerka.

– Donner encore quelque chose? – Rajmund podniósł nieprzytomny wzrok na kobietę.

Opamiętanie przyszło w ostatnim momencie, tylko serce biło jak oszalałe, a w głowie czuł jakiś dziwny zamęt. Czegoś takiego nie czuł już od dawna, bardzo dawna. Długo jeszcze rozmawiali na różne tematy, ale Rajmund starał się unikać flirtowania. Już od wielu lat nie czuł się tak dobrze w towarzystwie kobiety. Od kiedy poczuli bliskość serc, czas jakby przyspieszył i nim się obejrzeli dochodziła czternasta. Zerwali się z krzeseł i w całkiem już odmienionych nastrojach, pomknęli trzymając się mocno za ręce, na umówione spotkanie.

Obiad już czekał. Jan z Małgorzatą też.

– Wybaczcie nam to niewielkie spóźnienie, ale mieliśmy kilka ważnych spraw do omówienia i jakoś tak się zagadaliśmy, że zapomnieliśmy o bożym świecie – przepraszał Rajmund.

– Nic się nie stało, to tylko kilka minut. Przyznam, że my też nie byliśmy punktualni – Jan udał że nic się nie stało spoglądając ukradkiem na Małgorzatę

Jej rozbawiona mina była aż nazbyt wymowna. Zofia w lot pojęła sytuację i udając spłonioną próbowała tłumaczyć.

– Chyba nie myślicie, że my, coś tam, że tego....

– Czy macie zamiar jeść jedną ręką, czy karmić się wzajemnie? – zapytała dziewczyna.

– Tutaj jest tak wąsko, że jakoś tak te nasze dłonie splotły się w tym tłumie i...

– I ciężko było puścić – z pobłażliwym uśmiechem na twarzy dopowiedział Jan.

– No tak – spojrzeli po sobie i parsknęli szczerym śmiechem.

Czworo znajomych, w wyjątkowo wesołych nastrojach, spożywało obiad. Rozmowy toczyły się na różne, neutralne tematy. Dopełnieniem posiłku była opowieść Zofii związana z wczorajszą degustacją specjałów kuchni francuskiej, wywołująca wśród biesiadników salwy śmiechu – W Polsce będzie to uchodziło za anegdotę, wierzcie mi!

Z uwagi na fakt, że Zofia była w Paryżu po raz pierwszy, program wycieczki ograniczał się do zaledwie kilku najważniejszych zabytków miasta. Pragnęła zwiedzić i dowiedzieć się jak najwięcej, ale czas naglił. Nieco rozczarowana tym faktem, ale szczęśliwa, bo w towarzystwie Rajmunda, miała swój Paryż. Później była wspólna kolacja, która nie trwała zbyt długo, ze względu na wczesny wylot samolotu do Polski. Taka była przynajmniej oficjalna wersja.

Jan i Małgorzata byli bardzo wyrozumiali dla gospodarzy spotkania. Tłumacząc się wcześniejszymi zobowiązaniami ulotnili się pozostawiając dwoje „zapatrzonych w siebie" na łaskę losu. Nietrudno było wyczytać z gry obojga ciał, że jedyne czego pragną, to zostać ze sobą sam na sam. O ile w towarzystwie Rajmund, wręcz ostentacyjnie adorował Zofię, o tyle w drodze powrotnej do hotelu zapał jego ostygł. Mimo wielu niedwuznacznych gestów ze strony przyjaciółki, on starał się nie podejmować gry. Tym razem Zofia była przekonana, że to tylko poza, i że wszystkie drogi prowadzą do wspólnego łóżka. Jakież było jej zdziwienie, gdy po powrocie do hotelu ścieżki ich ponownie rozeszły się. Kochanek najwyraźniej stchórzył, bowiem cały czas trzymał Zofię na dystans. Robił wszystko, wyszukiwał najprzeróżniejszych powodów byle tylko nie zbliżać się do ukochanej. Mrówki i motyle ponownie zbudziły się do życia. Rajmund nie chciał powtarzać błędu poprzedniego wieczoru. Tym razem mógł posunąć się o krok dalej, ale nie leżało to w jego interesie. Tylko jaki to niby interes chciał ubić – już nie wiedział nawet on sam. Ta noc była najsamotniejszą nocą w jego życiu. Zofia też niczego nie rozumiała. Pomyślała tylko rozczarowana, leżąc sama w łóżku – Niech on do diabła ciężkiego przestanie mnie tak szanować! Długo nie mogła zasnąć, a potem już tylko śniła. Śniła, że oto otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi Rajmund, delikatnie bierze ją na ręce

i niesie do wspólnego łoża. Zdejmuje z niej jedwabną halkę i zaczyna pieścić, całować... Nareszcie – pomyślała Zofia. Pieszczoty nie trwały długo, bowiem w momencie kulminacyjnym, jakiś przeraźliwy dźwięk przerwał miłosne igraszki. Budzik oznajmił, że pora wstawać. Na próżno próbowała zapaść ponownie w sen i kontynuować to, co tak obiecująco zapowiadało się. Rajmund „wrócił" już do siebie.

Samolot mieli wcześnie rano, więc nie było czasu, okazji ani chęci do porozmawiania o dniu poprzednim. Szybkie śniadanie, taksówka na lotnisko i pożegnanie z Paryżem. Dopiero w samolocie Zofia zaczęła zbierać myśli, chociaż rozczarowanie straconą nocą pozostało. Wiele jeszcze razy będzie zastanawiać się – Jak to było możliwe, żeby...? Może to jednak gej? – próbowała wytłumaczyć sobie zachowanie niedoszłego kochanka. Aby odgonić od siebie złe myśli postanowiła bardziej racjonalnie podejść do życia. Przyjechałam do Paryża w konkretnym celu – myślała, – a osiągnęłam niewiele. Może nawet straciłam? – zrobiła szybki bilans wyjazdu.

– Słuchaj Rajmund – zaczęła rozmowę, – skoro spotkaliśmy się z córką i przyjacielem Adama, to z pewnością wszystko się wyda i tenże dowie się o naszym pobycie – nie uważasz?!

– Sądzę, że tak – zgodził się rozmówca. – Ale jakie to ma znaczenie? Może Adam wybrał taki właśnie sposób przekazania ci pewnych informacji, może w taki sposób chciał wytłumaczyć, usprawiedliwić swoje postępowanie wobec ciebie i dzieci? Kto go tam wie?

– Może i tak – stwierdziła obojętnie.

W tym momencie Zofia nie była zbytnio zainteresowana, tak istotnym dla niej, tematem. Wolała błądzić myślami po manowcach i zakątkach Paryża tuląc się do ukochanego. Wolała fantazjować.

– Wiesz co Rajmundzie?

– Słucham cię ko... – nie dokończył, ale Zofia usłyszała, co chciała usłyszeć.

– Dziękuję ci za ten wspaniały weekend. To były niezapomniane dni, mimo że niewiele dowiedziałam się od Nowickiego. Wierz mi, nie żałuję – kłamała, chociaż niedosyt pozostał.

– Cieszę się ogromnie, ale czy na pewno nie chcesz podzielić się ze mną swoją tajemnicą? Może będę mógł ci pomóc? Widzę, że dla ciebie jest to ważne, a ja jestem bezradny.

– Nie, nie teraz! Może kiedy indziej, ale jeszcze nie teraz, nie dzisiaj – broniła się ostatkiem sił.

Gdyby podzieliła się swoimi myślami z przyjacielem, wiele problemów dałoby się o wiele szybciej rozwiązać. *Proszę zapiąć pasy, za kilka minut będziemy lądować na lotnisku w Warszawie* – usłyszeli głos stewardesy. Wspólna wycieczka właśnie dobiegała końca.

Rozdział XXII

Samochód czekał na parę podróżników przed lotniskowym terminalem. Szybko uwinęli się z bagażami i pomknęli do swego miejsca zamieszkania. Po drodze nie rozmawiali ze sobą zbyt wiele. Każde z osobna było zatopione w myślach i każde na swój sposób robiło bilans wyjazdu. Co osiągnął Rajmund, co osiągnęła Zofia, co osiągnęli wspólnie? – wkrótce miało się okazać. Ale warto było. Ta bliskość dusz aż nazbyt ucieleśniła się, tylko że ciągle coś nie grało.

Na podjeździe posesji Zofii podróżnicy na chwilę ożywili się.

– Zobacz! Jaki ten świat jest mały? – zauważyła filozoficznie uświadamiając sobie, że w tak krótkim czasie pokonała tysiące kilometrów – Jeszcze tak niedawno byliśmy w Paryżu. Jedliśmy żaby, kraby i inne frykasy, spacerowaliśmy romantycznymi uliczkami, a tu znowu nasza mieścinka. I codzienność – dodała ze smutkiem.

Rajmund ujął Zosine dłonie, zajrzał najgłębiej, jak mógł w błękit jej źrenic i chciał coś powiedzieć, ale każde słowo wydało mu się banalne. Chciał powiedzieć, że to były najpiękniejsze dni, jakie przeżył, chciał powiedzieć, że kocha ją nad życie, chciał wreszcie powiedzieć, że długo zachowa w pamięci wspólnie spędzone chwile i wiele, wiele innych rzeczy chciał powiedzieć. Ale po co? Zofia doskonale o tym wiedziała.

Trwali tak w milczeniu, patrząc sobie w oczy i nie mogąc się rozstać, bo już za sobą tęsknili.

Tęsknię za tobą, gdy odchodzisz
Tęsknię za tobą, gdy przychodzisz
Tęsknię za tobą, gdy znikasz w łazience
Tęsknię i proszę nie opuszczaj mnie więcej.

Pierwszy z letargu, w jaki na chwilę zapadli ocknął się Rajmund.

– Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję – wyszeptał całując dłonie Zofii na pożegnanie.

– Ja też mam taką nadzieję, ale do środy będę nieuchwytna – uprzedzała.

– Aż do środy? Czemu tak długo? To całe trzy dni – skrupulatnie policzył.

– Mam kilka istotnych rzeczy do załatwienia. Muszę uregulować własne, zaległe sprawy.

– Trzy dni to szmat czasu. Cała wieczność. Te nasze wspólne trwały tylko chwilę, a te nadchodzące będą dla mnie....

– Ja też będę tęsknić – przerwała mu kładąc palec na jego ustach, ale zrozum. Nie mogę życia odkładać na później, a przy tobie nie byłabym w stanie skupić się – powiedziała z podtekstem.

Mrówki na chwilę ożyły. Ja chyba oszaleję – pomyślał. Jeszcze jeden taki sprawdzian i po mnie – zdawał sobie sprawę ze swoich słabości.
– Zatem do środy, ale dzwonić mogę? – zastrzegł sobie prawo.

Zofia pomachała Rajmundowi na pożegnanie i zniknęła za parkanem. W samochodzie pozostał zapach kobiety i rozpierzchłe po siedzeniu mrówki.

W domu na podróżniczkę czekały dzieci ciekawe wrażeń i prezentów z podróży. Stojąc w oknie z zaciekawieniem przyglądały się rozstaniu kochanków.
– Chyba coś było – porozumiewawczo powiedziała Agata do brata.
– Zaraz wszystkiego dowiemy się.

Już mieli przygotowany plan.
– Spójrz ile prezentów. Idź i przynieś to wszystko – nakazała siostra.

W ogólnie wesołej atmosferze matka opowiadała o hotelu, jedzeniu i zabytkach, pomijając oczywiście te pikantniejsze szczegóły z pobytu.

Pytanie, które wcześniej czy później musiało paść zadała Agata, robiąc przy tym dwuznaczną minę.
– A jak tam pan Rajmund? Było coś, spisał się?
– Dżentelmen w każdym calu – odparła Zofia, unikając kontaktu wzrokowego z dziećmi, chociaż niestety, nie miała czego się wstydzić.
– Ty matka nie ściemniaj. Po twojej minie widać, że coś zaiskrzyło – żartował Jacek.
– Nic nie zaiskrzyło i co mnie tak wypytujecie jak uczniaka. Lekcje odrobione? Zęby umyte? Marsz do łóżek.
– A przyszły tatuś przyjdzie dać nam buzi na dobranoc?
– Won mi stąd – wesoło przerwała przesłuchanie, informując na odchodne, że kolacja będzie o 19.00. – Przygotowałam niespodziankę – oznajmiła na odchodne.

Młodzi zabrali prezenty i rozeszli się do swoich pokoi. Zofia zaś, zmęczona podróżą, poszła się odświeżyć.

Dania kuchni francuskiej, przygotowane jeszcze w hotelowej restauracji, zagościły na stole biesiadnym Mocnych.
– Na kolację postanowiłam przygotować wam namiastkę Francji – zakomunikowała dzieciom, zdziwionym niecodziennym nakryciem stołu.
– A to ci heca i my mamy to jeść? – reakcja potomstwa na widok „pyszności" przygotowanych przez matkę, była identyczna jak jej wcześniejsza.
– Wierzcie mi, ludzie to jedzą i żyją i co więcej, będziecie zachwyceni – przekonywała.
– Tak akurat – wzdrygnął się Jacek.
– Ale my nawet nie wiemy co i z czego to jest? – ciągle oponowali młodzi.
– I bardzo dobrze, nie musicie wiedzieć. Gdybym ja wiedziała, też nigdy w życiu nie wzięłabym czegoś takiego do ust. Siadać i jeść – rozkazała.

Zofia jako „wytrawna koneserka" kuchni francuskiej, zachęcała latorośle do skosztowania tego czy owego, objaśniając pokrótce tajniki sztuki kulinarnej żabojadów. Młodzi bardzo szybko przekonali się do smaku tych wszystkich wyszukanych potraw, czym sprawili matce ogromną przyjemność.
– A z panem Rajmundem też jadłaś takie dania? – zapytała namolna Agata.
– Takie i nie tylko, a popijaliśmy winem i szampanem.
– A czy ty wiesz mamo, że większość z tych potraw uznawane są za afrodyzjaki – ciągnęła temat córka.
– Jak to afrodyzjaki? Jakie afrodyzjaki? – już wiedziała, skąd te motyle. – Też wymyśliła smarkata – ofuknęła córkę lekko zmieszana.

Dwuznaczne i bezczelne uśmieszki malujące się na twarzach rodzeństwa były aż nazbyt wymowne.
– Cały wieczór rodzina spędziła w bardzo miłej i beztroskiej atmosferze, zapominając na chwilę o wszelkich kłopotach.

W tym samym czasie, kiedy Mocni cieszyli się rodzinną kolacją, Rajmund, leżąc sobie wygodnie na kanapie, degustując specjały kuchni polskiej, suto zakrapianej naszą rodzimą produkcją, marzył. To, przed czym tak konsekwentnie i skutecznie wzbraniał się, stało się faktem. Wylądował w objęciach ukochanej. Całował, obejmował, tulił, pieścił aż mu tchu zbrakło. Zbudził się zlany potem z pulsem bliskim 120. Z jednej strony przerażony, z drugiej rozczarowany, że się skończyło. Co u licha? Muszę być silny, muszę wytrwać, muszę doprowadzić wszystko do końca – obstawał przy swoim. Sam nie wiem, co dalej robić? Do czego to doprowadzi? – bił się z myślami w przypływie chwili słabości, spowodowanej nadmiarem spożytych trunków. Przez moment poczuł się bardzo samotny. Chyba da się temu jakoś zaradzić – zastanawiał się. Pewnie, że tak uczynię – postanowił. W jednej chwili zerwał się na równe nogi, pobiegł do łazienki, z której po kilku minutach wyszedł jakiś odmieniony.

Dzwonek do drzwi przerwał wesołą rodzinną atmosferę.
– Kogo tam licho niesie o tej porze? – zastanawiali się Mocni. Na ekranie monitoringu zobaczyli stojącego przed wejściem Stefana. Nastrój wieczoru prysł w jednej chwili.
– Czego on znowu chce? Ot, wybrał sobie porę na odwiedziny – utyskiwała Zofia. – Skąd on wiedział, że jesteśmy w domu, że ja wróciłam?
– Po prostu mu się przyfarciło – rzekł syn, patrząc z wesołą miną na matkę.
– W takim razie idź i wpuść tatusia, skoro już nas nawiedził – zakomenderowała matka.

Niespiesznym krokiem pomaszerował do przełącznika blokady zamka. Po krótkiej chwili w drzwiach pojawił się nieproszony gość. Nie wyglądał źle, ale widać po nim było, że jest pod przemożnym wpływem czarodziejki.

– Co cię sprowadza? Czy ty nie możesz dać nam świętego spokoju i zniknąć z naszego życia? – drugie pytanie kończyła z nienawiścią w oczach.

– *Odkąd zniknęłaś jak sen jakiś złoty, usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty* – sparafrazował na własny użytek słowa wieszcza. – Czemu tak nerwowo reagujesz na mój widok, chochanie – dopytywał się zaciekawiony przybysz.
– Nie mów do mnie chochanie, już od dawna nie jestem twoim chochaniem, tfu kochaniem i wbij to sobie do tego zakutego łba raz na zawsze – w tym momencie pałała nienawiścią.
– Mamo uspokój się – próbowała ostudzić emocje córka.
– Jak mogę się uspokoić? Sama widzisz jak on wygląda.
– Nie bądź taka powierzchowna. Wygląd to nie wszystko, liczy się wnętrze – zauważył Stefan. – Próbowałem nauczyć się żyć bez ciebie, ale kiepsko mi to wychodzi – powiedział z bezdennym smutkiem w oczach.
– A to ucz się, ucz. Masz się czego uczyć – wycedziła przez zęby z nieukrywaną nienawiścią.

Jak to się stało?,
Że jednego powietrza było nam ciągle mało
A teraz zaciśnięte tylko usta, które się całowało
Jak to się stało?

– Ciągle jestem sam, a ja przecież nie mam zadatków na pustelnika – uskarżał się na swój los.
– A to dobre sobie. Czy wy słyszycie to, co ja? Całe życie gdzieś się włóczył, a teraz przyszedł użalać się nad sobą, że mu źle.

Zofia spojrzała po dzieciach, ale nie znalazła w nich takiej determinacji, takiej nienawiści jaką nosiła w sobie.
– Znowu ja jestem najgorsza. Tak?! – warknęła, patrząc na dzieci z wyrzutem. Czyż byście już wszystko zapomnieli? – dziwiła się. Zapomnieliście jak … nie dane jej było dokończyć rodzinnych wspomnień.
– O kolacja – przerwał Stefan. Ogarnął wzrokiem zastawiony stół, puszczając w niepamięć nerwowe reakcje byłej.

Zbliżył się do stołu, przetarł oczy i zdębiał.
– A cóż wy tu macie, fuj i wy to jedliście. Jak nie stać was na normalne żarcie, to mogę zasponsorować – ofiarował się ochoczo wykonując wymowny gest sięgając do kieszeni spodni.

Zofii o mało szlag nie trafił. Poczerwieniała, posiniała, napęczniała, aż na koniec wybuchnęła.
– Ty, ty, ty prostaku – znalazła wreszcie słowo, którym chciała określić byłego

męża. – W życiu nie jadłeś czegoś takiego i jeść nie będziesz – zapewniała.
– Jeszcze tak nisko nie upadłem, ale czy coś normalnego mógłbym dostać do jedzenia? Dawno nic w ustach nie miałem.
– Chyba nie tak dawno – zauważyła szyderczo.
– Miałem na myśli stały pokarm, a nie płynny. Jacek, synku jakbyś tak kopnął się do lodówki, przyniósł coś na ząb, no i do popicia.

Biedny nie wiedział, co ma robić. Spojrzał na matkę, na siostrę, potem jeszcze raz na matkę.
– No, na co czekasz, chcesz żebym z głodu padł? – próbował zmotywować syna do działania.
– Idę – burknął pod nosem.

Stefan zasiadł do stołu i niczym półgłówek zaczął rozpytywać o potrawy.
– A to, z czego? Z żaby? A to? Kraby. A to? Raki. A to, to? Ślimaki – bezbłędnie rozpoznał poszczególnych przedstawicieli fauny. – Boże mój, to z wami tak krucho? Może jeszcze koty jecie? – naigrywał się w najlepsze.
– Ty durniu, to wszystko przyjechało prosto z Francji.
– Wnioskuję, że gdybyś z Chin wróciła, to podałabyś psa na obiad.

Młodzież nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.
– Ty prostaku! – wycedziła przez zęby po raz kolejny.

Stefan nie zrażając się słowami byłej żony dokazywał w najlepsze.
– A tak swoją drogą, z ciekawości pytam. Czy w tej Francji, to naprawdę bieda taka, że jedzą co popadnie? Po jasną cholerę było to wszystko wieźć, jak u nas tego robactwa jest pod dostatkiem. W domu macie takie delicje – tu spojrzał na półmisek wędlin przyniesiony właśnie co przez Jacka, – a wy robactwem na francuską modłę zajadacie się?

Rodzeństwo, siedzące przy stole z rozbawieniem przysłuchiwało się rozmowie rodziców.
– Aga wytłumacz ojcu, bo ja do niego siły nie mam.
– Czy ty matka nie widzisz, że ojciec cały czas jaja sobie z ciebie robi?
– Kto go tam wie?

Zaślepiona złością straciła całkowicie zdolność trzeźwego myślenia.
– To we Francji byliście? – dociekał.
– Nie byliście, tylko ja byłam – wyjaśniła łaskawie.
– A w jakim mieście, jeśli można spytać? I w jakim celu?
– W Paryżu – odburknęła, – a o celu to wkrótce się dowiesz.
– No, no w Paryżu. A czy może byłaś na Placu Pigalle. Poznałem tam kiedyś taką jedną Azjatkę. Co ona potrafiła…

W jednej chwili przeniósł się pamięcią do dawno minionych lat i oczami wyobraźni cieszył się znajomością z Azjatką.

– Kiedyś byłem w Paryżu i to dość długo. Mam wspaniałe wspomnienia związane z tym miastem.
– Nie tylko wspomnienia – zgryźliwie zauważyła Zofia. – Właśnie niedawno o wszystkim się dowiedziałam.
– Ale o czym? – dopytywał zaskoczony były mieszkaniec Paryża.
– O twoich… o twojej – zreflektowała się i nie wiedziała, czy powinna przy dzieciach poruszać ten temat.
– Mówże wreszcie. Co masz mi do zarzucenia w związku z moim pobytem w tym mieście? To było tak dawno temu.
– Dawno temu to może i było, ale konsekwencje ciągną się po dziś dzień. Dowiedziałam się właśnie tego i owego o tobie i o twojej przeszłości.
– O, to jest jeszcze jakaś przeszłość. Miałem nadzieję, że tamte czasy zostały już dawno przez wszystkich zapomniane i minęły bezpowrotnie, a okazuje się, że nie.
– Właśnie, właśnie – syknęła. – Są ludzie, którzy cię pamiętają i nie mogą zapomnieć.
– To na pewno ta Azjatka. Jak ona miała na imię? Nie podpowiadaj zaraz sobie przypomnę – w tym momencie przyłożył dłoń do skroni i szukał w zakamarkach pamięci imienia dawnej znajomej.
– Twój były przyjaciel przypomniał sobie o tobie, a nie jakiś tam kurwiszon z placu.
– Mój były przyjaciel? – powtórzył za Zofią. – A nie Azjatka? – stwierdził rozczarowany. A kto taki? – dopytywał zaintrygowany.
– A przypomnij sobie z kim rywalizowałeś o względy pewnej Francuzeczki. Czy mówi ci coś imię Małgorzata?

Uśpione wspomnienia z przeszłości powróciły w jednej chwili.

Małgorzata, w imieniu tym zawierało się ciągle żywe wspomnienie dawno minionych lat.

Mgła opadła, powróciły wspomnienia
Serce szybciej zabiło
Takiej drugiej jak ona
W moim życiu już nigdy nie było.

Pomyślał! Zatęsknił.
– Małgorzata. Pewnie, że pamiętam Małgorzatę, ale chyba nie jesteś o nią zazdrosna? – odpowiedział obojętnym tonem. – To było tak dawno temu – stwierdził z nostalgią.
– A ja właśnie dowiedziałam się kilku istotnych szczegółów z twojej barwnej przeszłości.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że pojechałaś do Paryża tylko po to, żeby wywlekać dawno już przebrzmiałe historie?
– A żebyś wiedział, że tak – odpowiedziała przyjmując czupurną postawę.

Zdziwienie malowało się na twarzy Stefana.
– Muszę przyznać, że nic nie rozumiem – rzekł.
– Ty nie rozumiesz! Ja też nie rozumiałam, dopóki ta przeszłość nie zaciążyła na naszej przyszłości.

Stefan zdziwił się jeszcze bardziej.
– O czym ty mówisz, do jasnej cholery?! – dopytywał coraz bardziej zaintrygowany.
– Dowiedziałam się różnych rzeczy o tobie – powiedziała tajemniczo.
– Ale po co? I od kogo? – to drugie pytanie było zbędne.
– Od kogo?! Od twojego dawnego znajomego, naszego – poprawiła się. – Czy nazwisko Lopa mówi ci coś?
– Czy mówi? Oczywiście, że mówi, ale nie widziałem człowieka od wielu lat. A co tam u niego? Radzi sobie? – zatroskał się o los przyjaciela.
– Radzi i to zdecydowanie lepiej niż ty.
– No to niech mu się tam wiedzie – w jednej chwili porwał ze stołu butelkę z koniakiem, napełnił najbliżej stojący kieliszek i wychylił jednym haustem.

Zofia nie zdążyła zareagować, dopiero po chwili wydała odpowiednie dyspozycje, dotyczące niedopitej butelki koniaku.
– Polej mnie i ojcu.

Młodych zamurowało, a pana starszego zatkało. Jacek drżącą ręką, pierwszy raz w życiu nalewał rodzicom. O co chodzi matce? – zastanawiał się. Może jej to francuskie jedzenie zaszkodziło, te pieprzone afrodyzjaki, no, bo co innego? Pierwszy i ostatni raz włożyłem coś takiego do ust – powziął postanowienie.

Zofia nie czekając na Stefana wychyliła kieliszek do dna.
– Tak bez toastu? Chyba, że we Francji tak piją, to zgoda. Wzorce kulturowe zawsze czerpaliśmy z zachodu.
– Właśnie przyszło mi coś do głowy. Coś bardzo ważnego. Chciałabym żebyś przyszedł do nas jutro, powiedzmy o 19.00.

Rodzeństwo nie wierzyło własnym uszom. Agata mało nie spadła z krzesła, Jacek zaś omal nie zadławił się jedzeniem, które nieopatrznie w tym momencie przełykał. Kiedy już oboje doszli do siebie po słowach, których nie spodziewali się nigdy usłyszeć, Jacek pochylił się w stronę siostry i szeptem zdradził jej przyczynę matczynych zachowań. Dziewczyna nic nie odpowiedziała, ale po wyrazie jej twarzy należało wnioskować, że zgadza się z opinią brata.

Fala zaskoczenia nie ominęła również Stefana, który właśnie zabierał się do wychylenia kolejnego kieliszka koniaku, za miłe, rodzinne spotkanie.

– Czy ja dobrze usłyszałem? – spojrzał pytającym wzrokiem na Zofię.
– Tak, kurwa, dobrze, tylko chyba źle odczytujesz moje intencje. Jeżeli na coś liczysz, to z góry uprzedzam cię żebyś się nie przeliczył. Mam sprawę do ciebie, lecz wcześniej muszę porozmawiać z młodymi – wyjaśniła.
– Powiedz, co mam uczynić, a uczynię wszystko, czego zażądasz – deklarował nieświadom odpowiedzialności związanej z tymi słowami. – Czy mógłbym spróbować tego homara. Termidor? Dobrze mówię? – szukał poparcia u koneserki. – Tak apetycznie wygląda, no i do tego lampkę wina. Cattier Blanc – nie mylę się?

Zaskoczeni domownicy spojrzeli po sobie, Stefan tymczasem nie czekając na pozwolenie obsłużył się. Zofię zalała krew.
– Homar wyborny, jeżeli wino dorównuje smakiem homarowi, to pogratulować wyboru. Muszę przyznać Zofio, że zaskoczyłaś mnie znajomością kuchni francuskiej.
– Ty jeszcze wiele o mnie nie wiesz – skwitowała komplement była żona.

W miłej rodzinnej atmosferze Stefan delektował się specjałami prosto z Paryża, co i raz rzucając od niechcenia nazwę jakiejś potrawy. Lata pobytu we Francji nie poszły w las.

Świeżo upieczona, poirytowana Paryżanka, siedziała nadąsana z wolna zdając sobie sprawę ze swych niedoskonałości. Darmowa kolacja, suto zakrapiana markowymi alkoholami, tak rozochociła Stefana, że ten postanowił zanocować u rodziny.

Tego sprawdzianu Zofia nie zdała.
– No tego to już za wiele – Zofia nie wytrzymała. – Mało ci, że nażarłeś się i opiłeś za friko, mało ci?! – krzyczała.
– Wdzięczen jestem, o pani, za nakarmienie głodnego, napojenie spragnionego, ale zapomniałaś o trzecim uczynku miłosierdzia.
– A niby, o jakim to? – dała się wciągnąć w grę Stefana.
– Podróżnych w domu przyjąć.
– No, zaraz mnie jasna cholera weźmie albo szlag trafi. Nie dość, że cały wieczór naigrywałeś się ze mnie, to jeszcze popisywać się będziesz tymi tam… przykazaniami.
– Uczynkami wobec ciała – poprawił.
– Kolacja skończona, żegnam pana. Do jutra! – Zofia miała dosyć.
– A czy jutro też będzie tak wykwintnie jak dziś? – zapytał z nieukrywanym sarkazmem w głosie.
– Won – nie wytrzymała.

Niezrażony niczym Stefan, nakarmiony i napojony, w jak najlepszym humorze opuścił dom rodziny rzucając na odchodne – Do jutra. Ledwie postawił pierwszy krok za drzwiami, a już zaczął się zastanawiać nad pobudkami

kierującymi małżonką. Co też jej przyszło do głowy? Czego może ode mnie chcieć? Rozpatrywał różne warianty, ale w końcu musiał skapitulować. Trzeba poczekać do jutra – stwierdził zrezygnowany. Niespiesznym krokiem udał się do miejsca zamieszkania.

Mimo zmęczenia podróżą Zofia nie spała dobrze. Dręczył ją w koło powtarzający się sen, w którym pojawiały się na zmianę trzy postacie: Rajmund, Stefan i ta trzecia, tajemnicza, najbardziej ją przerażająca, której twarzy nie mogła rozpoznać. Te trzy nocne zmory, coś do niej mówiły, czegoś chciały, lecz ona nic nie rozumiała. Budziła się wiele razy. Wystarczyło, żeby tylko zamknęła oczy, a zjawy powracały. Wizyta sennych mar odcisnęła wyraźne piętno na jej fizjonomii. Przy śniadaniu sama wyglądała jak upiór czym wielce przeraziła swoje latorośle.

– Źle spałaś? – zatroskała się córka.

– Oj bardzo źle. Całą noc dręczyły mnie jakieś koszmary.

Zofia pokrótce opowiedziała sen, a raczej to, co z niego zapamiętała.

– Też mi sen – wtrącił Jacek. – Myślałem, że jakieś zombi, duchy, no trupy. Ale ojciec, czy Rajmund? To łatwo da się wytłumaczyć.

– Ty, od kiedy to ty taki Freud jesteś? – zapytała siostra.

– Tu nie trzeba być Freudem, żeby wytłumaczyć taki sen. Trzy dni matka była z Rajmundem, wczoraj przyszedł ojciec, coś tam się w główce w podświadomości pomieszało, zakodowało, ot i cała przyczyna.

– No dobrze, a ta trzecia postać – zastanawiała się Agata.

– Ja już chyba wiem, kto to był – po chwili namysłu wyrzekła to złowrogie imię.

– To był Adam. Widzicie? Nawet w snach nie daje mi spokoju – skarżyła się na swój nieszczęsny los. Skoro już jesteśmy przy tym osobniku, to muszę wam coś o nim opowiedzieć. Myślałam, że uda nam się uniknąć tej przykrej rozmowy lub przynajmniej odłożyć na późniejszy, dogodniejszy termin, ale teraz widzę, że nie. Niech się dzieje wola nieba. Właśnie nadarza się doskonała okazja, żeby wam wszystko wyjaśnić – postanowiła matka.

– Ale, co wyjaśnić? – dopytywały zniecierpliwione dzieci.

– Jak to, co? – Zofii puściły nerwy. – To wszystko, to całe gówno, w jakie wdepnęliśmy. Tego Adama, te jego pieniądze, a przede wszystkim przyczyny tej całej cholernej historii.

– To ty to wszystko wiesz? – zdziwił się Jacek.

– A jak myślicie, po co pojechałam do tego Paryża?

Młodzi spojrzeli po sobie, wymieniając niedwuznaczne spojrzenia. Myśleliśmy...

– Nie czas na żarty – przerwała poirytowana Zofia. – Otóż, do Paryża pojechałam po to, żeby spotkać się z dawnym znajomym waszego ojca i Adama, czy jak mu tam?

– To jak on się wreszcie nazywa? – dopytywał syn.
– Ale kto? – próbowała sprecyzować pytanie matka. – Adam, czy ten znajomy?
– Ja pytam o Adama – odpowiedział syn, – ale niech będzie i znajomy.
– Nazwiska Adama niestety nie poznałam, a ten znajomy to niejaki Jan Nowicki, którego wcześniejsze nazwisko będzie znał wasz ojciec.
– Ojciec, a co on ma z tym wszystkim wspólnego? – wtrącił Jacek.
– Synku nie bądź idiotą. Jak ci, wam się wydaje, czemu ten człowiek podarował nam te pieniądze nie chcąc niczego w zamian? A wierzcie mi, filantropem to on nie jest.

Zofia nie czekając na odpowiedź ciągnęła dalej. Opowiedziała dzieciom wszystko, czego dowiedziała się w Paryżu o przeszłości ojca.
– A to ci historia, no, no! Jak w jakimś melodramacie – rozrzewniła się dziewczyna.
– Sami teraz widzicie, w co za sprawą waszego ojca wdepnęliśmy.
– No może pośrednio. Przecież on był nieświadomy całej tej sytuacji – próbowała tłumaczyć Agata.
– Ty go córciu nie broń. Jak by panował nad tym swoim kut..., nad swoimi uczuciami – zreflektowała się, – to by do tego nie doszło.
– Przez ciebie mamo emocje przemawiają, nie rozum – zauważył Jacek. – Faktem jest, że to wszystko dzieje się za jego przyczyną, ale to było wieki temu. Wydaje mi się, że to raczej Adamowi odbiła palma, skoro po tylu latach chce mu się odgrzewać te kotlety i załatwiać stare porachunki kosztem Bogu ducha winnych ludzi. Naszym kosztem – sprecyzował.
– Może to była ta jedna, jedyna, wymarzona? Swoją drogą musiał ją bardzo kochać. Musieli – poprawiła się. – A może nie musieli?!... Ciekawe, którego z tych dwóch panów Małgorzata kochała bardziej? – snuła domysły Aga, nie bardzo zainteresowana rozmową z pozostałymi uczestnikami spotkania.
– To teraz nieważne – ucięła rozważania Zofia.
– Ale jakie romantyczne – rozmarzyła się panienka.
– Ty młoda, wracaj mi szybko na ziemię, bo my tu o ważnych rzeczach musimy rozmawiać. To nie są jakieś tam towarzyskie pogaduszki, my musimy w końcu coś postanowić – rzeczowo przypomniała matka.
– Ty już na pewno coś wymyśliłaś – powiedziała pewna swoich racji córka.
– A jakże! Słuchajcie.

Tu Zofia przedstawiła dzieciom sposób, jak wyrwać się z całej tej matni.
– Może to i dobre – niepewnie poparli propozycję matki – ale…
– Otóż zapewniam was, że tu nie ma żadnego „ale" – szorstko przerwała rozważania obojga dzieci. – Tu nie ma nad czym się zastanawiać i deliberować. Ojciec dorosły jest i sobie poradzi.
– Może i tak, gdyby nie ta choroba – przypomniała Agata.

– Choroba ustąpiła. Byliście przecież świadkami wczorajszego wieczoru. Nieprawdaż? Czy tak zachowuje się chory człowiek? Jadł jak wieprz, pił jak wielbłąd, bo w przeciwieństwie do wielbłąda on może pić codziennie – musiała sobie pozwolić na uszczypliwość – i tryskał humorem jak rzadko kto – nader dosadnymi słowy zobrazowała stan samopoczucia wyniszczonego przez chorobę ojca. – I na koniec chciałabym was zapytać, chociaż sądzę, że to pytanie czysto retoryczne. Czy wolicie te beztroskie życie w luksusie, czy tamte wcześniejsze, o głodzie i chłodzie?

– Teraz to już trochę przesadziłaś mamo – zauważył Jacek.

– No może trochę – przyznała, – ale porównania nie ma żadnego.

– Co fakt to fakt – zgodzili się oboje.

– Mogę wiec rozumieć, że sprawa postanowiona? – spojrzała po dzieciach szukając w ich oczach potwierdzenia.

Wymowny gest głową oraz spuszczone na oczy firanki, dawały ciche przyzwolenie, na realizację matczynego planu.

– Mam wam jeszcze coś do powiedzenia i proszę potraktujcie to bardzo poważnie. Wiecie, że pojutrze mamy spotkanie z tym… – szukała w głowie stosownego określenia na niedawnego jeszcze dobrodzieja, – z tym „Lucyperem". Wyobraźcie sobie, co on wymyślił.

– Cóż on jeszcze mógł wymyślić? – z wyrazem lekceważenia na twarzy zastanawiała się Agata.

– Pamiętacie tę sytuację, kiedy Rajmund przyniósł przesyłkę od Adama. Zapewniałam was wówczas, że w stosownym czasie wrócimy do tego tematu i właśnie to jest ten czas. Otóż w przesyłce tej, oprócz listu, były przygotowane trzy koperty. Ma się rozumieć, na decyzje dotyczące naszych przyszłych losów. To znaczy, przyszłych losów waszego ojca – doprecyzowała problem. – Pomagamy mu, czy nie? Dzisiaj, najpóźniej jutro musimy zdecydować. Teraz już sami widzicie, że nie ma żartów. Każdy z nas musi postanowić o losie Stefana, ale i o własnym. Wiem, że ten człowiek zachował się okrutnie stawiając nas pod ścianą, ale tego nie zmienimy. Takie są fakty.

– Co on sobie wyobraża? Za kogo się uważa. Próbuje nas poróżnić, rozbić naszą rodzinę. Jak on nas traktuje? – oburzyła się Agata.

– Chyba tak, jak na to zasługujemy – zauważył Jacek.

– Ty młody nie filozuj, tylko zastanów się jaką podejmiesz decyzję.

– Ale przecież ty, razem z mamuśką stoicie przed tym samym dylematem, więc nie próbujcie zrzucać całej odpowiedzialności na mnie – bronił się chłopak.

– Dosyć tego – przerwała swary Zofia. – Na podjęcie ostatecznej decyzji zostało nam naprawdę niewiele czasu – próbowała uzmysłowić dzieciom powagę sytuacji. Możemy wspólnie się dogadać lub każdy zdecyduje oddzielnie.

– No to pięknie. Wiemy przecież, że musimy coś postanowić, bo nie sądzę, żeby

drugi raz udało nam się wyłgać – powiedział Jacek.
– Chcecie o tym porozmawiać? – zapytała matka.
– Nie. Na dzisiaj mamy już chyba dość poważnych rozmów. Może przełóżmy, to na jutro. Dobrze mówię, siostra?

Brat spojrzał na Agatę takim wzrokiem, że ta nie była w stanie nie zgodzić się z nim.
– Tak, myślę, że to dobra propozycja. Prześpimy się z tematem i jutro coś postanowimy.
– Jeżeli tak chcecie to wasza wola – zaaprobowała pomysł matka. – Jutro po śniadaniu zbierzemy się wspólnie przy stole i podejmujemy ostateczną decyzję.
– Zaraz po śniadaniu. Nie można później? – zapytał Jacek.
– A no nie, kurwa, nie można! – warknęła poirytowana rodzicielka. – Wiem, że mamy na to cały dzień, ale musimy się dobrze zastanowić. Ja już mam tego wszystkiego dosyć, jestem zmęczona całą tą sytuacją.
– Ok. Niech się stanie wola twoja – mruknęli pod nosem i rozeszli się do swoich pokoi dźwigając na plecach ciężar odpowiedzialności za przyszłe losy swoje i ojca.

Co zrobić? Jak zdecydować? – zadawali sobie pytania, na które nie było prostych odpowiedzi. Każdy z mieszkańców „domu pod lasem" miał przed sobą długą noc. Może sen podpowie rozwiązanie?

Młodzi Mocni, mimo wewnętrznych rozterek moralnych, nie mieli kłopotów ze snem. Gorzej było z Zofią. Ta pół nocy straciła na rozmyślaniach układając strategię na rano. Rozpatrywała różne warianty, ale żaden jej nie zadowalał. Mocna nie musiała udawać, że zależy jej na losie byłego męża i zdecydowana była podpisać się obiema rękami pod zakazem wspierania Stefana, ale dzieci? Te musiała przekonać do takiej decyzji. Muszę użyć jakiegoś podstępu – pomyślała. – One są jeszcze takie naiwne i ufne. Nie do końca zadowolona z siebie, nad ranem wreszcie zasnęła.

Śniadanie spożywali w milczeniu. Nikt jako pierwszy nie chciał poruszać drażliwego tematu, ale ktoś musiał zagaić. Jak można się było spodziewać, zaczęła matka.
– Czy zdecydowaliście już o przyszłych losach ojca, a co za tym idzie i swoich? Wiecie, że dopisek dotyczący sponsorowania Stefana pozbawia automatycznie wszelkich środków finansowych każdego, kto zdecyduje się na taki krok. Ponadto nikt z pozostałych członków rodziny, nie ma prawa wspomagać takiej osoby z uwagi na podobne konsekwencje.
– Ależ mamo – próbowała wtrącić coś Agata, lecz ta natychmiast przerwała córce.
– Wiem, jak to brzmi i jak wygląda, ale my nie mamy żadnego wyjścia, żadnego wyboru. Czy chcecie powrócić do tej biedy? Czy nie wolicie opływać w

dostatkach? Ojciec sobie poradzi, będzie musiał. Przecież to dorosły, zaradny mężczyzna – przekonywała potomstwo.

Kiedy wypowiadała te słowa, na jej zbolałej twarzy pojawiło się niewymowne cierpienie, a oczy zaszły łzami. Dzieciom autentycznie serca zmiękły i zrobiło żal matki. Zofia spojrzała ukradkiem na dzieci, żeby przekonać się, jakie wrażenie wywarły na nich jej słowa. Była zadowolona z dramatu, który odegrała i ze swoich wrodzonych zdolności aktorskich.

– No tak, tylko ta choroba? Przecież jej sobie nie wymyślił – stwierdził, bez zbytniego przekonania adwokat ojca.

– No masz, a ten dalej swoje. Jeżeli rozumiecie powagę sytuacji, to zdecydujecie tak, jak ja – stanowczym głosem przerwała dalsze rozważania.

Po tym stwierdzeniu, Zofia wstała od stołu, zamierzała pójść do kuchni zaparzyć kawę i dać potomstwu chwilę czasu na zastanowienie się. Misternie uknuty plan nie do końca zadziałał, ale zarzucona przynęta spełniała swoją rolę.

– Czyli, jak? – zapytał syn zanim matka zdążyła zniknąć w bezpiecznym wnętrzu kuchni.

W przypływie złości Zofia chciała naskoczyć na Jacka, ale ostatkiem sił udało się jej opanować emocje. Zatrzymała się, chwilę postała odwrócona plecami do dzieci przełykając żółć, która ją zalała, po czym odwróciła się. Na jej twarzy malowała się dobroć, połączona ze smutkiem i niewypowiedzianą boleścią.

– Synu – powiedziała łagodnym tonem, – my zmuszeni jesteśmy odmówić pomocy waszemu ojcu, ale tylko na razie – dodała spiesznie, pozostawiając otwartą furtkę, czyli nadzieję na przyszłość. – Specjalnie, użyłam zwrotu na razie, albowiem, kto wie, co jeszcze nieprzewidzianego może się wydarzyć? Co nam los przyniesie? Jeżeli tylko nadarzy się okazja i możliwość pomocy, to na pewno wszyscy chętnie to uczynimy, ale nie teraz! Teraz nie stać nas na taki gest. Rozumiemy się?

– Tak, chyba tak – odpowiedziały zrezygnowane dzieci, zastrzegając sobie....

– Ale jak nadarzy się okazja...

– Będę pierwsza do pomocy – oferowała się rodzicielka.

Dzień dłużył się Mocnym straszliwie. Nikt nie mógł znaleźć dla siebie miejsca w domu. Każdy myślał o czekającej ich, krępującej rozmowie – dzieci z ojcem, i Zofii, co prawda z byłym, ale zawsze to małżonkiem. Atmosfera przygnębienia, zażenowania oraz wyrzuty sumienia towarzyszyły wszystkim naraz i każdemu z osobna. Zofia, czując na sobie brzemię odpowiedzialności za wymuszoną na dzieciach poranną decyzję, zebrała się w sobie i przemówiła.

– Widzę, że jest wam ciężko, że macie wyrzuty sumienia. Zapewniam was, że tak będzie najlepiej dla nas wszystkich. Tylko tak możemy pozbyć się naszych problemów. Nie chcę źle mówić o waszym ojcu, lecz sami widzicie – on zatracił

się. Z każdym dniem pogrąża się coraz bardziej i nas może pociągnąć za sobą. On nigdy się nie zmieni. Jeżeli postanowilibyśmy inaczej życie nasze zostałoby wywrócone do góry nogami. Powtarzam raz jeszcze, rozumiem wszystkie wasze rozterki, ja też je mam, ale tak trzeba – przekonywała.

Argumenty matki z wolna docierały do świadomości dzieci, szkoda tylko, że sumienia nie były w stanie uciszyć.

Rozdział XXIII

W czasie, kiedy Mocni przeżywali psychiczne tortury Stefan w wybornym nastroju raczył się koniaczkiem. Co ona wymyśliła? – zastanawiał się. To jedno pytanie nie dawało mu spokoju. Jako przezorny gracz wolał być przygotowanym na każdą ewentualność, na każdą propozycję rodziny, bowiem nie ukrywał, że bardzo mu zależało, aby była po jego myśli. Mimo, że koniak znacznie podniósł zdolności analityczne jego umysłu, to i tak nie mógł znaleźć punktu zaczepienia. Gdyby to była normalna kobieta, raz dwa bym ją rozszyfrował. Ale Zofia? Ta jest nieprzewidywalna. Nigdy nie wiadomo czego można się po niej spodziewać – stwierdził bezradny. – Ta kobieta to zagadka, jest jak tajemnica, którą trudno rozwikłać.

Na rozmyślaniach, no i oczywiście zasilaniu kasy Polskiego Monopolu Spirytusowego, upłynął mu długi poranek. Zbliżała się pora obiadu. Stefan przetrącił, co nieco, lecz nie objadał się zbytnio licząc nieśmiało na kolację u Zofii. Zamówił kwiaty, francuskie perfumy, wybrał odpowiedni trunek, przygotował stosowne do swojej pozycji społecznej ubranie i czekał.

Do dziewiętnastej została niecała godzina, a u Mocnych nikt nie zastawia stołu, nie szykuje żadnego poczęstunku. Oj, Stefan będzie zawiedziony, bardzo zawiedziony i to nie tylko brakiem kolacji... Ostatnie minuty ciągnęły się wszystkim w nieskończoność. Każdy z domowników chciałby mieć tę przykrą rozmowę już za sobą.

Około godziny zero „uzbrojony po zęby", przygotowany na wszelkie ewentualności, wyluzowany niespiesznie skierował swe kroki do „domu pod lasem". Kilka minut przed dziewiętnastą zadzwonił do drzwi.

Troje wyczerpanych psychicznie mieszkańców willi, sprawiało żałosne wrażenie. Ich nieszczęsny widok, niezbicie świadczył o tym, że decyzja, jaką wspólnie podjęli przy śniadaniu, wielce ciążyła im na sumieniach. Na dźwięk dzwonka poderwali się nerwowo z krzeseł.

– Jacek otwórz ojcu – zakomenderowała Zofia sama nerwowo podnosząc się z siedzenia.

Po kilku chwilach oczekiwania w drzwiach pojawił się Stefan. Wydawał się być w doskonałym nastroju Z gębą uśmiechniętą od ucha do ucha wszedł

śmiałym krokiem między domowników. W jednej ręce trzymał przepiękny bukiet kwiatów, w drugiej bardzo drogi markowy alkohol, tylko dzieciom nie przyniósł żadnych zabawek ani słodyczy. Po prostu z przejęcia zapomniał.

A cóż to za garnitur? – zauważyła znana z dobrego gustu gospodyni. Chyba naprawdę musi być z nim krucho, żeby włożyć na siebie coś takiego? Zgroza – pomyślała. Mocny długo szukał w zakamarkach szafy czegoś stosownego na taką okoliczność, i chyba mu się udało, bowiem zrobił na wszystkich piorunujące wrażenie.

– Witajcie kochani – od progu tryskał humorem w przeciwieństwie do domowników, których minorowe miny świadczyły o wielkim stresie. – Czy coś się stało? – zapytał z nieukrywanym wyrazem zafrasowania na twarzy. – Jakoś źle dzisiaj wyglądacie. Może, to niestrawność po wczorajszej kolacji – zatroskał się o zdrowie rodziny. – Nasze… wasze organizmy nie są przystosowane do trawienia takiego paskudztwa. Trzeba dużo popijać alkoholem – dworował sobie.

– Nie, to nie to. Jest inna przyczyna, dużo poważniejsza. Wejdź tato – zapraszał przybity odźwierny.

Stefan wszedł do salonu i ze smutkiem stwierdził, że na kolację nie może liczyć. Nie tracąc rezonu obdarował gospodynię kwiatami oraz przepięknym flakonikiem perfum, alkohol zaś ostentacyjnym gestem postawił na pustym stole.

– Koniak można pić do wszystkiego – zażartował.

– Jakie piękne kwiaty i perfumy – spojrzała na prezent z podziwem. – Wiesz jakie lubię, ale one są bardzo drogie, skąd ty…?– Nie trzeba było – powiedziała nieco zmieszana.

– Oj trzeba, naprawdę trzeba – Stefan wiedział co mówi.

Mocny, nawet nie próbował ułatwiać życia rodzinie. Wszyscy troje gdyby było to możliwe, w tym szczególnym momencie woleliby zapaść się pod ziemię, aniżeli patrzeć w oczy przybysza i znosić nieziemskie katusze.

– Siądźmy proszę – używając oficjalnej formy Zofia wskazała gościowi miejsce przy stole.

– Jakaś ciężka atmosfera zapanowała dzisiaj w waszym domu. Zupełnie różna od wczorajszej – stwierdził. – Czy coś się stało? – dopytywał wyraźnie strapiony. – Jacek przynieś z łaski swojej kieliszki, może lampka koniaku rozładuje, tę nieco napiętą atmosferę – doradzał.

Jacek, nauczony doświadczeniem, bez posiłkowania się przyzwoleniem matki, poderwał się z siedzenia, lecz ta chłodnym wzrokiem powstrzymała jego zapalczywość.

– Na koniak przyjdzie czas może nieco później. Na razie porozmawiajmy – zaproponowała, przyjmując poważny wyraz twarzy.

Stefan poprawił się na krześle, dopasował swój stan emocjonalny do pozostałych członków rodziny i czekał, co będzie dalej. Chyba o jakąś ważną rzecz chodzi,

bo wyglądają jak siedem nieszczęść – pomyślał. Przecież próbowałem im pomóc, ale odrzucili wyciągniętą ku nim pomocną dłoń. Teraz niech sobie sami radzą – zdecydował. Czas dłużył się obecnym, a rozpocząć nie było komu, chociaż z góry było wiadomo, że moderatorem spotkania będzie pani domu. Tak zdenerwowanej, rozstrojonej Zofii Stefan nie widział nigdy, choć wiele razy dawał jej ku temu powody. Widząc, że to naprawdę nie przelewki, próbował uspokoić eksmałżonkę.

– Zofio, zgaduję, że wydarzyło się coś ważnego, coś bardzo ważnego i rozumiem, że dotyczy to mnie albo naszej rodziny, bo w takim stanie, mimo wieloletnich usilnych starań, nigdy ciebie nie widziałem.

Na twarzy nieszczęsnej kobiety pojawił się żałosny uśmiech.

– Od czego by tu zacząć?

– Wnioskuję po twoim zachowaniu – przerwał Stefan, – że sprawa dotyczy jakiejś istotnej i bardzo delikatnej materii. Nie musisz niczego owijać w bawełnę, wal prosto z mostu. Najlepiej będzie jak zaczniesz od początku – robił, co mógł, żeby ośmielić byłą żonę.

– No dobrze, skoro nalegasz. Kilkanaście miesięcy temu dostaliśmy bardzo intratną propozycję finansową od jakiegoś tajemniczego mężczyzny …

Zofia długo opowiadała historię związana z darowizną, oczywiście świadomie pomijając główny jej zapis i pozostawiając na koniec informację dotyczącą osoby darczyńcy, aż dotarła do momentu spotkania z Nowickim w Paryżu.

– Ten Jan Nowicki, vel Stefan Lopa, jak go zwał, tak go zwał, opowiedział mi ciekawą historię dwójki przyjaciół.

– A cóż to za historia? – zainteresował się

– Ta historia dotyczy ciebie i tego darczyńcy.

– Przyznam, że nie rozumiem. Co ja mogę mieć wspólnego z jakimś porąbanym dobroczyńcą? – bronił się.

– A masz, dużo masz. Komu to przed laty odbiłeś w Paryżu narzeczoną?

Stefanowi na chwilę mowę odjęło.

– A skąd ty o tym wiesz? – zapytał nieco ochrypniętym głosem.

– Od twojego dawnego znajomego! – wykrzyczała z triumfem w głosie. – Od tego Janka.

– Ten dureń nigdy nie umiał trzymać języka za zębami. Należało mu go wyrwać już dawno temu, jak była ku temu okazja – stwierdził ze złością.

– I powiedział mi coś jeszcze – ciągnęła, skoro raz już rozpoczęła.

– Cóż jeszcze? Było minęło, przebrzmiała historia. Nie ma do czego wracać. Ja dawno zapomniałem, choć przyznaję, że wiele mnie to kosztowało.

– Ty może tak, ale „Adam dobroczyńca" nie zapomniał.

– No to ma chłop problem – próbował zbagatelizować sytuację.

– Nie kochaniutki, mylisz się. Nie on ma problem, lecz ty! – grzmiała. – To ty dawno temu zmieniłeś bieg historii. Wywróciłeś do góry nogami jego życie! To ty jesteś przyczyną tych wszystkich byłych i obecnych nieszczęść.

Zarzuty Zofii brzmiały bardzo poważnie, więc Stefan słuchał pokornie i w milczeniu. Nareszcie, kiedy powiedziała wszystko, co miała do powiedzenia i zabrakło jej tchu w piersi, głos zabrał oskarżony.

– Ja, może zrobiłem coś dawno temu, coś, z czego nie do końca mogę być dumny, ale żebyście wy musieli z tego powodu cierpieć? – dopytywał zdziwiony.

– Czemuż to? Jakim to sposobem? – wytłumacz mi.

– A takim, że tym darczyńcą, mścicielem jest ten twój były przyjaciel – Adam. Czy możesz mi powiedzieć jak on się naprawdę nazywa?

– Niestety tego nie mogę uczynić.

– To może i ty masz zmienioną tożsamość? – olśniło Zofię.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Stefan spuścił wzrok i milczał.

– Z kim ja żyłam przez tyle lat? W co ja się wpierdoliłam?! W co ty nas wszystkich wpierdoliłeś?! – nie owijała w bawełnę jak sobie wcześniej tego życzył.

– Ależ nie unoś się tak. Uspokój się – prosił.

– Ja nie unoszę się. Ja jestem wkurwiona jak sto pięćdziesiąt, wściekła! Najchętniej, rozszarpałabym cię tymi rękami – sapała ze złości, wyciągając jednocześnie delikatne dłonie ku szyi winowajcy, sprawcy całego zamieszania.

– Jeszcze raz ci tłumaczę. Tamto wszystko to przeszłość, nie musisz niczego się obawiać – zapewniał.

– Gdyby tak było, to nie siedzielibyśmy dzisiaj tutaj i nie wracali pamięcią do tamtych wydarzeń. To właśnie ta twoja, wasza, wspólna przeszłość zatoczyła koło i powróciła. Odnalazła ciebie, odnalazła nas i upomina się o jakąś chorą sprawiedliwość dziejową i w dodatku każe sobie słono za nią płacić.

– Zaraz, zaraz. Z tego, co mówiłaś wynikało, że to Adam zaproponował wam pieniądze, a nie odwrotnie. Nie wiem, co się za tym kryje i jaki miał w tym interes, ale....

– A widzisz – przerwała. – Powoli dochodzimy do sedna sprawy.

– Czy ja mogę prosić o lampkę koniaku i więcej szczegółów? – zwrócił się do syna.

Ten odruchowo spojrzał na matkę.

– Czy ty całe życie będziesz trzymał się maminej spódniczki i słuchał jej rozkazów? Wydoroślej wreszcie! – tym razem nie wytrzymał napięcia Stefan.

Syn lekko dotknięty słowami ojca poszedł po szkło.

– Zróbmy chwilę przerwy w tej pogmatwanej historii. Lampka koniaku dobrze nam zrobi. Jeżeli nie wam, to na pewno mnie – zapewniał.

Przyznać należy, że młodzieniec uwinął się chyżo zmobilizowany słowami ojca. Stefan duszkiem wypił pierwszą lampkę i poprosił o drugą. Jacek

polał bez szemrania. Pozostali uczestnicy spotkania sączyli trunek nie mając zielonego pojęcia co piją, a szkoda, bo byle smakosz od razu poznałby z czym ma do czynienia.

Rozczarowany gość wychylił kolejną lampkę i przeszedł do rzeczy.

– Na czym to stanęliśmy? A już wiem – odpowiedział sam sobie – Dochodzimy do sedna. To, co tam trzymasz w zanadrzu Zofio? Czym mnie jeszcze zaskoczysz? – bez ogródek zapytał sprawiając wrażenie pozbawionego emocji.

– Czy do tej pory jest ci wszystko zrozumiałe? – chciała się upewnić.

– Do tej pory jest mi wszystko obojętne – odparł grubiańsko.

– Zaraz przestanie – zapewniała była żona.

Z każdą kolejną chwilą, Zofia nabierała śmiałości i pewności siebie. Stefan zaś odwrotnie. Tracił rezon, mimo krążącego wesoło w jego żyłach koniaku.

– Wyobraź sobie, że ten twój Adam dając nam te pieniądze poczynił jedno zastrzeżenie, bardzo istotne zastrzeżenie, istotne dla ciebie.

– Wiem, nie mów, niech zgadnę.

Pomyślał chwilę, odruchowo poprawił palcami włosy, uśmiechnął się do oczekujących w napięciu odpowiedzi i rzekł.

– Macie się mną opiekować do końca życia. Zgadłem? Ile wygrałem?

Zofia wpadła w prawdziwą furię. Jad sączył się kącikami jej ust i kapał na podłogę. Stojąca w kałuży toksyn, szukała słów.

– Otóż muszę cię rozczarować, bardzo rozczarować – syczała. – Jedyny warunek, jaki postawił ten darczyńca, to taki, że żadne z nas nie może dać ci złamanego grosza – doprowadzona do wściekłości ostatnie słowa wypowiadała niemal z satysfakcją.

– A to fiut! Kutas złamany – przeklinał. – To już szczyt podłoty, skurwysyństwa i wyrachowania. Tak perfidnie ze mną pogrywa, zobaczymy jeszcze czyje będzie na wierzchu! – odgrażał się.

– A wiesz ty może, za co on tak ciebie nienawidzi?

– No jak to, za co? Nooo, za Małgorzatę, ale on miał takie samo prawo do niej, jak ja. Obaj ją kochaliśmy – bronił się.

– Może i tak. Tylko, że to ty wpierdoliłeś się z buciorami w ich życie i to ty zniweczyłeś jego marzenia oraz plany na przyszłość.

Stefan na takie dictum nic nie odpowiedział.

– A czy ty wiesz, że kilka miesięcy po waszym wyjeździe, Małgorzata powiła córkę.

Tego było już za dużo, nawet dla, sprawiającego wrażenie obojętnego, Stefana. Porwał butelkę ze stołu, przytknął do ust i pociągnął spory łyk jej zawartości. Tego czasu potrzebował bardziej na pozbierania myśli, aniżeli ugaszenie pragnienia.

– Jak to powiła? Jaką córkę? Pierwsze słyszę. Ale czyje to dziecko? – dopytywał.
– W tym rzecz, że Adam nigdy nie chciał zrobić badań DNA, ale traktuje ją jak rodzoną. Zrozum, odbiłeś mu narzeczoną, zrujnowałeś przyszłość. Jeszcze tego brakowało, żebyś odebrał jedyne, co pozostało mu, z jego wymarzonego świata, to dziecko.
– Jak to jedyne? To on nie jest z Małgorzatą?
– Małgorzata kila lat po urodzeniu Sabinki zginęła w wypadku samochodowym.
– Dużo tego jak na jeden wieczór – stwierdził wycierając pot z czoła.
– Będzie jeszcze więcej – pastwiła się nad ofiarą.
– To jeszcze nie koniec – spytał wylękniony.
– A no nie. Adam musiał zadać sobie wiele trudu, żeby odpłacić ci pięknym za nadobne. On, w przeciwieństwie do ciebie bardzo kochał Małgorzatę.
– Co ty tam wiesz? – wymamrotał zrezygnowany.
– Wiem,co wiem. Ty pozbawiłeś go rodziny, a on próbuje odpłacić ci tym samym.
– Jak sama zauważyłaś – tylko próbuje.
– Obawiam się, że to mu się udało – nie spojrzała Stefanowi w oczy, podobnie jak ubezwłasnowolnione dzieci.
– Poczekajcie – poprosił Stefan podchodząc do stołu i sięgając po butelkę. – Muszę się napić, żeby to wszystko, o czym mówicie, na trzeźwo zrozumieć. Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że dla mamony – tu zwrócił się do latorośli – odwrócicie się ode mnie, że pozostawicie mnie samego, bez wsparcia. – młodzi siedzieli zawstydzeni, z oczami wbitymi w podłogę. – Ależ zrozumcie, to, co zarzuca mi ten psychol, wydarzyło się dawno temu. Ja o niczym nie wiedziałem. Ot historia nieszczęśliwej miłości, historia jakich wiele w pewnym okresie życia. Nie pozwólcie, aby jakiś zapamiętały maniak wam to robił, żeby rządził waszym życiem. O ile matkę mogę zrozumieć, bo zdaję sobie sprawę z tego, że nie byłem najlepszym mężem, to was nie. Do końca życia swego będziecie musieli żyć ze świadomością, że dla kasy wyrzekliście się ojca. Zapewniam, że nigdy od tego nie uwolnicie się, a zgryzoty i wyrzuty sumienia będą towarzyszyły wam do końca dni waszych. Ja potrzebuję was, potrzebuję waszego wsparcia, waszej pomocy. Przyznaję, że przez pewien czas byłem w dołku, byłem w depresji, zrezygnowany. Chciałem skończyć ze sobą, ale nie! Popełnić samobójstwo? Żeby was ludzie palcami wytykali, na języki wzięli? Pragnąłem odejść wesoły, żyć do końca pełnią życia. Teraz odbieracie mi wszelką nadzieję. Muszę przyznać, że dopadły mnie demony przeszłości. Przegrałem i muszę ponieść konsekwencje. Czy to jest ostateczna decyzja? – zapytał z rezygnacją w głosie. – Chciałbym usłyszeć to z waszych ust, nie matki. Proszę tylko o jedno, zastanówcie się dobrze zanim odpowiecie. Przecież jesteście młodzi, wykształceni, życie przed wami. Czy na pewno chcecie korzystać z dóbr, które okupić musicie taką ofiarą? Jaką macie gwarancję, że mając teraz mniej nie zyskacie więcej w przyszłości? *„Nie*

ten jest biedny, kto mało posiada, ale kto zbyt wiele pragnie". Zrozumcie jedno! Ten podły człowiek, mszcząc się na mnie za błędy młodości, poświęcił was! To wy, wcześniej lub później, będziecie kozłami ofiarnymi jego paranoicznej żądzy odwetu. Spójrzcie na siebie! Od kiedy dostaliście te pieniądze, czy, poza zaspokajaniem własnych próżniaczych potrzeb, coś dobrego zrobiliście dla „ludzkości"? Te pieniądze, pewnie, że duże, przecież kiedyś się skończą i co wtedy? Pójdziecie po wsparcie do swoich dzieci?! I czego się spodziewacie, co one wam odpowiedzą? Żeby uzmysłowić wam sytuację i zobrazować to dwuznaczne, pozorne bogactwo, przytoczę słowa Wyspiańskiego *Miałeś, chamie, złoty róg, miałeś, chamie, czapkę z piór: czapkę wicher niesie, róg huka po lesie, ostał ci się ino sznur, ostał ci się ino sznur.*

Mocni nie próbowali nawet przerywać wykładu. Bez wielkiego zaciekawienia, ale jednak uważnie słuchali wywodów ojca. Na ich twarzach delikatnie zarysował się wyraz zażenowania. Zofia stała się jakaś nieobecna, a Stefan kontynuował.

– Przecież on was ubezwłasnowolnił, uzależnił od siebie i swojego widzimisię. On robi wszystko, żeby was upodlić, odebrać godność. Wyrzec się rodziciela, spuścić się na łaskę i niełaskę jakiegoś niezrównoważonego psychicznie, popaprańca – tego chcecie? Czemu zabronił wam podjęcia jakiejkolwiek pracy, czy działalności gospodarczej? Wiecie czemu? Powiem wam! Bo chce mieć nad wami pełnię władzy. To bogactwo, którym się teraz cieszycie jest fasadowe, pozorne i pęknie jak bańka mydlana. Zaklinam was, nie róbcie tego, bo będziecie w przyszłości bardzo tego żałować. Wiem, że nie byłem dobrym mężem, ale ojcem może nie aż takim złym, zawsze pragnąłem waszego szczęścia. I dzisiaj apelując do was, do waszych sumień, zaklinam – opamiętajcie się, a wypowiadam te słowa nie z myślą o sobie...

Znacie z książek Fausta albo Pana Twardowskiego? Chociaż z jakichś ustnych przekazów, znacie?! – spojrzał na dzieci przenikliwym wzrokiem.

– Noo, tak, o tyle o ile – bąknęły pod nosem.

– Ale, mniej więcej wiecie o co chodzi w jednej i w drugiej historii.

– Wiemy – odpowiedziały chórem.

– W takim razie zapytam tak, czy nie dostrzegacie żadnych analogii między tamtymi fikcyjnymi postaciami, a wami? Jaką macie gwarancję, że to nie jest jakiś sprawdzian z życia, że ktoś się wami nie bawi? Przecież pieniędzy, tak dużych pieniędzy, nikt nie rozdaje na ulicy. Za tym musi kryć się coś więcej. Nie twierdzę, że diabeł was opętał i czyha na wasze dusze, ale zastanówcie się! Przecież zmierzacie ku zatraceniu. Ja nie potrzebuję od was niczego poza odrobiną ciepła. Wasze pieniądze mnie nie wyleczą, wyleczyć możecie mnie wy – spojrzał z nadzieją po wszystkich.

Gdy Stefan przemawiał był wielki, kiedy skończył, spoczął na krześle

wyczerpany, skarlały, opuszczony. Nalał sobie i wypił.
– Rozgadałem się trochę – powiedział smutnym głosem. – Czas już na mnie. Kolacja była naprawdę przepyszna, ale ta wczorajsza żaba była o wiele łatwiejsza do przełknięcia.

Wstał od stołu, dopiął przykusą marynarkę, zakręcił butelkę, którą przyniósł ze sobą, po czym skrył ją w zakamarkach dziurawej kieszeni i skierował swe kroki ku wyjściu. Wierna towarzyszka niedoli, dyskretnie wystawiwszy łebek z bezpiecznej kryjówki, przyglądała się z politowaniem, upodlonym Mocnym. *Nie martwcie się o Stefana, ja go pocieszę* – zapewniała na odchodne, przechylając wesoło główkę, to w prawą to lewą stronę.

Kiedy rozgoryczony Stefan wyszedł, w domu powiało chłodem.

W centrum posępnej ciszy panującej w salonie stali słabi i głusi i ciągle słyszeli słowa wypowiadane przez Mocnego *wasze pieniądze mnie nie wyleczą, wyleczyć możecie mnie wy.*

Fizycy zjawisko takie nazywają echem, etycy sumieniem.

Rozdział XXIV

Było dobrze po jedenastej jak zadzwonił telefon. Rajmund obudzony w towarzystwie „zespołu dnia poprzedniego" głośno pomstował na życie, potem długo zbierał się w sobie, zanim ruszył do aparatu.
– Tak, słucham
– Tuuuuu, tuuuuuu – usłyszał w słuchawce.
– Co za niecierpliwi ludzie – zżymał się.

Ledwo doczłapał do łóżka, jak telefon ożył ponownie.
– Co u licha, uwzięli się czy jak?

Powłócząc nogami, lecz tym razem w nieco szybszym tempie – zdążył przed zamknięciem.
– Krakowski, Rajmund Krakowski przy telefonie, z kim mam przyjemność? – sztywnawy nieco jęzor z lekka deformował artykulację.
– To ja Zofia – usłyszał w słuchawce przejęty kobiecy głos. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam bardzo ważną sprawę. Czy mogłabym wpaść do ciebie?...
– Teraz nie – przerwał bezpardonowo. – Jestem zajęty, bardzo zajęty.
– To może później? Za godzinę lub dwie?

Rajmundowi ciężko było pozbierać myśli, jeszcze trudniej odmówić, a już najtrudniej coś wymyślić na poczekaniu.
– Za godzinkę lub dwie? – powtórzył bezwiednie. – A może ja wpadnę do ciebie? – znalazł wyjście.
– Ależ tak, zapraszam! Tak będzie najlepiej. Wybacz, że ja wcześniej nie ....

– Uspokój się Zosiu, za dwie godziny będę u ciebie – ustalili.

I co teraz? – Rajmund zadawał sobie pytanie podchodząc do lustra. – Wszystko można zmienić, ale serca nie zmienisz... durniu.

Dużo czasu zajęło Rajmundowi wyszykowanie się. Może nie wyglądał perfekcyjnie, ale w miarę na tyle dobrze, by móc pokazać się ludziom.

Około trzynastej zapukał do drzwi sąsiadki. Otworzyła Zofia. Już na pierwszy rzut oka widać było, że coś jest na rzeczy. Rozemocjonowana, rozdygotana była jednym kłębkiem nerwów. Sprawiała wrażenie jakby nie do końca panowała nad emocjami.

– Co się stało Zosiu? Czy jakieś nieszczęście? – dopytywał przybysz.

– Nie, to nie to, co myślisz – zapewniała.

Rajmund nic nie myślał, ale nie wszyscy musieli o tym wiedzieć.

– Wyobraź sobie, że był u nas wczoraj mój były. Co prawda zaprosiłam go, chciałam bowiem załatwić pewną ważną dla mnie i dla mojej rodziny sprawę, ale wszystko potoczyło się nie tak, jak założyłam.

– A cóż to za sprawa wymagająca interwencji twojego byłego? Z tego co mi wiadomo, to nie utrzymujesz z nim żadnych kontaktów, chyba, że się mylę – zastrzegł, sprawiając wrażenie rozczarowanego

– Rajmundzie, to wszystko jest bardziej skomplikowane niż mogłoby się wydawać. Sądziłam, że wymyśliłam sposób na wybrnięcie z – zastanawiała się chwilę – z zastawionej na nas pułapki, z tej niezręcznej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się, ale dochodzę do wniosku, że jeszcze ją pogorszyłam.

– A coś bliżej. Jeżeli mam pomóc, czy chociażby doradzić, muszę znać więcej szczegółów.

– Otóż w tym cały problem – zrobiła zmartwioną minę.

– Przyznam, że nie do końca rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz. Zrozumiesz jak ci wszystko opowiem od początku. Przygotuj się na długą i dość osobliwą historyjkę – uprzedzała. – Mam nadzieję, że po jej wysłuchaniu nie będziesz czuł do mnie obrzydzenia.

– Chyba trochę przesadzasz? Rozumiem, że to jakaś delikatna, osobista i bardzo ważna sprawa, ale przecież nikogo nie zabiłaś.

– Na razie nie, ale kto wie czy wkrótce tego nie uczynię – zastrzegała się nieco zdesperowana.

– No dobrze, już dobrze, – Rajmund przysunął się bliżej przyjaciółki, objął ramieniem i szepnął – opowiadaj, czekam.

Historia Mocnej, z początku nieco chaotyczna, z wolna nabierała rozpędu układając się w logiczną całość. Zaczęła od małżeństwa ze Stefanem, od młodzieńczej miłości, poprzez zdrady, alkohol itp. aż do momentu rozwodu. We wstępie usiłowała malować postać męża w jak najczarniejszych barwach, z tą myślą, żeby móc znaleźć usprawiedliwienie dla swoich późniejszych

nikczemnych postępków. Gdy przerwała na moment by pozbierać myśli, spostrzeżenie swoje wtrącił słuchacz.
– Nie miałaś łatwego życia z tym swoim Stefankiem. Wcale ci się nie dziwię, że zdecydowałaś się na ostateczne rozwiązanie.
– A żebyś wiedział – w teatralnym geście załamała ręce. – Co ja przez niego przeszłam, ile wycierpiałam, ile musiałam znieść wstydu i upokorzeń. Długo by opowiadać. Przyjaciele dawno temu doradzali mi rozwód, ale wiesz jak to jest. Małe dzieci, rodzina, presja społeczna, no i najzwyklejsze poczucie wstydu. Nie jest łatwo podjąć taką decyzję.
– Wiem, wiem – kiedyś też przez to przechodziłem.
– To rozumiesz, co mam na myśli.
– Jak najbardziej – przytaknął Rajmund. – No i co było dalej? – pytał zaciekawiony.
– Po rozwodzie przeprowadziliśmy się z dziećmi do tego domu, Stefan zaś pozostał w starym mieszkaniu.
– To bardzo wielkoduszne z twojej strony – zauważył.
– No nie tak do końca – przyznała. – Jakieś dwa lata temu, w czasie, kiedy byłam z dziećmi na wczasach, Stefan miał wypadek. Wylądował w szpitalu, w którym spędził sporo czasu. Kiepsko z nim było, ale jakoś się wylizał. Kiedy okazało się, że wyjdzie z tego, postanowiłam wyprowadzić się, pozostawiając go samemu sobie. – Wiem, wiem, że to było podłe, ale musiałam tak uczynić. Bóg mi świadkiem, musiałam – Rajmund przez grzeczność nie skomentował bezdusznego zachowania sąsiadki.
– Stać was było na kupno tej posesji?
–.Ja kupiłam ten dom tak jakby na raty – tłumaczyła. – Wpłaciłam połowę kwoty, a resztę miałam spłacać przez dwa lata. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te cholerne redukcje w zakładzie. Od tego momentu zaczęły się moje kłopoty, jakby cały świat sprzysiągł się przeciwko mnie. To była okazja, wyjątkowa okazja, Postanowiłam z niej skorzystać, ale musisz wiedzieć, że dom i ogród wyglądał całkiem inaczej niż teraz. Stara, rozwalająca się rudera stojąca w środku tajemniczego ogrodu potrzebowała ogromnych nakładów finansowych. Nie na darmo ludzie, po dziś dzień, zwą ten dom „domem pod lasem". Obecny wygląd posesji to konsekwencja zdarzeń, do których powoli zmierzam. Pierwsze miesiące po przeprowadzce były naprawdę wspaniałe. Zajęcia wokół domu i w samym domu bardzo mnie absorbowały. Praca, dom, dzieci to było wszystko, czego potrzebowałam do szczęścia. Niestety, sielanka skończyła się z chwilą, kiedy zostałam zwolniona z zakładu. Oszczędności topniały w oczach, a nowego zatrudnienia w żaden sposób nie mogłam znaleźć. Jakieś fatum zawisło nade mną, nad naszą rodziną. Może to kara boska za Stefana – myślałam czasami. Zapożyczyłam się, przyjaciele odwrócili ode mnie, rozumiesz jak to jest być biedniejszym krewnym. W pewnym momencie było z nami tak krucho, że

zdecydowałam się pójść do pośredniaka po zasiłek.
– To musiało być z wami naprawdę kiepsko – Rajmund starał się wejść w skórę Zofii. – Nie było innego wyjścia?
– Wierz mi, że nie. Nasza kasa świeciła pustkami, ba, żeby tylko pustkami, my byliśmy mocno pod kreską. Przyjaciele, co prawda, nie dopominali się zwrotu pożyczek, ale mnie już było wstyd patrzeć im w oczy.
– Doskonale rozumiem – wtrącił. – Przepraszam, przerwałem ci. Opowiadaj, co było dalej? Co z tym zasiłkiem? – dopytywał zaintrygowany.
– No właśnie. Tego dnia, kiedy zdecydowałam się pójść po ten zasiłek – głos załamał się Zofii.

Chwilę przełykała ślinę, chwilę walczyła ze sobą zanim przemogła się. Zaszklone oczy mówiły same za siebie.
– Żebyś ty wiedział, co ja wtedy przeżywałam. Jakie upodlenie, jaki upadek! Nie twierdzę, że to coś złego upominać się o swoje, ale – sam rozumiesz... Dla mnie to była bardzo krępująca sytuacja – spojrzała na Rajmunda szukając w jego oczach zrozumienia.

Rajmund poruszył się lekko w fotelu, zaintrygowany niespodziewanym obrotem spraw.
– Już wchodziłam do budynku, kiedy podszedł do mnie jakiś mężczyzna. Jak się później okazało, był to pełnomocnik tego twojego Adama.
– Adama?... Mów dalej – ponaglał.

Zofia zaczęła opowiadać po kolei, co i jak. Rajmund sprawiał wrażenie zaskoczonego niecodziennym przypadkiem, jaki ją spotkał. Po wysłuchaniu całej historii pozwolił sobie wyrazić opinię na temat dawnego znajomego.
– Ofiarował wam pieniądze, duże pieniądze. Ale na tak nikczemnych warunkach? Przecież on dał wam do podpisania jakiś cyrograf, uzależnił od siebie i swojego widzimisię. Wy sprzedaliście duszę, wybacz, ale tak to wygląda. Jak mógł postawić wam takie warunki? Jak mógł postąpić z wami tak nikczemnie?! Wyrzec się rodziny?! Nie podejmować pracy?! Przecież to ubezwłasnowolnienie. Należało od razu wyrzucić go z domu. – zawyrokował oburzony Rajmund
– Wiem, co masz na myśli, ale widzisz, my byliśmy w takiej sytuacji, że nie mogliśmy nie przyjąć tej darowizny, nawet na tak podłych warunkach. Gdyby nie Adam żylibyśmy w nędzy.
– Może jednak wasza sytuacja nie wyglądała aż tak dramatycznie? Może to jedynie wy postrzegaliście przyszłość w czarnych barwach? Przecież jesteście wykształconymi ludźmi, którzy na utrzymanie powinni zarabiać własna pracą, a nie powierzać swój los jakiemuś obcemu człowiekowi. A co będzie jak mu się odmieni? Z twojej opowieści wynika, że nie jest on do końca zrównoważony psychicznie – zauważył pocieszyciel.
– My mamy podpisaną notarialnie umowę. Tak łatwo nie wymiga się – obstawała

przy swoich racjach.
– Niby tak, ale te nieludzkie warunki – podkreślał Rajmund.
– Ale ja już wątpiłam, nie miałam siły dłużej borykać się z życiem, z tymi cholernymi długami, z tą biedą. Ja nie przywykłam do takiego życia. Jeść byle co, ubierać się w byle co. Ty wiesz jakie to upokarzające? Ta propozycja nie wyglądała z początku tak źle. Co ja mówię źle, wyglądała rewelacyjnie, otwierała przed nami nowe możliwości. Dopiero później wszystko się skomplikowało.
– Zastanów się Zofio, zastanów dobrze i odpowiedz. Czy wasze życie było bardziej skomplikowane wcześniej, czy teraz?
– Nie wiem. Sama już nie wiem, co robić, co o tym wszystkim myśleć. Wcześniej brakowało nam pieniędzy, teraz spokoju. Zamienił stryjek. Czy to życie musi być tak skomplikowane?
– Chyba musi – Rajmund nie próbował rozwikłać problemów egzystencjalnych sąsiadki. – Ale czemu nie masz spokoju? – pochylił się jednak nad nieszczęściem Zofii. – Przecież wystarczy, odwrócić się od Stefana, a wszystkie problemy znikną w jednej chwili, a na dodatek będziecie majętnymi ludźmi, mogącymi korzystać z uroków życia bez żadnych ograniczeń.
– No właśnie, że nie.
– Czemu nie? – dopytał zaciekawiony.
– Nasze miasto jest nieduże i ludzie jak by wzięli nas na języki... Sam rozumiesz?
– A to o to chodzi – Krakowski posmutniał nieco, ale w lot pojął wszystko. – Pozwól, że przytoczę ci pewien przykład z dziewiętnastowiecznej literatury. Oskar Wilde w swojej, skądinąd kontrowersyjnej, powieści „Portret Doriana Graya" obnażył ludzkie słabości. Wszyscy jesteśmy grzeszni i wszyscy ulegamy pokusom. Naturalna skłonność do nikczemności, niegodziwości, sprzedajności sprawia, że mamy potrzebę uchodzić za zacnych, uczciwych i prawych ludzi. Wyobraź sobie teraz taką sytuację. Tytułowy bohater dopuszcza się najprzeróżniejszych nikczemności, czego odzwierciedleniem są zmiany zachodzące na jego portrecie. Każdy zły uczynek pozostawia po sobie piętno, ale on sam pozostawał czysty, nieskazitelny. Kiedy po upływie jakiegoś czasu obejrzał swój wizerunek – struchlał. Maszkara epatująca z obrazu była jaskrawym odzwierciedleniem jego postępków. Dla świata piękny, a wewnętrznie plugawy – moralizował oczytany Rajmund.
– Ale jak to się ma...– Zofia niewiele pojęła z wywodu.
– Pluń na ludzi – objaśnił. – Co ciebie, co was obchodzi opinia ludzi? Wystarczy, że będziecie bogaci, a z czasem o wszystkim zapomną. A, swoją drogą, miast w naszym kraju jest wiele. Sprzedajcie wszystko w cholerę i wyjedźcie. Z czasem zapomnicie o dawnych kłopotach, uśpicie sumienia. Tylko żyć nie umierać. Tego wam Adam nie zabronił? – zapytał na wszelki wypadek.
– Tego akurat nie, ale... – przez chwilę zastanawiała się nad czymś.

— No i już znalazło się wyjście. Nie ukrywam, Adam uknuł bardzo perfidny plan. Mogliście jednak spodziewać się jakiegoś podstępu. Nikt przecież nie rozdaje pieniędzy na ładne oczy, nawet najpiękniejsze – tu spojrzał wymownie w rozbiegane źrenice Zofii. – Bolesna to prawda, ale jednak prawda.
– No, a Stefan? Co z nim? Jeżeli mu nie pomożemy, to on umrze.
– Każdy kiedyś umrze, tylko jeden wcześniej, a drugi później – zauważył obojętnie Rajmund.
– Ale ciężko będzie nam żyć ze świadomością, że to przez nas zszedł przedwcześnie.
– Nie przez was, ale przez siebie, przez swój hulaszczy tryb życia. Pomyśl, gdyby nie zjawił się Adam ze swoimi pieniędzmi, to w jaki sposób bylibyście w stanie mu pomóc? W żaden. Tak czy owak, by wykitował. Zakodujcie sobie w głowach, że dla Stefana nie ma tych pieniędzy i nigdy nie było. Ot i wszystko.
– No, ale może wsparcie duchowe też jest coś warte?

Takiej odpowiedzi Rajmund nie spodziewał się.

– Minęły dwa lata, a jak sam zauważyłeś, w ciągu tego czasu wiele mogło się zdarzyć. Prawda, że żyjemy wygodnie, ale ciągle towarzyszy nam niepewność jutra, wewnętrzna pustka i ten nieustający chłód w domu. Może w tym czasie fortuna uśmiechnęłaby się do nas? Kto wie?
– Przecież uśmiechnęła się. Deszcz pieniędzy spadł na waszą rodzinę. Czy to mało? Czego ty jeszcze chcesz?
– Spokoju – odparła Zofia.
– No tego za żadne pieniądze nie kupisz.
– Do piątku musimy określić się – zmieniła temat. – O osiemnastej przyjdzie Kowalski po odpowiedź i wierz mi, nie spóźni się ani minuty. Taki punktualny.
– Czego w takim razie oczekujesz ode mnie? Jak mogę pomóc?
– Już mi pomogłeś – odpowiedziała smutno.
– Jeszcze niczego nie zrobiłem, a chciałbym, Bóg mi świadkiem, chciałbym.
– Rozmowa z tobą bardzo mi pomogła, a teraz wybacz, pragnęlibyśmy zostać sami z naszą niedolą – słowa Zofii zabrzmiały bardzo żałośnie. – To ja jestem odpowiedzialna za tę całą sytuację. To za moim przyzwoleniem daliśmy się wmanewrować w to wszystko i to my musimy podjąć ostateczną decyzję, bez względu na to, jaka by ona nie była.
– Rozumiem, ale pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć – zapewniał przyjaciel. – A gdyby tak? – zamyślił się przez chwilę. – Nie, nieważne, zły pomysł – ugryzł się w język.
– Powiedz, może to akurat coś mądrego.
– Nie, nie. Zapomnij, nic nie mówiłem – wycofał się z koncepcji.

Rajmund wyszedł od Mocnych bardzo zamyślony. Coś kiełkowało w jego głowie, idea, która mogła wyzwolić rodzinę spod wszechpotężnej władzy Adama.

Po wyjściu sąsiada, familianci zebrali się na naradzie. Rozpatrywali różne warianty, lecz ostatecznej decyzji nie podjęli. Ciężar odpowiedzialności, jaki spoczywał na barkach Mocnych zdawał się być ponad ich siły. Mieć czy być? – filozoficzne pytanie zaprzątające od lat umysły myślicieli, stało się i dla nich wyzwaniem. Mocni, co prawda, nie byli wielkimi myślicielami, ale sytuacja, z którą przyszło im się borykać dotykała sedna problemu.

W czasie, kiedy „Słabi" borykali się z dylematami egzystencjalnymi ziemskiego padołu, Rajmund wróciwszy do siebie wykonał kilka telefonów. Wyraźnie zadowolony z siebie skwapliwie skorzystał z usług znajomej pocieszycielki, która towarzyszyła mu aż do późnej nocy.

Następnego dnia, zaraz po śniadaniu, Mocni wybierali się na zakupy, gdy niespodzianie zadzwonił telefon. Zofia stojąca już w drzwiach wahała się czy odebrać. Jeden sygnał, drugi ... piąty, brała na przetrzymanie, lecz ten cierpliwie powtarzał to swoje *dryń dryń* .

– Kto może być tak uparty? Inny dawno by już zrezygnował – zastanawiała się podchodząc niespiesznie do aparatu.

– Tak słucham.

– Moje nazwisko Ernest Zasada – już wiedziała z kim ma do czynienia. – Czy dodzwoniłem się do państwa Mocnych.

– Zofia Mocna przy telefonie. Czym mogę służyć?

– Dzwonię z firmy...– tu podał nazwę – w sprawie oferty pracy. Czy moglibyśmy spotkać się, powiedzmy dzisiaj po południu i porozmawiać.

– Ale o czym niby mielibyśmy rozmawiać, nic nie rozumiem. Ja nie poszukuję żadnej pracy – zarzekała się. – Czy to jakiś żart? – sprawiała wrażenie zaskoczonej i poirytowanej.

– Zapewniam panią, że to nie jest żart. Poszukuję menadżera do mojej firmy i chciałbym zaproponować pani to stanowisko. Od pana Rajmunda Krakowskiego dowiedziałem się, że pracowała pani w tej branży i zna się na rzeczy.

– Ale ja, powtarzam panu raz jeszcze, ja nie poszukuję żadnej pracy – ucięła krótko.

Co ten Rajmund wymyślił? Czemu ze mną wcześniej o tym nie porozmawiał? –pomstowała w myślach.

– Wiem, że nie poszukuje pani pracy, ale gdyby zechciała pani spotkać się ze mną, może doszlibyśmy do porozumienia, może udałoby mi się przekonać, namówić panią do współpracy.

– Widzi pan, trochę zaskoczyła mnie pańska propozycja – tłumaczyła nieco spokojniej. – Muszę to przemyśleć. Czy może mi pan zostawić swój numer telefonu? W ciągu dwóch godzin na pewno oddzwonię – zapewniła rozmówcę.

– Ależ oczywiście, rozumiem panią doskonale. Mój numer... – Zofia pospiesznie notowała na skrawku papieru. – Czekam z niecierpliwością na telefon – usłyszała

odkładając słuchawkę.

Czasu tego Zofia potrzebowała nie po to, żeby zastanawiać się nad jakąś propozycją pracy, lecz na rozmowę z kimś, kto ją w to wszystko wplątał. Już ja mu powiem do słuchu, co o nim i o takim załatwianiu sprawy myślę. Żeby tak bez uprzedzenia, bez konsultacji rozporządzał moją osobą. Co on sobie myśli, że kim jest? Już jeden zaczął sterować moim życiem, teraz jeszcze drugi. Oj, będzie musiał grubo tłumaczyć się – odgrażała się. Nerwowo poderwała słuchawkę i wybrała numer do przyjaciela.

– Coś ty znowu wymyślił z tą pracą?! – wręcz krzyczała do słuchawki. – Czemuś mnie nie zapytał o zdanie? Czemuś nie zapytał, czy ja w ogóle chcę podjąć jakąś pracę? A może z tym jak jest, jest mi całkiem dobrze. Nie przyszło ci do głowy? Nie zastanawiałeś się nad tym?

– Właśnie zastanawiałem i żeby „dobrze" to nie przypuszczam – podsumował wstępną wymianę zdań zaskoczony Rajmund.

Słowa Zofii, w żaden sposób nie konsultowane z rozumem, puścił mimo uszu. Poczekał aż wyczerpie się lista pytań i zarzutów, po czym spokojnym głosem oznajmił.

– Na te i inne pytania odpowiem jak się spotkamy. Czy możesz poświęcić mi kilka minut? Za parę chwil będę u ciebie. Zgadzasz się?

Właśnie wybierałam się na zakupy, ale one mogą poczekać – pomyślała. To jest ważniejsze.

– Czekam na ciebie i uprzedzam żebyś zabrał ze sobą przekonujące argumenty, bo w przeciwnym razie nie wiem co ci zrobię – odgrażała się.

Rajmund spodziewał się tego telefonu, nie potrzebował więc zbyt wiele czasu, by prawie natychmiast zjawić się w pełnej krasie u rozemocjonowanej, żeby nie powiedzieć rozhisteryzowanej sympatii. Zofia, już od progu, z niepohamowaną agresją naskoczyła na nazbyt gorliwego powiernika swych tajemnic.

– Co to ma znaczyć?! Czemu mi to robisz?! Pewnie już wszyscy wiedzą?

Kolejny słowotok, który musiał się przelać. Rajmund ze stoickim spokojem wysłuchał listy zarzutów, po czym chwyciwszy Zofię za dłonie rzekł ni stąd, ni zowąd.

– Tęskniłem za tobą.

Przyjacielski dotyk ciepłych dłoni, podziałał kojąco. Zofia nic nie odpowiedziała na taki zwrot akcji. Stawiając czoła wyzwaniu stała naprzeciw. To były te jego silne argumenty.

– Ja, ja wiem, że chciałeś dobrze – zmiękła, – że chciałeś mi pomóc, ale telefon od tego człowieka tak mnie zaskoczył i zdenerwował, że w pierwszej chwili to myślałam żeby…

Nie skończyła bowiem Rajmund zamknął jej usta. Stali złączeni w

uścisku pozwalając uczuciom rozładować napiętą atmosferę i decydować o ich dalszej przyszłości. Opamiętanie przyszło po kilku minutach.
– To było nie fair – bąknęła bez cienia złości w głosie.
– Ale, że niby co?
– Ty dobrze wiesz co – w jej oczach płonęły wesołe ogniki. – Coś ty do diabła wymyślił?
– Uczyniłem to, co już dawno powinienem był uczynić. Na co zawsze miałem ochotę – odrzekł wymijająco.
– Ale ja nie o tym.
– Nie, a o czym?
– Nooo, z tą pracą – wykrztusiła, lecz po jej zachowaniu nawet głupi domyśliłby się, że wolałaby kontynuować wątek Rajmunda.
– Aaa, z pracą? – Rajmund udawał, że wraca do tematu spotkania. – Z tą pracą to było tak. Wyobraź sobie, że po powrocie do domu zadzwonił do mnie znajomy.
– A nie odwrotnie, aby? – z figlarnym uśmiechem zapytała.
– Niech mnie drzwi ścisną jak kłamię – zarzekał się pokrętnie. Czym bowiem są takie „drzwi" przy *niech skonam* czy *jak Boga kocham*? – Zadzwonił gdyż, kiedyś, przy jakiejś okazji, już nie pamiętam jakiej, zgadaliśmy się o tobie. Wiedziałem, że pracowałaś wcześniej w tej branży i stąd ten pomysł. Wówczas jeszcze nie wiedziałem nic o Adamie i o całym tym cholernym układzie. Wybacz mi proszę. Gdybym wiedział, na pewno nie poruszyłbym tego tematu

Zofia udawała, że wierzy, a Rajmund kontynuował.

– Na czym to ja skończyłem? – zastanawiał się. – A, już wiem! Z początku wahałem się czy mam prawo podejmować taką decyzję za ciebie, ale Ernest przekonał mnie i dałem mu twój numer telefonu. Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Zaraz zadzwonię i wszystko odwołam – zdeklarował się.
– Nie! Może nie? Nie trzeba – powstrzymywała Rajmunda. – Kto wie czy nie umówię się z tym biznesmenem? Zorientuję we wszystkim, zapoznam. Dawno już z nikim nie rozmawiałam na branżowe tematy.
– Ale ty przecież nie możesz, zastanów się! – udawał, że próbuje ją powstrzymać.
– Ja? To ja mam się zastanawiać? – zapytała zdziwiona. – Trzeba było myśleć, kiedy był na to czas? Nie uważasz?

Skruszony Rajmund nic nie odpowiedział.

– Swoją drogą, to musze przyznać w skrytości ducha, że zaintrygowała mnie ta niecodzienna propozycja. Porozmawiam z tym, jak mu tam?...
– Prezesem Zasadą.
– Rozeznam się w szczegółach i jeżeli propozycja będzie warta grzechu to, kto wie? Niczego nie przesądzam.

Mocna ujrzała światełko w tunelu i dostrzegła swoją szansę, na razie jeszcze bardzo nikłą, ale skoro powiedziało się „a"...

– Ooo, to mam rozumieć, że już się nie gniewasz i, że mi wybaczasz?
– Tak, ale na przyszłość nie rób mi takich… hmmmmm, przysług.
– Przysług czy niespodzianek?
– Jednego i drugiego.

Mocna wykręciła numer do prezesa i umówiła się na spotkanie.

Sekretarka wprowadziła ją do okazałego gabinetu. Rozmowa było bardzo rzeczowa. Zasada przedstawił swoją ofertę, która Zofii, w ogólnym zarysie, wydawała się ze wszech miar atrakcyjna. Miałaby robić to co lubi, na czym zna się i za czym od talt tęskniła.

– Propozycja pańska dla wielu byłaby spełnieniem marzeń. Nie ukrywam, że i mnie zainteresowała. Zastanawiam się tylko, w czym tkwi haczyk? – zafrapowała się. – Bo widzi pan, ja już raz skorzystałam z podobnie intratnej oferty i proszę mi wierzyć, nie wyszłam na tym najlepiej.

– Muszę przyznać, że nie rozumiem – stwierdził zaskoczony oferent. – Ostrożności nigdy za wiele. Ale, czy nie zarzuca mi pani nieuczciwości w stosunku do jej osoby? – zapytał zaskoczony.

– No nie – zmieszała się Zofia. – Źle mnie pan zrozumiał. Najmocniej przepraszam, ale oferta pańska jest tak atrakcyjna, że wręcz niewiarygodna. Stąd moja powściągliwość.

– Wysoka płaca, ale i odpowiedzialność ogromna – zauważył prezes.

– Ja nie boję się ani pracy, ani odpowiedzialności, wręcz przeciwnie, może mi pan wierzyć. Gdybym dostała taką ofertę wcześniej, pomyślałabym, że złapałam Pana Boga za nogi. Ale teraz?

– Czy coś stoi na przeszkodzie? – dziwił się nie zdając sobie sprawy z położenia w jakim znajdowała się Mocna.

– I tak i nie. Akurat ta decyzja niesie za sobą daleko idące dla mnie konsekwencje.

– Bardzo pani tajemnicza, pani Zofio.

Uśmiechnęła się smutno.

– Czy może mi pan dać kilka dni do namysłu? Powiedzmy do niedzieli.

– Do piątku. Dłużej nie mogę czekać.

– Niech będzie do piątku.

Takim postanowieniem zakończyło się spotkanie robocze Zofii z Ernestem. Po powrocie do domu zrelacjonowała dzieciom spotkanie z ewentualnym, przyszłym pracodawcą, Po tym zaprosiła Rajmunda. Tenże, wysłuchawszy uważnie przyjaciółki, rozpromienił się.

– Wnioskuję, że przyjmiesz tę propozycję. Wystarczy powiedzieć „tak" i wszystkie twoje, wasze problemy znikną.

– No nie tak do końca, Adam przecież nie zniknie – zauważyła.

– Oddajcie mu te wszystkie pieniądze i raz na zawsze wyzwólcie się spod jego „kurateli". Czy nie rozumiecie, że to wasza jedyna szansa? Z czasem i wy – tu

zwrócił się do młodych – znajdziecie pracę i usamodzielnicie się. Jedynie w taki sposób buduje się własną przyszłość, nie inaczej. Z waszym wykształceniem i z moimi koneksjami powinno się udać.

Wizja przyszłości, jaką rozpościerał przed Mocnymi nabierała realnych kształtów. Długo jeszcze siedzieli i wspólnie rozpatrywali różne sposoby wybrnięcia z pogmatwanej sytuacji życiowej, w której się znaleźli. Po kilkugodzinnej burzy mózgów Rajmund zauważył u Mocnych jedną niepokojącą prawidłowość. Ciężko było im rozstać się z tym, co mieli. Przyzwyczajenie do dobrobytu, nieważne, jakim sposobem osiągniętego, było silniejsze od nich. Oni po prostu za żadną cenę nie chcieli rozstać się z tym, co już posiadali. Posmutniały, zawiedziony, rozczarowany w geście desperacji przestrzegał na odchodne.

– Pamiętajcie! Za pieniądze nie kupicie sobie nowego życia.

Po powrocie do domu, Rajmund długo przeklinał. Wściekłość, jaka gromadziła się w nim przez cały czas pobytu wśród Mocnych musiała znaleźć ujście. Co, kurwa, jeszcze mam zrobić żeby sprowadzić ich na ziemię? Te pieprzone pieniądze padły im na mózg i zablokowały zdolności racjonalnego myślenia. W co ja się do diabła ciężkiego wpakowałem? Jak ich zmienić? Jak otworzyć oczy? Zaraz, zaraz... – przypomniał sobie. – Jak ona powiedziała? *Adam nie zniknie*?... Jak nad nim popracuję, to zniknie. Już moja w tym głowa.

Rozdział XXV

Rajmund myślał cały czwartek, aż na koniec wymyślił. Było już dość późno, kiedy zdecydował się zadzwonić do sąsiadów. Telefon jak zwykle, odebrała pani domu.

– Mam smutną wiadomość. Na razie jeszcze nieoficjalną i niepotwierdzoną, ale jutro na pewno będą o tym pisać w gazetach.

– Co się stało? – zapytała przerażona Zofia, przeczuwając jakieś nieszczęście.

– Mały samolot pasażerski z sześcioma osobami na pokładzie zaginął gdzieś nad Atlantykiem. Jak wcześniej podkreślałem, informacja ta na obecną chwilę nie jest jeszcze potwierdzona, ale prawdopodobnie jednym z pasażerów tej awionetki był Adam.

Z początku Zofia nie bardzo wiedziała, co o tym wszystkim myśleć, lecz z wolna zaczęło do niej docierać, że oto szczęśliwym, czy też nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, wyzwoliła się spod wpływów niewygodnego protektora. Radość zagościła w sercu Mocnej. Uczucie Schadenfreude, tak bliskie każdemu człowiekowi, zawładnęło jej duszą. Gdyby mogła, skakałaby z radości. Przez dłuższą chwilę nie była w stanie nic powiedzieć, aż usłyszała głos Rajmunda

– Halo, jesteś tam?

– To wielka tragedia, ale czy to pewne? – Zofia zdołała opanować niestosowne

emocje i głosem odpowiednim już do sytuacji dopytywała.
– Pewne? Co? Czy, że zaginął samolot? Czy, że z Adamem na pokładzie? Okoliczności ewentualnej katastrofy nie są jeszcze znane. Więcej szczegółów będę znał jutro. O całym zdarzeniu poinformowała mnie Małgorzata, stąd to wszystko wiem. Katastrofy małych samolotów zdarzają się stosunkowo często, więc nie spodziewaj się, że jutro trąbić będą o tym we wszystkich mediach.
– Gdybyś wiedział coś więcej daj mi natychmiast znać – zastrzegła sobie.

Jakże różne były reakcje obojga na wieść o tragedii. Rajmund po odłożeniu słuchawki zamyślił się nad zmiennością losów ludzkich. Zofia zaś odczuwała radość pomieszaną z lękiem. Krakowski dużo by dał za możliwość poznania jej myśli. Mocna zwołała progeniturę na naradę. Nad wyraz pobudzonej kobiecie trudno było ukryć niezdrową radość płynącą ze skutków wypadku.
– Przecież to wszystko załatwia. Nie ma Adama – nie ma tematu. Problem sam się rozwiązał – Zofia zaczęła dostrzegać „światełko w tunelu".

Dzieci, zaskoczone jej wyrachowanym tonem, z niesmakiem przyglądały się matce. Ta, nie zwracając na nie uwagi, snuła plany na przyszłość. Mocną opętało szaleństwo.
– Czy wy zdajecie sobie sprawę z tego, co my teraz możemy?! Możemy wszystko, jesteśmy niezależni, jesteśmy wolni! – epatowała radością niestosowną do sytuacji.
– Do tej pory też byliśmy wolni. Co prawda, z pewnymi ograniczeniami – wtrąciła córka, – ale sami się na to zgodziliśmy. Nikomu nie była potrzebna ofiara z życia Adama. Miałam mu czasami za złe to i owo, ale nigdy nie życzyłam śmierci.
– Myślisz, że ja życzyłam? Też nie, ale skoro tak się stało…
– To co? Może mamy zatańczyć na jego grobie? – dopytała sarkastycznie córka.
– Zrozum dziewczyno, teraz będziecie mogli uratować ojca i w ogóle...
– *Mors tua, vita mea* – niezbyt celnie błysnęła elokwencją Agata. – Życie Adama za życie ojca. Doskonała zamiana. Czy nie przyszło ci kobieto do głowy, że ten drugi też miał bliskich, że jego też ktoś będzie opłakiwać? Nie pomyślałaś o tym? – nie pozwalała matce cieszyć się z czyjegoś nieszczęścia.
– Ja go przecież nie zabiłam – palnęła na swoją obronę. – A propos bliskich. Muszę zadzwonić do Małgorzaty z kondolencjami.
– Jak to z kondolencjami? Z tego co mówiłaś, wynika że samolot zaginął, nic ponadto. Żadnych ciał, żadnych ofiar…– córka spojrzała na matkę z politowaniem, żeby nie powiedzieć, z pogardą.
– No tak, tak. Zaginął. Wstrzymam się do jutra zreflektowała „współczująca".

„Jutro" nie nadejdzie nigdy – myślała Zofia przewracając się na łóżku z boku na bok. Z każdą chwilą porannego brzasku, z coraz większą niecierpliwością spoglądała na telefon. Zadzwoni? Nie zadzwoni? Zadzwonić? Nie zadzwonić? Do Małgorzaty? A może do Rajmunda? – biła się z myślami.

Czas płynął, a ten diabelski wynalazek milczał jak zaklęty. Może zepsuty albo wyłączony? – pomyślała. By się upewnić wstała i podniosła słuchawkę. *Uuuuuu.* Która to godzina? Ledwie szósta minęła? – sprawdziła położenie wskazówek. Nawet św. Wawrzyńcowi nie dłużył się tak czas „na grillu", jak jej w oczekiwaniu na wiadomość o losach Adama. Odkładając telefon na nocnej szafce, z przymkniętymi oczętami popadła w dziwny letarg.

Rajmund z tej strony. Mam dobrą wiadomość. Adam żyje – niespodziewana wieść wyrwała Mocną z maligny. Uniesiona w wymownym geście dłoń, wyciskała ze szczotki do włosów siódme poty.

– Boże, ja chyba oszaleję – wyszeptała. – On nawet z zaświatów będzie mnie prześladował – stwierdziła z goryczą.

Zegar wskazywał ósmą.

Tymczasem Rajmund nie kwapił się z telefonem do przyjaciółki. Co jej powiedzieć? - zastanawiał się. Prawdę, ale jaką prawdę? Czy łatwiej będzie jej znieść przeciwieństwa pokrętnego losu bez nijakich złudzeń, czy też pozostawić odrobinę nadziei? Do jasnej cholery, przecież nie mogę bawić się w Pana Boga! Tu chodzi o ludzkie życie – wyrzucał sobie. Sporo jeszcze czasu musiało upłynąć zanim zdecydował. Telefon u rozgorączkowanej Zofii zadzwonił dobrze po dziewiątej.

– To ty Rajmund? – doskoczyła do telefonu. Tenże, usłyszał tylko *mund*, ale nie zdążył potwierdzić. – No i co, no i co? – dopytywała drżącym głosem.

– Obawiam się, że nie mam dobrych wieści – zaczął.

– Co masz na myśli? Co to znaczy?

– Najprawdopodobniej samolot rozbił się gdzieś na Atlantyku, ale zastrzegam, nie są to informacje do końca potwierdzone.

– No popatrz, był człowiek i nie ma człowieka. Niezbadane są wyroki boskie. Nieprawdaż?

– Zofio, powiedziałem, że najprawdopodobniej, ale różne rzeczy się zdarzają. Nie trać nadziei. Niezbadane są wyroki boskie. Historia zna takie przypadki, że po tygodniach, miesiącach, a nawet latach ludzie odnajdują się.

– O, to może kiedyś tak było, jak latali na dwupłatowcach z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale teraz? Teraz jak taki odrzutowiec, co leci z tysiąc kilometrów na godzinę walnie w taflę wody to jak w beton, mokra plama, nie ma co zbierać.

– Przyznaję, że szanse są nikłe. Ale kto wie? Bądź dobrej myśli.

– Będę – wtrąciła.

Rajmund chciał zaproponować Zofii spotkanie w celu pocieszenia, tudzież omówienia problemów związanych z zaistniałą sytuacją, lecz ta podziękowawszy za wiadomość, odłożyła słuchawkę.

Mocna znów była mocna, chociaż długo jeszcze nie mogła przetrawić

wiadomości otrzymanej od sąsiada. Adama nie znałam – myślała. Prawda, że pieniądze nam dał, ale co nim kierowało – nienawiść i chęć zemsty. My mu przecież nic złego nie zrobiliśmy, a mścić chciał się nie wiedzieć czemu, na Bogu ducha winnych ludziach. W końcu to my staliśmy się ofiarami, całej tej pokręconej transakcji. Nie, nie – żadnych wyrzutów sumienia. Ja mu śmierci nie życzyłam, ale opłakiwać go też nie będę. A kto mu kazał włazić z buciorami w nasze życie? Jakoś poradzilibyśmy sobie i bez niego – szukała usprawiedliwienia dla swojego zachowania? Dobrze Stefan mówił, szukał zemsty, chciał z nas zrobić bezwolne narzędzia swojego chorego planu i doigrał się. Pan Bóg go pokarał. *„Kto sieje wiatr, zbiera burzę"*, albo może to będzie stosowniejsze *„Kto mieczem wojuje od pochwy ginie"*, czy jakoś tak – przypomniała sobie stare porzekadła w przypływie dobrego humoru.

To on uknuł tę całą intrygę, to on nas w nią wciągnął, a że Pan Bóg czuwał nad nami i nie pozwolił nas skrzywdzić to już nie nasza sprawa. Faktem jest, że przy okazji zostało w naszych kieszeniach tych parę nędznych groszy. Należało się nam, za te wszystkie upokorzenia, których doznaliśmy będąc pod jego „skrzydłami". My zrobimy lepszy użytek z tych pieniędzy aniżeli ten „mściciel". Kto go tam wie, w jaki sposób dorobił się majątku i co tam jeszcze niecnego planował? Może, nie daj Boże jeszcze ktoś inny zalazł mu za pazury i też cierpiał z powodu urażonej dumy, tej, tej – szukała określenia – podejrzanej persony. Niech spoczywa w pokoju gdziekolwiek jest. Niech mu ziemia, czy też woda, lekką będzie. Rozgrzeszenie, jakiego sobie udzieliła, w pełni oczyściło jej duszę z grzechu chciwości, nienawiści i wielu jeszcze innych. Z lekkim sercem poszła zanieść dzieciom „dobrą nowinę". Opanowawszy emocje, zwołała rodzeństwo do salonu.

– Z przykrością muszę wam oznajmić, że przed chwilą otrzymałam telefon z którego niezbicie wynika, że pan Adam X zginął w katastrofie samolotowej nad Atlantykiem.

– Zginął, czy zaginął? – próbował uściślić fakty Jacek.

– Przecież mówię wyraźnie, zginął – wycedziła przez zęby.

– Czy ta wiadomość pochodzi z pewnego źródła? Może od Małgorzaty? – ta wiedza z kolei potrzebna była córce.

– Nie, nie od Małgorzaty, ale od równie wiarygodnej osoby.

– Że niby od Rajmunda – wykoncypował Jacek, zwracając się do matki z przekąsem w głosie.

– Tak, od niego i co z tego? – żachnęła się.

– A może to... A może to on coś kręci – poddał w wątpliwość pobudki kierujące sąsiadem.

– Czy dzwoniłaś już z kondolencjami do córki nieboszczyka? – wtrąciła się do rozmowy Agata, która też nie szczędziła matce uszczypliwości.

Ta doskonale odczytała słowa dziewczyny, ale nie chciała zadrażniać i tak już napiętych, wzajemnych relacji.
– Nooo, jeszcze nie, ale zaraz to uczynię, żeby was przekonać.
– Jak to przekonać? Ty chcesz go na siłę uśmiercić.
– On nie żyje i takie są fakty – nacisk położyła na fakty. Przecież ja z jego śmiercią nie mam nic wspólnego – dodała na swoje usprawiedliwienie.
– Ale widzę, że nie zmartwiła cię zbytnio ta tragedia – zauważył syn.
– A powinna? Tylko mi nie mówcie, proszę, że wam to nie jest na rękę. Udajecie takich szlachetnych, a w głębi duszy też czujecie ulgę. Pamiętam jak trzeba było wybierać: pieniądze albo życie! – spojrzała z wyższością po dzieciach. – Jakoś nie kwapiliście się z pomocą dla ojca. Ciężko jest rozstać się z dobrami doczesnymi – cynicznie, aż do bólu zauważyła matka. – Wiem coś o tym, wiem, bo jedziemy na tym samym wózku. Ideały, jakim hołdujecie: dobroć, szlachetność, współczucie, itp. dobre są, jak się ma pełny brzuch i zapewniony dach nad głową. My mieliśmy to wszystko, ale tylko pozornie. Mieliśmy cukierek w papierku, którego nie wolno nam było posmakować. Teraz nasza sytuacja zmieniła się. Nasze bogactwo urzeczywistniło się, zmaterializowało. Wierzcie mi, nie mam zamiaru z tego nie skorzystać, a już na pewno, ubolewać nad losem jakiegoś tam, „Panie świeć nad jego duszą", pana X. – Młodzieży trudno było nie zgodzić się z racjami matki.

Jeszcze ten telefon do Małgorzaty – przypomniała sobie Zofia. Przykry obowiązek z którego nikt mnie nie wyręczy. Jak to rozegrać, żeby nie popełnić gafy, nie palnąć jakiegoś głupstwa. Muszę być ostrożna i oszczędna w słowach – założyła. Pozwolę jej mówić. Po kilku pierwszych zdaniach zorientuję się, jak sprawy stoją i dopiero wtedy coś tam powiem, od siebie. Strategia, jaką przyjęła zdawała się być najlepszą z możliwych. Małgorzata odebrała telefon już po drugim sygnale. Postronnej osobie zdawać by się mogło, że nań czekała.
– Halo, halo. Małgorzata? – padło zapytanie ze strony zniecierpliwionej Zofii.
– Krótkie tak, Małgorzata – i nic więcej.
– Zofia Mocna z Polski. Słyszałam, dowiedziałam się o twoim ojcu, o katastrofie i o tym całym nieszczęściu i temu dzwonię. Dzwonię, żeby się dowiedzieć czegoś więcej, jakichś szczegółów. Wyrazy współczucia, taka tragedia. Jak to się stało? Jak to wszystko wygląda? Czy jest jakaś nadzieja? Ty chyba wiesz najlepiej?

Mimo nieco bełkotliwego i nieskładnego tonu wypowiedzi, Zofia o co chciała, o to zapytała. Teraz czekała na odzew.
– No wiesz, na razie jest za wcześnie, żeby przesądzać o losach ojca i pozostałych pasażerów feralnego lotu. Zbyt mało danych. Ekipy ratunkowe, czy też poszukiwawcze, penetrują okolice, w których najprawdopodobniej samolot zaginął, ale jak dotychczas bez rezultatu.
– A czarna skrzynka? Przecież to dzięki temu urządzeniu, służby ratunkowe

odnajdują rozbitków.
– Nie rozbitków, a wrak samolotu – uściśliła Małgorzata.

Coś nie jest ona zbyt rozmowna – zauważyła ostrożna przyjaciółka. Pewnie wie dużo więcej, tylko nie chce nic powiedzieć. Jak to z niej wyciągnąć? – myślała. Może inne pytania, lub bardziej współczujący ton rozwiąże jej język? – kombinowała.
– To żadnych ciał, ani wraku samolotu dotychczas nie znaleziono? – próbowała ustalić fakty.
– Jak już wcześniej mówiłam – nie.
– To już chyba nie znajdą – pocieszała zbolałą Małgorzatę przyjaciółka.
– Samolot zaginął ledwie kilkanaście godzin temu, czemu uważasz, że już nie ma nadziei?
– A nie, nie, uchowaj Boże od czarnych myśli, ale tak sama pomyśl. W oceanie taki mały samolocik, kto go tam znajdzie? To jak igła w stogu siana. Kilka dni poszukają i na koniec stwierdzą – samolot zaginął z przyczyn niewyjaśnionych! A bo to mało razy tak już było? Czy ty wiesz, że w takiej sytuacji to osoba taka, dopóki nie znajdą ciała jest traktowana jako zaginiona, a nie nieżyjąca?
– No i bardzo dobrze, bo jak dotychczas nikt mnie o śmierci ojca nie powiadomił, i mam nadzieję, że długo jeszcze tak pozostanie. Dopóki nie ma ciała, dopóty jest nadzieja i ja mam zamiar żyć tą nadzieją. Wiesz, że wśród ratowników obowiązuje taka żelazna zasada – „zawsze idą po żywego"! Ja kochana mam zamiar hołdować tej zasadzie i dopóki ciało ojca nie zostanie odnalezione, dopóty dla mnie pozostanie żywym.
– No tak, tak, masz rację. Bądźmy dobrej myśli. Gdybyś coś wiedziała, to proszę daj mi znać. Możesz dzwonić o każdej porze dnia i nocy – dała przyzwolenie. – Jeszcze raz wyrazy współczucia z powodu tragedii – zreflektowała się, czy też świadomie wtrąciła na zakończenie rozmowy.

Mimo wszelkich starań i całej kurtuazji, ostatnie słowa Zofii zabrzmiały jak kondolencje.
– Dzwoń proszę jak tylko czegoś dowiesz się. Bo my tutaj razem z Rajmundem bardzo przeżywamy tę tragedię.
– Jeżeli tylko pojawią się nowe fakty, natychmiast dam wam znać – zapewniała.

Po zakończonej rozmowie twarz Małgorzaty zdradzała oznaki satysfakcji. Zofia też była zadowolona z siebie.

Rozdział XXVI

Troska o niepewny los Adama spędzała sen z powiek pogrążonej w smutku Zofii. Dni mijały, a Małgorzata nie dzwoniła. Nie informowała o postępach w poszukiwaniach zaginionego samolotu. Rajmund też rzadko odzywał się, a

jeżeli już, to tylko po to, by poinformować, że ciągle brak konkretnych informacji. Muszę być cierpliwa, muszę czekać – chłodno kalkulowała Zofia. Była w stanie znieść wszelkie katusze wynikające z niepewnego jutra, lecz biernie czekać nie potrafiła. Myśli kłębiące się w jej głowie skutecznie prowadziły do skrajnego wyczerpania nerwowego. Każdy kolejny dzień był niekończącym się pasmem udręki. Nawet sen nie przynosił ukojenia, bo i jak, skoro noc w noc łoże jej nawiedzał zaginiony Adam. Uśpiona wyobraźnia Zofii, dopiero pod osłoną nocy budziła się, ożywała i zaczynała żyć własnym życiem. Psychodeliczne wizje z udziałem pana X były tak realne, że Zofia często nie była w stanie odróżnić snu od jawy. A to widziała Adama wyskakującego ze spadochronem z płonącego samolotu, a to widziała ciało rozbitka leżące na bezludnej wyspie. Wyobraźnia robiła z nią co chciała. Jednak najbardziej upiornym elementem tego nocnego przedstawienia, był głos ciągle powtarzający te same słowa – *to nie koniec, ja wrócę...* Wiele też razy przychodził do niej z pretensjami zarzucając jej, że pogwałciła fundamentalne warunki umowy. Oczywiście, domagał się zwrotu pieniędzy. Od takich wizji Zofii cierpła skóra na plecach. Przecież było tak blisko osiągnięcia wymarzonego celu, wyzwolenia się spod „opieki" znienawidzonego człowieka.

Nieprzespane noce odbiły się wyraźnym piętnem na zdrowiu i wyglądzie Mocnej. Co robić? Co robić? – myślała gorączkowo. Przecież w takim stresie długo nie pociągnę – zdawała sobie sprawę z własnego położenia i męki psychicznej, przez jaką przechodzi w każdym momencie swego nieszczęsnego żywota. Właśnie zbliżała się godzina duchów. Zofia, świadomie zwlekała jak najdłużej z pójściem na spoczynek, gdy zadzwonił telefon. O tej porze? Co u licha? – zdziwiła się. To musi być coś ważnego! – pomyślała. Rozgorączkowana podbiegła do telefonu.

– Mocna przy telefonie. Słucham?

– Przepraszam cię, że dzwonię o tak późnej porze. Małgorzata z tej strony. Właśnie wróciłam z komisariatu policji.

– I co? I co? – dopytywała zniecierpliwiona. – Znaleźli zwłoki ojca? – zapytała bez ogródek.

– Nooo, nie – Małgorzata w lot pojęła semantyczny sens pytania. – Zwłok i wraku samolotu jeszcze nie odnaleziono. W związku z tym, że od wypadku minęło tak wiele dni, podjęto decyzję o przerwaniu akcji poszukiwawczej. Ojca i pozostałych uczestników lotu uznano za zaginionych.

– No i co teraz będzie? Jaki jest status prawny takich osób? Czy twój ojciec zostawił jakiś testament? – Zofia kontynuowała nietaktownie.

Zażenowana Małgorzata słuchała z niedowierzaniem słów zdesperowanej koleżanki, a wolałaby usłyszeć: *W czym mogę ci pomóc? Z czego będziesz żyła? Jakie są twoje plany? Czy sobie poradzisz?* Niestety,

pobudki kierujące Zofią nie były tak szlachetne jak próbowała je przedstawić. Fałszywe współczucie i troska o dotkniętą tragedią znajomą, była zgoła innej natury. Obawa o własną przyszłość, o własne interesy, kierowały zachowaniem Mocnej. Małgorzata doskonale zdawała sobie z tego sprawę, puściła więc słowa „oddanej" przyjaciółki mimo uszu, ale niesmak pozostał.

– Na pytania, które mi zadałaś, rozumiem, że w trosce o moją przyszłość – dodała sarkastycznie – nie umiem ci, jak na razie, konkretnie odpowiedzieć. Tym zajmą się prawnicy, bo ja do tego głowy nie mam.

– Prawnicy? Pewnie, że prawnicy, bo któż by inny. Przecież od tego są, ale to będzie drogo kosztowało.

– Ojciec wystarczająco zabezpieczył mnie na przyszłość. Myślę, że nie pozostanę bez środków do życia. – oznajmiła oschle.

– To dobrze! To bardzo dobrze, że zadbał o twoją przyszłość – pochwaliła dalekowzroczność Adama.

Zofia, gdy ją olśniło, doszła do wniosku, że czas kończyć rozmowę, by nie pogrążyć się do końca w oczach koleżanki. Jakaś zbawienna myśl przyszła jej do głowy. Przecież Adam prowadził interesy również w kraju. Małgorzata będzie potrzebowała prawnika, który tutaj, na miejscu zadbałby o wszystkie sprawy formalne związane z jego działalnością biznesową. Czemu nie nastręczyć jej swojego człowieka – pomyślała. Będę miała oko, wtyczkę i na bieżąco rozeznanie w całej tej sprawie. Muszę cały czas trzymać rękę na pulsie żeby nie wypaść z obiegu. Swój perfidny plan postanowiła bez chwili wahania wcielić w życie.

– Posłuchaj Małgorzato – zagaiła nieśmiało. – Tak sobie pomyślałam... Skoro twój ojciec prowadził biznes również w Polsce, to z pewnością będziesz potrzebowała kogoś kompetentnego, kogoś, kto zajmie się twoimi interesami tu na miejscu. No bo rozumiem, że jedynym spadkobiercą jesteś ty – zapytała nie bez przyczyny.

– Tak, jak najbardziej. Ojciec nie miał innych krewnych, chociaż ... – pomyślała przez chwilę jakby próbowała pozbierać myśli. – Wspominał kiedyś o jakiejś rodzinie, ale nie chciałabym obarczać ciebie moimi sprawami. Na pewno masz na głowie sporo własnych kłopotów. Po co ci jeszcze moje?

– Ależ to żaden kłopot – odezwała się altruistyczna natura Zofii. – Od czego ma się przyjaciół? Czyż nie? – szukała potwierdzenia tej oczywistej prawdy.

– Tak akurat składa się, że mam jednego znajomego prawnika, który mógłby zająć się twoimi sprawami i myślę, że drogo nie policzy – to stwierdzenie miało dodatkowo przekonać nieszczęsną Małgorzatę do zaaprobowania kandydata.

– Naprawdę, zrobiłabyś to dla mnie? – ucieszyła się dziewczyna będąca po drugiej stronie aparatu.

– Ależ tak! I zapewniam cię, że w każdej chwili możesz na mnie liczyć – dodała.

– Zadzwonię jutro do prawnika, naświetlę sprawę i o wszystkim cię poinformuję – zapewniła zadowolona z siebie przyjaciółka.
– Jestem ci bardzo wdzięczna za serce, za troskę i za pomoc, jaką mi ofiarowujesz – zapewniała Małgorzata.

Na tym kobiety zakończyły swą szczerą rozmowę. Dobrze to rozegrałam – pomyślała zadowolona z siebie starsza. Chyba pójdę do szkoły aktorskiej –młodsza, rozbawiona odegraną przez siebie sceną, swoją przyszłość zaczęła wiązać z Hollywood.

Zofia, po raz pierwszy od dłuższego czasu, nie miała nocnych koszmarów. Mimo to, echo wciąż powtarzało słowa Adama – *Ja wrócę...*

Rozdział XXVII

Rankiem Zofia zadzwoniła do Rajmunda żeby poinformować go o najnowszych ustaleniach w sprawie Adama. Nie omieszkała, nieoczywiście, wspomnieć o przysłudze jaką zamierzała oddać Małgorzacie. Uczynek ten miał niezbicie świadczyć o szlachetności jej intencji względem koleżanki i zagłuszyć nieco głos własnego sumienia wołającego o opamiętanie.
– To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony – rzekł Krakowski wysłuchawszy wszystkiego, – że tak troszczysz się o los tej dziewczyny. Ma w tobie prawdziwą przyjaciółkę – dodał bez cienia uszczypliwości w głosie. – Co zaś tyczy się procedur, dotyczących osób zaginionych – ciągnął dalej, – to one trwają latami i są wielce skomplikowane. Sądzę, że teraz możesz swobodnie korzystać z pieniędzy, którymi obdarował cię Adam. Bez obawy o jakiekolwiek konsekwencje związane z niedotrzymaniem warunków umowy. Oczywiście przy założeniu, że status zaginionego jest sytuacją *stricte* formalną. Nikt przecież nie wierzy, że Adam jakimś cudem mógłby przeżyć, a tym bardziej odnaleźć się. Sądzę, że nawet Małgorzata straciła już wszelką nadzieję, ale jako córka musi być, na przekór faktom, optymistką. Postąpiłaś bardzo przyzwoicie. Na pewno przyda się dziewczynie pomoc i wsparcie ze strony szczerej przyjaciółki.
– Właśnie też tak sobie pomyślałam, bo ona wcale nie ma do tego głowy – tłumaczyła sobie i Rajmundowi swą wielkoduszność.

Kolejny telefon wykonała do Kowalskiego.
– Panie Janie, czy moglibyśmy spotkać się dzisiaj po południu i porozmawiać na temat pewnych spraw związanych z zaistniałą sytuacją, tzn. mam na myśli tragiczny wypadek pana Adama i związanymi z tym konsekwencjami prawnymi – zaplątała się nieco.
– Ależ jak najbardziej. Jestem do pani dyspozycji – zapewniał.

Ustalili godzinę spotkania, po czym Zofia postanowiła poinformować o wszystkim swoje potomstwo. Pokrótce naświetliła dzieciom sytuację, nie

pozostawiając cienia wątpliwości, co do przyszłych losów Adama. Takim to sposobem domknęła wieko trumny nad ciałem nieszczęśnika.
– Czy mamy rozumieć – pierwsza odezwała się Agata, – że cała ta heca związana z pieniędzmi, ojcem, Adamem i tymi cholernymi wyborami, których musieliśmy dokonywać nareszcie się skończyła. Nie chcę przez to powiedzieć, że to nieszczęście, jakie spadło na tego pana, stało się dla nas wybawieniem, ale sami chyba rozumiecie, że napięcie, w jakim żyliśmy od chwili podpisania tego kontraktu było, delikatnie rzecz ujmując, mało komfortowym przeżyciem. Ta niepewność jutra, te ciągłe zakazy, nakazy. To nasze bogactwo to była jedna wielka ułuda. Ojciec miał rację mówiąc, że nigdy nie powinniśmy dać się wmanewrować w taki układ, a już na pewno przystawać na tak niegodziwe warunki.
– Znowu zaczynasz moralizować – żachnęła się matka. – Czyżbyś tak szybko zapomniała, w jakiej rozpaczliwej sytuacji jeszcze niedawno znajdowaliśmy się. Nigdy nie zapomnę poczucia wstydu, z jakim stąpałam po schodach prowadzących do Urzędu Pracy. Tych zaledwie kilkanaście stopni, było najdłuższą wspinaczką w moim życiu. Wolałabym wdrapywać się na Mont Everest zimą i bez tlenu, aniżeli jeszcze raz pokonywać te żebracze stopnie wtajemniczenia. Nie mówiłam wam o tym wcześniej, bo chciałam oszczędzić sobie upokorzeń, ale teraz już mogę.
– Wiedzieliśmy, że jest ciężko, ale, że aż tak bardzo, to nie. Wybacz mamo – Jacek usprawiedliwiał wypowiadane wcześniej gorzkie słowa pod adresem matki. – Swoją drogą, to jednak poszliśmy na łatwiznę – wypomniał wszystkim. Gdyby nie ten nieszczęśliwy, a może szczęśliwy wypadek, to sam nie wiem, jak byśmy skończyli? – spojrzał pytającym wzrokiem na familiantów.
– To co było, to już przeszłość i nie wracajmy nigdy do tego – zaproponowała matka ucinając rozmowę. W życiu zawsze musimy dokonywać wyborów. My wybraliśmy, tak jak wybraliśmy i w konsekwencji wygraliśmy, a teraz jedynie to się liczy. Proszę bardzo, pokażcie, jakimi jesteście altruistami, rozdajcie swój majątek biednym i potrzebującym. Zapewniam was, że pieniądze, którymi dysponujecie, choć spore, są jedynie kropelką w morzu ludzkich potrzeb.
– Nie twierdzę, że mamy zaraz zbawiać świat, ale pomóc, chociażby kilku osobom, to też dużo – poddała pod rozwagę Agata.
– Zrobicie jak uważacie, ale na początek pomyślcie o ojcu, jeżeli tak bardzo zależy wam na uciszeniu sumienia – podsunęła pomysł, nie bez uszczypliwości w głosie, matka. – I na zakończenie naszego spotkania, chciałabym abyście odpowiedzieli mi szczerze, ale tak naprawdę szczerze – czy mimo tego całego nieszczęścia, jakie spadło na pana X, nie macie poczucia ulgi? Czy to fatum, które każdego dnia wisiało nad nami i nareszcie zostało zdjęte, nie daje wam poczucia wolności? – Bo mnie tak.

– Myślę, że powoli zdołamy przywyknąć do tej nowej, jakże odmiennej sytuacji – wymijająco odparł Jacek.
– Skoro znów jesteśmy wolni, postarajmy się nie zmarnować drugiej szansy. Dokonujmy mądrych wyborów – filozoficzną przestrogą na przyszłość Zofia zakończyła rodzinne zebranie.

Był już wieczór, kiedy do drzwi Zofii zapukał Kowalski, jak zwykle punktualny.
– Bardzo proszę niech pan wejdzie – zaprosiła gościa do środka. Na pewno słyszał pan o nieszczęściu, jakie spotkało pańskiego pryncypała – przyjęła bolesną minę. To straszna tragedia dla nas wszystkich – zapewniała Zofia.
– Tak, tak, to prawdziwa tragedia – potwierdził słowa rozmówczyni, mecenas.

Widzi pan, spotkaliśmy się dzisiaj z dwóch powodów. Pierwszy to taki, że jako bliski współpracownik pana Adama jest pan najlepiej zorientowany w jego interesach. Zapewniam, że będzie to wielce pomocne dla jego córki - oznajmiła nie bez satysfakcji w głosie. Druga rzecz, – spojrzała przenikliwym wzrokiem na adwokata, chciałabym wiedzieć, czy pański pracodawca, a nasz dobroczyńca nie zostawił jakiejś tajnej instrukcji na wypadek takiego zdarzenia?, to znaczy na wypadek jego śmierci – uściśliła.

Kowalski poprawił się w fotelu, spojrzał poważnie na Zofię i rzekł.
– Czy dobrze panią zrozumiałem? – zapytał. Chce pani , to znaczy pani Małgorzata, abym to ja reprezentował jej interesy? Jeżeli tak, to z góry dziękuję za zaufanie. Nie wiem tylko, czy ona zgodzi się na to – powątpiewał.
– Proszę mi wierzyć – przerwała Kowalskiemu. Zgodzi się. Powiem więcej, już się zgodziła. Nie ukrywam, że musiałam ją długo przekonywać, co do pańskiej osoby, ale w końcu, przystała. Chyba zdaje pan sobie sprawę z powagi sytuacji. Pan Adam prowadził rozliczne interesy w całym kraju, w związku z czym w grę wchodzą miliony. Jeżeli dobrze się pan spisze to ani ja, ani pan na pewno na tym nie stracimy – spojrzała porozumiewawczo na Jana. Rozumie pan...
– Przyznać muszę, że nie do końca – odpowiedział zmieszany adwokat.
– Czego pan nie rozumie. Co tu jest nie do rozumienia – odburknęła Mocna. Musi pan mieć oczy i uszy otwarte. Interesu pilnować, jak swego i postarać się, żeby Małgorzata dostała jak najwięcej.
– Ma się rozumieć samo przez się. Ja jestem uczciwym prawnikiem i znam się na swojej robocie.
– I bardzo dobrze. To właśnie chciałam od pana usłyszeć – nazbyt protekcjonalnym tonem chwaliła adwokata. A propos roboty – widzi pan jak nam gładko idzie rozmowa. Teraz możemy przejść do drugiego zagadnienia.
– Cały zamieniam się w słuch – zapewnił mecenas.
– Proszę mi powiedzieć panie Janie, czy Adam pozostawił jakieś rozporządzenie co do mojej osoby? – Zofia przeszyła wzrokiem młodego urzędnika.

– Czy pozostawił rozporządzenie? – powtórzył bezwiednie.
– Tak, czy pozostawił rozporządzenie? – powtórzyła jak echo, kładąc silny nacisk na słowo rozporządzenie.

Uważny wzrok zainteresowanej speszył prawnika.
– Tak, zostawił – odpowiedział Kowalski niezbyt pewnym głosem, zaskoczony napastliwym tonem Mocnej.
– I co w nim jest? Mogłabym się dowiedzieć? – zapytała nieco przymilniej.
– Nie, absolutnie nie – odparł już znacznie silniejszym głosem Jan.
– A czemuż to nie skoro pismo bezpośrednio dotyczy mnie i moich najbliższych?! – naskoczyła na ledwo co pozbieranego emocjonalnie Kowalskiego.
– A temu, że na kopercie jest adnotacja „Otworzyć w razie mojej śmierci", a jak na razie nikt oficjalnie nie stwierdził zgonu pana X.
– No tak... oficjalnie nikt – powoli studziła emocje. – Czyli co?... Czy ja dobrze rozumuję? Dopóki pan Adam nie zostanie oficjalnie uznany za nieżyjącego, koperta ta pozostanie nietknięta bez względu na okoliczności i inne potrzeby?
– W rzeczy samej. Takie sprawy reguluje prawo, a to wyraźnie stanowi. Dopóki osoba nie zostanie uznana, podkreślam, w świetle prawa za zmarłą to koperta nie może być otwarta.
– Kamień zdjął mi pan z serca, panie Janie. Bo to widzi pan, kto go tam wie, co mu przyszło do głowy i jaka tam była jego ta ostatnia wola?
– Kto wie, kto to wie?... Chyba sam Bóg tylko.
– I niech tak zostanie – życzyła sobie i światu.
– Szanowny panie mecenasie. Skoro wyjaśniliśmy sobie już wszystko, niech się pan zabiera do roboty, a nie zapomni wpaść czasem na kawę i opowiedzieć o postępach prac.
– Nie omieszkam pani Zofio, nie omieszkam – obiecywał na odchodne.
– Zadowolona i pewna siebie Zofia poczuła nareszcie, że uśmiechnęło się do niej szczęście.

Pora nie była jeszcze nazbyt późna, postanowiła więc zaprosić przyjaciela na małego drinka. Rajmund zgodził się chętnie, poprosił jednak o chwilę zwłoki, bowiem tak się niefortunnie złożyło, że akurat miał coś pilnego do załatwienia w mieście.

Wieczór był już dobrze zaawansowany, gdy na posesji Zofii zjawił się zaproszony gość. Na okoliczność spotkania Mocna założyła elegancką, czarną, koktajlową sukienkę, tę w której brylowała w Paryżu. Rajmund, którego strój, nawet w połowie nie był tak szykowny, poczuł się jak kopciuszek bez pantofelka. Co prawda ogólny jego wygląd był nienaganny, ale pospolity, codzienny, roboczy.
– Mogłaś mnie uprzedzić, to bym ...
– Nie było takiej potrzeby – przerwała w połowie zdania. Wszystko jest w należytym porządku – zapewniła gościa.

W jednej ręce kwiaty, w drugiej butelka wina, niepewna mina, trochę zmieszany – takim zjawił się u wrót Zofii.
– Ślicznie wyglądasz – powiedział na powitanie. Wybacz, że ja w takim stroju, gdybym wiedział, lepiej bym się przygotował – paplał od progu, nieco zażenowany. – Jakaż to okazja? Czy coś ważnego się wydarzyło? Czy coś umknęło mojej uwadze? – dopytywał.
– Wejdź proszę, nie będziemy przecież tak stać w drzwiach, co ludzie powiedzą – wyciągnęła dłoń do Rajmunda.
– Jacy ludzie? Czy widzisz tutaj jakichś ludzi – omiótł wzrokiem okolicę.

Tak rozpromienionej, tak pięknej i w tak dobrym humorze Zofii, Rajmund nie widział nigdy, nawet w Paryżu, a tam wyglądała olśniewająco, chociaż na jej policzkach ciągle gościł cień.
– Ależ nie spieszmy się nigdzie – powstrzymał sąsiadkę. Pozwól choć przez chwilę jeszcze napawać się twym pięknem. To światło, płynące z zewnątrz, w tak nieziemski i niepowtarzalny sposób podkreśla subtelności twej zjawiskowej urody, której ja ślepy, w świetle dnia, nie byłem w stanie wystarczająco docenić, że teraz chciałbym na wieczność zatrzymać czas. „Trwaj chwilo, trwaj". Plotąc te banały ujął dłoń Zofii, na której złożył wyrazy uwielbienia, po czym, podniósłszy wzrok i wyszeptał z żarem w głosie – jakaś ty piękna.

Nie powiedziałem ci tego
Kiedy był na to czas
Może nie jest za późno
Gdy ujrzałem cię pierwszy raz
Moje spojrzenie nie poszło na próżno
Pomyślałem - jakaś ty piękna.

– Czy ty Rajmundzie nie byłeś wcześniej na jakichś party? – zapytała figlarnie, bowiem słowa przyjaciela, choć brzmiące nazbyt poetycko, mile połechtały jej kobiecą próżność. Cieszę się ogromnie, że mnie tak postrzegasz, ale resztę komplementów – jeżeli takowe masz przygotowane w zanadrzu, wygłosisz w środku.
– Tak królowo, prowadź – zakomenderował.
– Chyba jednak był wcześniej na jakiejś imprezie – pomyślała rozbawiona wchodząc do środka.

Kolacja dla dwojga przygotowana była w niewielkiej, gustownie urządzonej salce, której atmosferę podgrzewał żywy płomień gorejący w kominku. Przygaszone światła oraz świece płonące w kandelabrach, rozstawionych tu i ówdzie podkreślały, romantyczny charakter spotkania. Zaskoczony Rajmund w pierwszej chwili nie wiedział co ma o tym wszystkim myśleć, a naprawdę miał o

czym myśleć.

Zofia widząc zdumienie, malujące się na twarzy przyjaciela – odezwała się.
– Zastanawiasz się na pewno, jaka to okazja? Może później się dowiesz, a na razie wejdź proszę i rozgość się. Za chwilę podadzą kolację. Może na początek jakiś aperitif? Przez ten krótki okres naszej znajomości zdążyłam już poznać twoje upodobania – pochwaliła się. Czego się napijesz? Mam wermut, porto i pastis. Na co masz ochotę? Wymieniając nazwy tych zagranicznych, oklepanych, napojów alkoholowych zbliżyła się przymilnie do Rajmunda.

O cholera, przeraził się niedwuznaczną sytuacją na, którą nie był przygotowany. Muszę zaraz coś zrobić, wymyślić, ale co? Pomysły biegały mu po głowie, jak harty za zającem. Już wiem. Ratunek przyszedł w samą porę.
– A tu cię muszę zaskoczyć moja droga. Jeżeli nie sprawi ci to kłopotu, poprosiłbym o pięćdziesiątkę czystej wódki.

Zamówienie Rajmunda, wydało się gospodyni wyjątkowo niestosowne. W jednej chwili zburzyło romantyczny nastrój spotkania. Zaskoczonej Zofii prośba ta wydała się barbarzyństwem, wręcz świętokradztwem.
– Jak to wódki? Czystej wódki? – chciała się upewnić. Wyidealizowany obraz dżentelmena, o nienagannych manierach prysł, uleciał gdzieś hen daleko, a pozostał Rajmund od którego poczuła woń alkoholu.

Ten, spostrzegłszy w oczach zdegustowanej przyjaciółki moment zawahania, rzekł z rozbrajającą szczerością.
– Widzę, że prośba moja zaskoczyła cię nieco i, rozczarowała, a może nawet zbulwersowała. Nie bierz tego za prostackie czy plebejskie zachowanie – proszę. Popatrz tylko: Hiszpanie mają swoją maderę, Włosi wermut, Francuzi pastisz, itp. Przykłady można by mnożyć w nieskończoność i żaden, z przytoczonych przeze mnie narodów, nie wzoruje się na innym. Na pewno zdarzy się Hiszpanowi wychylić z ciekawości szklaneczkę wermutu i odwrotnie, ale tak na co dzień wszyscy pozostają wierni swoim narodowym tradycjom, czy upodobaniom zaszczepionym w ich świadomości od pokoleń, z dziada – pradziada. To tylko u nas, w naszym kraju, z powodu kompleksów nabrzmiałych przez lata, staramy się za wszelką cenę wzorować na innych. Wspaniałą rzeczą jest poznawać kulturę, tradycje, zwyczaje innych krajów, ale bezkrytycznie przyjmować ich styl życia? Takie zachowanie wcześniej lub później postrzegane będzie jako śmieszne, snobistyczne, po prostu żałosne. I już na zakończenie mojego wywodu zapytam cię – czy sądzisz, że pijak, który doprowadził się do stanu upodlenia dajmy na to: ginem, whisky czy koniakiem lepiej wygląda od tego, który nadużył ordynarnej czystej wódki? We wszystkim należy mieć umiar, powtarzam, kładąc nacisk na – we wszystkim.

Tymi słowy Rajmund zakończył wywód zatytułowany – "Adaptacja zagranicznych wzorców zachowań na potrzeby naszego narodu".

– Co go napadło? – pomyślała zmieszana Zofia.

Rajmund, nie czekając na reakcję oszołomionej przyjaciółki, podszedł do stolika z alkoholem.

– Pani Zofio, a pani czego napije się? Wermut, pastis…

Zrezygnowana kobieta, wymownym gestem, świadczącym o chwilowej obojętności, z trudem wykształciła z siebie.

– Poproszę to samo co ty.

Przez chwilę stali w milczeniu. Ciszę, jaka zapadła między nimi przerwała kelnerka pchająca przed sobą wózek z potrawami.

– O, już wszystko gotowe – w tej jednej chwili żaden inny dźwięk nie wydałby się Zofii piękniejszy i bardziej pożądany, nad ten, zbawienny, rytmiczny stukot kół i naczyń, przerywający krępującą ciszę.

Kelnerka, niezwykle biegła w sztuce serwowania, szybko uwinęła się ze swymi powinnościami, po czym, dyskretnie zapadła się pod ziemię. Para została sama. Dyskretne tete a tete właśnie rozpoczęło się.

Posiłek spożywali w milczeniu, nie podnosząc wzroku na siebie. Rajmund spoglądając, co i rusz, ukradkiem, na zafrasowaną przyjaciółkę, szukał w duchu sposobu na rozładowanie, nie bez przyczyny zaistniałej, niezręcznej atmosfery.

– Skoro zaprosiłaś mnie na małego drinka, to niech zaproszeniu stanie się zadość. Czego napijesz się? – zapytał odważnie, po raz kolejny, koneser alkoholi.

– A co byłoby w dobrym tonie, bo na razie na nic nie mam ochoty.

– Każdy trunek będzie odpowiedni w takiej scenerii i towarzystwie – oświadczył z odrobiną nonszalancji w głosie.

– Wybierz za mnie – spuściła się na gust sąsiada.

Zofia przygotowana była na każdą ewentualność, na coś więc trzeba było się zdecydować.

– To może to?

Rajmund sięgnął po pierwszą lepszą butelkę która wpadła mu w ręce, żeby tylko zadośćuczynić życzeniom gospodyni.

– Ta będzie odpowiednia? – podniósł wybrany przez siebie trunek i wskazał przyszłej smakoszce.

– Sądzę, że tak – przystała na propozycję bez większego entuzjazmu.

Skoro taka spolegliwa, to może przeprowadzę mały eksperyment – wymyślił na poczekaniu. Czas płynął równie szybko jak alkohol. Rajmund pilnując porządku rzeczy, za każdym razem kiedy nalewał, zmieniał rodzaj trunku na inny, co na przyszłość nie wróżyło nic dobrego, lecz sprawdzało się w praktyce. Po niedługim czasie eksperymentowania z produktami przedsiębiorstw monopolowych wszystkich krajów świata, Zofii powrócił zarówno dobry humor, jak i wigor. Nieświadoma podstępu, dzielnie stawiała czoła wyzwaniu.

Tymczasem, perfidny Rajmund, hołdując starej, dobrej maksymie - „In vino veritas", próbował wyciągnąć z coraz bardziej rozmiękczonej alkoholem przyjaciółki, jak najwięcej. Różnymi sposobami starał się do niej dotrzeć pociągnąć za język, rozwiązać i... Ustawiczne próby znalezienia wspólnego języka, przyniosły pożądany skutek i stały się namacalnym faktem. Nareszcie udało mu się zrzucić zasłonę milczenia i naruszyć cielesną prywatność ukochanej.

Już ciebie zapomniałem
Tak myślałem
Te przetarte kiedyś ścieżki niewinne
Choć te same, ale jakże inne
Prowadzące wśród pagórków i dolin leśnych
Smakują wciąż tak samo – gdy nie śpisz.

Było już dobrze po północy, jak podjął próbę skompletowania garderoby. Na szczęście ogień w kominku jeszcze nie wygasł i ciągle migocące na nim wesołe ogniki rzucały odrobinę światła do pokoju, który był niemym świadkiem, niedawnych jeszcze miłosnych zmagań dwojga kochanków.

Rajmund dawno już zapomniał arkana sztuki wymykania się z alkowy kochanki, aczkolwiek nie na tyle, żeby nie móc sobie poradzić. Trudne wyzwanie stawiały przed nim panujące w pokoju ciemności. Rozejrzał się uważnie wokół Tu koszula, a tam spodnie splecione w uścisku z sukienką. Tu skarpetka, a tam druga idzie w parze z jakąś małą. Nawet one się polubiły – pomyślał, ale gdzie są moje gatki?

Porozrzucane w nieładzie części tak męskiej, jak i żeńskiej odzieży, jednoznacznie świadczyły o bardzo chaotycznym sposobie pozbywania się kolejnych części garderoby. Zerknął ukradkiem na partnerkę śpiącą słodko na rozłożonej naprędce, gorącej jeszcze kanapie. Uchylił delikatnie rąbek tajemnicy, mlasnął apetycznie językiem, zamruczał z lubością, po czym zabrał się do penetracji – przestrzeni wokół śpiącej. Niestety, tego czego szukał, nie znalazł pod przykryciem – chociaż – kto wie?

Przecież, nie mogę wyjść bez tych cholernych gatek – wymamrotał do siebie poirytowany bezsilnością. Zszedł do parteru i na klęczkach, metodycznie, centymetr po centymetrze zaczął przeszukiwać niedawne pole manewrów. Jest skarpetka, jest i druga – dobra nasza pomyślał. Jeszcze tylko najważniejszy element układanki. Diabeł ogonem nakrył, czy co? – z wolna tracił cierpliwość i nadzieję. Jeżeli zostawię bokserki na miejscu zbrodni, to już po mnie. Nie, nie mogę się poddać – dodawał sobie animuszu, po czym, wyostrzył wzrok i wyruszył na dalsze poszukiwania. Jeszcze raz delikatnie uchylił rąbek kołdry, jeszcze raz mlasnął jęzorem z zachwytu, po czym delikatnie zaczął szperać wokół ciała śpiącej królewny. Gdy

pochylił się nad nią, woń kobiety uderzyła mu do głowy, serce szybciej zabiło, a fala namiętności zalała ciało – pławił się w rozkoszy. Na chwilę przerwał poszukiwania, i z lubością przyglądał się kobiecie. Przez krótki moment, trwający zaledwie oka mgnienie, odniósł wrażenie, że kąciki ust królewny delikatnie uniosły się. Jaka ona jest śliczna kiedy śpi – pomyślał. Myślał o wielu jeszcze innych rzeczach, ale niestety, musiał wracać do eksploracji przestrzeni wokół śpiącej, chociaż ręce świerzbiły. O zgrozo – pomyślał. Czy ja na pewno wiem czego szukam? - zadał sobie pytanie. No nareszcie – ucieszył się, gdy palce jego natrafiły na zaginioną część bielizny. Tylko czy naprawdę miał z czego się cieszyć?

Cały dom od dawna już spał, kiedy błądząc w ciemnościach próbował znaleźć drogę ku wolności. Skradając się po omacku, konsekwentnie, poruszał się naprzód, lecz z każdym postawionym w ciemność krokiem, upewniał się, że w tym domu nawet ściany mają uszy i słyszą jego stąpnięcia, jego przytłumiony oddech niosący się echem po pustych komnatach, nawet jego brudne myśli. Tutaj ktoś jest – pomyślał, rozglądając się wokół. Czyżby to była prawda, – w jednej chwili przypomniał sobie opowieści o nieproszonych mieszkańcach starego siedliska. Takie niespodziewane, oko w oko spotkanie z bezdusznymi przedstawicielami innego wymiaru było ostatnią rzeczą na jaką w tym momencie miał ochotę. A gdyby nawet – otworzył szerzej oczy – to one i tak niczego nie wygadają – pomyślał, dla dodania sobie kurażu, ale na chwilę złapały go straszne duszności.

Jak trafić do wyjścia – łamał sobie głowę zagubiony w labiryncie pomieszczeń obcego domu, nocny włóczęga. Tezeusz, to miał przynajmniej jakąś nić Ariadny, a ja mam nici – ubolewał biedak nad swoim żałosnym położeniem. Egipskie ciemności panujące w pomieszczeniach, które pokonywał jedno po drugim rozświetlały jedynie gwiazdy zaglądające ciekawie przez okno. Dzięki i za to – pomyślał miłośnik kobiecych wdzięków.

Gdzieś tu powinny być drzwi, ale gdzie? Wykorzystując wyczulony zmysł dotyku, po omacku szukał, klamki, zamka, rygla, wszystko jedno czego – na próżno. Nareszcie, przypadkiem, palce jego natrafiły na włącznik światła i stała się jasność. W oka mgnieniu ogarnął wzrokiem korytarz, po czym ponownie zapadł w ciemności. Na szczęście drzwi nie były zamknięte. Nacisnął klamkę i otworzył wrota. Z zewnątrz poczuł powiew świeżego powietrza. Skazaniec, po wieloletniej odsiadce, nie czuje takiej radości wychodząc na wolność, jaką poczuł Rajmund lowelas, spoglądając na niebo gwiaździste. Nieopisana radość przepełniła serce mężczyzny, był wolny spełniony i szczęśliwy. Ciekawe, co przyniesie jutro? – przeleciało mu przez myśl. Co mnie obchodzi jutro – liczy się dzisiaj, tu i teraz – stwierdził wyraźnie zadowolony z siebie. Oddalającemu się niespiesznym krokiem, z miejsca rozkoszy kochankowi, przez krótką chwilę zdawało się, że słyszy za sobą zgrzyt przekręcanego klucza w zamku. Eee tam, to tylko moja, wybujała wyobraźnia – pomyślał.

Ta noc była warta zachodu
Chociaż dzień był taki sobie
Niebo gwiaździste nade mną
A słońce idzie od wschodu.

Myślałem, że tak można
Myślałem nawet, że tak trzeba
Ale tak się nie da.

I niech sobie gwiazdy migocą
I niech tam nocą
Ludzie ... się spotykają
Ja idę dalej. Nalej.

Mi w serce nadziei,
Nalej mi w serce radości
Niech każdy zazdrość.

Bo jest czego
Prawda kolego.

Spojrzał w górę na księżyc
Rogalik w uśmiechu się szczerzył
Wiem coś przeżył
Zazdroszczę.

Bo ja to jestem taki satelita
Pokręcę się i kwita
Ale zbliżyć się nie mogę
Bo zaraz biją na trwogę.

Że będzie koniec świata
I, że fale wzrosną
A on szedł przed siebie
Upojony miłością

Spojrzał raz jeszcze w górę
Współczuję
Ale tu nie ma dla ciebie kobiet
Znajdź sobie inny obiekt

Za bramą posesji, idąc wolnym krokiem i spoglądając na migocące wesoło gwiazdy, stwierdził bezwstydnie – te kobiety. Co one mają w sobie, że nie potrafimy i nie chcemy bez nich żyć? Dobrze, że one nie do końca zdają sobie z tego sprawę, bo by nas zjadły, uczyniły swoimi niewolnikami, a my nie oponowalibyśmy, żeby tylko być blisko nich. Ciekawe jak to działa w drugą stronę?

Tymczasem Zofia, zamknąwszy drzwi za Rajmundem, przeciągnęła się lubieżnie, po czym skierowała swe kroki do sypialni. Łóżko. Zimne łóżko czekało na jej ciągle rozpalone ciało. Kładąc się doń samotna, pomyślała sobie – takie mieszanie trunków ma swoje dobre strony. Zasnęła prawie natychmiast, bowiem nadmierna dawka zdradliwego alkoholu, wciąż krążyła w rozszerzonych od wysiłku żyłach i działała jak środek usypiający. Nie był to jednak sen spokojny, sen „sprawiedliwego". Całą pozostałą część nocy, toczyła jakąś dziwną walkę, w której nie było ani zwyciężonego, ani zwycięzcy. Raz była górą, za chwilę zaś na dole i często brakowało jej tchu, ale nie bolało.

Rozdział XXVIII

Przebudzenie nie było radosne. Fizjologiczne skutki spożytego w nadmiarze alkoholu natychmiast dały znać o sobie. Dokuczliwy ból głowy nie pozwalał się skoncentrować. Zofia niechętnie zwlokła się z łóżka i ledwo powłócząc nogami udała się na poszukiwanie pomocy. Łyknęła jakieś środki przeciwbólowe i czekała na skutek. Nieznaczna ulga przyszła po kilkunastu minutach. Kiedy już mogła pozbierać nieco myśli, podjęła heroiczną próbę odtworzenia wydarzeń dnia poprzedniego. Wieczór zaczął się trochę szorstko, ale później było bardzo miło - przypomniała sobie. Rajmund zaproponował degustację wszystkich trunków świata, w celu udowodnienia wyższości naszej czystej, nad tymi z eksportu. Głupi pomysł – zauważyła po niewczasie. Że ja dałam się w to wciągnąć – wyrzucała sobie. Tyle alkoholu, co ja wczoraj wypiłam, to nie wypiłam przez cały rok – pomyślała z przerażeniem. Trudno, trzeba będzie odcierpieć. W moim wieku, to i czas doświadczyć prawdziwego kaca – tłumaczyła sobie. Teraz już wiem i współczuję wszystkim, którzy musieli przez to przechodzić. Koszmar.

– Co mogłoby mi pomóc? Co robił Stefan w takich sytuacjach? Przecież był ekspertem w tej materii – przypomniała sobie. On stosował klina, ale ja nie jestem pewna czy przełknęłabym szklankę wody, a cóż dopiero alkoholu. Już wiem – kąpiel, gorąca kąpiel na pewno mi pomoże – założyła a priori. Słyszałam, że kąpiel przynosi ulgę. Wstała od stołu i nagle poczuła, że coś dziwnego dzieje się z jej ciałem. Wszystko w koło zaczęło wirować, po czym zrobiło się niedobrze, bardzo niedobrze. W ostatniej chwili zdążyła do łazienki. Kiedy było

po wszystkim, powiedziała do siebie – takich atrakcji nie brałam pod uwagę – próbowała trzymać fason.

Jeżeli łudziła się, że to już koniec niespodzianek, to była w wielkim błędzie. Horror zaczął się na dobre w momencie kiedy wzrok jej spotkał się ze wzrokiem kobiety stojącej naprzeciwko. Dwie jednocześnie, krzyknęły z przerażenia. Zmierzwione włosy, podkrążone, błyszczące nienaturalnym blaskiem oczy, i ta trupia bladość na twarzy.

– Jak mogłaś mi to zrobić? Jak mogłaś na to pozwolić? A ty jak mogłaś do tego dopuścić? – wyrzucały sobie na wzajem.

Upiorny wygląd bliźniaczek, był skutkiem dobrze nieprzespanej, właśnie co minionej nocy.

– O mój Boże, jak my wyglądamy! – zasłoniły jednocześnie oczy z przerażenia. Zdecydowanym ruchem ściągnęły z siebie wymięte suknie i stanęły jak wryte. Ta z przeciwka była całkiem naga. Z niedowierzaniem spojrzały po sobie, żadnych zmian, bieliznę diabli wzięli. A to ci heca – pomyślała zaskoczona Zofia, szukając bezwiednie tego, czego jej brakowało. Mojej też nie oszczędzili – stwierdziła ta z innego wymiaru. To, to nie był sen? Jeżeli nie sen, to co? O Matko Boska! My to naprawdę zrobiłyśmy! – spojrzała w oczy odbiciu, które w przeciwieństwie do pierwowzoru nie sprawiało wrażenia przerażonego – wręcz przeciwnie. Lubieżny uśmiech na jego twarzy, był aż nazbyt wymowny. To rozpustne odbicie było rozpromienione.

Zofia osunęła się bezwładnie na sedes albowiem niczego innego nie było na podorędziu, złapała się dłońmi za głowę i zastygła w bezruchu. Trwała tak dłuższą chwilę szukając racjonalnego wytłumaczenia zaistniałej sytuacji i nic. To były takie piękne koronki – przypominała sobie. Może się spruły? Przecież, wystarczy tylko pociągnąć za odpowiednią nitkę i „cała robota na nic". – desperackie tłumaczenia braku bielizny na swoim miejscu, w tej szczególnej chwili, były dopuszczalne. Fala niewypowiedzianego wstydu targnęła jej nagim, zbrukanym ciałem. Zamknęła oczy w nadziei, że nikt nie dojrzy jej upadku moralnego, ale wówczas obrazy minionej nocy stanęły przed nią jak żywe. Z ciemności wyłoniły się postacie, z razu niewyraźne, ale z każdą chwilą stawały się coraz bardziej rozpoznawalne. Nie, to niemożliwe – pomyślała, po czym zawstydzona przerwała seans. Po chwili wahania postanowiła kontynuować spektakl. A niech tam! Przecież jestem dorosła – dodała na swoje usprawiedliwienie. Zofia siedząc na tym nieszczęsnym sedesie straciła poczucie czasu. Wydarzenia minionej nocy przeżywała wciąż na nowo i na nowo. To były całkiem niezłe zapasy – skonstatowała świeżo upieczona miłośniczka „mieszanych sportów walki"

Słońce od dłuższego już czasu wykonywało swą codzienną posługę, kiedy Rajmund postanowił skorzystać z jego dobrodziejstwa. Zderzenie z

rzeczywistością minionej nocy, nie było co prawda tak traumatyczne jak Zosine, ale równie brzemienne w skutkach. Co ja do cholery zrobiłem? – wyrzucał sobie. Ale przecież zawsze tego chciałem – usprawiedliwiał się. I co dalej, jak żyć, jak spojrzeć w oczy przyszłości? – sam siebie pytał. A jeżeli się zorientowała? Nie to niemożliwe. Solidnie nad nią popracowałem – uspokajał się. Będę musiał zadzwonić, ale trochę później, najlepiej będzie wieczorem – postanowił.

Z łóżka wstał od razu gotowy do wyjścia, wyprostował nieco kanty spodni, machinalnym ruchem strzepnął kłaczki z marynarki, po czym udał się do salonu. Nalał szklaneczkę whisky, wypił duszkiem i czekał. Eliksir życia powoli zaczynał działać. Po następnej już całkiem rozjaśniło mu się w głowie. Do wieczora pozostało jeszcze mnóstwo czasu – zauważył mimochodem. Muszę coś wymyślić, tylko co? – łamał sobie głowę z bezsilności. Co się stało, to się nie odstanie i nie mam zamiaru tego żałować. Ale co dalej? Nie będę jej przecież za każdym razem upijał, bo w nałóg wpadnie ...Cha, cha. A będzie kolejny raz? – zastanowił się. Wierzę, że tak – patrzył z optymizmem w przyszłość.

Zarówno Zofia jak i Rajmund mieli o czym myśleć. Przez cały dzień zastanawiali się jak wybrnąć z całej tej pogmatwanej, krępującej ich sytuacji. Co prawda oboje byli dorosłymi, wolnymi ludźmi i na dobrą sprawę nie musieli przed nikim tłumaczyć się ze swoich czynów, jednakże wspólnie spędzona noc niosła za sobą odpowiedzialność i skutki, których nie byli w stanie przewidzieć. Jednego mogli być pewni. Ich dotychczasowe wzajemne stosunki będą musiały ulec zmianie.

Długa gorąca kąpiel obmyła zbrukane ciało Zofii z plam cielesnych, nie była jednak w stanie usunąć plam powstałych na jej czci niewieściej. Kobiecie w średnim wieku nie jest łatwo przejść do porządku dziennego nad wydarzeniem, skądinąd tak bardzo przyjemnym, jakim jest seks z nowym partnerem. Stąd to rozbuchane poczucie wstydu. Cały świat weźmie nas na języki – wyolbrzymiała konsekwencje nocnych szaleństw. Zaraz, zaraz, czemu niby mieliby o nas plotkować? Przecież o tym co zaszło tej „feralnej" nocy nikt poza nami nie wie. Jeszcze kilkanaście minut temu sama – uśmiechnęła się do siebie spoglądając w lustro – nie wiedziałam co zaszło – zauważyła racjonalnie. No nie! Zachowuję się jak pruderyjna mieszczka – pomyślała. Pogodzona z przeszłością próbowała wrócić do teraźniejszości. Wrócić na ziemię! – rozum z wolna zaczął łączyć fakty w logiczną całość. – Zaraz, zaraz – w tym momencie nastąpił przebłysk kobiecego intelektu. Już teraz wszystko rozumiem. To po to był cały ten cyrk, cały ten wykład o wyższości polskiego alkoholu nad zagranicznymi! To po to była ta wycieczka po wszystkich kontynentach. On najzwyczajniej w świecie chciał mnie upić, a potem wykorzystać. To był jego przewrotny plan. Nigdy nie podejrzewałaby go o taką perfidię. Ale czy musiał uciekać się do takich sposobów, czy musiał aż tak? – zastanawiała się. Chyba musiał – doszła do

wniosku znajdując usprawiedliwienie dla późniejszych wydarzeń. Najważniejsze to spotkać się z Rajmundem i wyjaśnić wszystko to co zaszło między nami. To nie może powtórzyć się nigdy więcej – zawyrokowała. Tak, tak będzie najlepiej – postanowiła nie do końca przekonana do swoich racji.

Zofia sporo jeszcze czasu spędziła w łazience, zanim zdecydowała, że jest już czysta, że czas pokazać się światu. Kiedy wyszła do jej uszu dotarły odgłosy domowników krzątających się w kuchni. Miała wrażenie, że z każdym krokiem przybliżającym ją do spotkania z dziećmi głosy te brzmią coraz bardziej szyderczo. Nie poddam się! – powiedziała do siebie. Z podniesionym czołem postanowiła sprostać wyzwaniu. Zdawała sobie sprawę, że dzieci nie darują jej minionej nocy i nie przejdą nad nią do porządku dziennego. Pachnąca, kwitnąca i nieco drżąca stanęła w progu kuchni.

– Witaj mamo – przywitały ją wesoło dzieci.

– Sporo czasu zajęła ci ta poranna toaleta. Co wy w kominku grzebaliście? – zadał pytanie Jacek nie spuszczając oka z matki.

– Jak byś zgadł. Cugu nie było – ze stoickim spokojem podjęła grę Zofia.

Jacek nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Rzucił szybkie spojrzenie na siostrę, ale ta nie mogła mu pomóc.

– No i jak udało się spotkanie z sąsiadem? – zapytał syn próbując kontynuować rozmowę.

Zofia spojrzała badawczym wzrokiem na dzieci. Co one wiedzą? Bo to, że wiedzą to pewne, tylko co? Muszę być ostrożna, nie mogę dać nic po sobie poznać, muszę być bardziej przebiegła od nich – postanowiła.

– Zasiedzieliśmy się trochę. Wypiłam odrobinę za dużo alkoholu i poczułam się senna, wtedy Rajmund odprowadził mnie i poszedł do siebie. Ot i wszystko.

– A czy rozmawialiście może o tym, co dalej w tej sytuacji? – zmieniła temat Agata?

– W jakiej sytuacji? – speszyła się nieco matka.

– No tej z panem Adamem, bo jakiej innej? Chyba po to spotkaliście się?

– A tak, tak, ale niczego konkretnego jeszcze nie ustaliliśmy. Wieczorem spotkamy się i może coś zdecydujemy.

– O to będzie dogrywka? – Jacek spojrzał z błyskiem w oku na matkę.

Zabić gnoja to mało, ale nie mogę dać się sprowokować, nie mogę dać nic po sobie poznać – takie było jej zadanie.

– Mówiłam już, że wypiłam trochę za dużo, a wiecie przecież, że nigdy dużo wypić nie mogłam. Sami rozumiecie, że w takiej sytuacji nie chciałam tak ważnych decyzji podejmować pod wpływem – wymyśliła na poczekaniu.

– To bardzo dobrze mamo, bardzo dobrze. Musisz trzeźwo myśleć o przyszłości, tak swojej, jak i naszej. Nie możesz podejmować pochopnych kroków – powiedział poważnym tonem syn wciąż wpatrując się w rodzicielkę.

Szydzi gówniarz ze mnie, jak nic szydzi – czuła podświadomie.
– A właśnie! – wtrąciła Agata. – Dzwonił ojciec i pytał, czy może na nas liczyć? Czy wspomożemy go finansowo? Wspominał, że wyniki bardzo mu się pogorszyły i ma coraz mniej czasu. Teraz to już chyba nic nie stoi na przeszkodzie? Mam rację?
– Wasze pieniądze, wasza decyzja. Do niczego was zmuszać nie mam prawa, ale namawiać też nie będę.
– Jak to, to ty mu nie pomożesz!? – krzyknęła wzburzona córka.
– Ja, ja nie. Pragnę zauważyć, że Stefan jest waszym ojcem, natomiast nasze wzajemne relacje są odrębną sprawą.
– A więc to tak – zauważyła ze smutkiem w głosie córka.
– A tak – odpowiedziała matka spoglądając zaczepnie na dzieci, tylko po to żeby odwrócić uwagę od swojej osoby.

Awantura wisiała w powietrzu.
– Jutro ma przyjechać ojciec – próbowała rozładować nastrój zdenerwowania, Agata.
– Jeszcze raz podkreślam – obstawała przy swoim zacietrzewiona Zofia. – Róbcie, co uważacie za stosowne, ja już podjęłam decyzję.
– W takim razie sami zdecydujemy.

W nieco napiętej atmosferze młodzi rozeszli się do swoich pokoi. Zofia została w jadalni sama.

Może już czas zadzwonić do Rajmunda. Zwlekanie z tym w niczym mi nie pomoże, niczego nie zmieni, wręcz przeciwnie. A ten miecz Damoklesa wiszący nade mną, z każdą chwilą pogarsza mój stan ducha – zauważyła. Jakaś jestem dziś rozdrażniona, a nie powinnam – pomyślała uśmiechając się do siebie. Miałam nadzieję, że skoro z Adamem wyszło, jak wyszło, to bagaż moich kłopotów zmniejszy się przynajmniej o połowę, a tu nie. Do starych dołożyłam nowe. Co prawda innego rodzaju, ale kłopoty to zawsze kłopoty.

Z bijącym sercem ujęła telefon w dłonie. Co mam mu powiedzieć? – zastanawiała się, szukała pretekstu. Zapraszać go ponownie? Nie, nie wypada. Wprosić się do niego, z kolei też jakoś nietaktownie. Tak źle, a tak niedobrze – stwierdziła. Z dużymi oporami, bez żadnego planu, już chciała wystukać numer telefonu sąsiada, gdy ten niespodziewanie sam ożył. Aparat wypadł przerażonej Zofii z ręki, lecz ciągle dzwonił. Błyskawicznym ruchem porwała telefon z komódki.
– Tu Zofia Mocna. Kto mówi?
– To ja, Rajmund.

Zofia miała nadzieję, że to właśnie od niego telefon.
– Czy zechciałabyś spotkać się ze mną dzisiaj o dziewiętnastej? Uważam, że powinniśmy porozmawiać…

– I ja tak uważam – przerwała na chwilę sąsiadowi.
– Powinniśmy porozmawiać, bowiem wczoraj jakoś nie było czasu.
– Ano jakoś tak zeszliśmy na inne tory – mimo wszystko flirt kwitł.
– Lepiej bym tego nie ujął. Co proponujesz? – zapytał opanowując nieco drżenie głosu oraz napięcie – Może tym razem u mnie? Nie masz nic przeciw? – kontynuował z wyraźną nutą wahania w głosie. Nie chciał, żeby Zofia odebrała zaproszenia opatrznie.
– U ciebie, ale jak to u ciebie?... – chciała jeszcze coś dodać, lecz Rajmund nie pozwolił jej skończyć.
– Mamy sporo do pogadania i sądzę, że u mnie będzie najlepiej.

Spojrzała na zegarek. Do randki pozostało jeszcze sporo czasu.
– Może być u ciebie. Przyjdę – zgodziła się bez entuzjazmu.

Rozdział XXIX

Niewielki dystans dzielący posesje Zofia pokonała spacerkiem próbując po drodze poskładać myśli i opracować strategię rozmowy z Rajmundem. O Adamie, o Stefanie, o pracy, no i ewentualnie o konsekwencjach minionej nocy. Wszystko zależy od tego, jak będzie zachowywała się druga strona. Przecież na nim też te wczorajsze figle musiały zrobić wrażenie? Chyba, że nic nie było – oszukiwała siebie, trzymając się wersji z nitką.

Rajmund czekał już przed domem i sprawiał wrażenie lekko skrępowanego. Dobra nasza – pomyślała kobieta. Nie jest on taki twardy, na jakiego pozuje – zauważyła.
– Miło cię widzieć Zofio, zapraszam do środka. Wszystkim dałem wolne, więc będziemy sami, tylko we dwoje.
– To dobrze czy źle? – zapytała nie czekając odpowiedzi.
– To się jeszcze okaże. Nie chciałem, żeby ktoś kręcił się po domu i krępował nas. Mamy sobie tyle do powiedzenia.
– I ja tak myślę – rzekła spoglądając odważnie Rajmundowi w oczy.

W niewielkim saloniku przygotowana była kolacja dla dwojga. Nie ona jednak była główną atrakcją tego wieczoru. To miało być robocze spotkanie.
– Jest kilka spraw, o których powinniśmy porozmawiać – zagaiła Zofia.
– Cały zamieniam się w słuch – z poważną miną zadeklarował Rajmund spoglądając z rozbawieniem na przyjaciółkę.

Już chciała zacząć od Stefana, od jego problemów ze zdrowiem, od decyzji dzieci, ale słowa uwięzły jej w gardle. W jednej chwili pojęła, że dopóki nie rozmówi się z przyjacielem to, spotkanie te nie będzie miało najmniejszego sensu.

Ta noc, ta szczególna noc, odcisnęła się piętnem na ich wzajemnych

stosunkach i dopóki nie zmierzą się z tym, co między nimi zaszło, dopóty nie będą w stanie normalnie funkcjonować, a przejść nad tym do porządku dziennego było niepodobieństwem. To niezbyt fortunne posunięcie, kładło się cieniem na życiu obojga kochanków i nie sposób było udawać, że nic się nie stało. Z taką świadomością i przekonaniem Zofia zaczęła ponownie.

– Rajmundzie, ja bardzo ciebie lubię, ale to, co zaszło między nami ostatniej nocy było karygodne i niewybaczalne. Sądzę, że postąpiliśmy zbyt pochopnie, decydując się na... – na moment przerwała szukając odpowiedniego słowa – no wiesz, na co... Pozwalając sobie na chwilę zapomnienia – sprecyzowała. – Podejmując tę grę złamaliśmy fundamentalne zasady przyjaźni. Trochę za dużo wypiliśmy i jakoś tak wyszło – próbowała usprawiedliwiać się, reperować reputację.

– Jeżeli oczekujesz przeprosin to wybacz, ale ode mnie ich nie usłyszysz. Pragnąłem tego od dnia, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem. Jestem szczery więc dodam jeszcze, że byłbym ślepcem i wyjątkowym głupcem gdybym postąpił inaczej. Alkohol nie jest tu żadnym usprawiedliwieniem, czy tłumaczeniem, chociaż ten czynnik na pewno nie był bez znaczenia – uśmiechnął się szyderczo, może nawet z iskierką triumfu w oku.

–Ty, ty to wszystko zaplanowałeś?! – w końcu dotarło do Zofii. – Ta cała paplanina o tych alkoholach, o tym całym małpowaniu we wszystkim zachodu, to była jedna wielka ściema. A ja naiwna ci uwierzyłam. Nie spodziewałam się tego po tobie Rajmundzie – spojrzała z wyrzutem na niedawnego jeszcze kochanka.

Mimo, że Zofia czyniła przyjacielowi wyrzuty z powodu jego pokrętnego planu i tego co zaszło między nimi, nie pałała do niego zbytnią złością, może żądzą rewanżu, co widać było w jej wesoło, śmiejących się oczkach.

Mocna, gdy była naprawdę na kogoś zła, oczy zapożyczała od bazyliszka i potrafiła nimi zmienić każdego nieszczęśnika w kamień. A tu nic, nawet piasku w butach nie miał. Jedynie mały dreszczyk emocji przebiegł mu po plecach. Winowajca stał przez chwilę w milczeniu, wahał się odrobinę za długo. Co powinienem jeszcze powiedzieć? Trudno będzie wcisnąć jej pierwszą lepszą bajeczkę, przecież tego nawet dziecko nie kupi, ale spróbuję – postanowił.

– Niczego nie planowałem – kłamał jak z nut, – a już na pewno nie myślałem o wykorzystaniu seksualnym, po uprzednim zamroczeniu alkoholem. Przecież mnie znasz, nigdy na coś podobnego bym się nie zdobył.

Zofia zerknęła na mężczyznę i od razu wiedziała, że łże jak pies, ale nie miała o to pretensji. Na dobrą sprawę, o nic nie miała pretensji.

– Mniejsza o to – nie dała zbić się z pantałyku. – Zapomnij o wszystkim proszę – apelowała, – w przeciwnym razie dalsza nasza znajomość będzie niemożliwa. Szczerze ci wyznam, że bardzo ją sobie cenię i za nic w świecie nie chciałabym jej stracić. Jeżeli jednak będę zmuszona, to z bólem serca, ale zakończę ją! – ostrzegała.

Te słowa brzmiały naprawdę stanowczo, z czego Stefan zdawał sobie doskonale sprawę.
– To co zaszło między nami nie może się nigdy więcej powtórzyć, a przynajmniej nie wkrótce – zastrzegła się, pozostawiając jednak otwartą furtkę.
– To co zaszło między nami, przyznaję, może z pozoru było zwykłym seksem, ale w istocie było to coś znacznie więcej. Nie uważasz? – wysunął daleko idącą sugestię.
– Z mojej strony był to, jak to sam nazwałeś, zwykły seks. I na dodatek niczego nie pamiętam – wypaliła.
– Ty nawet kłamać nie potrafisz.
– A właśnie, że potrafię – spojrzała hardo na Rajmunda.
– Przystanę na każdą twoją propozycję, ale zawsze będę uważał, że dwoje dorosłych, bliskich sobie ludzi ma prawo do odrobiny szczęścia.
– Pewnie, że ma, ale to wszystko stało się tak nagle. Co ludzie powiedzą?
– A co ciebie ludzie obchodzą? Z drugiej zaś strony, przecież na razie możemy ukrywać przed światem naszą… naszą bliskość – sprecyzował ich wzajemne relacje. – Jeżeli tak ci na tym zależy – dodał. – Ja jednego jestem pewien i jedno mogę ci przysiąc. Z tak błahego powodu, nie zrezygnuję z ciebie, ani z własnego szczęścia. Powiedz, że jestem ci obojętny, że nic do mnie nie czujesz, a usunę się w cień, usunę się z twego życia równie szybko jak się w nim pojawiłem.
– Nie, to nie tak – zbliżyła się do Rajmunda. – Dajmy sobie trochę czasu, a na pewno wszystko się ułoży – miała nadzieję i dawała nadzieję.

Rajmund ujął w pół ukochaną i złożył namiętny pocałunek na jej drżących ustach.
– Ja też mam nadzieję, że przyjdzie taki dzień, kiedy znów będziemy razem – wyszeptał.

Wbrew pozorom sytuacja taka bardzo odpowiadała Rajmundowi, albowiem potrzebował czasu na uporządkowanie wielu spraw i przygotowanie strategii na przyszłość.
– Skoro wyjaśniliśmy sobie już wszystko, to chciałabym porozmawiać rzeczowo na temat: Stefana, Adama i mojej pracy – wyliczyła kolejne punkty roboczego spotkania puszczając w niepamięć przedmiot niedawnych trosk.
– W takim razie słucham – zgodził się bez entuzjazmu Rajmund.

Zofia wyłuszczyła, punkt po punkcie, plan działań. Zaczęła od Adama, od tego, że skoro już go nie ma i nic jej nie zagraża z jego strony, to chciałaby pomóc ojcu jej dzieci, czyli Stefanowi. Nie omieszkała oczywiście nadmienić o swojej decyzji względem byłego męża. Zimne, beznamiętne słowa płynące z tych, jeszcze tak niedawno, gorących ust zmroziły serce słuchacza.
– Mam rozumieć, że ty umywasz ręce od tego przedsięwzięcia, bo gdyby, oczywiście hipotetycznie – zaznaczył – Adam jakimś cudem się odnalazł, to ty

jedna zachowałabyś darowiznę. Sprytnie, bardzo sprytnie A co na to dzieci?
– One zdecydowały się wyłożyć pieniądze na leczenie. W końcu to ich ojciec.

Jakaś niewidzialna ręka ścisnęła Rajmunda za gardło, i trzymała przez dłuższą chwilę, aż mu tchu zbrakło. Na szczęście, tego Zofia nie dostrzegła. Pogrążona w myślach, była już całkiem gdzie indziej.
– Pozostała jeszcze jedna, przyrzekam, że ostatnia rzecz, w jakiej chciałam się ciebie poradzić – nieświadoma sytuacji w jednej chwili sprowadziła mężczyznę na Ziemię.
– Cóż takiego spędza sen z pani powiek, pani Zofio? – spytał wielce zatroskany o losy przyjaciółki.
– To kwestia pracy u tego, jak mu tam, Ernesta Zasady. Jeżeli oczywiście propozycja jest ciągle aktualna? – nadmieniła.
– Co z nią? Czyżbyś chciała odrzucić tak intratną ofertę? – zdziwił się. – Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Pieniądze, którymi dysponujesz nie są małe. Z punktu widzenia szarego obywatela nawet duże. Zwróć jednak uwagę na jedną prawidłowość. Posłużę się metaforą – „każda studnia, nawet ta najgłębsza wyschnie, jeżeli zostanie odcięta od źródło zasilania". Rozumiałem, a przynajmniej starałem się zrozumieć wasze postępowanie w sytuacji, jak musieliście podporządkować się regułom ustalonym przez Adama. Ale teraz? Teraz jesteście wolnymi ludźmi, możecie wybierać, decydować, rozwijać się, żyć! Żyć własnym życiem!
– Właśnie o to chodzi! I nie unoś się proszę – uspokajała poirytowanego sąsiada.
– Jak sam byłeś uprzejmy zauważyć, sytuacja nasza zmieniła się diametralnie. Mimo drobnych nieporozumień rodzinnych, postanowiliśmy wziąć sprawy w swoje ręce i skorzystać z danej nam przez los drugiej szansy.

Wielce ten los musiał się natrudzić, żeby tak się stało – pomyślał Rajmund, po czym rzekł.
– Ogromnie cieszę się, że właśnie tak zapatrujecie się na przyszłość. Wnioskuję, że klamka zapadła i jesteś zdecydowana przyjąć ofertę Zasady?
– Czy jestem zdecydowana? Musiałabym być największą idiotką w całej galaktyce, żeby ją odrzucić. Tak, jeżeli nie jest za późno, to po stokroć tak – potwierdzała swoją decyzję rozentuzjazmowana kobieta.
– Bardzo mądrze, bardzo mądrze – zauważył nieco protekcjonalnym tonem Rajmund. – To co, może zadzwonimy do prezesa i przekażemy mu tę dobrą wiadomość? – zaproponował chwytając za telefon. – A za późno nie jest, bo nie dalej jak przedwczoraj Ernest dzwonił do mnie właśnie w tej sprawie. Naświetliłem mu sytuację i poprosiłem o kilka dni zwłoki.
– To wspaniale, to wspaniała nowina, ale.. – zapał Zofii przygasł na chwilę – wstrzymajmy się z telefonem jeszcze jeden dzień, do jutra, proszę. Chciałabym porozmawiać z dziećmi.

Rajmund podszedł do przyjaciółki, ujął jej dłonie i spojrzał głęboko w oczy.

– Jak sobie życzysz, jeden dzień nas nie zbawi, ale daj słowo, że się nie wycofasz.

Nie wypuszczając dłoni kobiety czekał na odpowiedź.

– Przysięgam. To jest moja wielka szansa i chciałabym z niej skorzystać. Nareszcie zacznę się realizować. Przyznam ci, że w skrytości ducha zawsze tego pragnęłam i zapewniam, że nigdy nie wyrzekłam się swoich ambicji związanych z karierą zawodową. Mam nadzieję, że wreszcie nadszedł czas na kontynuację tego, co w jakiś niewytłumaczalny sposób zostało kiedyś przerwane.

– I ja tak sądzę – poparł gorące postanowienie Zofii. – Skoro załatwiliśmy już wszystkie ważne sprawy, mam na myśli część oficjalną, proponuję wznieść toast za świetlaną przyszłość. Koniak, wermut. pastis? – zaproponował żartobliwie.

– Najmocniej cię przepraszam, ale alkoholu to ja długo do ust nie wezmę. Tak postanowiłam i z tego postanowienia też nie zrezygnuję.

– Czemuż to?

– Sam wiesz – spłoniona niczym pensjonarka opuściła zawstydzone oczęta. – Muszę już iść – w jednej chwili zerwała się z fotela. – Do zobaczenia do jutro – rzuciła na odchodne, po czym porwawszy wierzchni okrycie niemal wybiegła z salonu.

– Jutro zadzwonię, do usłyszenia – nikt go już nie słuchał.

Zofia do domu dotarła w tempie wyczynowego chodziarza. Zwołała dzieci na naradę, po czym zakomunikowała o swoich postanowieniach dotyczących przyszłości. W krótkich żołnierskich słowach, wyłuszczyła rodzeństwu, co następuje nie pozwalając nikomu na zbędne komentarze.

– Wy pomagacie ojcu i kończycie studia, ja idę do pracy. Wreszcie zaczniemy żyć własnym życiem.

Takie rozwiązanie odpowiadało wszystkim, nie było więc potrzeby dłuższego rozwodzenia się nad tematem. Nowy duch, jaki wstąpił w Zofię, udzielił się pozostałym członkom rodziny. Świetlana przyszłość, rysująca się przed Mocnymi, nabierała realnych kształtów Tylko w domu ciągle jeszcze wiało chłodem.

Rozdział XXX

Czas oczekiwania na Stefana wypełniony był burzliwą dyskusją dotyczącą sposobu i zakresu pomocy niezbędnej dla ratowania jego zdrowia. W trakcie gorących, rodzinnych sporów zadzwonił dzwonek do drzwi.

– To na pewno ojciec. Idź, otwórz – poleciła matka synowi.

Stefan, ogolony, odświeżony, odziany w odświętny garnitur prezentował się nad wyraz urodziwie. Wcale nie wyglądał na schorowanego, stojącego jedną nogą nad grobem. Rodzinne powitanie było raczej chłodne. Wytarte slogany, oklepane zwroty grzecznościowe. Bowiem przejawy wzajemnej sympatii

czy dobre słowo Zofii dla Stefana w tej szczególnej podstawowej komórce społecznej, z racji zaszłości, były czymś równie rzadkim jak deszcz na Saharze.
– Siadaj i słuchaj co mamy ci do zakomunikowania – miło zaczęła eksmałżonka.

Adresat tych ciepłych słów pokornie wykonał polecenie.
– Dzieci postanowiły – rozpoczęła oświadczenie nieformalna przewodnicząca zebrania, – że wyasygnują niezbędne środki na podratowanie twojego nadwątlonego ciężką pracą zdrowia – nie mogła powstrzymać się uszczypliwości.
– Ja, dla jasności informuję cię, że nie wydam na ciebie złamanego grosza – jej oczy nie wyrażały empatii dla chorego.
– Przykro słuchać, z tak słodkich ust, tak cierpkich słów – wtrącił ze smutkiem.
– Pamiętaj tylko o jednym. To nasze codzienne wybory czynią nas dobrymi lub złymi w oczach Boga i ludzi. A ty za jaką chcesz dzisiaj uchodzić? – nie musiał pytać.

Zofia niezrażona słowami „byłego„ kontynuowała.
– Dzieci chcą ci pomóc i mają do tego prawo. Ja nie będę im tego wzbraniać i to powinno ci wystarczyć. Z drugiej strony, to nawet im się nie dziwię, jesteś przecież ich ojcem. Jakim byś nie był – podkreśliła złośliwie. – Ale na mnie nie licz – zarzekała się po raz wtóry. – A tak swoją drogą – zmierzyła wzrokiem byłego męża, – przyznać muszę, że na chorego to ty mi wcale nie wyglądasz.
– Dobrze się ostatnimi czasy prowadzę, może to wpłynęło na poprawę mojego ogólnego stanu zdrowia czy też wyglądu – tłumaczył się przed rodziną. – Tu są moje wyniki badań – wyciągnął z kieszeni plik dokumentów i położył bez słowa na stole prezydialnym.
– Mama chciała powiedzieć – wtrąciła się do rozmowy córka, – że bardzo się cieszy, widząc ciebie w dobrej formie Prawda mamo? – tym razem Agata nie mogła sobie darować.

Zofia pokiwała znacząco głową, co mogło oznaczać wszystko, zarówno aprobatę jak i dezaprobatę. Ona podświadomie coś czuła, tylko na szczęście dla Stefana nie wiedziała co?
– Wystarczy już tych ciepłych słów na powitanie – przerwał ojciec słowną szermierkę kobiet. – Na wstępie chcę wam wszystkim podziękować…

Zniecierpliwiona Zofia już otwierała usta, żeby sprostować, ale były mąż, chory na wszystko tylko nie na gardło i oczy, zimnym spojrzeniem ostudził jej zapędy.
– Kontynuując, chciałem podziękować za waszą wielkoduszność. Może dzięki wam jeszcze trochę pociągnę, a że nie przyjechałem dzisiaj do was na wózku inwalidzkim to dzięki modlitwom. W Bogu jedyna nadzieja. Jeżeli on nie zechce mnie uzdrowić, to żadne pieniądze tego świata nie będą w stanie mi pomóc. Chociaż mogą znacznie się do tego przyczynić – dodał przyjmując pozę zbolałego cierpiętnika. – Zrozumiałem swój błąd, wiem, że może być już za późno, ale na

poprawę, nigdy nie jest za późno. Wiem też, że jak trwoga to do Boga – Stefan w błagalnym geście złożył ręce, niczym do modlitwy i powiódł wzrokiem po zebranych. Do kogo miałem się zwrócić, jak moi najbliżsi odwrócili się ode mnie?

– Pociągnąłbyś znacznie dłużej i bez boskiej ingerencji gdybyś bardziej się szanował i dbał o swoje zdrowie – Zofia nie wytrzymała.

Żarliwe słowa szczerej skruchy nie sprawiły na zapiekłej w swej nienawiści byłej żonie najmniejszego wrażenia. Stefan po przełknięciu kolejnej gorzkiej pigułki kontynuował myśl.

– Na szczęście dla mnie, a myślę, że i dla was, choroba moja okazała się nie aż tak groźna, jak ją pierwotnie zdiagnozowano. Przeszczep najprawdopodobniej nie będzie konieczny, ale jedną nerkę trzeba będzie usunąć. Lekarze dają duże szanse na to, że druga będzie funkcjonować w miarę poprawnie. Pod warunkiem, że operacja odbędzie się jak najszybciej. Koszt operacji wynosi 400 000 zł. Część pokryje państwowa służba zdrowia, ale większość trzeba będzie wyłożyć z własnej kieszeni. Czy jesteście w stanie mi pomóc? – zwrócił się do dzieci.

– To duże pieniądze – zauważył syn.

– Pewnie, że duże. Możecie w każdej chwili wycofać się. Nie będę miał o to żalu.

– Długo zastanawialiśmy się nad tym. Może nawet za długo? – ciągnął Jacek.

– Nie taką, co prawda, kwotę braliśmy pod uwagę, ale cóż poradzić? Słowo się rzekło. Skoro tyle potrzeba, to niech tak będzie. Zgoda siostra?

Siostra już wcześniej wyraziła swoją opinię na ten temat, więc tylko przytaknęła.

– Czy pewien jesteś, że operacja przyniesie pożądany skutek? – zapytała Zofia.

– Jeżeli pytasz, o to, czy operacja daje stuprocentową gwarancję na całkowite wyzdrowienie, to nie. Operacja daje mi szansę i nadzieję. Gdyby jednak coś poszło nie tak będziecie mogli złożyć reklamację. Może uwzględnią i zwrócą wam pieniądze? Musicie tylko zachować paragon – szydząc nawet nie mrugnął okiem.

Zofia poczerwieniała ze złości, ale nie skomentowała słów Stefana.

– A gdzie ma być przeprowadzona ta operacja? – puściła sarkazm mimo uszu.

– W klinice pod Warszawą. Ponoć jedna z najlepszych w kraju.

– A jak długo będzie trwało leczenie?

– Około trzech miesięcy, jeżeli nie będzie żadnych powikłań.

– W takim razie powodzenia i wracaj zdrowy – wysiliła się na ciepłe słowa.

– Kiedy wyjeżdżasz? – zapytała córka.

– Za kilka dni, jak załatwię formalności. Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Gdyby nie wy, to niewiele życia by mi zostało.

– Może kiedyś im się odwdzięczysz – z nieukrywaną „nadzieją" w głosie rzuciła uszczypliwie Zofia.

– Kto wie? Może kiedyś wyrównamy rachunki .– powiedział z nadzieją w głosie wodząc wzrokiem po obecnych. Wstał pożegnał się i wyszedł pozostawiając bliskich w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Nikt z obecnych nie zastanowił się nad znaczeniem słów nawróconego Stefana.

Wracając do domu całą drogę zastanawiał się „co dalej?". Sukces, co prawda osiągnąłem, ale tylko połowiczny. Na razie na nic więcej liczyć nie mogę – myślał pozytywnie. – Dobre i to. Najwyższy czas na cudowne ozdrowienie. Medycyna naturalna w tej sytuacji jest praktycznie bezradna, ale taki Kaszpirowski, Harris czy inny cudotwórca wiele może pomóc. Najwyższy czas zabrać się do roboty. Trzeba działać.

Przed samym wyjazdem na leczenie wpadł na chwilę do rodziny, żeby pożegnać się. Raz jeszcze podziękować za wielkoduszność i na koniec, rzecz najważniejsza, uregulować sprawy rodzinne na wypadek nieprzewidzianych komplikacji związanych z operacją. Poinformował wszystkich, co i jak mają robić w razie najgorszego. Spotkanie nie trwało długo, bowiem wszyscy gdzieś się spieszyli, a i on sam nie chciał przedłużać wizyty tłumacząc, że w jego sytuacji każda minuta jest na wagę życia. Ciężko chory Stefan wyjechał. Trudno powiedzieć na jak długo, gdyż leczenie wszystkich jego przypadłości, było nie tylko kosztowne, ale i długotrwałe.

Na szczęście Mocni nie pozostali sami w swoim żalu. Na posterunku stał wierny sąsiad, na którego pomoc cała rodzina, a w szczególności Zofia zawsze mogli liczyć. Wspomniana persona, wiedziona jakąś tajemną siłą, zjawiła się u sąsiadki jeszcze tego samego dnia wieczorową porą.

– Wybacz Zofio, że tak bez uprzedzenia, ale chciałem zrobić ci niespodziankę. Wiem, że twój były mąż wyjechał na leczenie, pomyślałem więc, że może potrzebujesz wsparcia duchowego lub chociażby rozmowy z kimś bliskim.

Spojrzenie Zofii nie wymagało komentarza.

– Dobrze, że przyszedłeś. Czasami odnoszę wrażenie, że czytasz w moich myślach. Zjawiasz się zawsze wtedy, gdy potrzebuję twojej pomocy, a jeżeli nie pomocy, to przynajmniej porady.

– Miło mi to słyszeć. Wiesz przecież, że zawsze możesz na mnie liczyć, czy to w dzień czy w nocy.

Zofia spojrzała na gościa z wyrzutem, może z oburzeniem, a może z figielkiem w oku?

– Co to miało... – chciała coś powiedzieć, ale nie dane jej było skończyć myśli. Rajmund udając, że tego nie widzi, ciągnął dalej.

– Jutro na dziesiątą jesteś umówiona z Ernestem na podpisanie kontraktu. Właśnie od niego wracam i stąd ta niespodziewana wizyta. Sam osobiście chciałem przekazać ci tę radosną wiadomość.

– To bardzo miłe z twojej strony. Jestem ci bardzo wdzięczna za troskę i za wszystko, co dla mnie do tej pory zrobiłeś. Nie wiem jak bym sobie bez ciebie poradziła. Jesteś takim moim dobrym duszkiem i oddanym przyjacielem.
– Oho, to już drugi komplement tego wieczoru, czy to aby nie za dużo? – przekomarzał się.

Rajmund zrobił krok do przodu, żeby przytulić Zofię, ale na jego nieszczęście do pokoju weszła służąca z wieścią, że kolacja została podana.
– Zmiana planów – zakomunikowała pani domu.
– Skoro przyniosłeś tak dobre wiadomość zapraszam cię do restauracji. Musimy uczcić moją nową posadę – zaproponowała rozpromieniona, przyszła pani manager.
– Nie wiem, czy to dobry pomysł? Jutro masz spotkanie, musisz być wypoczęta – tłumaczył.
– Nic się nie martw mój drogi. Wszystko będzie dobrze. Na kolację pojedziemy do Kaskady. Ja stawiam. Stać mnie! Swoją drogą to i tak nie zasnęłabym z emocji. Kilka lampek wina na pewno mi nie zaszkodzi – przekonywała.
– Ale jak to? Chcesz tak oficjalnie pokazać się ze mną? A co ludzie…
– Od kiedy to ty zacząłeś przejmować się ludźmi? – zadając pytanie zbliżyła się do zaskoczonego Rajmunda i figlarnym gestem zadarła mu palcem nosek do góry.
– Ja, ja bardzo chętnie skorzystam z twojego zaproszenia, nawet nie wiesz jak chętnie, ale...
– Nie ma żadnego ale.
– To jedźmy – Rajmund odwrócił się bezceremonialnie na pięcie i udał w kierunku drzwi.
– Zaraz. Dokąd tak pędzisz? Nie pójdę przecież w tym – tu uczyniła gest prezentujący jej aktualny ubiór.
– A coś z nim jest nie tak? Wyglądasz cudownie – zachwycał się podniecony wizją wspólnej kolacji.
– Przecież to podomka głuptasie.
– To ja chciałbym widywać ciebie zawsze w takiej podomce. Niczego innego nie potrzebujesz zakładać na siebie.
– Ty może i tak, ale inni mogliby mieć to i owo naprzeciw. I makijaż, przecież tak nie wyjdę z domu.
– Nie pojmuję, ale skoro chcesz poprawiać skończoną doskonałość natury to życzę powodzenia. O jedno tylko proszę, niczego nie...
– Będzie dobrze, niczego nie…. – zapewniała rozanielona kobieta. – Daj mi tylko kilka minut.

„O święta naiwności"! Kilka minut dać kobiecie na toaletę!

Wydłużający się czas oczekiwania na ukochaną Rajmund próbował

wypełniać myślami o wspólnej przyszłości, ale szło mu to nad wyraz opornie. W oczekiwaniu na Godota do salonu niespodzianie weszli młodzi Mocni.
– Dobry wieczór panie Rajmundzie – przywitali się z sąsiadem.
– A gdzież to podziała się gospodyni, że siedzi pan tutaj sam, jak kołek w płocie? – palnął bez zastanowienia Jacek.
– Co za brak taktu! – zauważyła Agata.
– Nie, nie, to nie tak... – próbował tłumaczyć zastałą sytuację gość.
– Nie tak, a jak? – dopytała z nieco sardonicznym uśmieszkiem na twarzy.
– ...Wasza mama jutro idzie podpisać kontrakt z panem Zasadą. To naprawdę bardzo intratna propozycja. Postanowiliśmy więc wyjść do restauracji na kolację by uczcić tę wyjątkową okoliczność.
– Tak, a to ciekawe. Nie sądzisz młody, że pan Rajmund z mamą ostatnimi czasy jakoś nazbyt często wspólnie świętują? – nie spuszczała z tonu dziewczyna wbijając wzrok w zmieszanego sąsiada.
– I mnie się tak zdaje, kochana siostro – przytaknął brat.
– To tylko takie dobrosąsiedzkie stosunki – tłumaczył się wzięty w krzyżowy ogień szyderstw sąsiad. – Wasza mama jest piękną kobietą, ...ale ja nic takiego, żeby coś tam i w ogóle – zaplątał się.

Młodzi spojrzeli po sobie wymownie, rozumieli się bez słów – byli górą.
– Ojciec ledwo wyjechał na leczenie, a matka nawiązuje dobrosąsiedzkie stosunki i po restauracjach się..! Nieładnie. Co na to ludzie powiedzą – martwiła się o opinię środowiska zatroskana córka?
– Ale przecież pan Stefan nie jest już mężem waszej mamy. Jest mi bardzo przykro z tego powodu – wydukał.
– To fakt, ale ciągle jest naszym ojcem, a my nie pozwolimy robić z niego pośmiewiska – zauważył młodzieniec.
– I rogacza – dołożyła Agata.
– I rogacza – powtórzył jak echo brat.

Jacek zbliżył się do wielbiciela matczynych wdzięków z jednoznacznym zamiarem okazania mu synowskiej miłości do ojca. Na szczęście dla wylęknionego zalotnika do salonu wszedł obiekt westchnień. Adorator ślicznej Zofii był ocalony.
– O jesteście, to dobrze. My z Rajmundem właśnie wychodzimy uczcić...
– Już wszystko wiemy – oznajmił Jacek spoglądając dwuznacznie na towarzysza matczynej eskapady.
– A to świetnie, nie będę musiała się powtarzać. Jak wyglądam? Może tak być?

Wylękniony Rajmund ledwo doszedł do siebie po jednych przeżyciach, a tu życie zaserwowało mu kolejne atrakcje. Tym razem natury czysto estetycznej.

Obserwowany przez dwa Cerbery, nie miał odwagi wyrazić swojej

opinii w taki sposób, na jaki zasługiwała piękna Zofia. Ograniczył się jedynie do lakonicznego stwierdzenia.
– Pięknie, bardzo pięknie. Chodźmy już – próbował jak najszybciej zejść z pola widzenia zatroskanych o losy matki dzieci.

Wprawdzie Zofia spodziewała się usłyszeć coś więcej, ale niestety jej rozbuchane ego musiało zadowolić się tym zdawkowym, banalnym wręcz stwierdzeniem. Nie mając śmiałości obejrzeć się za siebie, Rajmund do samego wyjścia czuł na plecach chłód lodowatego wzroku żegnających ich ciepło dzieci. W dzień powszedni, w niewielkim mieście restauracje nie narzekają raczej na nadmiar klientów. Rajmund doskonale o tym wiedział i na to liczył. Dyskretne tete–a–tete z ukochaną, to wymarzona sytuacja dla zjednania sobie przychylności wybranki. O wczesno-wieczornej porze w lokalu, jak spodziewał się Rajmund, było niewiele osób. Para poprosiła o stolik w ustronnym miejscu, po czym zaczęła świętować przyszłe sukcesy pani menager. Zapatrzeni w siebie, zapatrzeni w gwiazdy, zapamiętali w rozmowie, nie zauważyli jak w lokalu zrobiło się gwarno i tłoczno. Tę ezoteryczną atmosferę spotkania dwojga dusz przerwał jakiś obcy głos dobiegający z drugiego krańca wszechświata.
– A wy kochani, co tak na uboczu? Zapraszamy do nas.

Oboje na dany sygnał zstąpili z obłoków, spojrzeli w kierunku skąd dochodził głos i, o zgrozo, kogo zobaczyli? – zwykłego śmiertelnika w osobie Jasia. Ze wstrętem powłóczyli wzrokiem po tej lichej, nikczemnej postaci zakłócającej im niebiański spokój, po czym ponownie spojrzeli sobie w oczy, ale w nich już nie paliły się gwiazdy. Byli z powrotem na ziemi. Tajemnicza, romantyczna, pełna uniesień podróż w nieznane w jednej chwili brutalnie została przerwana i zakończyła się twardym zderzeniem z rzeczywistością.
– Co, co mówisz Jasiu? – odezwał się Rajmund.
– Zapraszamy do nas, do naszego stolika. Jest tu kilka osób, które znacie. Może się przysiądziecie – zaproponował.
– To miłe z twojej strony, ale dziękujemy. Na razie mamy kilka ważnych spraw do omówienia – wypowiadając te słowa mimochodem rzucił wzrokiem na salę i ku swemu zaskoczeniu ujrzał tłum ludzi, a wśród nich wielu wspólnych znajomych.

Co się do cholery dzieje? – pomyślał poirytowany, rozglądając się nerwowo na boki. Łatwiej trafić szóstkę w LOTTO, niż zebrać ich wszystkich razem, a tu taki traf – szczęściarz ze mnie, nie ma co... Miesiącami mógłby człowiek przychodzić do tej pieprzonej knajpy i wszystkich oddzielnie choćby chciał, to by nie spotkał, a tu proszę! Sama elita zebrała się jak na zawołanie. Jutro wszyscy będą o nas trąbić – taki wariant Rajmund brał pod uwagę wybierając się w niewielkiej mieścinie do najpopularniejszej restauracji, ale taki zbieg okoliczności był ze wszech miar nieprawdopodobny.

– A jakaż to okazja, że w powszedni dzień zebrało się w restauracji tylu znajomych? – dopytywał wkurzony Rajmund. Chciał przynajmniej wiedzieć czemu lub komu zawdzięcza tę wątpliwą przyjemność.
– Moja Maryśka ma dzisiaj urodziny, okrągłe urodziny – zaznaczył Jasio. – I za nic w świecie nie chciała przełożyć organizacji imprezy na inny dzień. Cóż mi było robić? Musiałem się zgodzić.

Już wszystko jasne. Jak pech, to pech.

– Dziękujemy bardzo za zaproszenie, ale właśnie mieliśmy wychodzić. Może innym razem – Stefan wyklepał wytartą formułę, byle tylko pozbyć się intruza. – Jutro czeka nas ciężki dzień i musimy być wypoczęci. Sam rozumiesz? – zwrócił się jak do biznesmena. – Uszanowania dla małżonki. Sto lat od nas.
– Przekażę – rzekł Jan. – Wielka szkoda, Marysia tak by się ucieszyła, ale rozumiem.

Chyba rozumiał nie do końca albo opacznie.

Jan, na pożegnanie ucałował dłoń Zofii, po czym, powstrzymując się od nadmiaru czułości, uścisnął dłoń Rajmunda. Zrobił przy tym minę, nieco protekcjonalną, świadczącą o pełnym zrozumieniu sytuacji.

Dupa mokra – pomyślał Rajmund. – Jutro będzie głośno o nas, szkoda tylko Stefana.

Rozdział XXXI

Praca pełna wyzwań i wyrzeczeń pochłonęła Zofię bez reszty. Nagromadzone przez lata pokłady energii wreszcie znalazły ujście. Nowo upieczona pani menager rzuciła się w wir pracy, a niezwyczajna do szybkiego obrotu spraw czasami dostawała zadyszki i zawrotów głowy. Rzucona na szerokie wody zachłysnęła się nieco władzą oraz niezależnością jaką niosło ze sobą nowe stanowisko, czego skutków nieraz doświadczali podwładni. Spełnienie i samorealizacja – tego Zofia potrzebowała, żeby zacząć ponownie żyć własnym życiem. Spotkała tu też wielu dawni współpracowników. Ci jednak przyjęli Zofię z mieszanymi uczuciami. Mając ciągle w pamięci niedawny strajk i jego konsekwencje dla Mocnej, podchodzili z dystansem do poszkodowanej w nim, obecnej przełożonej. Ta zaś, jako profesjonalistka w każdym calu, na każdym kroku podkreślała, że puściła w niepamięć „zdradę". Liczy się tylko dzień dzisiejszy i przyszłość – powtarzała Sporo wody musiało upłynąć zanim zdołała przekonać do siebie podwładnych.

Fajna z niej babka – dało się słyszeć, – I jaka kompetentna – podkreślali inni. Zofia słysząc takie opinie dotyczące swojej osoby chyba naprawdę zapomniała o dawnych niesnaskach z załogą. Firma prosperowała coraz lepiej, czego niewątpliwie ogromną zasługą było zaangażowanie i umiejętności

menadżerskie Zofii. Wydawać się mogło, że wszelkie zawirowania życiowe Mocna ma już za sobą. Z optymizmem mogła patrzeć w przyszłość, a jednak... O pieniądze nie musiała już się martwić, bo te płynęły do jej kiesy szerokim strumieniem, a na korzystanie z ich siły nabywczej nie miała zbytnio ani czasu, ani ochoty. Sielanka trwałaby zapewne po dziś dzień gdyby nie pewna, nieprzewidziana okoliczność, która zwolna zaczęła wpływać na uporządkowane życie rodziny.

Na początku ścieżki kariery zawodowej rodzącej się gwiazdy Rajmund był drogowskazem i mentorem, lecz z czasem podopieczna stawała się coraz bardziej niezależna, aż nareszcie zaczęła stąpać po własnej „Drodze Mlecznej". Dawny przyjaciel i powiernik najskrytszych tajemnic powoli stawał się niepotrzebny, a nawet zbędny. Bóg mu świadkiem, jak wiele wysiłku wkładał w to, żeby zwrócić na siebie uwagę, żeby stać się częścią życia Zofii, lecz wszystko na nic. Natrętny sąsiad dzwonił, zapraszał, proponował, ale obarczona obowiązkami Zofia pozostawała obojętna na jego starania. Zawsze miała jakieś wytłumaczenie, z każdym dniem oddalała się od Rajmunda coraz bardziej.

Odrzucony zalotnik myślał nawet, że ukochana znalazła sobie inny obiekt westchnień, ale nie. Nowym kochankiem pani dyrektor stała się praca. To ona wypełniała każdą jej chwilę, to ona stała się sensem jej życia. Zofia z każdym dniem zapamiętywała się coraz bardziej, jakby chciała zrekompensować sobie te minione, jałowe lata. Teraz wiem ze żyję – nieraz podkreślała ten fakt, podczas krótkich, przelotnych spotkań z adoratorem.

Postępująca choroba przyjaciółki, zdiagnozowana jako pracoholizm, zaczęła niepokoić Rajmunda na tyle, że postanowił coś z tym zrobić, znaleźć lekarstwo na dolegliwość. Jej nadgorliwość w pracy, nie mogła również pozostać bez wpływu na wzajemne stosunki rodzinne. Co prawda Jacek z Agatą nie byli już małymi dziećmi i nie wymagali codziennego niańczenia, ale wiek, w jaki oboje wchodzili, był bardzo niebezpieczny i z tego to względu wymagali dużo większej uwagi ze strony rodziców, aniżeli ci byli w stanie im poświęcić. Niestety, ojca nie było, matka zaś zajęta obowiązkami zawodowymi nawet nie zauważyła, jak coś złego zaczęło dziać się wokół ich ogniska domowego. Jedynie Rajmund, jako oddany przyjaciel rodziny, próbował otworzyć przyjaciółce oczy na zbierające się nad ich domem czarne chmury. Zofia niestety pozostawała głucha na jego sugestie. Już go nie słuchała, aż w końcu doszło do tego, że zarzuciła mu nadmierne wtrącanie się w jej prywatne rodzinne sprawy. Tego Rajmundowi było już za wiele. Postanowił usunąć się z życia Mocnych i tylko z boku obserwować ich dalsze poczynania. Na efekty nie trzeba było długo czekać.

Młodzi Mocni coraz śmielej zaczęli sobie poczynać. Szastali pieniędzmi na prawo i lewo bez żadnych zahamowań. „Easy come, easy go" – mawiali nie mając żadnego szacunku do tego, co tak łatwo im przyszło. Nie żałowali sobie na

nic. Samochody, ciuchy, wyjazdy, imprezy, na których nie brakowało niczego, od używek po seks, stały się powodem wielu plotek i złośliwych komentarzy, ale ci nic sobie z tego nie robili.

Czas rozpasania trwał w najlepsze. Mimo, że do Zofii zaczęły docierać niepokojące sygnały dotyczące nazbyt frywolnego sposobu prowadzenia się jej dzieci ta nie reagowała. To tylko złośliwe plotki zawistnych ludzi – komentowała. Młodzi są, muszą się wyszumieć. Pieniądze mają, zdrowie mają, niech korzystają z życia – mawiała Zofia nie do końca rozumiejąc wagę swych słów.

Rodzeństwo zaś, biorąc słowa matki za dobrą monetę, idąc za zasłyszaną radą oraz opatrznie ją pojmując, rozpasali się z każdym dniem coraz bardziej. Pieniądze płynęły szerokim strumieniem z kasy nuworyszy. Chwilami można było odnieść wrażenie, że urządzili sobie prywatne zawody w bezsensownym trwonieniu pieniędzy. Znajomi, czy też towarzysze zabaw, po cichu naśmiewali się z nowobogackich, co w żaden sposób nie przeszkadzało im w skwapliwym korzystaniu z uroków znajomości z nimi.

– Czego bogatemu nie wolno? – pytali szyderczo.

Trwające miesiącami pandemonium, z wolna prowadziło ku nieuchronnej katastrofie. Pieniądze topniały w oczach, czego młodzi nie do końca byli świadomi. W całej swej naiwności uważali, że fortuna, jaką dysponowali wystarczy na wygodne życie przez długie, długie lata. Tymczasem prawa ekonomii są nieubłagane i bezwzględne. Jeżeli z worka tylko się wyjmuje, a nie wkłada, to choćby był on najgłębszy, kiedyś sięgnie dna. Czerpanie z rogu obfitości trwało już kilka miesięcy i nic nie wskazywało na to żeby mieli zamiar przestać. Bankructwo, co prawda, jeszcze im nie groziło, ale widmo zbliżających się kłopotów niepostrzeżenie zawisło nad ich głowami.

Zadając się z ludźmi dość podejrzanego autoramentu, w poważne tarapaty jako pierwszy popadł Jacek. Jedynie natychmiastowa interwencja cichego opiekuna, uchroniła młodego człowieka przed tragedią, czego ten nie był nawet do końca świadomy. Niefortunną znajomość musiał okupić sporą sumą pieniędzy, ale stosownych wniosków nie wyciągnął.

Rajmund, przyglądając się uważnie temu wszystkiemu, rwał sobie włosy z głowy, ale żadnym sposobem nie był w stanie przemówić do rozsądku Zofii, a co dopiero do sprawców całej tej awantury. Upodobanie do zabawy odziedziczyli najwyraźniej po tatusiu – stwierdził ze smutkiem. Uśpione dotychczas, hedonistyczne skłonności do zabawy z wolna zaczęły kierować ich życiem.

– Ten nasz ojciec, wiedział co dobre – zauważył Jacek przy jakiejś rozmowie z siostrą.

Źle go ocenialiśmy – doszli do wspólnego wniosku. Chyba nie we wszystkim mieliśmy rację pomstując na niego – usprawiedliwiali swoje aktualne

poczynania.
– Niestety matka uważa inaczej. Nie dalej jak wczoraj wyskoczyła do mnie z gębą, że za dużo wydajemy pieniędzy na zabawę, ale to już jej problem – zamknęła temat Agata.
– Ona ma swoją pracę, a my co mamy? My mamy pieniądze więc korzystajmy z nich – dołożył od siebie Jacek.

Zatroskany o losy rodziny Rajmund, zdecydował się na stanowczą rozmowę z przyjaciółką. Zadzwonił do wiecznie zapracowanej, nieuchwytnej Zofii i stanowczo zażądał spotkania w trybie doraźnym. Jak mógł się spodziewać, Mocna wynajdowała mnóstwo powodów, żeby odłożyć spotkanie na inny, bliżej nieokreślony termin, lecz tym razem, zmuszony do działania Anioł Stróż nie dał się spławić byle wymówką. Przedmiot rozmów był aż nazbyt ważny, a sprawy zabrnęły zbyt daleko, żeby można było czekać. Czas naglił. Spotkanie ustalili na 21.30 w domu Krakowskiego. Zofia stawiła się u sąsiada punktualnie o umówionej godzinie i już od progu zarzuciła go wieloma pytaniami. W słowach przyjaciółki wyraźnie dało się wyczuć nutę pretensji. Rajmund cierpliwie przeczekał falę wzburzenia, po czym wziąwszy ją za rękę podprowadził do fotela. Zofia ciągle miała przyspieszony oddech i ciągle jeszcze coś mówiła – o zawiści ludzkiej, o zazdrości, itd.
– Siądź proszę i postaraj się uspokoić – zaproponował Rajmund.
– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? – ciągle napastliwym tonem pytała Mocna.
– Poczekaj. Za chwilę wyjawię ci powód naszego spotkania.

Rajmund nie kwapił się z rozpoczęciem rozmowy, czekał cierpliwie aż Zofia ochłonie na tyle, aż będzie partnerem do rozmowy.
– Może kawę lub herbatę? – zaproponował.
– Zrób mi jakiegoś drinka, proszę.

Mężczyzna niespiesznie podszedł do niewielkiego stolika stojącego pod ścianą, nalał dwie szklaneczki whiski, po czym równie wolnym krokiem powrócił do swego gościa. Zofia wyglądała na wiele spokojniejszą, ale piersi ciągle unosiły się jej zbyt wysoko.
– Jak tam w pracy? – zagadnął.
– Nie po to przyszłam do ciebie, żeby rozmawiać o mojej pracy – odpowiedziała niegrzecznie. – Czemu poprosiłeś mnie o spotkanie? O co chodzi? – zapytała bez ogródek.

Rajmund widząc, że nie da się odkładać rozmowy w nieskończoność, przysiadł obok kobiety i zaczął.
– Zofio, na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że jestem ci więcej niż przyjacielem i pragnę twojego szczęścia bardziej niż ci się wydaje. Niestety obserwując od jakiegoś czasu poczynania twoich dzieci doszedłem do wniosku, że odkąd podjęłaś pracę, bardzo źle zaczęło dziać się w twojej rodzinie i…

– Co chcesz przez to powiedzieć? – weszła w słowo zniecierpliwiona.
– Już mówię. Zrozum to, co powiem. Ty będąc ciągle zajęta pracą, nie dostrzegasz lub nie chcesz dostrzec rzeczy, które dzieją się wokół ciebie.
– Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? – zapytała wyraźnie poirytowana.
– Chodzi o twoje dzieci – wydusił wreszcie z siebie powód spotkania.
– A co z nimi? Rozchorowały się, czy co?
– Na chorobę można znaleźć lekarstwo, ale na dolegliwość, na jaką zapadły twoje dzieci znaleźć jakiś środek będzie znacznie trudniej.
– O czym ty do cholery jasnej mówisz? – dopytywała wyraźnie poirytowana.
– Czy ta twoja piep... – ugryzł się w język – praca tak przysłoniła ci świat, że nie dostrzegasz tak oczywistych rzeczy? Problemów nabrzmiałych wokół ciebie, wokół twoich najbliższych?! – wyartykułował bardzo podniesionym głosem, opanowany zazwyczaj, Rajmund. – Przecież oni z każdym dniem pogrążają się coraz bardziej. Szastają pieniędzmi, wydają bez opamiętania, organizują imprezy, ba, orgie, na których Bóg wie, co się dzieje. Jak długo będziesz przymykać na to oko i udawać, że nic się nie dzieje?
– Ja niczego takiego nie zauważyłam – odpowiedziała z pretensją w głosie postukując nerwowo palcami w blat stołu, stwarzając wrażenie wyraźnie zniecierpliwionej.
– To, że tego nie dostrzegasz wcale mnie nie dziwi, bo masz klapki na oczach, bo nie masz na to czasu. Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z dziećmi? – zapytał niespodziewanie.
– No, jakoś tak kilka dni temu – skłamała bez zastanawiania się traktując rzecz marginalnie.
– I co? Wszystko było w porządku? Niczego nie zauważyłaś – dopytywał skołowany i przerażony Rajmund.
– Tak. Wszystko było w porządku – wycedziła przez zaciśnięte zęby traktując Rajmunda jak natrętną muchę. – Nie wiem do czego zmierzasz, ale jeżeli próbujesz skłócić mnie z dziećmi to wiedz, że ci się to nie uda – zapewniała przyjmując napastliwą postawę.

Rozmowa zaczynała przybierać niepożądany dla Rajmunda charakter.
– W takim razie o jedno tylko proszę – powiedział zrezygnowany.
– Co mogę dla ciebie uczynić? – zapytała trochę łagodniejszym tonem, ale lekko już znudzona Zofia.
– Poproś dzieci o pieniądze, które deklarowali na leczenie ojca.

Zofię zdziwiła nieco prośba sąsiada, bo co mu do tego – pomyślała. Ale niech tam – koniec końców zgodziła się porozmawiać z dziećmi na ten temat, bowiem w niedalekiej przyszłości należało się spodziewać rachunków za leczenie Stefana, a ze swoich nie zamierzała dokładać ani grosza.
– To mogę ci obiecać – zapewniła Rajmunda.

Oboje, bez zbędnych słów wiedzieli, w czym się sprawa ma cała. Sąsiedzi rozstali się w nienajlepszych humorach, z odrobiną niedomówień w tle. Zofia, wróciwszy do siebie, szczęśliwie zastała syna z córką w domu przy kolacji. Nie zwlekając postanowiła natychmiast załatwić sprawę.

– Dobrze, że was widzę – zaczęła od wejścia. – Chciałabym z wami porozmawiać.

Młodzi spojrzeli po sobie myśląc, że matka będzie czyniła im wyrzuty w związku z ich nagannym prowadzeniem się, ale nie. Postawa matki bardzo rozczarowała zaniedbywane od miesięcy dzieci.

– Nadszedł czas, aby wyrównać rachunki – rozpoczęła matka.

Młodzi ponownie spojrzeli porozumiewawczym wzrokiem po sobie. Mieli jednak coś na sumieniu, z czego oczywiście Zofia nie zdawała sobie sprawy, lecz w tym momencie była to sprawa trzeciorzędna.

– Nadszedł czas, żeby wyrównać rachunki za ojca, opłacić klinikę – zakomunikowała.

A to o to chodzi ucieszyli się z początku.

– Ile trzeba wyłożyć? – zapytał syn.

Ta kwestia interesowała również córkę.

– No tyle ile było ustalone – odrzekła matka.

Spora kwota, jaką należało wyłożyć na leczenie ojca, w znacznym stopniu uszczupliłaby i tak mocno już nadwyrężone finanse rodzeństwa. Może zbyt pochopnie? Może za dużo? Może dałoby się taniej? – targowali się z matką, gdy ta przypomniała im o zobowiązaniach wobec tatusia. Jakże różne było obecne nastawienie rodzeństwa do kwestii pomocy ojcu od tego, jakie prezentowali jeszcze kilka miesięcy wcześniej. Gdzie podziali się ci idealiści? – zastanawiała się zdziwiona matka. – Co się z nimi stało? Co ich tak odmieniło?

Szczęśliwie dla chorego, rodzicielka doskonale zdawała sobie sprawę z sytuacji, w jakiej sama znalazłaby się, gdyby młodzi wycofali się z umowy. Ktoś musiałby za to beknąć, a tą osobą byłaby zapewne największa przeciwniczka Stefana. Determinacja, z jaką zabrała się do wyegzekwowania należnych środków mogła budzić podziw najzajadlejszego, bezdusznego komornika. Niestety nie była ona podyktowana miłością czy troską o byłego małżonka, a jedynie własnym, partykularnym interesem. Stanowcza postawa matki jednoznacznie świadczyła, że niewiele z nią utargują. Z bólem serca, w ostateczności przystali na deklarowaną wcześniej kwotę.

Jak ten Rajmund przewidział taką sytuację? Prorok – zażartowała sobie niestosownie. Ten tymczasem, zdając sobie sprawę ze swojego znacznego wkładu w zaistniały stan rzeczy, wszelkimi sposobami próbował znaleźć rozsądne wyjście. Stworzyłem potwora – doszedł do smutnego wniosku cichy opiekun. Rozczarowany i zaniedbywany adorator postanowił podjąć stosowne kroki w celu wyciągnięcia przyjaciółki z pracoholizmu, latorośle zaś uchronić przed nimi

samymi. Pomagając ukochanej stanąć na nogach miał realne podstawy zakładać, że ta będzie umiała w odpowiedni sposób odwdzięczyć się mu i wynagrodzić jego wszelkie starania związane z jej osobą, ba, całą rodziną. Tymczasem, okoliczności obróciły się przeciwko niemu. *Lepszy wróbel w garści niż kotka na gorącym, blaszanym dachu* – sparafrazował tytuł powieści.

Muszę coś wymyślić, muszę jakoś ją obudzić, a przede wszystkim zwrócić na siebie uwagę. Ona traktuje mnie jak sąsiada, kumpla, powiernika, ale na pewno nie widzi we mnie mężczyzny, zakochanego mężczyzny. Co mogłoby ją poruszyć? – zastanawiał się. – Jedyną rzeczą, jaka może poruszyć kobietę, to zazdrość. Jeżeli to nie podziała, to przegrałem. Czy jestem jej aż tak obojętny? Czy wszystko, co było między nami to już przeszłość? Wszystko się wypaliło, skończyło?

Powodowany niezdrowymi emocjami, zakochany Rajmund zdecydował się na rozwiązanie ostateczne, na ostatni akt desperacji. Podczas, kiedy Zofia bezgranicznie poświęciła się pracy, zapominając o bożym świecie i o wszystkich bliskich jej osobach, włączając do tego grona również Rajmunda, ten postanowił wypełnić sobie czas samotności bliższą znajomością z pewną koleżanką z pracy. O przyjaźni Rajmunda z Agnieszką wiedzieli wszyscy wokół, nie znali tylko prawdziwych pobudek i relacji zachodzących między nimi. Coraz częstsze spotkania, wyjazdy, spacery, wspólne kolacje w restauracjach i u Rajmunda nie umknęły uwadze ciekawskich. W mieście zaczęto plotkować o ich romansie. Nie trzeba było długo czekać aby informacja ta dotarła do Zofii. Ta, z początku nie chciała dać wiary tym, jak sądziła, pomówieniom. To pustosłowie – odpowiadała życzliwym. Czas płynął, Rajmund coraz rzadziej odzywał się do niej. Coś w tym musi być – nareszcie dotarło do zapracowanej kobiety. Ale, żeby Rajmund takie rzeczy robił – zastanawiała się. Nie to niemożliwe. Wszyscy tylko nie on – idealizowała człowieka zapominając o mężczyźnie. Przecież on mnie tylko kocha – chełpiła się nie dostrzegając błędów, jakie od dłuższego już czasu popełniała odsuwając go od siebie i pogrążając się w pracoholizmie.

Zdeterminowany do działania amant, gotowy był na wszystko. Postanowił zaprosić swoją nową przyjaciółkę, na romantyczną kolację przy świecach. Tego właśnie wieczoru sąsiadka wróciła z pracy zdecydowanie wcześniej niż zwykle, czego Krakowski w żaden sposób nie mógł przewidzieć. Ta widząc migocące światełka w oknie postanowiła odwiedzić dawno niewidzianego przyjaciela. Może to zazdrość nią kierowała, a może tylko ciekawość... Po krótkiej toalecie, odświeżona, przebrana w nowe ciuszki, bez zapowiedzi, udała się z wizytą do Rajmunda. Jakież było jej zdziwienie, gdy ujrzała go w towarzystwie pięknej kobiety, spożywającego kolację w nader romantycznej scenerii. Sytuacja, w jakiej nakryła parę wcale nie była dwuznaczna.

– Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam, zobaczyłam światło i pomyślałam,

że cię odwiedzę, tak dawno nie widzieliśmy się, ale to był zły pomysł – paplała zmieszana.

Rajmund zerwał się zaskoczony z fotela, żeby przywitać sąsiadkę, przedstawić gościa, wyjaśnić sytuację... Przyłapany *in flagranti*, nieco zmieszany, chaotycznie usiłował coś tłumaczyć.

– Daj spokój Rajmundzie, to moja wina, powinnam była zadzwonić.

Zofia z dużym zrozumieniem podeszła do tematu, nie robiąc sąsiadowi niepotrzebnych wymówek. Na odchodne, odwracając się na chwilę do przyjaciela, bąknęła jedynie.

– Wiesz Rajmundzie, myślałam, że jesteś inny. Zawiodłam się na tobie. Nie spodziewałam się, że tak szybko znajdziesz sobie pocieszycielkę. Życzę ci wszystkiego najlepszego w nowym związku – rzekła z udawaną nutą żalu w głosie. Zofii z niezrozumiałych dla niej powodów, przez krótką chwilę zrobiło się przykro.

Dwoje ludzi przyłapanych „na gorącym" siedziało przez chwilę w milczeniu.

– Wulkan nie kobieta. Ale gdzie te emocje? – zauważyła cynicznie Agnieszka.

– Jestem pod wrażeniem jak walczyła o ciebie. Żeby zrobić tak „karczemną awanturę". I to za co? – nie przestawała szydzić. – Tylko za to, że nakryła swojego kochanka na niewinnym spotkaniu z inną kobietą. Najważniejsze, że bardzo jej na tobie zależy – stwierdziła ze smutkiem w głosie przyjaciółka. – Nie martw się. Nie wyszło tym razem, może uda się innym – pocieszała patrząc z oddaniem w oczy Rajmunda. Ten ani drgnął. Przez krótką chwilę wydawał się nieobecny, czym wielce dotknął zapatrzoną w niego dziewczynę.

– Pójdę już. Odprowadzisz mnie? Kolacja była naprawdę przepyszna. Żałuję, że nie udało się rozbudzić tej twojej królewny. Ale pamiętaj zawsze możesz na mnie liczyć.

– Wiem kochana. Taka przyjaciółka, jak ty to prawdziwy skarb. Odprowadzę cię do taksówki – zaproponował.

– Czy na pewno tego chcesz? – zapytała przymilnie przysuwając się do skołowanego mężczyzny.

Rajmunda przebiegł dreszcz pożądania, serce szybciej zabiło i po chwili trzymał Agnieszkę w ramionach. Całował, tulił, pieścił, a ta odwzajemniała się tym samym. Jakże pragnął jej w tej chwili, tu i teraz. Dziewczyna z wolna zaczęła wysuwać mu się z rąk dając wyraźne przyzwolenie na kontynuację gry miłosnej. Rajmund był bliski zapamiętania się, gdy zza okna dobiegł ich trzask łamanych gałęzi.

– To na pewno wiatr – powiedziała kobieta do ciężko dyszącego mężczyzny.

– Co? A tak wiatr – i ten wiatr rozwiał wszelkie nadzieje Agnieszki.

– Wybacz mi, ale nie mogę – zdecydował niedoszły kochanek delikatnie

odsuwając od siebie rozpaloną dziewczynę.

Niedoszła kochanka stała zaskoczona, rozczarowana, rozgoryczona, a poziom frustracji narastał w niej z każdą chwilą. Nie do końca wiedziała jak zareagować. Popatrzyła z politowaniem na kolegę i nic nie powiedziała, ale nie musiała mówić. Jej wyraz twarzy był aż nazbyt wymowny.

–Wybacz proszę – usprawiedliwiał się, – ale to byłoby nie w porządku. Nie w porządku w stosunku do ciebie i do niej. Ja, ja ją ciągle …

– Nie mów nic – przerwała. – Wszystko rozumiem – odpowiedziała smutnym głosem trochę jednak rozczarowana.

To moja ostatnia ofiara – powiedział do siebie po wyjściu przyjaciółki. Stefan odczekał jakiś czas, aż Zofia dojdzie do siebie i zadzwonił. Nikt nie odbierał telefonu, chociaż w oknach paliły się światła. Będę musiał do niej pójść – zdecydował. Przebrał się w robocze ubranie i poszedł. Długo stał przy furtce, zanim Zofia zdecydowała się otworzyć.

– Po coś tu przyszedł? Wracaj do tej swojej… do tej lafiryndy! – wykrzyknęła.

– To tylko moja przyjaciółka z pracy i bardzo przyzwoita kobieta, a nie jakaś tam, jak ją nazwałaś, lafirynda – tłumaczył.

– Przyjaciółka, a to dobre! Z pracy…Szczyt cynizmu! Całe miasto o was plotkuje.

– Bo to niewielkie miasto – pozwolił sobie na żart, albowiem nie spodziewał się po Zofii takiej reakcji.

– Ja na drodze do twojego szczęścia stawać nie będę – zapewniała. – Chcesz spotykać się z kimś, masz do tego pełne prawo – stwierdziła wielkodusznie.

– Pozwól, że coś ci powiem, wyjaśnię – dobry humor w jednej chwili opuścił Rajmunda.

Spojrzał na kobietę poważnym wzrokiem i zaczął.

– Widzisz moja kochana. Ja już, kiedyś, dawno temu, przerabiałem taki scenariusz życia. Ona zapracowana, on samotny. Wierz mi, nie skończyło się to happy endem. Jeżeli chcesz się realizować w pracy, nie mam nic przeciwko temu, sam przecież namawiałem cię do jej podjęcia, ale we wszystkim musi być umiar. Zobacz, co stało się z twoją rodziną, zobacz, co stało się z tobą, co stało się z nami. Zabiegam o twoje względy od dawna, a ty co? Udajesz, że tego nie dostrzegasz, lub nie chcesz tego widzieć Czy jestem ci aż tak obojętny? – spojrzał i nie skończył…

Zofia zrobiła nieco zmieszaną minę, jakby nie do końca rozumiała pretensje.

Jak długo mam czekać i na co?
Gdy czas płynie nieubłaganie
Znów nie mogła wpaść na kolacjęPewnie do śniadania też nie zostanie.

– Skamlę o spotkanie, o możliwość spędzenia z tobą tych kilku minut, kilku chwil. I co słyszę? Nie dzisiaj, może kiedy indziej, mam dużo pracy, jestem zajęta... Tłumaczenia, jak najbardziej racjonalne, ale spróbuj mnie zrozumieć. Nie mogę stać z boku i czekać, kiedy łaskawie znajdziesz dla mnie chwilkę czasu. Nie mogę czekać, aż raczysz zwrócić na mnie uwagę. Nie mogę czekać, kiedy zainteresują ciebie moje potrzeby, moje problemy, kiedy wreszcie ujrzysz we mnie mężczyznę. Szczerze ci wyznam, inaczej wyobrażałem sobie przyszłość, nasze wspólne życie, życie, o jakim zawsze myślałem i marzyłem. Praca, alkohol, przypadkowe znajomości nie wypełnią mi pustki, nie zastąpią ciebie. Ja nie chcę kolejny raz być tym drugim. Chcę kochać i być kochanym. – Rajmundowi zaszkliły się oczy, gdy mówił. Stał złamany, opuszczony i czekał na reakcję Zofii.

Ta słuchała wyznań adoratora w skupieniu, ale nie wydawała się nazbyt poruszona jego słowami.

– Wiem Rajmundzie, że nie tego ode mnie oczekiwałeś, ale proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Tyle czasu zmarnowałam przez tego Adama... – chciała dodać coś jeszcze, ale Rajmund przerwał jej w pół zdania.

– Chcesz mi powiedzieć, że próbujesz nadrobić zaległości, dogonić stracony czas! To chcesz mi powiedzieć?! – krzyczał.

Zawiedziony, odrzucony kochanek był wściekły. Takiego oblicza sąsiada Zofia nigdy nie widziała, ba nawet nie myślała, że takowe istnieje.

– Rozczarowałaś mnie Zofio, bardzo rozczarowałaś – stwierdził ze smutkiem opuszczając dom ukochanej.

– Poczekaj Rajmundzie, nie wychodź taki wzburzony – próbowała załagodzić sytuację, tłumaczyć. – Może zostaniemy przyjaciółmi? – zaproponowała.

Po tych słowach niedoszły kochanek w jednej chwili ochłonął. Odwrócił się powoli, w oczach nie miał już piorunów, tylko smutek i zrezygnowanie.

– A jak ci się wydaje, kim ja byłem dla ciebie przez te wszystkie lata? Życzę ci powodzenia i dużo szczęścia. A co do naszej przyjaźni? Zawsze będę twoim oddanym przyjacielem – zapewnił na odchodne.

W domu Mocnej zawsze było zimno, ale od Zofii powiało chłodem.

Rozdział XXXII

Mimo, że stosunki Rajmunda z Zofią nie układały się po myśli tego pierwszego, miasto wiedziało swoje. Sensacja, jaką wywołali pokazując się razem na kilku spotkaniach towarzyskich, z czasem spowszedniała, ale wrażenie pozostało. Wszyscy wiedzieli i widzieli, co chcieli, postrzegali ich jako parę. Nie byłoby w tym nic niestosownego, gdyby nie schorowany Stefan, przez wielu wyklęty z powodu ekscentrycznych zachowań oraz kłopotów finansowych, ale

na ogół lubiany w towarzystwie.

Chyba najwyższy już czas, żeby Stefan przerwał milczenie i wziął losy rodziny w swoje ręce, skoro ja jestem bezradny – pomyślał zatrwożony o przyszłość najbliższych cichy opiekun Mocnych. Ale jak to zrobić? – zasępił się. Kilka dni szukał sposobu na wyjście z impasu, myślał, aż w końcu wymyślił. Kierowany emocjami, a nie rozumem desperat zdecydował, że tak będzie najlepiej.

Tylko jak to powiedzieć Zofii? – zastanawiał się Może to tylko pogłoski, plotki, humbug, niesprawdzona informacja, która szybko się wyjaśni – kombinował. A jeżeli nie, to co dalej? Przecież taka sytuacja wszystko zmienia – rozważał Rajmund po zakończonej rozmowie z Paryżem. Jak to rozegrać, żeby było dobrze? Ale czy tak będzie dobrze? – wahał się co robić. To bardzo poważna sprawa. To wywróci ich życie do góry nogami. Zadzwonię i wstępnie coś napomknę, że dotarła do mnie informacja, ale niesprawdzona i żeby się nie martwiła i... – całą intrygę miał rozpracowaną w każdym szczególe. Jak postanowił tak zrobił. O tej porze Zofia powinna być już w domu – założył z góry. Będziemy mogli spotkać się i porozmawiać, o tych nadzwyczajnych okolicznościach – knował.

Odrzucony zalotnik, bojąc się o utratę wpływów nad coraz bardziej niezależną przyjaciółką, zaczął poszukiwać rozwiązań, które w żaden sposób nie licowały ze szlachetnym wizerunkiem człowieka, jaki budował przez lata znajomości. Jakże innym postrzegłaby go Zofia, gdyby wiedziała, co planuje zgotować jej odstawiony na boczny tor wielbiciel.

Przewrotny plan Rajmunda, mimo, że powodowany najszlachetniejszymi pobudkami, wyglądał nad wyraz perfidnie. Gdyby mógł przewidzieć konsekwencje swego czynu, z pewnością nigdy nie zdecydowałby się na podobny krok, ale na razie założył, że wymyślił genialny sposób uzdrowienia chorej sytuacji. Zofia odebrała telefon w samochodzie, o czym Rajmund niestety nie mógł wiedzieć.

– Zofio, czy moglibyśmy spotkać się za jakieś pół godziny i porozmawiać o pewnej bardzo ważnej sprawie?

– Tak – odpowiedziała, – ale czy coś się stało? – dopytywała zaniepokojona słysząc chropawy głos przyjaciela.

– Jeszcze nie wiem, ale doszły mnie pewne informacje, może to tylko plotki, raczej na pewno plotki – uspokajał przyjaciółkę.

– Zaniepokoiłeś mnie – oznajmiła Zofia.

– Doszły mnie słuchy – ciągnął wątek – dotyczące Adama. Odnaleziono kogoś i...

Rajmund nie skończył, gdy usłyszał w telefonie „O Boże" i jakiś straszny rumor, po czym jedynym dźwiękiem, jaki dochodził z drugiej strony była martwa cisza.

– Halo, halo, Zosiu jesteś tam! – krzyczał przerażony, ale głos, którego spodziewał się usłyszeć w aparacie, zamilkł na amen.

Stało się coś złego, jakaś tragedia – przeczuwał. To na pewno wypadek! . – wywnioskował. Co ja zrobiłem! Co ja zrobiłem! To przeze mnie. Ale skąd mogłem wiedzieć, że jedzie tym pieprzonym samochodem? Gdybym wiedział, że prowadzi, nie mówiłbym jej takich rzeczy, poczekałbym, aż wróci do domu. Znowu wszystko spieprzyłem – wyrzucał sobie zdruzgotany. W jednej chwili mit, wizerunek dobrego sąsiada, odpowiedzialnego biznesmena, czułego kochanka runął pozostawiając po sobie kupę gruzu z fikcyjnej budowli. Zadzwonię do Mocnych, może oni coś więcej wiedzą, ale niby skąd? Przecież to stało się przed chwilą i to ja doprowadziłem do tej tragedii, to ze mną rozmawiała – coraz bardziej rozhisteryzowany gubił się w domysłach. Poczekam jeszcze jakiś czas, może Zofia zadzwoni? Może nic się nie stało, może to tylko jakaś niegroźna stłuczka? – pocieszał się.

Czas biegł, a telefon milczał. Tchórzliwa natura Rajmunda wzięła górę nad poczuciem obowiązku, czy też poczuciem zwykłej ludzkiej przyzwoitości. A jeżeli ona gdzieś tam leży i potrzebuje pomocy? Co robić? Co robić? – miotał się po pokoju z telefonem w dłoni. Wielokrotnie podejmował próby wykręcenia numeru do Agaty, ale za każdym razem rezygnował, nie starczało mu odwagi na stawienie czoła faktom. Katusze winowajcy przerwał sygnał telefonu. Rajmund w jednej chwili doskoczył do aparatu.

– Tak słucham!

– Panie Rajmundzie – ściszonym głosem odezwała się Agata. – Mama miała bardzo poważny wypadek, jest nieprzytomna w szpitalu, a my nie wiemy, co robić. Czy mógłby pan pojechać z nami i zorientować się w sytuacji?

– Jaki wypadek? Co się stało? W jakim jest stanie? – te obłudne pytania mierziły jego samego, napawały wstrętem, ale musiał brnąć dalej. Z miejsca, do którego zabrnął, nie było odwrotu.

– Ja nic nie wiem – tłumaczyła odchodząca od zmysłów dziewczyna. – Przed kilkoma minutami zadzwoniła policja i poinformowała nas o wypadku. Więcej szczegółów dowiemy się na miejscu.

– Dobrze już do was jadę, za chwilę będę.

Tylko, jak ja im w oczy spojrzeć? – zastanawiał się po drodze? Wyrzuty sumienia zawładnęły duszą Rajmunda. Będę musiał grać, udawać, oszukiwać, że o niczym nie wiem. Przecież to jest podłe, ponad moje siły – stwierdził przerażony. Ale z drugiej strony powiedzieć prawdy nie mogę, bo nie dość, że znienawidziliby mnie od razu, to jeszcze pozbawiony byłbym wszelkiej możliwości pomocy Zofii, a tego bym nie przeżył. Muszę być blisko niej, muszę zrobić wszystko, żeby ją z tego wyciągnąć. Nie, nie! Przyznać się do wszystkiego, do bezpośredniej przyczyny wypadku nie mogę – bił się z myślami.

Co się stało, to się nie odstanie. Mogę tylko przysiąc, że zrobię wszystko, wydam ostatnią złotówkę, poświęcę resztę swojego życia, żeby ją ratować. Z takim postanowieniem stawił się u rodzeństwa.

W kilka minut znaleźli się na izbie przyjęć. Stan zdrowia Zofii był ciężki. Liczne złamania, urazy narządów wewnętrznych oraz głowy spowodowały, że Zofia musiała być utrzymywana w stanie śpiączki farmakologicznej.

– To cud, że żyje – usłyszeli wielokrotnie z ust opiekujących się nią lekarzy.

– Ale czy wyjdzie z tego? – to pytanie powtarzali wszyscy jak mantrę.

Na razie za wcześnie jest na stawianie jakiejś diagnozy. Musimy czekać na wyniki badań i dopiero wtedy będziemy mogli określić zakres odniesionych obrażeń. Lekarze uspokajali, że aktualnie stan pacjentki jest stabilny, ale urazy odniesione w wyniku wypadku są bardzo rozległe. Więcej informacji, będą mogli udzielić wieczorem lub dnia następnego. Wyczerpana całonocnym czuwaniem, trójka zainteresowanych losem Zofii, postanowiła wrócić do swych domostw i czekać cierpliwie na wieści ze szpitala. Dopiero późnym wieczorem zadzwonił do Rajmunda znajomy lekarz, informując go, w dużym przybliżeniu, o stanie zdrowia pacjentki. Poważny uraz głowy, kręgosłupa, pęknięta śledziona, połamane żebra i przebite płuco to w skrócie najpoważniejsze obrażenia, jakie odniosła ofiara wypadku. Po tym, co usłyszał włos zjeżył mu się na głowie. Rokowania były bardzo kiepskie.

– Ale czy z tego wyjdzie? Czy będzie mogła chodzić? Czy będzie taka sama? – takimi i podobnymi pytaniami Rajmund zasypywał znajomego, ale odpowiedzi nie otrzymał.

– Wszystko w ręku Boga – odpowiedział życzliwy doktor. – Trzeba czekać i wierzyć, że wszystko będzie dobrze – usłyszał na pocieszenie.

Zrezygnowany odłożył telefon. Coś ty Rajmundzie najlepszego narobił? – usłyszał głos. Nie pochodził on z żadnego urządzenia wynalezionego przez człowieka, ten głos dochodził z otchłani duszy. Słyszał go wyraźnie, coraz wyraźniej, z każdą chwilą narastał, krzyczał, kłębił się w głowie, aż nareszcie wybuchnął otwierając mu oczy i budząc uśpione sumienie. – *Chciałeś mieć ją na wyłączność, tylko dla siebie, chciałeś nadal sterować jej życiem. Widzisz, jak kończy się zabawa w Boga. Teraz możesz stracić ją ty, Stefan, i dzieci. Jakże zadufany byłeś w sobie, jak krótkowzroczny i próżny, że podjąłeś tak niebezpieczną grę. Ustaliłeś zasady, w ręku miałeś wszystkie atuty, a mimo to przegrałeś! Chyba rację miała Zofia nazywając cię nieudacznikiem.* Ale co robić? Co robić? Jak żyć z takim ciężarem ze świadomością poniesionej klęski? Może nie wszystko jeszcze stracone. Oby nie było za późno, a obiecuję, że zrobię wszystko, żeby to naprawić – poprzysiągł sobie. Ochłonąwszy nieco, podjął ostateczną decyzję.

Przez kilka pierwszych dni po wypadku Rajmund odwiedzał Zofię regularnie, lecz z wolna jego zapał począł słabnąć. Po upływie niespełna trzech

tygodni od nieszczęsnego zdarzenia zainteresowanie adoratora osobą Zofii z wolna zaczęło słabnąć. Zorientowawszy się w rokowaniach zdrowotnych wybranki na bliżej nieokreśloną przyszłość, żar jego uczuć zaczął przygasać, aż nareszcie całkiem zgasł. To ponad moje siły – stwierdził. Ja na pielęgniarza nie nadaję się, niech zajmie się nią ktoś inny – stwierdził cynicznie. Na posesji Rajmunda światła paliły się coraz rzadziej, coraz rzadziej też odwiedzał schorowaną przyjaciółkę, aż na koniec przestał. Energia wyczerpała się, lampy wypaliły aż nareszcie u sąsiada, zapadły ciemności.

Po mieście huknęła plotka – Rajmund wyprowadził się z miasta. Zbiegł jak szczur z tonącego okrętu. Co się z nim stało? – dopytywali zainteresowani jego losem, ale nikt nie wiedział. Znikł jak kamfora. Przepadł bez śladu. Jak nagle i niespodziewanie pojawił się w życiu społeczności lokalnej, tak równie nagle i tajemniczo znikł. Różnie o nim spekulowano: a to, że stracił majątek, a to, że nie mógł pogodzić się z tragedią Zofii i najzwyczajniej w świecie stchórzył i, to najlepsze, że pojechał szukać zaginionego na Atlantyku przyjaciela. Znalazłoby się jeszcze kilka równie absurdalnych powodów zniknięcia tajemniczego mieszkańca tajemniczej posiadłości, gdyby ktoś nie przypomniał sobie historii sprzed kilku lat związanej z wygraną w LOTTO.

– To na pewno był on – twierdzili jedni.

– Nie, to niemożliwe, przecież pieniądze wygrał mieszkaniec naszego miasta, a tego przybłędy nikt wcześniej nie znał – przypominali drudzy.

– Zapominacie o jednej ważnej rzeczy – zauważył któryś z bystrzejszych rozmówców, – a mianowicie, że wygrana padła w naszym mieście, ale niekoniecznie zwycięzcą musiał być jego mieszkaniec.

Co fakt, to fakt. Trudno było spierać się z tak racjonalnie postawioną tezą. Mieszkańcy miasta, odżegnawszy Rajmunda od czci i wiary za nikczemność i podłość, skreśli go z listy honorowych mieszkańców oraz członków lokalnej society. Jego osoba została objęta wszechwładnym, miejskim ostracyzmem.

Tymczasem, ze skróconej o kilka tygodni kuracji, do domu powrócił Stefan. Dzieci nawet ucieszyły się na widok ojca i to w tak dobrej kondycji. Z troską dopytywały się o jego zdrowie i takie tam różne...

– Ze mną wszystko w porządku. Później będzie czas o tym porozmawiać, ale powiedzcie, co z mamą?

Młodzi opowiedzieli wszystko, co i jak, niczego przed ojcem nie ukrywając.

– To mówicie, że jest bardzo źle. Ale. najważniejsze, że jej stan nie pogarsza się.

– Mama ciągle jest w śpiączce i nie wiadomo, kiedy z niej wyjdzie, jeżeli w ogóle wyjdzie – zaznaczył Jacek.

–. Będziemy cierpliwie czekać, a obiecuję wam, że wyjdzie – zapewniał z przekonaniem.

Skąd u ojca taka pewność? – zastanawiały się dzieci. Co on może? – z politowaniem i pobłażaniem patrzyły na ojca.

Stefan odwiedzał żonę regularnie i bardzo często. Godzinami przesiadywał przy jej łóżku czekając na cud, ale ten się nie zdarzał. Czas płynął, Zofia z każdym dniem powracała do zdrowia fizycznego, a mimo to lekarze ciągle nie mogli znaleźć sposobu na wybudzenie jej. Niestety z każdym kolejnym „przespanym" dniem szanse jej malały. Bezradny Stefan chciał poruszyć niebo i ziemię, ale jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić, to uzbroić się w cierpliwość i czekać. Jednak czas w tym przypadku nie był ich sprzymierzeńcem. Mijały dni, tygodnie, miesiące, a Zofia spała sobie w najlepsze. Lekarze oraz wszyscy zainteresowani jej losem z wolna zaczynali tracić nadzieję na szczęśliwe zakończenie kuracji. Jedynie Stefan trwał niezłomnie przy jej łożu, wierząc gorąco, że to jeszcze nie koniec.

Od dłuższego już czasu chora przebywała w specjalistycznej klinice, lecz tam również nie dawano jej większych szans. Pobyt i leczenie w ośrodku pochłaniały krocie, co w konsekwencji musiało odbić się na stanie finansów rodziny. Stefan robił, co mógł, dwoił się i troił żeby jakoś wiązać koniec z końcem, ale sam będąc bez grosza, żadnym sposobem nie mógł wesprzeć materialnie rodziny. Siłą rzeczy, wszelkie koszty związane z pobytem matki w klinice w pełni ponosili oni. Hulaszczy tryb życia, leczenie ojca, a teraz matki, zrujnowało Mocnych do cna.

Aktywa Zofii, ze względu na jej stan zdrowia zostały zamrożone i trzeba było sporo czasu, żeby uregulować formalności prawne. W tej sytuacji Stefan postanowił sprzedać mieszkanie i wprowadzić się czasowo do dzieci. Rodzeństwo widząc, z jakim zaangażowaniem i poświeceniem ojciec opiekuje się matką przystało na tę propozycję. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży jedynego majątku, jakim dysponował Mocny, na pewien czas zażegnały widmo bankructwa. Kilka tygodni wspólnego mieszkania scementowało na powrót rodzinę i całkowicie przekonało dzieci o słuszności podjętej decyzji. Z wolna wszyscy zaczynali uczyć się żyć na nowo, z tym, że bez Zofii. Mieszkając pod jednym dachem, nie sposób było nie wrócić pamięcią do przeszłości. W trakcie jednej z wieczornych pogawędek Stefan przełamał się i poruszył drażliwy temat niedawnych, głośnych skandali obyczajowych, w jakie zaplątani byli, i których w większości byli sprawcami. Niewidzialne, aczkolwiek na każdym kroku odczuwalne fatum ciągle krążyło między członkami rodziny nie dając o sobie zapomnieć. Wstydliwy temat nie poraził winowajców. Mimo zapewnień ze strony ojca o jego dobrych intencjach, rodzeństwo nie chciało rozwodzić się zbytnio nad swą niechlubną przeszłością. Stefan zrozumiał, że jest jeszcze za wcześnie na takie zwierzenia. Zręby rodziny buduje się latami, potrzebuję jeszcze dużo czasu żeby mi ponownie zaufali – zrozumiał. – Wystarczy mi

świadomość, że dostali dobrą od życia nauczkę. Mam nadzieję, że czegoś się nauczyli i wyciągnęli wnioski na przyszłość.

Stefan nigdy więcej nie wracał do tego zwariowanego okresu ich życia. Raz na zawsze zamknął temat.

Rozdział XXXIII

Gdy zawiodły już wszystkie sposoby leczenia znane medycynie konwencjonalnej i naturalnej, Stefanowi nie pozostało nic innego, jak powierzyć przyszłość ukochanej Boskiej opiece. „Jak trwoga, to do Boga" – przyznał w duchu zawstydzony. To ja spowodowałem tę tragedię i tylko ja mogę ją z tego wyciągnąć – doszedł do wniosku. Ale jakim sposobem? – desperacko szukał cudownego budzika. Sponiewierany przez los, próbował uciec przed samym sobą błąkając się godzinami samochodem bez celu. Tylko za kierownicą mknącego auta czuł się wyzwolony od codziennych trosk.

Jadę, pędzę i gnam przed siebie
Wciąż szybciej i szybciej, ale dokąd? –A czy ja wiem.
Wstąpię, odwiedzę ciebie
Może jeszcze zdążę przed snem

Opowiem Ci o prawdach zmyślonych
Opowiem Ci o kłamstwach prawdziwych
I spadną Ci łuski z oczu
Gdy powrócisz do nas, w pół żywych

Czy wlejesz nam radość w żyły?
Czy znów będziemy się kochać, znów żyć?
Czy powrócą opadłe z nas siły?
Czy jutro śmiać się będę czy wyć?!

Już zgryzoty mnie nie dopadną – spojrzał we wsteczne lusterko i dodał gazu. Nie wytropią mnie. Za zakrętem eskapady, jadąc gdzie oczy poniosą, samochód, jego wierny towarzysz wojaży, nagle wymówił mu służbę. Zatrzymał się bez dania racji w niewielkiej, wymarłej niemalże wioseczce, w jakimś bliżej nieokreślonym miejscu wszechświata i żadne perswazje nie były w stanie zmusić go do kontynuowania podróży. Czyżby zabrakło paliwa? – pomyślał. Tutaj raczej nie zatankuję – stwierdził z goryczą rozglądając się wkoło. Co to za dziura? Czy tutaj w ogóle żyją jacyś ludzie? – zastanawiał się. Wysiadł z samochodu, raz jeszcze rozejrzał się w nadziei, że coś przyciągnie jego uwagę i nic. Mieszkańców

sennej wioski nie zbudził nawet ryk silnika zarzynanego auta. Jedynie leniwy kot wygrzewający się na słońcu drapnął zadziornie kotkę w bok, ignorując mysz, która właśnie wchodziła jej na głowę.

W którą pójść stronę? – próbował rozstrzygnąć odwieczny dylemat. W prawo, a może w lewo? – wahał się. Pewnie długo jeszcze stałby nie mogąc się zdecydować, gdyby nie nagły podmuch wiatru, który niczym niewidzialna ręka pchnął go lekko przed siebie.

– Dobrze już, dobrze. Pójdę gdzie mi każesz – powiedział podnosząc nieco wzrok w wymownym geście. Ale przecież tam nic nie ma – próbował targować się z przewodnikiem.

Kolejny podmuch, tym razem uzbrojony w gałązkę akacji, smagnął go po twarzy, ostatecznie przekonując do kierunku marszu. Znowu te wybory – pomyślał. Leniwie powłócząc nogami, niespiesznie, krok za krokiem pokonywał kolejne metry brukowanej drogi w poszukiwaniu żywego ducha. Letnie, krwistoczerwone zachodzące słońce świecące prosto w oczy skutecznie uniemożliwiało mu podziwianie uroków uśpionej wioski. Z tego też powodu zmuszony był przystawać co jakiś czas, przysłaniać oczy i rozglądać się wkoło wcale nieciekawy tego, co może ujrzeć po przetarciu oczu.

Dokąd idę? – zastanawiał się. Może już czas zawrócić – pomyślał. Ani jednego kroku więcej w tym kierunku – postanowił. Zatrzymał się, spojrzał przed siebie i zawył z bólu. Ostatnie promienie dogasającego w dali słońca, niczym rozpalone sztylety cięły jego źrenice. Przez dłuższą chwilę stał oślepiony zadając sobie pytanie – Czy ja jeszcze kiedyś przejrzę?

Kiedy podniósł głowę i po raz kolejny spojrzał przed siebie, oczom jego ukazał się niewielki drewniany kościółek, cały skąpany w blasku zachodzącego słońca. Jakie to piękne – stwierdził z zachwytem. Taka, z pozoru niewielka budowla, a może przesłonić słońce. Stefan stał zauroczony i czekał aż ostatnie promienie okalające Dom Boży zgasną za horyzontem. Misterium kończącego się dnia, które obserwował, wprowadziło go w jakiś mistyczny nastrój. Stał jak zaczarowany i kontemplował każdą mijającą chwilę czując, że jest świadkiem czegoś niezwykłego. Z głębokiej zadumy wyrwało Stefana głośne krakanie wron, które akurat przysiadły sobie na pobliskim drzewie i z zaciekawieniem przyglądały się zachodowi słońca oraz człowiekowi, który pojawił się w wiosce. Wrony, jako wyjątkowo inteligentne ptaki, znały każdego mieszkańca z imienia i nazwiska, a to był ktoś obcy.

Kościół! – dopiero teraz uzmysłowił sobie fizyczną stronę sakralnej budowli. Ciekawe czy otwarty – pomyślał zbliżając się do niewielkich drzwi usytuowanych z boku przybytku. Panującą wokół niezmąconą ciszę, przerwał metaliczny zgrzyt starej klamki, którą zmusił do wypełnienia swojej odwiecznej posługi. Za przykładem zamka zgrzytnęły zawiasy i okute żelazem drzwi stanęły

przed nim otworem. Stefan niepewnie przestąpił próg świątyni zanurzając się na chwilę w ciemnościach panujących wewnątrz. Postąpił kilka kroków, lecz wyłaniające się spod ziemi świątynne utensylia skutecznie blokowały mu drogę. Siłą rzeczy musiał powstrzymać pochód, odczekać chwilę aż wzrok przywyknie do mroku, po czy ruszył w dalszą drogę. Z wolna, z ciemności zaczęły wyłaniać się przedmioty wypełniające główną nawę. Kolorowe witraże zamontowane w oknach wpuszczały do środka delikatne, różnobarwne strugi światła, oświetlając je kolejno Wyglądało tak, jakby ktoś na zawołanie zapalał świeczki. A może to jakieś archaiczne czujniki ruchu? – pomyślał. Stanął zauroczony niecodziennym zjawiskiem i chłonął całym sobą atmosferę panującą wokół. W tym musi być jakaś magia, bo za jaką inną przyczyną mogłyby dziać się takie cuda? – myślał oczarowany. A co mi tam. Gdyby to nawet była magia, a w ostateczności duchy, to przecież w Domu Bożym nic mi nie grozi – dodawał sobie otuchy. Doszedłszy do takiego wniosku, podbudowany na duszy, nieco odważniej zaczął spoglądać w głąb ciągle ukrywających nieodgadnione tajemnice, ciemności. Ten zapach, takiego drugiego nie ma nigdzie. Połączenie drewna, materiału, wosku i kadzidła sprawiało, że powietrze było niemal gęste. Tak pachnie wiara – pomyślał i przeżegnał się.

– Co cię tutaj sprowadza? – usłyszał głos dochodzący z bliżej nieokreślonego miejsca świątyni.

Stefan padł w jednej chwili na kolana, ale odpowiedzieć nie mógł, ponieważ sparaliżowany panicznym strachem nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

– Nie lękaj się, wstań i podejdź do mnie – powiedział łagodnym tonem głos.

Przybysz ani myślał zrywać się z bezpiecznej pozycji. Na klęczkach wszyscy błagają o litość, więc i ja pozostanę jeszcze jakiś czas pełen pokory – zabezpieczał się nie chcąc obrazić swą pychą bóstwa.

– Mówię ci wstań i zbliż się do mnie – tym razem słowa zabrzmiały jak nakaz.

To już nie przelewki – pojął. – Niech się dzieje wola nieba. Zdrętwiałe ze strachu stawy, zaskrzypiały równie głośno, jak wcześniej otwierane przez niego odrzwia kościoła. Wyprostowany, zastanawiał się gdzie iść. Głos najwyraźniej czytał w myślach zbłąkanego wędrowcy, bowiem zmaterializował się w oka mgnieniu i przybrał ludzką postać.

Mężczyzna, który zjawił się przed Stefanem był niewielkiego wzrostu, raczej niski. Ubrany na wschodnią modłę, przypominał popa, ale popem nie był. Co u licha? – pomyślał przyglądając się z zaciekawieniem zjawie. Stary jest – określił „precyzyjnie" wiek mężczyzny. Ciekawe ile ma lat? – nie wiedzieć czemu zadał sobie to pytanie. Jakaż to różnica ile? Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, równie dobrze może mieć i sto osiemdziesiąt, przecież to nie jest Matuzalem – przeleciało mu przez myśl. On jest, jakby nie z tego świata. Ale duchem nie jest?

– chciał się upewnić dla świętego spokoju, lecz śmiałości nie miał żeby ruszyć palcem.
– Co cię tutaj sprowadza? – ponowił pytanie, tym razem już nie „głos", a żywy człowiek, zbudowany z krwi i kości.
– Jaaa, sam nie wiem. To jakoś tak wyszło. Jechałem sobie i nagle... Czysty przypadek ...– chaotyczne tłumaczenie, niewiele mogło wnieść do rozmowy.
– Na wstępie jedno musisz zrozumieć, mój synu. Naszym życiem nie rządzą przypadki. Skoro tutaj się znalazłeś, to widocznie była ku temu jakaś ważna przyczyna. Czyż nie? – zapytał tajemniczy mężczyzna patrząc łagodnym wzrokiem na ciągle wylęknionego Stefana.
– Przepraszam za śmiałość, ale kim pan jest, mogę wiedzieć? – zapytał nie podnosząc wzroku na postać.
– Ja jestem archimandrytą. Opiekunem i strażnikiem tego miejsca.

Stefan o nic więcej nie pytał, chociaż niczego nie rozumiał.
– W takim razie jak mam do pana się zwracać? – ośmielił się zapytać w kwestii formalnej.
– Zwyczajnie, jak do duchownego.

Stefanowi kamień spadł z serca. Czyli to nie jest żaden duch. Dzięki ci Boże – złożył pokornie dłonie niczym do modlitwy, co nie uszło uwadze staruszka.
– Myślałeś, że ducha jakiegoś spotkałeś – uśmiechnął się kapłan.
– A pan?... A ksiądz – poprawił się – jak by zareagował będąc na moim miejscu?
– Tego nie wiem, ponieważ nigdy nie będę na twoim miejscu – odpowiedział nieco filozoficznie. – Na pewno przyjechałeś porozmawiać ze mną, poradzić się. Ty masz jakiś wielki problem i szukasz pomocy. Dobrze żeś się tutaj zjawił. Może w czterech ścianach tej świątyni uda ci się znaleźć ukojenie.
– Ale ja potrzebuje tylko paliwa...
– Pięknie to ująłeś. Dobrze, że nareszcie to zrozumiałeś – przerwał błądzącemu.
– Ale co zrozumiałem? – chciał wiedzieć.

Stefan, choć nie uchodził za idiotę, niczego nie mógł pojąć.
– Zrozumiałeś, że potrzebujesz paliwa na dalszą podróż. Zbłądziłeś, zgubiłeś drogę i musisz zrobić wszystko żeby ją na nowo odnaleźć. Właśnie do tego potrzebne jest ci paliwo – posługiwał się jakimiś dwuznacznymi mądrościami
– Tutaj go nie znajdziesz – uczynił ruch ręką wskazując bliżej nieokreślone otoczenia. – Musisz szukać gdzie indziej.
– Ale gdzie? Żadnej stacji benzynowej nigdzie w okolicy nie widziałem, a przede mną jeszcze długa droga.

Smutna twarz staruszka, posmutniała jeszcze bardziej.
– Długa, bardzo długa, ale gdzie znaleźć paliwo?... Sam musisz je znaleźć.
– Ale jak to, czemu?

– Bo nie tam szukasz gdzie trzeba. Zajrzyj w głąb siebie. Może tam jest?...

Te słowa były ostatnimi, jakie usłyszał od archimandryty. Dźwięk kościelnego dzwonu wyrwał Stefana z zadumy. Ocknął się, chciał jeszcze o coś zapytać, ale nie było kogo. Był sam. Gdzie on się podział? – zastanawiał się. – Chyba nie znikł? Spojrzał w prawo, spojrzał w lewo, rozejrzał się dookoła, ale nikogo prócz niego w kościele nie było. Szybki jest, jak na takiego starca – pomyślał.

Dziwne miejsce. Czas wracać – doszedł do wniosku. Stefan właśnie opuszczał osobliwy kościółek, gdy niespodzianie, przy wyjściu natknął się na księdza, ale jakby z innej parafii. Ubrany był, co prawda podobnie, jak ten, co w środku, ale za to znacznie młodszy.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał sługę bożego.

– Na wieki wieków. Co pan tu robi po nocy? – zapytał klecha.

– Najmocniej przepraszam, ale zagadałem się z waszym archimandrytą i nie zauważyłem, kiedy się ściemniło.

– Święty duch Pana Boga chwali! – przeżegnał się młody ksiądz, rozglądając wkoło wylękniony. – Niech pan nie bluźni – upomniał nieświadomego niczego Stefana. – Z kim pan rozmawiał? – próbował upewnić się wikary.

– Z takim miłym staruszkiem, księdzem jak pan.

– Tutaj nie ma żadnego innego księdza – oznajmił rozmówca. – A nasz nieodżałowany śp. archimandryta od wielu już lat służy przy niebieskim ołtarzu. Świeć Panie Nad Jego Duszą.

– Ale, jak to? Przecież...

Stefan wyciągnął rękę przed siebie, odwrócił twarzą ku kościołowi, chciał coś jeszcze dodać, wytłumaczyć, ale słowa zastygły mu na ustach. Wzrok jego powędrował w górę i zatrzymał się na niewielkim okienku, w którym błysnął maleńki płomyk. To znajomy archimandryta rozpalił w nim płomyk nadziei.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję – wyszeptał i pomachał na pożegnanie.

Młody ksiądz stał osłupiały ze zdziwienia, nieświadomy jak ważnych rzeczy jest świadkiem.

– Dobrze opiekuje się pan tym przybytkiem – wyjął z kieszeni plik banknotów i wręczył księdzu na ofiarę. – To wszystko co mam przy sobie – powiedział na swoje usprawiedliwienie.

– Za co, w takim razie kupisz paliwo? – zapytał obdarowany.

– Paliwo? A paliwo, nooo... – spojrzał tęsknym wzrokiem na pieniądze.

Ojczulek wyciągnął jeden banknot i wręczył go Stefanowi.

– Bóg zapłać, Bóg zapłać za wszystko! – krzyknął na pożegnanie, po czym zniknął w nieprzeniknionych ciemnościach i głuchej ciszy.

Samochód stał karnie zaparkowany pod jedyną palącą się w wiosce latarnią. Paliwa to ja już dzisiaj nigdzie nie dostanę – pomyślał zrezygnowany.

Chyba przyjdzie mi spędzić noc w samochodzie. Wsiadł do auta, cofnął fotel, usadowił się w nim wygodnie i zaczął rozpamiętywać ledwo co przeżyte wydarzenia. Tyle dziwnych rzeczy mnie dzisiaj spotkało – pomyślał. I to wszystko w jeden dzień. Wierzyć się nie chce. Może jeszcze samochód odpali. Włożył kluczyk do stacyjki, przeżegnał się i przekręcił. Silnik sportowego wozu zamruczał przyjaźnie do właściciela. *Pora wracać do domu* – powiedział po samochodowemu lub jakoś tak. Łatwo ci powiedzieć, ale gdzie jest ten dom? Przecież ja nie mam nawet bladego pojęcia gdzie my jesteśmy – personifikował samochód. Auto ruszyło z miejsca nie czekając na decyzję szofera. Automatyczny pilot się włączył – pomyślał. Do tej pory nie wiedziałem, że ten pojazd ma taką funkcję. Praktyczna rzecz, nie ma co – zauważył. Droga powrotna zajęła mu niecałą godzinę. Około północy samochód zajechał na parking przed domem. Dobrze się spisałeś mój przyjacielu – kierowca poklepał auto po masce. – Należy ci się kąpiel i woskowanie na gorąco. Silnik zamruczał jak kot, na myśl o czekających go rozkoszach.

Właściciel pojazdu zmęczony niecodzienną wyprawą, runął na łóżko i próbował zasnąć. Niestety sen nie przychodził. Nadmiar wrażeń minionego dnia spowodował mętlik w głowie. Żadnym sposobem nie potrafił odróżnić fikcji od rzeczywistości. Właściwie, to co dziś się stało? – usiłował przynajmniej poskładać myśli, bo ogarnąć tego wszystkiego rozumem, żadna miarą nie był w stanie. Cała ta moja wyprawa, ta wioska, ten kościółek, no i ten tajemniczy starzec, wszystko to było czymś niezwykłym, splotem jakichś dziwnych zbiegów okoliczności. A może to nie był zbieg okoliczności? Może to było sterowane przez... – spojrzał w górę i rzekł cicho – Panie Boże wybacz śmiałość, ale czy Ty maczałeś w tym palce? Jeżeli tak, to nie odwróciłeś się ode mnie, zależy Ci na mnie. W takim razie, nie wszystko jeszcze stracone – pokładał ufność. Bardzo potrzebował tej odrobiny balsamu na zbolałe serce. – Już na pewno sobie poradzę, na pewno znajdę sposób żeby zbudzić moją „śpiącą królewnę", muszę tylko dobrze poszukać.

Najprościej byłoby zrobić tak, jak to było w bajce – jeden pocałunek załatwiał sprawę. Ta wersja odpada już na starcie, chociaż pocałunek nie zawadzi – pomyślał. Pustka, jaką miał w głowie nie wróżyła nic dobrego na przyszłość. Zrezygnowany, zmęczony powoli zaczął się poddawać. Chyba nic dzisiaj nie wymyślę – doszedł do smutnego wniosku. Powoli zaczął przysypiać, gdy nagle usłyszał w sobie słowa archimandryty – *Zgubiłeś się. Potrzebujesz paliwa na dalszą drogę* Już wiem, już wszystko rozumiem – wykrzyknął oświecony. Ja mówiąc o paliwie, miałem na myśli po prostu benzynę, a staruszek mówił o paliwie na dalszą drogę życia. A co jest najlepszym paliwem dla życia?... Miłość! Koniec kłamstw, koniec gierek – postanowił. Jutro wyznam Zofii całą prawdę o sobie, Rajmundzie i Adamie. Niech się dzieje wola nieba. Nie miał pewności, czy

to zadziała, czy żona w ogóle go usłyszy, ale jeżeli to nie pomoże, to już chyba nic nie pomoże – założył w swojej bezsilności. Próbował zasnąć, ale nie mógł. Jawa mieszała się ze snem, układał w głowie poranną spowiedź.

Stefan wszedł do pokoju ukochanej. Spała jak zwykle. Przysiadł u wezgłowia, ujął za rękę, ucałował w policzek licząc na cud i z bijącym sercem zaczął swą pokręconą opowieść.

– Postaraj się cierpliwie wysłuchać mnie kochanie – zaczął próbując dodać sobie otuchy. – Może nie od razu wszystko zrozumiesz, może nie od razu mnie zrozumiesz, ale daj mi szansę wytłumaczenia się, proszę. Pamiętasz jak pobili mnie za miastem? Kilka dni po moim powrocie ze szpitala wydarzyło się coś bardzo ważnego, coś co wywróciło do góry nogami moje, nasze – sprostował – dotychczasowe życie. Pełen goryczy w sercu, zaślepiony nienawiścią, podjąłem pewną samolubna decyzję, której skutki ciągną się po dziś dzień. Z pozoru szczęśliwe dla każdego śmiertelnika zdarzenie, stało się zmorą naszego życia.

Długo opowiadał, a sporo miał do powiedzenia o sobie, Rajmundzie, Adamie, o minionych latach i tym wszystkim czym żyła ostatnimi czasy. Kiedy skończył zrobiło mu się lżej na duszy, lecz nie był pewien czy otrzymał rozgrzeszenie. Na próżno skruszony czekał na jakiś znak. Niewzruszona wyznaniem Zofia nie odpowiedziała nic naprawdę jaką usłyszała. Nie drgnęła jej ani powieka, ani najmniejszy mięsień twarzy, czy chociażby malutki palec u nogi, nic.

Stefan długo jeszcze siedział przy łóżku żony wpatrując się w milczeniu w jej bladą, nieruchomą twarz licząc na cud, na znak. W jej woskowym ciele tliła się iskierka życia i trzeba było rozniecić w nim płomień, lecz nikt nie wiedział jak tego dokonać. Przybity opuścił klinikę. Po raz pierwszy zaczął wątpić w szczęśliwe zakończenie, po raz pierwszy zaczął tracić nadzieję.

Jeszcze tego samego dnia, przed powrotem do domu miał w planie załatwienie kilku ważnych spraw związanych z finansami rodziny. Wrócił późno, bardzo późno. Jakież było jego zdziwienie, gdy już od progu przywitały go rozemocjonowane głosy potomków.

– Czy ty wiesz tato co się stało? – zapytała córka.

Stefanowi serce mocniej zabiło, przez myśl przeleciała iskierka nadziei, ale niestety mylił się.

– U sąsiada straszy – zakomunikowała.

– Jak to straszy? Kto straszy? – dopytywał zdziwiony ojciec.

– Już kilka razy wydawało mi się, że u Rajmunda w oknie widziałam palące się światło. Źle mówię, nie światło, a poświatę.

– Co ty dziecko opowiadasz. Nasłuchałaś się tych opowieści o domu, w którym straszy i tak ci zostało. Ja także słyszałem coś tam, o jakiejś zawiedzionej miłości, ale to dotyczyło raczej tego domu. Chyba, że duchowi pomyliło się, kto go tam

wie? – próbował żartować.
– Myśl sobie co chcesz, a ja wiem swoje, wiem co widziałam. Prawda Jacek?
– Nooo, ja to raczej niczego takiego nie widziałem. Agata wołała mnie kilka razy, ale jak podszedłem do okna, to żadnych świateł i duchów w sąsiednim domu nie było.
– Nie było, nie było! Jakbyś ruszył szybciej dupę, to byś je zobaczył – warknęła wkurzona dziewczyna.
– No już dobrze, nie ma się o co kłócić – uspokajał Stefan. – Jak zobaczysz jeszcze raz jakieś ogniki, daj mi natychmiast znać.
– Niby jak mam dać ci znać, skoro wówczas, kiedy je widzę, to ciebie akurat nie ma w domu – zauważyła.
– To co? Sugerujesz, że to ja jestem tym tajemniczym mieszkańcem, a może duchem tego cholernego domu?
– No nie, ale jak chciałam kilka razy ci je pokazać, to nigdy ciebie nie było.
– A Jacek był? – udawał rozdrażnionego.
– Ja już sama nie wiem, ale wiem, co widziałam. Tam ktoś błąka się nocami.
Wszyscy troje zasiedli do wspólnej, nieco spóźnionej kolacji rozprawiając o planach na dzień następny. Jakże inny od poprzednich będzie to dzień, tego jeszcze nie wiedzieli. *Człowiek planuje, a Pan Bóg się śmieje.*

Było jeszcze bardzo wcześnie, kiedy zadzwonił telefon. Dzwoniono z kliniki.
– Panie Stefanie, proszę jak najszybciej przyjechać do nas i koniecznie zabrać ze sobą dzieci! Coś dziwnego dzieje się z pańską żoną! – oznajmiła rozemocjonowanym głosem pielęgniarka.
– Ale co się dzieje? Czy coś złego? – dopytywał przerażony Stefan.
– Nie złego, sami jeszcze nie wiemy, ale proszę jak najszybciej przyjechać!

W ciągu kilku minut Mocni w komplecie siedzieli w samochodzie wiozącym ich ku nadziei. Na miejscu dowiedzieli się, że urządzenia pomiarowe monitorujące stan zdrowia chorej wykazują wzmożoną aktywność fal mózgowych.
– Te zmiany zaobserwowaliśmy niedługo po pańskim wyjeździe – oznajmił lekarz. – Czy podczas pana wczorajszej wizyty, wydarzyło się coś szczególnego, wyjątkowego? Coś, co mogło spowodować taką reakcję u pacjentki? Proszę nam wszystko szczerze powiedzieć, to bardzo ważne.
– Ja niczego nadzwyczajnego nie zaważyłem. „Siedzieliśmy" sobie jak zwykle i rozmawialiśmy. Zosia tym razem też nic nie mówiła, może tylko uważniej słuchała – starał się zażartować.
– Może coś pan jej powiedział, coś, co rozbudziło w niej chęć życia. Musicie państwo wiedzieć – lekarz zwrócił się do całej trójki, że od dłuższego już czasu zastanawiamy się nad fenomenem pani Zofii. Praktycznie rzecz biorąc, chora

z medycznego punktu widzenia jest... – szukał słowa – jest zdrowa. Wszelkie przyczyny śpiączki zostały wyeliminowane, a ona nie chce się po prostu obudzić. Pacjentka potrzebowała jakiegoś silnego impulsu i najwyraźniej coś się wczoraj stało, tylko co? – lekarz położył wyraźny nacisk na „co".
– Jeżeli coś zrobiłem, a wygląda na to, że tak, to raczej nieświadomie – Stefan nie mógł w obecności dzieci wyznać prawdy. – Ogromnie cieszę się, że w jakiś niewytłumaczalny sposób wpłynąłem na poprawę stanu zdrowia mojej żony, ale zapewniam, nie ma w tym żadnej mojej zasługi. To wszystko, co mogę na ten temat powiedzieć – Stefan sprawiał wrażenie wyraźnie rozdrażnionego.
– Rozumiem. Z przykrością muszę stwierdzić, że kolejny przypadek powrotu z tak dalekiej podróży pozostanie nadal nieodgadnioną tajemnicą natury.
– Jak to powrotu? To Zofia odzyskała świadomość? Czemu pan nic nie mówił i trzyma nas tu w swoim gabinecie? Chcemy natychmiast ją widzieć! – Stefan prawie krzyczał z podniecenia.
– Źle mnie pan zrozumiał albo zbyt dosłownie, czemu wcale się nie dziwię. Pacjentka nie odzyskała jeszcze w pełni świadomości, ale wszystko wskazuje na to, że wkrótce powinno to nastąpić. I właśnie po to ściągnęliśmy tutaj państwa. Mamy nadzieję, że wasza obecność wpłynie pobudzająco na „śpiącą".
– Zatem nie ma na co czekać, chodźmy do niej! – ponaglał Stefan.

Zofia ciągle nie odzyskiwała przytomności, tylko aparaty monitorujące jej fale mózgowe zachowywały się inaczej niż zwykle. Dzieci stanąwszy przy łóżku zaczęły do niej mówić Urządzenia pomiarowe na moment zwariowały, ale po chwili ustabilizowały się i wróciły do pozycji wyjściowej.
– Widzicie państwo, zareagowała. Ona was słyszy – poinformował lekarz.
– No, ale znowu nic się nie dzieje. Co teraz? – dopytywała Agata.
– Trzeba czekać, a wierzącym radziłbym się modlić. Tyle możemy zrobić.

Przez blisko godzinę aparatura nie rejestrowała żadnej wzmożonej aktywności mózgu śpiącej, aż w jednej chwili urządzenia ponownie ożyły. Zofia zaczęła poruszać palcami, potem ustami i nareszcie delikatnie uniosła powieki. Kogo pierwszego ujrzała i czy w ogóle coś ujrzała pozostanie niewyjaśnione, ale na jej wymizerowanej twarzy pojawiło się coś w podobie uśmiechu. Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie ku górze.
– Wróciłaś nareszcie wróciłaś! – Stefan ujął jej dłoń i przycisnął do ust. Kiedy je oderwał, na dłoni pozostały dwie niewielkie kropelki przeźroczystej cieczy.

Zofia poruszyła ustami, próbowała coś powiedzieć, lecz była jeszcze zbyt słaba. Przez kilka chwil patrzyła szerzej otwartymi oczami sprawiając wrażenie obecnej, po czym ponownie zapadła w sen.
– Proszę się o nic nie martwić, wszystko będzie dobrze – zapewniał lekarz. – Teraz pozwólcie nam zająć się pacjentką, państwu zaś proponuje udać się do naszego hotelu i czekać. Wkrótce na pewno zadzwonimy.

Mocni nie posiadali się ze szczęścia. W hotelowym pokoju pełni nadziei, ale i niepewności czekali na wiadomość. Telefon zadzwonił dopiero wieczorem.
– I co, ocknęła się? – zapytała Agata, która jako pierwsza doskoczyła do telefonu.
– Proszę przyjść na salę, pani Zofia czeka – poinformował głos po drugiej stronie słuchawki.

Agacie telefon wysunął się z dłoni. Stała oniemiała z szeroko otwartymi ustami, nie mogąc nabrać tchu. Stefan z Jackiem również zamarli na chwilę w oczekiwaniu na wiadomość. Cieszyć się czy smucić? Ich pytający wzrok Agata rozumiała aż nazbyt dobrze, tylko słowa nie mogła z siebie wykrztusić.
– Mama odzyskała świadomość – wyszeptała przez łzy.
– Bogu niech będą dzięki – Stefan złożył dłonie w geście modlitwy i osunął się na kolana.

W ciągu kilku minut byli pod drzwiami sali, w której przebywała Zofia. Tam czekał już na nich lekarz.
– Możecie państwo wejść, ale tylko na krótką chwilę. Pani Zofia jest jeszcze bardzo słaba i nie należy jej męczyć. Zapewniam państwa, że z każdym dniem jej stan będzie się polepszał.

Tak przygotowani psychicznie, weszli na salę. Zofia leżała w łóżku, ale już nie w pozycji horyzontalnej, lecz z głową lekko uniesioną do góry. Dzieci podbiegły do matki i rzuciły się jej na szyję. Wszyscy troje tonęli we łzach.
– Jak po kilkumiesięcznej drzemce to całkiem nieźle wyglądasz – pokusił się na żart Jacek.
– Cudownie jest was widzieć – mówiła do dzieci słabym głosem, gdyż Stefan na chwilę stracił rezon i stał w drugim szeregu, żeby zbytnio nie rzucać się w oczy.

Pierwsza myśl, jaka przyszła Zofii do głowy to taka, że z tyłu stoi Rajmund. Uśmiechnęła się z wysiłkiem do przyjaciela i uśmiech na chwilę zastygł na jej twarzy.
– Stefan, a co ty tu...? – w jednej chwili posmutniała. Chciała coś jeszcze dodać, o coś zapytać, lecz Agata ją powstrzymała.
– Nie mów nic. Jesteś jeszcze zbyt słaba. Tato jest z nami. Gdyby nie on, to nie wiem, jak byśmy sobie poradzili. Będzie jeszcze czas o wszystkim porozmawiać.

Zażenowany Stefan, pełen obaw, co do swojej przyszłości uśmiechnął się do ukochanej i uczynił lekko widoczny, nieśmiały gest ręką na powitanie. Na widok wychudzonej twarzy Zofii, której oczy zadawały nieme pytania zląkł się niemiłosiernie.

Może te oczy pytały tylko, gdzie jest Rajmund? A może o coś całkiem innego? Tego już Stefan nie mógł z nich wyczytać, ale natychmiast zaczął zadawać sobie w duchu pytania. Co ona wie? Co ona pamięta z przeszłości i z wczoraj? – już zaczęły dręczyć go myśli. Miał jeszcze wiele pytań, na które nie znajdował odpowiedzi, lecz z pozbawionej witalności twarzy Zofii, trudno

było cokolwiek wyczytać. *Na złodzieju czapka gore* – uświadomił sobie. Jestem chyba jakiś przewrażliwiony. Wszystko będzie dobrze. Musi być dobrze. Jest dobrze – pocieszał się. – Zofii wróciła świadomość i to jest teraz najważniejsze.

Rozdział XXXIV

Zofia nad wyraz szybko powracała do zdrowia. Pierwsze dni nowego życia były trudne, nawet bardzo trudne. Ledwo żarząca się w niej do niedawna iskierka życia, rozgorzała na nowo i z każdą chwilą rozpalała się coraz bardziej, aż nareszcie wystrzeliła wesołym płomieniem. Wola życia i pragnienie powrotu do normalności było w niej tak silne, że wprowadzało w zdumienie nawet tych, którzy na co dzień mają do czynienia z podobnymi przypadkami. Zofia, sobie tylko znanymi sposobami, umiejętnie czerpiąc ze źródła życia, w niemal cudowny sposób powracała do zdrowia. Czas pełnej rehabilitacji prognozowany optymistycznie przez wybitnych znawców sztuki lekarskiej, w jej przypadku wynosić powinien około sześciu miesięcy, tymczasem ta po upływie niespełna trzech, sprawna była na tyle, że mogła samodzielnie poruszać się. Wyniki badań nie wykazywały trwałych zmian w mózgu, co pozwalało prognozować jej rychły powrót do zdrowia.

Wizyty Stefana u małżonki, początkowo nacechowane chłodem oraz dużą dozą nieufności z obu stron, z czasem zaczęły się ocieplać i nabierać bardziej przyjacielskiego, może nawet rodzinnego charakteru. Długie godziny jakie spędzał przy łożu małżonki, wypełnione były głównie rozmowami dotyczącymi spraw bieżących oraz planami na przyszłość. Z nieznanych dla obojga powodów, żadne nie chciało wracać pamięcią do przeszłości. Zofia zawsze mogła tłumaczyć się, że nic nie pamięta, Stefan zaś wolał zapomnieć.

Przy ogromnym wsparciu duchowym i materialnym rodziny oraz profesjonalnej opiece medycznej stan chorej poprawił się na tyle, że konsylium lekarskie zdecydowało o warunkowym wypisaniu Zofii z kliniki. Po blisko czterech miesiącach intensywnej rehabilitacji Zofia nareszcie mogła spędzić noc we własnym łóżku. Radość z powrotu nie trwała jednak długo, bowiem z każdym kolejnym dniem proza życia, jak nieproszony gość wdzierała się w głąb jej świadomości i skutecznie zaburzała tak jej potrzebny spokój ducha. Wszyscy wkoło próbowali oszczędzać rekonwalescentce niepotrzebnych zmartwień, ale podświadomie czuli, że coś jest nie tak. Niby z pozoru niczego im nie brakowało, a jednak atmosfera euforii z wolna ustępowała na rzecz wszechwładnego przygnębienia. Na próżno Stefan zapewniał rodzinę, że wszystko będzie dobrze, że o wszystko zadba, że wszystkim się zajmie i żeby wreszcie o nic nie martwili się, a już na pewno nie o finanse, bo on kontroluje sytuację. Wszystko na nic.

Życie w domu Mocnych toczyło się ciągle wokół Zofii, ale poza

tym rodzina z wolna wracała do równowagi. Stefan znalazł pracę, młodzież kontynuowała naukę, a pani domu ciągle rozmyślała. Stefan wiele razy dopytywał, o powody jej przygnębienia, ale ta za każdym razem znajdowała jakąś wymówkę, byle tylko nie podejmować tematu. Pewnego razu, pod nieobecność Zofii w domu, wszyscy troje zastanawiali się co gryzie matkę. Może to jakiś uraz psychiczny? Może depresja? Może ogólny brak perspektyw?

– Chyba żeee? – Jacek zawiesił głos, odczekał chwilę i oznajmił. – Jej stan psychiczny może być związany z tym… z tym naszym byłym sąsiadem – ostatnie słowa chłopak wypowiedział z nieukrywaną pogardą.

– A co on ma wspólnego z matką? – zapytał ojciec.

– Nie wiesz? Tato. W czasie gdy przebywałeś w szpitalu, mama trochę zbliżyła się do tego pana. Nie wiem, co zaszło między nimi, ale na pewno coś było.

– Słyszałem to i owo od ludzi, lecz sądziłem, że to tylko plotki. Widzę, że się myliłem. Czyżby mamę łączyło coś poważnego z tym panem? – dopytywał zasmucony.

– Poważnego czy nie, ale mama widocznie zawiodła się na nim i temu jest taka przygnębiona. Obiecywał jej złote góry, umizgiwał się, nadskakiwał, a jak przyszło co do czego, to uciekł jak szczur. Może to ją boli? – wysnuła daleko idący wniosek Agata.

– Ja też tak myślę – wtrącił się do rozmowy Jacek. – Ciebie nie było, a mama potrzebowała kogoś bliskiego. Chyba to rozumiesz?

Syn sądził, że wielce zmartwił ojca tym wyznaniem, ten jednakże przyjął wiadomość nad wyraz spokojnie i z godnością.

– Rozumiem, wszystko doskonale rozumiem.

Tak. To może być przyczyną kiepskiego stanu psychicznego mamy – zgodzili się wszyscy.

– Pozostaje jeszcze kwestia pracy. Ona tak ją lubiła, taka była szczęśliwa, a teraz co? Czasami miewałam wrażenie, że matka pracowałaby tam za darmo, byle tylko móc realizować marzenia, spełniać się. To było jej życie, jej karma.

– A co stoi na przeszkodzie, żeby do niej wróciła? – dopytywał ojciec. No, nie od razu ma się rozumieć. Ale za jakiś czas?

– Tę pracę mama dostała z poręczenia Rajmunda, bo właścicielem firmy był jakiś jego znajomy, czy ktoś taki, a teraz… ?

– Czy mama była tam cenionym pracownikiem? Wiem jak to brzmi, ale czy przełożeni byli z niej zadowoleni?

– Jeszcze jak. Zarabiała im taką kasę, że ho!

– W takim razie trzeba namówić mamę, żeby zadzwoniła do tego prezesa i wywiedziała się wszystkiego. Jeżeli jej nie przyjmą z powrotem, to trudno, będziemy szukać czegoś innego, ale na razie warto spróbować, skorzystać z tego co jest. Może to ją ożywi. Jak myślicie?

– Spróbować nie zawadzi, tylko jak przekonać matkę? – zastanawiała się córka.
– Może wcale nie trzeba będzie jej przekonywać – z błyskiem w oku oznajmił ojciec.
– Coś ty wymyślił? – dopytywali zaciekawieni oboje.
– Nic takiego. Pozostawcie to mnie. O jedno was tylko proszę. Jeżeli chcecie, żeby się wszystko powiodło o dzisiejszej rozmowie matce ani słowa. Tej rozmowy nigdy nie było! Rozumiemy się?

Rodzeństwo nie do końca wiedziało, o co chodzi i co o tym myśleć, ale skoro ojciec prosi, to chyba wie co robi. Bez drążenia tematu zgodzili się.

Przy kolacji, Stefan ni stąd, ni zowąd zapytał o posesję graniczącą z ich posiadłością. Na pytanie zadane do ogółu nikt nie kwapił się z odpowiedzią. Siłą rzeczy padło na Zofię.
– Był tutaj taki Rajmund Krakowski. Powrócił ponoć z Ameryki, gdzie dorobił się sporego majątku. Domy wybudowaliśmy prawie w tym samym czasie. Nie miał w mieście znajomych i tak jakoś zaprzyjaźniliśmy się. To był bardzo sympatyczny i kulturalny człowiek. Wpadał do nas czasami na kolację, na kawę czy drinka. Ot, jak to bywa po sąsiedzku. Pomagał mi w różnych sytuacjach życiowych, bo na nikogo innego nie mogłam wówczas liczyć – spojrzała wymownie na męża próbując sprowadzić rolę sąsiada do czysto użytkowej.

Stefan, ani drgnął słysząc wymówkę pod swoim adresem. Zofia odczekała chwilę licząc na reakcję męża, ale ten nie wyrzekł ani słowa komentarza.
– Tak ogólnie rzecz biorąc, był bardzo dobrym i nad wyraz uczynnym sąsiadem – stwierdziła z rozrzewnieniem.
– I co się z nim stało? – zapytał Stefan sprawiający wrażenie zainteresowanego losami jawnego konkurenta.
– Różnie ludzie o nim mówią. Podobno, musiał nagle wyjechać w interesach. Wiem to z ust moich serdecznych przyjaciółek.
– W interesach – powtórzył Stefan powątpiewając w powód wyjazdu. – Rozumiem, że posesję sprzedał?
– A kto go tam wie? – żachnęła się Zofia. – Przecież to jego sprawa co z nią zrobił.

Zofię najwyraźniej zirytował temat rozmowy. Na szczęście dla przebiegu dalszej konwersacji oraz podtrzymania miłej atmosfery przy stole do rozmowy wtrąciła się Agata.
– A wiesz mamo, że kilka razy widziałam w oknie palące się światło. Nie było to światło elektryczne, raczej ktoś chodził po domu ze świecą.
– Dajże córciu spokój. Najpewniej to uliczne światła, może nasze, odbijały się w szybach tego opuszczonego domu?
– Mówisz tak samo jak ci dwaj. Oni też mi nie wierzą, a ja wiem co widziałam – obruszyła się dziewczyna.

– Na pewno zostawił komuś klucze, żeby doglądał wszystkiego – zauważył Stefan.
– Gdyby tak było, to dozorca zapaliłby normalne światło, a nie skradał się jak duch czy złodziej przy świecach – zauważyła rezolutnie Agata.
– Nie zaszkodziłoby wezwać policję? Kto wie czy nie było tam jakiegoś włamania? – podsunął pomysł Jacek.
– Zaraz policję – uspokajał zapędy syna ojciec. – Chodźmy tam i sami sprawdźmy, czy wszystko jest w porządku – zaproponował.
– No ale jak? Przecież nie możemy tak sobie wejść na czyjąś posesję, a druga sprawa, to nie mamy kluczy. Przez płot nie będziemy przecież skakać – zauważyła Agata wskazując wzrokiem na matkę. Ta widząc spojrzenie córki powiedziała.
– Może wcale nie trzeba będzie skakać. Kiedyś, kiedy byliśmy w dobrej komitywie, sąsiad zostawił mi klucze od bramy oraz domu. Często wyjeżdżał w interesach i prosił, żebym tam czasem zajrzała. Podlać kwiaty – dodała niepotrzebnie próbując się tłumaczyć – No, kobiecej ręki każdy dom potrzebuje. Dom bez człowieka jest jak rękawiczka bez dłoni. Sama w sobie jest zimna, dopiero jak włoży się weń dłoń zaczyna spełniać swoją rolę.
– Wnioskuję, że ty byłaś tą dłonią – nieco uszczypliwie zauważył Stefan.
– Idziecie czy nie? – zapytała zmieszana Zofia.

Pozostali uczestnicy kolacji, bez zbędnych słów zaaprobowali pomysł. Przykro było patrzeć jak taki piękny ogród, który jeszcze niedawno mógł być chlubą niejednej posiadłości, powoli oddaje się we władanie nieokiełznanych sił natury. Przystrzyżone niegdyś trawniki, wymyślnie podcięte drzewa i krzewy, teraz pozbawione fachowej ręki ogrodnika, szybko dziczały.
– Ile to już czasu minęło jak sąsiad się wyprowadził – zastanawiał się Jacek. Będzie około trzech miesięcy – wyliczył w sobie tylko znany sposób.
– Miesiąc po moim wypadku. Szybko – stwierdziła ze smutkiem Zofia.
– Chyba go nie żałujesz? Sama widzisz, jakim okazał się draniem. Zwiał, jak szczur z tonącego okrętu, gdy okazało się, że, że...
– Że mogę z tego nie wyjść – pomogła córce matka.
– No tak.

Po krótkiej przerwie w eksploracji sąsiedzkiej posiadłości, poszukiwacze przygód ruszyli w dalszą drogę. Czujne oczy czworga detektywów zdolne były wypatrzyć najmniejszy nawet ślad czyjejś bytności. Na szczęście dla właściciela oraz uczestników tajemniczej eskapady posesja wydawała się być opuszczona i niezamieszkana przez jakiegoś dzikiego lokatora lub nieproszonego gościa. Żadnych śladów włamania czy dewastacji.
– Chyba wszystko w porządku. Możemy już wracać? – zaproponowała Agata.
– Skoro już tutaj jesteśmy, to może wejdziemy do środka. Szczerze jestem ciekaw jak taki krezus urządził sobie domek – poprosił Stefan.

– No dobrze, skoro zabrnęliśmy tak daleko – wyraziła zgodę Zofia.

Dobrała odpowiedni klucz i weszła jako pierwsza. Za nią szli pozostali. Zofia prowadziła tylko z tej racji, że jako częsty bywalec domu, dobrze znający jego rozkład włączała oświetlenie w kolejnych komnatach, przez które przechodzili. Dom był obszerny, dwukondygnacyjny, urządzony gustownie, aczkolwiek w wystroju dało się odczuć brak kobiecej ręki. Pomieszczenia, które mijali były niemal sterylne. Oszczędność w ich umeblowaniu świadczyła o czysto użytkowym, niemal hotelowym charakterze budynku.

– Tu kuchnia, tam salon i kilka pomniejszych pomieszczeń dodatkowych. Na górze, jak w każdym domu, sypialnie. Nic nadzwyczajnego, dom jak dom – podsumowała przewodniczka.

Zofia źle w nim się czuła i jedynym jej pragnieniem było jak najszybciej go opuścić. Może to żal do sąsiada, może wspomnienia? Coś sprawiało, że czuła się w nim nieswojo. Już mieli wychodzić gdy wzrok Agaty padł na lichtarz stojący na stole w salonie.

– Widzicie?! – zawołała z oznakami triumfu w głosie. – Miałam rację, tutaj ktoś bywa! Spójrzcie na ten świecznik, widzicie?! Świece są nadpalone.

– Świece jak w każdym świeczniku, są po to żeby się paliły. To żaden dowód – bagatelizował sprawę ojciec.

– A ty dalej swoje – upierała się Agata. – Spójrzcie na ten salon, rozejrzyjcie się wkoło. Wszystko wysprzątane, jakby czekało na nowych lokatorów, a tu nagle coś takiego! Zastanówcie się?

– No, może jest w tym trochę racji, ale o czym to niby świadczy? – dopytywał Stefan.

– O tym, że ten Rajmund nigdzie nie wyjechał, tylko się tu ukrywa.

– Niby przed kim, albo przed czym miałby się ukrywać? – zainteresowała się z kolei Zofia.

– Tego to ja nie wiem, ale może mieć coś na sumieniu, skoro tak nagle zniknął.

– Gdzie jest kuchnia? – zapytał ni stad, ni zowąd Stefan.

– Po co ci kuchnia? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Zofia.

– Chciałbym coś zjeść – odparł z uśmiechem zaskoczonej nieco żonie. – Jeżeli ktoś miałby ukrywać się w tym domu, to przecież musi co jeść, musi mieć jakieś prowiant. A w czym przechowuje się żywność?

No tak! Lodówka! – odpowiedzieli chórem. Nie musieli długo szukać wspomnianego urządzenia. Zbliżyli się do niej pełni napięcia. Co też w niej znajdą? – zastanawiali się. Jeżeli będzie pełna, to wszystko jasne. Jackowi przyszło otworzyć tajemnicze wrota „Sezamu". Podszedł do chłodziarki, pociągnął za rączkę i… rozczarowany stwierdził, że cała jest wypełniona pustką.

– Miałam nadzieję, że coś w niej będzie – powiedziała Agata otwierając lodówkę po raz drugi, nie dowierzając temu co ujrzała przed chwilą.

– Nic się przecież nie stało – pocieszał ojciec rozczarowaną córkę. – Czy to w końcu takie ważne? Mieszka tu ktoś czy nie. Nie nasza to sprawa. Żadnych listów gończych policja za tym Rajmundem nie rozesłała. Chyba, że ukrywacie coś przede mną? – spojrzał pytającym wzrokiem po obecnych.
– Nie, żadnych listów – upewniali się i przekonywali nawzajem patrząc sobie w oczy.
– Może po prostu musiał nagle wyjechać, ot i tyle – zakończył sprawę tajemniczego zniknięcia sąsiada Stefan.
– Ja jednak nie poddam się. Wiem co widziałam. Będę ten dom miała na oku – zapewniała, przekonana do swoich racji Agata.

Rozdział XXXV

Był piękny jesienny poranek. Mocni właśnie zasiedli do śniadania, gdy zadzwonił telefon. Nikt z czworga biesiadników nie kwapił się do jego odebrania. Spojrzeli po sobie, każdy na kogoś czekał – wykluczając oczywiście rekonwalescentkę, która zastanawiała się.
– Kto to może być, o tej porze? –zadała pytanie.
– Nie dowiemy się, jak nie odbierzemy – zauważył błyskotliwie Jacek.
– No – przytaknęła siostra dając oczami znak do działania. – Ty jesteś taki wygadany.
– Znowu ja? – bez szczególnego entuzjazmu chłopak podszedł do telefonu.
– Jacek Mocny – słucham.
– Ernest Zasada przy telefonie, czy mógłbym rozmawiać z panią Zofią Mocną.
– Do ciebie mamo. Jakaś Zasada, czy jakoś tak – powiedział obojętnym głosem.
Oczy Zofii w jednej chwili rozbłysły tysiącem gwiazd. Zerwała się z krzesła niczym nastolatka i zapominając o swoich dolegliwościach, pomknęła do telefonu.
– Zofia Mocna – słucham.
– Gratuluję szybkiego powrotu do zdrowia kochana pani Zofio. Proszę mi wybaczyć, że tak długo się nie odzywałem, ale nie chciałem pani niepokoić. Rekonwalescencja jest najważniejsza. Ze swojej strony pragnę jedynie zapewnić, że przez cały ten trudny okres w pani życiu, nieustająco panią wspierałem, wspieraliśmy – poprawił się. – Wszyscy pracownicy przesyłają pozdrowienia i życzą szybkiego powrotu do zdrowia. Ja ze swej strony, dodatkowo życzę szybkiego powrotu do pracy. Od kiedy pani zabrakło w firmie interesy idą znacznie gorzej i atmosfera zrobiła się jakaś nie taka.
– Bardzo to miłe z pana strony, że pan o mnie nie zapomniał, ale mój powrót do firmy jest absolutnie niemożliwy. Ja jestem jeszcze bardzo słaba i w ogóle nie wiem czy bym sobie poradziła.

– Nie twierdzę, że ma to nastąpić jutro czy pojutrze, ale pragnę zapewnić, że stanowisko czeka na panią. Z niecierpliwością oczekuję na informację, kiedy będzie pani gotowa powrócić. Wierzę, że stanie się to niebawem. Jeszcze raz, życzę szybkiego powrotu do zdrowia i do usłyszenia, o przepraszam, bardziej stosowne będzie do zobaczenia.

Zofia odłożyła słuchawkę i ciągle słuchała. Spojrzała po obecnych. Gdyby oczy mogły krzyczeć? Stała oniemiała, a twarz promieniała jej ze szczęścia. – Nie zapomnieli o mnie, nie odstawili na boczny tor, nie przekreślili z powodu choroby – mówiła do siebie nie do końca wierząc w to co się przed chwilą wydarzyło.

– Dobre nowiny? – Stefan spojrzał na Zofię. – Czy coś się stało? – uśmiech znikł z jego twarzy widząc zalaną łzami żonę. – Chyba nic złego? – dopytywał zniecierpliwiony.

– Dzwonił Zasada i pytał kiedy będę mogła wrócić do pracy?

Młodzi spojrzeli po sobie, potem pytający wzrok przenieśli na ojca, lecz ten zdawał się nie słyszeć niemego pytania.

– Kim jest ten Zasada? Mniejsza o to. No, ale to chyba dobrze, że chcą ciebie przyjąć z powrotem. Gratuluję. Kiedy planujesz powrót? – bez zbytniego zaangażowania emocjonalnego zapytał Stefan.

Chwilę potrwało zanim Zofia mogła wykrztusić z siebie jakieś artykułowane dźwięki.

– To cudownie! – zapaliła się do myśli o powrocie do pracy rekonwalescentka.

– Ale ja nie mogę. To takie odpowiedzialne stanowisko, a ja jestem jeszcze zbyt słaba – tłumaczyła się przed sobą i rodziną, gdy emocje nieco opadły.

– Ale czego ty mamo nie możesz? – zapytała córka.

– No, nie mogę pokazać się taka w pracy –uczyniła gest rezygnacji wskazując na siebie.

– Zapewniam cię kochana moja, że możesz i powinnaś. I to jeszcze ci powiem, że praca pozwoli ci szybciej odzyskać formę. Sto dodatkowych godzin rehabilitacji tak ci nie pomoże jak ta praca. Nie ma się nad czym zastanawiać i szukać wymówek. Musisz się zdecydować. Daj sobie jeszcze tydzień, no może dwa i wracaj do firmy. Młodzieży, czy nie uważacie podobnie jak ja?

W tej kwestii w rodzinie panowała jednomyślność.

– Tak, to doskonały pomysł. Tato ma rację – z nieukrywaną radością dzieci przyklasnęły pomysłowi.

– Zastanowię się – zapewniła domowników, ale wyraz jej twarzy zdradzał, że decyzja już została podjęta.

Kiedy Mocni zostali we troje, bez Zofii, ta bowiem musiała nadal korzystać ze standardowych form rehabilitacji, młodzi jednocześnie spojrzeli na ojca pytającym wzrokiem. Ten ani drgnął, chociaż wiedział co się święci.

– Jak to zrobiłeś?
– Skąd znasz tego Zasadę?
– O co tu chodzi u diabła?
– Czy będziesz łaskaw nam to wyjaśnić? – jedno przez drugie zarzucało ojca pytaniami.
– Ja nic nie zrobiłem, Zapewniam was. To jakiś niespotykany fart, przypadek – tłumaczył bez przekonania. – Jeszcze do niedawna nie miałem zielonego pojęcia o tym, że matka wasza pracowała w jakiejś firmie, a już na pewno nie znam żadnego Zasady. Przeceniacie mnie i moje możliwości.
– Ty ojciec przestań traktować nas jak idiotów, proszę – córka domagała się odrobiny szacunku dla ich inteligencji, a przede wszystkim prawdy.
– No dobrze, powiem – uległ namowom dzieci. – Może jestem mistrzem od niemożliwego, a może to szczęśliwy zbieg okoliczności? Otóż wyobraźcie sobie, że w firmie, w której zatrudniona jest Zofia jednym z członków zarządu jest mój dawny znajomy, który całkiem przypadkiem winien był mi małą przysługę. Pomyślałem, że nadarza się doskonała okazja żeby wyrównać rachunki. Zadzwoniłem, ot i wszystko. Chyba nie macie mi tego za złe? Widzieliście przecież jaka mama była szczęśliwa. I jeszcze jedno! Milczenie nadal was obowiązuje.

Tłumaczenie ojca dobre było, jak każde inne i na tyle wiarygodne, że nie drążyli więcej tematu. Ale kiedy pozostali sami, zaczęli nad czymś zastanawiać się.
– Czy nie wydaje ci się bracie, że z tym naszym ojcem jest coś nie tak? Czy nie uważasz, że on nie mówi nam do końca całej prawdy?
– I mnie tak się wydaje – zgodził się brat. – On coś przed nami ukrywa. Próbuje się kamuflować, ale coraz gorzej mu to wychodzi. Wiesz ty co? Mam pomysł – powiedział chłopak.
– Mów co ci przyszło do głowy.
– A gdybyśmy tak wybrali się do dawnego mieszkania ojca? Co o tym myślisz? – zaproponował chłopak.
– Ale przecież ojciec już dawno je sprzedał żeby ratować matkę – przypomniała Agata.
– On tylko nam tak powiedział, a jaka jest prawda to się okaże. Mamy przecież stare klucze. Jeżeli wprowadził się tam ktoś nowy, to na pewno zmienił zamki i nasze nie będą pasowały, ale jeżeli nie!?

Zróbmy tak, co nam szkodzi – postanowili.

Rodzeństwo nie namyślając się długo, wsiadło w samochód i pomknęło sprawdzić faktyczny status mieszkania ojca. Niepewni tego co lub kogo tam zastaną, z bijącymi sercami wspinali się po schodach na kolejne pietra bloku. Drzwi wyglądały na niezmienione, zamki również. Zapukali – nikt nie

odpowiadał. Jacek delikatnie włożył jeden klucz – pasuje, włożył drugi – pasuje. Dyskretnie otworzyli drzwi i weszli do środka, ale mieszkania nie poznali. Pomyśleli, że pomylili piętra albo co?– przez chwilę wahali się, ale skoro klucze pasują, to musi być tu.

To co zobaczyli przerosło ich najśmielsze oczekiwania. To nie było to samo mieszkanie, to w ogóle nie było mieszkanie, to był luksusowy apartament. Inna aranżacja, inne meble, inne wyposażenie, w ogóle wszystko inne – tylko współrzędne geograficzne nie zmieniły się. Może ojciec je wynajmuje? – przyszło im do głowy. – I w ten sposób dorabia.

Młodzi zaczęli rozglądać się uważnie wokół. Na półce przy łóżku zauważyli niewielkie zdjęcia oprawione w ramki. Ciekawe czyje to? – podeszli bliżej. W pozłacanych ramkach umieszczone były fotografie niczyje inne jak: Zofii, Jacka i Agaty.

– Rozumiesz coś z tego? – zapytała dziewczyna.

– Nic, a nic – odpowiedział chłopak.

To jest mieszkanie ojca – doszli do wspólnego wniosku. Ale jak to możliwe? – łamali sobie głowę?

– Trzeba będzie go o to zapytać jak wrócimy – zaproponował Jacek.

– Sądzę, że to zły pomysł – odparła Agata. – On ma swoje tajemnice, a my miejmy swoje. Zobaczymy, co z tego wyniknie? Zgoda?

– Zgoda.

– I ani słowa matce.

– Dręczy mnie tylko jedno pytanie. Skąd on ma tyle szmalu? Przecież nie z fundacji, bo tamte pieniądze już dawno przepuścił – racjonalnie zauważył Jacek.

Rozdział XXXVI

Mimo pozytywnie załatwionej sprawy związanej z pracą żony, Stefan nie odczuwał satysfakcji i, co gorsza, ani na chwilę nie był w stanie uciszyć raz obudzonego sumienia. Z moralnego punktu widzenia, pozbycie się emocjonalnego bagażu, z którym wciąż się borykał byłoby dla niego wybawieniem. Jednak z każdym dniem Stefanowi coraz trudniej było przyznać się do popełnionego błędu. Przecież, to nie tak miało być –z dystansem patrzył na swoje odbicie w lustrze.

Jak się już wszystko w życiu spieprzy
To człowiek pragnie stać się lepszym.

Każdego ranka budził się z lękiem zadając sobie pytanie – Może to już dzisiaj? Przecież kiedyś to się stanie, kiedyś sobie przypomni! Musi

przypomnieć! I co wtedy? Jak się z tego wszystkiego wytłumaczyć? Znienawidzi mnie, na pewno znienawidzi! – to odium stało się jego udręką i codziennym koszmarem. Nie było dnia żeby nie obwiniał się za wszelkie zło tego świata, za wszystko, czego musieli doświadczać najbliżsi z powodu jego urażonej dumy. Jak wynagrodzić im te zmarnowane lata, jak sobie przywrócić sens życia i spokój sumienia? – zastanawiał się. Niestety, czasu nie da się cofnąć. –Co mnie podkusiło? Co chciałem osiągnąć proponując im ten diabelski pakt? Co udowodnić? Do czego doprowadzić? Przecież to wszystko mogło zakończyć się tragedią. Ale skąd mogłem wiedzieć, że tak się sprawy potoczą? – próbował zrzucić z siebie winę. Z drugiej strony, czego bym się dowiedział, gdybym nie podjął tej gry? Może nawet manipulacji? Ale co ja niby teraz wiem i co mi po takiej wiedzy? To, że ludzie mają swoje słabostki wie każdy głupi i bez takiego bezdusznego eksperymentu. Co w tym złego, że człowiek chce się realizować? Co w tym złego, że chce korzystać z uroków życia? Cóż wreszcie złego w tym, że chce kochać i być kochanym? – Stefan zadając sobie te pytania nie oczekiwał odpowiedzi, bo były one oczywiste. Ale gdybym w najzwyklejszy w świecie sposób podzielił się majątkiem z bliskimi, to czy ci byliby szczęśliwsi, bogatsi? Czy potrafiliby mądrze skorzystać z uśmiechu losu? Może każdy poszedłby w swoją stronę, a tak jesteśmy razem, chociaż zdarzały się trudne chwile. Ale na razie stosunki rodzinne układają się prawidłowo i wygląda na to, że pozostanę tutaj na dłużej. Tylko czy będę mógł patrzeć im codziennie w oczy skrywając w duszy tę ponurą tajemnicę? Chyba nie – odpowiedział sobie. To co? Może powinienem pójść i przyznać się do tych niegodziwości. Uderzyć w piersi i powiedzieć – *tak przyznaję, to ja zmarnowałem wam życie, to ja sobie zakpiłem, potraktowałem was jak króliki doświadczalne. Bo chciałem być mądrzejszy i przebieglejszy od innych.* Już sobie wyobrażam to piekło jakie rozpętałoby się wokół mnie. *Po co był cały ten cyrk z tą darowizną, chorobą i tak dalej?!* Nie na to nie mogę sobie pozwolić – zdecydował stanowczo.

Ale to ja zacząłem całe to przedstawienie i ja muszę je zakończyć. Nie mogę dłużej lawirować między fikcją a rzeczywistością. Muszę się z tego wyplątać? Jeżeli sytuacja taka potrwa dłużej, to w końcu sam pogubię się w zeznaniach, a wtedy będzie prawdziwa bieda, rozpęta się burza – sumienie dręczyło go coraz bardziej, a sposobu na wydostanie się z matni, w jakiej tkwił na własne życzenie, znaleźć nie potrafił. Czego bym nie zrobił, czego bym nie powiedział, to i tak będzie to tylko kolejne kłamstwo, następstwo, konsekwencja poprzedniego, bo fabuła musi się zazębiać, musi być wiarygodna. Jak człowiek raz wpadnie w taką spiralę kłamstw, to będzie w nią brnął, aż do ostatecznego końca. Dość! Muszę za wszelką cenę skończyć z tym. Przerwać to! – podjął ostateczną decyzję.

Telefon od pełnomocnika Adama, siłą rzeczy wprowadził Zofię w

kiepski nastrój.
– Czy coś się stało? Jakieś nowe wieści o Adamie? – dopytywała zmieszana, gdy usłyszała kto dzwoni.
– Mam kilka ważnych informacji dla państwa i pragnąłbym niezwłocznie podzielić się nimi.

Zofii wcale na tym nie zależało, bowiem najlepiej byłoby gdyby ten pan raz na zawsze o nich zapomniał i zniknął z ich życia. Ale cóż było robić, adwokat był żywym człowiekiem i nie potrafił znikać. Mocnej nie pozostało nic innego, jak zgodzić się na spotkanie. Rozmówcy ustalili termin mitingu.

Kowalski umówiony z Mocną, a precyzyjniej z Mocnymi, stawił się na spotkanie ze zwykłą sobie punktualnością. Wszyscy czworo czekali już na prawnika w salonie, gdy ten zapukał do drzwi.
– Dawno nie widzieliśmy się – zauważył gość na powitanie.

Zofia nie bardzo wiedziała jak zareagować na te słowa. Szczerze mówiąc, wolałaby nie odnawiać znajomości z człowiekiem, który kojarzył się jej z upokorzeniem i niepewnym jutrem. Nie zapomniała też ostatniej rozmowy z adwokatem, w której była mowa o testamencie i rozporządzeniach na przyszłość. W skrytości ducha liczyła na to, że Kowalski już nigdy nie pojawi się w ich życiu. Ale niestety – myliła się. Mecenas po przywitaniu się z domownikami zasiadł na wskazanym mu przez Stefana miejscu i przystąpił do relacjonowania sprawy, z którą przyszedł.
– My się jeszcze nie znamy – wtrącił Mocny czując się pominiętym. – Jestem…
– Chyba wiem z kim mam przyjemność – przerwał Stefanowi przybysz.

Mężczyźni zrozumieli się bez słów.
– Jakież to ważne sprawy sprowadzają pana do nas, panie Janie? – zagaiła Zofia z nutką niepewności w głosie. Na jej twarzy rysowało się napięcie.
– Kilka miesięcy temu na niewielkiej wysepce odnaleziono mężczyznę, którego mylnie uznano za pana Adama. Wieść o jego cudownym ocaleniu rozeszła się lotem błyskawicy i w związku z tym wydarzeniem zaszło wiele nieporozumień. Jednak, szczęśliwie ocalałym z katastrofy okazał się członek załogi feralnego lotu. Niestety nie pan Adam. Pozostałych uznano za zaginionych. Dużo przykrych formalności trzeba było dopełnić, żeby władze uznały pana Adama za zmarłego. Ale skoro tak już się stało, obowiązkiem moim jest zadośćuczynić woli zmarłego i otworzyć kopertę z jego ostatnią wolą.

Młodzi nie zdawali sobie sprawy, czym to może skutkować, ale Zofia jak najbardziej. Nie spodziewała się usłyszeć niczego dobrego.
– Czy mogę oficjalnie otworzyć testament i wyjawić państwu ostatnie życzenie świętej pamięci pana Adama? – mówiąc to wyjął z neseserka niewielką, szarą, zalakowaną kopertę.
– Sadzę, że tak. Po to się tutaj zebraliśmy. Czyż nie? – zauważyła z przekąsem

Zofia dyskretnie ocierając dłonią pot z czoła.

Adwokat spojrzał pytającym wzrokiem na pozostałych. Ci, nie do końca zorientowani w sytuacji, gestem, czy też wzrokiem dali przyzwolenie.

Jaką to przyszłość zgotował nam ten psychopata? – zastanawiała się Zofia. Czy jeszcze zza grobu będzie nas dręczył? – podejrzewała Adama o najgorsze.

Kowalski oficjalnie złamał pieczęć, po czym wyjął z koperty niewielką kartkę papieru. Spojrzał nań, a w oczach jego pojawiło się zdziwienie. Sięgnął jeszcze raz do koperty, ale niczego więcej tam nie znalazł. Ciągle zdumiony adwokat, odwrócił kartkę do czekających w napięciu beneficjantów po czym przeczytał

– Sabina Małgorzata Bonasie.

– Co to ma znaczyć panie Kowalski – naskoczyła na niemniej zaskoczonego wykonawcę ostatniej woli zmarłego Zofia.

– Tak samo jak pani chciałbym znać odpowiedź, ale jej nie znam. Jako prawnik miałem do spełnienia swoją rolę i to wszystko. Co dalej, nie wiem.

– Kiedy to się skończy? – załamała ręce Zofia. – Czy my już nigdy nie wyzwolimy się spod wpływu tego szaleńca? Mściciela? – pytała zrozpaczona.

– Wkrótce wszystko na pewno się wyjaśni – zapewniał Stefan. – Bądź dobrej myśli.

Przez kilka pierwszych dni po spotkaniu z Kowalskim Zofia nie mogła znaleźć sobie miejsca. Może by zadzwonić do niej? – nosiła się z zamiarem, ale nie miała śmiałości. Skoro ma decydować o naszej przyszłości, niech ona pierwsza podejmie stosowne kroki. Najgorsze jest oczekiwanie na wyrok. Niech to wszystko raz na zawsze się skończy – prosiła Boga. Prośby Zofii szybko zostały wysłuchane. Niespełna tydzień po wizycie Kowalskiego, Mocna otrzymała krótki list wraz z zaproszeniem na imprezę dobroczynną organizowaną przez Małgorzatę w imieniu jej śp. ojca, która odbyć się miała w ostatnią sobotę miesiąca. Od dzisiaj za 16 dni– wyliczyła adresatka.

Treść listu nie zawierała niczego szczególnego. Małgorzata przepraszała za tak długie milczenie. Nie dzwoniła, bo to nie rozmowa na telefon –wyjaśniała. Zapewniała, że wszystko wyjaśni, jak się spotkają. Spadkobierczyni fortuny Adama prosiła o spotkanie z Mocnymi, a konkretnie Zofią i Stefanem, co ją wielce zaskoczyło. Termin wyznaczyła na dzień przed planowaną imprezą. Z treści listu niewiele mogła wywnioskować. Chłodny, rzeczowy, bez żadnych dodatkowych informacji.

– Czego ona może chcieć? – dopytywała męża przy kolacji.

– Cierpliwości, na pewno wszystko się wyjaśni. Bądź dobrej myśli. –Stefan, nie wiedzieć czemu sprawiał wrażenie wyjątkowo spokojnego.

– Kiedy nie mogę. Jak sobie pomyślę, że ona ma w swoich rękach los nas

wszystkich …

– To co? Czego się obawiasz? Uwierz w siebie. Masz wspaniałą pracę, rodzinę, razem na pewno damy sobie radę – tłumaczył. – Choćby nawet zażądała zwrotu majątku, w co osobiście wątpię, to jeszcze nie koniec świata. Myślę, że już najwyższy czas uregulować wszystkie sprawy rodzinne i zacząć żyć własnym życiem. Ta niedorzeczna umowa, wszystkim przyniosła więcej szkody niż pożytku. Mam jedynie nadzieję, że doświadczenia ostatnich lat nie pójdą na marne – założył Stefan wodząc wzrokiem po pozostałych.

– I ja też mam taką nadzieję – zgodziła się nieco pocieszona Zofia.

– Jutro wracam do pracy – poinformowała.

Stefan wstał od stołu, zbliżył się do Zofii i po raz pierwszy od wielu lat ucałował ukochaną. Ta odwzajemniła pocałunek.

Rozdział XXXVII

Małgorzata na miejsce spotkania zaproponowała, nie wiedzieć czemu, posesję Rajmunda. Zofia nie posiadała się ze zdumienia.

– Ale jak to u Rajmunda? O co tu chodzi do cholery? – próbowała cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieć.

– Mówiłaś kochanie, że ten Rajmund znał się z Adamem. Może on odkupił od niego tę posesję? – podsunął myśl.

– Kto wie, może? – powiedziała z powątpiewaniem w głosie.

Rozmowie rodziców przysłuchiwali się Jacek z Agatą, spojrzeli porozumiewawczo po sobie i coś im w głowach zaświtało.

– Poczekajmy do jutra – Stefan powstrzymywał Zofię. – Skoro Małgorzata obiecała wszystko wyjaśnić podczas naszego spotkania, to sądzę, że i tę kwestię nie pozostawi bez odpowiedzi.

– Za dużo tych niedomówień, tajemnic i w ogóle tego wszystkiego. Strasznie to pogmatwane. Nie uważasz? To mi wygląda na jakąś intrygę i to grubymi nićmi szytą – dotarło do Zofii.

– Zgadzam się z tobą, moja droga, w całej rozciągłości, ale poczekajmy do jutra.

Zastanawiającemu się nad powodem i skutkami spotkania z Małgorzatą, Stefanowi przypomniało się nagle, że musi pilnie załatwić coś ważnego. Przeprosił wszystkich, wsiadł do samochodu i niemal z piskiem opon odjechał w nieznanym kierunku.

Dziwnym zbiegiem okoliczności rodzeństwo też miało coś bardzo ważnego do załatwienia. Spiesznie wsiedli do drugiego pojazdu i niewiele zastanawiając się pojechali do mieszkania ojca. Zaparkowali tak, żeby nie mógł ich zauważyć i czekali. Stefan siedział chwilę w samochodzie i na kogoś lub na coś czekał. Po kilku minutach podjechało kolejne auto, z tym że na zagranicznych

numerach. Wysiadła z niego młoda dziewczyna, w wieku około 25 lat, przywitała się ze Stefanem i razem weszli do bloku. Obserwatorzy z początku sądzili, że to może kochanka ojca, ale szybko wybili sobie z głowy taką niedorzeczną myśl, bowiem sposób powitania świadczył o całkiem innym charakterze znajomości między nimi. Po niespełna godzinie z „apartamentowca" wyszła młoda kobieta w towarzystwie Rajmunda. Młodych zatkało.

A to tutaj ukrywał się ten nikczemnik! To on odkupił mieszkanie od ojca i to stąd te fotografie w mieszkaniu! – pojmowała wszystko opatrznie dziewczyna. – Ciekawe ile jeszcze na tym zarobił? A sprawiał takie sympatyczne wrażenie. Kto by pomyślał – zastanawiała się i pomstowała Agata prowadząc dialog ni to z bratem, ni to z sobą. – On jednak kochał matkę i nas chyba też, skoro umieścił te fotografie w pokoju na honorowym miejscu. Ale co z tym wszystkim wspólnego ma ojciec – tego nie mogła pojąć.

Samochód z Małgorzatą, bo to była właśnie ona, i Rajmundem odjechał w nieznanym kierunku. Rodzeństwo pozostało na miejscu i czekało na ojca, ale ten nie spieszył się z wyjściem. Po kilku godzinach oczekiwania do obserwowanego bloku powróciła tajemnicza para, a po kilkunastu minutach wyszedł z niego sam Stefan. O co tu chodzi? Co łączy Rajmunda i ojca z tą młodą kobietą? – zastanawiali się. – To jest jakiś spisek, tylko jaką rolę ogrywa w nim ojciec?

Dzień przed spotkaniem Mocnych z Małgorzatą na posiadłość Rajmunda powróciło życie. Ekipa ogrodników przystąpiła do prac pielęgnacyjnych, inna grupa ludzi krzątała się wewnątrz budynku, jeszcze inna wynosiła meble. Ogromny meblowóz to wywoził, to przywoził jakieś paczki. Całemu temu zamieszaniu z zaciekawieniem przyglądała się Zofia, która jako jedyna pozostała w domu. Co tam się dzieje? – zadawała sobie pytanie Po co to wszystko? Chyba nie na jutrzejsze spotkanie? Przecież w tym domu było tak wysprzątane, że można było jeść z podłogi. Chyba szykuje się jakieś duże przemeblowanie i wprowadzka? – mówiła do siebie

Obserwując postęp prac zauważyła, że na parking przed budynek podjechał samochód, z którego wysiadła Małgorzata oraz Rajmund. Zofii szybciej zabiło serce i zrobiło jakoś smutno. Tyle przeżyć, tyle wspomnień, a ten tak nikczemnie zachował się, tak mnie potraktował – pomyślała ze smutkiem. W odruchu złości chciała podejść do niego i powiedzieć mu kilka słów do słuchu, ale na szczęście rozsądek wziął górę nad emocjami.

Ja też nie jestem bez winy – przypomniała sobie ostatnie dni przed wypadkiem. Odsunęłam się od Rajmunda, a on tak o mnie zabiegał. Coś mi się wydaje, że ta dziewczyna z którą tak się afiszował i, z którą nakryłam go u niego w domu, to też była jedna wielka mistyfikacja. On po prostu chciał wzbudzić we mnie zazdrość, on naprawdę mnie kochał, to ja odwróciłam się od niego, to

ja jestem wszystkiemu winna. Poza pracą niczego wokół siebie nie widziałam. Pozamieniałam bieguny – nareszcie do niej dotarło. Ale, że z Małgorzatą przyjechał? Ciekawe co oni mają ze sobą wspólnego, co chcą nam zgotować? – ta para nie wróżyła Mocnym niczego dobrego na przyszłość.

Tymczasem przybysze zabrali się z wielkim zaangażowaniem do kierowania prowadzonymi na terenie posesji pracami. Oboje sprawiali wrażenie, że doskonale rozumieją się i uzupełniają. Pobyt ich na placu przebudowy trwał około trzech godzin, po czym wsiedli do samochodu i odjechali w nieznane. Zofia nie mogła wyjść z podziwu i zdumienia. Chociaż, córce zmarłego kolegi trudno jest odmówić pomocy. Chyba był jej to winien – doszła do słusznego wniosku.

Po niespełna trzydziestu minutach do domu powrócił Stefan, a zaraz po nim Jacek z Agatą. Zofia już od progu zaczęła zdawać relację wszystkim przybyłym, czego była świadkiem przez ostatnie trzy godziny. Stefan nie dawał wiary słowom Zofii, młodzi też do końca nie dowierzali. Tak, prawie wszyscy bawili się ze sobą w kotka i myszkę. Każdy grał w swoją grę, ale kto w jaką i jakie były zasady? Przebiegła Agata poprosiła matkę, żeby ta jeszcze raz opisała całe zdarzenie, co ta rozemocjonowana uczyniła po raz wtóry.

– A może chcą wystawić posesję na sprzedaż i porządkują obejście? Chyba łatwiej sprzedać zadbaną posiadłość, aniżeli taką zapuszczoną puszczę – wymyślił Jacek.

– Tak? To po jasną cholerę wymieniają całe umeblowanie! Stare wywozili, nowe przywozili, robota w rękach im się paliła. Oni szykują to wszystko na jutro, na jutrzejsze spotkanie. Idę o zakład!

– Kto ich tam wie, a wy co o tym myślicie? – Jacek zwrócił się do rodziców.

Stefan milczał i sprawiał wrażenie zamyślonego.

– Jutro się dowiemy – powiedziała matka.

– Jak to jutro? A co będzie jutro? – dopytywała córka.

– Ja z ojcem mamy zaproszenie na spotkanie ze znajomą, z tą całą Małgorzatą, córką Adama. Myślę, że to stąd taki rejwach u sąsiada.

– E tam! Gdyby chodziło o zwykłe spotkanie, wystarczyłoby ogarnąć trochę obejście i po wszystkim. Pamiętasz, jak wyglądał dom w środku, kiedy przeprowadziliśmy ten nocny nalot? Tam wszystko lśniło.

– Trudno się z tobą nie zgodzić – powiedziała matka. – Przyznam wam, że ja też już niczego nie rozumiem, pogubiłam się w tym wszystkim – spojrzała bezradna po obecnych. Nikt nie próbował jej tłumaczyć, ale dzieci dyskretnie obserwowały zachowanie ojca, który mimo usilnych starań sprawiał wrażenie zmieszanego.

Porządki w sąsiedztwie trwały do późnej nocy. Agata siedząc w oknie przyglądała się z zaciekawieniem całemu zamieszaniu panującemu na zewnątrz. W pewnym momencie na parking przed dworkiem zajechał samochód. Od razu wydał jej się znajomy. Ja ten samochód skądś znam, ja ten samochód gdzieś już

widziałam – przeleciało jej przez myśl. Z auta wysiadła młoda kobieta, która przed kilkoma godzinami spotkała się z ojcem i Rajmundem. – O co tu chodzi? Co ten ojciec kombinuje. Co oni kombinują? Czyżby to była ta Małgorzata? Przecież ojciec twierdził, że jej nie zna. A to ci intrygant. Co on jeszcze przed nami ukrywa?

Następnego dnia Stefana przy śniadaniu nie było. Wyjechał gdzieś bardzo wcześnie rano. Córka mogła jedynie domyślać się dokąd skierował swoje kroki. Agata korzystając z nadarzającej się okazji zastanawiała się czy nie powiedzieć matce o swoich spostrzeżeniach względem trójki konspiratorów. Może jednak nic nie mówić – doszła do wniosku. Przecież ojciec za nic w świecie nie skrzywdziłby matki – o tym była przekonana w stu procentach. Na pewno szykuje jej jakąś niespodziankę – wymyśliła na koniec. Niespodzianki nie mogę zepsuć. Muszę zaufać ojcu. Zobaczymy jak to się skończy – podjęła słuszną decyzję.

Na posesji obok, prace porządkowe trwały do późnego popołudnia. Wieczorem po ekipie robotników pozostało tylko wspomnienie. Punktualnie o dziewiętnastej, zgodnie z ustaloną wcześniej godziną, Mocni stawili się na spotkanie z Małgorzatą. Ta czekała na gości przed domem. Powitanie dwóch „przyjaciółek" nie było nazbyt wylewne. Kilka uścisków, kilka pocałunków i ta cała standardowa paplanina, że miło się spotkać po tak długim czasie.

Tymczasem Stefan stojący nieco z tyłu czekał na swoją kolej. Kiedy już kobiety wymieniły między sobą kurtuazyjne dowody tęsknoty, Zofia odwróciła się w stronę męża.

– Podejdź kochanie. Chciałabym żebyś kogoś poznał – powiedziała uśmiechając się do męża.

Mocny nieco zmieszany, a nie była to udawana reakcja na sytuację w jakiej się znalazł, zbliżył się do Małgorzaty.

– Pozwólcie proszę. To jest Małgorzata, o której ci tyle opowiadałam. A to mój mąż Stefan – dokonała prezentacji.

Nowopoznani wymienili chłodne uściski dłoni nie patrząc na siebie. Chwila obopólnego skrępowania nie pozostała niezauważona przez Zofię. Co się dzieje? – pomyślała. Czyżby oni… Nie to niemożliwe, bo skąd? – zastanawiała się.

– Zapraszam do salonu – pierwsza ocknęła się gospodyni spotkania. – Chyba czeka nas długi wieczór? – uprzedzała od progu.

– Też tak myślę – zgodziła się Zofia.

Jakież było zdziwienie Zofii, gdy weszła do domu i zobaczyła zmiany, jakie zaprowadziła w nim Małgorzata w niespełna dwa dni. Rozglądała się oczarowana nową aranżacją wnętrz. To nie był już „cekhauz", to był prawdziwy dwór szlachecki.

– Jakim sposobem udało ci się to wszystko, tak szybko i z takim pietyzmem zaaranżować? – Zofia nie posiadała się ze zdziwienia.
– Długo by opowiadać, ale najważniejsze, że wyszło na czas.
– A czy ty wiesz, że u was straszy. Tak twierdzi moja córka. Ponoć kilka razy widziała jakieś tajemnicze ogniki w oknie i kogoś błąkającego się nocą po komnatach.
– Tym akurat bym się nie przejmowała – zbagatelizowała problem Małgorzata.
– To twoja sprawka! Ty wiesz coś na ten temat. Przyznaj się.
– Zofio, ty masz swoje tajemnice, a ja swoje...
– Rozumiem, co masz na myśli i jeszcze raz przepraszam za tamto moje zachowanie – powróciła na chwilą pamięcią Paryża.
– Na twoim miejscu każdy by tak postąpił – usprawiedliwiała Zofię wchodząc w jej położenie.

Stefan, „niezorientowany" w temacie przysłuchiwał się rozmowie kobiet z zaciekawieniem, zachodząc w głowę, o czym to one rozprawiają. – Posługują się jakimiś szyfrem, półsłówkami, z których niewiele mogę wyczytać. Za to one rozumieją się doskonale.
– Szanowne panie, widzę, że rozumiecie się bez słów. Ja jednak chciałbym wiedzieć, jaka jest moja rola w tym wszystkim, w tym niemalże rodzinnym spotkaniu.
– Zaraz wszystko wyjaśnię – zapewniła nowa właścicielka posiadłości.

We troje długo siedzieli przy stole i rozmawiali, a mieli o czym rozmawiać, bowiem okazało się, że bardzo wiele ich ze sobą łączy.

W spektaklu przygotowanym przez Małgorzatę to właśnie Stefan grał główną rolę.

Mocni, w szampańskich nastrojach wrócili do domu bladym świtem. Zofia wreszcie bez obaw mogła sobie powiedzieć – Nasz dom.

Aż dziw, że to wszystko samo tak szczęśliwie się ułożyło. Ale gdyby nie ta zgodność DNA, to kto wie, jak by się skończyło? – zastanawiała się przed zaśnięciem. Widocznie tak musiało być – uśmiechnęła się już przez sen. Tej nocy po raz pierwszy od lat spała u boku męża, a sny, jak obrazki w fotoplastykonie, przesuwały się przed jej oczami. Rano obudziła się jakaś odmieniona.

Zakończenie

Dobroczynna feta zaplanowana była na dwudziestą. Zaproszeni goście stawili się tłumnie, ponieważ okazja ku temu była szczególna. Na miejsce imprezy Małgorzata wybrała, nie wiedzieć czemu, lokal, w którym pierwszy raz ujrzano Zofię w towarzystwie Rajmunda. Czy było to zamierzone działanie czy

czysty przypadek? – wiedziała tylko organizatorka.

Honory gospodarza, ku zdziwieniu przybyłych, oprócz Małgorzaty pełnili państwo Mocni. Witali, przyjmowali, usadzali, zabawiali. I o ile kobiety czuły się w tej roli doskonale, o tyle Stefan czuł się wyjątkowo niezręcznie. Znajomi, a było ich wielu na sali, mający świeżo w pamięci jego niedawne jeszcze ekstrawagancje, nie mogli wybaczyć mu tych wszystkich dziwactw, a w szczególności przepuszczenia pieniędzy ofiarowanych na leczenie. Stefan doskonale zdawał sobie z tego sprawę, dlatego, uniżenie witając gości, jednocześnie pokornie przepraszał. Mimo wysiłków, starania jego szły na marne.

Mijała już druga godzina przyjęcia, a Stefana wszyscy traktowali jak trędowatego. To jakaś zmowa, lokalny ostracyzm? – pomyślał. – Z drugiej jednak strony, trudno im się dziwić, to ja ich zawiodłem.

Wyszedł na chwilę z przyjęcia, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i nie drażnić swoją osobą przybyłych gości. Wszyscy bawili się doskonale, chwalili elegancję i szyk gospodyń oraz perfekcyjną organizację. *Kuchnia wyśmienita, trunki przednie, no i ta przyjacielska atmosfera*, którą niekiedy tylko zakłócał widok Stefana.

Zbliżała się dwudziesta trzecia, kiedy wśród uczestników spotkania gruchnęła wieść, że na imprezie pojawił się nie kto inny, jak Rajmund.

– Rajmund, ten sam Rajmund, co to...? – zastanawiali się, szeptali, tudzież wzrokiem wskazywali na nieproszonego gościa i na Zofię. – Ten sam, jak żywy. Jeżeli nie wierzysz. to...– szeptali niedowierzaniem mówili do siebie. Sensacja, albo raczej skandal wisiał w powietrzu.

Tymczasem Rajmund nie zrażając się, w przeciwieństwie do Stefana, witał się kordialnie ze wszystkimi, aż nareszcie dotarł do Zofii. Uśmiech goszczący na jej twarzy od początku imprezy, na widok intruza zgasł w jednej chwili, jak zdmuchnięta świeczka. W przeciwieństwie do przybyłego nieproszonego gościa. Ten ze sztucznym uśmiechem na ustach zbliżył się do niedawnego jeszcze obiektu westchnień.

– Witaj Zofio. Miło cię znów widzieć. Wyglądasz pięknie.... Z Afrodytą mogłabyś iść w konkury.

– Dziękuję bardzo. Dzięki pomocy szczerze oddanych i bliskich osób, jakoś udało mi się pokonać śmierć. Żałuję jedynie, że nie mogę ciebie zaliczyć do tego grona. O najmocniej przeprasza... Nie żałuję! Okazałeś się zwykłym, żałosnym tchórzem! Myślałam... – Rajmund delikatnie położył palec jej na ustach. Tak, jak zwykł to czynić, kiedy Zofia mówiła za dużo.

– Doskonale wiem, jak się zachowałem. Wierz mi, że to był jedyny sposób. Jeżeli byłoby inne wyjście, lepsze, na pewno bym z niego skorzystał, ale nie było, Bóg mi świadkiem, nie było.

– O czym ty mówisz do cholery? Zostawiłeś mnie z moją chorobą pastwę losu! Przestraszyłeś się odpowiedzialności? Cała ta sytuacja przerosła cię. Ty po prostu stchórzyłeś. – wypowiadając te słowa patrzyła na niego z pogardą.
– Ja ciebie opuściłem, ale zyskałaś stokroć wierniejszego przyjaciela ode mnie. Czyż nie? – oczy błyszczały mu ze smutku.
– Masz rację, ale czy mam ci za to podziękować? – spojrzała pytającym i nieco lekceważącym wzrokiem na byłego adoratora.
– Jeszcze raz błagam o wybaczenie za to wszystko, za te wszystkie lata. Nie tak miało być, nie tak wyobrażałem sobie nasze wspólne życie – próbował się tłumaczyć.
– A niby jak? – przeszyła wzrokiem mężczyznę na wskroś.

Zofia chciała jeszcze coś dodać, ale gdy przejrzała Rajmunda, spostrzegła, że całe towarzystwo zamilkło i przygląda im się z ciekawością. Wścibskie oczy setki gości, próbowały z ruchu warg wyczytać treść ich rozmowy.

Zaraz będzie draka. Jak tylko pojawi się Stefan! Gdzie on jest? – wszyscy rozglądali się za Stefanem. Wcześniej nie dostrzegliby go, nawet gdyby nastąpił im na odcisk… a może właśnie z powodu, że nastąpił.
– Pójdę już. Nie chciałbym, żeby wybuchł jakiś skandal jak wróci twój mąż – szepnął jej do ucha całując w policzek na odchodne. Kiedy podniósł wzrok, oczy jego migotały jakimś wesołym blaskiem.
– Bądź spokojny, Stefana tu na pewno nie spotkasz. On zawsze miał wyczucie kiedy zjawić się, żeby nie było awantury. Żegnaj Rajmundzie. W gruncie rzeczy dobry z ciebie człowiek, chociaż taki dwulicowy.

Mężczyzna zmieszał się i przez chwilę nie wiedział co powiedzieć.
– Czy wybaczysz mi?
– Zobaczymy, życie pokaże.

Rajmund ujął ostentacyjnie dłoń Zofii, ucałował, po czym żegnając się z uczestnikami balu opuścił świat, w którym zagościł na krótką chwilę.

Kilka minut po wyjściu niespodziewanego gościa na sali pojawił się Stefan.
– Dobrze, że ciebie nie było tato, bo mogłaby być niezła draka – powiedziała córka podchodząc spiesznie do ojca.
– Czy coś się stało? Coś mnie ominęło?
– Tak, był tutaj ten nasz były sąsiad Rajmund.
– A co chciał?
– Chyba miał wyrzuty sumienia, że zachował się jak ostatni drań i przyszedł przeprosić mamę.
– I co? Przeprosił?
– Rozmawiali ze sobą kilka minut, ot i tyle.
– A mama? Jak mama zareagowała? Przyjęła przeprosiny?

– To dziwne, ale wydaje mi się, że tak.
– To dobrze, to bardzo dobrze – mówił raczej do siebie, niż do córki.
– Co ty tato? Przecież on…
– On bardzo kochał twoją mamę i starał się chronić ją najlepiej jak tylko potrafił.
– Prawda, że wiele jej, nam też, pomógł, ale jak przyszedł czas próby to zrejterował, stchórzył.
– Czyżby? A gdyby został, czy bylibyśmy dzisiaj wszyscy razem? Zastanów się?
– A więc to tak !– dziewczyna wreszcie zrozumiała poświęcenie Rajmunda.

Do rozmawiających zbliżyła się Zofia z promiennym uśmiechem na twarzy.
– Gdzie byłeś? Szukałam cię.
– Musiałem załatwić jedną ważną sprawę.
– I co załatwiłeś?
– Już dawno niczego tak dobrze nie załatwiłem.

Stefan zbliżył się do Zofii, ujął ją za ręce, a w oczach miał gwiazdy.
– Zatańczymy? – zapytał zalotnie.
– Później będziemy mieli na to dużo czasu. Teraz trzeba powiedzieć kilka słów do zebranych.
– Chodźmy zatem.

Orkiestra przestała grać, a na scenie pojawiła się Małgorzata. .
–Szanowni państwo, bardzo proszę abyście poświęcili mi kilka minut i wysłuchali tego, co mam do powiedzenia. Nazywam się Sabina Małgorzata Bonasie i jestem córką fundatora dzisiejszej uroczystości. Mój ojciec pochodził z tego miasta. Mimo, że dawno już stąd wyjechał, zawsze był z nim emocjonalnie związany. Wybaczcie proszę, że nie podam jego nazwiska, ale zawsze chciał pozostać anonimowy– zebrani dociekali już „Kto to taki?" –. Każdego roku przyjeżdżał do kraju na wakacje. Jedynymi jego przyjaciółmi byli ci oto, państwo Mocni, którym z tego miejsca, pragnę bardzo podziękować. Dwa lata temu, ojciec jak zwykle odwiedził rodzinne strony i idąc na spotkanie towarzyskie, przypadkowo wstąpił do kolektury LOTTO. Pamiętacie państwo to zamieszanie związane z rekordową wygraną?

Po sali rozszedł się szmer. Wszyscy w jednej chwili pojęli całą sytuację. Małgorzata przemawiała dalej.
– Jak już zapewne wszyscy państwo domyślacie się – na chwilę zawiesiła głos – szczęśliwym posiadaczem wygrywającego kuponu był właśnie mój ojciec. O wygranej dowiedział się w ostatniej chwili, ale na szczęście zdążył ją odebrać. Na pewno wielu z was zadawało sobie pytanie *kto jest tym szczęśliwcem?* Teraz już wiecie. Ojciec, zajęty biznesem, realizację planów związanych z rodzinnym miastem odkładał na później. Zawsze pragnął odwdzięczyć się temu miastu i jego mieszkańcom za tak szczęśliwy uśmiech losu. Zapewne wszyscy państwo

pamiętacie zeszłoroczne wakacje i codzienne wieczorne spotkania na głównym placu miasta. Tak, to była jego skromna inicjatywa. Może nic szczególnego, ale zawsze. Nawet nie zdajecie sobie państwo sprawy, jakie piękne wspomnienia przywiózł do Paryża. Ostatnią wolą ojca, który przed kilkoma miesiącami zginął w wypadku lotniczym, było ufundowanie miastu czegoś szczególnego, wyjątkowego, czegoś, co służyć będzie dla dobra wszystkich mieszkańców. Do pana panie prezydencie należy ostatnie słowo. Zapraszamy do nas.

Prezydent zabrał głos.

– Zgodnie z pani wcześniejszą sugestią, po rozpatrzeniu różnych wariantów i potrzeb …

Po wystąpieniu prezydenta, na scenę wszedł wielce skrępowany Stefan Mocny. Szmer poszedł po Sali. Zdziwienie i wyraz lekceważenia malujący się na twarzach obecnych był wymowny i jednoznaczny. Ich zacupione, nieme usta krzyczały i pytały – Co on tu robi?

– Zapewne państwa dziwi moja obecność tu, w tym miejscu, na tej szczytnej imprezie charytatywnej. Wiem i rozumiem zdziwienie, a nawet oburzenie niektórych tu obecnych, ale pozwólcie mi wytłumaczyć się. Wielu z was wiele razy widziało mnie w sytuacjach… – zrobił suspensję, niby, że szuka słowa – w sytuacjach, z których nikt nie byłby dumny. Ale kiedy człowiek nie jest w stanie udźwignąć ciężaru życia to czasami błądzi. Wiem też, że kiedy znalazłem się w trudnej sytuacji, wszyscy staraliście się mi pomóc. Wiem, bo znam historię konta, na które wpływały wasze datki. Stojąc tutaj pragnę podziękować wszystkim tym, którzy przyczynili się do mojego powrotu do zdrowia. Gdyby nie wasza hojność, najprawdopodobniej nie byłoby mnie dzisiaj między wami. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, jaki zawód sprawiłem wszystkim wykorzystując waszą hojność na inne cele aniżeli leczenie mego schorowanego organizmu. Ale wierzcie mi, że nie ciało moje trzeba było leczyć, lecz duszę zatraconą. Dzięki wam odzyskałem wiarę w ludzi, dzięki wam odzyskałem wiarę w rodzinę, dzięki wam znowu żyję i mogę cieszyć się życiem. Pragnę zapewnić wszystkich i każdego z osobna, że całą kwotę, jaka wpłynęła na moje konto, podwojoną, przekażę na potrzeby bardziej potrzebujących ode mnie. Skoro śp. pan Adam był taki szczodry, czemu ja mam nie podzielić się swoim szczęściem. Ja wygrałem znacznie, znacznie więcej.

W tym momencie na scenę weszła Zofia, Agata, Małgorzata i Jacek.

– To jest moja wygrana! To jest moje zwycięstwo – wskazał na rodzinę.

Podszedł do każdego i przytulił i ucałował. Gromkie brawa rozległy się na sali.

Stefan powrócił do miasta.

Epilog

Impreza trwała do białego rana. Zmęczeni, ale szczęśliwi Mocni wrócili do swojego domu.

Agata całą powrotną drogę milczała i myślała, zwolna wszystko w jej głowie zaczęło układać się w logiczną całość. Na koniec nie wytrzymała i zapytała ojca.

– Tato, ale po co było to wszystko? Czemu tak?...

– Córciu, najprościej byłoby wykrzyczeć światu *To ja wygrałem!,* tylko co bym na tym zyskał? Czego bym się dowiedział?

– A czy po takich przejściach jesteś bogatszy w doświadczenia? Czy wiesz więcej? – dopytywała córka.

– A wy? Jak wy wykorzystalibyście ten niespodziewany uśmiech, a może chichot losu. Przecież te pieniądze zawsze przeznaczone były dla was. Ale czy potrafilibyście mądrze z nich korzystać? Ja wybrałem taką przewrotnie, ponieważ chciałem żebyście pokochali mnie takiego, jakim jestem, a nie moje pieniądze. Faktem jest, że balansowałem na granicy, ale na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Inni szczęśliwcy na pewno znaleźliby własne sposoby na wykorzystanie daru niebios. Ciekaw jestem czy równie pokrętne?... – Ileż trzeba było zachodu, żeby ten dom stał się naszym wspólnym domem, a mur dzielący nas znikł, jakby go nigdy nie było Weźcie sobie do serca słowa Iwaszkiewicza: *Nasze życie zależy od tego, czy aleją pójdziesz w prawo, albo w lewo.* Wybierajcie mądrze...

Rozdział XXXVIII

A mogło być tak...

Małgorzata na miejsce spotkania zaproponowała, nie wiedzieć czemu, posesję Rajmunda. Zofia nie posiadała się ze zdumienia.

– Ale jak to u Rajmunda? O co tu chodzi do cholery? – próbowała cokolwiek z tego wszystkiego zrozumieć.

– Mówiłaś kochanie, że ten Rajmund znał się z Adamem. Może on odkupił od niego tę posesję? – podsunął myśl.

– Kto wie, może? – powiedziała z powątpiewaniem w głosie.

Rozmowie rodziców przysłuchiwali się Jacek z Agatą, spojrzeli porozumiewawczo po sobie i coś im w głowach zaświtało.

– Poczekajmy do jutra – Stefan powstrzymywał Zofię. – Skoro Małgorzata obiecała wszystko wyjaśnić podczas naszego spotkania, to sądzę, że i tę kwestię nie pozostawi bez odpowiedzi.

– Za dużo tych niedomówień, tajemnic i w ogóle tego wszystkiego. Strasznie to

pogmatwane. Nie uważasz? To mi wygląda na jakąś intrygę i to grubymi nićmi szytą – dotarło do Zofii.

– Zgadzam się z tobą, moja droga, w całej rozciągłości, ale poczekajmy do jutra.

Zastanawiającemu się nad powodem i skutkami spotkania z Małgorzatą, Stefanowi przypomniało się nagle, że musi pilnie załatwić coś ważnego. Przeprosił wszystkich, wsiadł do samochodu i z piskiem opon odjechał w nieznanym kierunku.

Dziwnym zbiegiem okoliczności rodzeństwo też miało coś bardzo ważnego do załatwienia. Spiesznie wsiedli do drugiego pojazdu i niewiele zastanawiając się pojechali do mieszkania ojca. Zaparkowali tak, żeby nie mógł ich zauważyć i czekali. Stefan siedział chwilę w samochodzie i na kogoś lub na coś czekał. Po kilku minutach podjechało kolejne auto, z tym że na zagranicznych numerach. Wysiadła z niego młoda dziewczyna, w wieku około 25 lat, przywitała się ze Stefanem i razem weszli do bloku. Obserwatorzy z początku sądzili, że to może kochanka ojca, ale szybko wybili sobie z głowy taką niedorzeczną myśl, bowiem sposób powitania świadczył o całkiem innym charakterze znajomości między nimi. Po niespełna godzinie z „apartamentowca" wyszła młoda kobieta w towarzystwie Rajmunda. Młodych zatkało.

A to tutaj ukrywał się ten nikczemnik! To on odkupił mieszkanie od ojca i to stąd te fotografie w mieszkaniu! – pojmowała wszystko opatrznie dziewczyna. – Ciekawe ile jeszcze na tym zarobił? A sprawiał takie sympatyczne wrażenie. Kto by pomyślał – zastanawiała się i pomstowała Agata prowadząc dialog ni to z bratem, ni to z sobą. – On jednak kochał matkę i nas chyba też, skoro umieścił te fotografie w pokoju na honorowym miejscu. Ale co z tym wszystkim wspólnego ma ojciec – tego nie mogła pojąć.

Samochód z Małgorzatą, bo to była właśnie ona, i Rajmundem odjechał w nieznanym kierunku. Rodzeństwo pozostało na miejscu i czekało na ojca, ale ten nie spieszył się z wyjściem. Po kilku godzinach oczekiwania do obserwowanego bloku powróciła tajemnicza para, a po kilkunastu minutach wyszedł z niego sam Stefan. O co tu chodzi? Co łączy Rajmunda i ojca z tą młodą kobietą? – zastanawiali się. – To jest jakiś spisek, tylko jaką rolę ogrywa w nim ojciec?

Dzień przed spotkaniem Mocnych z Małgorzatą na posiadłość Rajmunda powróciło życie. Ekipa ogrodników przystąpiła do prac pielęgnacyjnych, inna grupa ludzi krzątała się wewnątrz budynku, jeszcze inna wynosiła meble. Ogromny meblowóz to wywoził, to przywoził jakieś paczki. Całemu temu zamieszaniu z zaciekawieniem przyglądała się Zofia, która jako jedyna pozostała w domu. Co tam się dzieje? – zadawała sobie pytanie Po co to wszystko? Chyba nie na jutrzejsze spotkanie? Przecież w tym domu było tak wysprzątane, że można było jeść z podłogi. Chyba szykuje się jakieś duże przemeblowanie i

wprowadzka? – mówiła do siebie

Obserwując postęp prac zauważyła, że na parking przed budynek podjechał samochód, z którego wysiadła Małgorzata oraz Rajmund. Zofii szybciej zabiło serce i zrobiło jakoś smutno. Tyle przeżyć, tyle wspomnień, a ten tak nikczemnie zachował się, tak mnie potraktował – pomyślała ze smutkiem. W odruchu złości chciała podejść do niego i powiedzieć mu kilka słów do słuchu, ale na szczęście rozsądek wziął górę nad emocjami.

Ja też nie jestem bez winy – przypomniała sobie ostatnie dni przed wypadkiem. Odsunęłam się od Rajmunda, a on tak o mnie zabiegał. Coś mi się wydaje, że ta dziewczyna z którą tak się afiszował i, z którą nakryłam go u niego w domu, to też była jedna wielka mistyfikacja. On po prostu chciał wzbudzić we mnie zazdrość, on naprawdę mnie kochał, to ja odwróciłam się od niego, to ja jestem wszystkiemu winna. Poza pracą niczego wokół siebie nie widziałam. Pozamieniałam bieguny – nareszcie do niej dotarło. Ale, że z Małgorzatą przyjechał? Ciekawe co oni mają ze sobą wspólnego, co chcą nam zgotować? – ta para nie wróżyła Mocnym niczego dobrego na przyszłość.

Tymczasem przybysze zabrali się z wielkim zaangażowaniem do kierowania prowadzonymi na terenie posesji pracami. Oboje sprawiali wrażenie, że doskonale rozumieją się i uzupełniają. Pobyt ich na placu przebudowy trwał około trzech godzin, po czym wsiedli do samochodu i odjechali w nieznane. Zofia nie mogła wyjść z podziwu i zdumienia. Chociaż, córce zmarłego kolegi trudno jest odmówić pomocy. Chyba był jej to winien – doszła do słusznego wniosku.

Po niespełna trzydziestu minutach do domu powrócił Stefan, a zaraz po nim Jacek z Agatą. Zofia już od progu zaczęła zdawać relację wszystkim przybyłym, czego była świadkiem przez ostatnie trzy godziny. Stefan nie dawał wiary słowom Zofii, młodzi też do końca nie dowierzali. Tak, prawie wszyscy bawili się ze sobą w kotka i myszkę. Każdy grał w swoją grę, ale kto w jaką i jakie były zasady? Przebiegła Agata poprosiła matkę, żeby ta jeszcze raz opisała całe zdarzenie, co ta rozemocjonowana uczyniła po raz wtóry.

– A może chcą wystawić posesję na sprzedaż i porządkują obejście? Chyba łatwiej sprzedać zadbaną posiadłość, aniżeli taką zapuszczoną puszczę – wymyślił Jacek.

– Tak? To po jasną cholerę wymieniają całe umeblowanie! Stare wywozili, nowe przywozili, robota w rękach im się paliła. Oni szykują to wszystko na jutro, na jutrzejsze spotkanie. Idę o zakład!

– Kto ich tam wie, a wy co o tym myślicie? – Jacek zwrócił się do rodziców.

Stefan milczał i sprawiał wrażenie zamyślonego.

– Jutro się dowiemy – powiedziała matka.

– Jak to jutro? A co będzie jutro? – dopytywała córka.

– Ja z ojcem mamy zaproszenie na spotkanie ze znajomą, z tą całą Małgorzatą,

córką Adama. Myślę, że to stąd taki rejwach u sąsiada.
– E tam! Gdyby chodziło o zwykłe spotkanie, wystarczyłoby ogarnąć trochę obejście i po wszystkim. Pamiętasz, jak wyglądał dom w środku, kiedy przeprowadziliśmy ten nocny nalot? Tam wszystko lśniło.
– Trudno się z tobą nie zgodzić – powiedziała matka. – Przyznam wam, że ja też już niczego nie rozumiem, pogubiłam się w tym wszystkim – spojrzała bezradna po obecnych. Nikt nie próbował jej tłumaczyć, ale dzieci dyskretnie obserwowały zachowanie ojca, który mimo usilnych starań sprawiał wrażenie zmieszanego.

Porządki w sąsiedztwie trwały do późnej nocy. Agata siedząc w oknie przyglądała się z zaciekawieniem całemu zamieszaniu panującemu na zewnątrz. W pewnym momencie na parking przed dworkiem zajechał samochód. Od razu wydał jej się znajomy. Ja ten samochód skądś znam, ja ten samochód gdzieś już widziałam – przeleciało jej przez myśl. Z auta wysiadła młoda kobieta, która przed kilkoma godzinami spotkała się z ojcem i Rajmundem. – O co tu chodzi? Co ten ojciec kombinuje. Co oni kombinują? Czyżby to była ta Małgorzata? Przecież ojciec twierdził, że jej nie zna. A to ci intrygant. Co on jeszcze przed nami ukrywa?

Następnego dnia przy śniadaniu ojca nie było. Wyjechał gdzieś bardzo wcześnie rano. Córka mogła jedynie domyślać się dokąd skierował swoje kroki. Agata korzystając z nadarzającej się okazji, długo nosiła się z zamiarem opowiedzenia matce o swoich spostrzeżeniach względem trójki konspiratorów. Na pewno szykuje jej jakąś niespodziankę – wymyśliła. Przecież ojciec za nic w świecie nie skrzywdziłby matki – przekonywała samą siebie. Ale jest w tym coś wielce podejrzanego – z wolna uświadamiała sobie. Nie zaszkodzi powiedzieć matce co widziałam i co wiem, tym bardziej, że dzisiaj rodzice mają spotkanie z tą Małgorzatą. Kto wie co oni wszyscy kombinują. Lepiej żeby matka była przygotowana – stwierdziła córka.
– Nad czym tak intensywnie rozmyślasz? – zapytała rodzicielka widząc córkę pogrążoną w myślach.
– Wiesz mamo… – zaczęła dość niepewnie. – Zastanawiam się czy powiedzieć ci o pewnej… – zrobiła krótką przerwę na znalezienie odpowiedniego słowa – o pewnym, dziwnym zdarzeniu które wczoraj zaobserwowałam.
– A cóż to takiego? I z czym ma to związek? – zapytała zatroskana, ale też zaciekawiona.
– No, dobrze… – przełamała się – powiem. Chodzi o ojca. Razem z Jackiem postanowiliśmy odwiedzić stare mieszkanie taty.
– Ale po co? Przecież on już dawno je sprzedał.
– I tu się mylisz. My też tak myśleliśmy, ale, wierz mi, rzeczywistość jest całkiem inna.
– Co to znaczy? Co masz na myśli? – dopytywała coraz bardziej zafrapowana Zofia.

– Jeszcze nie wiem, ale ojciec coś ukrywa, on ma jakąś tajemnicę której, nie chce przed nami wyjawić. Jest coś jaszcze, coś…?
– Co jaszcze? Czy ty aby nie naczytałaś się za wiele kryminałów?
– Nie żartuj proszę – odrzekła córka robiąc poważną minę

Agata, która siedziała cały czas przy stole wstała nagle i podeszła do okna. Popatrzyła przez nie przez chwilę szukając na zewnątrz potwierdzenia swych słów.
– Mamo,… ojciec zna Rajmunda i Małgorzatę. Obawiam się, że oni razem są w jakiejś zmowie.
– Co ty opowiadasz córeczko? – Zofia podeszła do Agaty, stanęła naprzeciw niej i nie spuszczając z dziewczyny wzroku zapytała chłodnym głosem. – Oni na pewno się znają, jesteś tego pewna? To bardzo ważne.
– Tak. Na pewno i to znają się dobrze.
– Tak uważasz?

Mocna stała przed dziewczyną i o czymś myślała. Już chciała coś powiedzieć, gdy Agata weszła jej w słowo.
– Wczoraj, gdy śledziliśmy ojca…

Tym razem Zofia przerwała.
– Jak to śledziliście? – chwyciła córkę za barki i lekko nią potrząsnęła próbując wytrząść z niej resztki informacji.
– Mieliśmy swoje powody i niech ci to wystarczy. Proszę.
– Noo dobrze – zgodziła się z niechęcią matka.
– Słuchaj dalej. Gdy podjechaliśmy pod blok, ojciec najwyraźniej czekał na kogoś. Po kilku minutach zjawiła się jakaś młoda kobieta. Dopiero później dowiedziałam się, że to jest Małgorzata. Weszli razem na górę, a po kilkunastu minutach z bloku wyszła Małgorzata z Rajmundem. Ojciec pozostał w mieszkaniu.
– Przyjechali tutaj na posesję – pokazała ręką Zofia. – Spędzili na niej kilka godzin nadzorując prace. Później razem gdzieś odjechali.
– No właśnie – wtrąciła swoje spostrzeżenia Agata. –Nie było ich około trzech godzin? – pytającym wzrokiem spojrzała na matkę.
– Córciu, nie wiem, nie mierzyłam im czasu – wybacz.
– Ale ja wiem. Po powrocie, jak mówisz z posesji, oboje weszli do naszego bloku, po kilkunastu minutach wyszedł ojciec, a oni tam zostali.
– No i o czym niby miałoby to świadczyć? – zapytała Zofia wracając z powrotem do stołu.

W jej ślady poszła córka. Jacek ciągle siedział milczący przy stole i uważnie przysłuchiwał się rozmowie.
– Pytałaś *o czym to świadczy?* Jeszcze nie wiem, ale może się dowiem, albo dowiemy – uściśliła córka.
– Ty mamo musisz być bardzo czujna podczas dzisiejszej rozmowy z Małgorzatą

– przestrzegł syn. – Wokół ciebie, wokół nas dzieje się coś dziwnego. Wierzcie mi, ja to czuję.
– Przeczucie to trochę za mało, ale dobrze się stało, żeście mi o tym wszystkim powiedzieli. Teraz będę miała się na baczności. Na razie ojcu ani słowa – zastrzegła dzieciom dyskrecję.

Młodzi spojrzeli z wyrzutem na matkę, po czym, bez słowa komentarza, wstali od stołu. Zofia uzbrojona w nową wiedzę czekała na wieczorne spotkanie. Tymczasem Stefan, jak dobrze założyła Agata, pojechał do swojego dawnego mieszkania, ale wcześniej miał w planie załatwienie kilku ważnych spraw dotyczących remontu oraz wieczornego spotkania. W domu zjawił się dobrze po dziesiątej. Małgorzata czekała na niego lekko podenerwowana.
– Wybacz, że tyle to trwało, ale u nas ciągle jeszcze nie wszystko można załatwić od ręki – tłumaczył swoje niewielkie spóźnienie. – Siądźmy, proszę, i porozmawiajmy o tym, jak mądrze rozegrać te ostatnie rozdanie.

Po kilkugodzinnej dyskusji spiskowcy mieli sprecyzowany w najdrobniejszych szczegółach plan działania na następny dzień. Stefan wrócił do domu dopiero późnym popołudniem. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, za to Zofia wydawała się czymś przygnębiona.
– Czy coś się stało? – zapytał mąż widząc żonę w nienajlepszym humorze.
– Nie, nic – odpowiedziała. – Trochę mnie głowa boli – skłamała. – Może to przez te emocje, przez tą Francuzkę. Ciekawe, czego ona chce i jak to się skończy? – niby pytała, niby zastanawiała się.
– Na pewno wszystko będzie dobrze – pocieszał Stefan.

Bardzo pewny siebie i przyszłości – zauważyła Zofia w skrytości ducha.. Niczym się nie przejmuje. Może młodzi mają rację, że on jest w zmowie z tymi dwojga i całą tę sytuację spreparował na własne potrzeby. Tylko po co? – zastanawiała się na próżno.
– Nie byłabym tego taka pewna – udając sceptycyzm po chwili zastanowienia stwierdziła Zofia. – A jeżeli ona zażąda zwrotu pieniędzy i tego wszystkiego, co posiadamy. Było nie było, my nie dotrzymaliśmy warunków umowy – zauważyła bezsporny fakt.
– Nie martw się na zapas, proszę. Mam przeczucie, że wszystko będzie dobrze.
– Zazdroszczę ci tego optymizmu, Stefanku.

Zofia podeszła do męża, stanęła naprzeciw niego i spojrzała mu prosto w oczy. Nie wiadomo co było przyczyną takiego zachowania. Wyglądało jakby szukała w nich odpowiedzi na dręczące ją stare i nowe pytania? Stefan nie wytrzymał tego przenikliwego spojrzenia, natychmiast lekko odwrócił głowę, po czym wziął Zofię pod rękę i poprowadził do stołu, gdzie czekał już obiad i przyglądające się im z uwagą dzieci. Atmosfera przy tym szczególnym posiłku odbiegała od ogólnie przyjętych, rodzinnych standardów. Wszyscy byli jacyś

napięci, wszyscy oprócz Stefana.

O co chodzi? – zastanawiał się. Czyżby perspektywa wieczornego spotkania podziałała tak deprymująco na pozostałych – szukał wyjaśnienia. Spróbuję coś od nich wyciągnąć – postanowił.

– Widzę, że coś was gnębi – zagaił. – Czyżby chodziło o to dzisiejsze spotkanie? – nie czekając na odpowiedź kontynuował. – A ty kochanie, dobrze znasz tę dziewczynę z Francji?

Zofia zmieszała się nieco. Przez chwilę nie wiedziała co powiedzieć, bo i znajomość z Małgorzatą trudno jej było zdefiniować. Dwa czy trzy krótkie spotkania, kilka telefonów, ot i wszystko... – zrobiła szybki bilans znajomości z Francuzką.

– Czy ja ją dobrze znam? – zwlekała z odpowiedzią na postawione pytanie. – Spotkałyśmy się kilka razy w Paryżu i tyle. Ale za to, ten twój Stefan Lopa zna ją bardzo dobrze.

– A tak... – przypomniał sobie. – Kiedyś wspominałaś, że był jej opiekunem, czy kimś takim – teraz Stefan sprawiał wrażenie zakłopotanego.

Atmosfera przy stole gęstniała z każdą chwilą. W celu „rozładowania napięcia" Agata dolała oliwy do ognia.

– A ty tato, komu sprzedałeś swoje mieszkanie? Dużo wziąłeś?

Stefan przełknął ślinę, ale nie dał po sobie poznać, jakie te pytania wywarły na nim wrażenie. Zaczęło się – pomyślał. – Zołza jedna! Czy to na pewno moja córka? Chociaż podobna... Znowu muszę brnąć w te kłamstwa. Chyba już nigdy się od nich nie uwolnię.

– Pytasz komu sprzedałem mieszkanie? – powtórzył szukając naprędce odpowiedzi. – Pierwszemu lepszemu nabywcy, który zaproponował rozsądną cenę – odparł nie przykładając wagi do pytania. – Sprzedażą zajmował się deweloper, bo ja do tego nie miałem wówczas głowy. Sami rozumiecie... – spojrzał wymownie na Zofię.

– No tak, tak. To dla nas wszystkich był trudny okres. Dobrze, że mamy go już za sobą.

– Żebyś wiedziała córciu. Nie wracajmy już do tamtych czasów. Cieszmy się sobą i dniem dzisiejszym – próbował wprowadzić odrobinę optymizmu między pierwszym, a drugim daniem.

Już mu się wydawało, że osiągnął zamierzony cel, gdy niespodziewanie Jacek wyskoczył z kolejnym, jeszcze bardziej niewygodnym pytaniem.

– Czy ty tato znasz tego, jak mu tam?... – próbował sobie przypomnieć, szukał pomocy wodząc bezradnie wzrokiem po pytających twarzach współbiesiadników, aż na koniec niemalże wykrzyczał imię osoby ukrytej w zakamarkach pamięci – Rajmunda!

W jednej chwili oczy wszystkich siedzących przy stole skierowały

się na nieszczęsnego Stefana. Zawzięli się czy co? – pomyślał. – Coś mi tu nie pasuje.

– Rajmunda? Skąd mam znać tego typa? Słyszałem o nim to i owo, ale żebym znał osobiście to nie – szedł w zaparte. – Mam do was prośbę – przyjmując poważną minę powiedział stanowczym głosem, – nie rozmawiajmy przy tym stole, w tym domu i wszędzie indziej o tym człowieku! To sprawa osobista.

Stefan udawał zazdrosnego o wspólną przeszłość Zofii i wspominanego.

– Jeżeli tak ci na tym zależy, to możemy o nim zapomnieć.– zaproponował najmłodszy członek rodziny. – Prawda, kochana rodzinko? – spojrzał po obecnych, a w powietrzu unosił się delikatny zapach drwiny.

Ci milcząco wyrazili zgodę, lecz entuzjazmu z podjętej decyzji nikt nie okazywał. Tylu niedomówień i kłamstw przy wspólnym stole jeszcze nigdy w życiu nie przełknęli. Obiad właśnie dobiegł końca.

Pierwszy od stołu wstał Stefan. Przepraszając pozostałych biesiadników, tłumacząc się pilnymi sprawami niemal wybiegł z domu. Wsiadł do samochodu i z piskiem opon odjechał w nieznanym kierunku.

– Pewnie pojechał do tej Małgorzaty i Rajmunda. Mogę się założyć – zaproponowała Agata. Albo… – zastanawiała się chwilę –może pojedźmy wszyscy do tego mieszkania i raz na zawsze wyjaśnijmy całą tę historię. Co ty na to mamo?

– Pomysł może i niezły, ale nie spieszyłabym się zbytnio z rozwiązaniem tej zagadki. Zrozumcie, teraz to my mamy asa w rękawie. Nie wiemy jeszcze, co Stefan razem z tą swoją kompanią kombinuje, sądzę jednak, że dzisiaj odkryje karty. Na razie nic nie róbmy – skierowała wzrok na dzieci. – Do was mówię! – podkreśliła z naciskiem.

Młodzi, chociaż zapalczywi do działania, przyrzekli matce poczekać na rozwój sytuacji.

Stefan powrócił do domu po około dwóch godzinach. Nie był już w tak doskonałym humorze jak przy obiedzie. Najwyraźniej tam, gdzie przebywał przez ten czas, musiało coś się wydarzyć, coś co wprowadziło niepokój w duszę intryganta.

– Często ostatnio znikasz – zagadnęła Zofia. – Czy stało się coś złego? – dopytywała. – Jakoś tak marnie wyglądasz.

W jej głosie dało się wyczuć nieukrywaną „troskę" o samopoczucie męża.

– Nie, nie, wszystko w porządku – Stefan uśmiechnął się do żony próbując zachować przynajmniej odrobinę pozorów.

–Mam urwanie głowy. Podpisałem ostatnio duży kontrakt i sama rozumiesz…

– Nic mi nie wspominałeś o jakimś kontrakcie. Czy to tajemnica? – ciągnęła temat Zofia najwyraźniej czerpiąc satysfakcję z dręczenia męża.

Znowu brnę – pomyślał kłamca. Ona coś przeczuwa – zmroziło go. Czuł pismo nosem.

– Ooo! Już niewiele czasu nam zostało do spotkania z tą... Małgorzatą – zauważył spoglądając na zegarek. – Najwyższy czas zacząć się szykować. Nie uważasz? – chciał jak najszybciej zmienić temat.

– Zdążymy. Mamy wszak niedaleko – uspokajała rozemocjonowanego męża.

Wypowiadając te słowa jeszcze bardziej uświadomiła sobie kolejny, niewytłumaczalny do tej pory zbieg okoliczności. Trochę się tego nagromadziło – pomyślała. Dzieci mają stuprocentową rację. To wszystko, to jakaś jedna wielka ściema.

Z tym niezłomnym przekonaniem skierowała swe kroki do łazienki, w której planowała pozostać nieco dłużej. Przyznać należy, że nie zmarnowała czasu. Gdy wyszła, po blisko godzinę trwającej toalecie, wyglądała olśniewająco. Stefan był zachwycony widokiem żony, ale cieszyć się tego dnia już nie potrafił.

Na posesji obok, prace porządkowe trwały do późnego popołudnia. Wieczorem po ekipie robotników pozostało tylko wspomnienie. Punktualnie o dziewiętnastej, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, Mocni stawili się u Małgorzaty. Ta czekała na gości przed domem. Powitanie przyjaciółek nie było nazbyt wylewne. Kilka uścisków, kilka pocałunków i ta cała standardowa paplanina, że miło się spotkać po tak długim czasie niewidzenia się i tak dalej.

Tymczasem Stefan stojący nieco z tyłu czekał na swoją kolej. Kiedy już kobiety wymieniły między sobą kurtuazyjne dowody tęsknoty, Zofia odwróciła się w stronę męża.

– Podejdź kochanie. Chciałabym żebyś kogoś poznał – powiedziała uśmiechając się do męża.

Mocny nieco zmieszany, a nie była to udawana reakcja na sytuację w jakiej się znalazł, zbliżył się do Małgorzaty.

– Pozwólcie proszę. To jest Małgorzata, o której ci tyle opowiadałam. A to mój mąż Stefan – dokonała prezentacji.

Nowopoznani wymienili chłodne uściski dłoni nie patrząc na siebie. Chwila obopólnego skrępowania nie pozostała niezauważona przez Zofię. Co się dzieje? – pomyślała. Czyżby oni... Nie to niemożliwe, bo skąd? – zastanawiała się.

– Zapraszam do salonu – pierwsza ocknęła się gospodyni spotkania. – Chyba czeka nas długi wieczór? – uprzedzała od progu.

– Też tak myślę – zgodziła się Zofia.

Jakież było zdziwienie Zofii, gdy weszła do domu i zobaczyła zmiany, jakie zaprowadziła w nim Małgorzata w niespełna dwa dni. Rozglądała się oczarowana nową aranżacją wnętrz. To nie był już „cekhauz", to był prawdziwy dwór szlachecki.

– Jakim sposobem udało ci się to wszystko, tak szybko i z takim pietyzmem

zaaranżować? – Zofia nie posiadała się ze zdziwienia.
– Długo by opowiadać, ale najważniejsze, że wyszło na czas.
– A czy ty wiesz, że u was straszy. Tak twierdzi moja córka. Ponoć kilka razy widziała jakieś tajemnicze ogniki w oknie i kogoś błąkającego się nocą po komnatach.
– Tym akurat bym się nie przejmowała – zbagatelizowała problem Małgorzata.
– To twoja sprawka! Ty wiesz coś na ten temat. Przyznaj się.
– Zofio, ty masz swoje tajemnice, a ja swoje...
– Rozumiem, co masz na myśli i jeszcze raz przepraszam za tamto moje zachowanie – powróciła na chwilą pamięcią Paryża.
– Na twoim miejscu każdy by tak postąpił – usprawiedliwiała Zofię wchodząc w jej położenie.

Stefan, „niezorientowany" w temacie przysłuchiwał się rozmowie kobiet z zaciekawieniem, zachodząc w głowę, o czym to one rozprawiają. – Posługują się jakimiś szyfrem, półsłówkami, z których niewiele mogę wyczytać. Za to one rozumieją się doskonale.
– Szanowne panie, widzę, że rozumiecie się słów. Ja jednak chciałbym wiedzieć, jaka jest moja rola w tym wszystkim, w tym niemalże rodzinnym spotkaniu.
– Zaraz wszystko wyjaśnię – zapewniła nowa właścicielka posiadłości.

We troje długo siedzieli przy stole i rozmawiali, a mieli o czym rozmawiać, bowiem okazało się, że bardzo wiele ich ze sobą łączy.

W spektaklu przygotowanym przez Małgorzatę, to właśnie Stefan grał główną rolę. Z razu nieco krępująca atmosfera z czasem coraz bardziej się rozluźniała. Zofia z każdą chwilą upewniała się w swoim wcześniejszym przekonaniu, że całe spotkanie jest z góry ustawione. Nie sądziła tylko, że przybierze tak nieoczekiwany obrót. Mocni wrócili do domu bladym świtem w szampańskich nastrojach. Wreszcie Zofia bez obaw mogła powiedzieć – Nasz dom.

Aż dziw, że to wszystko samo tak wyszło. Ale gdyby nie ta zgodność DNA, kto wie, jak by to się skończyło.

Po powrocie z kolacji Mocni rozeszli się do swoich pokoi. Stefan, co prawda próbował nakłonić ukochaną na wspólne spędzenie nocy, lecz ta tłumacząc się zmęczeniem, nadmiarem wrażeń oraz „bólem głowy" odmówiła. Niepocieszony kochanek zamknął za sobą drzwi „izolatki", zaś niedoszła kochanka położywszy się na łóżku zaczęła analizować szczegóły minionego spotkania. Jej, z pozoru dobry humor prysł w jednej chwili. Alkohol, który jedynie udawała że pije, nie przytępił jej zmysłów postrzegania rzeczywistości.

Czemu nie powiedział mi prawdy? Po co to całe udawanie? Za idiotkę mnie ma czy jak? Tylu bzdur, tylu kłamstw co tego wieczoru usłyszałam, to ja nie słyszałam nawet w „Modzie na sukces". Nie mogę tego tak zostawić, muszę coś z

tym zrobić – postanowiła. Długo próbowała się ukołysać, ale sen nie przychodził. Za to jakieś obrazy z przeszłości zaczęły pojawiać się przed jej oczami. Zobaczyła Stefana siedzącego u wezgłowia łóżka i coś do niej mówiącego. Z początku nic nie rozumiała, lecz z wolna słowa jego zaczynały do niej przemawiać. Zofia całą pozostałą część nocy słuchała nieco spóźnionej spowiedzi męża.

Delikatne pukanie do drzwi zbudziło Zofię, która właśnie co przymknęła swe modre oczka. To Stefan zapraszał żonę na śniadanie. Nie miał odwagi wejść do środka, więc tylko uchylił lekko drzwi i powiedział.

– Kochanie, już prawie dziewiąta, a przed nami dużo pracy związanej z organizacją bankietu.

– Daj mi chwilę, zaraz przyjdę, tylko się trochę ogarnę. Nie czekajcie na mnie – krzyknęła do oddalającego się męża.

Skoro już tyle czekałem, to chwila mnie nie zbawi, bo ile to jest chwila? – obejrzał się za siebie i przybyło mu kilka siwych włosów.

Niepewność jutra wynikająca z wieczornego spotkania z Małgorzatą spędzała mu sen z powiek przez noc całą. Stchórzyłem, w ostatniej chwili stchórzyłem. Przyznaję się, ale jak miałem wyznać jej prawdę? – tłumaczył się. – Przecież, gdyby dowiedziała się, że te ostatnie lata były jedną wielka mistyfikacją znienawidziłaby mnie na zawsze. Zobaczymy, co będzie przy śniadaniu... Jajecznica z dwóch jaj?... Bez jaj!

Zofia zbierała się pójść do łazienki, gdy ją olśniło. Co to było? Sen? A może to nie był sen. Jeżeli nie sen to co? Majaki senne? – zastanawiała się. Przecież Stefana tu nie było... Ależ był – przypomniała sobie, siedział tu – dotknęła ręką miejsce spoczynku. – Jeszcze ciepłe. Podniosła się, chwyciła dłońmi za skronie, zresetowała komórki i zaczęła odtwarzać w pamięci wydarzenia niespokojnej nocy.

Nareszcie wszystko stało się jasne, w końcu dotarły do niej i ułożyły się w kompletną całość wydarzenia ostatnich, pogmatwanych lat.

Zerwała się z łóżka z zamiarem natychmiastowego wyrzucenia męża z domu i pozbycia się go raz na zawsze. Chwyciła nerwowo palcami za klamkę, ale nieskoordynowane ruchy sprawiły, że uderzyła nimi tak mocno, aż przez moment poczuła ostry ból. Zatrzymała się na chwilę żeby sprawdzić co z dłonią i ta chwila wystarczyła jej żeby ochłonąć. Nie, emocje to zły doradca – stwierdziła z wyrachowaniem. – Na chłodno przekalkuluję, co dalej począć z tym fantem.

Minęło dobre pół godziny zanim zeszła do jadalni. Była chłodna. Nie wyglądała dobrze. Stefan sądził, że jest to efekt wczorajszej imprezy, chociaż nie tego się spodziewał. Przecież wszystko to co usłyszała powinno uczynić ją najszczęśliwszą osobą na świecie. Miała wszystko. A może nie?... – zreflektował się.

– Dobrze spałaś kochanie? – zapytał wstając od stołu żeby się przywitać.

Stefan tryskał humorem. Ucałował ją czule w policzek i poczuł na ustach chłód. Może to zimny prysznic? – tu się nie mylił.
– Raczej nienajlepiej. Długo nie mogłam zasnąć, to chyba z wrażenia. Tyle się wczoraj wydarzyło, tyle się dowiedziałam. Nareszcie mam pełną jasność sytuacji.
– Co masz na myśli? – zapytał poprawiając się niecierpliwie na krześle.
– A nic takiego. Mówię tak ogólnie.

Nieszczęsny spiskowiec nie mógł nic wyciągnąć od oszczędnej w słowach ofiary swych knowań. Nie darmo powiadają *na złodzieju czapka gore*. Mocny czuł się dokładnie tak samo. – Jeżeli będzie chciała uwierzyć w to wszystko, co wczoraj usłyszała od Małgorzaty, jestem uratowany. Jeżeli jednak nie – kiepska sprawa. Odnoszę wrażenie, że zbyt grubymi nićmi szyta była ta cała intryga. Przecież Zofia nie jest idiotką! Wystarczyłoby poskładać fakty i wszystko stałoby się jasne.

Stefan, aż zadrżał na samą myśl, na wspomnienie konsekwencji z tym związanych.
– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytał żonę żeby rozładować nieco atmosferę.
– Kosmetyczka, fryzjer... Takie tam babskie sprawy, nic szczególnego.
– Rozumiem. Ja muszę załatwić kilka ważnych spraw – oznajmił. – Nie będzie mnie do obiadu.

Stefan wstał od stołu, ucałował małżonkę w policzek. Dalej zimna – pomyślał. Machnął ręką do dzieci na pożegnanie i poszedł do samochodu. Młodzi tylko czekali, aż ojciec wyjedzie z posesji. Chcieli pojechać za nim, lecz matka zimnym głosem ostudziła ich zapędy.
– Wszyscy wiemy dokąd pojechał, nie ma więc potrzeby go śledzić – oznajmiła.
– Jest za to inna sprawa do załatwienia...

Pokrótce opowiedziała młodzieży o spotkaniu z Małgorzatą oraz o płynących z niego dla całej rodziny korzyściach. Perspektywę dostatniego życia rodzeństwo przyjęło z ogromną ulgą i zadowoleniem.
– Nareszcie wszystko się wyjaśniło! – ucieszył się Jacek. – Czy już na pewno niczego nie musimy się obawiać? – dopytywał na wszelki wypadek.
– Sądzę, że tak. To już jest zamknięta sprawa. Ale jest jedna rzecz nieskończona – uśmiechnęła się złowieszczo.
– O Boże, jeszcze jakieś tajemnice? Czy to się nigdy nie skończy? – nie wytrzymała Agata.
– Skończy, ale jeszcze nie teraz, nie w taki sposób i nie na takich warunkach. Nie tak jak chce ojciec – wypowiadając te słowa zrobiła zawadiacką minę.

Młodzi spojrzeli po sobie niczego nie rozumiejąc.
– O co chodzi mamo? – zapytał syn w imieniu obojga, – bo nic nie rozumiemy.
– Zaraz wszystko pojmiecie – mówiąc to, twarz jej ściągnęła się, nozdrza rozdęły, a oczy przybrały jakiś dziwnie zacięty wyraz.

– Co ty mamo?
– Co ty kombinujesz? – rodzeństwo przeraziło się na dobre.
– Widzicie. Po powrocie od Małgorzaty długo nie mogłam zasnąć. Długo najprzeróżniejsze myśli kołatały mi się po głowie, aż nareszcie coś puściło. Nie wiem co to było, jawa czy sen, w każdym widziałam jak wasz ojciec opowiedał mi wszystko od początku. Najwyraźniej musiał zrobić to w czasie kiedy byłam w śpiączce i dopiero teraz, pod wpływem tych emocji, przypomniałam sobie.

Pokrótce zrelacjonowała spowiedź ojca.

– Więc ta cała heca przez te wszystkie lata to sprawka ojca? – upewniały się dzieci.
– Teraz jestem o tym przekonana.
– Ale nas wszystkich wykiwał. Bawił się nami jak marionetkami. Pociągał za sznureczki, a my tańczyliśmy jak on zagrał – metaforycznie przedstawiła niedawną przeszłość Agata. – Ale po co!?

To fundamentalne, choć jakże banalne w swojej prostocie pytanie musiało jeszcze przez jakiś czas pozostać bez odpowiedzi.

– No i co masz zamiar z tym zrobić?
– Mam pewien zamysł – oznajmiła. – Słuchajcie uważnie...

Długo musiała objaśniać tajniki swego planu, ale jakoś się udało.

– Czy przystajecie na moją propozycję? – zapytała.

Młodzi pod wpływem świeżych jeszcze emocji, aczkolwiek niechętnie zaaprobowali plan matki.

– Żeby tylko nie wyszło tak jak z ojcem – przestrzegała Agata.
– Wszystko będzie dobrze. On nie miał wobec nas żadnych skrupułów, więc my też zabawimy się trochę jego kosztem. Każdy niech zabiera się do roboty, bo czas nagli. Wszystko musi być zaaranżowane perfekcyjnie. Dacie radę? – zapytała matka.
– Myślimy, że tak – odpowiedziały dzieci.
– Tu nie ma co myśleć, to ma być zrobione! Jasne!
– Tak będzie. O wszystko postaramy się, zadbamy o najdrobniejsze szczegóły.
– Liczę na was – pobudzała dzieci do działania.

Sama wzięła prysznic, przebrała się i udała do kosmetyczki. Diablice muszą wyglądać zmysłowo – stwierdziła.

Rozdział XXXIX

Dobroczynna feta zaplanowana była na dwudziestą. Zaproszeni goście stawili się tłumnie, ponieważ okazja ku temu była szczególna. Na miejsce imprezy Małgorzata wybrała, nie wiedzieć czemu, lokal, w którym pierwszy raz ujrzano Zofię w towarzystwie Rajmunda. Czy było to zamierzone działanie czy

czysty przypadek? – wiedziała tylko organizatorka.

Honory gospodarza, ku zdziwieniu przybyłych, oprócz Małgorzaty pełnili państwo Mocni. Witali, przyjmowali, usadzali, zabawiali. I o ile kobiety czuły się w tej roli doskonale, o tyle Stefan czuł się wyjątkowo niezręcznie. Znajomi, a było ich wielu na sali, mający świeżo w pamięci jego niedawne jeszcze ekstrawagancje, nie mogli wybaczyć mu tych wszystkich dziwactw, a w szczególności przepuszczenia pieniędzy ofiarowanych na leczenie. Stefan doskonale zdawał sobie z tego sprawę, dlatego, uniżenie witając gości, jednocześnie pokornie przepraszał. Mimo wysiłków, starania jego szły na marne.

Mijała już druga godzina przyjęcia, a Stefana wszyscy traktowali jak trędowatego. To jakaś zmowa, lokalny ostracyzm? – pomyślał. – Z drugiej jednak strony, trudno im się dziwić, to ja ich zawiodłem.

Wyszedł na chwilę z przyjęcia, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i nie drażnić swoją osobą przybyłych gości. Wszyscy bawili się doskonale, chwalili elegancję i szyk gospodyń oraz perfekcyjną organizację. *Kuchnia wyśmienita, trunki przednie, no i ta przyjacielska atmosfera*, którą niekiedy tylko zakłócał widok Stefana.

Zbliżała się dwudziesta trzecia, kiedy wśród uczestników spotkania gruchnęła wieść, że na imprezie pojawił się nie kto inny, jak Rajmund.

– Rajmund, ten sam Rajmund, co to...? – zastanawiali się, szeptali, tudzież wzrokiem wskazywali na nieproszonego gościa i na Zofię. – Ten sam, jak żywy. Jeżeli nie wierzysz. to...– szeptali niedowierzaniem mówili do siebie. Sensacja, albo raczej skandal wisiał w powietrzu.

Tymczasem Rajmund nie zrażając się, w przeciwieństwie do Stefana, witał się kordialnie ze wszystkimi, aż nareszcie dotarł do Zofii. Uśmiech goszczący na jej twarzy od początku imprezy, na widok intruza zgasł w jednej chwili, jak zdmuchnięta świeczka. W przeciwieństwie do przybyłego nieproszonego gościa. Ten ze sztucznym uśmiechem na ustach zbliżył się do niedawnego jeszcze obiektu westchnień.

– Witaj Zofio. Miło cię znów widzieć. Wyglądasz pięknie.... Z Afrodytą mogłabyś iść w konkury.

– Dziękuję bardzo. Dzięki pomocy szczerze oddanych i bliskich osób, jakoś udało mi się pokonać śmierć. Żałuję jedynie, że nie mogę ciebie zaliczyć do tego grona. O najmocniej przeprasza... Nie żałuję! Okazałeś się zwykłym, żałosnym tchórzem! Myślałam... – Rajmund delikatnie położył palec jej na ustach. Tak, jak zwykł to czynić, kiedy Zofia mówiła za dużo.

– Doskonale wiem, jak się zachowałem. Wierz mi, że to był jedyny sposób. Jeżeli byłoby inne wyjście, lepsze, na pewno bym z niego skorzystał, ale nie było, Bóg mi świadkiem, nie było.

– O czym ty mówisz do cholery? Zostawiłeś mnie z moją chorobą na pastwę

losu! Przestraszyłeś się odpowiedzialności? Cała ta sytuacja przerosła cię. Ty po prostu stchórzyłeś. – wypowiadając te słowa patrzyła na niego z pogardą.
– Ja ciebie opuściłem, ale zyskałaś stokroć wierniejszego przyjaciela ode mnie. Czyż nie? – oczy błyszczały mu ze smutku.
– Masz rację, ale czy mam ci za to podziękować? – spojrzała pytającym i nieco lekceważącym wzrokiem na byłego adoratora.
– Jeszcze raz błagam o wybaczenie za to wszystko, za te wszystkie lata. Nie tak miało być, nie tak wyobrażałem sobie nasze wspólne życie – próbował się tłumaczyć.
– A niby jak? – przeszyła wzrokiem mężczyznę na wskroś.

Zofia chciała jeszcze coś dodać, ale gdy przejrzała Rajmunda, spostrzegła, że całe towarzystwo zamilkło i przygląda im się z ciekawością. Wścibskie oczy setki gości, próbowały z ruchu warg wyczytać treść ich rozmowy.

Zaraz będzie draka. Jak tylko pojawi się Stefan! Gdzie on jest? – wszyscy rozglądali się za Stefanem. Wcześniej nie dostrzegliby go, nawet gdyby nastąpił im na odcisk… a może właśnie z tego powodu, że nastąpił.
– Pójdę już. Nie chciałbym, żeby wybuchł jakiś skandal jak wróci twój mąż – szepnął jej do ucha całując w policzek na odchodne. Kiedy podniósł wzrok, oczy jego migotały jakimś wesołym blaskiem.
– Bądź spokojny, Stefan tu na pewno się nie pojawi. On zawsze miał wyczucie kiedy przyjść żebyście się minęli. A swoją drogą to zastanawiające – niewielkie miasto, a nigdy się nie spotkaliście.
– Chyba chodziliśmy różnymi ścieżkami lub podobały nam się inne dziewczyny – próbował dowcipkować.

Niestety, żart nie zrobił na Zofii najmniejszego wrażenia. Obrzuciła zmieszanego Rajmunda beznamiętnym wzrokiem i powiedziała.
– Chyba powinieneś już iść.

Te słowa były jak sztylety, ostre i zimne.
– Czy wybaczysz mi? – chwycił kobietę za ręce i spojrzał błagalnym wzrokiem w jej oczy.
– Idź już, bo ludzie nam się przyglądają – odparła obojętnym tonem, wyraźnie dając nieproszonemu gościowi do zrozumienia, że ich rozmowa dobiegła końca.
– Ale… – próbował coś jeszcze dodać, lecz Zofia odwróciła się, niemal ostentacyjnie i z promiennym uśmiechem na twarzy udała się do najbliżej stojącego towarzystwa.

Rajmund postał chwilę sam na środku sali. Jednak widząc nienawistne spojrzenia rzucane przez uczestników imprezy, chyłkiem, ze spuszczoną głową wymknął się z przyjęcia. Kilka minut po jego wyjściu, na sali pojawił się Stefan.
– Dobrze, że ciebie tu nie było – powiedziała córka zbliżając się spiesznym krokiem do ojca, – Byłaby niezła draka

– Czy coś się stało? Coś mnie ominęło?
– A był tutaj ten, nasz były sąsiad, ten Rajmund.
– Tak, a co chciał?
– Chyba miał wyrzuty sumienia, że zachował się jak ostatni drań i przyszedł przeprosić mamę.
– I co? Przeprosił?
– Rozmawiali ze sobą kilka minut, ot i tyle.
– A mama przyjęła przeprosiny?
– Nie wiem. Jeszcze z nią nie rozmawiałam, ale z tego co zaobserwowałam, to wnioskuję, że raczej nie. Rozmowa była bardzo ożywiona, ale na koniec mama odwróciła się od niego ostentacyjnie i pozostawiła samego na środku placu boju.
– O to raczej mu nie wybaczyła – stwierdził ojciec.
– Dziwisz się jej? Zostawił mamę gdy ta najbardziej potrzebowała jego wsparcia. Zachował się podle i nie ma dla niego żadnego usprawiedliwienia – orzekła.
– A gdyby nie zniknął z waszego życia, czy bylibyśmy dzisiaj wszyscy razem? – zastanów się! – Może to dobrze, że zniknął... Powinien jak najszybciej odejść w zapomnienie.
– A więc to tak! – dziewczyna wreszcie zrozumiała „poświęcenie" Rajmunda. – No, ale gdyby nie ty...?
– Ja? Co tam ja? – mówił jakiś rozdrażniony.
– No, wróciłeś do nas w najbardziej odpowiednim momencie. Bez ciebie nie poradzilibyśmy sobie. To jakaś opatrzność boska nad nami czuwała – Agata przenikliwym wzrokiem spojrzała na ojca.

Stefan miał dosyć tych kłamstw i tej rozmowy.

– Chodźmy do mamy, właśnie została sama – wypatrzył Zofię w tłumie.

Ta również dostrzegła Stefana rozmawiającego z córką i postanowiła do nich dołączyć. Na twarzy Zofii malował się szeroki uśmiech, bez śladu wspomnienia po żałosnej rozmowie z Rajmundem.
– Gdzie byłeś? Gdzieś się podziewałeś? Szukałam ciebie.
– Musiałem załatwić ważną sprawę.
– I co, załatwiłeś?
– Nie jestem do końca tego pewien – stwierdził z goryczą.
– To dzisiaj musiałeś załatwiać te swoje interesy?! Nie mogłeś poczekać do jutra? – powiedziała niemal z wyrzutem. – Zostawiłeś mnie samą na tak długo. Nie rób tego więcej – wymownie pogroziła palcem.
– Obiecuję, ale rozumiesz, nadarzyła się okazja, jedyna okazja i chciałem z niej skorzystać. Jutro mogłoby być za późno.
– I nic nie da się już zrobić, biedaku ?– zatroskała się.
– Niestety nie – powiedział ze smutkiem w głosie.
– Może nie wszystko jeszcze stracone? – pocieszała.

Stefan zbliżył się do Zofii, ujął ją za ręce i zapytał.
– Zatańczymy?
– Później. – odsunęła się nieznacznie od męża. – Teraz trzeba powiedzieć kilka słów do zebranych gości. Jesteśmy im to winni.
– Chodźmy zatem.

Orkiestra przestała grać, a na scenie pojawiła się Małgorzata. .
– Szanowni państwo. bardzo proszę abyście poświęcili mi kilka minut i wysłuchali tego, co mam do powiedzenia. Nazywam się Sabina Małgorzata Bonasie i jestem córką fundatora dzisiejszej uroczystości. Mój ojciec pochodził z tego miasta. Mimo, że dawno już stąd wyjechał, zawsze był z nim emocjonalnie związany. Wybaczcie proszę, że nie podam jego nazwiska, ale zawsze chciał pozostać anonimowy– zebrani dociekali już „Kto to taki?" –. Każdego roku przyjeżdżał do kraju na wakacje. Jedynymi jego przyjaciółmi byli ci oto, państwo Mocni, którym z tego miejsca, pragnę bardzo podziękować. Dwa lata temu, ojciec jak zwykle odwiedził rodzinne strony i idąc na spotkanie towarzyskie, przypadkowo wstąpił do kolektury LOTTO. Pamiętacie państwo to zamieszanie związane z rekordową wygraną?

Po sali rozszedł się szmer. Wszyscy w jednej chwili pojęli całą sytuację. Małgorzata przemawiała dalej.
– Jak już zapewne wszyscy państwo domyślacie się – na chwilę zawiesiła głos – szczęśliwym posiadaczem wygrywającego kuponu był właśnie mój ojciec. O wygranej dowiedział się w ostatniej chwili, ale na szczęście zdążył ją odebrać. Na pewno wielu z was zadawało sobie pytanie *kto jest tym szczęśliwcem?* Teraz już wiecie. Ojciec, zajęty biznesem, realizację planów związanych z rodzinnym miastem odkładał na później. Zawsze pragnął odwdzięczyć się temu miastu i jego mieszkańcom za tak szczęśliwy uśmiech losu. Zapewne wszyscy państwo pamiętacie zeszłoroczne wakacje i codzienne wieczorne spotkania na głównym placu miasta. Tak, to była jego skromna inicjatywa. Może nic szczególnego, ale zawsze. Nawet nie zdajecie sobie państwo sprawy, jakie piękne wspomnienia przywiózł do Paryża. Ostatnią wolą ojca, który przed kilkoma miesiącami zginął w wypadku lotniczym, było ufundowanie miastu czegoś szczególnego, wyjątkowego, czegoś, co służyć będzie dla dobra wszystkich mieszkańców. Do pana panie prezydencie należy ostatnie słowo. Zapraszamy do nas.

Prezydent zabrał głos.
– Zgodnie z pani wcześniejszą sugestią, po rozpatrzeniu różnych wariantów i potrzeb …

Po wystąpieniu prezydenta, na scenę wszedł wielce skrępowany Stefan Mocny. Szmer poszedł po Sali. Zdziwienie i wyraz lekceważenia malujący się na twarzach obecnych był wymowny i jednoznaczny. Ich zacupione, nieme usta krzyczały i pytały – Co on tu robi?

– Zapewne państwa dziwi moja obecność tu, w tym miejscu, na tej szczytnej imprezie charytatywnej. Wiem i rozumiem zdziwienie, a nawet oburzenie niektórych tu obecnych, ale pozwólcie mi wytłumaczyć się. Wielu z was wiele razy widziało mnie w sytuacjach… – zrobił suspensję, niby, że szuka słowa – w sytuacjach, z których nikt nie byłby dumny. Ale kiedy człowiek nie jest w stanie udźwignąć ciężaru życia to czasami błądzi. Wiem też, że kiedy znalazłem się w trudnej sytuacji, wszyscy staraliście się mi pomóc. Wiem, bo znam historię konta, na które wpływały wasze datki. Stojąc tutaj pragnę podziękować wszystkim tym, którzy przyczynili się do mojego powrotu do zdrowia. Gdyby nie wasza hojność, najprawdopodobniej nie byłoby mnie dzisiaj między wami. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, jaki zawód sprawiłem wszystkim wykorzystując waszą hojność na inne cele aniżeli leczenie mego schorowanego organizmu. Ale wierzcie mi, że nie ciało moje trzeba było leczyć, lecz duszę zatraconą. Dzięki wam odzyskałem wiarę w ludzi, dzięki wam odzyskałem wiarę w rodzinę, dzięki wam znowu żyję i mogę cieszyć się życiem. Pragnę zapewnić wszystkich i każdego z osobna, że całą kwotę, jaka wpłynęła na moje konto, podwojoną, przekażę na potrzeby bardziej potrzebujących ode mnie. Skoro śp. pan Adam był taki szczodry, czemu ja mam nie podzielić się swoim szczęściem. Ja wygrałem znacznie, znacznie więcej.

W tym momencie na scenę weszła Zofia, Agata, Małgorzata i Jacek.

– To jest moja wygrana! To jest moje zwycięstwo – wskazał na rodzinę.

Podszedł do każdego i przytulił i ucałował. Gromkie brawa rozległy się na sali.

Stefan powrócił do miasta.

Rozdział XL

Limuzyna z Mocnymi mknęła ulicami miasta wiozące do miejsca zamieszkania, na zasłużony odpoczynek zmęczone, lecz szczęśliwe towarzystwo.

– Czy wszystkiego dopilnowaliśmy? – zastanawiała się Zofia, bo być organizatorem i gospodarzem takiej imprezy, to bardzo zaszczytna, ale i odpowiedzialna funkcja. – To był pierwszy i ostatni raz! Ja się do tego nie nadaję, za stara jestem – patrząc na męża stwierdziła kokieteryjnie.

– Wyglądałaś olśniewająco, tak ślicznie, że te wszystkie młódki mogły ci tylko pozazdrościć. A jako gospodyni imprezy byłaś niezastąpiona – powiedział Stefan ujmując dłoń żony i składając na niej żarliwy pocałunek.

Droga powrotna do domu jakoś dziwnie zaczęła się wydłużać. Z początku, Stefan oraz pozostali pasażerowie nie zwracali na to uwagi, lecz z czasem zaczęli odnosić wrażenie, że dzieje się coś dziwnego.

– Panie kierowco. Gdzie my jesteśmy? – zapytał Mocny. – Dokąd jedziemy?

Pomylił pan drogi?
– Dobrze jedziemy panie Mocny. Za chwilę będziemy na miejscu.
– Na miejscu? Co to znaczy na miejscu? – dopytywał zniecierpliwiony i coraz bardziej zdenerwowany Stefan.

Niestety nie dane mu było usłyszeć odpowiedzi, bowiem jakaś „niewidzialna" bariera oddzieliła pasażerów od kierowcy.

Co tu się dzieje? – zastanawiał się. Spojrzał na pozostałych uczestników nieplanowanej wycieczki, lecz ci nie wyglądali na zmartwionych lub zbytnio przejętych.
– Słuchajcie... – zwrócił się do członków rodziny – wiem jak to zabrzmi, ale chyba zostaliśmy porwani. Tylko nie wpadajcie w panikę – uspokajał.
– Porwani? No co ty Stefan, jak to porwani? – Zofia odwróciła się twarzą do męża, pogłaskała po głowie i uśmiechnęła słodko. – Najwyraźniej kierowca pomylił drogi. I to wszystko – bagatelizowała sytuację. – Panie kierowco! Gdzie my jesteśmy i kiedy będziemy na miejscu? Jestem już bardzo zmęczona i senna – oznajmiła przykładając wymownym gestem rękę do szeroko otwartych ust.

Ze strony kierowcy nie padła żadna odpowiedź.
– Panie kierowco! – próbowała głośniej.
– To nic nie da. Ta szyba jest dźwiękoszczelna – powiedział zrezygnowany.

Samochód jechał w nieznane jeszcze jakiś czas, aż nareszcie zatrzymał się. Czyjeś ręce otworzyły drzwi limuzyny.
– Koniec wycieczki, wysiadamy! – rozkazał jakiś obco brzmiący, męski głos.

Mocni spojrzeli po sobie pełni zdziwienia. Chwilę wahali się. Stefan wysiadł jako pierwszy. Rozejrzał się wkoło, lecz zanim oczy nie przyzwyczaiły się do ciemności niewiele mógł dostrzec.
– Wysiadamy, wysiadamy – głos ponaglał ociągających się pozostałych pasażerów.

Kolejno wysiadła Zofia, Agata i na końcu Jacek. Oni również pozbawieni zdolności widzenia w ciemnościach nie bardzo mogli rozeznać się gdzie są. Na chwilę zapadła posępna cisza. Mocni stali w milczeniu zaskoczeni sytuacją. Z wolna oczy wszystkich uczestników nieformalnego spotkania przyzwyczajały się do ciemności.

Pierwszy wzrok odzyskał Stefan. To leśna polana – rozpoznał rozglądając się wkoło. Musieliśmy wjechać dość daleko – zauważył, bowiem do jego uszu nie dochodziły żadne odgłosy cywilizacji.
– Gdzie my jesteśmy i o co chodzi? – dopytywał „uprowadzony". – Kto tutaj rządzi? Kto jest przywódcą? – Stefan chciał wiedzieć, z kim ma do czynienia i z kim rozmawiać w sprawie okupu.
– Ja tutaj rządzę – usłyszał żeński głos.

Z mroku wyłoniła się osoba raczej drobnej postury. Kobieta przywódcą?

To niedobrze – z góry przesądził Stefan.
– Czemu się tak pan dziwi, panie Mocny? Czyżby uważał pan, że kobiety nie nadają się na przywódców, że niby co, brakuje nam jaj? Tak pan uważa? Szowinistyczna świnia. Jeszcze zatańczysz, jak ci zagram – kobieta zbliżyła się do mężczyzny. Jej postać prezentowała się dość nikczemnie, prawie tak samo, jak czyn, którego się dopuściła. Z tą tylko różnicą, że przemawiały za nią dwa argumenty trzymane w dłoniach przez jakichś ciemnych typków.

Porywaczka stanęła przed Stefanem przyjmując pozę osoby bardzo pewnej siebie, lecz mimo całej powagi i grozy sytuacji wyglądała groteskowo. To mi zakrawa na jakąś farsę – pomyślał. Czy to aby dzieje się naprawdę? – zaczynał powątpiewać w zmysły.
– Zastanawiasz się pewnie, czy to sen? Mam rację cwaniaczku? – zapytała zadzierając zawadiacko głowę.

Czyta w moich myślach, czy co do cholery?! – próbował zrozumieć .
– Skąd takie przypuszczenia?! – oponował. – Przecież ja jeszcze ani słowa nie powiedziałem, a już broń Boże niczego nie komentowałem – usprawiedliwiał się.
– Mimo, że jest ciemno widziałam twoją pogardliwą minę. Ja widzę nawet w ciemnościach, jak koty. I jestem równie przebiegła jak one. Nie próbuj więc pogrywać ze mną, bo może to się źle dla ciebie skończyć. Ostrzegam.
– W takim razie, czy może mi pani powiedzieć, jakie są wasze żądania? Czego chcecie? Zapewne pieniędzy! Ile?! Powiedzcie ile i niech to się zaraz skończy!
– O nie, dzisiaj o tym nie będziemy rozmawiać. Przyjdzie na to czas. Teraz masz trzy dni na przemyślenie sobie ile jest warta dla ciebie twoja rodzina! – to nie były żarty. –. Zadzwonię we wtorek na ten telefon – kobieta podała Stefanowi komórkę. – Nie muszę chyba dodawać, że powiadomienie policji …
– Żadnej policji, tylko uwolnijcie moich najbliższych – prosił Stefan.
– Uwolnimy, kiedy przyjdzie na to czas i po spełnieniu naszych żądań.
– Ale jakie są te żądania? – dopytywał lekko łamiącym się z bezsilności głosem.
– Wszystkiego dowiesz się później. Już mówiłam. Pająk – kobieta odwróciła się do mężczyzn stojących nieco z tyłu – odwieź pana, ha, ha Mocnego do domu. Zobaczymy teraz, jaki jesteś naprawdę mocny – powiedziała z nieukrywaną drwiną w głosie do Stefana. Ten miał nieodparte wrażenie, że to jest jakaś osobista zemsta. Tylko za co i czyja? – łamał sobie głowę.
– Ja nie ruszę się stad bez moich bliskich! – próbował protestować.
– Pająk, przekonaj pana, że pora na niego.

Drab podszedł do Stefana z pistoletem w dłoni.
– Pójdziesz po dobroci, czy ci pomóc? I nie próbuj kozakować, bo palec może mi niechcąco drgnąć i nieszczęście gotowe – wypowiadając te słowa przystawił „klamkę" do skroni ofiary.

– Z takimi argumentami dyskutować nie będę – rzekł Mocny, delikatnie odsuwając uzbrojoną dłoń napastnika.
– Czy mogę pożegnać się z rodziną? – zwrócił się do dziewczyny.
– Tak, ale szybko i z daleka. Nie potrzebuję tutaj żadnych melodramatów.

Stefan chciał podejść do stojących nieopodal bliskich.
– Stój! – usłyszał głos – bliżej nie podchodź.

Stanął jak wryty. Alę dzielący ich dystans był na tyle niewielki, że mógł dojrzeć ich twarze. Porwani sprawiali wrażenie spokojnych i pogodzonych z losem.

Może jeszcze nie zdają sobie sprawy z powagi sytuacji? – myślał.
– Nic się nie bójcie – uspokajał. – Wszystko będzie dobrze – zapewniał. – I bardzo was proszę, nie róbcie niczego, co mogłoby pogorszyć naszą sytuację. Przyrzekam, że uczynię co w mojej mocy, żeby was z tego wyciągnąć.

Wszyscy czworo stali w ciemnościach bijąc się z myślami – Co dalej?
– Dosyć już tych ckliwości, bo się rozpłaczę – usłyszeli nieco piskliwy głos porywaczki. – Nie wyjeżdżasz przecież na długo, panie Mocny – powiedziała z nieukrywaną ironią w głosie. – Zadzwonię, tak jak się umawialiśmy i żeby nie przyszło ci nic do głowy... Rozumiemy się?
– Co?... A tak – odpowiedział wyrwany z zamyślenia Stefan. – Będę czekał na telefon. Tylko proszę, nie róbcie nic złego mojej rodzinie.
– Bądź pewien. Z nami będą bezpieczni. Może i imprezę jakaś zorganizujemy? Macie ochotę pohulać? – zwróciła się z szyderczym zapytaniem do trójki uprowadzonych, ale nie czekała odpowiedzi.

Stefanowi, zanim wsiadł do limuzyny, ktoś usłużny założył kaptur na głowę, aby ten nie mógł obserwować drogi powrotnej.
– Będzie ci cieplej – powiedział czyjś zatroskany o jego zdrowie głos.

Droga powrotna trwała około godziny, ale Stefan wywnioskował, że kierowca specjalnie krąży po mieście, aby nie mógł jej odtworzyć w pamięci.
– Wysiadaj – padł krótki nakaz i samochód nagle zatrzymał się.

Zakapturzony Stefan ledwo wygramolił się z pojazdu, gdy auto ruszyło z piskiem opon i pomknęło przed siebie, znikając w ciemnościach nocy. Mocny długo walczył z nakryciem głowy zanim się z niego wyswobodził. Rozejrzał się wkoło, okolica wydała się znajoma. Był kilkaset metrów od domu. Wiedzą gdzie mieszkamy. Musieli nas obserwować już wcześniej – stwierdził. Chociaż coś mi się w tym wszystkim nie zgadza. Przecież takich posesji jak nasza jest w okolicy wiele, czemu więc trafiło na nas? O tym, że dysponujemy znacznymi funduszami, wszyscy oficjalnie dowiedzieli się dopiero dzisiejszego wieczoru, a porwanie zaplanowane było, o czym świadczą fakty, znacznie wcześniej. I jeszcze jedno... Porywacze wyraźnie dali do zrozumienia, że pieniądze na wykup mają pochodzić ode mnie, a co by było gdybym ich nie miał? Zastanawiające –

analizując zaistniałą sytuację, krok za krokiem, zbliżał się do posesji, a z wolna zaczęło świtać.

Rozdział XLI

Mimo zmęczenia, Stefan nie mógł zasnąć. Wiele razy zadawał sobie te same pytania i w żaden sposób nie mógł znaleźć na nie racjonalnych odpowiedzi. Nareszcie wyczerpany nadmiarem wrażeń zapadł w płytki sen. Spał około dwóch godzin, gdy rozbrzmiał telefon. Dzwoniła Małgorzata.

– Gdzie wy wszyscy zniknęliście? – pytała z nutą pretensji w głosie. – Czekałam na was u siebie, ale długo nie wracaliście, więc na koniec zasnęłam. Czy coś się stało? – zapytała ni stad ni zowąd.

– Nie. Nic się nie stało. Co niby miało się stać, co ci przyszło do głowy? Wszystko w porządku – skłamał.

– W takim razie gdzie byliście tyle czasu? – dopytywała świeżo upieczona, wścibska sąsiadka.

– Długo by opowiadać – bagatelizował temat. – A tak w ogóle, to nie jest rozmowa na telefon.

– Coś ty taki tajemniczy? Podświadomie czuję, że coś jest nie tak.

– Nie dręcz mnie proszę. Porozmawiamy później.

– Kiedy później? Zapomniałeś, że dzisiaj wyjeżdżam?

– A tak , wyjeżdżasz... Za pół godziny będę u ciebie – obiecał.

Stefan, ciągle nieprzytomny powlókł się do łazienki. Szybki poranny prysznic, „ząbki" i, jak obiecywał, po upływie pół godziny zjawił się u Małgorzaty.

– Źle wyglądasz. Co się stało? – zapytała.

– Niestety nie mogę ci powiedzieć, wybacz.

– To coś poważnego, widzę po twojej minie.

– Nie ciągnij mnie za język, proszę. Na razie sam nie mogę niczego pojąć, a nie chciałbym wplątać cię w kolejną aferę.

– Nie przesadzaj. Ta była całkiem zabawna i wcale opłacalna – próbowała rozładować atmosferę.

– Niestety w tej rozgrywce nie możesz mi pomóc, ale dziękuję za dobre chęci.

– Zawsze do usług – uśmiechnęła się smutno. – Myślałam, że inaczej będzie wyglądało nasze pożegnanie – stwierdziła ze smutkiem.

– Ja też..., ale teraz już jedź – najwyraźniej chciał jej się pozbyć.

Stefan objął dziewczynę ramionami i mocno przytulił.

– Poproszę znajomego żeby towarzyszył ci w podróży na lotnisko.

– Ależ nie ma potrzeby, poradzę sobie, zamówiłam taksówkę.

– No, ale tak będzie bezpieczniej.

– Bezpieczniej? O czym ty mówisz? Czyżby coś mi groziło?... Już wiem – w

jednej chwili olśniło dziewczynę. – Wam coś grozi. Mam rację?
– Kiedyś wszystko ci wytłumaczę – obiecywał, – ale nie teraz.

Jeszcze raz padli sobie w ramiona, po czym, przybity czymś Stefan opuścił dom sąsiadki. Małgorzata stała przez chwilę oszołomiona z wrażenia, po czym powiedziała do siebie – Jeżeli ja teraz stąd wyjadę i pozostawię przyjaciela w potrzebie, to niedoczekanie....

Mocny wrócił do siebie i po raz kolejny próbował poskładać fakty. Minuta po minucie przypominał sobie wydarzenia ostatniej nocy, szukał w pamięci jakichś wskazówek, ale ciągle na próżno. Poza rozmyślaniem o przeszłości i przyszłych losach rodziny, na nic więcej nie potrafił się zdobyć. Odrętwiały, tępo wpatrzony w sufit nie był w stanie podjąć żadnych racjonalnych działań. Godziny mijały, a on próbował zabić czas. Do wtorku jeszcze tyle dni – zauważył. Należałoby jakoś mądrze je wykorzystać – doszedł do wniosku. – Ale jak?

Zanosiło się na to, że bezczynnie przeleży cały dzień, aż tu niespodziewanie zadzwonił dzwonek od bramy. Kogo licho niesie? – pomyślał rozdrażniony. Z nikim nie byliśmy umówieni. – Może to któryś z porywaczy, może coś się zmieniło?

Poderwał się błyskawicznie z łóżka, podbiegł do okna wychodzącego na bramę wjazdową i jakież było jego zdziwienie, gdy przy furtce wejściowej spostrzegł Małgorzatę. A ona, co tutaj robi? – zdziwił się. Już dawno powinna być na lotnisku...w samolocie.

Niespiesznie podszedł do przycisku zwalniającego zabezpieczenie wejścia.
– Małgorzata? A co ty...?
– O nic nie pytaj. Nie sądziłeś chyba, że zostawię cię samego z twoimi kłopotami.
– Wejdź proszę...

Stefan z ciężkim sercem pozwolił przyjaciółce przekroczyć progi swojego domostwa.
– Bardzo się cieszę, że cię widzę, ale niestety nie mogę przyjąć twojej pomocy – oświadczył gdy stanęła drzwiach. – To jest zbyt niebezpieczne...
– Nie twierdzę, że zaraz pójdę nastawiać za ciebie karku, ale może będę mogła służyć ci w inny sposób. Może radą? Nie na darmo mówią *co dwie głowy, to nie jedna.*

Dziewczyna podeszła do przygnębionego Stefana, objęła serdecznie ramionami, chwilę tak postali bez słowa, po czym zapytała.
– Może napijemy się kawy? Kawa pomaga w koncentracji – zapewniała.

Nie czekając odpowiedzi poprowadziła bezwolnego mężczyznę do kuchni. Z pomocą, ciągle nieobecnego duchem, przyjaciela udało się jej sporządzić gorący napój orzeźwiający.

– Napij się i opowiedz mi wszystko po kolei, co wydarzyło się po opuszczeniu przez was restauracji.

Stefan z wolna zbierał myśli. W końcu zaczął nieskładnie opowiadać. Relacjonował wszystko, czego był świadkiem.

– To zbyt chaotyczne – zauważyła Małgorzata. – Zacznij od początku – poprosiła.

Za czwartym lub piątym razem opowieść ułożyła się w logiczną całość. Stefan z najdrobniejszymi detalami opisał wszystkie dramatyczne wydarzenia minionej nocy.

– ...ale coś mi tu nie gra! – zreflektował się..

– Faktycznie, dziwna sprawa – zauważyła przyjaciółka.

Wiele jeszcze razy wałkowali ten temat. Wiele razy pytała o jakieś szczegóły, dodatkowe fakty, spostrzeżenia. Jednak im dłużej zastanawiali się nad całym zajściem, tym mniej rozumieli. A może nic nie rozumieli?

– To mi wygląda na jakąś mistyfikację – zawyrokowała po wspólnej, kilkugodzinnej analizie faktów Małgorzata.

– Tak, ale, po co mieliby sfingować własne porwanie? – dociekał Stefan.

– Może w ramach rewanżu za twoją bajkę?

– Jest to możliwe – stwierdził, – tylko, że oni nie wszystko wiedzą – łudził się.

– Skąd wiesz, że nie wszystko. Może coś jednak przeoczyłeś, na czymś dałeś się złapać?

– Tego wykluczyć nie mogę, ale jeżeli tak, to o co im teraz chodzi? Co chcą osiągnąć?

– Wszystko wskazuje na to, że postanowili dać ci nauczkę. Na razie poczekajmy na żądania porywaczy.

– Mam więc czekać bezczynnie do wtorku? A jeżeli oni naprawdę zostali porwani, to co wtedy?

– Zastanawiasz się, czy nie zawiadomić policji?

– Sam nie wiem, co robić. Najlepiej będzie poczekać cierpliwie do wtorku – zdecydował Stefan. Wspólnie zdecydowali.

Siedzieli długo w milczeniu i każde po raz kolejny roztrząsało w głowie wydarzenia związane z porwaniem. Czasem tylko Małgorzata zadawała wyciągające pytania, dla świadka zdarzenia. Z zadumy wyrwał ich dzwonek od furtki.

– Co u licha? Kogo niesie o tej porze – zastanawiał się Stefan.

Podeszli oboje do okna wychodzącego na bramę i znieruchomieli.

Rozdział XLII

Gdy limuzyna odwożąca Stefana zniknęła w mrokach lasu, na polanie, na której przed chwilą rozgrywał się dramat Mocnych zapanowała zgoła odmienna

atmosfera. Troje porwanych oraz porywaczka stało przez chwilę w milczeniu mierząc się wzrokiem, po czym wszyscy parsknęli gromkim śmiechem.
– Dobra byłam! – chełpiła się szefowa kidnaperów. – Teraz pani mąż to będzie miał zagwozdkę. Do wtorku ma sporo czasu, żeby to i owo przemyśleć. Tego chcieliście? – spojrzała pytającym wzrokiem na Mocnych.
– Tak była pani świetna. Z takim talentem powinna pani zdawać do szkoły aktorskiej – podsunęła pomysł Zofia.
– Myśli pani?
– Jestem absolutnie o tym przekonana – zapewniała.
– Za chwilę chłopaki podstawią samochody i pojedziemy na miejsca przetrzymywania – oznajmiła „aktorka".

Chłopaki jakby słyszeli słowa szefowej. Prawie w tej samej chwili, na niewielkiej, leśnej dróżce prowadzącej do polany, zagrały silniki dwóch aut, a ich halogeny zalały polanę jaskrawym światłem.
– Ty, Anka, ale dałaś czadu. Nie myślałem, że tak potrafisz. Gdybym nie wiedział, że to jest ściema, sam uwierzyłbym w porwanie – komplementował dziewczynę któryś z kolegów.

Słowa chłopaka mile połechtały próżność dziewczyny.
– A co? Dobra byłam! – chełpiła się.

Oczami wyobraźni widziała siebie na scenie Broadway u.
– Zajebista! – ocenił umiejętności aktorskie inny głos.
– Może już wystarczy tych komplementów – odezwała się nieco poirytowana Zofia. – Jedźmy! – rozkazała.

Rozszczebiotaną Annę słowa Zofii nieco ubodły i sprowadziły na ziemię.
– Suka – powiedziała pod nosem. – Nie zapomnę ci tego...
– Do domku dostaniemy się leśnymi duktami. Nie ma potrzeby wyjeżdżać na szos – poinformował jeden z porywaczy.
– Jedźmy zatem – zakomenderowała Mocna.

Kluczenie wąskimi ścieżkami zajęło podróżnym blisko pół godziny. Dwa samochody zatrzymały się nie gdzie indziej, jak w dawnej, leśnej posiadłości Rajmunda.
– To dobre i bezpieczne miejsce – zapewniała Zofia.
– A ojciec tu nie przyjedzie? – zapytał Jacek.
– Niby po co? On ma teraz na głowie inny problem, wierzcie mi.

Cała szóstka weszła do dużego pomieszczenia, w którym na wielkim drewnianym stole przygotowany był posiłek.
– Częstujcie się proszę i bądźcie moimi gośćmi – zapraszała Zofia.

Porywacze ochoczo zabrali się do degustacji przekąsek. Młodzi Mocni, na polecenie matki udali się zaś do sąsiedniego pomieszczenia na rodzinną

naradę.
– Żeby z tego jakiegoś nieszczęścia nie było – powiedziała nieco zdegustowana Agata. – Nie wiem mamo, czy to był dobry pomysł z tym porwaniem. Widziałaś jak ojciec przejął się tą całą sytuacją.
– A on co nam zafundował?! Zapomniałaś już? Takie zgryzoty są niczym w porównaniu z tym, co my przeżywaliśmy przez te lata.
– Niby tak – niechętnie zgodziła się córka.
– Przecież to tylko trzy dni. Sądzę, że i tak potraktowaliśmy go łaskawie. Po jednym dniu za każdy rok, to wręcz wspaniałomyślność z naszej strony. Tak czy inaczej, musi ponieść karę za to, co nam zgotował, za ten niedorzeczny pomysł i za czas naszej udręki. Gdyby normalnie podzielił się z nami pieniędzmi to...
– To, co by było?... – weszła w słowo córka. – Może zastanowilibyśmy się, co stałoby się z nami gdyby, po prostu, dał nam te pieprzone pieniądze? Najprawdopodobniej żylibyśmy każdy sobie opływając w luksusach, ale czy tworzylibyśmy jeszcze rodzinę? Może ojciec wiedział co robi knując ten swój szatański plan? Już raz mieliśmy próbkę naszych możliwości. Przypomnijcie sobie, kiedy poczuliśmy się wolni od kurateli Adama. Czy na chwilę nie poprzewracało się nam w głowach? Przecież my straciliśmy kontrolę nad naszym życiem. A ty mamo, nie byłaś bez winy. Ta, ta twoja praca przysłoniła ci świat. Nie dość, że odwróciłaś się od Rajmunda, dla którego byłaś całym światem, to jeszcze zapomniałaś o nas – wyrzuciła matce. – Gdyby nie ten nieszczęśliwy wypadek, kto wie jak byśmy skończyli!?

Zofia chwilę myślała i już nieco spokojniejszym tonem skonstatowała wypowiedź córki.
– Tak, ale to wszystko stało się za jego przyczyną – nie dawała za wygraną
– Nie twierdzę, że nie. Tylko, że to, co później działo się z nami było konsekwencją tych nieszczęsnych pieniędzy. Czy ty to rozumiesz? Ojciec chciał za wszelką cenę tego uniknąć. Właśnie po to wszystko tak wymyślił!
– Ty go teraz nie broń – żachnęła się matka gestykulując nerwowo ramionami. – Przypominam, że to była nasza wspólna decyzja. Do niczego was nie zmuszałam – dodała.
– Bynajmniej! I przyznać muszę, że z początku pomysł tej zemsty też wydawał mi się świetnym sposobem na danie ojcu nauczki, ale teraz? Sama nie wiem.
– Zapewniam was, że kiedy wszystko się wyjaśni, ojciec będzie razem z nami śmiać się z tego dowcipu – próbowała tłumaczyć swą niefortunną decyzję, podjętą w przypływie niezdrowych emocji matka.
– Oby tak było – powiedziała pełna obaw Agata.
– Chodźmy na chwilę do naszych porywaczy – zaproponowała Zofia żeby zmienić temat dyskusji.

W sali kominkowej impreza trwała w najlepsze. Mimo, że Mocnych nie

było ledwie pół godziny, zachowanie trójki wynajętych kidnaperów wskazywało, że potrafili skorzystać z gościnności właścicieli.
– Siadajcie z nami! – zakrzyknął jeden z chłopaków na widok ofiar porwania.
– Przysiądziemy na chwilę, ale sami rozumiecie, my jesteśmy po całonocnej imprezie i chcielibyśmy teraz pójść spać, a wieczorem porozmawiamy o interesach.
– W takim razie nie zatrzymujemy, ale my mamy jeszcze to i owo do załatwienia – dodał wesoło rozmówca wskazując na zastawiony stół.
– Miłej zabawy. Tylko nie popijcie się zbytnio i nie naróbcie jakichś głupot – ostrzegała seniorka.
– Ma się rozumieć szefowo. Wszystko będzie ok.

Mocni udali się na górę do swoich pokoi, porywacze zaś postanowili dokończyć co zaczęli.
– Gardzą nami – judziła Anka. – Za niskie progi. Oni teraz tylko z hrabiami piją. Jeszcze zobaczymy, jak będą tańczyć, kiedy ja będę grać!? – bredziła coś mocno podchmielona.

W leśniczówce ukrytej w środku lasu spokój panował do późnego popołudnia. Pierwsza przebudziła się Zofia, a po niej kolejno pozostali członkowie rodziny. Po krótkiej toalecie wszyscy troje zeszli do salonu, gdzie zastali widok, którego mogli się spodziewać. Dwóch porywaczy spało w fotelach, a po podłodze walały się puste butelki po alkoholu. W pomieszczeniu unosił się kwaśny zapach imprezy. O dziwo nigdzie nie było przywódczyni.
– Jacek rozejrzyj się i spróbuj odnaleźć naszą małą szefową – zakomenderowała matka.

Syn przeleciał po pokojach znajdujących się na parterze, po czym wyszedł na zewnątrz. Tam też nie znalazł poszukiwanej dziewczyny. Anno! Anno! – zawołał kilka razy, ale odpowiedziała mu tylko głucha cisza.
– To dziwne – stwierdził po powrocie. – Samochodu też nie ma.
– Jak to nie ma? – zdziwiła się Zofia. – Tego nie było w umowie. Przez te trzy dni wszyscy mieliśmy pozostać na miejscu. Nie wiadomo, co Stefan wymyślił i czy nie powiadomił policji. Taka ewentualność przecież istnieje. No i piła alkohol – przypomniała Zofia.
– Tego to akurat nie wiemy – zauważył Jacek.
– No tak. Mam nadzieję, że nie była tak nieodpowiedzialna, bo gdyby ją policja zatrzymała...
– Uspokój się mamo. Przecież o porwaniu nikt nie wie, a ojciec do wtorku na pewno niczego nie zgłosi.
– Chyba tak – uspokoiła się nieco. – Synu! Zbudź tych dwóch, pożal się Boże, porywaczy! – powiedziała nie bez cienia lekceważenia w głosie.

Młody zaczął szarpać śpiochami, do chwili aż otworzyli oczy. Rozejrzeli

się nieprzytomnym wzrokiem po pomieszczeniu, nie do końca kojarząc, gdzie się znajdują. Odczekał chwilę aż dojdą do siebie, po czym zaczął wypytywać o Annę. Niestety niewiele mógł się od nich dowiedzieć.
– Siedziała z nami, piła, jadła…
– Piła? Na pewno piła?
Chłopcy zawahali się przez chwilę robiąc zmieszane miny.
–. Siedziała razem z nami, ale czy piła? Chyba piła, no, bo co niby miałaby robić, za kołnierz wylewać? Po co?
– Tego to my nie wiemy, ale jej nie ma – zniknęła.
Mocni wymienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia.
– Anny nie ma. Samochodu nie ma. Nie tak umawialiśmy się, panowie. Jeżeli wynikną z tego jakieś kłopoty, potrącę z waszego zarobku – ostrzegała Zofia.
— Wszystko będzie w porządku. Na pewno pojechała do najbliższego sklepu po zakupy i zaraz wróci – zapewniali uczynni porywacze.
Długo musieli czekać na koleżankę. Dopiero późnym wieczorem usłyszeli warkot silnika samochodu wjeżdżającego na podjazd. Jacek stanął przy oknie sprawdzić kto przybył.
– To ona – potwierdził.
Kiedy dziewczyna weszła do środka, wszyscy bez wyjątku naskoczyli na nią żądając wyjaśnień, gdzie była?
– Musiałam załatwić kilka spraw – odparła jakby nic się nie stało.
– Ale nie tak się umawialiśmy – obstawała przy swoim Mocna. – Mamy tutaj wszystko czego nam potrzeba na czas pobytu i żądam bezwzględnego podporządkowania się moim regułom – zakomunikowała stanowczym głosem Zofia.
– Może wam to wystarczy. Ja do pełni szczęścia potrzebuję znacznie więcej – odpowiedziała hardo.
– A to niby, czego? – zapytała podenerwowana Zofia.
– Wkrótce się dowiecie – rzuciła najwyraźniej lekceważąc Zofię. – Muszę wyjść na chwilę do samochodu – oznajmiła. – Zapomniałam zabrać niespodziankę. Za moment wracam – zakomunikowała.
Pozostali uczestnicy rozmowy nie zdążyli zareagować na słowa dziewczyny, gdy ta szybkim krokiem wyszła z pomieszczenia.
– Poczekaj, zatrzymaj się! – wołała za nią Agata, ale ta nie słuchała. – Co ona knuje? – zapytała zwracając się do pozostałych. – Coś mi tu nie pasuje, ona jest jakaś dziwna, jakoś podejrzanie się zachowuje. Żeby tylko nie było z tego jakiejś draki.
Młoda porywaczka ledwie opuściła progi leśniczówki, gdy do środka wdarł się z krzykiem zamaskowany mężczyzna trzymający w dłoni pistolet.
Niedoszła aktorka wcieliła się właśnie w nową rolę.
– To jest ta moja niespodzianka – oznajmiła z wyraźną satysfakcją w głosie. –

Poznajcie Ko...– chciała przedstawić wspólnika.
– Zamknij się idiotko – warknął bandyta. – Konrad, mam na imię – przedstawił się.

Anna, nie wiedzieć czemu złapała się dłonią za usta. Najprawdopodobniej ją też zaskoczyło imię wspólnika. Stała przez chwilę z zaciśniętymi ustami, wyraźnie walcząc z przemożnym śmiechem, jaki ją ogarnął. – Konrad – powiedziała do siebie. – Też wymyślił.
– Wszyscy ręce do góry i nie ruszać się – rozkazał.

O dziwo, polecenie wykonali również, niedawni wspólnicy dziewczyny.
– Co to jest? Co to ma znaczyć? – oponowała Zofia.
– Ty też się zamknij stara! – „poprosił grzecznie" bandyta.

Mocna zamilkła wedle życzenia, lecz najbardziej zabolało ją określenie – „stara".
– Wy dwaj stańcie po lewej, przodem do ściany, pozostali siadać i słuchać – poustawiał zaskoczone towarzystwo.

Wszyscy posłusznie wykonali polecenia.
– Ja protestuję – jeszcze raz próbowała sprzeciwiać się seniorka...
– Już raz powiedziałem, masz być cicho – przerwał arogancko. – Teraz ja mówię i ja wydaję polecenia – wycharczał chropawym głosem zbliżając swoją twarz zasłoniętą kominiarką do bladej twarzy Zofii. – Nastąpiła drobna zmiana planów – poinformował napastnik. – Zabawa się skończyła. Chcieliście urządzić sobie teatr? Będziecie mieli ten swój teatr, tylko zaplanowałem w nim więcej dramaturgii. Mam nadzieję, że obejdzie się bez tragedii. Ci debile – tu wskazał pistoletem na pseudo porywaczy – zgodzili się odegrać swoje role za jakieś marne pieniądze. Moja gaża będzie dużo wyższa, bo i artysta jest ze mnie znacznie lepszy – chełpił się. – Anka! – zwrócił się do wspólniczki – związ swoich kumpli.
–Ale, po co? – zapytała zdziwiona. – Mieliśmy ich puścić wolno – przypominała wcześniejsze ustalenia dziewczyna.
– Widzisz jakaś ty durna. Chcesz, żeby polecieli na policję i zgłosili porwanie lub napad – nieważne, jak to zwał. Musimy przetrzymać ich w bezpiecznym miejscu do czasu odebrania okupu.

Niedawna jeszcze koleżanka, lekko zmieszana podeszła do stojących pod ścianą mężczyzn.
– Sorry, ale sami rozumiecie – „biznes jest biznes".
– Coś ty narobiła idiotko, przecież z tego będą tylko same kłopoty – odezwał się jeden z nich. – To miała być tylko zabawa, za którą otrzymalibyśmy całkiem niezłą kasę, a ty to wszystko spieprzyłaś. Igrasz z ogniem. Obyś się tylko nie sparzyła – przestrzegał, nie taki znów głupi, kolega.
– Jaka kasa? Te nędzne grosze, na które umówiliśmy się z tymi tutaj – spojrzała z pogardą na Mocnych – nazywasz kasą! Teraz dopiero mamy szanse wyciągnąć

od nich prawdziwą forsę. Ty wiesz ile oni maja szmalu?
– Dosyć tych pogaduszek – przerwał rozmowę zakapturzony bandyta. – Skrępuj im ręce na plecach tymi plastikowymi kajdankami, które ci dałem – rozkazał.

Ta posłusznie wykonała polecenie.
– Teraz ja odwiozę panów w bezpieczne miejsce, a tych zamkniemy w piwnicy. Macie tu jakąś piwnicę – prawda?

Mocni spojrzeli po sobie pytającym wzrokiem, ale nic nie odpowiedzieli.
– No macie czy nie? – powtórzył pytanie wkurzony napastnik.
– Nie mamy zielonego pojęcia, my po piwnicach na ogół nie chodzimy – odparła Zofia.
– Anka rozejrzyj się po domu – nakazał.

Dziewczyna przebiegła kolejno drzwi parteru, nareszcie natrafiła na te prowadzące do poszukiwanego pomieszczenia.
– Tutaj coś jest zakomunikowała.
– To jazda do środka – zaprosił wszystkich bezceremonialnie do piwnicy.

Sam wszedł pierwszy, żeby sprawdzić czy pomieszczenie spełnia wszelkie wymogi tymczasowego więzienia. Spełniało wszelkie standardy. Żadnych okien, dodatkowych drzwi, żadnej drogi ucieczki.
– W porządku, wchodźcie – rozkazał.

Mocni stali stłoczeni w niewielkim pomieszczeniu zastanawiając się co dalej, gdy usłyszeli warkot silnika odjeżdżającego samochodu.
– Ja od początku wiedziałam, że z tym porwaniem i całą tą zemstą, to był zły pomysł – rozpoczęła wyrzuty Agata. – Coś czułam podświadomie, że to się źle skończy. Takie igranie z losem, najczęściej źle się kończy. Przecież mieliśmy przykład ojca. Czemu to nas niczego nie nauczyło? Czemu to nas ciągle spotyka? – żaliła się. – Tato wymyślił jakiś durny plan i o mało co nie zrujnował nam wszystkim życia. Przecież od tragedii dzielił nas tylko krok. Na co byłyby nam te nieszczęsne pieniądze, przez które mamy ciągłe kłopoty, gdybyś ty mamo do nas nie wróciła? Jak mielibyśmy nimi cieszyć się, wiedząc, że ty przez nie leżysz w klinice, bez świadomości, niczym roślinka?
– My, jak my – wtrącił Jacek, – ale ojciec?
– No jeszcze tylko zacznijcie użalać się nad ojcem – próbowała bronić swojego nieszczęsnego pomysłu Zofia.
– To nie o to chodzi mamo – wtrąciła córka. – Rzecz w tym, że przykład ojca niczego nas nie nauczył. Niczym nie różnimy się od niego. Nim kierowały podobne pobudki jak nami. Chęć zemsty powodowana rozgoryczeniem. Wiem, wiem – kontynuowała dziewczyna, – że wiele przez niego wycierpieliśmy, ale skoro udało się nam wszystkim wyjść cało i szczęśliwie z tych opresji i zawirowań losowych, to powinniśmy dziękować Bogu, a nie wdepnąć, na własne życzenie, w kolejne gówno. Jak wam się zdaje? Co wymyślił ten porąbaniec? –

dopytywała dziewczyna.
– Na pewno będzie chciał pieniędzy, dużo pieniędzy – zauważyła Zofia.
– Jeżeli będzie chciał tylko pieniądze, to sprawa jest do załatwienia. Ojciec stanie na głowie, zrobi wszystko, żeby nas wykupić, ale sami wiecie, że w takich sytuacjach dochodzi do wielu nieprzewidzianych zdarzeń. Porywacze w trosce o własne bezpieczeństwo gotowi są posunąć się do ostateczności – przestrzegała Agata.
– Co ty masz na myśli? – zapytał Jacek.

Już chciała odpowiedzieć, gdy na podjazd zajechał samochód.
– Tak szybko wrócił? – zauważyła Zofia. – Ciekawe, co się stało z tymi dwoma? Przecież ich nie wypuścił – powątpiewała. – Ile czasu go nie było? Pół godziny to wszystko. Jadąc piętnaście minut w jedną stronę tymi dróżkami daleko się nie zajedzie.

Mocni spojrzeli po sobie i poczuli, jak skóra cierpnie im na plecach.
– Nie myślicie chyba, że on ich… – podsunął myśl Jacek.
– Nie, na pewno nie – uspokajała rodzeństwo matka. – Jaką mamy pewność, że tamci nie byli z nimi w zmowie? W tej grze wszystko jest możliwe.
– Tak. To po co grali przed nami całą tę komedię – pytał Jacek.
– Nie wiem. Ja już naprawdę nic nie wiem i gubię się w domysłach. Czekajmy cierpliwie na to, co będzie się działo.

Mocni stali jeszcze jakiś czas w piwnicy, zanim usłyszeli ruch przed drzwiami..

Nazbyt szybki powrót porywacza zdziwił nawet wspólniczkę.
– Tak szybko wróciłeś? – dziwiła się Anna.
– Przyrzekli mi, że nie puszczą pary z gęby, więc zlitowałem się nad nimi i wypuściłem – oznajmił bezceremonialnie.

Dziewczyna spojrzała uważnie na mężczyznę, ale niewiele mogła wyczytać z obojętnego wyrazu twarzy.
– Naprawdę wypuściłeś? – próbowała upewnić się, co do losów kumpli.

Porywacz machinalnym ruchem otarł pot z czoła, nie podnosząc wzroku na Annę i rzekł.
– A niby, co miałem z nimi zrobić, porozwozić do domów, czy zawieźć na pizzę? Wysadziłem na drodze i to wszystko – oznajmił, wyraźnie bagatelizując sprawę.

Dziewczyna uwierzyła lub chciała uwierzyć, bo przestała troszczyć się o dalsze losy kolegów.
– Gdzie są ci nasi sponsorzy? – zapytał ze złością, najwyraźniej próbując zmienić temat.
– A gdzie mają być? Tam gdzie ich zostawiliśmy kilkadziesiąt minut temu – odparła opryskliwie. – W piwnicy.
– Chodźmy do nich. Musimy stąd jak najszybciej spierdalać, bo nie do końca

ufam tym dwóm dupkom.
– Ale dokąd? – dopytywała dziewczyna.
– Zobaczysz. Mam przygotowaną melinę – zapewniał.
– Zatem chodźmy.

Zgrzyt klucza w zamku wyrwał Mocnych z krótkiej zadumy nad losem, jaki sobie zgotowali.
– Wychodzimy – zakomenderował mężczyzna stając obok drzwi.

Porywacz miał ciągle zakrytą twarz, co w jakimś sensie pozytywnie wróżyło na przyszłość. Może nas nie zabije, skoro ciągle ukrywa się pod tą irytującą kominiarką – pomyślała Zofia opuszczając tymczasowe więzienie. Kiedy wszyscy ponownie znaleźli się w sali kominkowej, bandzior zarządził natychmiastową ewakuację, czym wywołał wielkie poruszenie wśród zaskoczonych zakładników.
– Nie ma czasu na dyskusje – krótko zakończył próby wyjaśnienia swojej decyzji. – Ty Anka, razem z młodymi, przygotuj wszystkie niezbędne rzeczy na dwudniowy pobyt w nieco gorszych warunkach – dodał robiąc przy tym minę wyrażającą skrajną pogardę dla dóbr doczesnych, jakimi otaczali się Mocni, – ja zaś, popilnuję pani starszej.

Mimo trudnego położenia, Zofia najbardziej cierpiała z powodu świadomych szyderstw złośliwego bandyty. Co ja mu kurwa zrobiłam, gnojowi jednemu, że tak wypomina mi wiek – wściekała się.

Ciekawe. O co tyle zachodu, jeżeli z takim lekceważeniem odnosi się do pieniędzy. Czyż to, aby nie dla kasy zdecydował się na ten desperacki krok? – zastanawiała się Agata.

Anka wraz z Mocnymi posłusznie zabrała się do gromadzenia zapasów jedzenia. Zakapturzony gangster usiadł naprzeciwko Zofii i zaczął przyglądać się jej lubieżnym wzrokiem. Zachowanie wspólnika nie umknęło uwadze Anny. Przechodząc obok siedzących, za każdym razem rzucała ku nim ukradkowe spojrzenia. Nareszcie nie wytrzymała. Zatrzymała się na moment, po czym nienawistnym wzrokiem spojrzała, nie wiedzieć czemu, na Bogu ducha winną ofiarę porwania, a dopiero później przeniosła tenże sam wzrok na swojego partnera. Konrad ani drgnął, nie robiąc sobie nic z ostentacyjnych oznak zazdrości dziewczyny.
– Wszystko przygotowane. Możemy jechać – oznajmiła jakimś nienaturalnym głosem.

Zofii ścierpła skóra na plecach słysząc charkot z ust dziewczyny. Zdawała sobie sprawę, że zazdrosna kobieta to nie przelewki. Wszystkiego można się po takiej spodziewać. Z drugiej jednak strony, animozje między wspólnikami to woda na nasz młyn – pomyślała.

Przed opuszczeniem leśniczówki, porywacze związali Mocnych oraz

zasłonili im oczy kominiarkami. Konrad, na którego padł obowiązek związania i zakapturzenia Jacka, zbliżył się do chłopaka, położył mu dłoń na barku, żeby go odwrócić i wówczas przez krótką chwilę chłopak zauważył coś dziwnego na grzbiecie jego dłoni. Jakiś rysunek, czarną plamę, która na chwilę wychynęła spod rękawa. Porywacz szarpnął chłopakiem zdecydowanie mocniej niż było to konieczne, czego ten w pierwszej chwili nie rozumiał.

Kiedy wszyscy byli już odpowiednio przygotowani do drogi samochód ruszył z podjazdu. Kierowca, jak można się było tego spodziewać, błądził trochę po lesie zanim wyjechał na szos.

Nowe miejsce przetrzymywania, położone było gdzieś na obrzeżach miasta. Mocni ciągle mieli zasłonięte oczy, lecz w oddali słyszeli szum przejeżdżających samochodów, wokół zaś panowała niczym niezmącona cisza. Wyczulony zmysł słuchu podpowiedział im, że w najbliższym sąsiedztwie nie ma żadnych zabudowań.

– Wysiadają tylko kobiety – rozkazał Konrad.

– Ale czemu! – protestowała Zofia. – Skontaktujcie się z moim mężem, podajcie swoje warunki, a on na pewno je spełni. Po co to przedłużać – próbowała tłumaczyć.

– Nie tak szybko, szanowna pani. Jeszcze nie ustaliliśmy warunków okupu. Poza tym w towarzystwie takich dam to i czas inaczej płynie.

Anna rzuciła podejrzliwe spojrzenie w kierunku wspólnika.

– Zaprowadź panie do środka – rozkazał chłodnym tonem, ja zaś odwiozę chłopaka do tatusia, żeby go przekonał, że z nami to nie przelewki.

– Ale proszę nie robić mu nic złego. Mój mąż zapłaci ile zażądacie.

– Nic się nie bój mamuśka, odwiozę twego synka bezpiecznie pod same drzwi – szyderczo zapewniał.

Jacek pozostał w aucie, a kobiety ciągle pozbawione możliwości postrzegania świata wszystkimi zmysłami, prowadzone przez kidnaperkę, zniknęły w drzwiach nowego „schronienia". Gdy tylko zatrzasnęły się drzwi za kobietami, samochód z mężczyznami cicho oddalił się z miejsca przetrzymywania. Znowu kręcili się jakiś czas po okolicy, po czym obrali kurs na posesję Mocnych. Większość drogi mężczyźni przebyli w milczeniu. Dopiero, gdy samochód zatrzymał się, porywacz odwrócił się do zakapturzonego Jacka i przypomniał chropawym głosem.

– Uprzedzam, żadnej policji i żadnych sztuczek, bo kobietom stanie się krzywda. Jeżeli będziecie mądrzy, to pojutrze wszyscy będziecie cieszyć się wolnością. Ja chcę tylko kasy. Dosyć mam przyglądania się, jak inni korzystają z życia, a mnie przypadają w udziale tylko ochłapy. Teraz ja będę panem – już widział oczami wyobraźni lepszy świat.

Jacek nic nie mówił, tylko czekał, kiedy zostanie rozwiązany i

wypuszczony na wolność, bowiem nie do końca był o tym przekonany. Na szczęście dla niego usłyszał odgłos otwieranych drzwi przednich, a następnie tych blokujących mu drogę do upragnionej wolności. Konrad przeciął więzy krępujące mu ręce, po czym nakazał, aby wstrzymał się ze zdjęciem kaptura do momentu, aż odjedzie. Jacek usłuchał polecenia. Stał chwilę oszołomiony, ale szczęśliwy z faktu, że jest wolny. Może wszystko będzie dobrze – pomyślał, – a pieniądze...

Kiedy zdjął kominiarkę i rozejrzał wokół siebie okolicy nie poznawał. Udał się drogą prowadzącą do najbliższych zabudowań po pomoc Poprosił o zamówienie taryfy. Uczynni gospodarze wezwali taksówkę i po kilkunastu minutach jazdy znalazł się przed wejściem do rodzinnej posesji.

Rozdział XLIII

Odrętwienie w jakie popadli Stefan z Małgorzatą na widok chłopaka stojącego przed bramą wejściową, z wolna mijało.

– Co to jest do cholery? – pytał przerażony Stefan. – Na pewno coś się stało? – przewidywał jakąś tragedię. – Chyba nie uciekł tym porywaczom, przecież pogrążyłby pozostałych?

– Wpuść go, na miłość boską – sprowadziła Stefana na ziemię Małgorzata.

Stefan kopnął się biegiem do przedpokoju, gdzie znajdowała się tablica z przełącznikiem. Po kilkunastu sekundach w drzwiach pojawił się syn.

Ojciec porwał go w ramiona i wprowadził do środka.

– Co się stało? Opowiadaj – niecierpliwił się Stefan.

– Zaraz. Daj mi coś do picia, bo cholernie mi w gardle zaschło – poprosił.

Małgorzata natychmiast wykonała polecenie. Chłopak wziął kilka łyków, przy czym pił tak łapczywie, że zakrztusił się płynem. Odczekał chwilę, odchrząknął kilka razy, spojrzał na oczekujących każdego słowa słuchaczy i zaczął opowiadać.

Po kilku pierwszych minutach opowieści, podejrzenia, jakie mieli Małgorzata ze Stefanem sprawdziły się w stu procentach.

– A nie mówiłam – triumfowała przyjaciółka. – Wiedziałam, że musiałeś w którymś momencie dać d... Przepraszam – zreflektowała się, – a później to już poszło. Trudno im się dziwić, że pod wpływem chwilowych emocji, postanowili odpłacić ci pięknym za nadobne – próbowała tłumaczyć manipulowanych przez lata członków rodziny.

– No i co dalej, opowiadaj – ponaglał ojciec.

– Wszystko zmieniło się, gdy ta debilka Anka, połasiła się na kasę i sprowadziła tego typa.

– Jakiego typa? O kim mówisz?

– Otóż …

Jacek opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się, gdy na scenie pojawił się nowy aktor, a mianowicie Konrad.

– O, to sprawa bardzo się skomplikowała – zmartwił się Stefan nie na żarty. – I czego on chce? Na pewno pieniędzy, ale ile? Wspominał coś na ten temat? – dopytywał zniecierpliwiony.

– Na razie nie wiem, ale sądzę, że dużo.

– Nieważne ile, byle tylko zadzwonił i przedstawił swoje warunki. Jak sądzisz, czy dziewczynom nic z jego strony nie grozi?

– Muszę ci przyznać, że ten nowy jest jakiś dziwny. Niby Anka jest jego dziewczyną, ale on ciągle wodzi wzrokiem za mamą. Boję się, że może grozić jej niebezpieczeństwo ze strony tego gościa lub zazdrosnej dziewczyny. Trzeba coś robić, nie możemy czekać na jego telefon, bo odniosłem wrażenie, że on gra na zwłokę. Przecież mógł od razu wyjawić swoje żądania. Zapłacilibyśmy i byłoby po sprawie, ale on ma inny plan. On coś knuje – dodał z przekonaniem w głosie Jacek.

– To może jednak zawiadomić policję – poddała pod rozwagę ewentualność Małgorzata.

– Może jednak poczekajmy do jutra – zdecydował Stefan. – Może coś się wyjaśni.

– A ten porywacz. Jak on wyglądał? Nie zapamiętałeś czegoś szczególnego, charakterystycznego? – próbował rozbudzić pamięć syna.

– Ależ skąd. Widziałem go kilka razy, po parę minut i zawsze był okutany od stóp do głów. Może to i dobrze, bo świadczyć to może o tym, że nie chce być rozpoznany i planuje wypuścić zakładników. Zależy mu tylko na kasie.

– Widzisz synu – spojrzał na chłopaka. – Jemu zależy na tym, żeby samemu nie być rozpoznanym przez nikogo, ale jest jeszcze ta Anka. Przyznam, że nie obchodzi mnie jej los, ale on najwyraźniej zamierza jej się pozbyć. Przecież nie będzie ciągnął za sobą ogona, osoby, która wcześniej lub później zostanie zidentyfikowana. Po co mu taki bagaż. Mam rację Małgorzato?

– Obawiam się, że masz – przyznała.

– Zastanawiam się, czy ta dziewczyna tego nie widzi, nie rozumie swojego położenia?

– Ona jest w nim zakochana – podpowiedział Jacek.

To wystarczająco tłumaczyło jej zachowanie.

– O nowe miejsce przetrzymywania nie będę cię pytał, bo na pewno zrobili wszystko, żeby zmylić trop.

– Tak, sporo czasu krążyliśmy po terenie zanim wyjechaliśmy na jakąś drogę. Nie jestem nawet w stanie stwierdzić, czy to blisko, czy daleko?

– Rozumiem. Nie rób sobie wyrzutów – pocieszał syna ojciec.

Jacek miał zamiar udać się do kuchni i przygotować coś do jedzenia,

gdy przypomniał sobie jeden drobny fakt, który miał miejsce w momencie, kiedy Konrad przygotowywał go do drogi. Zatrzymał się na chwilę, odwrócił do ojca i rzekł.

– Nie wiem czy to może być ważne, czy to może mieć jakieś znaczenie, ale przypomniałem sobie jedną rzecz, jeden szczegół.

– Tak. Co mianowicie? – zaciekawił się ojciec.

– Kiedy ten porywacz oporządzał mnie do wyjazdu na tę drugą melinę, na grzbiecie jego dłoni zauważyłem coś dziwnego.

– Coś dziwnego? Co masz na myśli?

– Gdy ten Konrad wyciągnął do mnie rękę, na grzbiecie jego prawej dłoni, spod rękawa, wyłoniła się jakaś – szukał określenia – jakaś czarna plama. Tatuaż lub znamię?

– Zaraz, zaraz. Ja coś takiego już gdzieś widziałem, nie mogę sobie tylko przypomnieć gdzie. To może być ważne.

– Nie wiesz, co to mogło być – dopytywał ojciec. – Zastanów się.

– Widziałem to tylko przez chwilę, ale ten porywacz zareagował bardzo nerwowo. Teraz dopiero, to sobie uświadomiłem.

– Jestem przekonany, że i ja coś takiego widziałem i to w tak charakterystycznym miejscu. Nie mogę sobie tylko przypomnieć gdzie i kiedy? Będę o tym myślał obiecywał sobie.

Zrobiło się już późno, więc po kolacji wszyscy udali się na spoczynek. Nikt nie zakładał, że sen przyjdzie, ale chociaż odrobina wytchnienia dla skołatanych nerwów przyda się – stwierdzili zgodnie.

Każdy w swoim pokoju, po raz kolejny rozpatrywał różne warianty wyjścia z tej pogmatwanej sytuacji. Najbardziej męczył się Stefan. Łamał sobie głowę nad słowami syna. Czarna plama na grzbiecie prawej dłoni. Gdzie ja to widziałem? – zastanawiał się. Z tym pytaniem drążącym mózg zapadł w sen. Nie spał jednak długo. Obudził się olśniony myślą – już wiem co było na grzbiecie dłoni. To kobra prężąca się do ataku. Zerwał się na równe nogi i pognał do pokoju syna.

– Jacek, otwieraj – wołał przez drzwi. Chwilę trwało zanim w drzwiach stanął zaspany syn.

– Już wiem, co było na grzbiecie tego porywacza, to tatuaż kobry! – wykrzyczał niemal z triumfem.

– Co, jaka kobra? – pytał ciągle nieprzytomny młodzian.

– Skup się – Stefan próbował lekko studzić własne emocje. – To, co widziałeś na grzbiecie tego łotra, to była prężąca się do ataku kobra.

Jacek zastanowił się przez chwilę.

– Kobra?... To była jakaś ciemna plama, ale nie wykluczam, że to mogła być kobra – przyznał.

Teraz wszystko rozumiem – analizował wcześniejsze fakty. – Już wiem, czemu ten bandyta tak wściekł się na Ankę, kiedy próbowała go przedstawić. Wypowiedziała tylko dwie zgłoski – ko, a chciała powiedzieć Kobra.

Stefan wszedł do sypialni syna, osunął się na fotel, przez moment sprawiał wrażenie jakby spał.

– Tato, co tobie, źle się czujesz? – martwił się syn.

– Nie, wszystko w porządku – odrzekł ojciec. – Chyba wiem, gdzie przetrzymywane są dziewczyny .

Podniósł się z fotela, wyprostował. Już nie był słaby.

– Ale, skąd to wiesz? – chciał wiedzieć syn.

– To długa, bardzo długa historia. Może kiedyś ci ją opowiem – wrócił pamięcią do swojej wycieczki w nieznane.

Zbudzona nocnymi hałasami Małgorzata w końcu też dotarła do pokoju narad.

– Co się stało, że tak w środku nocy tłuczecie się po domu?

– Ojciec wie gdzie są więzione dziewczyny.

– No tylko mi nie opowiadaj, że miałeś proroczy sen, bo w to nie uwierzę – spojrzała pytającym wzrokiem na Stefana.

– Muszę cię zaskoczyć, ale prawie tak. Pamiętasz opowieść Jacka o tej czarnej plamie na grzbiecie dłoni porywacza?

– Pamiętam i co z tego?

– Mówiłem, że coś takiego ja też widziałem. Nie mogłem tylko sobie przypomnieć kiedy i gdzie?

– I co, przyśniło ci się?

– Może nie przyśniło, ale olśniło. Wcale nie dziwię się, że w pierwszej chwili nie skojarzyłem faktów, bowiem okoliczności tego zdarzenia zatarły się w mej pamięci, utonęły w pomroce czasu i alkoholu. Jak się rozwidni wyruszamy na poszukiwania – zarządził Stefan.

Wszyscy rozeszli się do swoich pokoi, lecz po kilkunastu minutach, bez wcześniejszych ustaleń, spotkali się w jadalni. Przy kawie i rozmowach doczekali świtu.

Rozdział XLIV

Trzy kobiety weszły do niewielkiego pokoju, w którym na środku stał obskurny stół otoczony czterema krzesłami. W pomieszczeniu panował kwaśny zapach alkoholu zmieszanego z psującymi się resztkami jedzenia. Anna zdjęła z głów zakładniczek worki, po czym nakazała spocząć przy stole.

– Przepraszam za ten bałagan. Niedawno musiała być tu impreza – kłamała

nieudolnie, bowiem brud panujący w pomieszczeniu zadomowił się w nim na dobre i nie opuszczał od dłuższego już czasu.

Zofia korzystając z okazji, że zostały z Anną same, postanowiła zawrócić dziewczynę z drogi nieprawości i występku.

– Posłuchaj Aniu – zwróciła się najcieplej jak tylko mogła do kidnaperki. Zrezygnuj z tego całego porwania, wycofaj się, jeszcze nie jest za późno. Ty przecież, jak na razie, niczego złego nie zrobiłaś. Tę drobną zmianę planów jakoś da się wytłumaczyć. My z naszej strony nie złożymy żadnej skargi na policji, tylko nas wypuść, póki jest na to czas. Ten twój przyjaciel, sama widzisz, ciągle ukrywa się pod maską, a ty nie. On dba tylko o siebie i swoje interesy. Wcześniej, czy później, będzie chciał się ciebie pozbyć, musisz zdawać sobie z tego sprawę. Po co mu taki balast. Policja całego kraju będzie deptać wam po piętach, a jeżeli będzie taka potrzeba, roześlą za wami międzynarodowe listy gończe. To na co się porwaliście nie ma sensu, nie ma najmniejszych szans powodzenia. Wycofaj się póki jeszcze nie ma żadnych ofiar. Chociaż, los tych dwóch twoich kolegów nie jest ci do końca znany. Skąd wiesz co on z nimi zrobił. Zastanów się – nie było go najwyżej pół godziny. Dokąd mógł w tak krótkim czasie ich zawieźć. Nie bądź naiwna.

– Jak to? Przecież Kobra... – zapomniała się przez chwilę – zapewniał, że nie stała im się krzywda, że ich wypuścił.

– Czy ty dziewczyno, naprawdę jesteś aż tak głup... – ugryzła się w język poirytowana Zofia – ...zakochana?! Wypuścił ich, bo przyrzekli mu, że nie puszczą pary z gęby. No taka głupia to ty nie jesteś żeby wierzyć w te pierdoły. Jeżeli ich gdzieś nie przetrzymuje to jest całkiem prawdopodobne, że pozbył się twoich twoich przyjaciół.

– Co masz na myśli? – zapytała nieco wylękniona dziewczyna.

– Ja niczego nie przesądzam, ale zastanów się! Jak wiele ryzykowałby wypuszczając tych chłopaków. Po pierwsze, mogliby zgłosić się na policję, po wtóre i może znacznie gorsze, miałby w nich zaprzysiężonych wrogów. Oni, jeżeli żyją, nigdy mu tego nie darują. Uwierz mi. Wiem co mówię. Próbowaliby zemścić się.

Anna słuchała Zofii z przejęciem i trudno jej było nie zgodzić się z racjami ofiary porwania.

– No, ale co teraz robić? – zapytała bezradna.

– Zadzwoń natychmiast na policję – Zofia próbowała wykorzystać moment zwątpienia dziewczyny.

– Ale, ja go kocham i on mnie kocha – powiedziała bardziej do siebie niż do Zofii.

– W jedno mogę uwierzyć, a mianowicie, że ty go kochasz, ale że on ciebie... – próbowała zasiać ziarno zwątpienia w sercu zaślepionej miłością dziewczyny.

– Ale on mnie zabije, jak się dowie, że go wydałam.
– Temu, nie zwlekaj i dzwoń natychmiast. Policja przyjedzie i za chwilę będzie po wszystkim – kuła żelazo póki gorące. Ja ze swej strony mogę ci obiecać, że nie poniesiesz żadnych konsekwencji – zapewniała skołowaną dziewczynę.

Ta wyciągnęła z kieszeni telefon i drżącymi palcami usiłowała wybrać numer policji. Rozdygotanej z przejęcia Annie komórka wypadła z ręki, rozpadając się na drobne kawałki.
– Szybko, poskładaj ją – ponaglała Zofia, – bo za chwilę może być już za późno.

Rozkojarzone dziewczę pochyliło się i bez przekonania usiłowało złożyć aparat. Niemal w tej samej chwili na podwórzu dało się słyszeć warkot silnika samochodu, którym powrócił Konrad.

Tak szybko? – zastanawiała się Zofia. Ciekawe co zrobił z Jackiem? – przez myśl przeleciały jej różne ewentualności, nie wyłączając tych pisanych, najczarniejszymi literami. Jaką mogę mieć gwarancję, że nie zrobił krzywdy mojemu dziecku? – przelękła się. – Jak przekonać się, czy na pewno jest bezpieczny?

Konrad wracając do nowej kryjówki, zastanawiał się, czy na pewno dobrze zrobił zostawiając naiwną Ankę z tymi dwoma. One mogły próbować coś kombinować, wykorzystać nadarzającą się okazję, żeby zamieszać jej w głowie. To był błąd – stwierdził dodając gazu. Z piskiem opon zaparkował przed chatką, w której przetrzymywani byli zakładnicy. Do budynku wbiegł mając obłęd w oczach. Stojąc zdyszany w drzwiach, badawczym wzrokiem obrzucił Ankę i od razu zorientował się, że coś jest nie tak. Zmieszanie na twarzy dziewczyny było aż nazbyt wymowne. Przybyłem chyba w ostatniej chwili – pomyślał widząc ją zbierającą nerwowo telefon z podłogi.
– Co tu się dzieje?! krzyczał. – Chyba nie zrobiłaś niczego głupiego? – zapytał podchodząc do wspólniczki, przeszywając ją nienawistnym wzrokiem.

Dziewczyna przeraziła się nie na żarty. Może ta Mocna miała rację? – przeleciało jej przez myśl niczym błyskawica, spóźnione nieco spostrzeżenie.
– Nie! Czemu tak myślisz? – odpowiedziała z lękiem w głosie.

Furiat nie potrzebował więcej wyjaśnień. Porwał dziewczynę za barki i cisnął o ścianę.
– Coś ty debilko narobiła! – charczał z nienawiścią w oczach.
– Przysięgam, że nic!– łkała skulona pod ścianą brocząc krwią i przyciskała do tułowia obolałą rękę.
– Na pewno nic? – mocno ścisnął jej nadgarstek by się upewnić.

Dziewczyna syknęła z bólu, a po policzkach pociekły jej wielkie łzy. Nie wiadomo co sprawiało większe cierpienie, stłuczona ręka czy traktowanie przez ukochanego.
– To jej wina. To wszystko jej wina – wskazała na Zofię. – To ona namawiała

mnie do zdrady, ale ja się nie dałam. Żebyś ty wiedział, co ona wygadywała na ciebie… – dziewczyna zdradzając Zofię próbowała odzyskać, chociaż odrobinę utraconego zaufania.
– Domyślam się – przerwał ukochanej, po czym zbliżył się do Mocnej. – Chciałaś wykorzystać okazję i uciec lub zawiadomić policję – wycedził przez zęby. – A skąd ty wiesz durna babo, co ja zrobiłem z twoim synkiem – tu spojrzał z wyższością na przerażoną o losy syna Zofię.
– Coś ty mu zrobił? – nieszczęsna matka szamotała się nerwowo dopytując o losy syna. – Gdzie on jest?! Odpowiadaj!!!

Konrad odszedł kilka kroków, spojrzał na zdruzgotaną Zofię obojętnym wzrokiem i odrzekł.
– W bezpiecznym miejscu.

Niestety, tego przesłania Mocna nie była w stanie odpowiednio przetrawić, a już na pewno odczytać. Porywacz zaś, zdawał się być wielce zadowolony z siebie i z faktu, że drobnym kłamstwem zdobył taką władzę nad Mocną. Teraz będzie posłuszna – pomyślał. – Już nie będzie tak butna, już nie będzie knuła. Jest moja.
– Do komórki z nimi – rozkazał, ale nie bardzo komu było wykonać polecenie.

Obolała Anka ciągle kuliła się pod ścianą przyciskając ramię do piersi. Grymas bólu na jej twarzy świadczył, że uraz był bardziej poważny niż na początku się zdawało.

Wściekły bandyta porwał za barki siedzącą na krześle Agatę i powlókł do niewielkiego pomieszczenia sąsiadującego z główną izbą. Zofia próbowała wstać i iść za nimi, ale Konrad powstrzymał ją.
– A ty stara dokąd? Siedź tu i czekaj cierpliwie na swoją kolej.

Zofia opadła z powrotem na krzesło, ale tym razem przestraszyła się nie na żarty. Co on zamierza? – zastanawiała się, a ciarki przebiegły jej po całym ciele.

Konrad po krótkiej chwili nieobecności wrócił do salonu, podszedł do Zofii, chwycił za ubranie w okolicach piersi tak mocno, że poczuł pod palcami krągłości ukrywające się pod nim i poprowadził do niewielkiego pokoiku obok. Pyrgnął kobietę na stare, rozlatujące się łóżko, po czym przywiązał jej ręce do metalowego szczytu.
– Leż tutaj i czekaj na swojego królewicza. Ciekawe kto pierwszy się zjawi? – uśmiechnął się lubieżnie do bezsilnej Zofii i wyszedł z pokoju.

Ta odwróciła wzrok i na chwilę przymknęła oczy. Natychmiast opadły ją czarne myśli. Co z Jackiem? Może nie odważył się?.. Przecież mu chodzi tylko o pieniądze – pocieszała się.

Teraz już chyba nie tylko o pieniądze – uprzytomniła sobie. Co ja narobiłam? – wyrzucała sobie. Po co była mi ta cała zemsta, ta cholerna

mistyfikacja? Przecież wszystko tak dobrze się układało. Diabeł mnie podkusił – złożyła całą winę na siły nieczyste. Nie ma co użalać się nad sobą – doszła do wniosku. Trzeba działać, ale co robić, skoro leżę tu skrępowana jak wieprz – szarpnęła energicznie kilka razy ramionami, ale nic się nie działo, więzy ani drgnęły. Zrezygnowana, nie próbowała nawet podejmować kolejnej próby oswobodzenia się.

Bandyta, po zamknięciu za sobą drzwi „więzienia" podszedł do Anny. Ta spojrzała na chłopaka z wyrzutem pomieszanym ze strachem.

– Co, co ty masz zamiar teraz zrobić? – zapytała cichym głosem.

– Mam zamiar być bogatym, obrzydliwie bogatym – wycedził przez zęby. – Mocny zapłaci za te dwie pindy dużo pieniędzy – uśmiechnął się do siebie.

– A co zrobiłeś z chłopakiem?

– Jak to, co? – odwiozłem do ojca.

Zanim skończył wymawiać te słowa, już żałował, że zdradził się Annie. Pycha go zgubiła.

– Jeżeli puścisz parę z gęby o tym, co ode mnie usłyszałaś zabiję! Rozumiesz, co mówię do ciebie? Zabiję! – Anna wiedziała, że nie są to czcze obietnice.

– A co będzie ze mną? – zapytała nieśmiało, w trosce o swoją przyszłość. – Ja ciebie tak bardzo kocham – deklarowała przywiązanie do bandyty.

– Co ma być? Odbierzemy pieniądze i znikniemy gdzieś w szerokim świecie – łudził dziewczynę obietnicą, ta jednak doskonale zdawała sobie sprawę ze swego trudnego położenia.

– Kiedy zadzwonisz do tego Mocnego? – zapytała. – Ręka mnie trochę boli. Mam wrażenie, że jest pęknięta, albo nawet złamana.

– Zrób sobie jakiś opatrunek – zlekceważył cierpienia dziewczyny. – Do rana musisz wytrzymać.

Anna spojrzała na zegarek, było około 22.00.

– Może byśmy coś zjedli? – zaproponowała. – Przez cały dzień nic w ustach nie miałam. Wszyscy jesteśmy głodni i spragnieni – oznajmiła.

– Dasz radę coś przygotować? – zapytał spoglądając jednocześnie na ramię dziewczyny.

– Jakoś sobie poradzę – podjęła wyzwanie.

Niedawna partnerka Konrada nareszcie zdała sobie sprawę, że tylko współpracując z Mocnymi, może wyjść z opresji, w jakie popadła z powodu swej naiwności i źle ulokowanej miłości. Naprędce przygotowała jakieś kanapki, coś do picia i kolejno odwiedzała przetrzymywane.

Zrezygnowana Agata siedziała w kącie niewielkiego składziku wpatrując się tępym wzrokiem we wszechobecną ciemność. Anna zapaliła światło, szepnęła coś spiesznie do ucha dziewczyny i natychmiast opuściła pomieszczenie. Po jej wyjściu Agacie poprawił się nieco humor i to nie za sprawą

niespodziewanego posiłku. Z kolejną porcją jedzenia kelnerka udała się do Zofii. Krok w krok za nią podążył Konrad, nie do końca dowierzający, niedawnej jeszcze wspólniczce.
– Trzeba ją rozwiązać – zakomunikowała rozdrażnionym głosem Anna, – chyba, że mam ją karmić – mamrotała złośliwie pod nosem.
– Rozetnij jej więzy – nakazał Konrad.

Ubezwłasnowolniona dziewczyna bez szemrania wykonała polecenie. Pochyliła się nad Zofią, bardziej niż było to konieczne i wyszeptała spiesznie
– Jacek ok.
– Odsuń się od niej – warknął Konrad.

Posiłek trwał około piętnastu minut, po czym porywacz własnoręcznie, ponownie skrępował Zofię. Czas spać! – nakazał wychodząc z pokoju, gasząc za sobą światło. Wszyscy udali się na spoczynek, ale nikt nie spał. Każdy z uczestników tej osobliwej maskarady miał coś do przemyślenia, każdy z nich miał swoje plany na następny dzień.

Rozdział XLV

Niedługo po wschodzie słońca Stefan zdecydował się wyruszyć na poszukiwanie przetrzymywanych kobiet. Mimo, że Małgorzata usilnie odradzała mu takie rozwiązanie, ten postawił na swoim.
– Policja tylko wszystko spieprzy – stwierdził, gdy przyjaciółka podsunęła mu pomysł powiadomienia organów ścigania. – Załatwimy to po mojemu – powiedział bardziej do siebie, niż do obecnych.
– Jedźcie za mną – zakomenderował, po czym wsiadł do samochodu i udał się w kierunku swojego dawnego mieszkania.

Szukał nerwowo wolnego miejsca na parkingu, o które zawsze było trudno o tej porze, a nie znajdując, pozostawił włączony samochód przy krawężniku, sam zaś wybiegł z auta i pognał jak wicher na górę, pokonując po kilka stopni naraz. Znikł dosłownie na chwilę. Zanim dojechało drugie auto był z powrotem na dole.
– Muszę zostawić gdzieś mój samochód – zakomunikował. Kilka minut krążyli po osiedlu, zanim znaleźli wolne miejsce. Zaparkował, po czym objaśnił pomocnikom, jak dalej mają postępować.

Pomysł Mocnego wydawał się dość osobliwy, ale według Stefana jedyny, dający szansę odnalezienia miejsca przetrzymywania kobiet.
– Czy zrozumieliście wszystko? – zapytał po skończonym wykładzie patrząc im uważnie w oczy.
– Tak. To twój dzień, ty tu rządzisz – zaakceptowali propozycję przywódcy, mimo uzasadnionych obiekcji.

To, co działo się później wywołało jeszcze większe zdziwienie u dwójki pomocników. Stefan wolnym krokiem zbliżał się do klatki schodowej bloku w którym mieszkał. Coś liczył, coś analizował, nad czymś się zastanawiał, po czym nagle zatrzymał się. Postał chwilę, odwrócił i ku zdziwieniu obserwatorów siedzących nieopodal w samochodzie zmienił kierunek.

Szedł przed siebie bez wahania, jakby jakaś tajemna siła prowadziła go do celu. Po kilkunastu minutach marszruty ludzkie domostwa stawały się coraz rzadsze, a po kilkudziesięciu opuścił teren zabudowany i stanął w szczerym polu. Rozejrzał się wokół, przymknął lekko powieki i czekał aż wewnętrzny kompas wskaże mu drogę.

Dwoje towarzyszy śledzących poczynania Stefana z perspektywy samochodowych foteli, zastanawiało się, co jeszcze nieprzewidzianego wydarzy się tego poranka. Spojrzeli pytającym wzrokiem po sobie, potem ponownie spojrzeli na zagubionego wędrowca i czekali. Ten zaś, pochłonięty do reszty swoją misją, stojąc na rozdrożu, starał się dokonać właściwego wyboru. Podniósł głowę, szeroko rozdymanymi nozdrzami wciągał świeże powietrze poranka próbując wyczuć w nim zapach kobiety, ale nic nie czuł. Zmysły, z których korzystał w dotychczasowych poszukiwaniach teraz stały się bezużyteczne. W tej konkretnej chwili potrzebował innego drogowskazu.

– Gdzie teraz? – zadał sobie pytanie.

Jeszcze raz rozejrzał się wokół i w oddali ujrzał jasny błysk. To promienie wstającego słońca odbijały się od tafli dachu stojącego nieco na uboczu domu, niemal ukrytego w zaroślach. Serce zabiło mu szybciej na ten widok. To tam – już wiedział gdzie iść. Ruszył w kierunku zabudowania, ale stanowcze wołanie Małgorzaty zatrzymało go na chwilę. Małgorzata z Jackiem podbiegli do niego.

– I co, już wiesz, dokąd iść?

– To tam – oznajmił wskazując na kępę zarośli widniejących w oddali.

– Tam, w tych chaszczach? – upewniał się syn.

– Tak. Tam stoi niewielki domek, byłem tam kiedyś. Pozostańcie w oddaleniu i pod żadnym pozorem nie mieszajcie się do niczego, proszę was. To zbyt niebezpieczne.

– Stefan wyjął z kieszeni kurtki pistolet, przeładował i tak przygotowany do obrony najbliższych ruszył w kierunku zarośli.

Co on zamierza? – zastanawiali się oszołomieni niespodziewanym widokiem i rozwojem sytuacji, gdy zdeterminowany Stefan zmierzał ku przeznaczeniu.

– Dosyć tego. Trzeba raz na zawsze zakończyć to szaleństwo. Ja dzwonię na policję i nawet nie próbuj mnie powstrzymać – dodała stanowczym głosem dziewczyna. Chłopak nie oponował.

Gdy Stefan podkradał się bezszelestnie do budynku, w którym

przetrzymywane były kobiety, porywacz, postanowił złożyć „towarzyską" wizytę Zofii. Ta, wyczerpana całonocną udręką, na chwilę zmrużyła oko i nie usłyszała kiedy do pokoju wszedł nieproszony gość. Położył jej rękę na ustach, żeby nie krzyczała i zaczął bezceremonialnie rozpinać jej bluzkę. Przerażona Zofia próbowała się bronić kopiąc nogami napastnika, lecz dużo silniejszy i znacznie od niej cięższy amator kobiecych wdzięków, pozbawił ją wszelkich możliwości obrony. Jakimś nadludzkim niemal wysiłkiem zsunęła dłoń napastnika ze swojej twarzy i wydała z siebie przerażający krzyk. Wołanie o pomoc zbudziło Annę. Zazdrosna dziewczyna wbiegła do pokoju, a widząc co się dzieje rzuciła się z furią na wiarołomcę, okładając go na oślep swoimi drobnymi piąstkami. Konrad puścił ciągle wierzgającą się Zofię, w tej samej chwili porwał Annę za włosy i używając całej siły, jaką zdołał wyzwolić w przypływie wściekłości rzucił nią o ścianę. Dziewczyna, zamiast pozostać na niej w formie bezkształtnej masy, o dziwo, sobie tylko znanym sposobem, odbiła się od niej i ponownie natarła na bandytę. Wiedziona zazdrością, czy też instynktem samozachowawczym, z ramionami wyciągniętymi przed siebie, zakończonymi ostrymi jak brzytwa szponami natarła na przeciwnika. Wbiła się w niego drapiżnymi pazurami i ściągnęła kominiarkę. Osłupiały przez moment oprawca, nie zdążył w porę zareagować na atak rozjuszonej dziewczyny, co poskutkowało trudnymi do wyobrażenia ranami twarzy. Ból, jaki zadała mu napastniczka, spowodował niekontrolowany wybuch wściekłości. Pochwycił dłońmi jej wszędobylskie ramiona, unieruchomił i ścisnął tak mocno, że Anna zawyła z bólu. W tej chwili Konrad nie miał litości, przeszedł do kontrataku, chciał zabić. Zaciśniętą pięścią wymierzył potężny cios w twarz dziewczyny, po którym oszołomiona, osunęła się bezwładnie na podłogę. Nie był to jednak koniec wyrównywania rachunków. Leżącą pod jego stopami ofiarę, zaczął kopać bez opamiętania, przeklinając przy tym dziewczynę za rozoraną do kości twarz. Najprawdopodobniej przerwałby jej krótki żywot, gdyby nie Zofia, która jakimś sposobem wyzwoliła się ze swoich więzów i rzuciła na bandytę. Ten, zaskoczony sytuacją na chwilę znieruchomiał ze zdziwienia nie wiedząc, co się dzieje. Najprawdopodobniej Zofię czekałby los podobny do losu Anny, jeżeli nie gorszy, gdyby do pokoju nie wpadł Stefan. W drżących dłoniach trzymał pistolet. Niestety Zofia stała zbyt blisko napastnika, który, widząc co się dzieje, chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie, zasłaniając się przed ewentualnym strzałem. Gwałtownym ruchem wyciągnął zza paska swój pistolet i przystawił do głowy kobiety.

– I co teraz? – zapytał triumfując. – Poświecisz ukochaną? No strzelaj – namawiał. – Pamiętaj tylko, że razem ze mną w zaświaty uda się i ona – potrząsnął kruchą kobietą. – A chyba tego byś nie chciał?

Stefan stał w drzwiach z wycelowanym w napastnika pistoletem nie wiedząc co dalej robić. Jeżeli odłożę pistolet, bandyta najprawdopodobniej

zastrzeli mnie i Zofię – rozpatrywał możliwości. – On ma niewiele do stracenia.
– Rzuć tę pukawkę durniu, jeżeli chcesz, żeby ona przeżyła – ochrypłym głosem rozkazał Konrad ocierając dłonią krew zalewającą mu oczy.

To pamiątka po źle ulokowanej miłości – zauważył mimochodem Stefan patrząc na rozoraną pazurami zranionej kotki twarz Konrada. – Kobiety są z natury delikatne, ale z ich uczuciami igrać nie można, bo wówczas stają się drapieżne.
– Rzuć broń! – powtórzył po raz kolejny napastnik, – bo jeżeli nie to... – tu zrobił niedwuznaczny gest świadczący o jego zamiarach.
– Bo jeżeli nie, to co? Strzelisz do Zofii? Gdy to uczynisz, ja zastrzelę ciebie, chyba w to nie wątpisz. I wierz mi, nic nie sprawi mi większej przyjemności – zapewniał cedząc przez zęby każde słowo. – W takiej sytuacji przeżyjemy: ja, Agata i Anka – zdajesz sobie z tego sprawę? Nie dajesz mi dużego wyboru. Jakąś ofiarę musimy ponieść – oznajmił zdecydowanym głosem Stefan.

Boże przenajświętszy – przestraszył się swojej wypowiedzi. Przecież to nie jest tak, to tylko taka poza – uzmysłowił sobie wydźwięk swych słów. Nigdy nie daruję sobie, jeżeli Zofia kiedykolwiek pomyśli, że poświęciłbym jej życie, dla ratowania siebie i pozostałych. To nie tak! Chętnie poświęcę mój parszywy żywot! – krzyczała jego rozdarta, krwawiąca dusza. Zrobię wszystko byle tylko ją ocalić. Ale ona o tym nie wie – zadrżał uzmysłowiwszy sobie opaczność wcześniejszych przemyśleń.

Na reakcję żony nie musiał długo czekać. Zofia spojrzała wylęknionym wzrokiem na męża. W jej oczach zawierało się więcej pytania niż, przerażenia. Na krótką chwilę spojrzenia małżonków spotkały się i wówczas dostrzegła bezmiar strachu i cierpienia kryjącego się w oczach Stefana.
– Gdzie jest Agata? – zadał pytanie złączonej w śmiertelnym uścisku parze.
– Tam – zdążyła jedynie wyrzec Zofia, wskazując wzrokiem jakieś bliżej nieokreślone miejsce za jego plecami, zanim napastnik zamknął jej ręką usta.

Czyli jest, żyje – kamień spadł mu z serca.
– Rzuć broń, powtórzył po raz kolejny zniecierpliwiony porywacz, przyciskając jeszcze mocniej Zofię do piersi, jakby chciał się przekonać, czy kobieta jest aby wystarczająco „bezpieczna" w jego ramionach.

Stefan ciągle nie reagował na nerwowe ponaglenia tracącego pewność siebie Konrada. Coraz mniej kontrolowane zachowanie, rozbiegane oczy oraz nadmierne przejawy agresji jednoznacznie świadczyły o głębokim rozchwianiu emocjonalnym napastnika. W tej patowej z pozoru sytuacji, czas działał na jego niekorzyść.
– Widzisz gnoju! – zaczął Stefan. – My mamy rachunki do wyrównania!

Chłopak nic nie rozumiał. Zrobił nieco zdziwioną, nieco pytającą minę, jakby czekał na dalszy ciąg.

– Chcesz wiedzieć więcej? Powiem ci! Przez ciebie straciłem zdrowie i rodzinę – Stefan kipiał z wściekłości.
– Przeze mnie? Coś ci się stary w głowie pojebało – jakiś grymas pojawił się na jego twarzy. Może miał to być uśmiech, ale w jego oczach czaił się strach.
– Pamiętasz, przed kilkoma laty letni wieczór, imprezę w tym miejscu i przybysza wieczorową porą? Przypominasz sobie? – oznaki szaleństwa w oczach Stefana narastały z każdą chwilą.
– To..., to byłeś ty?! Szkoda, że cię kurwa nie zabiliśmy.
– Żałuj, bo drugiej szansy nie dostaniesz. Możesz ją zastrzelić, proszę bardzo. Ona nic dla mnie nie znaczy. Zostawiła mnie dawno temu, wtedy kiedy najbardziej jej potrzebowałem – spojrzał z wyrzutem na żonę.

Stefan balansował na granicy. Może ten skurwiel popełni jakiś błąd? – zakładał w desperacji. – Jeżeli odłożę broń, jeżeli okażę słabość, przegramy. On nie będzie miał nad nami litości. W tej grze już nie chodzi o okup, o jakieś nic nie warte pieniądze, to jest gra o życie.

Bandyta stracił nieco pewność siebie. Nie miał czasu zastanawiać się nad słowami przeciwnika.

Zofia spleciona z napastnikiem w śmiertelnym uścisku zastanawiała się – Boże co on mówi? Co ja narobiłam? Jakaż kuriozalna sytuacja. Organizując, całe to cholerne przedstawienie, chciałam jedynie dać Stefanowi nauczkę. Pragnęłam tylko, aby przez chwilę poczuł, jaki los zgotował nam, swoim bliskim każąc dokonywać tych absurdalnych wyborów. Teraz, paradoksalnie doprowadziłam do tego samego. Mam czego chciałam, ale nie o to tak naprawdę mi chodziło. Stefanowi chyba też nie? – wreszcie dotarło do niej. Powoli zaczynała rozmieć pobudki nim kierujące. Ale czy nie jest za późno?! Z tej konkretnej sytuacji, w jakiej się znajdujemy nie ma wyjścia awaryjnego – zdała sobie sprawę. Co dalej? Przecież Stefan musi coś zdecydować, ten szaleniec nie będzie wiecznie czekać. Czy on naprawdę chce mnie poświęcić. Chyba nie ma wyboru? – zdała sobie sprawę ze swoje położenie. Powoli zaczęła żegnać się z życiem.

W powietrzu pachniało mordem. Czas zatrzymał się, jakby dawał wszystkim chwilę na zastanowienie się, przeanalizowanie sytuacji i dokonanie wyboru, ostatecznego wyboru.

Grobową ciszę, jaka zapadła na scenie rozgrywającego się dramatu aktorów amatorów, przerwał zgrzyt okiennicy poruszonej jakąś tajemną siłą. Wszyscy odruchowo spojrzeli w kierunku okna i w tym samym momencie padł wystrzał, po którym znów zapadła martwa cisza...

Stefan leżał na łóżku z otwartymi oczami wpatrując się w sufit. Sparaliżowany strachem nie był w stanie wykonać najmniejszego nawet ruchu. Jezu Chryste! – pomyślał , – przedziwne czasem sny się ma. Odwrócił się do śpiącej obok żony, objął w pół i wyszeptał.

– Żebyś ty kochanie wiedziała co ja przeżyłem tej nocy – Zofia podniosła zaspane oczy i spojrzała na zegarek

– Dopiero szósta. Śpij jeszcze…

Z błogiego snu…

Koniec.

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Białej Podlaskiej

Posłowie

Pokrętna fabuła tej powieści, zrodziła się w czasach kiedy światem rządziły demony. Chory umysł, silnie zainfekowany czterdziestoprocentowym roztworem alkoholu etylowego, roztrząsał po raz kolejny problemy bytu, a w przypływie chwilowego uniesienia zadał sobie pytanie – A co by było gdybym…? W miejscu kropek możemy wstawić wszystko. Gdybym: ożenił się z Kaśką, a nie z Maryśką? Wybrał taką uczelnie, a nie inną? Wszedł do tej rzeki, a nie innej? itd., itd. Pytać możemy o wszystko, ale odpowiedzi żadnej nie otrzymamy, będziemy tylko gdybać. Gdybym postąpił tak, to mogłoby być tak i tak, albo tak i tak, nigdy nie będziemy wiedzieli, jak?

Nasze życie jest pasmem wyborów których dokonujemy każdego dnia. Wbrew panującemu przekonaniu, nie ma łatwych i trudnych wyborów, albowiem ich ciężar gatunkowy jest jednaki. Z pozoru błaha decyzja może okazać się o wiele bardziej brzemienna w skutkach, niż ta z założenia ważna.

Z pozoru banalna tematyka książki w przystępny sposób porusza szereg istotnych elementów naszego życia; alkohol, samotność, miłość, tęsknota, pieniądze, wszechobecne wybory, itp.

Mieć czy być?

Dawać czy brać?

Kochać czy nienawidzić?

Każdego dnia zadajemy sobie takie pytania, a jeżeli nie to źle!

Co sprawia, że jesteśmy szczęśliwi? Pieniądze czy nasi bliscy? Trudne pytania, chociaż tak banalnie proste.

Mam pieniądze, a nie mam bliskich, mam bliskich, a nie mam pieniędzy. Tak źle, a tak niedobrze.

Co robić?!

Nie ustawać w poszukiwaniu złotego środka.

Życzę powodzenia.

Spis treści

Rozdział I 5
Rozdział II 15
Rozdział III 20
Rozdział IV 25
Rozdział V 30
Rozdział VI 38
Rozdział VII 46
Rozdział VIII 51
Rozdział IX 58
Rozdział X 59
Rozdział XI 63
Rozdział XII 69
Rozdział XIII 77
Człowiek z lasu 78
Gdańsk 82
Wyprowadzka 94
Rozdział XIV 99
Rozdział XV 107
Rozdział XVI 115
Rozdział XVII 120
Rozdział XVIII 127
Rozdział XIX 137
Rozdział XX 144
Rozdział XXI 153
Rozdział XXII 179
Rozdział XXIII 192
Rozdział XXIV 199
Rozdział XXV 209
Rozdział XXVI 214
Rozdział XXVII 217
Rozdział XXVIII 227
Rozdział XXIX 232
Rozdział XXX 236
Rozdział XXXI 243
Rozdział XXXII 252
Rozdział XXXIII 258
Rozdział XXXIV 268
Rozdział XXXV 273
Rozdział XXXVI 276
Rozdział XXXVII 280
Zakończenie 284
Epilog 289
Rozdział XXXVIII 289
Rozdział XXXIX 301
Rozdział XL 306
Rozdział XLI 310
Rozdział XLII 312
Rozdział XLIII 322
Rozdział XLIV 325
Rozdział XLV 330
Koniec 335

XIII B
Gol



Waldemar Golanko - urodzony 15.07.1961r. w Białej Podlaskiej. Absolwent I LO im. J.I. Kraszewskiego oraz AWF w Białej Podlaskiej. Wieloletni reprezentant kraju w lekkiej atletyce i od 34 lat rekordzista Polski osiemnastolatków w skoku w dal z wynikiem 8.01cm. Obecnie pracownik Europejskiego Centrum Kształcenia i Wychowania OHP w Roskoszy.
e-mail: waldemar.golanko@op.pl



ISBN 978-83-938164-0-8
9 788393 816408 >